

Malachi Martin

Zakładnicy diabła

**Autentyczne przypadki opętania
i egzorcyzmów**

Przełożył:
Jarosław Irzykowski

Gdańsk 1993

Tytuł oryginału:

Hostage to the Devil. The Possession and Exorcism of Five Living Americans.

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki:

Radosław Dylis

Copyright © 1975, 1992 by Malachi Martin

Copyright © for the Polish edition by EXTER Sp. z o.o.

Gdańsk 1993

Przedmowę autora „Opętanie i egzorcyzmy w Ameryce lat dziewięćdziesiątych” przełożyła Hanna Dymel-Trzebiatowska.

Aneks I. „Rzymskokatolicki obrządek egzorcyzmów” przełożył Dariusz Wysocki.

Wszystkie cytaty biblijne pochodzą z „Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu” (Biblia Tysiąclecia), Wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1990.

Wydawca:


Exter Sp. z o.o.

ul. Szafarnia 10

80-755 Gdańsk

tel. 31-56-51 wewn. 458, 560

fax. 51-84-60

 DRUK I OPRAWA
Zakłady Graficzne w Gdańsku
ul. Trzy Lipy 3, tel. 32-57-69

ISBN 83-900429-2-4

SPIS TREŚCI

Opętanie i egzorcyzmy w Ameryce lat dziewięćdziesiątych	9
LOS EGZORCYSTY	
Michael Strong (początek)	27
Małe vademecum egzorcysty	33
RELACJE	
Przyjaciel Zio i Uśmiechnięty	53
Ojciec Gnat i Pan Pewniak	111
Dziewica i Dziewkorób	203
Wujek Ponto i Grzybiarz	283
Kogut i Żółw	353
MECHANIZM OPĘTANIA	
Dobro, zło i opinia współczesna	441
Duch ludzki i Lucyfer	445
Duch ludzki i Jezus	458
Proces opętania	467
KRES EGZORCYSTY	
Michael Strong (konkluzja)	479
ANEKS I	
Rzymskokatolicki obrządek egzorcyzmów	493
ANEKS II	
Modlitwy powszechne stosowane podczas egzorcyzmów	506
Nota o autorze	509

Jakże to spadłeś z niebios,
Jaśniejący, Synu Jutrzenki?
Jakże runąłeś na ziemię,
ty, który podbijałeś narody?
Ty, który mówiłeś w swym sercu:
Wstąpię na niebiosy;
powyżej gwiazd Bożych
postawię mój tron.
Zasiądę na Górze Obrad,
na krańcach północy.
Wstąpię na szczyty obłoków,
podobny będę do Najwyższego.
Jak to? Strąconyś do Szeolu
na samo dno Otchłani!
Którzy cię ujrzą, utkwia wzrok w tobie,
zastanowią się nad tobą...

Księga Izajasza, 14, 12-16.

„...Panie, przez wzgląd na Twoje imię, nawet złe duchy
się nam poddają.”
Wtedy rzekł do nich: „Widziałem szatana, spadającego
z nieba jak błyskawica. Oto dałem wam władzę stąpania
po węzach i skorpionach, i po całej potędze przeciwnika,
a nic wam nie zaszkodzi. Jednak nie z tego się cieszcie,
że duchy się wam poddają, lecz cieszcie się, że wasze
imiona zapisane są w niebie...”
Ojciec mój przekazał Mi wszystko...”

Ewangelia według Świętego Łukasza, 10, 17-22.

Opętanie i egzorcyzmy w Ameryce lat dziewięćdziesiątych

W mgnieniu Boskiego oka od pierwszego wydania „Zakładników diabła” w 1976, z jednej strony nic się nie zmieniło. Z drugiej jednak, wszystko uległo zmianie.

Nic się nie zmieniło w przebiegu procesu, w wyniku którego człowiek zostaje opętany przez osobowe, inteligentne zło. Nic się też nie zmieniło odnośnie wymogów udanych egzorcyzmów odprawianych na opętanej jednostce. Wszystko pozostaje takie samo, jak zostało opisane i streszczone w dalszych rozdziałach i przypadkach.

Zmianie natomiast uległy uwarunkowania społeczne, w których wszyscy dziś żyjemy. W o wiele większym stopniu, niż mogliśmy się tego spodziewać przed piętnastoma laty, dzięki sprzyjającemu klimatowi występowanie zjawiska demonicznego opętania stało się normalnym elementem naszego życia.

Zaprezentowany w 1976 roku satanizm został najprawdopodobniej potraktowany przez większość Amerykanów jako nabijający kiesę przebój wydawniczy. W rzeczywistości „Zakładnicy diabła” byli czystym ostrzeżeniem, iż opętanie nie jest i nigdy nie było spłodzoną przez chorą wyobraźnię bajką pełną wilkołaków i szczęśliwych zakończeń. Opętanie jest faktem i płaci się za nie oczywistą cenę.

Dziś w Ameryce lat dziewięćdziesiątych nikt już nie traktuje opętania jak zabawę. Wprost przeciwnie, wszędzie — na różnych poziomach społecznych — panuje uzasadniony strach. Strach ten dotyczy głównie dzieci. Prawdę powiedziawszy, niewiele istnieje już rodzin nie dotkniętych satanizmem. Nawet satanizmem rytualistycznym — formalnymi ceremoniami i obrzędami organizowanymi przez jednostki lub grupy w hołdzie szatanowi.

Z oczywistych względów nie wiemy wszystkiego o działających w USA zorganizowanych satanistycznych grupach, które nazywają siebie zborami. Rozporządzamy jednak wiedzą pozwalającą uzasadnić lęk przeciętnej rodziny o własne dzieci.

Wiemy na przykład, że w pięćdziesięciu stanach USA istnieje około 8.000 zborów satanistycznych. Wiemy, że w każdej z ogromnych aglomeracji i w każdym z większych miast co

tydzień, i to w kilku miejscach, odprawia się czarne msze — prawie zawsze organizowane przez zbór. Wiemy, że przeciętni członkowie zborów satanistycznych wywodzą się także spośród polityków, kleru i ludzi wierzących.

Co więcej, wiemy, że wśród tych zborów wytworzyły się pewne „specjalizacje”. Można przykładowo wybierać pomiędzy zbozem heteroseksualnym a homoseksualnym. W co najmniej trzech dużych miastach członkowie kleru mają do dyspozycji zbór z nastawieniem na pedofilię, do którego nikt poza nimi nie ma dostępu. W podobny sposób prowadzony jest lesbijski zbór dla wierzących kobiet.

Wiemy również, że z całą pewnością w wielu średnich szkołach państwowych w dużych miastach istnieją grupy nastolatków zaangażowanych w satanizm rytualistyczny. I choć — znów z oczywistych względów — niewiele wiemy o ofiarach składanych z ludzi, to na pewno istnieją zbory, w których dochowanie tajemnicy jest warunkiem bezwzględny, a próba odejścia karana jest rytualnym zaszytletowaniem — jeden cios za każdy rok życia winnego.

Trudny dostęp do dowodów dotyczących ofiar ludzkich, jako elementu rytuałów satanistycznych, wynika z faktu, iż usuwanie szczątków ludzkich stało się w kręgach satanistycznych formą czarnej sztuki wykorzystującej takie akcesoria jak przenośne piece i krematoria; a także dlatego, że nie istnieją żadne akty narodzin ani chrztu składanych w ofierze niemowląt.

W każdym razie posiadamy ogromny materiał przekazywany ustnie a wskazujący, iż tysiące noworodków i dzieci jest rozmyślnie poczętych i narodzonych tylko po to, by mogły służyć jako ofiary w obrzędach satanistycznych. W świecie kultu szatana preferowani są chłopcy jako posiadający taką płć jak Dzieciątko Jezus. Ale i dziewczynki wchodzą tu w rachubę.

Dlatego istota problemu nadużyć wobec dzieci, zjawiska tak charakterystycznego dla naszych czasów, wymaga rzetelnej uwagi. Nie zawsze oczywiście przypadki takie są wynikiem rytualnego satanizmu. Każdy potwierdzić muszą dowody. Jednak zasięg nadużyć wobec dzieci w dzisiejszej Ameryce oraz konkretne przejawy satanizmu jako czynnika, w wielu takich przypadkach, zaczynają dawać wyobrażenie o stopniu, w jakim zboczone normy, będące znakiem rozpoznawczym każdej z form tego kultu — a w szczególności satanizmu rytualistycznego — przeniknęły i wywarły wpływ na wszystkie warstwy naszego społeczeństwa.

Równie przerażająca jak te informacje — choć bynajmniej nie jest to wszystko, o czym wiemy — a nawet jeszcze bardziej szokująca jest świadomość, że w Ameryce lat dziewięćdziesiątych nigdy nie jesteś oddalony od centrum, w którym rutynowo prowadzi się tego typu działalność. Nikt nie żyje w oddali od miejsc, w których praktykuje się pewne formy satanizmu rytualistycznego. Satanizm rytualistyczny, jego nieuchronne konsekwencje oraz demoniczne opętanie są integralną częścią atmosfery, w której żyją Amerykanie.

Fakt, że istnieje dziś klimat dużo bardziej niż kiedykolwiek dotąd sprzyjający powszechnemu występowaniu demonicznego opętania, jest tak oczywisty, że świadczą o nim codzienne wypowiedzi kompetentnych ekspertów od psychologii i socjologii, którzy w większości przypadków, zdają się nie mieć „religijnych odchyleń”.

O naszym kulturalnym spustoszeniu — rodzaju agonii bezinteresowności połączonej z dominacją własnego interesu — świadczą rozpad naszych rodzin. Kryzys systemu edukacyjnego. Zanik ogólnie uznawanych norm przyzwoitości języka, ubioru i zachowania. Życie młodzięży, na każdym kroku wypaczone jest oszalałymi przemocą, nagłą śmiercią; ciężymi następstwami, uzależnieniem od narkotyków i alkoholu, choroby, samobójstwa, strach. Ameryka jest najprawdopodobniej najbardziej przepelnionym przemocą tzw. rozwiniętym krajem tego świata.

Rodzice mają więc powody do zmartwień. Największa bowiem zmiana w warunkach, w których przyszło nam żyć od ponad dwudziestu lat, dotyczy bezradności młodych ludzi wobec możliwości opętania. Młodzież bowiem coraz bardziej wnika w atmosferę, w której moralny krytycyzm jest nie tylko niemodny ale zabroniony. Zaczyna unosić ich istne morze pornografii. Nie tylko pornografii seksualnej, ale pornografii egoizmu w całym tego słowa znaczeniu. Podstawowe pytanie młodego pokolenia wypowiedane słownie lub wyrażane w inny sposób — brzmi: Co możesz dla mnie zrobić? Co mogą dla mnie zrobić rodzice, przyjaciele, znajomi, wrogowie, rząd, mój kraj?

Problem polega na tym, że jako jednostki i społeczeństwo, nie chcemy — a wielu z nas nie jest już w stanie — udzielić na to pytanie takiej odpowiedzi, która by kogokolwiek na dłużej usatysfakcjonowała.

Takie spustoszenie kulturowe jest najbardziej żyznym gruntem, jaki tylko można sobie wyobrazić; umożliwia niemal

nieograniczony rozkwit procesów opętania. Dlatego satanizm — łącznie z jego zrytualizowaną wersją — powoduje uzasadniony strach rodziców o ich dzieci. W takim kontekście, co najmniej niektórzy z nas mogą zostać wybrani przez naszego Odwiecznego Wroga, który jak to określił w jednym z listów Święty Piotr: „Jak lew ryczący krąży szukając kogo pożreć”.

Opis rozkwitającej działalności satanistycznej to jedno. Istotne jest tu także równie bezstronne określenie co najmniej kilku głównych czynników kulturowych i religijnych, które w największym stopniu przyczyniły się do takiego stanu rzeczy.

Postępując w ten sposób, trudno oprzeć się konkluzji, iż mocna pozycja satanizmu rytualistycznego oraz trudności w jego skutecznym zwalczaniu wspomaga zmieniona w znacznym stopniu mentalność chrześcijańskich duchownych. Jako ksiądz katolicki, mam na myśli głównie katolickich biskupów i księży. Rozpatrzmy to jednak po kolei.

Egzorcyzmy przedstawione na stronach „Zakładników diabła” dotyczą bezcielesnej, bezpłciowej istoty nazywanej przez Jezusa Lucyferem lub szatanem. Istotę tę Jezus określa dalej jako „ojca kłamstw i od samego początku mordercę”. Istnienie i zakres działania szatana jest integralnym elementem tradycji Kościoła rzymskokatolickiego i innych autentycznych form tej religii.

Na samym początku archanioł zwany Lucyferem stanął na czele powstania przeciw Bogu i wraz z legionami innych zbuntowanych aniołów został zesłany prosto do piekła. Istoty te, na wieczność odseparowane od Stwórcy, znane są jako demony.

Dzięki tajemniczej Boskiej przezorności, szatan został obdarzony pewną wolnością umożliwiającą mu udaremnianie Boskiej woli, zgodnie z którą wszyscy mężczyźni i kobiety mają być oczyszczeni z grzechu i mogą umrzeć w przyjaźni i miłości Bożej.

Szatan zyskuje na tym świecie pewną ilość czcicieli i sług — i w ten sposób udaje mu się kontynuować swoją rebelię. Co więcej, pozyskane przez Lucyfera jednostki służą jego celom, przekupując i werbując inne istoty ludzkie, aby czciły go i służyły mu.

Cześć, jako słowo używane w kontekście satanistycznym, odzwierciedla zarówno umysłowość jak i zamiary samego Lucyfera. Odnosi się jednoznacznie i umyślnie do przeciwstawnego mu znaczenia chrześcijańskiego.

Istotą czci boskiej w chrześcijaństwie jest miłość. Istotą czci satanistycznej jest nienawiść. Upadły anioł obecnie uosabia

pełnię nienawiści wobec istnienia, jako takiego. Nienawiść wobec życia, miłości, piękna, szczęścia, prawdy — wobec wszystkiego, co w największym stopniu czyni życie znośnym.

Tak wygląda w ogólnym zarysie podstawowa wiedza i pojmowanie przez chrześcijan szatana oraz jego satanistycznego programu.

Niemniej jednak, od momentu pierwszego wydania „Zakładników diabła” w 1976, osłabiona wiara chrześcijańskich duchownych — łącznie z klerem i hierarchią Kościoła rzymskokatolickiego — odsunęła fakt istnienia szatana na ten sam poziom co inne podstawowe rzymskokatolickie i chrześcijańskie nauki — o piekle, aniołach, czyściu, grzechu oraz głównych sakramentach — Spowiedzi i Eucharystii.

Pomimo niezgody z Kościołem rzymskokatolickim, jeden z protestanckich pastorów orzekł odnośnie tego zagadnienia, że Kościół katolicki zawsze był tu opoką. Gdy zabraknie tej opoki, wszyscy zaczną się potykać. Ponieważ wielu spośród przedstawicieli hierarchii Kościoła rzymskokatolickiego nie akceptuje już tych przekonań — i nie wyznaje ani nie naucza ścisłej doktryny dotyczącej sakramentów — nawet opozycja wobec satanizmu, łącznie z jego rytualistyczną formą, znacznie osłabła.

Z drugiej strony — wiara, iż Lucyfer nigdy nie istniał, jest jego niezwykłym sukcesem. Jest to doskonały kamuflaż. Nie wierzyć w zło, to nie mieć możliwości obrony. Nie wierzyć w nie, to być bezbronny wobec niego. Jeśli twa wola nie zechce zaakceptować istnienia zła, nie będziesz w stanie mu się przeciwstawić. Ludzie bez możliwości przeciwstawienia się złu stają się pierwszym obiektem opętania.

Tak jak niegdyś miała na nas ogromny wpływ wiara kleru, tak dziś podobnie rozległe są konsekwencje — zarówno dla wierzących i niewierzących — istnienia tak wielu wiarołomnych duchownych.

Wśród katolików i chrześcijan innych wyznań, wielu nie uczy się już nawet tak podstawowej modlitwy jak Ojcze Nasz. W kościołach i szkołkach parafialnych unika się tematu piekła, jak to określił jeden z księży, aby nie przyprawiać ludzi „o poczucie winy”. Podobnie unika się zagadnienia grzechu, by nie wyrządzać „niepowetowanych szkód, które czyniono przez ostatnie piętnaście lat”.

Stwarza to poważne i niepotrzebne niebezpieczeństwo, którym pozostawiony samemu sobie chrześcijanin zostaje skonfrontowany ze złem codziennego życia. Głęboko zakorzenione

zakazy, by nie mieszać tego, co określa się jako „racjonalne” z wiarą konieczną do rozpoznania zła, są dla wielu przeszkodą nie do przezwyciężenia. A bez łaski, która rodzi się z prawdziwej wiary, szatan robi to, co robi najlepiej — przestaje istnieć w oczach tych, którzy nie widzą.

Nadal jednak najbardziej dramatyczne konsekwencje, takiego rozległego i wciąż szerzącego się, braku wskazówek dotyczą autentycznych ofiar opętania. Poszczególnych ofiar osobowego zła, których są tysiące.

Kościół jest jedynym autorytetem społecznym, który niesie możliwość sprzeciwienia się takiej manifestacji zła. A więc jeśli urzędnicy kościelni zaprzeczają spuściznie swego Kościoła; jeśli odwracają się plecami do opisanego w Piśmie Świętym Jezusa wypędzającego demony; jeśli uznają te sprawozdania za fałszywe lub za licencję poetycką — wówczas faktyczne ofiary prawdziwej działalności demonów są pozostawiane same sobie, bez żadnej nadziei.

„...lecz jeśli sól smak swój utraci” cytuje słowa Jezusa św. Marek „czymże ją przyprawicie? Miejcie sól w sobie i zachowajcie pokój między sobą!” W dużym skrócie taki właśnie jest warunek postawiony wielu przedstawicielom współczesnego kleru, takie jest położenie ludzi opętanych w Ameryce lat dziewięćdziesiątych. Jeśli dziś nie wierzą już nawet ojcowie Kościoła, to ofiary demonicznego opętania naprawdę nie mają się do kogo zwrócić. Nie mają dokąd pójść w poszukiwaniu pomocy, której potrzebują i do której mają prawo jako chrześcijanie dotknięci nieszczęściem.

Prawdziwe opętanie połączone z brakiem nadziei może z pewnością doprowadzić do najgorszego szaleństwa, jeśli nie do śmierci. Jest to straszny wyrok. Lecz równie przerażający jest fakt, iż właśnie ci ludzie, których powołaniem ma być wiara i wywiązywanie się z tego, co od samego początku głosi Kościół, odeszli od niego, choć nadal twierdzą, że służą w imię Chrystusa.

Krąg bezradności i cierpienia spowodowany takim wiarolomstwem nie kończy się bynajmniej na zwykłych chrześcijanach i opętanych. Jest o wiele szerszy.

Ze względu na charakter przestępstw wynikających z satanizmu rytualistycznego — oprócz wspomnianych nadużyć wobec dzieci i poważnych zbrodni — w zagadnienie to często wkraczają przedstawiciele prawa. Stanąwszy oko w oko z niezaprzeczalnymi dowodami kultu satanistycznego — takimi jak pentagramy, połamane krucyfiksy, satanistyczne grafiki i inne

podobne akcesoria — niegdyś mogli zwrócić się o pomoc w zwalczaniu demonicznego opętania do ekspertów duchownych.

W obecnych czasach rzadko można skorzystać z takiej pomocy. Dziś częściej niż z pomocą, spotkać się można raczej z ignorancją, brakiem zainteresowania i wiary, a nawet ze zdecydowaną niechęcią, choćby chodziło jedynie o dyskusję na temat opętania i egzorcyzmów.

W rzeczy samej, w Kościele rzymskokatolickim formuła Egzorcysty — będąca od niepamiętnych czasów częścią święceń kapłańskich — została usunięta z nowego obrządku, sformułowanego przez innowatorów po 1964 roku, w rezultacie Drugiego Soboru Watykańskiego.

A zatem wielu oficjalów i ich doradców uznało opętanie oraz lekarstwo na nie, obrządek egzorcyzmów, za sprawę bez znaczenia, nieistotną — jak, powiedzmy, nauczanie posługiwania się średniowiecznym astrolabium — w efekcie czego w wielu katolickich diecezjach w USA, dużych i małych, nie ma dziś oficjalnego egzorcysty.

W niektórych, co szczęśliwszych diecezjach, gdy zachodzi ku temu potrzeba, księża sprowadzają egzorcystów z zewnątrz, a biskupi nie chcą wówczas nic o tym wiedzieć. W przypadku gdy dla przeprowadzenia egzorcyzmów wymagane jest pozwolenie biskupa, takie spoglądanie przez palce może być i jest traktowane jako „milcząca zgoda”.

W innych diecezjach biskupi są kategorycznie przeciwni obrzędowi egzorcyzmów. Ale i tu istnieją księża, którzy nadal sprowadzają egzorcystów. Ich kanonicznym usprawiedliwieniem jest „domniemana zgoda” biskupa. Oznacza to, że gdyby biskup uwierzył w to, w co jako biskup powinien uwierzyć, lub więcej, gdyby znał konkretny przypadek opętania i rozpoznał jego istotę, wtedy można byłoby przypuszczać, że udzieliłby zgody na egzorcyzmy.

Takie teologiczne rozumowanie i kanoniczne kombinacje to coś więcej niż wybieg. To scenariusz rodem z katakumb. W efekcie mamy do czynienia z czymś, co można nazwać konspiracją egzorcystów. Grupa księży z jednej diecezji wchodzi w absolutnej tajemnicy w układ z innymi księżmi z drugiej diecezji, aby spełnić swe obowiązki wobec wiernych w potrzebie.

Z punktu widzenia Kościoła, taka sytuacja powoduje bez wątpienia naruszenie przepisów. W niektórych przypadkach prowadzi to do niesprawiedliwego narzucania kanonicznych sankcji przez rozgniewanych, niedowierzających biskupów, którzy utrzymują, że w ten sposób został podważony ich autorytet.

Jednakże nawet w tak niesprzyjających okolicznościach zasięg egzorcyzmów ciągle wzrasta. W porównaniu z wczesnymi latami sześćdziesiątymi, w połowie lat siedemdziesiątych nastąpił siedmusetpięćdziesiącio procentowy wzrost. W tym samym czasie miał miejsce alarmujący wzrost ilości opętani „na życzenie” — tzn. przypadków, w których opętani formalnie prosili szatana, aby ich posiadał — w odróżnieniu od przypadków opętania wynikających z innych przyczyn.

Co roku przeprowadza się od 800 do 1300 dużych egzorcyzmów i kilka tysięcy mniejszych. Dla ekspertów w tej dziedzinie wzrost liczby odnotowanych przypadków opętania jest ostrzegającym ostrzeżeniem. Lecz jeszcze bardziej ostrzegawczo działa świadomość, że istnieje mnóstwo przypadków, które w ogóle nie są zgłaszane. Tysiące listów, które sam otrzymałem i nadal otrzymuję od ludzi desperacko szukających pomocy — od katolików, protestantów i od ekskomunikowanych — są wymownym, bolesnym i ciągle narastającym dowodem kryzysu.

W międzyczasie przedstawiciele prawa, coraz częściej stający w obliczu bezspornych znaków satanizmu rytualistycznego lub przerażających skutków uczestnictwa w takich rytuałach, nie mają szansy na skorzystanie z rady, pomocy lub współpracy malejącego grona ekspertów.

Dla osób aktywnie działających na polu egzorcyzmów i dlatego posiadających większą umiejętność odkrycia i rozpoznania satanizmu rytualistycznego, jest jasne, że w kręgach policyjnych satanistyczny charakter zbrodni jest bądź odsuwany na dalszy plan, bądź zupełnie pomijany — przynajmniej w oficjalnych raportach.

Ogólnie rzecz ujmując, policja nie ma wyboru. Nie posiada kompetencji ani autorytetu na subtelnym i niebezpiecznym polu praktyk satanistycznych. Pomijając fakt, że bezcelowe opowiadanie o tych detalach często pobudza do naśladownictwa, to przeprowadzona przez urzędnika — lub kogoś innego łącznie z wyszkolonym i upoważnionym do działalności egzorcystą, tak jak to zostało ukazane w pięciu przypadkach „Zakładników diabła” — próba wyzwolenia człowieka z opętania naraża wybaczców na niebezpieczny atak demonów.

Na podobny brak pomocy wystawieni są także terapeuci, psychologowie, psychiatry, pracownicy socjalni i inni, którzy podobnie jak policja muszą zajmować się anormalnymi sytuacjami. W obecnych warunkach życia w Ameryce prawdopodobnie

bieństwo opętania jawnie sadystycznych lub agresywnych, antyspołecznych jednostek jest wstrząsająco duże.

Rozwiązaniem problemu, z którym borykają się przedstawiciele prawa i inne osoby zmuszone zajmować się wpływami satanizmu, byłoby nawiązanie bliskiej i stabilnej współpracy z tymi, którzy są zorientowani i doświadczeni w tej delikatnej i niebezpiecznej dziedzinie, jaką są opętania i egzorcyzmy.

Rozwinięcie takiej sieci współpracy może jednak w obecnych czasach okazać się niemożliwe, zważywszy na wszystkie wyżej opisane okoliczności, a także inne, których tu nie omówiono. Specjaliści w tej kategorii, podobnie jak opętani, z którymi mają regularnie do czynienia, pozostawieni zostają sam na sam z problemem, mając możliwość skorzystania jedynie z niedostatecznych środków dostarczanych przez przepisy prawne i kanyony zachowania.

Jak zwykle najwyższą cenę płacą przeciętni ludzie. Bo choć większość z nas przeżywa całe lata bez kontaktu ze zborami satanistycznymi lub nawet bez widoku na taki kontakt, to brak interdyscyplinarnej sieci współpracy ekspertów oraz fachowców i tak ma wpływ na każdego z nas.

Konkretne dowody dotyczące znacznej ilości przestępstw — nadużyć wobec dzieci, przybierającej na sile narodowej plagi pozornie nie umotywowanych i nieuzasadnionych morderstw dokonywanych przez nastolatków, samobójstw i gwałtów — nasunęły świeckim badaczom słuszne wnioski, iż pewne kręgi osób dopuszczających się takich nadużyć mogą być powiązane z innymi podobnymi grupami.

Jednak w obecnej sytuacji wciąż nie ma dowodów na istnienie grup lub zborów satanistycznych albo też międzynarodowej konspiracji członków zborów w USA i w Kanadzie, w którą to konspirację są zaangażowani świadomie i celowo. Praktycznie, zbory w USA mogą żądać konstytucyjnej ochrony prawnej ich obrządków i ceremonii, o ile nie można im przypisać naruszenia prawa podczas ich działalności.

Choć prawa świeckie nie mogą bezpośrednio i oficjalnie dotyczyć przejawów satanizmu w takich grupach — a nawet oficjalnie zupełnie go pomijają — jednak są one łamane w następstwie kultu satanistycznego. Zrozumienie, że istnieje wiele takich grup, że niektóre z nich mają powiązania z innymi grupami i że ich działalność często i fachowo obraca prawo do góry nogami, mogłoby bez wątpienia doprowadzić do zwiększenia zakresu legalnych uprawnień na tyle, by móc w końcu uporać się z problemem choćby na jednym poziomie.

Jeśli brak wiary oznacza bezbronność, to odwrotna strona medalu jest równie niebezpieczna. Biorąc pod uwagę ogólne uwarunkowania otaczającego nas społeczeństwa, coraz ważniejsze staje się, abyśmy uświadomili sobie, że nawet w najgorszym razie nikt nie może być opętany bez własnego chociażby częściowego wkładu. Niezwykle ważna jest świadomość przynajmniej kilku najistotniejszych dziś czynników, które prawdopodobnie ułatwiają współpracę człowieka, poprzez jego zdolności umysłowe i wolę, z jedną lub z kilkoma bezcielesnymi i bezpłciowymi istotami nazywanymi demonami.

Ponieważ przyczyn opętania, nie sposób poddać fizycznej analizie lub ograniczyć do współczesnych laboratoryjnych standardów „obiektywizmu” dlatego jest i zawsze będzie zarówno możliwe, jak i konieczne rozważanie tych przyczyn z teologiczną ścisłością.

Demoniczne opętanie nie jest statyczną sytuacją, niezmiennym stanem. Nie zostaje się też opętany nagle, tak jak łamie się rękę, czy zapada na odrę. Opętanie jest raczej rozwijającym się procesem. Procesem, który oddziałuje na dwie zdolności naszego umysłu: rozum, poprzez który zdobywamy i analizujemy wiedzę, oraz na wolę, która decyduje o wykorzystaniu tej wiedzy.

Rozległe doświadczenia z opętanymi jasno wykazały, że istnieją pewne dające się określić czynniki, które skłaniają człowieka do współpracy, rozumem i wolą, z atakującym demone. A zatem pewne predyspozycje.

Obecność takich sprzyjających czynników w życiu danej osoby wcale nie gwarantuje, że z całą pewnością pewnego dnia będzie ona wliczona w poczet opętanych. Jednocześnie, według doświadczeń autora, rzadko się zdarza, że owe czynniki nie mają większego znaczenia w przypadku opętania.

Niektóre z najpowszechniejszych sprzyjających czynników towarzyszą nam od dawna, inne są świeższej daty. Niektóre mają charakter „instrumentów” istniejących poza człowiekiem — na przykład plansza do wywoływania duchów lub seanse spirytystyczne. Inne mają charakter „postaw”, które przyjmujemy — na pierwszy plan wysuwają się tu medytacja transcendentna i metoda Enneagram.

W kontekście opętania, wszystkie czynniki sprzyjające, wytwarzają w człowieku stan władz duszy — rozumu i woli — który najtrafniej można określić jako pełną aspiracji próżnię. Próżnię — ze względu na brak jasno określonych i akceptowanych w ludzkich kategoriach koncepcji rozumowych. Pełną

aspiracji — ze względu na odpowiedni brak jasno określonego i akceptowanego w ludzkich kategoriach ukierunkowania woli.

W przypadku planszy Ouija, seansów spirytystycznych, medytacji transcedentalnej lub metody Enneagram, osoby praktykujące muszą nastawić się na perspektywę otwarcia i zaakceptowania w swym pragnieniu wszystkiego, co może się zdarzyć.

Samo określenie — Ouija — odnosi się do owego otwarcia, a termin skomponowany jest z dwóch słów — francuskiego i niemieckiego „Tak”, czyli „Oui” i „Ja”. Zatem stanowisko uczestnika jest jednoznaczne — tak, tak. Rozum ma być otwarty na wszystkie sugestie i koncepcje. Gdy i wola uczestnika zostaje dostosowana do tych koncepcji i zgodnie z nimi funkcjonuje, wówczas krąg predyspozycji zamyka się. Pełna aspiracji próżnia zaczyna działać, jest dość silna, by zalać umysł stosownymi koncepcjami, które są w stanie złożyć odpowiednią ofertę za zgodą woli.

W świetle opętania rozum i wola otwierają się dokładnie w ten sposób.

Wśród sprzyjających czynników, które z dużym prawdopodobieństwem doprowadzają do opętania, metoda Enneagram jest współcześnie bez porównania najpowszechniejsza i najbardziej szkodliwa.

Uwzględniając ogólny stan religii, nie zdumiewa, iż na popularność tej metody wpłynął w dużej mierze fakt, że została ona tak entuzjastycznie przyjęta i propagowana nie tylko przez katolickich teologów i nauczycieli z czołowych zakonów — jezuitów, dominikanów i franciszkanów — ale także przez oficjalne organy kierowane przez biskupów USA i Kanady, które mają za zadanie nauczanie doktryny religijnej zarówno wśród młodzieży katolickiej, jak i dorosłych.

Co więcej, metoda Enneagram jest obecnie prezentowana jako zaaprobowana nauka Północnoamerykańskiego Forum Katechumenicznego — ciała, które dostarcza parafiom i diecezjom w USA i Kanadzie materiały, mające doprowadzać społeczności i jednostki do dojrzałej wiary. Metoda przenika całą strukturę przekonań religijnych dosłownie od kołyski do grobu.

Metoda Enneagram jest tak skuteczna w tłumieniu oryginalnej wiary katolickiej, iż uznawana jest dziś za najniebezpieczniejsze zagrożenie w kampanii mającej na celu likwidację ortodoksyjnej wiary katolickiej.

Zgodnie z nazwą — „enneagram” oznacza dziewięć punktów lub znaków. Enneagram jest dziewięciokątną figurą (typu mandali) wewnątrz okręgu. Charakter w stylu mandali ma w Enneagramie przedstawiać lotos i, jak to określił szwajcarski psycholog, Carl Jung, „jest symbolem przedstawiającym dążenie do ponownego połączenia się jaźni”.

Enneagram dotarł na Zachód dzięki dziś już nieżyjącemu azjatyckiemu duchowemu mistrzowi, Jurijowi Iwanowiczowi Gurdjieffowi. Gurdjieff z kolei utrzymywał, iż wywodzi się od islamskich mistrzów sufi. Symbol dotarł do USA poprzez „nauczycieli duchowych” z Chile, Boliwii i Peru i był po raz pierwszy proponowany we wczesnych latach siedemdziesiątych w Instytucie Big Sur w Esalen w Kalifornii oraz na Uniwersytecie Loyoli w Chicago. Dziś na każdym kroku dostępna jest obfita literatura na ten temat.

Zgodnie z nauką Enneagramu istnieje dokładnie dziewięć typów ludzkiej osobowości, z których każdy reprezentowany jest przez jeden z kątów. Wszystkie istoty ludzkie są nierozłącznie przypisane do jednego, i tylko jednego typu, w granicach którego mogą się nieskończenie samodoskonalić.

Dwie cechy metody Enneagram zawierają moralne nauki, które nie dają się pogodzić z podstawowymi moralnymi naukami w szczególności katolickimi, a generalnie chrześcijańskimi.

Podstawowe założenie zaprezentowane naszemu rozumowi przez metodę Enneagram mówi, że każdy osobnik może samodoskonalić się, w kategoriach moralności, w ramach swego typu osobowości.

Założenie to w rzeczywistości jest późnym wznowieniem dawnej herezji znanej jako pelagianizm, która zaprzecza podstawowej chrześcijańskiej nauce, głoszącej, że powinniśmy absolutnie polegać na akcie łaski Bożej. Sami w sobie bowiem jesteśmy bezsilni. Nie tylko nie jesteśmy nieskończenie samodoskonalać się, ale w pojedynkę też nie zdołamy wymknąć się z uścisku naszej grzesznej natury. Czyni to możliwym jedynie nadprzyrodzona łaska. A łaska ta jest dobrowolnym aktem Boga.

Nauki głoszone przez metodę Enneagram usuwają z kontekstu Boga i jego łaskę. Praktycznie, nie ma tu już żadnego kontekstu. Człowiek zostaje odcięty od rzeczywistej wiary pokładającej nadzieję w Bogu i jego nadprzyrodzonej łasce i jest ograniczony do typu osobowości wyznaczonego przez mistrzów Enneagramu.

Dругa błędna moralnie cecha metody Enneagram dopełnia szkód wyrządzonych przez pierwszą. Po fatalistycznym zaakceptowaniu własnej kategorii człowiek uzależnia udoskonalenie siebie od „ćwiczeń” odpowiednich dla jego typu osobowości. Innymi słowy, dusza ucznia Enneagramu otwiera się i staje się chłonna, mając na celu uzyskanie obiecanego samopoznania zgodnego z danym typem. Dusza staje się chłonnym odbiorcą — pełną aspiracji próżnią — przygotowaną na przyjęcie tego, który sprowadza opętanie.

W takim układzie może on przyjść zgodnie z pełnym dramatysem opisem Św. Pawła — jako anioł światła. Niebezpieczeństwo jest tu o wiele bardziej podstępne, gdyż w takiej sytuacji może dojść do stanu powszechnie określanego jako „doskonałe opętanie”.

Jak wskazuje sam termin, ofiara doskonałego opętania jest pod całkowitą kontrolą zła, nie wysyła na zewnątrz żadnych sygnałów, żadnych aluzji ani innych oznak, które mogłyby wskazywać na zamieszkującego w niej demona. On lub ona nie będzie kulić się, jak inni opętani, na widok takich symboli religijnych jak krucyfiks czy różaniec. Doskonałe opętani nie będą wzdragać się pod dotknięciem wody święconej, pełni opanowania nie zawahają się przed dyskusją na tematy religijne.

Ofiara tego typu oskarżona o naruszenie prawa często przyznaje się do „winy”, a nawet moralnego „zła” popełnionego przezeń czynu. Często będzie prosiła, by pozbawić ją życia fizycznego, ukarać śmiercią za jej zbrodnie. A zatem, na swój sposób uparcie wyraża satanistyczne pierwszeństwo śmierci wobec życia oraz niezmienną chęć połączenia się z księciem w jego królestwie.

Ponieważ ofiara pozbawiona jest własnej woli — której część jest niezbędna do przeprowadzenia skutecznych egzorcyzmów — szansa na powodzenie jest niewielka, nawet jeśli w jakiś sposób udałoby się odkryć i potwierdzić przypadek doskonałego opętania.

W pewnym sensie wszyscy — opętani, eksperci od egzorcyzmów, którzy tak często muszą się nimi zajmować; rodzice zatroskani o dzieci; każdy z żyjących w społeczeństwie, które w ostatnich czasach zostało zhańbione przez wydarzenia, o których nie tak dawno nikt nawet by nie pomyślał — jadą na jednym wozie.

Nawet tak trzeźwo myślące i racjonalnie nastawione wydawnictwo jak „New York Times” uważa za stosowne wydru-

kowanie od czasu do czasu posępnych lamentów i przepowiedni. Weźmy na przykład artykuł Roberta Stone'a z 15 marca 1992, w którym autor jasno stwierdza, że: „nasz naród wyróżnia prawdziwa apoteoza zainteresowania samym sobą”. Dalej wskazuje, że „natura ludzka odrzuca (samo)zainteresowanie” jako cel, żądając czegoś wyższego i wspanialszego”. Później, wyrażając się sarkastycznie o młodym pokoleniu, Stone wygłasza niewesołe ostrzeżenie: „Jeśli nie potrafimy dostarczyć młodemu pokoleniu innych racji niż spełnienie własnych żądz, wszystkie (amerykańskie) sukcesy można uznać za bezsensowne”. Rodzice w całym kraju mogliby przyczepić to ostrzeżenie do drzwi każdego opornego biskupa lub niedowierzającego duchownego.

Równie uzasadnione na tych drzwiach byłoby upomnienie Św. Pawła dane magowi Elimasowi. Elimas pod pretekstem doradzania Sergiuszowi Pawłowi, „człowiekowi roztropnemu”, usiłował odwieść prokonsula od wiary. Paweł, nie znający dwulicowości ani afektacji, a zawsze gotowy obnażyć swą duszę, „napęczniony Duchem Świętym” obrócił się przeciw oszustowi. „O, synu diabelski, pełny wszelkiej zdrady i wszelkiej przewrotności” — powiedział tego dnia Paweł — „wrogu wszelkiej sprawiedliwości, czyż nie zaprzestasz wykrzywiać prostych dróg Pańskich?”

Tak, z pewnością, najważniejsze upomnienie dla duchownych jest zarazem najprostsze i najbardziej bezpośrednie. Jest to upomnienie dane Apostołom przez samego Chrystusa w małej łódce podczas szalejącego sztormu na wodach jeziora Geneza-ret: „Jakże wam brak wiary?”

W żadnym z pięciu przypadków przytoczonych w „Zakładnikach diabła” nie mamy do czynienia z doskonałym opętaniem. Dlatego też wszyscy nadawali się do poddania obrzędowi egzorcyzmów. Ich losy i życie różnie się potem potoczyły. Nikt jednak nie popadł w ponowne opętanie.

Marianne K. kształcąca się na technika dentystycznego wyszła za mąż i żyła jeszcze około siedemnastu lat. Zmarła na raka na początku lat osiemdziesiątych.

Jonathan-Yves nadal żyje, choć wycofał się ze stanu duchownego. Przez pewien czas interesował się komputerami, po czym porzucił tę pracę i zamieszkał wraz z rodziną. Nie ożenił się.

Richard O. wiódł przez wiele lat bardzo aktywne życie jako doradca i terapeuta. Potem wyemigrował do Europy, gdzie zmarł u schyłku lat osiemdziesiątych.

Jamsie Z. kontynuował karierę w radiu i obecnie pracuje w niepełnym wymiarze godzin jako prezes założonego przez siebie przedsiębiorstwa.

Carl V. upewniał się o swoim powołaniu w kilku zakonach, zanim zdecydował się na niemal pustelnicze życie w odległej części Stanów Zjednoczonych. Carl osiągnął, jak to określiło wielu jego znajomych, świętość znacznie większą niż inne osoby opisane w „Zakładnikach diabła”. W ostatnich dwóch lub trzech latach życia obdarzony był darem szczególnego wglądu w duchowe rozterki ludzi, którzy zwracali się do niego o radę. Wielu z nich wspomina jasność jego spojrzenia i moc, z jaką sprowadzał spokój w udręczone umysły.

Egzorcyci, którzy określali siebie jako zakładników szatana, ponieważ ofiarowywali siebie w zamian za oswobodzenie jego ofiar — ojciec Peter, ojciec David i ojciec Gerald — dziś już nie żyją. Ojciec Mark A. mieszka w domu dla emerytowanych księży. Ojciec Hartney F. jest najprawdopodobniej jedynym, który dożyje setki. Emerytowany, ciągle mieszka w domu opieki dotknięty ciężkim artretyzmem, a mszę odprawia z ogromną trudnością.

Wszyscy spośród tych pięciu egzorcystów, wyszkolili swych następców i wpoili im mądrość i bezinteresowność potrzebną każdemu, kto dobrowolnie zostaje zakładnikiem, by uwalniać ludzi z uścisku opętania.

Epitafium na nagrobku łagodnego ojca Geralda jest dowodem poświęcenia wszystkich tych mężczyzn i świadectwem źródła ich siły. Epitafium to pochodzi z ust samego Pana, w którego chwale spoczywa dziś Gerald: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich”.

Malachi Martin
Nowy Jork
Kwiecień, 1992

LOS EGZORCYSTY

Michael Strong (początek)

Kiedy detektywi zbliżali się do opustoszałego magazynu zbożowego, znanego w okolicy jako Puh-Chi (Jedno Okno), bombardowanie Nankinu sięgało zenitu. Nocne niebo przecinały rozżarzone smugi, wstrząsał nim nieustający huk eksplozji. Japońskie bomby zapalające masakrowały drewniane zabudowania. Był jedenasty grudnia roku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego, dochodziła dwudziesta druga. Cała delta Jangcy, aż po samo morze, znajdowała się w rękach Japończyków. Spustoszony obszar, którym niepodzielnie zawładnęła śmierć, zaczynał się już w Szanghaju, a kończył na dwie mile przed Nankinem. To właśnie miasto miało być kolejnym celem agresorów. I to bezbronnym. Egzekucję wyznaczono na trzynastego grudnia.

Policjanci z południowego Nankinu już od tygodnia poszukiwali niejakiego Thomasa Wu. Uważano go za winnego zamordowania, w wyjątkowo odrażający sposób, pięciu kobiet i dwóch mężczyzn; mówiono, że żywił się ich ciałami. Pod koniec tygodnia bezowocnych poszukiwań ojciec Michael Strong, misjonarz z tamtejszej parafii, który niegdyś chrzcił Thomasa Wu, niespodziewanie powiadomił policję, że ścigany ukrywa się w baraku o nazwie Puh-Chi. Kapitan, który otrzymał tę wiadomość, nie rozumiał jednak, co miały znaczyć napisane przez ojca Michaela zdania: „Odprawiam egzorcyzmy. Proszę mi dać trochę czasu.”*

Kiedy oficer policji dotarł do Puh-Chi, drzwi były szeroko otwarte. Zebrała się przy nich niewielka grupka gapiów. Widzieli wyraźnie ojca Michaela, stojącego na środku magazynu. W kącie znajdował się nagi człowiek, młody, ale wyglądający nienaturalnie staro, uzbrojony w długi nóż. Ściany zastawione

* Opisując pozostałe przypadki egzorcyzmów, zawarte w tej książce, dysponowałem ich zapisami i przeprowadzałem obszernie wywiady. W tym wypadku jedynym źródłem informacji był sam ojciec Michael, który opowiedział mi te wydarzenia i udostępnił swoje dzienniki.

były półkami, na których leżały rzędy obnażonych, porąbanych trupów znajdujących się w różnych stadiach rozkładu.

— TY!! — wrzasnął nagi mężczyzna, kiedy kapitan przepchnął się do drzwi. — TY chcesz poznać MOJE imię! — Słowa „ty” i „moje” walnęły policjanta w uszy, niczym zaciśnięte pięści. Zauważył, że ksiądz traci siły i zatacza się w tył. Bardziej jednak zdumiał kapitana ów dziwny głos. Oficer znał Thomasa Wu. Nigdy nie słyszał go mówiącego w ten sposób.

— W imię Jezusa — zaintonował wątłym głosem Michael — nakazuję ci...

— Wynoś się stąd. Wynocha stąd, parszywy, stary eunu-chu!

— Opuścisz Thomasa Wu, zły duchu...

— Zabieram go ze sobą, karle — powiedziało coś w Thomasie Wu. — Zabieram go. I żadna siła — słyszysz, żadna! — nie zdoła nas powstrzymać. Jesteśmy tak silni, jak śmierć. Nie ma silniejszego! I on chce iść! Słyszysz? Chce!

— Powiedz mi swoje imię...

Kapłanowi przerwał nagły ryk. Nikt później nie umiał powiedzieć, jak wybuchł ten pożar. Bomba zapalająca? Iskra przeniesiona przez wiatr z płonącego Nankinu? Wydawało się, że tę niespodziewaną napaść wywołał jakiś bezgłośny sygnał. W mgnieniu oka wszystko zajęło się ogniem, żywy, czerwony krzak oplótł wewnętrzne ściany magazynu, wdarł się na łukowaty strop i na drewnianą podłogę.

Kapitan był już w środku, łapał ojca Michaela za ramię, wyciągał go stamtąd.

Ściągał ich głos Thomasa Wu, silniejszy niż ten łoskot.

— Jest tylko jeden. Głupcze! Wszyscy jesteśmy jednym. Zawsze byliśmy. Zawsze.

Michael i oficer byli już na zewnątrz. Odwrócili się, słuchając uważnie.

— Jest tylko jeden z nas. Jeden...

Resztę tego zdania zagłuszył narastający gwałtownie huk płonących belek.

Szklany prostokąt jedyne okna ginął w dymie i sadzy. Jeszcze kilka minut i nic już nie będzie można zobaczyć. Michael nachylił się i zajrzał do środka. Za oknem widział twarz Thomasa, zastygłą w niesamowitym, ostatnim uśmiechu. Przerazający obraz, ucieleśnienie koszmarów Boscha.

Długie, łapczywe języki ognia lizały skronie, szyję i włosy Thomasa. Pomimo syku i trzasku płomieni, docierał do Michaela cichy, ledwie słyszalny śmiech opętanego. Pośród ognia widać było półki, obciążone szarobiałymi trupami. Część z nich topiła się. Część płonęła. Oczy wyciekały z oczodołów, niczym białko z potłuczonych jajek. Włosy zmieniały się w maleńkie kępki. Wszystko topiło się i obracało w czerń: najpierw palce u rąk i nóg, nosy i uszy, a potem całe kończyny i torsy. I ten smród. Boże! Ten smród!

Nagle grymas przyklejony do twarzy Thomasa pękł; zdawało się, że na miejscu oblicza opętanego pojawiło się inne, podobnie uśmiechnięte. Potem przyszły kolejne twarze; migaly, jedna za drugą, w długim ciągu, z prędkością godną najszybszego kalejdoskopu. Wszystkie uśmiechnięte. Wszystkie z „odciskiem kainowego kciuka na podbródku” — tak ojciec Michael nazywał to znamie, które miało go nękać przez resztę żywota. Wargi ich układały się w ten sam grymas, co usta nieszczęsnego Thomasa, kiedy wypowiadał swe ostatnie słowo: „Jeden!” Twarze i wyrazy twarzy, z którymi Michael nigdy nie miał do czynienia. Zdawało mu się, że część z nich znał. Część sobie kiedyś wyobrażał. Część oglądał w podręcznikach historii, na obrazach, w kościołach, gazetach i koszmarnych snach. Japońskie, chińskie, birmańskie, koreańskie, brytyjskie, słowiańskie. Stare, młode, brodate, gładko wygolone. Czarne, białe, żółte. Męskie, żeńskie. Coraz szybciej. Coraz szybciej. Wszystkie tak samo uśmiechnięte. I jeszcze, i jeszcze. Michael miał wrażenie, że mknie w głąb nie kończącej się alei twarzy, zostawiając za sobą dekady, całe wieki i tysiąclecia. Zwolnił wreszcie i pojawiła się ostatnia wykrzywiona w uśmiechu twarz, tchnąca nienawiścią; tym razem odcisk kciuka zakrywał cały podbródek.

Okno było już kompletnie czarne. Michael nie mógł przez nie nic zobaczyć.

— Kain... — powiedział cicho.

Chciał mówić dalej, lecz nagle dźgnęła go bolesna, pozbawiająca słów prawda. Zdawało się, że ktoś syknął prosto w jego wewnętrzne ucho:

— Kolejna pomyłka, głupcze! Ojciec Kaina. Ja. Kosmiczny Ojciec Kłamstw i Kosmiczny Władca Śmierci. Od początku początków. Ja... Ja... Ja...

Pierś Michaela przeszył ostry ból. Jakaś silna dłoń zacisnęła się na jego sercu, tłumiąc wszelkie ruchy, a na piersi spoczął ciężar nie do udźwignięcia, zginający go wpół. Ksiądz słyszał wyraźnie, jak krew tętni mu w głowie, potem ogłuszył go huczący wicher. Oczy osłepiła jaskrawa błyskawica. Osunął się na ziemię.

Silne dłonie odciągnęły ojca Michaela od okna w ostatniej, dosłownie, chwili. Magazyn zamienił się w piekło. Dach zapadł się z potwornym trzaskiem. Płomienie tryumfalnie strzeliły w górę, liznęły zewnętrzne ściany budynku, po czym rzuciły się na nie łapczywie.

— Zabrać stąd staruszka! — krzyknął kapitan, walcząc z dymem i smrodem.

Zaczęli się wycofywać. Michael, przewieszony przez ramię jednego z mężczyzn, łkał i coś tam bełkotał. Oficerowi ledwie udało się zrozumieć z tego kilka słów:

— Zawiodłem... Zawiodłem... Muszę wrócić. Proszę... Proszę... muszę wrócić... nie później... proszę...

Kiedy dowożono Michaela do szpitala, był w stanie krytycznym. Nie dość, że się poparzył i nalykał dymu, to jeszcze doznał ataku serca. Przytomność odzyskał dopiero w dobę później, wieczorem.

Jeszcze przed upadkiem Nankinu, kapitan — człowiek wierzący — z pomocą kilku parafian wywiózł go z miasta. Udali się na północny zachód, niemal ocierając się o coraz ciaśniejszy pierścień Japończyków.

Czternastego grudnia naczelne dowództwo armii japońskiej rzuciło na Nankin pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, rozkazując im rozprawić się ze wszystkimi żywymi istotami, na które natrafia. Miasto zamieniło się w rzeźnię. Całe grupy kobiet i mężczyzn służyły jako tarcze podczas ćwiczeń w posługiwaniu się bronią maszynową i bagnietem. Innych palono żywcem albo powoli ćwiartowano. Szeregi dzieci ginęły z rąk potomków samurajów, pragnących sprawdzić, który z nich zetnie za jednym cięciem najwięcej głów. Kobiety były gwałcone przez całe oddziały, a potem zabijane. Z łon wrywano płody, zarzynano je i rzucano psom.

Powiadają, że zamordowano wtedy ponad czterdzieści dwa tysiące osób. Śmierć zawładnęła Nankinem, podobnie jak całą deltą Jangcy. Na polach ginęły i gniły zwierzęta i plony.

Odnosiło się wrażenie, że wszystko to jest dziełem „Kosmicznego Władcy Śmierci”, ducha, z którym Michael zmagał się w mikrokosmosie przerażającej kostnicy Thomasa Wu na peryferiach Nankinu. Ilekroć światem wstrząsała wojna, do głosu dochodziła jedyna w swoim rodzaju podłość, zarażająca setki tysięcy ludzi żądzą absolutnej i niepodważalnej władzy. Najmocniejszą bronią była wówczas śmierć. Jednoznacznie uciniała wszelkie spory o to, kto jest panem. W końcu wszyscy padali jej ofiarą, nie wyróżniała nikogo. Podczas wojny, gdy zwycięstwo należało do śmierci, każdy starał się mieć ją po swojej stronie.

Realisci z Hongkongu — do którego Michael trafił dość okreśną drogą w roku trzydziestym ósmym, u schyłku lata — wiedzieli, że zagarnięcie całej puli przez Japończyków jest tylko kwestią czasu.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym, w dzień Bożego Narodzenia, Hongkong dostał się pod panowanie Japonii. Przez lata okupacji Michael żył spokojnie w Koulun, trochę ucząc w szkołach, trochę zajmując się pracą duszpasterską. Powoli dochodził do siebie.

W owym czasie, życie nie było łatwe. Brakowało żywności. Okupanci dręczyli ludność, jak mogli. Wszyscy mieli świadomość, że jeżeli nie zdarzy się żaden cud, a Japończycy będą zmuszeni opuścić miasto, najpierw je spacyfikują — jeśli zaś zostaną, prędzej czy później wymordują tych, których nie wezmą do niewoli.

Michael, wbrew pozorom, znosił trudy fizyczne lepiej niż inni. Wprawdzie okupacja przyniosła mu jeszcze dwa ataki serca, jednakże nie umniejszyło to w niczym jego ducha. W odróżnieniu od swoich współpracowników, nie odczuwał owej niezdolnej niepewności, nie czekał w napięciu, czy zginie z rąk Japończyków, czy też wyzwolą go alianci. Jak zauważyli niektórzy z jego znajomych, to, co go nękało, nie tkwiło ani w jego ciele, ani w umyśle, ani też w wyobraźni. Przebywając w Chinach, odniósł obrażenia, których nie mogło usunąć zdrowe pożywienie, wypoczynek ani troskliwa opieka.

Dla nielicznych, którzy znali jego przeszłość, jasne było, że tylko częściowo zapłacił za swe egzorcyzmy. Opowiedział im szczerze o tej zapłacie. I o swojej klęsce. Zarówno oni, jak i on wiedzieli, że jeszcze przyjdzie mu uregulować ten dług.

Czekający cierpliwie wierzyiciel fascynował Michaela, był zawsze obecny w jego myślach. Któregoś dnia, pod koniec okresu okupacji, ksiądz i jego przyjaciel obserwowali amerykańskie bombowce, które — jak zaczarowane ptaki — sunęły pewnie pośród gradu pocisków przeciwlotniczych. Zrzuciły swój ładunek, po czym nienaruszone wracały nad horyzont. Kiedy tak wybuchały bomby i nowe pożary, Michael wymamrotal:

— Dlaczego śmierć najgłośniej huczy i najjaśniej płonie?

W kilka tygodni później stworzone przez człowieka światło, jaśniejsze od słońca, zaciążyło grzybem nad Hiroszimą. Nowy rekord ludzkości: nigdy dotąd jeden ludzki czyn nie pociągnął za sobą tylu ofiar, zabitych i rannych.

Dopiero po latach dowiedziałem się o Michaelu — i o owej cenie, jaką dzień po dniu, aż do chwili swej śmierci, płacił za klęskę poniesioną podczas tamtych dziwnych egzorcyzmów w Puh-Chi.

Małe vademecum egzorcyisty

Ogromny rozgłos, jaki zdobyła sobie ostatnio kwestia egzorcyzmów, wprowadził historie o opętanych do kanonu filmów grozy. Sedno zła zatraciło się pośród widowiskowych sekwencji. Egzorcyista, który, w istocie, podczas egzorcyzmów ryzykuje najwięcej, przemyka się przez ekran, jako element niezbędny, ale — w końcu — nie tak interesujący, jak efekty specjalne.

Prawda jest taka, że te trzy czynniki — opętany, zły duch i egzorcyista — są ściśle związane z rzeczywistością życia i jego sensem, takim, jakiego wszyscy codziennie doświadczamy.

Opętanie nie ma nic wspólnego z magią. Duch jest rzeczywisty; co więcej, duch jest podstawą wszelkiej rzeczywistości. „Rzeczywistość” bez ducha nie tylko byłaby nudna; nie miałyby żadnego sensu. Żaden horror nie zdołał dotąd uchwycić grozy takiej wizji: świata bez ducha.

Zły duch jest osobą i posiada inteligencję. Jest nadprzyrodzony w tym sensie, że nie pochodzi z tego świata materialnego, ale w tym świecie istnieje. Zły duch, podobnie jak dobry, śledzi nasze życie codzienne. Duchy, najzwyczajniej w świecie, wykorzystują nasze myśli, uczynki i zwyczaje i oddziałują na nie; wpływają na wszystkie nici tworzące osnowę i wątek naszego żywota, w każdym czasie i miejscu. Ta reguła obejmuje także współczesność.

Mimo iż duch jest w stanie manipulować elementami naszego życia i świata materialnego i nierzadko to robi na swój własny użytek, utożsamianie go z nimi jest fatalnym, ale dość powszechnym błędem. Duch może wywoływać niesamowite odgłosy — ale sam niesamowitym odgłosem nie jest. Przedmioty mogą unosić się w powietrzu, ale telekineza ma tyle samo z ducha, co materialny obiekt, któremu nadała ruch. Pewien człowiek, którego losy opisuję w tej książce, sądził inaczej i niemal zapłacił życiem, kiedy przyszło mu zmierzyć się z własnym błędem.

Centralną figurą wszystkich egzorcyzmów jest egzorcyista. Od niego wszystko zależy. Sam nic na tym nie zyskuje. Co więcej, ilekroć podejmuje się tego zadania, ryzykuje dosłownie wszystkim, co przedstawia dla niego jakąś wartość. Dzieje Michaela Stronga są skrajnym przykładem takiej sytuacji. Ale każ-

dy egzorcysta musi stawić czoła czystemu złu, stoczyć z nim pojedynkę, indywidualny i gorzki. Raz rozpoczętych egzorcyzmów nie można już przerwać. Zawsze musi być zwycięzca i pokonany. I, niezależnie od wyniku starcia, ów kontakt zawsze jest w jakiejś mierze fatalny dla egzorcysty. Musi on przystać na groźne i nieodwracalne zubożenie najgłębszej części swojej jaźni. Coś w nim umiera. Jakaś część jego człowieczeństwa nie wytrzymuje bezpośredniego zetknięcia z przeciwieństwem ludzkiej natury - esencją zła — i nader rzadko udaje się ją wskrzesić. I nic nie otrzymuje się w zamian za tę stratę.

To najmniejsza cena, jaką zapłacić musi egzorcysta. Jeżeli przegra pojedynek ze złym duchem, ucierpi znacznie więcej. Niezależnie od tego, czy będzie mógł nadal odprawiać egzorcyzmy, czy też nie, przyjdzie mu raz jeszcze stanąć do walki, by pokonać tego, który mu się niegdyś oparł.

Badanie, które w efekcie doprowadzić może do egzorcyzmów, zwykle rozpoczyna się w momencie, gdy ktoś — zazwyczaj mężczyzna lub kobieta, rzadziej dziecko — zwraca uwagę władz kościelnych, powiadomionych przez jego rodzinę lub przyjaciół. Nieczęsto zdarza się, by osoba opętana zgłaszała się z własnej woli.

Sprawy, o których mówi się przy takich okazjach, są dramatyczne i bolesne: zmiany fizyczne u opętanych, wyraźne zaburzenia umysłowe, jednoznaczny wstręt do wszystkiego, co wiąże się z religią — znaków, symboli, wypowiedzi, obiektów i miejsc kultu, ludzi i ceremonii.

Często zdarza się, że członkowie rodziny albo przyjaciele informują, iż w obecności danej osoby występują tak zwane fenomeny paranormalne: przedmioty unoszą się w powietrzu, tapety odlepiają się od ścian, meble trzeszczą, porcelana pęka, słychać stuki, syki i inne odgłosy płynące nie wiadomo skąd. Nierzadko też dochodzi do tego, że w pokoju, w którym przebywa osoba opętana, temperatura raptownie spada. Jeszcze częściej takiej osobie towarzyszy ostry, charakterystyczny odór.

Można odnieść wrażenie, iż gwałtowne transformacje fizyczne zmieniają życie opętanych w piekło. Normalne czynności wydalnicze potęgują się i przesycone są nienaturalną zgnilizną. Cera gwałtownie przybiera barwę sepilii, świadcząca o niedoborze krwi. Odruchy występują coraz rzadziej lub stają się nienormalne. Niekiedy całkowicie zanikają. Może również zanikać oddech, i to na dłuższy czas. Trudno jest wyczuć bicie serca.

Twarze bywają dziwnie zniekształcone, czasem nawet nienaturalnie napięte i gładkie, bez ani jednej zmarszczki.

Kiedy władze kościelne dowiadują się o takiej sprawie, pierwszym i najistotniejszym problemem jest to, czy ta osoba jest naprawdę opętana.

Henri Gesland, francuski kapłan i egzorcysta, pracujący obecnie w Paryżu, powiedział w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku, że na trzy tysiące konsultacji, jakie miały miejsce od roku sześćdziesiątego ósmego, „tylko cztery przypadki uważam za opętanie przez demona”. Dla odmiany, T. K. Osterreich utrzymuje, iż „opętanie to nadzwyczaj pospolity fenomen, a szereg dowodów na to można znaleźć w historii religii”. Rzecz w tym, że nigdy nie prowadzono ani urzędowej, ani naukowej statystyki takich przypadków.

Na pewno wielu z tych, którzy sami utrzymują, że zostali opętani lub są za takich uważani, to tylko ofiary chorób ciała albo umysłu. Dokumenty z czasów, gdy medycyna i psychologia były w powijakach lub w ogóle nie istniały, potwierdzają, że popełniano poważne błędy. Za opętanego uważano, na przykład, chorego na zwąpnienie rozsiane — z uwagi na spastyczne ruchy oraz bolesne uszkodzenia kręgosłupa i stawów. Do niedawna doskonałym kandydatem na „opętanego” był każdy z syndromem Tourette'a: potoki bluźnierstw i obelg, chrząkanie, warknięcia, przekleństwa, skowyt, parskanie, sapanie, tiki nerwowe, tupanie nogami, wykrzywiona twarz — wszystko to pojawiało się nagle i równie niespodziewanie znikło. Obecnie syndrom Tourette'a leczony jest farmakologicznie i traktowany jako choroba nerwowa, związana z zaburzeniami chemicznymi wewnątrz mózgu. Wielu ludzi cierpiących na tak dobrze znane dzisiaj choroby, jak paranoja, płasawica, dysleksja, choroba Parkinsona, a nawet pospolite choroby skórne (łuszczyca, opryszczka itp.), uznawano za „opętanych”, a przynajmniej „dotkniętych” przez Diabła.

W dzisiejszych czasach kompetentne władze kościelne kładą nacisk na gruntowne badanie osób, które mają być poddane egzorcyzmom; badanie przez lekarzy specjalistów, w tym — psychiatrów.

Kiedy kapłan zgłosi przypadek opętania władzom diecezji, wezwany zostaje diecezjalny egzorcysta. Jeżeli takiego nie ma, wyznacza się go lub sprowadza spoza diecezji.

Czasem kapłan, zgłaszający taki przypadek, musiał organizować wstępne badania — także psychiatryczne — żeby sprostać ostrożnemu sceptycyzmowi, z którym zapewne spotkałby

się, przedstawiając ów problem. Kiedy w tę sprawę włącza się oficjalny egzorcysta, on też, zazwyczaj, zarządza wnikliwe badania, opierając się na znanych sobie ekspertach, których sądom może ufać.

Dawniej w każdej diecezji Kościoła znajdował się kapłan, któremu powierzono obowiązki egzorcysty. W dzisiejszych czasach w części z nich porzucono tę praktykę, głównie dlatego, że w ciągu ostatniego stulecia zmalała liczba zgłaszanych opętani. Jednakże we wszystkich większych diecezjach nadal dba się o to, by był tam kapłan, pełniący tę rolę — choćby nawet nie musiał nigdy odprawiać egzorcyzmów. Niektórzy biskupi preferują prywatne umowy z wybranymi, zaufanymi księżmi.

Nie istnieje nic takiego, jak oficjalny etat egzorcysty. W niektórych diecezjach „biskup niewiele wie na ten temat i pragnie wiedzieć jeszcze mniej” — jak w jednym z opisanych w tej książce przypadków. Jednakże egzorcysta — niezależnie od sposobu, w jaki otrzymał tę funkcję — musi mieć oficjalne poparcie Kościoła, gdyż występuje jako jego pełnomocnik, a cała władza, jaką ma nad złym duchem, pochodzi wyłącznie od tych, którzy tworzą ciało Kościoła Jezusowego — obojętne, czy należą do wspólnoty rzymskokatolickiej, prawosławnej, czy protestanckiej. Zdarza się, że kapłan z jakiejś diecezji bierze na siebie przeprowadzenie egzorcyzmów nie uzgadniając tego wcześniej ze swym biskupem, jednakże wszystkie tego typu próby, o jakich słyszałem, zakończyły się klęską.

Zarówno podczas wstępnych badań, jak i samych egzorcyzmów zwykle można stwierdzić, że u osoby opętanej występują aberracje fizyczne i psychiczne, których nie można w żaden sposób wytłumaczyć. Ale testy medyczne i psychologiczne to nie wszystko. Mimo iż osiągnięcia parapsychologii są kruche i niejednoznaczne, w teoriach o telepatii i telekinezie można zapewne szukać wyjaśnienia pewnych objawów opętania. Jeszcze więcej powiedzieć mogą tak istotne dla współczesnych psychoterapeutów badania podatności na sugestie.

A jednak nawet diagnozy i opinie lekarzy i psychologów pozostawiają nierzadko spory margines dowolności. Kompetentni psychiatrzy wiodą gwałtowne spory, a w medycynie i naukach jej pokrewnych nieznaną przyczyną pewnych zjawisk zagłusza się fachowym żargonem i zalewem opisujących je terminów.

Mimo to, diagnozy lekarzy i psychologów poddawane są wnikliwej ocenie i zazwyczaj mają ogromne znaczenie podczas

ostatecznego rozstrzygnięcia kwestii ewentualnych egzorcyzmów. Jeżeli stwierdzają, iż zaobserwowane u badanego symptomy odpowiadają jakiejś określonej chorobie, rezygnuje się z odprawienia egzorcyzmów albo odkłada się je do czasu zakończenia kuracji.

Na koniec, dysponując już diagnozą i kompletnym materiałem dowodowym, władze kościelne oceniają sytuację pod kolejnym — niejako zawodowym — kątem.

Wierzą, że istnieje niewidzialna potęga, duch zła, że ten duch może, z niejasnych powodów, opanować istotę ludzką, że można go zmusić — za pomocą egzorcyzmów — do opuszczenia osoby opętanej i że dokonać tego można jedynie w imię Jezusa z Nazaretu, dzięki jego władzy oraz mocy. Badanie z punktu widzenia Kościoła jest równie rygorystyczne, jak te, które przeprowadzili wcześniej lekarze i psychologowie.

W zapisach dotyczących chrześcijańskich egzorcyzmów, poczynając od czasów Jezusa, osoby opętane zawsze i bez wyjątku czują szczególny wstręt do symboli i prawd religijnych. Władze kościelne, weryfikując przypadek opętania, łączą ten symptom z ewentualnym występowaniem fenomenów fizycznych, często towarzyszących opętaniu — niewytłumaczalnego odoru; znacznego obniżenia temperatury; telepatycznego wnikanania w sprawy natury czysto religijnej i moralnej; nienaturalnego, całkowicie eliminującego zmarszczki napięcia skóry; dziwnego wykrzywienia twarzy, a także innych zmian fizycznych; niezwykłego zachowania; „opętańczej grawitacji” (osoby opętanej nie można ruszyć z miejsca, ludzie zebrani wokół niej poddani są dławiacemu przeciążeniu); lewitacji (opętany swobodnie unosi się nad ziemią, krzesłem albo łóżkiem); samostnego trzaskania mebli i drzwi, prucia tkanin itd.

Jeżeli po zestawieniu wszelkich występujących w danej sprawie symptomów, okazuje się, że medycyna i psychologia nie są w stanie zapewnić satysfakcjonującego wyjaśnienia, zazwyczaj zapada decyzja o odwołaniu się do egzorcyzmów.

O ile wiem, nigdy nie powstał żaden urzędowy spis egzorcystów, obejmujący ich biogramy i charakterystyki, toteż nie jesteśmy w stanie nakreślić sylwetki „typowego egzorcysty”. Możemy jednak dość wiernie określić typ człowieka, któremu powierza się uwolnienie opętanego od złego ducha. Zwykle jest on aktywnie zaangażowany w pracę na rzecz parafii. Rzadko bywa on uczniem lub katechetą. Rzadko też jest kapłanem tuż po święceniach. Jeżeli można określić średnią wieku egzorcysty-

stów, mieści się ona w granicach pięćdziesięciu i sześćdziesięciu pięciu lat. Takiego człowieka nie musi cechować dobra kondycja fizyczna ani niezwykły intelekt, ani też dyplomy z psychologii i filozofii, nie jest również konieczna wysoka kultura osobista. Piętnastu egzorcystom, których miałem okazję poznać, brakowało zwłaszcza żywej wyobraźni i głębokiej wiedzy z zakresu nauk humanistycznych. Wszyscy byli wrażliwymi ludźmi, stojącymi dość twardo na ziemi. Mimo iż jest oczywiście, wiele wyjątków, głównymi czynnikami, o nadaniu kapłanowi funkcji egzorcysty są jego kwalifikacje moralne, sposób bycia i wiara — cechy nie tyle wyuczone lub wypracowane, co naturalnie przyrodzone takiemu człowiekowi. Mówiąc językiem religii, są to cechy związane ze szczególną łaską.

Odprawiania egzorcyzmów nie można nauczyć się na kursach. Radzi się powszechnie — choć nie zawsze jest to możliwe albo praktyczne — żeby kapłan, przed podjęciem się takiego zadania, asystował przy egzorcyzmach starszemu i mającemu już pewne doświadczenie księdzu.

Jeżeli weryfikacja potwierdzi, iż miało miejsce opętanie, egzorcysta sam podejmuje dalsze decyzje i dokonuje wszelkich niezbędnych przygotowań. W niektórych diecezjach do niego należy też wybór asystującego kapłana. Zawsze sam wyznacza pomocników spoza kleru, a także czas i miejsce egzorcyzmów.

Miejscem tym jest zazwyczaj dom osoby opętanej, gdyż przeważnie tylko krewni i najbliżsi przyjaciele są w stanie dać jej troskę i miłość w tak niepokojących okolicznościach. Najczęściej wybiera się pokój, który ma specjalne znaczenie dla tej osoby, nierzadko jej sypialnię lub ulubiony kącik. Widać tu wyraźnie pewien aspekt opętania i działania ducha: ścisły związek pomiędzy *duchem* i *miejscem*. Problem ducha i miejsca przejawia się na wiele różnych sposobów i występuje podczas wszystkich egzorcyzmów. Teologowie opracowali wyjaśnienie tej zagadki. Trzeba jednak uznać za fakt, że te dwa czynniki są ze sobą związane.

Wybrany pokój należy maksymalnie oczyścić ze wszystkiego, co można poruszyć. Jedną z form agresji występujących podczas odprawiania egzorcyzmów, i to bardzo często spotykaną, jest wprawianie w ruch przedmiotów, zarówno lekkich, jak i ciężkich, kołysanie nimi, rozrzucanie albo ciskanie ich po pokoju, tak, aby wywołać hałas, względnie trafić nimi kapłana, opętanego lub asystentów. Nierzadko ludzie uczestniczący w egzorcyzmach odnoszą poważne rany. Należy więc usunąć

wszystkie dywany, chodniki, obrazy, zasłony, stoły, krzesła, skrzynie, kufry, pościel, biurka i świeczniki.

Często zdarza się też, że drzwi same zatrząskują się i otwierają, ale wtedy nie można ich zabić ani zabezpieczyć, gdyż egzorcyzmy mogą trwać wiele dni. Trzeba je jednak zakryć, ponieważ praktyka dowodzi, iż energia fizyczna, mająca swe źródło w pokoju opętanego, błyskawicznie wpływa na ich najbliższe otoczenie.

Okna są dokładnie zamknięte; czasem należy je zabić deskami, żeby uniemożliwić latającym przedmiotom ich wybicie i zapobiec poważniejszym wypadkom (opętani niekiedy próbują przez nie wyskoczyć; energia fizyczna może pchać ku nim egzorcystę lub jego asystentów).

Łóżko albo kozetkę przeważnie zostawia się w pokoju (albo wstawia tam, jeżeli zachodzi taka konieczność) i tam właśnie kładzie się opętanego. Potrzebny jest także niewielki stoliczek. Na nim umieszcza się krucyfiks — otoczony ze wszystkich stron świecami — wodę święconą i modlitewnik. Czasem dochodzi do tego relikwia lub obrazek uważany za szczególnie święty albo bardzo istotny dla opętanego. Ostatnio, tak w Stanach Zjednoczonych, jak i za granicą, coraz częściej używa się również magnetofonu. Umieszcza się go na podłodze, w szufladzie albo — jeśli nie jest zbyt nieporęczny — wieszka asystentowi na szyi.

Młodsze kapłana, asystującego egzorcystę, wybierają zwykle władze diecezji. Przechodzi on w ten sposób swoje szkolenie. Rejestruje słowa i działanie egzorcysty, zwraca mu uwagę na popełnione błędy, pomaga w chwili słabości, a nawet zastępuje, jeśli tamten umrze, zemdleje lub ucieknie, względnie jeśli jego siły — fizyczne lub psychiczne — znajdą się na wyczerpaniu. Wszystko to zdarzało się już podczas egzorcyzmów.

Pozostali pomocnicy są wybierani spoza kleru. Bardzo często znajduje się pośród nich lekarz, jako że wszyscy uczestnicy egzorcyzmów narażeni są na przemęczenie, szok i obrażenia fizyczne. Liczba tych asystentów zależy od tego, jak silnego oporu spodziewa się egzorcysta. Przeważnie jest ich czterech. Oczywiście, na zapadłej wsi albo na odległych placówkach misyjnych, a czasem nawet w wielkich ośrodkach miejskich, może być trudno o pomocników. Żadnego z nich nie ma pod ręką, brakuje też czasu na ich zwerbowanie. Egzorcysta musi iść sam.

Doświadczenie uczy go, jak gwałtownych ataków może się spodziewać i, że opętanych, dla ich własnego dobra, należy niekiedy obezwładniać siłą. Dlatego też pomocnicy muszą być

dość krzepcy. Co więcej, przydatny bywa także kaftan bezpieczeństwa, choć częściej używa się skórzanych pasów albo sznurów.

Kapłan musi upewnić się, że jego pomocnicy nie są w okresie egzorcyzmów, obciążeni świadomie popełnionymi grzechami, gdyż ich także może atakować zły duch, choć nie tak bezpośrednio i nieustannie, jak egzorcystę. Każdego ich grzechu użyje jako broni.

Egzorcysta musi również nabrać pewności, że jego asystentów nie osłabi ani nie pozbawi całkiem sił obsceniczne zachowanie albo niewyobrażalnie plugawy język. Nie mogą blednąć na widok krwi, ekskrementów i uryny; muszą umieć znieść najobrzydliwsze obelgi i publiczne wyrzaskiwanie ich najwstydlivszych sekretów. Zawsze się tak dzieje podczas egzorcyzmów.

Pomocnikom należy przekazać trzy zasadnicze reguły: muszą wykonywać natychmiast i bez oporów wszystkie polecenia egzorcysty, choćby wydawały im się absurdalne i nieludzkie; nie mogą samowolnie podejmować żadnych działań; nie wolno im też pod żadnym pozorem rozmawiać z opętanym.

Jednakże nawet najprzezorniejszy egzorcysta nie jest w stanie przygotować swych pomocników na wszystko, co może ich czekać. Mimo iż zły duch nie atakuje ich tak intensywnie i bezpośrednio, jak kapłana, nierzadko zdarza się, że wycofują się — albo są wynoszeni — w trakcie odprawiania egzorcyzmów. Doświadczony egzorcysta często decyduje się nawet na kilka próbnych podejść do tego zadania, w myśl zasady głoszącej, że przeczorny jest zawsze ubezpieczony — przynajmniej do pewnego stopnia.

Czas trwania egzorcyzmów narzucają zwykle okoliczności. Przeważnie dąży się do tego, by zaczynać je najwcześniej, jak to tylko możliwe. Wszyscy, którzy się w nie angażują, powinni swobodnie dysponować swym czasem. Egzorcyzmy trwające krócej niż kilka godzin należą do rzadkości — częściej zajmuje to dziesięć do dwunastu godzin. Bywa, że trwają dwa lub trzy dni. Sporadycznie — nawet kilka tygodni.

Kiedy już się zaczyna, tylko coś naprawdę wyjątkowego może spowodować, że zostaną przerwane, chociaż obecni w pokoju mogą go opuszczać pojedynczo na kilka chwil, by przynieść coś do jedzenia, nieco odpocząć lub pójść do łazienki. (W tej książce opisany jest pewien nietypowy przypadek, kiedy zaistniała taka zwłoka. Zaangażowany weń kapłan wolałby sto

razy odprawiać klasyczne egzorcyzmy, niż mierzyć się z szaloną agresją, która spowodowała tę przerwę.)

Tylko egzorcysta i asystujący mu ksiądz muszą przywdziawać na czas egzorcyzmów rytualne ubiory. Obaj mają na sobie długie czarne sutanny, sięgające aż do stóp. Zakładają na nie długie do pasa, białe komże. Na szyjach mają wąskie fioletowe stuły, których końce zwieszają się luźno, sięgając aż do pasa.

Zazwyczaj, asystujący ksiądz i pozostali pomocnicy przygotowują pokój, kierując się wskazówkami przekazanymi im przez egzorcystę. Towarzysząc osobie opętanej, czekają potem na głównego kapłana, który zawsze przychodzi na końcu, samotnie.

Nie istnieje żaden leksykon egzorcyzmów; nie ma podręcznika, ani zestawu reguł, ani też kompendium wiedzy o złym duchu, którymi można by się kierować. Kościół opracował wprawdzie oficjalny tekst egzorcyzmów, ale to zaledwie kanwa działania. Całość można przeczytać na głos w dwadzieścia minut. Zapewnia on jedynie dokładną formułę, uzupełnioną o pewne modlitwy i rytuały, tak by egzorcysta dysponował pewnym wzorcem, którego powinien przestrzegać, zwracając się do złego ducha. W praktyce, podczas całego procesu bardzo dużo zależy od kapłana.

A jednak wszyscy egzorcysty, z którymi rozmawiałem, przyznają, iż egzorcyzmy, niezależnie od czasu ich trwania, przebiegają według pewnego powtarzającego się schematu.

Jeden z najbardziej doświadczonych egzorcystów, jakich znałem, nauczyciel bohatera pierwszego z opisanych w tej książce przypadków, nadał nazwy poszczególnym stadiom egzorcyzmów. Nazwy te oddają ogólny sens, skutki zdarzeń albo intencje ich uczestników, nie odzwierciedlają jednak specyficznych metod, jakimi posługują się zły duch i egzorcysta. Ów kapłan, którego nazwałem Conor, wyliczył następujące etapy: *Obecność*, *Pozór*, *Przełom*, *Głos*, *Starcie* i *Wygnanie*. Stadia, które kryją się pod tymi nazwami, występują w dziewięciu przypadkach na dziesięć.

Od wejścia egzorcysty atmosfera w pokoju wyraźnie się zmienia. Jeżeli w grę wchodzi prawdziwe opętanie, od tego momentu aż do końca egzorcyzmów wszyscy, którzy się tam znajdują, mają poczucie *Obecności* jakiejś obcej istoty. Ta niewątpliwa oznaka działania złego ducha jest równie niewytłumaczalna i jednoznaczna, co nieunikniona. Wszystkie znaki świadczące o opętaniu, zarówno te jaskrawe i groteskowe, jak również te subtelne i wątpliwe, błędną wobec tej *Obecności*.

Nie sposób udowodnić jej istnienia, ale wszyscy ją wyczuwają. Żeby to pojąć, trzeba jej doświadczyć; nie można jej nigdzie umiejscowić — ani we wnętrzu opętanego, ani nad nim, ani też obok niego. Nie kryje się w kącie ani pod łóżkiem, nie wisi w powietrzu.

Owa *Obecność* nie kojarzy się z żadnym określonym miejscem i to jeszcze potęguje grozę. To coś najzupełniej obcego. Nie „on” ani „ona”, ani też „ono”. Czasami wydaje się, że obecna jest jedna istota, kiedy indziej — że wiele. Kiedy się odzywa, raz mówi o sobie „ja”; innym razem: „my”; używa słów „moje” i „nasze”.

Obecność — niewidzialna i nieuchwytna — atakuje człowieczeństwo znajdujących się w pokoju ludzi. Można zdobyć się na logiczne myślenie i wyrzucić z siebie wszelkie wyobrażenia o niej; można sobie powiedzieć: „To tylko wyobrażenia. Ostrożnie! Bez paniki!” I może nawet przyjdzie chwila ulgi. Ale potem, po kilkusekundowej przerwie, *Obecność* powraca jako bezgłośny syk we wnętrzu mózgu, jako nie wyartykułowana groźba wymierzona w twą jaźń. Wydaje się, że jest groźbą samą w sobie, intensywnie dążącą do zguby, nienawidzącą dla samej nienawiści i łaknącą zniszczenia.

Podczas wczesnych stadiów egzorcyzmów zły duch robi wszystko, aby ukryć się za opętanym, innymi słowy, aby wydać się tą samą osobą i osobowością, co jego ofiara. To jest właśnie *Pozór*.

Pierwszym zadaniem kapłana jest zburzenie tych pozorów, zmuszenie ducha, by objawił się otwarcie jako istota odrębna od opętanego — i żeby podał swe imię, jako że wszystkie zawłaszczające duchy przybierają imiona, które zazwyczaj (choć nie zawsze) związane są ze sposobem, w jaki wpływają na swoje ofiary.

Kiedy egzorcysta przystępuje do tego zadania, zły duch może milczeć albo przemawiać głosem opętanego, odwołując się do jego dawniejszych doświadczeń i wspomnień. Często robi to zręcznie, posługując się szczegółami, których nie zna nikt poza jego ofiarą. To rozbija, a nawet budzi litość. Czasem sprawia, że wszyscy, nie wyłączając samego egzorcysty, czują, że to on, kapłan, jest prawdziwym katem, poddającym niewinnego człowieka morderczym rygorom. Kamuflaż ten wykorzystuje nawet maniery i charakterystyczne cechy opętanego.

Bywa, że egzorcysta całymi dniami nie może przełamać bariery *Pozoru*. Ale dopóki tego nie zrobi, nie może posunąć się

dalej. Jeżeli nie zdoła jej strzaskać, przegrał. Może powiedzie się jego następcy. On jednak został pobity.

Każdy egzorcysta podczas fazy *Pozoru* dowiaduje się, że ma do czynienia z mocą, która bywa zarówno nadzwyczaj przemyślna, jak i wybitnie inteligentna, to znów popelniająca rażące błędy (co prowokuje do dalszego rozważania kwestii jej zbiorowej tożsamości), zarazem wysoce niebezpieczna i straszliwie podatna na ciosy.

Co najdziwniejsze, ów duch — czy też moc — zna szereg najbardziej osobistych i intymnych sekretów wszystkich osób znajdujących się w pokoju, a jednocześnie wykazuje znaczne braki orientacji w tym, co dzieje się na bieżąco.

Kapłan nie może się upajać drobnymi zwycięstwami ani stawiać na domniemaną głupotę przeciwnika. Musi być gotów na to, że wszystkie jego grzechy, błędy i słabości zawrócą mu w głowie albo zostaną ujawnione pełnym głosem. Nie może kajać się za swą przeszłość ani burzyć się, kiedy jego najpiękniejsze wspomnienia są wzgardliwie wytykane i oblepiane najwstrętniejszym brudem; nie może dać się odwieść od naczelnego celu, jakim jest uwolnienie osoby opętanej. Za wszelką cenę, musi unikać wdawania się w pyskówki lub spory logiczne z opętanym. Takie pokusy zdarzają się częściej, niż się wydaje, i są, w istocie, potencjalnie fatalną pułapką, która może nie tylko uniemożliwić egzorcyzmy, ale i dosłownie zdruzgotać egzorcystę.

Dlatego też, kiedy *Pozory* przyskają, opętany zaczyna zachowywać się coraz gwałtowniej i ohydniej. Otwiera się coś w rodzaju niewidzialnego luku, z którego sypie się niemożliwa do zaakceptowania przez człowieka, beznamiętna agresja. To nicokielżnany strumień plugawych obelg, któremu nierzadko towarzyszą wybuchy furii, rzucanie się, zgrzytanie zębami, miotanie się po pokoju, a nawet próby fizycznej napaści na egzorcystę.

Zaczyna się wówczas nowy etap walki — *Przełom*, który rzuca przeciwko egzorcyście jedno z najtrudniejszych do zniesienia zagrożeń: chaos. Całkowity i przerażający chaos. Rzadko zdarza się, by egzorcysta choć na moment temu nie uległ, uwikłany w pomieszanie wszystkich zmysłów.

Wydaje mu się, że jego uszy *czują* plugawe słowa. Wydaje się mu, że jego oczy *słyszą* agresywne dźwięki i obelżywe wrzaski. Wydaje mu się, że jego nos wyczuwa *smak* przeraźliwej kakofonii. Zmysły odbierają nie to, co powinny odbierać. Nerwy i ścięgna napinają się; uczestnicy i świadkowie tych zdarzeń

walczą, by się nie poddać. Chwilami wpadają w popłoch — boją się, że nieodwracalnie pogrążają się w obłądzenie. Ten narastający atak chaosu dotyka ich wszystkich. Jednakże to egzorcysta usiłuje okiełznać tę burzę i dlatego on jest głównym celem ataku.

Do *Przełomu* dochodzi w momencie, w którym pryska *Pozór*. Duch nie posługuje się już głosem opętanego, choć z ust ofiary może się wydobywać nowy, obcy głos. Tak było w przypadku Thomasa Wu; to właśnie zaskoczyło kapitana. Dźwięk, który wówczas powstaje, często w niczym nie przypomina ludzkiego głosu.

Podczas *Przełomu* duch po raz pierwszy mówi o opętanym jako o odrębnej istocie. Po raz pierwszy występuje we własnym imieniu, mówiąc na przemian „ja” albo „my”, „nasz” albo „mój”.

O dojściu do *Przełomu* częstokroć świadczy też pojawienie się tego, co ojciec Conor nazwał *Glosem*.

Głos to chaotyczny, męczący bełkot. Pierwsze sylaby wydają się być początkiem jakiegoś słowa, wymawianego powoli i tubalnie — jakby w zwolnionym tempie. Próbujeś wyłowić sens tego słowa i opada cię zimny strach — pojmujesz, że to nie jest głos człowieka. Ale już jesteś zdekoncentrowany i ogłuszony nagłym natłokiem dźwięków, kąśliwych ech, szeptów, śmiechów, parsknięć i jęków, powtarzających każdą zgłoskę. Biją cię po uszach, a ów nieludzki głos niespiesznie przechodzi do następnej sylaby, którą również usiłujesz wychwycić, zastanawiając się wciąż nad pierwszą. I znów dźwięczą kłujące pogłosy, a przeciwnik wypowiada trzecią sylabę...

Jeżeli egzorcyzmy mają być kontynuowane, należy uciszyć *Głos*. To wymaga od egzorcysty ogromnego wysiłku woli. Kapłan musi zapanować nad sobą i zażądać od złego ducha, by umilkł, a potem czytelnie podał swoje imię.

Jak wszystko, co wiąże się z wypędzeniem Złego, i to wyzwanie kapłan rzuca z własnej woli, ale w imię Jezusa i Jego Kościoła. Ten, kto czyni to w swoim własnym imieniu albo powołuje się na swoją moc, prowokuje swą własną klęskę. Zwykła ludzka siła, przez nikogo nie wspierana, nie zdoła sprostać nadprzyrodzonej. (Należy pamiętać, że to, co nazywamy tu siłą nadprzyrodzoną, nie ma nic wspólnego z tzw. „poltergeistem”).

Zazwyczaj w tym momencie i w chwili, gdy *Głos* zamiera, egzorcysta czuje ogromny napór jakiejś zagadkowej mocy. Po raz pierwszy staje o krok od osobistego i czołowego zderzenia z „wolą Królestwa”, o krok od *Starcia*.

Wszyscy z własnego doświadczenia wiemy, że pojedynkowi woli zawsze towarzyszy odczuwalny, intuicyjny kontakt. To dwukierunkowe połączenie, rozmowa bez słów. *Starcie* jest sercem tego specyficznego, przerażającego połączenia, jądrem tego szczególnego pojedynku egzorcysty ze złym duchem.

Mimo iż będzie to bolesne, kapłan musi dążyć do *Starcia*. Musi je sprowokować. Jeśli nie może przeciwstawić swej woli złej istocie, zmuszając ją do tego samego, przegrywa.

Sens tej rozgrywki pomiędzy egzorcystą i zachłannym duchem jest prosty. Czy totalnie obca, wroga człowiekowi siła zwycięży? Czy przerwie, hałaśliwa i bezlitosna, kruchą barierę, dzielącą ją od samotnego egzorcysty i zagarnie go? A może — protestując i opierając się przymusowi, silniejszemu od jego usztywnionej woli — zatrzyma się, poda swe imię, cofnie się, odstąpi i zniknie, ulotni się z powrotem do zagadkowej otchłani, której nie chciałby zgłębić żaden człowiek? Jeśli egzorcysta zaszedł tak daleko, to pomimo wszelkich nacisków i najstraszliwszego bólu musi iść na całego. Zdobył przewagę. Zmusił złego ducha do podniesienia przyłbicy. Jeśli do tej pory nie udało mu się poznać imienia tamtego, teraz musi tego dokonać. Później zaś, zdaniem części egzorcystów, musi wydobyć od niego jak najwięcej informacji. Jak wynika z obserwacji, im więcej zły duch zmuszony będzie ujawnić podczas *Starcia* i tuż po nim, tym pewniejsze i łatwiejsze będzie *Wygnanie*, kiedy nadejdzie właściwy moment. Zapewne to przymuszenie ducha do jak najpełniejszego wyjawienia swej tożsamości jest świadectwem dominacji woli kapłana nad wolą jego przeciwnika.

Wiele pytań budzi kwestia agresji wyzwalającej się podczas egzorcyzmów — owych zmagania fizycznych i psychicznych, które mogą nawet prowadzić do śmierci. Dlaczego duch tak walczy? Czemu nie odejdzie i nie przeniesie się cichcem w jakieś inne miejsce albo do kogoś innego? Wszak wygląda na to, że i on nie wychodzi z tych zmagania bez szwanku?

W dziejach egzorcyzmów, raz po raz, pojawia się intrygujący problem związku *ducha z miejscem* — zagadkowa sprawa o której już wspomniałem, opisując przygotowanie pokoju. Duchy nieczyste, wypędzane przez Jezusa, niepokoiły się o to, dokąd trafią. We wszelkich zapisach, podobnie jak w kilku egzorcyzmach przywoływanych w tej książce, zachłanne duchy popadają w rozpacz: „Dokąd pójdziemy?”, „My także musimy mieć nasz dom.”, „Nawet Pomazaniec dopuścił nas do świń.”, „Stąd... musimy już odejść.”

Kiedy zły duch zdomowi się u kogoś, niechętnie rezygnuje z tego miejsca. Zanim ustąpi, walczy na wszelkie sposoby, zwodzi, grozi nawet zabiciem swego „gospodarza”. To, jak gwałtowne będą te zmagania, zależy prawdopodobnie od wielu czynników. Można wyróżnić dwa z nich: inteligencję ducha i stopień, w jakim opętał on swą ofiarę.

Niezależnie od owych czynników, jeżeli egzorcysta zmusi przeciwnika do ujawnienia się i wytrzyma pierwsze chwile *Starcia*, po czym, zgodnie z liturgią, potępi go i wezwie do odejścia, z miejsca spotka się z nader pokretnym oporem i otwartą agresją, rezygnującą z wszelkich subtelności.

W tym momencie osoba opętana pojmuje już w jakiś sposób, co w nią wstąpiło. Nierzadko staje się polem bitwy trwającej aż do końca egzorcyzmów, znosząc niepojęte wprost kary i ogromne napięcie.

Niekiedy egzorcysta ma szansę zwrócić się bezpośrednio do opętanego — zachęcić go, by użył tej części własnej woli, której nie opanował jeszcze duch — i włączył się do walki przeciwko tamtemu. Żadne zwierzę przyciśnięte do ziemi nie broni się tak przed wyssaniem jego krwi przez żarłocznego i silniejszego okrutnika, jak człowiek w takiej chwili. Chorobliwy wygląd i nienaturalne zachowanie opętanego w takich chwilach uznaje się za objaw jego dążności do wyzwolenia się, desperacką oznakę wewnętrznej walki, dowód na to, że tym razem się zbuntował.

To, co go opętało, protestuje przeciwko oporowi swej ofiary i perspektywie wygnania, ale zmuszone jest się odstąpić. Opętany miota się gwałtownie, a wygląd jego ulega tak potwornym zmianom, że nie sposób pojąć, jak ów człowiek może to wytrzymać.

Egzorcysta również wszystkie swe siły rzuca do ataku. Zły duch, czując się zagrożony, przywołuje na pomoc wyższą inteligencję i próbuje zwabić kapłana na pole zaminowane sytuacjami, z których nie wywikła się żaden człowiek.

Zmęczenie oraz najmniejsze nawet wątpliwości natury religijnej, z którymi egzorcysta zwykle sobie radzi, mogą sprawić, że jego umysł oślepi nagle straszliwe światło, którego nie będzie umiał stłumić — światło, które spali korzenie jego zdrowego rozsądku i zmieni go w najusłużniejszego z niewolników, desperacko pragnącego uwolnić się od życia doczesnego.

To tylko niektóre z pułapek i niebezpieczeństw grożących każdemu egzorcyście. Kapłan musi znosić wszelkie rodzaje bólu. Musi pokonać coś, co jest niesamowite, ale nie pociągające,

coś inteligentnego, ale patrzącego krzywo, istotę, która wydaje się być odwrócona do góry nogami i wywrócona na lewą stronę, i to nieprzypadkowo. To wszystko wygląda na koszmarny sen, nie jest nim jednak i nie pozwala na zbawienne przebudzenie.

Jest atakowany przez odór, tak straszliwy, że wielu egzorcystów, nie panując nad sobą wymiotuje. Ciało jego znosi dotkliwy ból, a dusza cierpi prawdziwe katusze. Aż nadto dobitnie uzmysławia sobie, że dotyka czegoś absolutnie nieczystego, totalnie nieludzkiego.

To, co sensowne, może nagle zamienić się w nonsens. Bez nadzieja jawi się jako jedyna nadzieja. Śmierć, okrucieństwo i wzgarda są oczywistością. Wszystko, co kształtne lub piękne, staje się iluzją. Wydaje się, że w człowieczym świecie nic nigdy nie było na swoim miejscu. Atmosfera, która otacza egzorcystę, przypomina dom wariatów spotęgowany do granic absurdu.

Jeżeli — pomimo tego, że jego emocjami, wyobraźnią i ciałem zawładnął straszliwy ból — wola egzorcysty nie ugnie się podczas *Starcia*, zbliża się on do ostatecznego spełnienia swej roli autoryzowanego przedstawiciela Jezusa. Nie powołując się na swą moc i nie czerpiąc z tego żadnych przywilejów, po raz ostatni wzywa złego ducha, by ustąpił, uwolnił opętanego i oddalił się.

I tak się dzieje, jeśli egzorcyzmy odniosły skutek. Opętany wraca do siebie. Wszyscy obecni w pokoju czują, że coś się zmienia. Nagle zupełnie znika wrażenie czyjejś *Obecności*. Czasem słychać jeszcze oddalające się głosy albo inne dźwięki, czasem panuje martwa cisza. Uwolniony od złego ducha może być u kresu sił, może też budzić się, jak z jakiegoś koszmarnego snu albo omdlenia. Czasem pamięta wszystko, przez co przeszedł, czasem nie pamięta nic.

Inaczej egzorcyści; ci nie rozstają się całkiem ze swą przerażającą pracą. Noszą w sobie dokuczliwe pytania i gorzkie konflikty, którymi nie mogą podzielić się z rodziną, przyjaciółmi, zwierznikiem albo terapeutą. Ich osobiste obrażenia znajdują się poza zasięgiem kojących słów, tkwią tam, gdzie nie dotrze żadna pocieszająca myśl. Egzorcyści swoje cierpienia dzielą tylko z Bogiem. Ale i to nie przychodzi im łatwo. Dzielą je poprzez wiarę, a nie bezpośrednią rozmowę.

Ale tylko w ten sposób ci ludzie, na pozór zwyczajni i pospolici, są w stanie przetrwać dni cichego strachu i noce bez snu, lata strawione na wyczekiwaniu, którymi płacą za sukces i które nieustannie przypominają im o tym, że niegdyś jakaś istota

ludzka wróciła do siebie, gdyż z własnej woli zdecydowali się stawić czoła uosobieniu nienawiści.

Pięć przypadków, które opisałem w dalszej części książki, wydarzyło się naprawdę. Dzieje uwikłanych w nie ludzi opowiadam w oparciu o wyczerpujące wywiady z nimi samymi, ich przyjaciółmi i krewnymi, a także wieloma innymi osobami, bezpośrednio lub pośrednio zaangażowanymi w te wydarzenia. Wiarygodność każdego z tych wywiadów została szczegółowo sprawdzona, o ile tylko było to możliwe. Przebieg egzorcyzmów odtworzony jest na podstawie taśm magnetofonowych i opartych na nich zapisów. Z zasadniczych powodów został zrelacjonowany pokrótce: żadne z tych egzorcyzmów nie trwały krócej niż dwanaście godzin.

Te pięć przypadków wybrałem z daleko większej liczby znanych mi i dostępnych, gdyż są one, razem i z osobna, dramatycznym odzwierciedleniem sposobu, w jaki uosobione i inteligentne zło chytrze wykorzystuje bieżące kaprysy i mody, wnika w krąg codziennych zainteresowań zwyczajnych ludzi. Żaden czternasto-, piętnasto- czy szesnastowieczny przypadek, przepojony dość romantyczną atmosferą, nie wyraziłby tego w należyty sposób. Wprost przeciwnie, bez trudu moglibyśmy potraktować takie opowieści jak bajki wymyślone po to, by wyrazić lęki lub mrzonki „prymitywniejszych” ludzi z „mniej wyrafinowanych” czasów.

W każdym z przedstawionych tu przypadków występuje, jako istotny element, jakiś dobrze nam znany problem czy pogląd. U opętanego rozrasta się on do przerażających granic.

W pierwszej relacji, zatytułowanej „Przyjaciół Zio i Uśmiechnięty”, sugeruje się, że nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy dobrem a złem, a nawet pomiędzy istnieniem a nieistnieniem; że wszystkie wartości zależą tylko od indywidualnych preferencji człowieka.

W przypadku „Ojca Gnata i pana Pewniaka kuszącą ideą, podchwyconą przez złego ducha, było to, że wszystkie tajemnice można wyjaśnić w sposób „naturalny” (tzn. racjonalny, naukowy lub wymierny), a zatem nie istnieje nic, czego człowiek nie mógłby zrozumieć, nie ma też żadnych prawd, które nie byłyby dostępne dla ludzkiego umysłu.

W „Dziewicy i Dziewkorobie” walka skupiła się na pewnych wielkich, głębokich i tajemniczych „darach” naszej natury i układów społecznych — w tym przypadku, na kwestii płci i ludzkiej miłości. Prowadzący tę sprawę kapłan na kilka

miesiący przed swą śmiercią, podczas jednej z najważniejszych rozmów w moim życiu, powiedział: „Ptak nie dlatego lata, że ma skrzydła. On ma skrzydła, dlatego że lata”. Wierzę, że niewiązanie tej tajemniczej prawdy ze sprawą naszej płci i seksualności grozi nieobliczalnymi konsekwencjami.

„Wujek Ponto i Grzybiarz” przynosi nam przykład tego, co może być udziałem wielu członków naszego społeczeństwa — mimo iż ani oni, ani otaczający ich ludzie, nie dostrzegają tego stanu rzeczy. Rzecz w tym, że upowszechnił się dziś pewien indywidualizm, czysto personalistyczne interpretowanie ludzkiego życia, dalece wykraczające poza to, co zwykliśmy nazywać samolubstwem i egotyzmem. Tą drogą tysiące ludzi wpadają w pułapkę anormalnego, obsesyjnego zachowania, wiodącą tylko ku destrukcji.

W „Kogucie i Żółwiu” występuje fatalne (niemal dosłownie — fatalne) utożsamienie ducha z psychiką, pomieszanie pojęć dotyczących tych naszych sfer i przymiotów, które same w sobie są wymierne, ale najpełniej pozwalają objawić się duchowi. Gdyby wszystko, co bierze się w nas z ducha, było jedynie tworem ludzkiej psychiki i nie miało głębszego znaczenia, miłość sprowadziłaby się tylko do interakcji chemicznej, a jej sens zostałby zabity.

We wszystkich przypadkach jedną z podstawowych cech opętania jest pomieszanie pojęć. Seks mylony jest z płciowością. Duch utożsamiany jest z psychiką. Wartości moralne — z brakiem wszelkich wartości. Tajemnica mylona jest z nieprawdą. I zawsze znajduje się logiczny argument, który nic nie wyjaśnia, a tylko wciąga w pułapkę, rodzi dezorientację i ją karmi, czyniąc z niej podstawowe narzędzie walki z egzorcystą. Jak się zdaje, pomieszanie pojęć to główna broń zła.

Wiele jeszcze można powiedzieć na temat istoty opętania. Nie wszystko można zawrzeć w jednym tomie. Ale opętanie i egzorcyzmy mają głębokie znaczenie, którego nie można sprowadzić do kategorii niesamowitych, przerażających opowieści. To elementy rzeczywistości, która przenika codzienne życie zwyczajnych ludzi. Żadne studium przypadków opętania i egzorcyzmów, zgodne z optyką Kościoła, nie byłoby adekwatne bez skrótowego choćby scharakteryzowania — z punktu widzenia chrześcijaństwa — tej rzeczywistości: tego, co niesie ze sobą opętanie, i sposobu, w jaki ten proces degradacji rozwija się u poszczególnych jednostek. Taka charakterystyka zawarta jest w końcowych partiach tej książki.

Niniejsze studium nie jest próbą znalezienia odpowiedzi na największą zagadkę opętania: dlaczego ten właśnie człowiek, a nie inny, pada ofiarą diabolicznego ataku, wiodącego do częściowego lub całkowitego opętania. Odpowiedzi takiej na pewno nie należy szukać w psychologii, genetyce czy socjologii. Jej zasadniczymi elementami będą: kwestia wolnego wyboru, jaki podejmuje każda jednostka i tajemnica ludzkiego przeznaczenia. Znamy podstawową zasadę wolnego wyboru: mogę wybrać zło, nie kierując się niczym innym, jak tylko tym, że chcę je wybrać. Najwidoczniej niektórzy tak postępują. A o przeznaczeniu wiemy co najwyżej niewiele. Zagadka pozostaje zagadką.

Wszystkich ludzi uwikłanych w poniższe wydarzenia poznałem osobiście; okazali mi jak najdalej idącą pomoc w zamian za to, że nazwiska ich, ich rodzin i przyjaciół nie zostaną ujawnione. A zatem wszystkie nazwiska i nazwy miejsc zostały zmienione, a wszelkie inne wskazówki, pozwalające je zidentyfikować, zatarte. Ewentualne podobieństwo pomiędzy opisanymi tu przypadkami a innymi, które również gdzieś miały miejsce, jest niezamierzone i czysto przypadkowe.

RELACJE

Przyjaciel Zio i Uśmiechnięty

Peter raz jeszcze zaczerpnął świeżego powietrza. Ociągał się z zamknięciem okna i odcięciem się od zgiełku dochodzącego z leżącej piętnaście pięter niżej 125. Ulicy. Miasto przesycone było aurą podniecenia: po raz pierwszy w historii nowojorskie ulice witały Ojca Świętego. Kolumna w której jechał papież, zjechała już z mostu na Willis Avenue i przecinając Bronx, zmierzała w kierunku stadionu Yankee. Wokół niej wciąż było rojno. Jakieś zakonnice kursowały tam i z powrotem jak zaafierowane pingwiny, dmuchając w gwizdki i wyrównując szpalery ubranych na biało uczennic. Sprzedawcy hot-dogów głośno zachwalali swój towar. Marnie ubrana młoda kobieta i jej dziecko sprzedawali przechodniom małe plastikowe maki. Dwaj policjanci usuwali drewniane bariery. Przez ruch uliczny, trąbiąc i parskając, przepychała się śmieciarka. Ojciec Peter zamknął wreszcie okno, zaciągnął zasłony i odwrócił się w stronę łóżka.

W pokoju znów zapanowała cisza i słychać było tylko nieregularny oddech dwudziestosześcioletniej Marianne. Leżała na szarym kocu, narzuconym na goły materac. Biorąc pod uwagę jej sprane dzinsy, żółtą koszulkę, kasztanowe włosy, pokrywającą policzki bladość i zastarzałą biel otaczających ją ścian, wyglądała jak cząstka pastelowego rysunku, który zalala kiedyś woda. Gdyby nie zabawny grymas ust, jej twarz nie wyrażałaby dosłownie nic.

Po lewej stronie Petera, plecami do drzwi, stali dwaj barczyści mężczyźni. Pierwszy, były policjant i przyjaciel rodziny, miał za sobą trzydzieści dwa lata służby i dotąd uważał, że widział już wszystko. Zaczynał jednak pojmować, że się mylił. Ten łysiejący, ubrany w drelichy sześćdziesięciolatek stał teraz nieruchomo, krzyżując ręce na piersi, a na jego twarzy malowało się zdumienie. Drugi mężczyzna, najbliższy przyjaciel ojca Marianne, przez dzieci nazywany wujkiem, był dyrektorem banku i mimo swoich pięćdziesięciu kilku lat — dziadkiem. Twarz miał rumianą i jowialną, ubrany był w niebieski garnitur. Ręce opuścił luźno, ale nie spuszczał z oka Marianne; widać było, że nie umie opanować swego strachu. Mężczyzn tych poproszono o pomoc przy uwalnianiu Marianne K. od złego ducha, gdyż byli na tyle atletyczni i muskularni, że mogli stłu-

mić ewentualną próbę fizycznej agresji. Ojciec Marianne, drobny człowieczek o przekrwionych oczach i napiętej twarzy, stał obok lekarza rodzinnego. Modlił się cicho. Peter zawsze nalegał, by podczas egzorcyzmów obecny był ktoś z rodziny osoby opętanej. Młody lekarz, psychiatra, wyglądał — w odróżnieniu od pozostałych uczestników obrzędu — na skupionego, niemal zaintrygowanego. Badał właśnie puls dziewczyny.

Współpracownik Petera, ojciec James, trzydziestokilkuletni kapłan, stał u stóp łóżka. Czarnowłosa i okrągłolicy, sprawiający wrażenie młodzieńca, był nad wyraz czujny, a czerń, biel i fiolet leżały na nim jak mundur. U Petera, o zmierzwionych siwych włosach i zapadniętych policzkach, te same barwy zlewały się w trudny do określenia monochrom. James był w pełnym rynsztunku, stał przed swą pierwszą walką. Peter, weteran, ten etap miał już za sobą.

Na stoliku nocnym, tuż obok Jamesa, migotały dwie świece. Pomiedzy nimi leżał krucyfiks. W jednym z kątów pokoju znajdowała się szafka. „Powinniśmy byli ją usunąć” — pomyślał Peter. Zostawili ją tylko dlatego, by mieć gdzie umieścić magnetofon, ale przysporzyła im wielu kłopotów. „Zapewne tak już będzie do samego końca całej sprawy” — dodał w duchu. Wiedział jednak doskonale, że po rozpoczęciu egzorcyzmów, lepiej zostawić w spokoju wszelkie zbędne przedmioty.

Był poniedziałek, dwudziesta piątka, siedemnasta godzina trzecich egzorcyzmów w trzydziestoletniej praktyce Petera. Co więcej, jego ostatnich egzorcyzmów — tego jednak nie mógł wiedzieć. Był przekonany, że osiągnął już fazę *Przełomu*.

Przejście od okna do łóżka zajęło mu kilka sekund. Rysy Marianne zmieniły się w gęstwą krzyżujących się linii. Usta wykrzywiały się coraz bardziej, aż osiągnęły kształt zbliżony do litery S. Skóra na szyi była napięta, demaskowała najmniejsze nawet żyłki, niewidoczna zazwyczaj grdyka przypominała teraz gruby węzeł.

Były policjant i „wujek” rzucili się, by przytrzymać dziewczynę. Jej głos, niczym chłaskanie biczem, momentalnie odrzucił ich z powrotem.

— Zeschnięte gnoje! Wzajemnie obrabialiście swoje żony. Dawaliście im w zamian swoje marne ptaszki. Trzymajcie z dala ode mnie wasze chciwe łapy!

— Przytrzymać ją! — rozkazał Peter. Dostała się w cztery pary rąk.

— Jezu, zlituj się nad moim dzieckiem — wymamrotał jej ojciec. Oczy byłego policjanta wychodziły z orbit.

— TY! — wrzasnęła Marianne. Leżała rozpięta na łóżku, oczy miała szeroko otwarte i pałające gniewem. — TY! Peter Smakosz. Mówiła: posmakuj mego ciała. Mówiła: ssij moją krew. I zrobiłeś to! Peter Smakosz! Pójdiesz z nami, maniaku. Będziesz lizał mi zadek i będziesz tym zachwycony. Peeeeeeee-etrtrrrrr! — To „rrrr” przeszło nagle w warkot dzikiego zwierzęcia.

Mózg Petera przeszył nagły ból. Zabrakło mu tchu. Przeraził się, że nie może nabrać powietrza, zatrzymał się i czekał, chwając się lekko, co będzie dalej. Wreszcie odetchnął z ulgą. Młodszemu kapłanowi wydał się nagle bardzo wąty i podatny na wszelkie ciosy. Ojciec James podał mu swój modlitewnik i obaj odwrócili się w stronę Marianne.

PETER

Niemal rok później, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym, w dniu, w którym chowano Petera na cmentarzu Calvary, rozmawiałem z jego młodszym kolegą, ojcem Jamesem. Usłyszałem wówczas:

— Nieważne, co powiedział lekarz. Oficjalna diagnoza jako przyczynę zgonu podawała chorobę wieńcową. Skończył się, naprawdę się skończył, po tamtej ostatniej robocie. Reszta była tylko kwestią czasu. Zauważ, że nie zabrakło mu wiary albo odwagi. Po tamtej sprawie był tak samo oddanym Bogu sługą, jak i przed nią. Ale trzeba było tych ostatnich egzorcyzmów, by pojął, iż życie daje w kość każdemu uczciwemu człowiekowi. — Wszystko wskazywało na to, że Peter nigdy nie otrząsnął się z łagodnego szoku, jaki wywołało u niego uwolnienie Marianne od złego ducha; od tamtego czasu, ilekroć się odzywał, odnosiło się wrażenie, że bierze pod uwagę obecność kogoś niewidocznego. Było to irytujące, zupełnie jak słuchanie kogoś, kto rozmawia przez telefon.

— Nigdy już nie wrócił do siebie — stwierdził James. — Po ostatnim Starciu, czy jak to tam nazywasz, jakaś jego częśćka odeszła w Zaświaty. — Zamyślił się i dodał, mówiąc niemal do siebie: — Dałbyś wiarę? Musiał sześćdziesiąt dwa lata temu urodzić się w Lisdoonvarna*, wychować się pod Killarney

* Miasto w hrabstwie Clare, w Irlandii

i trzykrotnie przebyć odległość dzielącą Irlandię od Ameryki — tylko po to, by za trzecim razem dowiedzieć się, gdzie, jak i kiedy przyjdzie mu umrzeć. Człowiek zaczyna się zastanawiać, o co chodzi w tym życiu. Nigdy nie wiadomo, jak się ono skończy. Peter nawet nie miał obywatelstwa amerykańskiego. I tylko te podróże. Jedynie po to, by umrzeć tak, jak postanowił Pan.

Peter miał sześcioro rodzeństwa, samych braci. Jego ojciec przeniósł się z hrabstwa Clare do Listowel w hrabstwie Kerry, gdzie zajął się handlem winem. Żyli w okazałym dwukondygnacyjnym domu z widokiem na rzekę Feale. Byli dość zamożni i szanowani. Ich katolicyzm nosił na sobie znak owego krępkiego chrześcijaństwa, które było irlandzkim wkładem w religię.

Młodość Petera upłynęła we względny spokój „dawnych brytyjskich czasów”, zanim Irlandzkie Bractwo Republikańskie (przodek IRA), Irlandzcy Ochotnicy i rebelia roku tysiąc dziewięćset szesnastego dali początek współczesnej Irlandii, kierując ją na burzliwy kurs walki o „straszną piękność”, która zwabiła Patricka Pearse’a, Jamesa Connolly’ego, Eamona De Valerę i innych przywódców w pułapkę rozlewu krwi, co sprawiło, że w pięćdziesiąt lat później, u schyłku żywota Petera, owa krew wciąż jeszcze się lała.

Trzy czwarte roku wypełniała Peterowi szkoła. Lato spędzał zwykle w Beal Strand, na wybrzeżu Ballybunion albo pomagając w żniwach na farmie dziadka, w Newtownsands.

Któregoś lata, szesnastego w jego życiu, Peter przeżył swoje jedyne spotkanie z seksem. Godzinami wylegiwał się na wydmach Beal Strand, w towarzystwie Mae, dziewczyny z Listowel, którą znał już od trzech lat. Tamtego dnia ich rodziny spotkały się na wyścigach.

Niewinny flirt przerodził się w prostą grę miłosną, a potem w gorączkową wymianę pocałunków i pieszczot, a w końcu leżeli nadzy i niesamowicie szczęśliwi w świetle pierwszych wieczornych gwiazd. Po wszystkim, Mae nazwała go filuternie „Peterem Smakoszem”. Żeby wyciszyć jego obawy, dodała:

— Nie martw się. Nikt więcej nie dowie się, jak się ze mną kochałeś. Zachowam to dla siebie.

Jeszcze przez jakiś rok interesował się dziewczętami, a zwłaszcza Mae. Potem, na początku osiemnastego roku życia, zaczął myśleć o kapłaństwie. Kiedy kończył szkołę, był już zdecydowany. Powiedział mi raz:

— Kiedy się zegnaliśmy, latem tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego, Mae droczyła się ze mną: „Jeżeli porzucisz seminarium, a nie ożenisz się ze mną, ujawnię wszystkim twoje przezwisko”. Nigdy nie zdradziła tego żadnemu człowiekowi. Ale, rzecz jasna, *oni* je znali.” Jedynymi, lecz najzupełniej realnymi wrogami Petera były cienie zamieszkujące „Królestwo”, które określał on tylko jednym słowem — „oni”. Popatrzył na mnie w charakterystyczny dla siebie sposób i przeniósł wzrok ponad moją głowę. Mae zmarła z powodu perforacji wyrostka robaczkowego w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym.

Peter zaczął naukę w seminarium w Killarney, a ukończył ją w Numgret, u jezuitów. Nie był wybitnym studentem, ale otrzymywał bardzo dobre oceny z prawa kanonicznego i języka hebrajskiego, którym władał z irlandzkim akcentem („Mój dziad pochodził z jednego z Zaginionych Plemion.”), słynął z rozważnego rozstrzygania dylematów moralnych, stał się też lokalną sławą, gdyż jednym kopnięciem w piłkę potrafił z odległości trzydziestu jardów wybić fajkę z ust palacza, nie dotykając nawet jego twarzy.

Mając dwadzieścia pięć lat, otrzymał święcenia kapłańskie i następne sześć lat przepracował w Kerry. Potem wyjechał na swą pierwszą placówkę: trzy lata spędził w jednej z nowojorskich parafii. Dwukrotnie asystował podczas egzorcyzmów. Za trzecim razem, kiedy występował tylko jako dodatkowy pomocnik, musiał poprowadzić całą sprawę, przejmując ją po starym egzorcyste, który zasłabł i zmarł na atak serca w trakcie odprawiania obrzędu.

Na dwa tygodnie przed wyjazdem do Irlandii na pierwszy od trzech lat urlop, władze diecezjalne zleciły mu samodzielne dokonanie egzorcyzmów. Zapamiętał to, co powiedział mu wówczas biskup:

— Jesteś jeszcze młody, ojcze; wolałbym, żebyś miał więcej doświadczenia. Ale przynajmniej Staruch nic na ciebie nie ma albo ma niewiele. Zajmij się tym.

Egzorcyzmy trwały trzynaście godzin („Akurat w Hoboken”, grymasił potem). Był później oszołomiony i czuł się nieswojo. Nigdy nie zapomniał złowrogiej groźby, którą cisnął weń uwalniany od złego ducha człowiek. Przez pienistą ślinę, zaciśnięte zęby i smród nie mytego od dwóch lat ciała przebiły się wówczas słowa:

— Niszczysz Królestwo we mnie, ty obca, irlandzka, brudnoga świnio. I myślisz, że ujdzie ci to płazem. Nie martw się.

Wrócisz po więcej. I po jeszcze więcej. Wy zawsze wracacie po więcej. A my spalimy ci duszę. Spalimy ją. Będziesz cuchnął. Jak my! Trzeci cios i wypadasz! Świnio! Popamiętasz nas!

Popamiętał.

A jednak dwutygodniowy pobyt w hrabstwie Clare przywrócił mu energię i werwę.

— Boże! Placuszki ociekające solonym masłem, gorąca herbata i ten bekon z Limerick, i ten deszczyk, a przede wszystkim ten spokój! To było coś.

Większości ran nie zadała Peterowi twarda rzeczywistość otaczającego go świata; tkwiły głęboko w nim, otwierały się w odpowiedzi na zło, jakie wyczuwał czasami w życiu codziennym.

Ci, którzy pamiętali Petera z roku siedemdziesiątego drugiego, przyznawali zgodnie, że nie był ani geniuszem, ani świętym. Czarnowłosa, niebieskooki, kościsty, był człowiekiem o niezbyt bujnej wyobraźni, głębokim poczuciu lojalności, śmiał się donośnie, potrafił pochłaniać gigantyczne ilości ziemniaków i bekonu, cieszył się żelaznym zdrowiem, nie umiał żywić uraz ani nienawidzić i przeważnie miał inne zdanie niż biskup (drobny staruszek, którego księży nazywali „Packy”). Peter był poniekąd leniwy, w miarę chlubił się tym, że miał sześć stóp i dwa cale wzrostu, i namiętnie czytywał powiastki detektywistyczne Edgara Wallace’a.

— Miał tę charakterystyczną klasę — wspominał jeden z jego przyjaciół. — Czulo się, że to człowiek wielkiego ducha, wzmocnionego zdrowym rozsądkiem z litego żelaza, wolny od małostkowości.

— Gdyby któregoś ranka zobaczył Diabła stojącego u szczytu schodów i Jezusa Chrystusa czekającego na dole — dodał inny — nie odwróciłby się do tamtego na górze plecami, by czym prędzej zbiec na dół. Zszedłby tyłem. Tak na wszelki wypadek.

W normalnych okolicznościach Peter, po swoim urlopie, pełnym placuszków i lekkiego deszczu, na stałe pozostałby w Irlandii. Przepracowałby kilka lat w różnych parafiach, potem dorobiłby się swojej własnej. Ale coś innego uwierało go w serce i co innego było mu pisane w gwiazdach. Kiedy wybuchła wojna w Korei i musiał wrócić do Nowego Jorku, by zastąpić kapłana, którego właśnie powołano, przypomniał sobie egzorcyzmy z Hoboken. „Trzeci cios i wypadasz! Świnio! Popamiętasz nas!”

W rozmowie z zaniepokojonym przyjacielem, który znał tę historię, obrócił ją w żart:

— To jeszcze nie jest trzeci raz!

W styczniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego poproszono go, by po raz drugi odprawił egzorcyzmy. Skuteczność, jaką wykazał się w Hoboken, i pewna elastyczność, która pozwoliła mu oswoić się z tamtym zdarzeniem, były w oczach władz diecezjalnych wystarczającą rekomendacją. Te drugie egzorcyzmy odprawił w Jersey City. Pomimo tego, iż trwały długo, niewiele go kosztowały, tak fizycznie, jak i psychicznie. Duchowo zaś miały dla niego szczególne znaczenie.

— To była rozgrzewka przed spotkaniem z roku sześćdziesiątego piątego — powiedział mi w sześćdziesiątym szóstym. — Obrzęd trwał, jak dla mnie, zbyt długo, nie pozwalał na chwilę oddechu, omal nas nie wykończył. Ale tu — pokazał na swą pierś — nic się nie nadwerężyło.

W chwilę później powiedział coś, czego znaczenia nie potrafiłem wówczas wychwycić:

— Zwiastunem Jezusa był Jan Chrzciciel. Sądzę, że ciemność też ma kogoś takiego.

Spoglądając z dzisiejszej perspektywy na niego jako egzorcystę, widzę wyraźnie, że oba te przypadki egzorcyzmów przygotowywały go do trzeciego i ostatniego spotkania. To były trzy rundy pojedynku z tym samym wrogiem.

Te styczniowe egzorcyzmy w Jersey City dotyczyły szesnastoletniego chłopaka pochodzenia hiszpańskiego, którego przez całe lata próbowano wyleczyć z padaczki, aż w końcu zespół lekarzy z Columbia Presbyterian Hospital stwierdził, że nie jest on epileptykiem, a co więcej, jest zdrow jak koń. Ale kiedy chłopak wrócił do domu, owe niepokojące objawy jeszcze się nasiliły, toteż jego rodzice zwrócili się do księdza.

— Powiadają, że... hm... że ojciec zna sposób na Diabła — rzekł, uśmiechając się niepewnie, rumianolicy dostojnik kościelny, udzieliwszy Peterowi niezbędnych zezwoleń i instrukcji. Poruszył się w fotelu i dodał coś, co zabrzmiało jak marny katolicki żart:

— Ale proszę nie sprowadzać go przed sąd diecezjalny. Proszę się go pozbyć, czym — lub kimkolwiek ten czart jest. I tak mamy dosyć roboty.

Wszystko poszło dobrze. Chłopak zaprzyjaźnił się z Peterem. Później trafił do Wietnamu i pewnej nocy zginął w zasadzce pod Sajgonem. Jego dowódca napisał o tym do Petera, przesyłając też pozostawioną przez zabitego kopertę, na której widniało nazwisko egzorcysty. Zawierała kawałek zakrwawionego płótna i krótki list. Przeszło dziesięć lat wcześniej, tuż

przed uwolnieniem go od złego ducha, chłopak, w ostatnim paroksyzmie buntu, wpił się w przegub Petera i krew egzorcysty splamiała rękaw jego koszuli. W liście napisał: „Ojczy, zachowałem to jako znak mojego zbawienia. Módl się za mnie. Przebywając z Jezusem, będę pamiętał o tobie.”

Peter miał wówczas czterdzieści osiem lat i mógł być zadowolony z życia, jakie prowadził. A jednak w głębi serca dręczyło go narastające poczucie niespełnienia i niewiary we własną wartość. Czuł, że w porównaniu ze swymi współpracownikami, którzy otrzymywali dyplomy, cenzusy naukowe, wysokie urzędy i wymierną wiedzę, osiągnął bardzo mało. Napisał do swego brata: „Nie ma we mnie żadnych bogactw, jedynie czarne ubóstwo. Czasem ten mrok zaćmiewa moją duszę.” Kiedy przyszło do przydzielania parafii, Petera pominięto. (Packy już nie żył; mówiono jednak, że świętej pamięci biskup postarał się wcześniej o to, by nie brano egzorcysty pod uwagę.)

Peter, w istocie, zachowywał niezależność. Przeciętni kapłani mogliby stwierdzić, że górują nad nim odpowiednimi manierami, lecz ustępują, jeżeli idzie o trafność sądów. Brakowało mu głębszej wiedzy o mechanizmach działających w Kościele i większych ambicji, ale niezwykle cieszyła go jego praca. Czasem jego żale, iż jest „ubogi wewnątrznie” i nie posiada żadnych „znaczniejszych talentów”, brzmiały dość pusto w obliczu jego uporczywości i nieustępliwości. Każdy przeciętny biskup, spojrzawszy raz w jego oczy, mógłby dojść do wniosku, że stawia na szali swój autorytet. Spojrzenie Petera nie było natrętne, ale i nie unikało ludzkiego wzroku; przyznawało rozmówcy należną mu wartość, ale nie obiecywało uległości. Mówiło: „Szanuję to, co reprezentujesz. To, jaki jesteś, to zupełnie inna kwestia.” Taki człowiek, jak on, budził niepokój osób skłonnych do absolutyzmu, zagrażał autorytarnym skłonnościom większości dostojników.

Ale poza sporadycznymi żartami typu „im wyżej się wznoszą, tym czarniej wyglądają ich zadki”, Peter nie okazywał otwarcie swego niezadowolenia czy też niepokoju. Brak pewności siebie ratował go przed buntem albo niesmakami. Wszystko to starał się traktować lekko.

— Cóż, ojczy — dowcipkował sobie pewien biskup, kiedy Peter wyjeżdżał na trzy miesiące do jednej z londyńskich parafii — albo piekło, albo chwała?

Peter wówczas roześmiał się:

— W obu przypadkach, ekscelencjo, pierwszeństwo mają biskupi.

Gdyby protestował i wykorzystywał wpływowych przyjaciół, niewątpliwie w swoim czasie objąłby spokojną, wiejską parafię w hrabstwie Kerry. (Zarówno biskup, jak i papież delikatnie traktują proboszczów. Otwarty atak na ich autonomię mogą przypuścić jedynie ich gospodynie. Ale irlandzkie gospodynie to odrębny gatunek człowieka).

Jako że Peter — z własnego wyboru — był ściśle zależny od kaprysów władz i nigdy nie ubiegał się o umocnienie swojej pozycji, zgodził się wyjechać na jakiś czas do Rzymu. Tam zaś doszło do pewnego przypadkowego spotkania, które go bardzo zmieniło.

Po drugich egzorcyzmach przyszło mu jeszcze dziesięć lat „pomagać” różnym diecezjom, praktycznie zawsze w zastępstwie za innych kapłanów. Sytuacja zmieniła się pod koniec września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego, kiedy to, podczas jednego ze śniadań, zetknął się z biskupem z Zachodniego Wybrzeża, który zmierzając do Rzymu na otwarcie Drugiego Soboru Watykańskiego, zatrzymał się na kilka dni w Nowym Jorku. Biskup ten znany był z tego, że sprzyjał wszelkim „niezależnym duszom” i cenił ludzi z charakterem. Podobnie jak wszyscy biskupi, którzy udawali się na sobór, potrzebował jednego albo dwóch doradców do spraw teologii. Szczególnie potrzebny mu był teolog obyty ze sprawami duszpasterstwa.

Następnego dnia Peter wszedł wraz z biskupem na pokład samolotu TWA, zmierzającego do Wiecznego Miasta. Gdyby nie ta podróż, zapewne nie znalazłby się w trzy lata później u boku Marianne. I na pewno nie zbliżyłby się do dwóch ludzi, którzy niespodziewanie i w ogromnym stopniu wpłynęli na jego życie. W Rzymie Peter spędził dziesięć tygodni, pełniąc obowiązki doradcy. Ale dla niego samego daleko bardziej liczyło się to, czego doświadczył, stykając się z ojcem Conorem i kardynałem Montinim, przyszłym papieżem Pawłem VI.

Ojciec Conor, wywodzący się z Irlandii franciszkanin, był łysym człowieczkiem o nadzwyczaj przenikliwych oczach, wyrażającym się zawsze z dużą dozą swady. Wykładał teologię na rzymskim uniwersytecie. Nosił okulary bez oprawek, zawsze poruszał się truchtem i mówił z silnym irlandzkim akcentem, który prawie uniemożliwiał zrozumienie jego łaciny.

Trzy lub cztery razy w tygodniu, po przerwie poobiedniej, przyjmował w swej klasztornej celi studentów, profesorów, zagranicznych gości, osoby oficjalne i przyjaciół. Tam można było poznać, sprawdzić i ocenić wszystkie rzymskie plotki. Tak

już jest, że połowa mieszkańców Wiecznego Miasta żywi się plotkami o drugiej połowie. Wszelkiego rodzaju spekulacje nieustannie wprawiają w ruch wiry pogłosek. Bardzo często to, co Conor miał do powiedzenia, zaczynało się od słów: „Powiadają, przyjacielu, że...”.

Conor latem jeździł do Irlandii, by łowić ryby w Lough Corrib, był znawcą szkielec z Waterford i od małego pasjonował się polityką, zarówno kościelną, jak i świecką. Biorąc pod uwagę tę fascynację, Drugi Sobór Watykański był dla niego tym, czym woda dla ryby. Studiował też demonologię („W większości to bajery” — mawiał ze swoim charakterystycznym akcentem), kwestię czarów („Po mojemu, to kupa bzdur”), egzorcyzmy („Szalona robota”) i sprawy opętania („Diable figle”). Pracował jako konsultant jednego z rzymskich urzędów, zajmującego się przypadkami opętania i czternaście razy odprawiał egzorcyzmy (choć zawsze mawiał, że „nie dotknąłby tego długą tyką, gdyby mu nie kazali”). Według żartu, który zawsze doprowadzał Conora do wściekłości, zmuszał diabły do opuszczenia opętanych, grożąc, że „odeśle je z powrotem do Irlandii”.

Działalność Conora jako egzorcyzmy była dość słabo znana poza rzymskimi kręgami kościelnymi. Irlandzki kler uważał go za mola książkowego, a wielu znajomych mawiało, że jest „porządny, prosty i spokojny człowiekiem, może lekko postarzonym na punkcie średniowiecza”.

Peter i Conor byli mniej więcej w tym samym wieku. Łączyła ich miłość do Irlandii i fascynacja rzymskimi ruinami. Co więcej, Conor wyczuwał, że umysłu Petera nie splamiły niezdrowe ambicje, zżerające tłumy tych, którzy krążyli wokół niego w rzymskim młynie wielkiej polityki. Czuł też, że Peter nie wierzy w siebie.

Wielce zainteresowało go to, czego Peter doświadczył podczas egzorcyzmy. Twierdził, że ma on do tego „dryg” — wrodzoną umiejętność tłumienia diabelskich burz. Peter zaś odkrył w Conorze przyjaciela, służącego mu praktycznym doświadczeniem i radą. Wałęsając się po rzymskich przedmieściach, przesiadując na dziedzińcu klasztoru Conora, zwiedzając miasto i sącząc kawę na Piazza Navona, stopniowo zamieniali się w nauczyciela i ucznia. Peter zadawał pytania, Conor na nie odpowiadał. Wyjaśniał. Teoretyzował. Pouczał. Ostrzegał. Poprawiał. Zachęcał.

Sprawy z zakresu egzorcyzmy Conor sprowadzał do wymiernego systemu zachowań: zachowań opętanego, działań zle-

go ducha, sposobu, w jaki powinien reagować prowadzący egzorcyzmy, i metod, jakimi może ten cel osiągnąć. W trakcie długich spacerów i rozmów z franciszkaninem Peter precyzował swe wcześniejsze wrażenia i chłonał cenne rady.

Nigdy nie uświadamiał sobie różnicy między w pełni opętanymi a buntującymi się. Teraz rozumiał, że choć ci ostatni, po części z własnej woli, stali się zakładnikami diabła, starają się dać jakiś znak, iż potrzebują pomocy, i, podczas tych zmagani, padają ofiarą gwałtownego oporu przeciwko takiej odsieczy — oporu złej istoty, która ich posiada.

Peter mógł skorygować swoje metody, nie odwołując się do praktyki; wystarczyło, że Conor wyjaśnił mu, iż o powodzeniu egzorcyzmy decyduje przede wszystkim rozwianie pozorów, usunięcie zasłony dymnej; iż najniebezpieczniejszym momentem jest przełamanie tej mistyfikacji i następujące po nim starcie woli egzorcyzmy z wolą dręczącej opętanego istoty — i że „Wielka Szycha” (tak franciszkanin nazywał Diabła) rzadko interweniuje osobiście.

Według Conora, świat złych duchów jest autokratyczny. „Joe Stalin załatwił brudną robotę przez Mołotowa. Wielka Szycha też wysła swoich pomagierów.”

Conor uczył Petera trików i forteli; podawał mu hasła — zdania, słowa, liczby i koncepty — pozwalające określić niebezpieczne fazy, kulminacyjne momenty i etapy egzorcyzmy. Przekazał Peterowi część swoich własnych doświadczeń, na przykład, korzystanie z „kłopotliwych tekstów”. Podczas egzorcyzmy bywają niewygodne przerwy, kiedy nie sposób mierzyć się z opętanym ani z tym, co go opętało. Zły duch dosłownie kryje się pod postacią opętanego. Należy go stamtąd wywabić. Conor miał zwyczaj tak długo czytać pewne wyjątki z Ewangelii, aż przeciwnik zaczynał popełniać błędy albo arogancko odrzucał swój kamuflaż.

Rady Conora zawsze były konkretne i wyraziste, dzwięczały w umyśle Petera owym ciepłym i świeżym, irlandzkim akcentem, równie dla nich obu swojskim, jak bryła rodzimego torfu. „To coś spoza twojego umysłu. To prowokujący cię duch. Prawdziwy kamuflaż zaczyna się w tobie. A ty jesteś tylko starym łachem, jeśli nie ma z tobą Jezusa.”

Przed wszystkim jednak Conor uczył Petera na nieunikniony ubytek sił egzorcyzmy. Wyjaśniał w jak najprostszym słowach, jakie rany może odnieść podczas egzorcyzmy, jakich powinien unikać i które z nich nigdy już się nie zagoją. Wszystkie te rany dotykały od wewnątrz ducha, umysł, pamięć i wolę.

Pomniejsze Peter już odniósł. Uświadamiał sobie teraz, co jeszcze może go czekać.

Conor wzbogacał prymitywną opinię Petera na temat „Diabła” i „Diabłów”, tłumacząc w prosty sposób to, co dla większości współczesnych jest zagadką, a może nawet kompletnym nonsensem. Krótko rozprawiał się z psychoanalitykami. „Jeszcze trochę i przekonają się, że cała sprawa wygląda zupełnie inaczej. Zygmuś i jego kompani powędrują wówczas na półki, podobnie jak wcześniej opinie Galena o kościach i Arystotelesa o roślinach.”

Ale to nie Conor uwolnił Petera od niepewności. Nic z tego, co mówił, nie podważało samooceny „ucznia”. Zmiany tej dokonał człowiek, który w dwa lata później miał stać się Pawłem VI.

Peter nigdy nie zamienił nawet słowa z Giovannim Battistą Montinim, ówczesnym arcybiskupem Mediolanu. Montini, którego papież Pius XII przeniósł z Watykanu w polityczną pustkę Mediolanu, przetrzymał ten okres i znów pojawił się w Rzymie — „nadal słuchając głosów miasta” (tak rzymscy dowcipnicy określali niezemskie spojrzenie Montiniego i wrażenie, że zamykał powieki, by zatrzymać bijące z wewnątrz światło) — i poważnie zaangażował się w sprawę soboru.

Jeden z doradców teologicznych Montiniego był pod wrażeniem argumentów, jakie usłyszał od Petera podczas któregoś z wieczornych posiłków. Potem spotykali się jeszcze kilkakrotnie. Kiedyś wybrali się z Conorem na zebranie teologów omawiających najgorętsze tematy tego soboru. Takie zebrania zdarzały się wówczas często; to różniło się tym, że gościem honorowym był arcybiskup Montini.

Kiedy arcybiskup przybył i ruszył w kierunku swego miejsca, Conor szepnął do Petera:

— Powiadają, przyjacielu, że Jasio [ówczesny papież, Jan XXIII] nie pociągnie długo. — Skinął głową, wskazując na Montiniego. — Ten będzie następny.

Ale Petera nie interesowali przyszli papieże jako tacy. Z jakiejś trudnej do wyjaśnienia przyczyny zafascynował go Montini. Wszystko w tym człowieku, to, co sobą reprezentował, mówił oraz pisał, miało dla Petera szczególne znaczenie. Powiedział wtedy do Conora:

— Wydaje się, że wie dzie go jakaś wielka wizja, której nikt inny nie widzi.

Postanowił dowiedzieć się o Montinim wszystkiego, co było dostępne, rozmawiał z tymi, którzy go znali, czytał jego

homilie, odwiedzał jego znajomych i podwładnych. Doszedł nawet do tego, że określał go imieniem Zio, podobnie jak życiowe arcybiskupowi najbliższe otoczenie.

Podzielał stanowcze opinie Conora na temat ostatnich papieży. — Pacelli [Pius XII] był jak kostka lodu w archanielskim koktajlu, podanym na niebiańskim bankiecie — rzekł kwaśno Conor pewnego wieczoru, kiedy szli do domu. — Surowy, arystokratyczny, czasem taki sztywny, wiesz, o co chodzi. Jasio [Jan XXIII], rzecz jasna, to historia sama w sobie, duchowy kolos. Ale ten facecik [Montini] ma w sobie coś z atmosfery wielkiej tragedii.

Peter postanowił nie opuszczać żadnego z publicznych wystąpień arcybiskupa. Właśnie podczas jednej z takich okazji doświadczył swego „spotkania z Montinim”. Podobnie jak wszyscy obecni, klęknął pod koniec homilii, by przyjąć błogosławieństwo. Kiedy Montini uniósł prawą rękę, by uczynić znak krzyża, Peter podniósł wzrok. Spotkał się ze spojrzeniem Montiniego na samym środku krzyża, który arcybiskup kreślił w powietrzu. Kiedy tak patrzył, „okiennice” zakrywające oczy tamtego otwarły się na moment. Spojrzenie Montiniego niemal oślepiło go wspaniałym blaskiem, dotknęło ciepłem, nawiązało z nim kontakt. Potem „okiennice” znów się zamknęły, a wzrok arcybiskupa powędrował nad głowy ludzi klęczących wokół Petera.

Od tego czasu Peter czuł, że poczucie pustki i niewiary we własne siły opuściło go. Pierwszy raz w życiu niczego się nie bał.

Było to w połowie listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego. Na początku grudnia, kiedy dobiegła końca pierwsza sesja soboru, dowiedział się, że zwolniono go z nowojorskich zobowiązań i może pojechać na święta do Irlandii. Boże Narodzenie spędził w rodzinnym mieście, a potem, od stycznia sześćdziesiątego trzeciego do sierpnia sześćdziesiątego piątego, pracował na ojczyściej ziemi.

W lipcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego kończył swój letni urlop i szykował się do powrotu do pracy w Kerry, kiedy otrzymał krótki list, informujący go o najprawdopodobniej autentycznym przypadku opętania, dotyczącym młodej kobiety, niejkiej Marianne K. Ton był nagłący: władze diecezjalne uważały, że on najlepiej poradzi sobie z tą sprawą. Czy mógłby niezwłocznie przybyć?

W połowie sierpnia był już w Nowym Jorku.

MARIANNE K.

Na progu wiosny tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku, o tysiące mil od spokojnego i rześkiego klimatu hrabstwa Kerry, w którym mieszkał wówczas Peter, bywalcy nowojorskiego Bryant Park widywali szczupłą, młodą kobietę średniego wzrostu, mającą na sobie dzinsy, bluzkę, sandały oraz narzucony na ramiona płaszcz przeciwdeszczowy. Park odwiedzała nieregularnie i spędzała tam czasem całe godziny, czasem zaś dziesięć lub piętnaście minut, kiedyś — aż dwa dni. Pogoda nie miała żadnego wpływu na długość jej pobytu w tamtym miejscu; zachowywała się tak samo, gdy było słonecznie, jak podczas deszczu lub śnieży. Wyglądała na czystą, ale ci, których mijala, czuli ostry odór nie mytych włosów i ciała. Nigdy z nikim nie rozmawiała, nigdy też nie stała lub siedziała dwa razy w tym samym miejscu. Zawsze miała ten sam wyraz twarzy: coś w rodzaju wiecznego uśmiechu, obejmującego tylko usta. Jej oczy nic nie wyrażały, policzki były napięte, twarz bez zmarszczek, nieruchome i wykrzywione w uśmiechu wargi zakrywały zęby. Blond włosy były zwykle w nieładzie. Ci, którzy widywali tę kobietę często, nazywali ją Uśmiechniętą. To była Marianne K.

W jej zachowaniu nie było nic groźnego, przynajmniej na początku, choć zachowywała się dość dziwnie. Bywały dni, że cały czas stała lub siedziała, niemal się nie poruszając. Potem niespodziewanie odchodziła, tak jakby otrzymała jakiś sygnał. Kiedy indziej przychodziła, toczyła pustym wzrokiem po wszystkich kątach i pospiesznie opuszczała park. Czasem zaś przynosiła małe patyczki, które z namaszczeniem wbijała w ziemię, przywiązując u ich podstaw kawałeczkami szmaty jeszcze mniejsze poprzeczki. Ktoś nazwał je potem „odwróconymi krzyżykami”.

W owym czasie tylko raz spowodowała zamieszanie. Pewnego ranka przysłała do parku, posiedziała tam przez jakiś czas, po czym stanęła bez ruchu, patrząc na południe, a w jej oczach pojawiło się coś, co można było uznać za radosny błysk. Nie opodal przechodził ktoś niosący radio, z którego płynęła głośna muzyka. Kiedy zrównał się z nią, nagle zatkała uszy dłońmi, wrzasnęła, obróciła się niczym bąk i padła na twarz, dygocząc. Zrobiło się zbiegowisko. Po chwili nadszedł policjant, niespiesznie, jak to nowojorski glina.

— Wyłącz ten sprzęt, koleś — powiedział do właściciela radia.

Niemal w tym samym momencie u boku policjanta pojawił się jakiś wysoki mężczyzna.

— To Marianne. Zajmę się nią — oznajmił bardzo wyraźnie, tonem nie uznającym sprzeciwu.

— Pan jest jej krewnym? — zapytał klęczący obok kobiety policjant, podnosząc wzrok.

— Tylko mnie ma na tym świecie.

Policjant wspominał później, że mężczyzna dotknął lewego przegubu Marianne i powiedział coś cicho. Po kilku sekundach ocknęła się i wstała szybko, choć chwiejnie. Na jej twarzy wciąż malował się uśmiech. Powoli odeszła wraz z wysokim mężczyzną w kierunku Fifth Avenue.

— Nie musi pan tego zgłaszać, panie oficerze.

Te słowa, które nieznamy posłał mu nad ramieniem, policjant zapamiętał jako kategoryczne i w oczywisty sposób zamykające sprawę.

— Byłem pewien, że to ojciec i córka — wyjaśniał potem, przywołując tamten incydent. — Wyglądał na tyle staro, a oboje uśmiechali się dokładnie w ten sam sposób.

Nawet i później sprawa Marianne nie zwróciła uwagi służb publicznych, mimo iż kobieta znajdowała się już pod wpływem złego ducha.

Pierwsze jednoznaczne oznaki opętania zauważono u niej dopiero w rok po zdarzeniu w Bryant Park.

Marianne wychowywała się z o rok od niej młodszym bratem. Pierwsze lata swego życia spędzili w Filadelfii. Rodzina ich plasowała się wówczas w strefie dość umiarkowanych dochodów. Wszyscy byli zdeklarowanymi katolikami i łączyły ich bardzo ściśle więzy. Rodzice Marianne, Amerykanie w drugim pokoleniu, których przodkowie wywodzili się z Polski, nie mieli żadnych żyjących krewnych na terenie Stanów Zjednoczonych. Niewielu też mieli bliskich przyjaciół. Ich edukacja zatrzymała się na poziomie podstawowym, brakowało im również czasu na życie kulturalne i inne bardziej wyrafinowane przyjemności. Matka Marianne była cichą, wytrwałą kobietą; trzymała się swej pracy i wечно zamartwiała się kosztami życia. Ojciec, prostoduszny człek, stąpający twardo po ziemi, wyrósł w czasach Wielkiego Kryzysu, ożenił się późno, był swej żonie absolutnie wierny, nigdy nie utyskiwał na trudności, a czas wolny od pracy spędzał zawsze w domu.

Rodzice nie stosowali wobec dzieci surowej dyscypliny, pozostawiając im wiele miejsca na radość i zabawę. Dzieci przygotowywano do przykładowego żywota. Poczesne miejsce w ich życiu zajmowała religia. Każdego ranka i wieczoru odmawiano wspólnie modlitwy. Panująca w rodzinie miłość i wzajemna lojalność znajdowały oparcie w wyznawanej wierze. Najwyższym autorytetem był proboszcz polskiej parafii.

W dzieciństwie Marianne i jej młodszy brat, George, byli tak bardzo do siebie podobni, że często uważano ich za bliźnięta. Kiedy któreś z rodziców wołało ich, każde z nich było w stanie odpowiedzieć, idealnie naśladowując głos drugiego. Opracowali specjalny system znaków i słów, coś w rodzaju swego prywatnego języka. Marianne wiele zawdzięczała George'owi. Była leworęczna, mówić poprawnie zaczęła dopiero w wieku sześciu lat, była też chorobliwie nieśmiała i uparta.

Ten bliski związek pomiędzy dziećmi przysł, kiedy Marianne skończyła osiem lat, a jej rodzina przeprowadziła się do Nowego Jorku, gdyż tam właśnie ojca dziewczynki skierowała jego firma. Nowe stanowisko, jakie otrzymał, zabezpieczył o rodzinę finansowo i zapewniło jej pewien komfort. Matka Marianne nie musiała już pracować poza domem. Bratu dobrze wiodło się w szkole. Bez trudu nawiązywał przyjaźnie, sprawdzał się w sporcie i był atrakcyjnym towarzyszem zabaw. Przebywając w Nowym Jorku, stopniowo wchodził w krąg rówieśników i coraz mniej czasu poświęcał swej siostrze.

Marianne miała niewiele przyjaciółek i swobodnie czuła się tylko w domu. Wydawało się, że oboje rodziców traktuje dokładnie tak samo. Ukończywszy szkołę drugiego stopnia, dwa lata spędziła w Manhattanville College, gdzie najbardziej zainteresowały ją fizyka i filozofia. Ale jej pobyt tam był burzliwy i nie dawał szczęścia. Pragnęła „poznać wszystko, całą prawdę” — tak powiedziała nauczycielom w pierwszym przypływie entuzjazmu. Ale z czasem przyszło rozczarowanie i pewna doza cynizmu; dawała do zrozumienia, iż wie, że ukrywają przed nią prawdę i unikają poważnych problemów.

Szczególnie trudno było jej się porozumieć z nauczycielką metafizyki, niejaką matką Wirgilią, kobietą w średnim wieku, krótkowzroczną i o przenikliwym głosie, wymagającą i surową przedstawicielką „starej szkoły”. Matka Wirgilia wykładała filozofię scholastyczną. Odrzucała współczesnych filozofów i ich teorie. Jej spory z Marianne były, od samego początku, ostre i bezproduktywne. Dziewczyna zasypywała nauczycielkę pytaniami, podważając wszystkie twierdzenia, krok po kroku spy-

chając ją ku podstawowym zasadom, których zakonnica nigdy nie śmiała kwestionować. Marianne była dla niej zbyt sprytna i nieustępliwa, przeskakiwała zrećznie od jednego argumentu do drugiego i piętrzyła trudności oraz uwagi, żeby tylko ją zbić z tropu.

Wydawało się jednak, że dziewczyna dąży wyłącznie do tego, by zbudować potrzask, w którym usidli nauczycielkę. Nie chodziło jej o to, by odkryć jakąś prawdę albo pogłębić swą wiedzę; była to tylko złośliwość, pozornie poważne zwodzenie zakonnicy słowami i argumentami, przetykane sardonycznym milczeniem i głupawą satysfakcją, a wszystko po to, by wprowadzić zamęt i bezlitośnie wydrwić.

Wirgilia wyczuwała to, ale nie umiała sprecyzować. Starła się zachować godność. Ale żadnej z nich to nie pomagało.

Któregoś dnia wszystko sięgnęło zenitu. Wykład dotyczył zasady przeciwieństw.

— Jeżeli coś istnieje, jeżeli coś *jest*, musi istnieć. Nie może jednocześnie i w tym samym kontekście *nie być* — podkreślała świdrującym głosem matka Wirgilia. — Ten stół tu *jest*, nie może tu *nie być*. Bytu nie można utożsamiać z niebytem.

Kiedy skończyła, ręka Marianne wystrzeliła w górę.

— Dlaczego nie można ich utożsamiać?

Już nie raz spierały się o to. Zakonnicy brakowało odpowiedzi i cierpliwości.

— Marianne, omówimy to później.

— Tak mówisz, bo nie umiesz tego dowieść. Tylko przypuszczasz.

— Dogmatów nie sposób dowieść. One...

— Dlaczego nie mogę mieć innego dogmatu? Powiedzmy: byt i niebyt są nierozdzielne? Stół *jest* tutaj, ponieważ go tu nie ma. Bóg istnieje, gdyż równocześnie nie istnieje.

W klasie rozległy się śmiechy.

Marianne odwróciła się do reszty uczniów.

— To nie żart! My istniejemy i nie istniejemy!

Ogólne rozbawienie ustąpiło miejsca wrogości i zakłopotaniu. Marianne wspomina dzisiaj, że wówczas nikt, łącznie z matką Wirgilią, nie uświadamiał sobie, iż pewien zwodniczy impuls wiodł jej umysł przez jakieś kręte ścieżki. Nie prowadziły jej wyraziste koncepcje, nie czerpała z bogatego skarbcza refleksji i doświadczeń, pociągała ją jedynie jakaś szczególna fascynacja tym, co negatywne. Wiele tęższych umysłów, idąc tą

samą drogą, waliło się w ciemną przepaść albo nadziewało się na ostre skały.

Wirgilia czuła się zmęczona i upokorzona. Rozzłościła się.

— Powiedziała ci, panienko, że porozmawiamy...

Ale zanim skończyła to zdanie, Marianne wstała, zgarnęła swe książki, rozejrzała się gniewnie po klasie i wybiegła przez drzwi.

Marianne odmówiła powrotu do Manhattanville. Na wszelkie pytania, dotyczące jej decyzji, a także na apele, by dała szkole jeszcze jedną szansę, odpowiadała:

— Oni próbują zniewolić mój umysł. Chcę być wolna, poznać całą rzeczywistość, być rzeczywista.

Do swoich dawnych nauczycieli nie żywiła nic, poza wzgardą. Ale żaden z nich nawet nie przypuszczał, jak dalece posunięta była to wzgarda.

Na ile sobie teraz przypomina, na tę nową ścieżkę wstąpiła, gdy uznała, że jej nauczyciele — w tej liczbie i matka Wirgilia — to szarlatani, którzy jedynie powtarzają to, czego ich nauczono. Ale w takim podejściu nie było nic nienormalnego. Żywiołowa reakcja Marianne — do pewnego stopnia — była dość typowa dla dojrzewających pańienek. Tyle że wspierała ją logiką zbyt dojrzałą jak na ten wiek. Co więcej, Marianne z wyboru pozostawała w izolacji: nie szukała kontaktu z koleżankami, nie omawiała swych problemów z rodzicami. Uparła się, że sama wszystko rozwiąże.

Z czasem tą samą zasadą („Wszystkie autorytety w moim życiu są fałszywe, ponieważ powtarzają to, co im powiedziano, i nie szukają więcej”) objęła rodziców, księży z miejscowego kościoła, całe wychowanie religijne, a także nawyki i obyczaje dnia codziennego. Wszystko.

Jej rodzice nie mieli pojęcia o filozofii. Nie pojowali nic, kiedy Marianne mówiła tajemniczo, że „dobrze jest widzieć wszystkie *nie* po tej samej stronie, co *tak*”, kiedy wspominała o „brudzie na nosie Wenus z Milo” albo o „morderstwie jako o akcie tak pięknym, jak skomponowanie sonaty”. Wiedzieli tylko, że ją kochają, ale Marianne przejawy tej miłości traktowała jak krepujące ją łańcuchy. Powiedziała kiedyś do swej matki: „Mamo, gdybyś tak mogła nienawidzić mnie choć przez pięć minut, byłoby nam tak dobrze.” A innym razem: „Dlaczego tata nie może mnie zgwałcić albo rozwalić mi nosa pięścią? Zobaczyłabym wtedy swoją urodę. I on byłby dla mnie rzeczywisty.”

Wreszcie, po wielu rozmowach i konsultacjach, rodzice postanowili wysłać Marianne do Hunter College, by nie straciła ostatniego semestru roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego. Liczyli na to, że ta ściśle świecka, renomowana szkoła zaspokoi jej potrzebę wiedzy.

Jeżeli chodzi o naukę, Marianne przez trzy lata, jakie spędziła w Hunter, nie miała żadnych problemów. Ale w owym czasie zmienił się rytm życia rodzinnego. I niespodziewanie zmienił się też jej charakter. George, jej brat, rok wcześniej wyjechał, by studiować oceanografię. Był jedyną ludzką istotą, z którą łączył ją jakiś intymny kontakt. Ojciec coraz częściej opuszczał miasto, podróżując w sprawach firmy. Matka, która znów podjęła pracę w agencji reklamowej, straciła rzeczywistą więź z córką pod koniec pierwszego roku, jaki tamta spędziła w Hunter.

Rówieśnicy ze szkoły zapamiętali ją jako raczej pulchną, poważną dziewczynę, która rzadko się śmiała, niechętnie się uśmiechała, mówiła cicho, miała niewiele przyjaciółek, nigdy nie umawiała się z chłopcami, przejawiała niesamowity upór podczas dyskusji i była, ich zdaniem, „ograniczona”. Ale zarówno oni, jak i jej rodzina nie wiedzieli nic o jej pierwszym spotkaniu z Człowiekiem.

Podczas pierwszych dwóch lat w tej szkole, Marianne często chadzała do Washington Square Park i tam siadywała, by czytać podręczniki i robić notatki. Kiedyś po południu, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, kiedy czytała *Rodzaje doświadczenia religijnego* Williama Jamesa, poczuła nagle, choć nie było to dla niej szokiem, że ktoś zagląda jej przez ramię, studiując otwarte stronicę. Obejrzała się. Był to dość wysoki osobnik, którego twarz i ubiór nigdy — nawet i potem — nie utkwiły jej w pamięci. Lewą dłoń trzymał na oparciu ławki. Wyraźnie zapamiętała tylko jego usta i równe zęby pojawiające się za jego wargami, kiedy powtarzał przeczytane własnie słowa:

— Kiedy znajdujesz człowieka żyjącego na wyszczerbionej krawędzi świadomości...

Wciąż powtarzał te słowa, nie czyniąc żadnych przerw. Z ust jego wydobywało się tylko:

— ...Na wyszczerbionej krawędzi świadomości na wyszczerbionej krawędzi świadomości na wyszczerbionej krawędzi świadomości na...

Robił to spokojnie. Bez pośpiechu. Bez nacisku. Aż te słowa wdarły się do jej uszu, niczym jakiś powolny wir, ze wszystkich stron osaczając jej umysł. Wybuchnęła płaczem.

— Oni wszyscy popychają cię na wyszczerbioną krawędź — powiedziały usta tamtego, nadal bez nacisku. — Chcesz się od tego uwolnić?

Niewiele dziś z tego pamięta. Odpowiedziała wówczas przez łzy:

— Nie chcę, żeby mi pomagali. Tylko, żeby zostawili mnie w spokoju.

Siedział z nią przez godzinę. Dobrze zapamiętała jego lewą rękę. I usta. Nic więcej sobie nie przypomina, jedynie instrukcje, jakich jej udzielał:

— Nie pozwól, by dotknął cię jakiś człowiek! Masz niewiele czasu na dojście do swojego prawdziwego ja! Musisz widywać mnie regularnie!

I jeszcze jedno, szczególne pouczenie:

— Szukaj tych z Królestwa. Rozpoznają cię. I ty ich rozpoznasz.

Po tym spotkaniu zachowanie Marianne zmieniło się znacznie, czego nie omieszkali dostrzec rodzice i znajomi. Ranki albo popołudnia częstokroć spędzała poza domem, nawet jeśli nie było wówczas wykładów albo ćwiczeń. Rzadko rozmawiała z rodzicami. Coraz rzadziej też jadła w domu. Uczniowie z Hunter zauważyli, że jeszcze bardziej zamyka się w sobie i czuje większy lęk przed obcymi, nieufnie traktuje tych, których zna, a jej nieśmiałość sięga szczytów.

Matka Marianne była zaniepokojona. Po wielu namowach zdołała przekonać córkę do wizyty u psychiatry. Skończyło się jednak na kilku sesjach. Lekarz wyjaśnił rodzicom, że wprawdzie dziewczyna powinna się lepiej odżywiać (traciła na wadze) i należy okazywać jej więcej miłości, ale w jej psychice nie dostrzega nic opacznego czy też niebezpiecznego. Po prostu chce być wolna, powiedział, takie już jest to nowe pokolenie. Doradził, by zwracali większą uwagę na jej wiek: bunt i silna potrzeba niezależności to naturalne cechy tego etapu rozwoju.

Ojca dziewczyny to usatysfakcjonowało. Matka jednak nadal się niepokoiliła.

— Kiedy zorientowali się, jak poważne są te zmiany — wspomina Marianne — ja już akceptowałam władzę Człowieka. Ogromnie się zmieniłam. To znaczy: moje życie wewnętrzne zmieniło się pod jego wpływem.

Marianne zawsze nazywa tę postać „Człowiekiem”, ale dziś nie potrafi już określić, czy był on uludą, wytworem jej wyobraźni, osobą rzeczywistą, czy tylko metaforą, symbolem jej młodzieńczego buntu. We wspomnieniach Marianne, obejmujących okres pomiędzy pierwszym spotkaniem z Człowiekiem a egzorcyzmami z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego, pojawia się on dość często. Jednakże większość tego czasu, a zwłaszcza ostatnie cztery lata, to dla niej prawie biała plama. Zapamiętała zaledwie kilka szczególnie wyrazistych przeżyć.

Po ukończeniu Hunter College Marianne zdecydowała się studiować dalej fizykę, na Uniwersytecie Nowojorskim. Żyła wówczas w całkowitym odosobnieniu. Spędziwszy nieco ponad rok na uczelni, rzuciła studia, wynajęła sobie mieszkanie w East Village i zaczęła pracować jako sprzedawczyni w sklepie na Union Square. Jej zachowanie odbiegało od konserwatywnych katolickich wzorców, którym hołdowali jej rodzice. Nie chodziła już do kościoła. Od czasu do czasu żyła z jakimś mężczyzną, nie dbała o swój wygląd zewnętrzny i lekceważąco — czasem nawet grubiańsko, używając dosadnych słów — odnosiła się do wszystkiego, co dla jej rodziców przedstawiało wielką wartość. Nie pozwalała im na żadną ingerencję w jej życie.

Rodzice bardzo się tym martwili, jednakże opierając się na optymistycznej opinii psychiatry, wciąż jeszcze sądzili, że to chwilowy bunt. Niepokoiło ich głównie jej zdrowie: w ciągu kilku miesięcy waga jej spadła ze stu trzydziestu funtów do dziewięćdziesięciu pięciu. Ale matka, rozżalona i zła na córkę, zrezygnowała z zostawiania jej pod drzwiami paczek z jedzeniem, kiedy ta odesłała jej pierwszą z nich, cuchnącą i mokłą. Marianne zmieszała owoce i kanapki z ekskrementami i moczem.

Wspomina teraz, że kolejny wielki krok na drodze do zmiany — jak to określała — „stylu życia wewnętrznego” dotyczył praktyk religijnych i wiary. Wykonała ten krok świadomie, mając u boku Człowieka, i to jakby w dwóch etapach.

Pierwszy raz stało się to w Niedzielę Palmową. Wieczorem przechodziła obok kościoła, w którym odprawiano mszę. Światła palące się wewnątrz zaintrygowały ją. Dzisiaj wspomina to jako rodzaj wyzwania. Weszła do środka i stanęła pośród ludzi modlących się nie opodal wejścia. Nagle poczuła taki sam niesmak i dezaprobatę, jak w odniesieniu do swych rodziców i nauczycieli. Kiedy odwracała się, by wyjść, stojący obok niej Człowiek także się odwrócił. Nie zauważyła go wcześniej.

— Masz już dość, moja droga? — zagadnął cicho, żartobliwie.

Zobaczyła w półmroku jego uśmiech i odpowiedziała mu tym samym. Stwierdził:

— Uśmiech Królestwa należy teraz do ciebie.

Kiedy wychodzili, dodał:

— Jeśli tego nie lubisz, wiesz, że nie musisz tego znosić.

I oboje się uśmiechnęli. To było wszystko.

Drugie zdarzenie nastąpiło w tydzień później, w Wielkonoce. Na Park Avenue wzniesiono oświetlony krzyż. Przyglądała mu się z rogu 56. Ulicy, kiedy usłyszała, że Człowiek mówi:

— Wygląda dość jednostronnie. Czyż nie powinni dodać tu odwróconego? Żeby zachować równowagę? To przecież to samo. A równowaga byłaby idealna. — Uśmiechnął się.

— Moim zdaniem — wspomina Marianne — był to doskonały uśmiech. Nie trzeba było równoważyć go skrzywieniem. Wtedy wydawał mi się doskonały.

W nocy, kiedy była już w domu, złapała się na tym, że rysuje krzyże, klasyczne i odwrócone. Nie mogła jednak zdobyć się na to, by na którymkolwiek z nich umieścić rozpiętą postać. Ilekroć próbowała, „ołówki kreśliły kształty przypominające litery: S, Z i X”. Od tamtego czasu „jej styl życia wewnętrzznego przyjął nowy kolor i formę”. Podawane przez nią opisy tego stanu rzeczy są chaotyczne i pełne trudnych do zrozumienia sformułowań. Ale ogólny sens tego, co przywołuje, budzi dreszcze. Cały proces nazywa przyswajaniem „nagiego światła” i „ślubem z nicością”, odwołuje się do wyrażenia, które wpoił jej Człowiek.

— Zaczęłam żyć ściśle według *mojej* wiary. Chodzi mi o to, że wszystko wewnątrz *mnie* — *moje* myśli, uczucia, wspomnienia, cała aktywność umysłowa — współgrało. Reagowałam na wszelkie sprawy — na ludzi, rzeczy i zdarzenia — tak, jakby to była jedna strona jakiejś rzeczywistej monety. Nagle odkryłam, że wszyscy ludzie mają w sobie niesamowitą moc — przez to, że są istotami ludzkimi. Ludzie, rzeczy, wydarzenia, wyzwania, które mamy podjąć. *Sposób*, w jaki *reagujemy*, nadaje temu, na co reagujemy, specjalną jakość. W pewnym sensie, sami określamy, czym to ma być dla nas.

Pozwól, że poprę to przykładem, który pokaże ci do jakiego stopnia przejęłam się tą ideą. Kiedyś, w jakieś słoneczne popołudnie, przed biblioteką publiczną na 42. Ulicy przechodziła dobrze ubrana kobieta, uczepiona ramienia jakiegoś mężczyzny. Siedziałam na schodach i uśmiechnęła się do mnie.

Złapałam się na tym, że odpowiadam jej uśmiechem, dając do zrozumienia (tak to czułam): „Lubisz mnie. Ja ciebie lubię. Nienawidzisz mnie. Ja ciebie nienawidzę. Widzisz! To jest to samo!” Musiała pomyśleć to samo, gdyż jej twarz zastygła w tym uśmiechu. Poszła dalej, wciąż się uśmiechając — podobnie jak ja.

Innego dnia poderwałam na Third Avenue młodego człowieka. Poszliśmy do jego mieszkania i odbyliśmy stosunek. Chłopak był całkiem miły, ale kiedy z nim kończyłam, wyglądał na przerażonego. Sądzę, że pokazałam mu tę stronę jego charakteru, o której do tamtej pory nie miał pojęcia. Poznałam po jego twarzy, że się boi. Uparłam się, żeby zaparzył kawę. Kiedy piliśmy ją, wciąż jeszcze nadzy, powiedziałam mu, jak bardzo go nienawidzę i jak bardzo on mnie nienawidzi. Dodałam też, że im bardziej się kochamy, tym bardziej się nienawidzimy. Widziałam, jak krew odpływa mu z twarzy, widziałam strach w białkach jego oczu. Wyraźnie bał się kłopotów. Kiedy wymamrotał coś o panu Hyde i doktorze Jekyllu, powiedziałam: „O nie, stary! Złóż tę dwójkę w jedno bez przeskakiwania tam i siam, a będziesz miał to jak na dłoni. Jekyll-Hyde. To ideał. Rozumiesz?”

Na ile sobie przypomina, dalszy jej rozwój również składał się z dwóch etapów. Pierwszy przeszedł bardzo szybko. Osiągnęła wówczas całkowitą niezależność. Nie troszczyła się o nikogo ani o nic, o ile nie było to niezbędne dla zaspokojenia jej potrzeb bytowych lub pragnień. Nie musiała już decydować, czy postępuje słusznie, czy też nie; czy życie jest dobre, czy złe; czy należy z nim zerwać, czy też je kontynuować; czy coś lubi, czy też nie; czy jest lubiana, czy wprost przeciwnie; czy ma wypełnić to, do czego się zobowiązała, czy się ma też od tego wymigać.

Drugi etap był o wiele trudniejszy i przebiegał skokami. Zaczął się od tego, iż niemal popadła w samouwielbienie. Zakończył „ślubem z nicością” i pełnią „nagiego światła”. Kilka lat później, podczas egzorcyzmów, stało się jasne, że tymi słowami określała totalne podporządkowanie się złemu duchowi.

Zaczęła dogłębnie i skrupulatnie badać swoją percepcję. Początkowo była zafascynowana swoją umiejętnością postrzegania: doznania były tak zadziwiająco świeże, iż miała wrażenie, że płyną z najbardziej pierwotnego źródła — z niej samej. Widziała siebie jako geniusza, zdolnego postrzegać wszystko pojedynczo, bez zbędnych wątpliwości. Towarzystwo innych uważała za męczące i destruktywne. Rozmowa z kimś innym

osłabiała ostrość jej percepcji; współdziałanie z kimś innym oznaczałoby, że musi przywdziać cudze szatki i nie być już w pełni sobą; jakikolwiek związek uczuciowy z drugą osobą oznaczałby, że każde jej uczucie będzie względne, gdyż zmusi ją do brania pod uwagę partnera. Idealem, jak sądziła, byłaby sytuacja, w której każdy w pełni odczuwał to, co czuje; absolutnie myślał to, co myśli; pragnął totalnie tego, czego pragnie. Koncentracja na sobie sięgała zenitu.

Zanim osiągnęła stan absolutnego odosobnienia, każda rozmowa czy posiłek z innymi osobami, a nawet wysłuchanie wykładu czy ćwiczenia w pracowni, utrudniały jej powrót do „przestrzeni wewnętrznej i pojedynczego widzenia”. Wracając z „dwoistą wizją”, była zagubiona, zakłopotana i niepewna. Musiała potem całymi dniami „robić swoje” — chadzać do parku (to robiła niemal codziennie), siedzieć w swym mieszkaniu, zapisywać całe stronicie i prawie natychmiast je drzeć, nigdy ich nie czytając, godzinami siedzieć lub stać nieruchomo — aż w pełni zanurzyła się w sobie. I nagle cichł cały zgłęb. W obecności swego wewnętrznego „ja” znów była naga. I absolutna. I bezpieczna. Nie przeszkadzały jej już ani nie drażniły „złe wpływy” innych.

W miarę jak coraz bardziej panowała nad swoim wyizolowaniem, uświadamiała sobie, że to „ja”, którego szukała, leżało „poza” i „pod” — tak to określała — światem jej akcji i reakcji psychofizycznych. Poza zasięgiem nie kończącego się rytmu odpowiedzi, zapisów jej pamięci, trajkotania koleżanek i ogłuszających monologów poszczególnych osób. Powoli stawała się coraz wrażliwsza i z coraz większą nadzieją czekała na to „ja”, owinięte w półprzejryste cienie. Wierzyła, że będzie ono niezależne od rozprasającego ją świata zewnętrznego i jej wewnętrznej sceny psychicznej, wiecznie zdanej na łaskę tamtego świata i nieustannie przez niego druzgotanej. Wewnątrz „ja” nie było miejsca na niespokojny ruch szczegółów. Zaczęła wierzyć, że jeśli zapobiegnie ingerencji „złych wpływów” innych, osiągnie „doskonałość osobowości”.

— Jednym z moich wielkich odkryć było to, że w każdym układzie z innymi — w rozmowie, we wspólnej pracy, a nawet obserwacji, jak rozmawiają lub współdziałają — występują dwa „nurty” komunikacji.

Pierwszy, „zewnętrzny” — w ten sposób go odbierała — był ten, na którym słyszała, widziała, dotykała, smakowała, wąchała, zapamiętywała obrazy, przetwarzała je w myśli i werbalizowała. Wszystkie te funkcje mogła naśladować zrecznie

skonstruowana maszyna, taka jak komputer. Wiele odkrywano u zwierząt o wyższym stopniu inteligencji. Ale istoty ludzkie nie mogłyby się porozumiewać na owym „zewnętrznym” poziomie, gdyby nie ów drugi „nurt”.

Tym drugim poziomem komunikacji był, według Marianne, „przekaz” lub „przepływ” od jednej osoby do drugiej. Ilekroć dwoje ludzi komunikuje się ze sobą, czyni to równocześnie na obu poziomach. Tak jest, nawet jeśli o tym nie wiedzą albo nie chcą się do tego przyznać.

Marianne miała bardzo sprecyzowaną koncepcję *źródła*, owego drugiego stopnia komunikacji. Wykształcenie akademickie i duże czytanie pozwoliły jej nadać tym poglądom dość wyrafinowany kształt.

— Źródło nie tkwi w podświadomości, nie ma też nic wspólnego z szóstym zmysłem albo telepatią, albo jakąś inną efektywną etykietką — wyjaśniała.

Uważała, że dla każdego jest nim jego jaźń.

Twierdziła, iż jaźń dysponuje środkami łączności, które obywają się bez wyobrażeń, myśli, logiki i innych znaczących elementów. Psycholodzy i fizjolodzy, jak wiedziała, utożsamiali jaźń z ośrodkowym układem nerwowym, synapsami i mechanizmem odczuwania. To brzmiało tak, jakby skrzypce były źródłem muzyki. Ludzie wierzący i spirytualiści nazywali jaźnią „duszę” albo „ducha” — a nawet Boga lub jakieś inne bóstwo. I zarówno psycholodzy, jak i wierzący nalegali, byś czynił wybór. A skoro tak, to u większości ludzi źródło i „nurt” były rozdarte pomiędzy „czern” i „biel”. Większość ludzi wciąż wybierała, odpowiadała, była odpowiedzialna za swoje postęпки, potwierdzała albo przeczyła i przez to „rozszczeplała swoją prawdziwą tożsamość”.

Marianne nader rzadko trafiała na kogoś, kogo „strumień” wchodził w nią i opuszczał ją, nie rozszechając jaźni, którą w sobie odkryła. Pamięta, że odpowiedni był „nurt” Człowieka, że nawet pomagał jej dotrzeć do „półprzejrzystych cieni”. Czasem też odbierała pomocne prądy od ludzi spotykanych w metrze, na ulicach lub przed wystawami sklepowymi. Nigdy jednak nie udało się jej stwierdzić, od kogo pochodzą. Życie codzienne Marianne sprowadzało się do nieustannego chronienia jej „nurtu” przed wszystkimi, wyjąwszy tych, którzy podobnie jak jej ideał, mieli „doskonały strumień” i „doskonałą równowagę”, tych, którzy „mieli w sobie nicość”.

Niejasno przypomina sobie, że wówczas nadal była prowadzona przez Człowieka; widywała go regularnie; słuchała jego

słów; wykonywała jego polecenia. Nie można jednak wydobyć od niej nic konkretnego na temat tych instrukcji. Nawet dzisiaj każda próba ich odtworzenia wywołuje u Marianne paniczny lęk, który na chwilę paraliżuje jej umysł. Tak jakby w zakamarkach jej psychiki zachowały się szczątki wpływu Człowieka i każdy powrót do dni opętania na nowo otwierał ranę.

Któregoś dnia w Bryant Park to jej borykanie się ze sobą znalazło swój kres. Weszła tam ostrożnie, czując „strumienie” wszystkich tam obecnych, gotowa uciec, jeśli jakaś przeszkoda stanie jej na drodze. On siedział na ławce, nie robiąc nic szczególnego, patrząc obojętnie w przestrzeń.

Marianne usiadła na drugim końcu tej samej ławki i bezmyślnie gapiała się na rozgrywające się dookoła niej sceny. W świetle porannego słońca, pod oczyszczonym przez lekki wietrzyk niebem, brzęczał ruch uliczny, świadczący o wadze, jaką inne istoty ludzkie przywiązywały do swej codziennej pracy. Uczniowie i pracownicy biurowi mijali się, idąc w przeciwnych kierunkach. Gołębie się dożywiały. Trudno byłoby o spokojniejszy obrazek z życia miasta.

Nagle, w jednej chwili, jakieś potworne ciśnienie osaczyło Marianne ze wszystkich stron, niczym sieć. Zadygotała. I wówczas jakaś niewidzialna ręka ściągnęła tę sieć tak, że sznury przeniknęły przez każdy cal jej ciała i zewnętrznego „ja”, zaciskając się coraz mocniej. „Jakby ta sieć kurczyła się, zbierając i prasując wszystkie cząsteczki mej jaźni.”

Marianne już nie widziała ani nie czuła słońca ani wiatru. Zewnętrzny świat stał się płaskim malowidłem, ani ciepłym, ani zimnym, ani też wyrazistym. Wszystkie ruchy ludzi, zwierząt i pojazdów postrzegała jako wyraziste schematy, pozbawione głębi i odpowiadających im dźwięków. Z całej tej sceny uszło nagle jej znaczenie.

Tylko wewnątrz niej coś się działo. „Sieć, niczym ostra, wszechogarniająca ręka, zaciskała się coraz bardziej, zwężając moją świadomość. To ciśnienie z każdą chwilą „otwierało najtajniejsze zakamarki mojej jaźni, sprawiając, że mówiłam: tak, tak, tak potędze, która nie uznałaby odpowiedzi nie”.

I nikt z tych, którzy widzieli dziewczynę, siedzącą bez ruchu i wygrzewającą się na słońcu, nie przypuszczał nawet, że ma do czynienia z opętaniem.

Niespodziewanie nacisk zelżał. Sieć się już zacisnęła. Marianne była uwięziona, ale bezpieczna. I wtedy poczuła, jak podczas przebudzenia, że jakaś mgła opuszcza jej świadomość, dostarczając nowych wrażeń. Wiedziała już, że dotąd — przez

całe życie — znajdowała się na skraju „zmroku, nieodłącznej ciemności”. I mimo iż znów widziała trawę, drzewa, mężczyzn, kobiety, dzieci, zwierzęta, słońce, niebo, budynki, ich błahość i niewinność, dostrzegała wszędzie ów zmrok.

Zmrok wkradł się w nią, niczym wąż wślizgujący się swobodnie i leniwie do ulubionej jamy, niosąc ze sobą ulotny powiew takich „przydymionych przejrzystości”, takiego „mrocznego światła” i takich „najjaśniejszych cieni”, że całą jej istotę przeniknął dreszcz.

To, co w nią weszło, wydawało się mieć „osobowość”, indywidualną tożsamość, tak kusząco wstrętą, że dreszcz, który poczuła, dał jej wprost niewyobrażalną „rozkosz bólu”. Miała wrażenie, że „cała cichnie, nabiera świadomości siebie i rozpłaszcza wszystkie pajęczyny”. To było jak miłość do otwartej paszczy aligatora. Każdy bryzg jego śliny, każdy ząb, każda szczelina w jego pysku, wszystko to było „zwierzęce, po prostu zwierzęce, a co więcej, posiadało osobowość”.

Wciąż powtarzała w duchu: „tak”, jakby przyjmowała oświadczenia albo kapitulowała. Wydawało się, że czas zamarł, a „to bestiarium zwierzęcych głosów, zapachów i istnień” stopniowo wlewało się w jej świadomość, mieszając się tam z dziecięcym śmiechem, głośnymi żartami robotników i strzępami rozmów przechodzących w pobliżu par. Wszystkie te dźwięki, które ożywiały poranek, kiedy wchodziła do Bryant Park, teraz przesiąknięte były „nowym odorem zgnilizny, wonią rozkładających się staroci i zupełnie nowych rzeczy”. Chłodny szelest wiatru i szum ruchu ulicznego kisiły się w zalewie „stęknień, parsknięć, syków, wrzasków i żalosego beczenia”. Błękit nieba, lśniące lica drapaczy chmur, zieleń trawy, wszystkie kolory wokół niej, jak sobie dzisiaj przypomina, spowite były w brązy, czernie i czerwienie.

To była ta „równowaga”, której tak łaknęła. „Wreszcie znalazłam swoje miejsce”, pomyślała. Rzecz jasna, było ono tam zawsze. To uznała za najbardziej niesamowity cud. A sednem tego cudu było to, iż znajdowało się ono „nigdzie, w pokoju z jednym pustym krzesłem, które nie istnieje, i o nagich ścianach, nikiących w nicości” i że ona sama w końcu zobaczyła, jak „ostatnia iluzja rozwiewa się i ginie wchłonięta przez jednoczącą wszystko pustkę”.

Uszczęśliwiona nowo odkrytym „dreszczem równowagi”, wstała, chcąc opuścić park. I wtedy chlasnęła ją muzyka z czyjeś radia, ponownie przywołująca ten niechciany, hałaśliwy świat. Wąż, kryjący się wewnątrz Marianne, nagle rozwinął się

jak bicz. Miotał się wściekle, nie dopuszczając do niej najdrobniejszych nawet przejawów piękna czy też łaski. Miała wrażenie, że wirując, spada. Jakby w jej głowie puścił jakiś trybik, nabierający rozpędu i przeszywający wszystko przenikliwym piśkiem. Ziemia uniosła się i uderzyła ją w czoło. Ale prawdziwe cierpienie kryło się głęboko, we wnętrzu dziewczyny.

— Nawet nie wiedziałam, że można czuć taki smutek i taki ból — opowiadała później. — Pomagając mi odejść, Człowiek mówił niewiele. Ale to, co powiedział, wraziło się w moją pamięć. „Nie bój się. Wzięłaś ślub z nicością i należysz teraz do Królestwa.” Rozumiałam to doskonale, nie odwołując się wcale do mego rozumu czy też intelektu. Odpowiedziałam: „Tak! Tak! Wszystko we mnie do niego należy”.

I nic już nie było takie jak przedtem, aż do dnia, w którym poddano mnie egzorcyzmom.

Nie wynikało to nawet z tego, co Marianne pojęła. Ważniejsze było, kim się stała.

— Nie stałam się kimś innym. Byłam tą samą osobą. Rzecz w tym, że byłam przekonana, iż osiągnęłam wolność dzięki temu, że coś we mnie weszło i sprawiło, że jestem całkowicie niezależna.

Chciała potwierdzić to, co czuła.

— Kiedyś, mniej więcej na rok przed egzorcyzmami, poszłam do psychiatry — tylko po to, by zorientować się, na ile odeszłam od powszechnego pojęcia normalności. Słuchając go, uświadomiłam sobie, że wszystko, co mówił, terminologia, którą się posługiwał, i teorie, na których polegał, to czcze słowa, nie sięgające nawet w połowie do miejsca, w którym ja się znalazłam. Traktował mnie jak chore ludzkie zwierzę — koncentrując się na tym, co we mnie było *zwierzęce*. Nie miał pojęcia o duchu, a ja wiedziałam, że jeśli nie może pojąć mej części duchowej, nie zdoła *mi* zrozumieć. Zasypywał mnie słowami i teoriami. Próbował nawet jakiejś amatorskiej hipnozy. Skończył, mówiąc więcej o sobie niż o mnie.

Drugi psychiatra powiedział mi, że powinnam podróżować, uwolnić się od tego wszystkiego — ale to było już pod koniec długiej sesji. I znów odkryłam, że nic z tego, co mówił, terapeutka — tym razem była to kobieta — i nic z tego co robi, opierając się na uznanych metodach psychoanalizy (rozmowy, monologi na kozetce, hipnoza, farmakologia itd.), nie sięga nawet za płytki poziom mych reakcji psychicznych i świadomości. Wciąż odnosiłam wrażenie, że krążyła wokół mnie, zafascy-

nowana obrazami, zewnętrznymi przejawami i terminologią. Widziałam też, że moja psychika, ten mizerny, ograniczony mechanizm, odpowiada na jej zabiegi. Ale prawdziwe „ja”, to głębsze, nie posługujące się obrazami ani słowami, było nietknięte. Na ten obszar nie wkroczył żaden terapeuta. Żaden psychiatra nie mógł precyzyjnie się przez te drzwi, gdyż zanadto ciężyły mu obrazy, odczucia i koncepcje, które niósł. Tam zaś może wkroczyć i zamieszkać tylko nagie „ja”.

Od tamtego czasu, na ile mogli to ocenić ludzie patrzący z zewnątrz, Marianne zaczęła się staczać. „Ślub z nicością”, zawarty w Bryant Park, przeciął pewne cumy.

Sięgała po wszelkie formy stosunków seksualnych z mężczyznami i kobietami, ale nigdy nie znalazła kogoś, kto chciałby „pójść na całość”. Lesbijki rzadko angażowały się w pełni, szukały jedynie zaspokojenia i rozkoszy bez udziału mężczyzny. Mężczyźni, którzy zdobywali się na stosunki analne, nabierali wstrętu i tracili energię, kiedy chciała je doprowadzić do — jak to określała — „najdalszego krańca”. W jej odczuciu, pragnęli tylko nowego doznania, ale daleko im było do „całkowitego zezwierzecenia”. Mogli przyjąć tylko „trochę z bestii”. Brakowało im „rozkoszy bestialskiej piękności i upiększonej bestii”.

Nieliczni sąsiedzi, którzy widywali ją regularnie, doszli do wniosku, że jest dziwna. Rzadko się odzywała. W sklepach to, co chciała kupić, pokazywała ręką albo wręczała ekspedientom, pochrząkując. Nikomu nie patrzyła w oczy. Wszyscy, znajdując się w jej obecności, mieli niejasne wrażenie, że coś im zagraża, czuli w niej jakiś nieokreślony, a niepokojący ogień.

Rodzice kilkakrotnie próbowali ją odwiedzić, ale rozmawiali tylko przez zamknięte drzwi. Odzywała się do nich, używając najwulgarniejszych słów.

Kiedyś sąsiedzi przez cztery albo i pięć godzin słuchali głuchych łomotów i stuków dobiegających z jej mieszkania. W końcu przewyciężyli typową dla mieszkańców East Village niechęć do wtrącania się w cudze sprawy i wezwali policję. Drzwi trzeba było wyważyć. Odór przenikający jej pokój wywoływał mdłości. Nie mogli też pojąć, dlaczego panował tam przenikliwy ziąb, podczas gdy Nowy Jork pławił się w duszącej wilgoci, typowej dla pełni lata.

W pokoju panował chaos. Na podłodze wokół łóżka i stołu, w szafkach, łazience i kuchni, wszędzie znajdowały się tyśiące podartych papierków pokrytych nieczytelnymi zapiskami. Marianne leżała na łóżku, jedną nogę miała zgiętą, z kącika jej

ust ciekło nieco krwi, oczy zaś były otwarte i nie widzące. Oddychała regularnie.

Wezwana przez kogoś karetka przyjechała w tej samej chwili, gdy Marianne ocknęła się i usiadła. Jednym spojrzeniem ogarnęła całą scenę. Wyraz jej twarzy zmienił się raptownie. Przemówiła normalnym głosem, zapewniając przybyłych, że nic się nie stało. Wyjaśniła, iż spadła z krzesła, wieszając zasłony.

— Policja nie chciała kłopotów — opowiada dzisiaj, wspominając tamten incydent. — Zresztą promieniowałam wtedy nadmiarem siły i pewności siebie. Marzyłam tylko o tym, by wyrzyszczyć im w twarz: „Wszystko przegapiliście! Właśnie zerznął mnie wielkobruchy pajak.” Ale mówienie o tym nie miałooby sensu.

Zostawili ją w spokoju.

W owym okresie Marianne straszliwie cuchnęła, a na jej łydkach i grzbietach dłoni można było dostrzec stale jakieś skaleczenia i sińce. Nie okazywała żadnych emocji, chyba że miała do czynienia z krucyfiksem, kimś robiącym znak krzyża, odgłosem kościelnych dzwonów, zapachem kadzidła wymykającym się z kościelnych wrót, zakonnica lub księdzem, a także z przywołaniem imienia Jezusa (nawet w formie żartu lub odruchowego wykrzyknika). Jej brat, George, odwiedzając później miejsca, w których najczęściej bywała, dowiadywał się często, że w takich chwilach kulila się w sobie, niczym pod gradem ciosów, a ze szczeliny w jej upiornym, wiecznym uśmiechu dobywał się głuchy pomruk, wyraz najgłębszej odrazy.

Rzadko stawała się agresywna. Kiedyś pewna uczennica, zbierająca datki na rzecz miejscowego kościoła, wyciągnęła do niej skarbonkę, prosząc o wsparcie. Marianne wrzasnęła coś przez zęby, osłoniła oczy dłońmi, zaniósła się histerycznym płaczem i zaczęła kopać dziewczynkę po nogach. Dziś jeszcze sobie przypomina, że na skarbonce umieszczono wizerunek ukrzyżowanego człowieka oraz imię *Jezus*.

Dość łatwo przychodziło jej natomiast odpychanie potencjalnych agresorów. Pewnego październikowego wieczoru, tuż po zapadnięciu zmroku, na rogu Leroy Street została zaskoczona przez opryszka. Doskonale pamięta, że zaszedł ją od tyłu. Nieśpiesznie odwróciła się do niego, prezentując w całej okazałości swój krzywy uśmiech.

— Tak, mój bracie?

Zatrzymał się, jakby wpadł na niewidzialny mur, wpatrując się w nią ze zdumieniem. Wyglądało na to, że się niespodziewa-

nie i boleśnie poharatał. Potem, z przerażeniem w oczach, wycofał się i wziął nogi za pas.

Około maja roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego zaczął się przełom. Brat Marianne przyjechał na dłużej do Nowego Jorku. W owym okresie był już żonaty i miał dwoje dzieci. Nielatwo było mu wygospodarować czas na wizytę w domu rodzinnym. Matka regularnie informowała go w listach o niemożności porozumienia z Marianne. W żaden sposób nie dawała mu jednak do zrozumienia, jak bardzo zmieniła się jego siostra.

Po przyjeździe dowiedział się wszystkiego. Rozmawiał z ostatnimi pracodawcami Marianne i z nielicznymi osobami, które się z nią stykały — z gospodarzem domu, sklepikarzem i kilkoma innymi. Udał się nawet na miejscowy posterunek policji. Nowiny były bardzo złe. Nikt nie mówił dobrze o jego siostrze. Trudno mu było uwierzyć, że te opowieści dotyczą małej Marianne, z którą był niegdyś tak zżyty. Niektórzy mówili o niej z bolesnym dla niego lekceważeniem. Inni bali się o nią. Pewien sierżant policji nie przebierał w słowach:

— Gdybym nie wiedział, co jest grane, synu, powiedziałbym, że jesteś cholernym łgarzem, a nie bratem tej pani. To bardzo paskudna sztuka. Co więcej, jest w niej coś brudnego. Nie pasuje do takiego fajnego chłopaka.

George postanowił w końcu, że sam odwiedzi siostrę. Zanim wyszedł, matka na chwilę zatrzymała go w kuchni. George wspomina dzisiaj, że go ostrzegła, że „to, co gryzie naszą małą, to coś niedobrego, coś naprawdę niedobrego. Tu nie chodzi o jej ciało. Nie chodzi też o jej umysł. Oddała się złu. Właśnie tak. Złu.”

George większość z tego, co słyszał, przyjmował z dystansem: przesądna i ukochana mama niepokoiła się o swoje swoje dziecko. Dała mu nawet krzyżyk i poleciła, by schował go w pokoju Marianne. Powiedziała:

— Zobaczysz, synku. Ona tego nie zniesie. Zobaczysz.

Żeby ją zadowolić, wziął krzyżyk, schował do kieszeni, natychmiast o nim zapomniał i ruszył do mieszkania siostry.

Marianne i George spotkali się wówczas po raz pierwszy od ośmiu lat. Był także pierwszym członkiem najbliższej rodziny, którego dopuściła do siebie po sześciu latach izolacji. Marianne najwyraźniej cieszyła się, że może go widzieć w swym jednopokojowym mieszkanku. Ale George, siedząc tam i słu-

chając jej cichego, monotonnego głosu, szybko pojął, że z nią naprawdę jest źle, że zaszła w niej jakaś bardzo głęboka zmiana.

Nadal dostrzegał w niej swą siostrę — poznawał gesty, które pamiętał z dawniejszych lat. Wciąż jeszcze miała te same „rodzinne cechy”, które występowały i u niego. Ale widział też coś innego:

— Kiedy do mnie mówiła, miałem wrażenie, że jej umysł zaprzętało coś innego. Mówiła to do kogoś innego, powtarzała coś, co podszeptował jej ktoś inny.

Dręczyło go coś dziwnego, co sprawiało, że we własnych oczach wychodził na głupca: wiedział, że nie są sami. Intrygowało go nie tylko jej zachowanie, ale i sposób, w jaki na niego oddziaływało: przerażała go. A George'a zazwyczaj trudno było przerazić. Nigdy też nie bał się nikogo ze swej najbliższej rodziny.

Trochę dodało mu ducha to, że kilkakrotnie w ciągu tej rozmowy dostrzegał przebłyski osobowości, którą pamiętał z młodych lat, kiedy to byli nierozłączną parą. Ale w owych chwilach Marianne wydawała się prosić o pomoc, a może starała się przezwyciężyć jakąś przeszkodę, której nie umiała nazwać ani ujawnić. I znów ogarnęła go fala strachu. Przypomnił sobie wówczas słowa matki: „Ona tego nie zniesie. Zobaczysz.” Po części, z ciekawości, po części, żeby spełnić pragnienie matki, zdecydował się ukryć gdzieś krzyżyk.

Kiedy Marianne wyszła do łazienki, wsunął maleńki krucyfiks pod materac. Jak tylko siostra wróciła do pokoju i usiadła na krawędzi łóżka, zrobiła się biała jak ściana i upadła sztywno na podłogę. Leżała tam, co chwila wypychając w górę miednicę, jakby targał nią potężny ból. W przeciągu kilku sekund wyraz jej twarzy przeszedł z marzycielskiego w niemal zwierzęcy: z ust ciekła jej piana, zęby szczyrzyły się w grymasie cierpienia i złości.

George wybiegł z mieszkania i zadzwonił z budki do rodziców. Przyjechali mniej więcej po trzech kwadransach, przywołując ze sobą lekarza domowego. Tamtej nocy zabrali Marianne do swego mieszkania na górnym Manhattanie.

Kolejne tygodnie były dla jej rodziców i George'a prawdziwym koszmarem. Mieli wreszcie swobodny dostęp do Marianne. Cały czas przebywała w stanie, który lekarz umownie nazwał komą. Czasem jednak niespodziewanie się budziła, zjadała coś szybkiego, histerycznie warczała i pluła, nie panując nad swoją fizjologią, co zmuszało rodzinę do ciągłego jej mycia,

a w końcu wracała do owego dziwnego stanu, zbliżonego do śpiączki.

Czasem, w środku nocy, odkrywali, że krąży po pokoju, potykając się o meble, zawsze z tym samym potwornym uśmiechem. Lekarz stwierdził, że jej stan nie wynikał z nadużycia narkotyków albo alkoholu. Zalecono jej pobyt w szpitalu, lecz zaraz ją zwolniono. Mimo iż była niedożywiona, lekarze nie znaleźli u niej żadnych wad organicznych ani śladów choroby czy kalectwa.

Ojciec od samego początku nalegał, żeby sprowadzić do Marianne księdza z ich parafii, ale każda taka wizyta kończyła się katastrofą. Wydawało się, że ona z góry wie, iż ksiądz ma przyjść. Dostawała ataków szału. Budziła się, próbując zaatakować kapłana, zalać go potokiem wulgarnych słów, zedrzeć sobie skórę, wyskoczyć z piętnastego piętra albo walić głową o ścianę.

Ciągle się coś działo. Drzwi od jej pokoju nigdy się nie zamykały; zawsze tłukły się tam i z powrotem. Obrazy, rzeźby, stoły, szyby i naczynia regularnie pękały i rozsypywały się w proch. To wszystko, zważywszy jeszcze na ten trudny do zniesienia, nie odstępujący jej odór, sprawiło, że jej matka i brat zwrócili się do władz kościelnych. Mogła być myta i perfumowana, pokój mógł być sprzątnany i szorowany, a i tak wszystko cuchnęło niepojętą zgnilizną. Te zjawiska, w połączeniu z niezwykłą agresją, jaką obserwowano u Marianne, kiedy przytykano jej do ust różaniec albo krucyfiks, przekonały ostatecznie jej rodzinę, że źródło jej choroby nie znajduje się w ciele ani w umyśle.

Peter przybył do Nowego Jorku w połowie sierpnia i natychmiast otrzymał krótki zarys sytuacji. Zażądał dwóch wizyt wstępnych i badań, podczas których, co najdziwniejsze, nie doszło do żadnych przejawów agresji. Za pierwszym razem towarzyszyło mu dwóch wybranych przez niego lekarzy. W pełni z nimi współpracowała. Drugą wizytę złożył wraz z nim doświadczony psychiatra. Ten specjalista badał ją przez dwa czy trzy tygodnie, uważnie wszystko notując, nagrywając rozmowy, omawiając ten przypadek z kolegami, wypytyując jej rodziców i przyjaciół. Na koniec stwierdził, że nie umie jej pomóc. Polecił jednego ze swoich współpracowników. Tamten, opierając się na rezultatach seansu hipnozy, długich wywiadów z Marianne i terapii farmakologicznej, stwierdził, że współczesna psychologia nie pozwala uznać jej za nienormalną.

Peter dopiero na początku października uznał, iż ma moralne prawo twierdzić, że ma do czynienia z autentycznym przy-padkiem opętania i może przystąpić do egzorcyzmów. Postanowił, że zrobi to w poniedziałek, we wczesnych godzinach porannych. Wcześniej wytypował pomocników i przez wiele godzin uczył ich, co powinni i co mogą robić, a także — czego muszą unikać podczas tego obrzędu. Potrzebni byli mu głównie po to, by obezwładnić Marianne. Głównym jego asystentem miał zostać pewien młody ksiądz, do którego obowiązków należało obserwowanie działań Petera, ostrzeganie go, jeśli sytuacja wymykała się spod kontroli, korygowanie ewentualnych błędów i — jak to ujął — „rąbniecie mnie w łeb i wejście na moje miejsce, jeśli zrobię kardynalny kiks”. Wszyscy pomocnicy mieli przestrzegać jednej podstawowej zasady: nie angażować się w rozmowę z Marianne.

W przeddzień egzorcyzmów, późnym wieczorem, kiedy gawędził z przyjaciółmi, otrzymał niepokojący telefon. George twierdził, że stan Marianne się pogorszył. Miotła się po mieszkaniu, wzywając Petera. W całym domu zaczęły występować zjawiska, na które nikt nie miał wpływu. Nie ograniczały się do mieszkania jej rodziców. Sąsiedzi narzekali, a domownicy padali ofiarą dziwacznych zdarzeń. Sytuacja wymykała się spod kontroli.

Peter niezwłocznie opuścił dom i przed północą był już na miejscu. Z miejsca przystąpił do przygotowań. Pomocnicy już na niego czekali. Nie spieszył się z wejściem do pokoju Marianne. Poleciał im, by usunęli z łóżka pościel i położyli opętana na kocu narzuconym na materac. Nie opierała się, leżała na wznak, oczy miała zamknięte, jedynie chwilami pojękiwała lub warczała. Zwinęli dywan i wynieśli niemal wszystkie meble. Peter potrzebował tylko nocnego stoliczka, na którym mógł umieścić świecę, krucyfiks i modlitewnik, oraz szafki, w której schował magnetofon. Pieczołowicie zamknięto okna i zaciągnięto story. O trzeciej trzydzieści wszystko było gotowe do egzorcyzmów.

Czterej pomocnicy zgromadzili się w małym pokoju, wokół łóżka Marianne. Jedyne światło dawały im świece stojące na nocnym stoliku. W powietrzu unosił się odór stęchlizny, nieodłącznie towarzyszący Marianne. Tego smrodu nie mogły zabić nawet kulki nasączonych amoniakiem waty, które wepchnęli sobie w nozdrza. Od czasu do czasu dobiegał do nich ryk klaksonu lub syreny policyjnej. Byli napięci. Główna postać tego spektaklu, Marianne, leżała bez ruchu na łóżku.

Kiedy Peter wszedł do pokoju, mając na sobie czarną sutannę, białą komżę i fioletową stulę, opętana próbowała się odwrócić od niego, ale dwaj pomocnicy ją przytrzymali. Nie odnotowali żadnych przejawów agresji aż do chwili, gdy egzorcysta podniósł krucyfiks, skropił ją wodą święconą i powiedział cicho:

— Marianne, w imię Boga, który cię stworzył, i Jezusa, który cię zbawił, nakazuję ci wysłuchać mych słów jako słów Kościoła Jezusowego i podporządkować się moim rozkazom.

Ani on, ani jego pomocnicy, nie byli przygotowani na wybuch, który wtedy nastąpił.

Marianne niespodziewanie uwolniła się i usiadła na łóżku. Rozchyliwszy nieznacznie usta, zawyla przenikliwie. Trwało to może minutę, bez przerwy na oddech i niezwykle głośno. Moc tego krzyku dosłownie odrzucała. Nie było w nim żalu, bólu ani błagania. „Tak mógłby wyć wilk albo tygrys, schwytyany i powoli patroszony”, powiedział potem były policjant. Czuło się w tym bunt i bezgraniczne cierpienie. To niepokoiło i zbijało z tropu. Ojciec Marianne rozplakał się i zagryzł wargi, by zdusić swój głos. Pragnął jej odpowiedzieć.

— W pierwszej chwili czuło się lęk — wspomina młody współpracownik Petera — Potem chciało się płakać. Później przychodził szok. I tak to leciało. *Zbijało z tropu.*

Kiedy umilkła, doszli do siebie i znów ją położyli. Nie bronila się. Na jej twarzy znów pojawił się uśmiech, wyginający wargi na kształt korkociągu. Dotknięcia mówiły im, że jej ciało jest lodowate. Leżała nieruchomo, rozluźniona. Pierwsze słowa, które wyszły z jej ust, też były spokojne.

— Kim jesteś? Przyszedłeś mi przeszkadzać? Nie należysz do Królestwa. A jednak jesteś chroniony. Kim jesteś?

UŚMIECHNIĘTY

Ojciec Peter podniósł wzrok.

„Zabawne” — pomyślał. — „Powiniennem się pocić.”

Dłonie miał suche, podobnie jak usta. Zerknął na dziewczynę. Powieki miała opuszczone, ale gałki oczne poruszały się, jakby przyłapał ją w środku ożywionej rozmowy. Jej uśmiech przypominał zwinięty bicz. Głowę lekko przechyliła w bok, jakby nasłuchiwała.

— Marianne! — powiedział niemal szeptem. Trudno mu było znaleźć w sobie głos.

Żadnej odpowiedzi. Dziesięciosekundowa cisza. Spróbował jeszcze raz, tonem rozkazu.

— Marianne!

— Niech лихо weźmie twe czułe serduszko — odezwała się cicho. — Należę teraz do Królestwa. Nie wiedziałeś? — Chwila milczenia. — A więc proszę, odwal się ode mnie. — Kolejna pauza. — Ze swoim małym Zio. — Przez moment zanosila się śmiechem. — Założę się, koleś, że on nawet nie wie, jak się walić!

Jej wargi odstoniły biały łuk zębów. Kurze stopki, widoczne w kącikach oczu, zniknęły. Rysy jej stwardniały.

— Chyba... chyba że... chcesz dostać się pod mój kafarrrrrrr...

Słowa zlewały się; mówiła na jednym oddechu; nie było widać ruchu warg. Kiedy to przedłużone „r” zamierało w nicości, zupełnie jak echo, Peter słyszał wyraźnie, jak z jej płuc uchodzi powietrze.

Czterej pomocnicy poruszyli się niespokojnie i spojrzeli na siebie. Dyrektor banku, zlany potem, dotknął wsadzonej w uszy waty, żeby się upewnić, czy jeszcze jest na miejscu. James, młodszy kapłan, odetchnął głęboko i już chciał coś powiedzieć, kiedy Marianne odezwała się ponownie, tym razem dość matowym głosem.

— Przepraszam, Peter — szepnęła, niczym kochanka, speszona, że wymusiła zbyt gwałtowny pocałunek, ale gotowa znów ugryźć, gdyby coś poszło nie po jej myśli.

— Marianne! — powtórzył z naciskiem.

Miał wrażenie, że to imię pociągnęło jakieś niewidzialne druty. Ciało opętanej zeszytniało. Głowa spoczywała na poduszce; twarz zwrócona była ku sufitowi; ukryte za powiekami gałki oczne znieruchomiały; przypominająca marmur, niezwykle napięta skóra odejmowała jej wiekowi jakieś dziesięć lat. Każdy mógłby powiedzieć, że to nastoletnia studentka, wsluchana w głos swego profesora. Gdyby nie ten uśmiech.

— *Lechah venichretha verith*.^{*} — Te hebrajskie słowa, które opuściły jej wargi, Peter rozumiał doskonale. — Dogadajmy się — ciągnęła. — Tylko ty i ja. Peter Smakosz.

W pamięci egzorcysty otworzyło się małe okienko, wyzwajając ukłucie panicznego strachu. Jakby z nocy niepamięci wy-

rwał się ku niemu jakiś nietoperz. Jakby ciśnięto mu w oko ziarnko piasku, które kasało go do łez. „Nie martw się. Nikt więcej się nie dowie. Tylko ty i ja.” Na moment wrócił do niego tamten letni wieczór, wróciły twarz i głos Mae. Tyle dla niego znaczyły. Ale głos Marianne rozbił w proch to wspomnienie.

— Dogadajmy się, Peter. Pomówmy o „nie” we „Wszechmogący”. Aleph. Beth. Gimel. Daleth. Shin. Czyżbyś zapomniał hebrajskiego?

Ton był drwiący, głos gardłowy, ani kobiecy, ani męski. Ziarnko paniki zmieniło się w głąz spychający spłoszonego Petera ku kratom okalającym jego umysł. Przypominał sobie opowieści o chytrych pułapkach i słowa starego Conora: „Chłopie, nigdy nie wdawaj się w dyskusje. Cwaniak to pierwszy mistrz w tej kategorii. Kiwnie cię, zanim jagnię zdąży machnąć ogonem.”

Peter spróbował zapanować nad sobą. Panika ustąpiła.

— Marianne!

Ale Pozór nie rezygnował.

— Sza! Peter! Może jednak trochę hebrajskiego? — Głos był teraz mniej gardłowy, można było doszukać się nuty błagania.

— Marianne, w imię Jezusa, nakazuję ci odpowiedzieć.

— Czemu nie możemy zapomnieć o przeszłości? Ty zapomnisz. Ja zapomnę. I wszyscy będą szczęśliwi.

— Marianne, należysz do Najwyższego...

— Zapomnij o tym, Peter. — Znowu ta twarda nuta. — Nie nudź. To *jest*, to *jest* Marianne. Prawdziwa Marianne ...

— Marianne, kochamy cię i dobrze znamy. Jezus ciebie zna. Zna ciebie Bóg. Odpowiedz mi przez wzgląd na imię Jezusa, który ciebie zbawił.

— Jeśli myślisz o tej małej, pryszczatej i nie obdarzonej biustem dziewczynce z grubymi szklami, srebrnym krzyżykiem i odciskami na kolanach...

— Tylko miłość może zbawiać i leczyć, Marianne.

Peter wiedział, że uniknął bezpośredniego starcia, a Pozór ciągnął dalej:

— ...i jej nie—mamo—tak—mamo—nie—tato—tak—tato—wybacz—mi—ojcze—bo—zgrzeszyłam. Daruj sobie to, Peter.

Ponownie wrócił ten gardłowy ton, ale tym razem przesycony miękkim, wzgardliwym pomrukiem, w którym Peter wyzuwał niejasną groźbę.

* No już! Dogadajmy się.

W uszy egzorcysty wdarł się jakiś nowy odgłos. Ojciec Marianne dygotał i z niepokojem wpatrywał się w szafkę. Mebel ten od siedemnastu godzin nie zaznał bezruchu. Nie przemawiali się tym zbyt. Ale teraz wyraźnie się kołysała; szczękały mosiężne kłamki.

— Daj tam trochę wody święconej — szepnął do swego współpracownika Peter. Usłyszał krótki syk, jakby na rozgrzany do czerwoności piecyk spadały krople wody.

Ale — w mgnieniu oka — inicjatywa wymknęła się z rąk Petera. Reakcja ojca Marianne i jego własny, cichy rozkaz rozproszyły go.

— Peter? Dobrze się czujesz? — Jej głos zabarwiła jakaś ironiczna troska. Grzechot ustał. — Wróćmy do tego „nie”. Cóż za różnica?

Peter zacisnął zęby i postanowił, że nie ustąpi.

— Wszechmogący — powiedział krótko — stanowi całość.

— Ha! Ale w parze z nim idzie Wszechniemogący.

— Brud nie idzie w parze z czystością.

— Bez ciemności nie ma światła, Peter. Nie ma światła.

— Wszechmogący nie może iść w parze z Wszechniemogącym.

— Błąd, pici—pici, pici—Peter.

Integracja psychiczna Petera osłabła na moment. Poczul, że jego umysł wpada w szpony sporów. Na nieszczęście, jego logika się buntowała. Ostrzeżenie Conora zbladło w obliczu wyzwania do pojedynku intelektów i wypalił:

— To niemożliwe...

— No to teraz mamy bal — przerwała mu triumfalnie, podnosząc głos. — Znam waszą mętniacką Zasadę Sprzeczności. *Esse et non — esse non possunt identificari*.^{*} Znam nawet łacinę! Ale tak jest teraz, Peter. Łapiesz? Tylko teraz. Może być inaczej.

Peter z trudem odciął się od tego sporu.

— Mariannel!

— Nie, Peter...

— W imię...

— Wszechniemogącego, a jeśli sobie życzysz, Wszechmogącego. Żadnych obiekcji. — Krótki wybuch potwornego śmiechu. — Któregoś dnia, już wkrótce, twoje *esse* i twoje *non* — *esse* zjedną się razem, jak...

* Byt i niebyt nie mogą być tym samym.

— ...Jezusa, Marianne...

— ...jak człon ze szparą, jak ręka z rękawiczką. To, co moje, jest... było... będzie...

Nagle zanosła się przenikliwym krzykiem; jej ramiona, biodra, uda, stopy, ręce, wszystko toczyło bój z rękoma, które ją przytrzymały, zupełnie jak u kobiety, którą doprowadzono do obłędu pieszczołami, ale nie dopuszczono do orgazmu.

— Peter, czy mnie ktoś wypieprzy, wypieprzy *esse* z mego tyłka? Wsadź we mnie swoje *esse* i wypieprz mnie, wypieprz. Zakończyła to żalonym skowytym.

Wujek Marianne łapał powietrze, jakby ktoś walnął go w krtań. Bębni Peter pękały, atakowane świdrującym krzykiem. Niemal czuł gorące lzy jej ojca, który przytrzymując córkę, płakał cicho i zagryzał wargi.

Peter wiedział jedno: Pozór pryskał, tamto musiało z czegoś zrezygnować. Ale do Przełomu nadal było daleko.

Nagle Marianne zwiotczała. Mężczyźni puścili ją i cofnęli się. Jej policzki zabarwiły się intensywnym kolorem. Głos, który wydobywał się z jej gardła, był teraz młodzieńczy, dociekliwy, spokojny, jakby recytował jakąś lekcję, nad wyraz dźwięczny. Kiedy mówiła, oczy miała zamknięte, jej głowa przetaczała się z boku na bok. Groźny uśmiech czał się teraz w kącikach ust, przypominając przemile kociątko.

— Widzisz. Tak sobie czegoś szukałam. Nie krzywdząc nikogo. Nawet siebie. Chciałam tylko skończyć z tym bolesnym wyborem. Mama i tata nie mogli mi pomóc. Nauczyciele też nie. Ani moi chłopcy. Wszystkich rozdzierały decyzje. Wszystkich dręczyły ich wybory. Bali się. Tak. Łapiesz? Bali się. Czuli lęk. Jakby psy ujadły u ich stóp. Czy tak ma być? Czy to jest szczęście? Czy to możliwe? Czy to niemożliwe? Całe mile ujadających, głupich pytań. Wiem, że znalazłam swoje prawdziwe „ja” i nie muszę już obawiać się wyboru. Już nie boję się błędów. Koniec z poczuciem winy.

Peter pojął, że tego potoku słów już nie zagarnie. Wymykała mu się, wciągając go w logiczne wywody, którym nie mógł się poddać, gdyż groziły zatrzaśnięciem jego umysłu w stałowym potrzasku. A wtedy nastąpiłby koniec. Fatalny. Jedynym sposobem wywabienia jej z tego zdradliwego stanu Pozorów było zalanie jej nieprzerwanym potokiem słów, przeczących wszystkiemu, co mówiła.

Przez wiele minut i na różnych etapach napięcia Peter i Marianne zachowywali się tak, jakby recytowali na przemian psalmy, zastępując siebie w tym dziele. Ale to, co mówili, nie

więzało się w żaden ciąg ani logiczny porządek. Peter dążył jedynie do tego, by podtrzymać jej ton. Szeptał, kiedy ona szeptała. Krzyczał, kiedy krzyczała. Kiedy mamrotała, mamrotał. Kiedy przerywała, nie pozostawał jej dłużny. Kiedy cichła, on również milczał. Gdyby można było nakreślić obraz ich zmagania podczas tej fazy, przypominałby on surrealistyczne zapasy o medal olimpijski, rozgrywane w zwolnionym tempie przez zawodników, którzy za przeciwników mają cienie, podczas gdy wszystkie kolory i działania zlewają się w mętną szarość, a wyniki rejestrują sędziowie, którzy jedynie wyczuwają ulotną obecność zawodników, nie widząc jej ani nie słysząc.

— Zderzenie możliwości i niemożliwości — gruchała Marianne — sprawia, że wszelkie ludzkie czyny stają się niemożliwe, zważywszy na zaropiałe podziały, zaciekle konflikty i powierzchniowe opinie...

— Jeśli Mnie kto miłuje — czytał Peter — będzie zachowywał moją naukę. — Walczył z chaosem, z odrętwiającym potokiem słów, który wiodł umysł ku nicości. — A Ojciec mój umiłuje go i przyjdziemy do niego, i będziemy u niego przebywać...

— ...dzielące nas i nasze połowice — wtrąciła Marianne. — Mówiących do mojego In: nie będziesz posiadać swojego Jang. Mówiących do twojego Jang: nie będziesz posiadał In...

Peter znów jej przeszkodził,

— Podobnie jak winna latorośl nie może przynosić owocu sama z siebie. — jeśli nie trwa w winnym krzewie... — Prostota tych słów dodała Peterowi energii. — Tak samo i wy...

— ...czyniąc męczyzną tworem jego dyndających zwojów nerwowych — wrzasnęła Marianne — a kobietę łóżem z seksu, skrzepów i...

— ...jeżeli we Mnie trwać nie będziecie — zawołał Peter, jak mógł najgłośniej. — Ja jestem krzewem winnym, wy — latoroślami. Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten...

— ...przepastnego łona. — Głos Marianne przechodził w chrapliwy warkot. — On na zewnątrz. Ona w środku. I nigdy się ci dwoje nie spotkają bez potu i jęków. Brr! Bo co jest na zewnątrz, jest na zewnątrz... — Wypuściła z siebie kłęb powietrza ku świecom stojącym na stoliku u stóp łóżka. Młody kapitan otulił knoty dłońmi.

Peter nie poddawał się. Czytał dalej, przebijając się przez chaos słów, odzwierciedlający panujący w pokoju odór, powołując się na słowa, które dawały mu wolność:

— ...przynosi owoc obfity, ponieważ beze Mnie nic nie możecie...

— ...a co jest wewnątrz, jest wewnątrz — wtrąciła. — Ta przestarzała sprawa zaczęła się dawno temu, podobnie jak ten bajer z panem i niewolnikiem, stworzeniem i stwórcą, bogiem i człowiekiem. Ta pieprzona, niewolnicza...

— ...uczynić — ciągnął dalej, wczytując się w tekst. — Ten, kto we Mnie nie trwa...

— ...gra w zwycięzców i przegranych. — Przerwała na moment, jakby nasłuchiwała. — Facet w białej sukni, jego obozowa dziewczka i ta wazelina. A potem dla nas...

Urwała. Otworzyła oczy i usiadła. Były policjant i dyrektor banku wyciągnęli ręce ku jej ramionom, obawiając się ataku agresji. Niepotrzebnie. Ojciec James pomyślał o starej litografii, przedstawiającej Jezusa i Marię Magdalenę, wiszącej w probostwie.

— Tak, mój młody eunuchu. Chodzi o niego i o nią — stwierdziła Marianne, patrząc porozumiewawczo na Jamesa, kusząc go.

Ale głos Petera sprowadził oszołomionego księdza na ziemię.

— ...zostanie wyrzucony jak winna latorośl i uschnie. I zbiera się ją...

— Matka Dziewica Maria Wirgilia oznajmiła nam, że niemożliwe nie może być możliwe. — Marianne znów położyła się na łóżku. — Ty *nam* to mówisz, powtarzaliśmy, patrząc na jej...

Peter wylapał tę nutę drwiny. Powiedział twardo:

— ...i wrzuca do ognia, i płonie. Jeżeli we Mnie trwać będziecie, a słowa moje w was, poproście o cokolwiek chcecie, a to wam się spełni. Ojciec mój przez to dozna chwały, że owoc obfity przyniesiecie i staniecie się moimi uczniami. Jak Mnie umiłował Ojciec, tak i Ja was umiłowałem ...

— ...zwiotczałe cycki, zapadnięte łono i ziemistą cerę. — Głos Marianne znów przechodził w falset. — Gdybyś tylko wiedziała, droga Matko. Niemożliwe nie jest...

Marianne chichotała. Peter nadal trzymał kategorię ton. Wrócił do miejsca, w którym mu przerwała.

— Wytwarzajcie w miłości mojej! Jeśli będziecie zachowywać moje przykazania, będziecie trwać w miłości mojej, tak jak Ja zachowałem przykazania Ojca mego i trwam w Jego miłości.

Marianne, nie przestając mówić, przekreśliła się na bok, całkowicie rozluźniona. Lekarz sprawdził jej puls — miał to robić co kwadrans, o ile jej ruchy nie byłyby zbyt gwałtowne.

— ...możliwe, jeśli niemożliwe nie trwa. Inaczej niemożliwe byłoby niemożliwe. Ale to naprawdę musiałyby być niemożliwe. — Mówiła ciszej, jakby zdradzała jakąś tajemnicę. — Naprawdę. Żeby możliwe mogło być możliwe. Musi być jedno i drugie. Musi być ...

Głos Petera był niższy i bardziej wibrujący.

— To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowalem. Nikt nie ma większej...

Wszyscy się nagle poderwali — ciało Marianne stało się sztywne jak deska. Mówiła dalej:

— ... i jedno, i drugie.

Jej słowa wysforowały się przed monolog Petera. Podniósł wzrok, czekając na pierwszy wiarygodny znak, że zbliża się Przełom. Gorączkowo ciągnęła dalej:

— Rzeczywiste jest rzeczywiste, gdyż istnieje nierzeczywiste. Czyste jest czyste, gdyż istnieje nieczyste. Pełne jest pełne, gdyż istnieje puste. Perfumy są perfumami, gdyż istnieje smród. Bóg jest bogiem, gdyż istnieje bezbożnik. — I cały potok słów, przetykanych pochrząkiwaniami, w bluźnierczej pogoni za tym, co mogłoby zbić z tropu i zwieść ludzką myśl i naiwny umysł. — Słodkie jest słodkie, bo jest i gorzkie. Co jest, jest, bo coś nie jest. Życie jest życiem, bo jest śmierć. — Owe chrząknięcia przedzierały wszelkie sprzeczności. Brzmiało to tak, jakby Marianne za każdym razem otrzymywała cios w żołądek. — Przyjemność to przyjemność, bo jest ból. Żar to żar, bo jest chłód. — Dalej wszystko zlało się w jeden wrzask.

— Góradółgrubycienkiwysokiniskitwardymiękkidługikrótkijasnyciemnydnoszczytwnętrzewnętrzewielejedenwielejedennwielejedenwielejedennnnnnnnnn...

Piskliwy głos gasł przytłoczony tym długim jednorodnym dźwiękiem, jakby się dławił. Wysięk był tak gwałtowny, że Marianne niemal wyrzuciło z łóżka. Jej napięte ciało przeżyło się gwałtownie.

Peter zakończył czytanie.

— Nie mam już czasu na rozmowy z tobą. Przychodzi ten, który ma władzę nad światem, ale nie nade mną. Nadszedł czas, że księżę tego świata zostanie wygnany z... — Przerwał w środku zdania i przyjrzał się Marianne.

Nadal była sztywna, nogi miała rozchylone, ręce złożyła na kroczu. W jej gardle zrodził się głuchy, bezgłośny pomruk, który rozchylił wargi.

Peter zaczął mówić szeptem:

— I jeśli tylko podniosą mnie z tej ziemi, przyciągnę do siebie wszystkich ludzi. — Umilkł, nie słyszał już pomruku.

Ciało Marianne nie było już napięte. Rażno przetoczyła się na bok. Jej dziewczęcy głos sugerował, że obrała nagle nowy kierunek ataku.

— Układy dwójkowe, tego właśnie potrzebujemy, wiesz? Tak, psze pana. Są w cybernetyce. Przedtem i potem. Plus i minus. Parzyste i nieparzyste. Negatyw i pozytyw. Zawsze będą z nami. Właśnie tak: z nami. Nie rozszczępią nas.

Peter nie dał się wciągnąć w tę grę, nie próbował nawet doszukiwać się w słowach Marianne jakiegokolwiek sensu. Ciągle te same pułapki, te szeroko otwarte furtki do przegranej. Znowu podniósł głos.

— Na tego, który rządzi tym światem, został już wydany wyrok. Duch uczyni mi tę łaskę, bo ze Mnie pochodzi...

— A kto nie jest ze Mną — podjęła drwiącym falsetem — jest przeciwko Mnie, mówi Pan. Żaden człowiek nie może służyć dwóm panom, mówi On. — Zniżyła głos. — A widziałeś kiedyś dwa fiuty w tyłku i szparze jednej dziwki, jeżdżące wte i wewte, by obsłużyć dwóch panów?

Ojciec Marianne odwrócił głowę i oparł się na ramieniu policjanta.

I znowu ten falset:

— Za kogo Mnie ludzie mają? mówi On. Czarne i białe, mówi On. — Głos przeszedł w skowyt, wdarł się w uszy Petera i jego pomocników. Aż się skrzywili. — Jesteś w porządku, mówi On. Wypadasz, mówi Pan Bóg Duchów. Owce i kozy, mówi. Gołębice i diabły, mówi. Złote obłoki i krwawa siarka. Wbijanie gwoźdźca w serce. Otwarcie przepastnej rany w mej jedni. — Nagle jej miednica zaczęła się rytmicznie poruszać w górę i w dół, a z ust wydobył się potworny krzyk. — Jebum! Jebum! Jebum!

— ...Ojciec do Mnie należy — powiedział spokojnie Peter, kończąc przerwana wypowiedź.

Kiedy to zrobił, Marianne umilkła. Stał teraz przy oknie, zwrócony twarzą do wnętrza pokoju, i bacznie obserwował leżącą na łóżku kobietę. Skomlała żałośnie:

— A ja chcę tylko skończyć z pytaniami. Nigdy więcej wyzwania. Nigdy więcej wyborów. Nigdy więcej *tak* i *nie*. Ani nawet *może*. Żadnych *nie wolno*. W Królestwie... — I głęboki bulgot, jakby mówiła przez galony wody, doskonale radząc sobie bez powietrza. — ...w Królestwie, w Królestwie, w Królestwie...

Instynkt nakazywał Peterowi przycisnąć ją do reszty. Egzorcysta czuł, że kończy się faza *Pozoru*, że za chwilę Marianne swój bunt skieruje przeciwko opętaniu, a tkwiące w niej zło zmuszone będzie do otwartej walki.

Peter cicho podszedł do opętanej, szukając na jej twarzy znajomych oznak. Jeżeli nadchodził Przełom, nie powinna ona nic wyrażać, powinny się też pojawić dziwaczne, nienaturalnie pokrzywione zmarszczki. I owszem, oblicze kobiety zmieniło się w nieruchomą maskę, porytą wyrazistymi krechami. Cisza.

— Ojczy, czy ona z tego wyjdzie? — To zaniepokojony ojciec Marianne.

Peter zignorował to pytanie. Przyciśnij ją, szeptał jego instynkt. Teraz! Szybko!

— Jezus, Marianne. To imię jest...

— Jebum! Jezup! Jebum! Jezup! Jebum! — zawyla. Peter marzył o tym, by móc zatkać uszy i odciąć się od drzazg bólu, które przeszywały jego umysł.

— Uwaga! — krzyknął do pomocników, widząc, że palce wskazujące kobiety wypychają się w jej nozdrza i zaczynają je rozdzierać. Czym prędzej doskoczył do niej. — Przytrzymać ją!

Wszystkie ręce wczepiły się w jej ciało. Trzymały mocno. Każdemu z pomocników przychodziło na myśl inne rozszalałe zwierzę: a to uwięziony w klatce tygrys, a to hiena bocząca się na inną hienę, a to znów maciora zaciekle broniąca się przed rzeźnikami. Kąciki ust Marianne rozsunęły się — tak jakby jej grymas sięgnął aż za uszy — obnażając zęby, dziąsła i język. Z dolnej wargi spłynęła na podbródek szarawa piana. Oczy były otwarte, ale nie widzące: białe, pokryte czerwonymi żyłkami półkule, połyskujące wilgocią. Dwaj mężczyźni przycisnęli jej ramiona do łóżka, trzeci napierał na jej brzuch, czwarty unieruchomił nogi.

Wydawało się, że żadna istota ludzka nie mogłaby przeżyć tego, co działo się z Marianne. Lekarz zacisnął powieki, by się uwolnić od piekącego potu.

— Na Miłość Boską, trzymajcie ją — powiedział Peter.

Dobiegające spomiędzy jej zębów, stłumione brzęczenie z czasem zupełnie ucichło. Zamknęła oczy.

— Lepiej uważać — wymamrotał były policjant. — Ciągłe jest napięta.

Lekarz podniósł jedną z jej powiek i zaraz pozwolił jej opaść.

Peter zwyciężył. Faza *Pozorów* była zakończona. Ale od początku egzorcyzmów minęło już wiele godzin, a to była do-

piero pierwsza runda. Zaintonował drugą część rytualnej formuły. Pomocnicy cofnęli się nieco, nie spuszczać wzroku z opętanej.

I znów, tak jak przedtem, Przełom nastąpił dokładnie wtedy, kiedy się go Peter najmniej spodziewał. Najpierw rozległ się trudny do nazwania odgłos, jakby ciche końskie rzenie; skomlenie psa; człowiecze łkanie. Najczystszy głos: bólu; natury pogwałconej przez to, co nienaturalne; najgłębszej agonii; protestu; bezradności.

— Jeżeli przyjmiemy, że nieboszczyk, po tym jak przy uchu zachrzącała mu śmierć, pozbawiając go ostatniego tchu, zaczyna wołać o pomoc, jak wyobrażałbyś sobie ten głos? — zapytał później Peter, próbując opisać nieopisane. — Albo przyjmijmy, że zamykałeś właśnie oczy umarłemu, posługując się kciukiem i palcem wskazującym — (poruszył łopatkowatymi palcami) — i jedno z nich pominąłeś, a ono popatrzyło na ciebie, wciąż szkliste i martwe — wiesz, jak to wygląda — i nagle wypełniło się autentycznymi łzami. To jest to uczucie. Coś wymyka się spośród robaków, gnijącego mięsa, smrodu, wód i niemego bezruchu śmierci, wołając: „Ja żyję! Wyciągnij mnie! Na miłość Jezusa, wybaw mnie!” To samo było z Marianne, kiedy zaczął się Przełom. Zmaganie o jej duszę, które niemal złamało mnie w pół.

Czuł wówczas, że może już zwracać się bezpośrednio do Marianne i służyć jej pomocą. Zaczął powoli czytać pierwszą część kolejnego „kłopotliwego tekstu”.

— Marianne. Zostałaś ochrzczona w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Należysz do Jezusa. To on oddał swoje życie za to, byś ty mogła należeć do Boga. Cała twoja miłość, piękno, dobroć i łagodność — wszystko to pochodzi od Jezusa. On zna ciebie, zna każde włókno twej istoty, jest kimś więcej niż przyjacielem, kimś bliższym niż matka, kochającym cię bardziej niż jakikolwiek ukochany, wierniejszym wobec ciebie niż ty sama. Przemów! Przemów! Odezwij się! Powiedz, że mnie słyszysz. Powiedz mi, że pragniesz zostać wybawiona w imię Jezusa, który ciebie zbawił, i w imię Boga, który cię stworzył. Przemów!

Podnosząc wzrok znad książki, zobaczył, że ręce Marianne rozluźniły się. Pomocnicy położyli je wzdłuż jej boków. Sięgający od ucha do ucha grymas zniknął. Oczy były otwarte, ale nadal tak wywrócone, że odnosiło się wrażenie, iż patrzy w głębi swych własnych oczodołów. Białka błyszczały. Panowała kompletna cisza. Lekarz sprawdził tętno Marianne.

— Zimna jak lód.

— Nie szkodzi — uspokoił go Peter, popierając to ruchem głowy. Ani na moment nie oderwał oczu od opętanej.

Ciało Marianne było bezwładne. Wyglądało na ciężkie, nasycone zmęczeniem. Ręce, ramiona, stopy, szyję i twarz zabarwił niesamowity, blady błękit. Nikt się nie ruszał. Peter słyszał wyraźnie oddechy: swój, swoich asystentów. Ale nie oddech Marianne.

Lekarz stwierdził, że wyczuwa słaby puls.

— Bardzo niski, Peter — powiedział. Egzorcysta podniósł rękę, powstrzymując dalszy ciąg komentarza.

Uplýwały kolejne chwile. Ojciec kobiety odchrząknął i otarł oczy.

— Ojczy, czy to już koniec?

Peter uciszył go, potrząsnąwszy głową, krótko, niemal grubiańsko. Wpatrywał się w opętaną, czekając na pierwsze objawy zmiany.

— Jeżeli ma to nastąpić, nastąpi teraz — powiedział półgłosem, jakby do siebie. — Uważajcie.

Ale poczuł, że jego mięśnie nie wytrzymują tej nieznośnej ciszy; rozluźniały się. Już tak mocno nie ścisnął książki. Głowa zaczęła podnosić się w górę. Młodszy ksiądz opuścił ręce. Piętro niżej rozdarło się radio. A ich stopniowo owijała cisza, zagarniała ich uszy i cały pokój, przyjazna jak wygodny koc. Mieli niejasne wrażenie, że po tamtym zamieszaniu, wrzaskach i złowrogim belkocie Marianne zatracają się w tej ciszy.

Głowa Petera zaczynała się uwalniać od bólu. Nadal wpatrując się w twarz Marianne, myślał o Conorze, przebywającym w Rzymie, o Zio — obecnie Pawle VI — przebywającym w Nowym Jorku. I myślał o śnie. Zerknął na zegarek. Była dwudziesta pierwsza dwadzieścia pięć. Msza na stadionie Yankee dobiegała już pewnie końca. Obrzęd mający miejsce w tym pokoju też się chyba wkrótce skończy. Jak dobrze pójdzie, niedługo wszyscy będą mogli iść do domu i spać... spać... spać.

Spać? Przez mgłę zmęczenia przebiła się pewna myśl, uruchomiła czujność Petera. Czyż Conor nie uprzedzał go, że sen, senność, potrzeba wypoczynku, to wszystko nierzadko jest ostatnim potrzebkiem, zazwyczaj poprzedzającym ostateczny atak?

Ale było już o kilka chwil za późno. Kiedy w jego pamięci zapaliły się czerwono tamte słowa Conora: „Uważaj na śpika, chłopcze. Uważaj na śpika! Koniec ze wszystkim, jeśli zapomnisz o śpiku!”, natarcie już się zaczęło.

Nastąpiło nagle. A jednak wydawało mu się, że Obecność czaiła się na to od wieków, z miejsca dopadła sedna jego natury. Dygocząc, wyszeptał:

— Jezul Jezul

Pozostali usłyszeli tylko stęknienie i pomyśleli, że próbuje coś powiedzieć, mając ściśnięte gardło.

— Wszystko w porządku, ojczy? — spytał lekarz.

Peter uspokoił go machnięciem ręki. Walka należała tylko do niego. Tamci mogli być tylko jej nieświadomymi świadkami.

Obecność była wszędzie i nigdzie. Peter miał ochotę cofnąć się, rozejrzeć dookoła, czy też — największą — uciec jak najszybciej i jak najdalej. Conor radził mu: „Zamroź swój umysł. Zamroź go w miłości. Trzymaj się tego, chłopcze.” Ale jak, Jezu Przenajświętszy? Obecność już go opadała, była w nim, na nim. Ogromna płatanina lin, której nie mógł zobaczyć. Nie słyszał nic, nic nie widział, nie wyczuwał też żadnego zapachu. Ale jego skóra nie była już bezpieczną osłoną śmiertelnego bytu. *Jego skóra już nie funkcjonowała!* Stała się porowatą ścianą, przepuszczającą brudny śluz Obecności. A najgorsza była ta cisza. Wolna od najdrobniejszych dźwięków. Został nagle zaatakowany i pojmany; wiedział też, że przeciwnik, przewyższający go siłą i bezwzględnością, wdarł się głęboko w jego jaźń, którą zawsze ukrywał przed innymi, wierząc, że tylko Bóg ją zna i ukaze mu dopiero wtedy, gdy będzie gotów znieść ten widok.

Nie był nawet w stanie rozpoznać charakteru tego starcia. Jego umysł gubił się, wszelkie próby działania i opanowania tej sytuacji grzęzły w bezruchu, niczym pająki w melasie. Chwilami zdawało mu się, że jego woła jest z gumy, wykręcanej we wszystkie strony i nagle walącej go boleśnie, jak mokry ręcznik uderzający w twarz. Kiedy indziej jego umysł był sitem, przez które przenikały kaśliwe cząsteczki, oznaczone drwiącymi etykietkami: Rozpacz! Brud! Smród! Słabość! Bzdura! Żałość! Kpina! Nienawiść! Bestia! Wstyd!... Nie było im końca. Czasem uświadamiał sobie, że jego umysł i woła to tylko wyloty ścieków, a jego wyobraźnia chłonie wszystko, co wymiotują. Chłonie ślady prawdziwych zmagania, rozgrywających się w innym wymiarze jego istoty. W głębi? W górze? W świadomości? W nieświadomości? W podświadomości? Nie wiedział gdzie. Pewien był tylko, że gdzieś w głębinach jego jaźni. Potworny ból rozpałał do czerwoności wszystkie ukryte doliny jego natury. Ze wszystkich szczytów waliły się chaotyczne lawiny. Wszy-

stkie równiny i zakamarki przygniatał ogromny ciężar i smutek. Wyobrażenia zmieniła się w wit, kipiący ohydny obrazami i fałszywymi lękami.

„Jestem sam” — pomyślał, na moment kryjąc twarz w dłoniach.

— Tak! Sam! Sam! Sam! Sam! — zadrwiło coś bezgłośnie.

Zdawało mu się, że sam odpowiedział sobie tym bluźnierstwem, równie starym, jak wrzask pierwszego mordercy, i równie aktualnym, jak stęknienie opryszka, który w ten sam październikowy wieczór, na Lenox Avenue, wbił nóż w plecy swej ostatniej ofiary.

— O Boże! O Jezul! — wołał w duchu Peter. — O Boże! O Jezul! Jestem skończony...

I nagle owa Obecność — równie niespodziewanie, jak przyszła, z przyczyn zupełnie dla niego niezrozumiałych — cofnęła się, choć pozostała w pobliżu. Peter miał wrażenie, że owe szpony wypuściły jego ciało i umysł, chowając się wbrew własnej woli.

Nie miał nawet pojęcia, że przez cały ten czas podobna burza niepewności — biała kalka jego własnego cierpienia — nękała pomocników, niespokojnie obserwujących Marianne.

Świadomość Petera musnęły niosące ulgę światła. Jego oczy odzyskały zdolność patrzenia. Mimo łez, znów widział Marianne. Była jednym wielkim drżeniem. Wydawało się, że wszystko pod jej skórą, włosami i ubraniem opanował nienaturalny, nierytmiczny ruch, a jednak jej zewnątrz, dla jakichś niepojętych przyczyn, pozostawało nieruchome. Usta rozchyliły się nieznacznie. Wargi poruszały się w milczeniu.

I wówczas, po raz trzeci w życiu, Peter usłyszał Głos.

Przyszedł znikąd. Był ledwie słyszalny; docierał do Petera i wszystkich obecnych w pokoju, ale nie dochodził z żadnego określonego kierunku. Słyszać go było wszędzie, lecz źródła jego nie umieli nigdzie umiejscowić. Był monotony, płynął powoli i miarowo, bez przerw na oddech. Nie wysoki. Nie niski. Nie gardłowy. Nie metaliczny i nie nosowy. Nie męski. Nie żeński. Bez żadnego akcentu. W pełni kontrolowany. Peter oglądał kiedyś film o mówiącym robocie: kiedy ten robot wymawiał jakieś słowo, po każdej sylabie następował szmer, jaby echo. Ten pogłos zlewał się z następną sylabą; tak samo łączyły się tworzące zdanie słowa.

I ten Głos był czymś takim, ale jakby *puszczonym od końca*: pogłosy wyprzedzały sylaby. Zrozumienie słów było męczarnią, lecz nie sposób było się od tego uwolnić. To rozpraszało

i oszalał. Odnosił wrażenie, że milion głosów bombarduje twój bębenek bezsensownym jazgotem, spowijającym wszystkie sylaby. Próbowalesz wyłowić jeden głos i prawie ci się to udawało, kiedy nagle zagłuszał go jakiś inny. Skupiałeś się więc na tym nowym, ale wówczas wracał do ciebie tamten pierwszy. I tak to szło: pozornie niezliczone natarczywe głosy wyczerpywały ciebie, pograżały w chaosie, zwyciężały. I wtedy Głos wymawiał kolejną sylabę, a do zamętu panującego w twym umyśle dołączała się frustracja, gdyż zarówno ta sylaba, jak i całe słowo tonęły w powszechnym bełkocie.

Peter, podobnie jak większość ludzi, miał skłonność do „czytania” głosów. We wszystkich nas wytwarza się taki instynkt, na własną miarę kwalifikujemy je jako przyjemne i nieprzyjemne, pełne napięcia i spokojne, damskie i męskie, młode i stare, słabe i silne itd. Ten Głos nie pasował do żadnej ze stworzonych przez Petera kategorii.

— Przypuszczam, że nazwałbyś go nieludzkiem — powiedział później. — Ale był taki sam jak w Hoboken i Jersey City. Oczywiście, z pewną nową nutą.

„Pewną nową nutą” nazywał szczególny tembr Głosu, zmieniający się z każdym przypadkiem egzorcyzmów. Zarówno w Hoboken, jak i w Jersey City, tembr ten niósł w sobie gwałtowne i szokujące emocje, które budziły strach. Ale w ten październikowy wieczór było w nim coś innego.

— Wyglądało to absolutnie tak — wspominał Peter — jakby przemawiała sama Wielka Szycha, a wszystkie pomniejszszyski wcześnicj szeptały te same sylaby. Rzecz można, zwiastowały je.

Ten tembr — „pewna nowa nuta” — niósł w sobie jedno, jedyne przesłanie: świadectwo absolutnej i niepodważalnej wyższości. Trafiał nie w emocje, ale w umysł, paraliżując go świadomością, że nie ma i nie będzie szansy na przechytrzenie tej mocy, że jego posiadacz wie o tym doskonale i równie doskonale wie, że człowiek także to pojął. Owej wyższości nie osładzał żaden ton współczucia, nie łagodziła nawet uncja miłości czy okrucieństwo, nie było w tym ani krzty hojności wobec niższego stanu.

— Jeśli dźwięk może być zły, całkowicie wolny od przyrodzonego człowiekowi dobra — opowiadał Peter — to właśnie było to.

Głos sprowadził go na sam skraj nicości, postawił przed *anonymi*, najgłębszym źródłem spotęgowanego grzechu.

Zgiełk i zamęt, wywołane przez Głos, przycichły, jakby się oddalały.

Czterej pomocnicy podnieśli głowy, słysząc naturalny głos Marianne, słowa wymawiane z głębokim zastanowieniem — w porównaniu z niedawnym rykiem, niemal spokojnie.

— Żaden śmiertelnik nie ma władzy w Królestwie. Wszyscy mogą do niego należeć. — Krótka pauza. — Wielu należy. — Każde słowo było tu gładkie, konkretne, wyważone i jednoznaczne, jak nowiutka złota moneta ciśnięta na kontuar.

Czas na ostateczne potwierdzenie, pomyślał Peter. Na ostatni strzał. Na atut wszelkich egzorcyzmów: na moc Jezusa i jego władzę.

— Przez władzę, jaką dał mi Kościół, i w imię Jezusa, nakazuję ci powiedzieć, jak mam cię nazywać.

Peter rzucił to wyzwanie, nie podnosząc głosu. Wszystkie jego nadzieje opierały się na tym, że zostanie ono przyjęte. Odrzucenie tego wyzwania zaowocowałoby dalszym pogrążeniem Marianne. Wiedział, że będąc na tym etapie, niewiele więcej zdołałaby znieść. Ale nie mógł już się cofnąć. A przerwanie tego równałoby się totalnej klęsce. Czuł zdenerwowanie pomocników; wszystko w tym pokoju odbijało panujące w owej chwili napięcie. Wszyscy obecni — równie dobrze jak Peter — wiedzieli, że rzucił ostateczne wyzwanie.

— Ty rozkazujesz? — W głosie Marianne zabrzmiało rozbawienie, jakby Peter powiedział jakiś żart. Upomniał siebie zaraz, że nie rozmawia z Marianne, ale z duchem posługującym się jej głosem. Mimo to, zrobiło mu się trochę słabo. Usłyszał, że powiedziała:

— Ja jestem nami. My jesteśmy mną. Czyż nie jestem? Czyż nie jesteśmy? To, jak się zwiemy, przekracza ludzki umysł.

My! Peter natychmiast wychwycił to kluczowe słowo. Używali jego jedynie tamci z Królestwa. Z miejsca pojął, że niemal trafił w sedno, nie zamierzając więc pozwoić Obecności na ponowne utożsamienie się z Marianne. rzucił obcesowo:

— We wszechświecie bytu nie chronią was żadne szczególne prawa.

Ta wy kalkulowana, chłodna bezwzględność, nowa nuta w głosie Petera, natychmiast zwróciła uwagę byłego policjanta. Lata doświadczenia obdarzyły go szóstym zmysłem, pozwalającym wyczuć śmiertelne zagrożenie i atak, nienawiść i otwartą wzdarcę. Wiele razy słyszał, jak gliny rozmawiały tym tonem z zatrzymywanymi mordercami, wielu przebywających za kratkami zabójców dawało upust swej nienawiści w ten sam, w pełni

kontrolowany sposób, jakim właśnie posłużył się Peter. Popatrzył na twarz egzorcyisty. Zmieniła się. Miała w sobie coś subtelnie bezlitosnego.

Peter mówił dalej:

— Wy, wy wszyscy, jesteście...

— Ty, właśnie ty, nie masz szczególnych praw, mój przyjacielu — przerwała Marianne w sposób idealnie wyważony. Zgrabnie wyliczone. Na tyle mocno, by wzbudzić niepokój. Zbyt lekko, by zdradzić najmniejszy okrucuch obawy czy lęku.

Pomocnicy Petera poczuli się niepewnie; odruchowo przsunęli się do niego. Obecność dobierała się do nich. Wiedział, że mimo wszystkich instrukcji, jakich udzielił im przed przystąpieniem do egzorcyzmów, nie mógł przygotować ich na szok, strach lub atak.

Ciało Marianne było kompletnie nieruchome, twarz biała jak ściana, usta ledwie otwarte. Po chwili znów rozległ się jej głos, tym razem nieznacznie ostrzejszy.

— Może szlifowałeś swoje kolana w konfesjonale — (nuta drwiny) — ale nie czuleś żalu, przyjacielu. Powiedzmy, nie zawsze. I gdzie jest twoja skrucha? I czyż muszę mówić tobie, kapłanowi, że jeśli nie czujesz skruchy, nadal dźwigasz te grzechy? I ty rozkazujesz Królestwu?

Peter przypomniał sobie ostrzeżenie Conora: „Co się stało w przeszłości, stało się. Zapis pozostaje. Na zawsze. Jak kamień na polu, jak opinia w papierach. Do wglądu dla wszystkich, chłopcze. Łącznie z Wielką Szychą. Nie próbuj zaprzeczać. Unurzaj się w prochu.”

— Jak mamy was zwać? — nie ustępował Peter.

— Nas? — Sarkastycznie, ale spokojnie.

— W imię...

— Zamknij swą żalostną gębę... — zawarczało nagle, niczym zwierzę. — Zatrzaśnij ją! Zamknij! Zapchaj! Spieprzaj!

— ...Jezusa. Powiedz nam: jak mamy cię zwać?

Z ust Marianne wydarł się długi, niezbyt głośny krzyk. Wszyscy w pokoju wstrzymali dech, kiedy znów rozległ się Głos. Z trudnością rozróżnili słowa:

— Zabiorę moje żniwo. Zabiorę nasz funt ciała. Całe sto czterdzieści dwa funty! Wezmę go ze sobą, z nami, ze sobą.

Kompletna cisza. A potem głos Marianne.

— Uśmiechnięty. Ja tylko się uśmiecham.

Peter zerknął na jej twarz. Teraz gdy poznał to imię, wydało mu się oczywiste. Na usta opętanej wrócił ów krzywy uśmiech. Egzorcyista uświadomił sobie, że ma do czynienia

z najdawniejszym z kusicieli i wrogów człowieka: z tym, który swą nienawiść krył pod maską uśmiechu, żartu i obietnicy.

Cóż za spryt. Jak można podejrzewać albo atakować kogoś, kto zwie się Uśmiechnięty? I coż *możesz* zrobić, jeśli tamci każdy twój czyn witają uśmiechem? Cała sprawa — Bóg, niebo, ziemia, Jezus, świętość, dobro, zło — zmienia się w zwykłą farsę. A jeśli wziąć pod uwagę fałszywą alchemię tej farsy, wszystko przeradza się w ohydny żart, kosmiczną kpinę z ludzików, którzy też są kiepskimi żarcikami. I tak dalej, i tak dalej... aż do ostatecznej banalności wszelkiego bytu, do tęsknoty za nicością.

Oderwał swe myśli od tej martwej, przytłaczającej sfery i znów się skoncentrował. Tu mógł się spotkać z Marianne.

— Ty, Uśmiechnięty, *opuszczisz* to stworzenie Boże...

— Ta irytująca sprawa trwa już dostatecznie długo. — Słowa te zabrzmiały głupawo, zanadto były napuszone. — Marianne dokonała wyboru. — A więc już prawie cię mam, pomyślał Peter. Głos opętanej mówił dalej: — Rozumiesz to daleko lepiej niż te półgłówki. W końcu...

— ...gdyż nie trzeba jej nic prócz miłości — ciągnął Peter.

— ...jej życie jest krótkie, podobnie jak twoje. Bierze, co może, podobnie jak ty...

— Gdyż nie trzeba jej nic prócz miłości — powtórzył Peter. Ale nie zdołał przerwać monologu Uśmiechniętego.

— ...ze swą arogancją.

— A ty, Uśmiechnięty, odrzuciłeś miłość.

Niespodziewanie ta wymiana zdań urwała się. Peter odczekał ułamek sekundy. Podjął przerwany wątek.

— Pochodzimy z miłości

Tylko tyle zdążył powiedzieć.

— MIŁOŚĆ!!! — To słowo rąbnęło go niczym strzał z pistoletu. Pomocnicy pochylili się nad Marianne, spodziewając się, że po tym wrzasku nastąpi atak agresji. Peter wyprostował się, jakby wcale nie był napięty, jakby niczego więcej nie oczekiwał. Conor mówił wyraźnie, żeby nie wdawać się w pyskówki i nie ingerować w te wybuchy.

Ale nie nastąpił już żaden wybuch. Jedynie głos Marianne stał się tak dotkliwie ohydny, że Peter czuł niemal fizyczny ból, kiedy mówiła spokojnie i aż nadto sztucznie:

— Tak... — Zrobiła dłuższą pauzę, jakby się nad czymś zastanawiała. A potem: — Hm! Sześćdziesiąt dziewięć. Zgadza się? Niezły obrazek!

Ten ton i wizja nie zachwyciły Petera. Pojawiły się wspomnienia, mogące zniweczyć jego dotychczasowe wysiłki, zaczął więc się modlić.

Ale Marianne nieubłaganie mówiła dalej, jakby cytowała jakiś specjalistyczny opis:

— Najpierw język, którego koniuszek przypomina różowe, wilgotne oczko o białej tęczówce, rozpoczyna badanie; jego grzbiet zsuwa się po pachwinach; komórki śluzówki rejestrują falowanie mięśnia smukłego, podążają wzdłuż naprężonego przewodniczcila długiego, znacząc śliną połyskliwy szlak, wiodący ku ciemnemu wzgórzcu, wzgórkowi Wenery. Jej wargi więkksze odczuwają mrowienie: to napływa krew.

Peter gotów był już zareplikować. Powstrzymał się od tego.

Marianne kontynuowała opis.

— Język dłużej zatrzymuje się przy kości łonowej; wszystkie jego brodawki są głodne, napięte, wilgotne. Nitkowate wołają do grzybowatych, grzybowate do okolonych, te zaś do liściastych: „Dalej, bracia! Dalej!”

Lekarz gwizdnął przez zęby i popatrzył na Petera. Ale egzorcysta niebezpiecznie oddalił się od tej sceny. Słyszał teraz westchnienie Mae, znajdował się o mile i dziesiątki lat od tego złowrogiego starcia, przeżywał pewien odległy, słoneczny dzień; widział ją leżącą na piaszczystym stoku, czuł jej dłoń spoczywającą lekko na jego brzuchu. Potem, przez chwilę, widział Mae w trumnie, na moment przed zamknięciem wieka.

Nieubłagany monolog trwał dalej.

— Pośród jego jęków i jej dyszenia, łaskotania, odczuwanego przez jego świętość (ha! przez Kość Zmartwychwstańską Ci rabini wiedzieli, jak to nazwać!) i przez jego uda, jej ciało jamiste nabiega gęstą, czerwono-czarną krwią. Język wypycha się do wnętrza, a ona zamyka się wokół niego, przytrzymuje go.

Uśmiechnięty nadał głosowi Marianne łagodny, beznamietny ton. Na kilka sekund przerwał. Potem nastąpił wybuch wzgardy.

— On ją pieprzy. Jak hiena mająca do czynienia z martwą antylopą — (głos przeszedł w krzyk) — zaczyna od odbytu, a ona jest jak wężycyca polykająca swego syna. MIŁOŚĆ????? — Przenikliwy, miążdzący krzyk. I zaraz potem drwina. — Cip-cip-cip-cip! Peter Smakosz. — I od niechcienia, tak jak się pyta o godzinę. — Powiedz nam, Peter. Żalujesz? Tęsknisz za tym?

Ojciec Marianne ukrył twarz w dłoniach, jego ramiona zatrzęsy się od płaczu. Były policjant i bankier, zażenowani, wpatrywali się w Petera. Młodszy kapłan oparł się o nocny stolik. Twarz miał szarą jak popiół. Ta tyrada, niczym wielkie, rozpostarte malowidło, zaatakowała ich wszystkich masą krzykliwych barw i nonsensownych splotów myśli i uczuć.

Lekarz zareagował szybciej niż pozostali.

— Peter, możemy zrobić przerwę?

Był zaniepokojony, widział bezkrwistą twarz egzorcysty i jego nieprzytomny wzrok. Kapłan nie odpowiedział.

Uśmiechnięty, kosmiczny żartowniś, wszystko zabrudzi i zniszczy, pomyślał egzorcysta, szukając po omacku dalszej drogi. Uśmiechnięty zamienia wspomnienia w brud i dławi nimi człowieka. Ale nie jest subtelny. I nie jest sprytny. Albo my wpadliśmy w pułapkę, zastanawiał się Peter, albo usidliliśmy tamtego. Jak to jest?

Poddał się swemu instynktowi.

— Cisz! Uśmiechnięty! Uciszyć się w imię Jezusa! Nakazuje ci ustąpić, opuścić ją. Powiedz mi, że będziesz posłuszny, że ją opuścisz. Przemów!

Pozostali mężczyźni spojrzeli na Petera, zaskoczeni siłą, z jaką to powiedział. Potok słów, jakim zostali zalani, sprawił, że czuli się nadzy i z jakiegoś powodu zawstyżeni, mieli wrażenie, że są brudni. Spodziewali się, że egzorcysta ugnie się, że zostanie zmiażdżony. Gotowi byli pożegnać się z nadzieją.

Ale teraz odebrali od niego nowy sygnał. Czuli to, co pojął, widzieli to w jego twarzy, nieomal słyszeli, jak mówi: „Zaangażowanie się w tę sprawę może doprowadzić mnie do upokorzenia, ale Uśmiechnięty jest w nią równie zaangażowany i dla niego nie ma już ucieczki. Musicie to przetrzymać.”

Uśmiechnięty odezwał się tak, jakby nie dotarły do niego słowa egzorcysty.

— I oto mamy coś, czego Królestwo nigdy nie widziało. — Jego głos znów był spokojny. — Kropelka wody morskiej owija się błoną, przez milion lat gnije na prastarym, zapomnianym brzegu, rozwija w sobie włoskowate nerwy i kruchą glińnianą aparaturę, po czym, pewnego dnia, staje na dwóch wrzecionowatych odnóżach i powiada: „Jestem człowiekiem”. Podnosi swój ryjek ku niebu i dodaje: „Jestem taki piękny...”

— Milcz! Odstąp!

— Ty szpetny wszarzu! Ty cuchnące bydlatko...

— I pozwól, by dusza Marianne była znów piękna dzięki lasce...

— Piękna? — Głos, po raz pierwszy, podniósł się niemal o oktawę. — Piękna? — Zmienił się w świrdujący aż do bólu, wzgardliwy pisk. — Ty bezradny, skomlący, rzygający, liżący, śliniący się, spocony, wydalaający odchody szczeniaku. Ty wychłostany kundlu. Ty zapchane szambo. Ty pretekście do istnienia. Ty skrzenie uryny, ekskrementów, smarków i błota, urodzony na skrwawionym prześcieradle, wystawiający łeb pomiędzy cuchnących nóg kobiety i wrzeszczący, bo ktoś klepnął cię w tyłek i śmiał się z twoich malutkich, czerwonych jaj. — Lawina głośnych inwektyw nagle ustała, po niej zaś przyszło pięć sylab, wypowiedzianych spokojnie i z obrzydzeniem. — Ty kreaturo!

— Podobnie jak ty. Też jesteś kreaturą.

Petera zdumiało jego własne opanowanie. Wiedział o tym, że przeciwnik popełnił błąd. Zdumiała go też pogarda, którą nasycił swoją ripostę.

Mówił dalej:

— Kiedyś byłeś niczym. Potem byłeś piękny. Najpiękniejszy z tych, których stworzył Bóg. — Gorzka ironia, zawarta w tych słowach, zwróciła uwagę wszystkich poza Marianne. Nie przerywał, dalej chłostał i prowokował. — Potem zeszedł cię duma. Później zostałeś pokonany. Zrzucony z wyżyn, jak gasnąca pochodnia.

Z ust Marianne wydobył się głuchy ryk.

Peter ciągnął swój wywód, nie zważając na to; ustawił swego przeciwnika tam, gdzie chciał.

— Wygnany i okryty niesławą, i osądzony, i na zawsze pozbawiony praw, i na zawsze pokonany.

Ciało Marianne drżało.

— Trzymajcie ją! — szepnął do swych pomocników. W samą porę. Trzęsła się gwałtownie. Ryk przypominał teraz kwik świni przebitej nożem, wyzwalającym z tętnicy strumień krwi.

Egzorcysta postawił kropkę nad „i”.

— Ty również jesteś tworem Boga, ale nie zbawionym przez krew Jezusa.

I znów to przeciągłe, rozpaczliwe wycie.

Kiedy zamierało, całe ciało Petera zelektryzował lęk. I w tym momencie Obecność znów rzuciła do ataku swą nienawiść. Natarła na niego niczym istota z krwi i kości. Wpiła szpony w jego umysł i wolę, wbiła się głęboko w korzenie jego determinacji, w jakąś wewnętrzną, wrażliwą i delikatną strefę jego istoty, gdzie rodził się ból i poczucie przyjemności.

To właśnie było Starcie, które Conor tak szczegółowo opisywał Peterowi. To była kulminacja owego pojedynku. Peter uczynił znak krzyża. Wiedział doskonale: teraz jeden z nich będzie musiał się poddać, a drugi zostanie zwycięzcą. Musi wytrzymać. Musi się oprzeć rozpacz. Oprzeć się zwątpieniu. Oprzeć się potępieniu. Oprzeć się. Oprzeć. Oprzeć. Wytrzymać. Miał wrażenie, że to rozkazy, które przychodzą do niego z najgłębszego sedna jego istoty.

W pierwszym, desperackim odruchu skierował myśli ku swemu życiu - ku wszelkim przejawom piękna i prawdy, jakich doświadczył i jakie poznał: ku krzykowi mew nad Dooahcarrig, ku rytmicznemu stukotowi butów podczas zimowych tańców; ku uśmiechowi Mae, ku zaciszu domu rodzinnego, ku cichym letnim wieczorom, które spędzał u wybrzeży wyspy Aran, spoglądając za Galway, na góry Connemara, purpurowe masywy, spowite w lśniącej złotawą mgiełką.

Ale każdy z tych obrazów, ledwie się pojawił, ulatniał się jak kropla wody rzucona w płomień. Tak istotne dla niego symbole lojalności, autorytetów, nadziei, słuszności, troski i czułości wysychały i blakły. Wyobraźnię spalała rozgrzana do czerwoności rozpacz i umysł nie mógł mu w niczym pomóc. Jedynie jego wola zmuszała umysł i wyobraźnię do całkowitego bezruchu, ale i to sprawiało mu potworny ból.

I wówczas *Obecność* cichaczem natarła na jego wolę, cięła ją bezlitośnie. Zdaniem pozostałych mężczyzn, niewiele się działo: żadnych odgłosów, jedynie ciężki oddech Petera i szuranie ich własnych stóp, kiedy starali się zachować równowagę i jednocześnie przytrzymać Marianne; żadnych silniejszych wrażeń, poza oporem, jaki stawiało im jej ciało.

Furiacki atak, jakiemu sprostać musiał Peter, przypominał ostry grad, walący się na blaszany dach, wypełniał całą jego świadomość nieustającym stukotem łąków, paraliżujących wolę i umysł. „Gdybym tylko mógł swobodniej oddychać — pomyślał — Albo gdybym mógł przebić się przez tę wzgardę.”

Niewyraźnie widział świece, przyskające woskiem na nocny stolik i rzucające światło na rozpiętą na krzyżu sylwetkę.

„Pamiętaj, chłopcze, дума. To jego słaby punkt. Jego dum! Walnij go w jego dumę!”

Odnalazłszy w sobie głos Conora, Peter wypalił:

— Uśmiechnięty, zostałeś pokonany, pokonany przez tego, który nie lękał się poniżenia i śmierci. Odejdź! Uśmiechnięty! Odejdź! Zostałeś pokonany przez krew i wolę. Łiesz. Jezus jest twoim panem...

Pomocnicy, wciąż trzymający Marianne, usłyszeli, jak wydobywa z siebie te słowa. Nagle rozpiął się harmider: nikogo nie oszczędził. Szafka kołysała się z trzaskiem, klamki szczekały bez ładu i składu. Drzwi do pokoju zatrzaśniały się i otwierały, zatrzaśniały się i otwierały. Koszulka Marianne pękła na środku, odsłaniając piersi i brzuch. Dzinsy poszły w szwach. Wciąż podnosiła głos, wydała całą serię miarowych, dziwnie wolnych wrzasków. Na jej torsie, pachwinach, nogach i twarzy pojawiły się grube pręgi, jakby ktoś bez litości chłostał ją niewidzialnym batogiem. Szamotała się i kopała, dyszała ciężko i pluła. Nie panowała już nad sobą, moczem i kałem zalala całe łóżko. Nozdrza obecnych w pokoju ludzi wypełnił ostry odór.

Peter szeptał wciąż:

— On ciebie pokonał. On ciebie pokonał. On ciebie pokonał...

Ból, jakiego doznawała jego wola podczas tych zmagania, wpędzał go w stan odrętwienia. W gardle mu zasychało. Oczy zasnuwała mgiełka. Bębni mu pękały. Czuł, że jest pokryty brudem, którego żaden człowiek nie zdoła zmyć. Osuwał się w dół, w dół i w dół.

— Jezul Mariol... Conor — wyszeptał, kiedy kolana się pod nim ugięły. — Wszystko stracone. Nie wytrzymam. Jezul...

Siedem tysięcy mil dalej, po drugiej stronie oceanu, na innym kontynencie, w Rzymie, lekarz wychodzący z celi ojca Conora skinieniem głowy pożegnał pielęgniarkę. Powiedział ojcu przełożonemu, że wezwanie karetki nic tu nie da. Tym razem sprawa zaszła za daleko. Reszta była tylko kwestią godzin.

Ojciec Conor dostał trzeciego zawału. Przez cały wieczór czuł się dobrze. Nad ranem zaś zadzwonił ze swej celi do przełożonego.

— Ojczy, znów tobie sprawię kłopot.

Kiedy zjawili się u niego, stwierdzili, że osunął się na biurko. W prawej dłoni wciąż ścisnął krucyfiks.

— Ojczy, już wszystko w porządku. To ja. Już po wszystkim.

Młodszy kapłan pomógł Peterowi wstać. Jakiś czas przedtem egzorcysta opadł na kolana, pochylając się tak, że w końcu dotknął czołem podłogi. Teraz zobaczył, że nachylony nad łóżkiem lekarz wydobyl stetoskop i słucha serca Marianne. Ojciec gładził dłoń córki, powtarzając przez łzy:

— Już dobrze, moja mała. Już dobrze. Masz to za sobą. Jesteś bezpieczna. Już dobrze.

Dyrektor banku wyszedł na korytarz, by porozmawiać z matką i bratem Marianne. Sama Marianne była spokojna i oddychała regularnie. Łóżko wyglądało koszmarnie. Były policjant otworzył okno i do pokoju wdarł się zgiełk ulicy. Było około dwudziestej drugiej piętnaście.

— Muszę rano zadzwonić do Conora — powiedział Peter do swego asystenta. Zastanawiał się chwilę. — Ciekawe, co jeszcze dzisiaj się stało? — Znowu popatrzył na Marianne. — Oprócz wizyty Zio, musiało być coś jeszcze.

Ojciec James patrzył na niego tępo, nie chwytając ciągu skojarzeń. Czuł, że nigdy nie zrozumie egzorcystów.

A Peter nadal zastanawiał się na głos:

— Czy dzieje się tak dlatego, że miłość jest jedna na cały świat i to samo dotyczy nienawiści? — Tego pozornie niejasnego pytania nie kierował jednak do żadnego konkretnego adresata.

Młodszy kapłan odwrócił się, nie chcąc oglądać wypisanego na twarzy Petera bólu; to było ponad jego siły.

— Przyniosę nieco kawy — powiedział szorstko, czując w oczach gorące łzy.

Ale Peter stał już przy oknie i spoglądał na nocne niebo. Jego myśli żeglowały daleko, a wyczerpane zmysły prawie zasypiały.

Gdzieś w dole, pod oknem Marianne, przesuwały się wracające ze stadionu Yankee tłumy. W tym samym czasie Zio przebywał na Nowojorskiej Wystawie Światowej. Stał w przyziemnej galerii Pawilonu Watykańskiego, wpatrzony w *Piętę* Michała Anioła: w martwego Jezusa, spoczywającego w ramionach matki. Tego wieczoru kamery telewizyjne milionom ludzi przekazały jego słowa:

— Błogosławimy was wszystkich, modląc się, by Pan obdarzył was obfitością Swych łask i błogosławieństw.

Ojciec Gnat i Pan Pewniak

Ślub miał się odbyć o ósmej rano na plaży Massepiq, nieopodal Dutchman's Point w Nowej Anglii. Już o siódmej trzydzieści, kiedy zjawili się pierwsi goście, czuło się, że będzie to rześki i słoneczny marcowy dzień. Ciągąca nad ląd bryza, niczym oddech wschodzącego słońca, przyniosła błękitnemu niebu stadko białych obłoków i pokryła morze zmarszczkami. Przyryw, który osiągnął swoją pełnię i miał już wkrótce ustąpić miejsca odpływowi, przywodził na myśl gigantyczny, nieokreślony oddech. Nieprzerwanym ciągiem posyłał ku brzegowi falę za falą. Kolejno rozbijały się na plaży, rozpościerając szemrzące, ruchome kobierce, utkane ze spienionej wody, po czym, wsysane z powrotem, cofały się znad kamyków i piasku.

Ta muzyka wód, splatając się z cichym świstem wiatru, tworzyła nie natrętny, ale potężny rytm, którego przyrywów i odpływów nie śmiał naruszyć żaden inny dźwięk. Schodzący się goście ulegali jego czarowi. Był dla nich głosem pradawnego świata, który zawsze istniał, nigdy nie milkł, a teraz upominał ich, intruzów: „Świat, do którego wchodzić, należy do mnie. Ale skoro dzisiejszy poranek należy do mężczyzny i kobiety, ustąpię go wam na trochę, moje dzieci. Oto nowy początek.”

W rzeczy samej, był to właśnie taki poranek, na jaki liczył ojciec Jonathan. Wszystko tu było naturalne. Jedynym pachnidłem było powietrze: rześkie, odrobinę mroźne, nasycone solą, ożywione światłem. Jedynym sanktuarium — ta spadzista plaża pomiędzy morzem a wydrami, przykryta rozległą kopułą nieba. Jedyny ołtarz stanowili państwo młodzi, stojący boso w miejscu co chwila przykrywanym nowym dywanem z piany i pyłu wodnego. Jedyne muzykę niesły morze i wiatr. Jedyne tajemnicę niósł w sobie ten akt nowego początku, inicjowany przez dwie ludzkie istoty u progu nieodgadnionej przyszłości.

Ojciec Jonathan zjawił się jako ostatni. Ceremonię zaczął punktualnie o ósmej. Podobnie jak młodzi, był boso. Ubrany w dzinsy, białą koszulkę bez rękawów, zawiesiwszy na szyi złotą stulę, stanął na samym skraju przyrywu, mając po prawej morze, a po lewej ląd. Tuż przed nim stanęli Hilda i Jerome, dziewczyna i chłopak, którym miał dać ślub, oboje dwudziestoparoletni. Ona — w długiej do kostek, białej sukni, związa-

nej w talii pasem splecionym z długich traw, o rozczesanych na środku i spadających na ramiona włosach. On — w niebieskich szortach i białej koszuli. Twarze ich były spokojne, nie nękane żadnymi troskami.

Hilda i Jerome utkwili wzrok w twarzy Jonathana, słysząc, że zaczął przemawiać donośnym i przepojonym radością głosem, który, niczym dzwon, trafiał do uszu czterdziestu kilku osób, stojących nieco dalej, na skraju wydm.

— Tutaj, na nadmorskim piasku, gdzie zawsze zaczynały się wielkie ludzkie sprawy, jesteśmy świadkami kolejnego wielkiego początku. Hilda i Jerome wzajemnie złożą sobie śluby w imię największego ze wszystkich człowieczych początków.

Słuchaczy przeszedł przyjemny dreszcz oczekiwania. Jonathan, atletyczny i opalony na brąz, o ruchach wyważonych i pełnych wdzięku, wyższy niż stojący przed nim młodzi, o złotych, dotykających ramion włosach, całkowicie — choć może nieco teatralnie — panował nad sytuacją. Jego oczy błyszczały szczególnym błękitem, w którego istnienie trudno uwierzyć, dopóki się go nie zobaczy. Zdawało się, że płonie w nich niebieski ogień, rzucający hipnotyczny blask. Nie miały tego sentymentalnego ciepła, co oczy brązowe, ale swoista patyna nie pozwalająca nic z nich wyczytać, a to tworzyło aurę tajemniczości.

Tylko jeden drobiazg klócił się z ogólnym wyglądem Jonathana. Kiedy wykonywał rytualne gesty i uniół rękę, by udzielić pierwszego błogosławieństwa, część gości zauważyła, że palec wskazujący jego prawej dłoni jest zgięty. Nie mógł go wyprostować. Ale ten drobny feler ginął w porannym złocie i błękicie, w blasku oczu Jonathana i śpiewie morskich fal.

Kiedy tak dźwięczał głos kapłana, a natura zgodnie dochowywała swego odwiecznego rytmu, tylko jedna osoba nie pasowała do tego obrazu. Mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych, który stał nieco z boku, za ostatnim szeregiem gości, wpatrywał się intensywnie w dziewczynę i chłopca. Kościsty, ubrany w sweter i spodnie, dłonie trzymał w kieszeniach i był jedynym spośród zebranych, który nosił kapelusz — czarny kapelusz.

— Zabawny osobnik. Ciekawe, kto to? — szepnął do swej żony ojciec Jerome'a. Ale oboje momentalnie o nim zapomnieli, a nikt inny nie zwrócił na niego uwagi, gdyż kazanie ojca Jonathana sięgnęło zenitu, po którym nastąpić miały zaślubiny.

— ...oboje wchodzą w tę tajemnicę. I oboje są zwierciadłami hojności natury — jej łona, jej płodności, jej pożywnego

mleka, jej potężnego nasienia, najwyższej ekstazy, kojącego snu, tajemnicy jedności i głęboko ukrytych tajemnic nieśmiertelności, którymi tylko ona włada — jako że jesteśmy częścią natury i uczestniczymy w jej sakramencie życia i śmierci. Tak, jak niegdyś Jezus, człowiek doskonały i nasz wzór.

Mężczyzna w czarnym kapeluszu poruszył się niespokojnie, pochylił się do przodu, by nie uronić ani jednego słowa, a zarazem nie spuścić z oczu dziewczyny i chłopca.

Ojciec Jonathan powstał stojącym po lewej gościom płonące spojrzenie.

— Wielu starało się okraść go — ten nasz najdoskonalszy wzorzec — z wartości, jaką przedstawia dla nas jego człowieczeństwo. — Jego głos kipiał od nadmiaru emocji. — Zaćmić jego chwalebny żywot młodym, nieprzekonującym finałem. Bo czym jest cała ta okropna gadanina o jego domniemanym zmartwychwstaniu, jak nie oszustwem? Skoro umarł, to umarł. Całkowicie. Naprawdę. Czymże byłaby ta ofiara i jego miłość do nas, gdyby umierał po to, by znów żyć? Okradają tę ofiarę z jej prawdziwego sensu i chwały i okradają jego i nas z prawdziwej ludzkiej godności i czyż nie drwią sobie okrutnie, przyszywając do jego bohaterkiej śmierci szczęśliwe zakończenie? Jego, największego spośród bohaterów. Z największej historii, jaką kiedykolwiek opowiedziano, robią bajkę braci Grimm.

Jerome i Hilda — (popatrzył na nich z dumą) — wy pokochacie daną przez niego tajemnicę ludzkiej harmonii, a gdy przyjdzie pora, podobnie jak on, stawicie czoła śmierci, ludzkiej i godnej, i wróćcie do natury, by wtopić się w jej wieczną jedność, tam gdzie Jezus poszedł z opuszczoną głową, ale tryumfujący.

Mężczyzna w czarnym kapeluszu wysunął się przed tłumek gości.

Jonathan przeszedł do właściwej ceremonii zaślubin.

— Hilda i Jerome, zobaczcie, że cała natura przerwie na moment swój cykl, by być świadkiem waszych ślubów. — Szerokim gestem ogarnął całą okolicę, jakby dziobiąc ją zakrzywionym palcem. — Wszystko, wiatr, słońce, morze, ziemia, wszystko zatrzyma swój bieg...

Urwał. Zdawało się, że ma trudności z zacerpnięciem powietrza. Ścisnęło go w gardle. Twarz nabiegła mu krwią. Wreszcie udało mu się odzyskać głos i mógł podyktować Hildzie formułę,

— Całym sercem biorę ciebie...

— Całym sercem biorę cię — powtórzyła wyraźnie i pewnie Hilda.

- Za mego czcigodnego męża...
- Za mego czcigodnego męża...
- Wobec tajemnicy natury...
- Wobec tajemnicy natury...
- By mieć cię i trwać przy tobie...
- By mieć cię i trwać przy tobie...
- W życiu i śmierci...
- W życiu i śmierci...
- Jako Boże łono i upodobanie...
- Jako Boże łono i upodobanie...
- Na chwałę naszego człowieczeństwa...
- Na chwałę naszego człowieczeństwa...
- Jak przed nami Jezus...
- Jak przed nami Jezus...
- Świat żywych i umarłych...
- Świat żywych i umarłych...
- Amen.
- Amen.

Hilda wsunęła obrączkę na palec Jerome'a. Goście poruszyli się. Część z nich czuła niewytłumaczalną napięcie i nie mogła oderwać oczu od Jonathana. Niektórzy wspominali później, że odnieśli wrażenie, iż zaczyna przez niego przebijać jakaś szpetota.

Mężczyzna w czarnym kapeluszu, stojący teraz pod wydmami, z dala od tłumu, nadal wszystko bacznie obserwował.

Jerome popatrzył na Jonathana, czekając na tekst swojego ślubowania. Hilda wpatrzona była w Jerome'a. I rzeczywiście zdawało się jej, że cała natura zatrzymała dla niej swój bieg. Po raz pierwszy czuła się zjednoczona z życiem, ze światem, z własnym ciałem.

Jonathan znów walczył z jakąś blokadą. Zesztywniał. Pierś mu się podniosła. Wreszcie zdołał napędnąć płuca i zaczął dyktować młodzieńcowi formułę.

- Tą obrączką...
- Tą obrączką... — powtórzył Jerome.
- Biorę cię...
- Biorę cię...
- Za mą umiłowaną żonę...
- Za mą umiłowaną żonę...
- Jako że dałaś mi...
- Jako że dałaś mi...

— Cud i tajemnicę...

— Cud i tajemnicę...

Jerome czekał na następny wers. Ale Jonathan nagle znów niemal zsiniał. Wytrzeszczył oczy, widać było ogromne, nasyczone przerażeniem białka. Ręce, które do tej pory uroczyście krzyżował na piersiach, zwisały sztywno wzdłuż jego boków, dłonie otwierały się i zamykały konwulsyjnie. Otworzył usta i wychrypiął:

— Zjednoczenia się z naturą...

— Zjednoczenia się z naturą... — powtórzył Jerome.

— I... i... i... — zająknął się Jonathan.

Hilda odwróciła głowę, zaniepokojona. Głos kapłana, z każdą sylabą, podnosił się na poziom hysterii. Zdawało się, że wszystkie inne dźwięki zamarły, wszyscy w napięciu słuchali Jonathana.

— I... zjednoczenia się z Je... Jez... Jeeezusem. — Coraz głośniejsze skrzeczenie przecinało powietrze. — JEZUSEM! — To imię, brzmiące w jego ustach jak przekleństwo, wbiło się wszystkim w uszy. Na twarzy kapłana pojawił się nagle tak szkaradny grymas, że Hilda zamarła ze zgrozy.

W mgnieniu oka rzucił się na dziewczynę, wpychając wyciągnięte ręce pod jej ramiona. Pognał z nią do wody, jęcząc i mamrocząc coś nieskładnie. Pchnął głowę Hildy w dół, przytrzymując twarz pod wodą i siadając okrakiem na jej korpusie, by uniemożliwić szamotaninę i kopanie.

Szybkość jego ruchów i ich absurdalność oszołomiły wszystkich. Przez ułamek sekundy nie pojmowali, co się dzieje. Potem jakaś kobieta wydała świdrujący krzyk, uświadamiający wszystkim, że dziewczynie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Pół tuzina mężczyzn rzuciło się do wody. Wydarli Hildę z rąk Jonathana, rąbnęli go w kark, zdjęli z niej i cisnęli na plażę. Leżąc, przez chwilę miotał się i kopał, potem znieruchomiał.

Jerome i ojciec Hildy wyciągnęli dziewczynę z wody. Łapała powietrze i łkała, a z jej długiej sukienki spływały strużki piasku i wody. Położyli ją wysoko na wydmie, z głową na kolanach matki. Stopniowo odzyskiwała oddech, zanosila się od płaczu. Jerome klęknął przy niej. Był ogłupiały, usta miał otwarte, twarz bladą jak ściana; nie potrafił wydusić słowa.

Jonathan wciąż leżał na skraju plaży. Poruszył się i jęknął, przekręcił się na bok. Potem, opierając się na łokciu, powoli i z wysiłkiem podniósł się na nogi. Chwiały się. Plecy i bok miał oblepione piaskiem. Z długich włosów i ubrania jeszcze ściekała woda. Oczy nabiegły mu krwią. Opuścił głowę. Nie mógł

znieść blasku słońca i twardych spojrzeń otaczających go gości. Był osaczony.

Początkowo wszyscy milczeli. Ciszę przerwał stanowczy, metaliczny głos.

— Jeśli pan pozwoli — zwrócił się do ojca Hildy — ja przejmę tę sprawę.

Władczość i pewność bijące z tego głosu sprawiły, że wszystkie oczy skupiły się na mówiącym. To był ten dziwny mężczyzna. Zdjął właśnie swój czarny kapelusz, odslaniając pociągłą i porzytą zmarszczkami, ale może trochę młodzieńczą twarz i bujne, siwe włosy, targane teraz przez wiatr.

Zdjął też okulary przeciwsłoneczne i utykając zbliżył się do Jonathana, nie spuszczać zeń wzroku. Powiedział cicho:

— Czeka nas teraz ważne spotkanie, ojcie Jonathanie. — Przerwał. Po chwili dodał nieco innym tonem: — Im prędzej, tym lepiej.

Czarny kapelusz znów znalazł się na głowie. Mężczyzna wyciągnął rękę w kierunku Jonathana.

Nikt się nie odezwał. Zapewne wszyscy odetchnęli z ulgą, że ktoś zajął się tą sprawą.

Mężczyzna ponownie zwrócił się do Jonathana.

— Słońce za parę godzin będzie już wysoko. Mamy robotę, która nie może czekać. Chodź!

Jonathan przez chwilę mrużył oczy. Potem podał tamtemu drżącą dłoń ze skrzywionym palcem. Odwrócili się plecami do morza. I poszli, ręka w rękę — jeden, nadal zataczając się i chwiejąc, drugi zaś, utykając — ku wydmom i dalej, na szosę, gdzie zaparkowano samochody. Tam zatrzymali się przy furgonetce.

Stali tam chwilę. Goście widzieli, że mężczyzna mówi coś do Jonathana. Tamten zaś, na wpół zgięty i oparty o klamkę, uważnie słuchał, opuszczając głowę. Gwałtownie potakiwał. Potem obaj wsiedli do furgonetki.

Kiedy już odjechała i ucichł warkot silnika, ktoś wreszcie przelamał ciszę.

— Kto to był? — zapytał.

Ojciec Hildy, ze łzami w oczach, obserwował znikającą furgonetkę.

— Ojciec David — szepnął. — Ojciec David M. Teraz już wszystko będzie grało. — Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć niewygodnej myśli — A jednak on miał rację.

OJCIEC DAVID

W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, kiedy przyszedł mu zabrać z plaży zataczającego się Jonathana, ojciec David M. (nazywany przez studentów „Gnatem”) miał czterdzieści osiem lat i był kapłanem w diecezji obejmującej Wschodnie Wybrzeże, wykładowcą antropologii w wyższym seminarium, a także diecezjalnym egzorcystą. Osobiście przeprowadził już cztery egzorcyzmy i asystował przy pięciu dalszych. Pierwsze z nich miały miejsce w Paryżu, gdzie pomagał pewnemu starszemu księdzu, pozostałe — w jego rodzimej diecezji.

Zaczynając swą karierę naukową w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym, David M. nawet nie śnił o tym, że w przeciągu dziesięciu lat nabyta przez niego wiedza z zakresu antropologii i jego zafascynowanie prehistorią wydatnie przyczynią się do tego, iż zostanie egzorcystą, a także — że kiedyś zaangażuje się w niesamowitą sprawę ojca Jonathana. I nawet w marcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego, kiedy rozpoczął te egzorcyzmy, nie śniło mu się, że wywołają one najpoważniejszy kryzys w jego życiu i doprowadzą do tego, iż na zawsze porzuci antropologię.

David przyszedł na świat w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim w Coos, najdalej na północ wysuniętym hrabstwie stanu New Hampshire, liczącego sobie wówczas niespełna pół miliona mieszkańców i typowo rolniczego, żyjącego zupełnie innymi sprawami niż bardziej światowe miasta południa, takie jak Boston czy Nowy Jork. Szczególnie w hrabstwie Coos wciąż jeszcze były żywe typowo jankeskie tradycje: kult ciężkiej pracy, oszczędności i trzeźwości. Słuchano tam kazań o zlu, jakie niesie z sobą alkohol, o słuszności płacenia gotówką za nabyte dobra, o samowystarczalności, o odpowiedzialności osobistej i o fundamencie prawnego życia — nicomylnym, obejmującym wszystko przewodniku i objawieniu — Piśmie Świętym. Nawet dzisiaj, kiedy środek i południe tego stanu muszą ścierpieć przemiany, tamta ziemia ma w sobie coś z prastarego, niepodległego królestwa. W tamtejszych górach, jeziorach, klifach i lasach odnaleźć można spokój, tak potężny, jak nagie masywy Himalajów i wulkaniczne stoki gór Synaj.

David M. był jedynym potomkiem zamożnej jankeskiej rodziny, wiernej Kościołowi Rzymskiemu. Wczesne lata swego życia spędził na farmie ojca, czasem odwiedzając pobliskie mia-

steczko, niekiedy też wyjeżdżając z rodzicami na krótkie waka-
cje do Portsmouth.

Najtrwalsze obrazy ze świata młodości, jakie zachowały się w pamięci Davida, to jeziora, góry, lasy, klify, formacje skalne, doliny ocienione przez drzewa i strome turnie, a także wielkie połacie ziemi, otaczające jego dom. W jego uszach nadal dźwięczy harmonia takich nazw, jak Ammonoosuc River, Saco River, Franconia, Merrimack Valley; trwa w nim odwieczna magia jeziora Winnepesaukee, długiego na dwadzieścia mil i w całości okolonego listowiem; nazw dwustu siedemdziesięciu czterech znajdujących się tam wyseppek nauczył się kiedyś na pamięć.

Katolicyzm jego rodziców był konserwatywny i nierozewalnie związany z codziennym życiem. Oboje zdobyli wykształcenie; ojciec studiował nawet w Anglii, w Cambridge. Oboje też podróżowali po Europie. Centralnym miejscem ich domu była biblioteka z wielkim kominkiem, przy którym zbierali się po posiłkach. Tam też David spędzał długie godziny, wertując księgozbiór rodziców.

W okolicy żyło wielu ich krewnych. Towarzyszami zabaw Davida byli przeważnie jego kuzyni. Natomiast początki bardziej intelektualnych zainteresowań wiąże on z wpływem swego wujka, który przez trzydzieści siedem lat wykładał w Bostonie historię, a na starość przeniósł się na farmę, by zamieszkać ze swym bratem i szwagierką.

Stary Edward — tak go nazywali — uosabiał w oczach Davida stabilność i trwałość ich domu i poważnie wpłynął na rozwój umysłowy chłopca. Wuj większość czasu poświęcał na czytanie. Dwa razy dziennie wychodził z domu, rano, by przejść się wokół farmy — regularnie, czy grad, śnieg, czy słońce — i po obiedzie, by pospacerować w cieniu zagajnika na zachodnim krańcu domu, paląc fajkę i mówiąc do siebie.

David pamięta, jak chadzał ze Starym Edwardem na perć nad Franconia Notch, by oglądać Wielką Kamienną Twarz, „Starego Człowieka—Górę”.

— Nikt nie wie, synu, skąd to się tam wzięło — mawiał wuj. — Tak się, po prostu, stało. Z surowej natury wyłonił się człowiek.

To stwierdzenie stało się dla Davida swoistym symbolem i zapowiedzią tego, jak miał w przyszłości myśleć o początkach człowieka.

Hełkroć David i wuj Edward odwiedzali Wielką Kamienną Twarz, odbywało się to według tego samego rytuału. Jak tylko

znaleźli się w pobliżu „Starego Człowieka”, siadali i spożywali lunch przy ognisku. Później Edward zapalał fajkę i wpatrując się w dziobaty profil, inicjował stały fragment rozmowy.

— No, chłopcze! Jak myślisz, kto to wykonał?

— Wydaje się, że to wyszło z ziemi i skały, proszę pana — odpowiadał David.

Czasem Edward zabierał ze sobą któreś z dzieł swego ulubionego pisarza, Nathaniela Hawthorne'a. Czytał Davidowi jakiś epizod, który później wspólnie omawiali. Najczęściej zabierał *Szkarlatną literę*.

— Dlaczego, chłopcze, Arthur zginął na szafocie, i to z uśmiechem na ustach? — pytał.

Po jakimś czasie David już znał właściwą odpowiedź.

— Ponieważ wiedział, że musi zapłacić za swoje grzechy.

— A dlaczego grzeszył?

— Z powodu grzechu pierworodnego — odpowiadał David.

Kiedyś ośmielił się sam zadać pytanie:

— Proszę pana, a dlaczego Hester ponownie schowała szkarlatną literę do kieszeni, choć już wiedziała, że to zła litera?

Odpowiedź trafiła w samo sedno.

— Bo chciała być romantyczna, chłopcze. Romantyczna. Tak to nazywali.

To było pierwsze spotkanie Davida z romantyzmem, zagadnieniem, które później stało się dla niego czymś bardzo złożonym i nader bolesnym. Zły duch, którego wypędzał z Jonathana, posiadał tamtego pod postacią czystego romantyzmu.

Kiedy David skończył czternaście lat, posłano go do szkoły w Nowej Anglii, ale wszystkie wakacje spędzał na farmie w hrabstwie Coos. Jego wuj nadal tam mieszkał. Odbyli razem kilka wycieczek: do Nowego Jorku, Filadelfii, Chicago i Montrealu.

Ale największe znaczenie miała dla Davida wycieczka do Salem w stanie Massachusetts — wycieczka, którą sam zaproponował. Miał wtedy szesnaście lat. Jego wuj chciał zobaczyć dom Johna Turnera, uwieczniony przez Hawthorne'a w *Domu o siedmiu szczytach*. David natomiast przedzierał się wtedy przez egzemplarz *Kościelnej historii Nowej Anglii* Cottona Mathera, który znalazł w ojcowskiej bibliotece, i bardziej interesowały go takie osoby, jak Elizabeth Knapp, Anne Hibbins, Ann Cole i reszta „czarownic” oraz „czarowników”, zamieszkujących siedemnastowieczne Salem. Dlatego też, kiedy już zobaczyli Peabody Museum i dom Turnera, spędzili półtorej godziny w „domu czarownic”, gdzie w roku tysiąc sześćset dziewięć-

dziesiątym drugim sędzia Corwin przesłuchiwał dziewiętnaście osób oskarżonych o uprawianie czarów i potem straconych.

David pojął później, że ten jego młodzieńczy pobyt w „domu czarownic” i jego najbliższej okolicy miał dla niego szczególne znaczenie. Kiedy tak zwiedzali tamten dom, wuj opowiedział mu dużo o owych procesach z końca siedemnastego wieku.

Przez cały pobyt tam David miał dziwne — ale nie przykre — wrażenie obecności jakichś „niewidzialnych oczu” (tak to opisał wtedy swojemu wujkowi) czy też „duchów” (tak to określa obecnie), usiłujących nawiązać z nim kontakt. Zdawało mu się, że o coś proszą. Tak jakby jedna część jego umysłu rejestrowała komentarze wujka oraz całe otoczenie, a druga zajęta była innego rodzaju „słowami” i „widokami”.

Mimo iż było to dość niezwykle doświadczenie, nie zaprzętał sobie nim głowy jeszcze przez wiele lat. Prawdę mówiąc, stanęło mu przed oczyma dopiero w trzydzieści dwa lata później, kiedy umierał Stary Edward, i po raz wtóry, kiedy uwalniał ojca Jonathana od złego ducha.

Nikt z rodziny Davida ani z jego przyjaciół nie był specjalnie zaskoczony, kiedy w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym, młodzieniec postanowił wstąpić do seminarium. Ojciec wprawdzie wołałby widzieć go w mundurze, a matka w duchu liczyła na wnuczęta, jednakże David był zdecydowany.

W siedem lat później, kiedy jako dwudziestopięcioletek otrzymał święcenia, biskup zapytał go, czy nie interesowałoby go jeszcze kilka lat studiów. Diecezja potrzebowała wykładowcy antropologii i historii starożytnej. Gdyby wyraził zgodę, musiałby najpierw zrobić doktorat z teologii. Władze Kościoła niechętnie pozwalały młodym klerykom na osiąganie cenzusów naukowych, o ile nie mieli oni pogłębionego przygotowania doktrynalnego. To zaś mogłoby nie być ani łatwe, ani przyjemne, gdyż Rzym nie miał wysokiego mniemania o amerykańskiej teologii. Cały program zająłby Davidowi kolejne siedem lat życia.

Pomimo przypuszczalnych trudności, David wyraził zgodę. Jesienią zaczął uczęszczać na kursy teologiczne w Rzymie, a w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym rozpoczął studia na paryskiej Sorbonie.

Jak wielu innych w owych czasach, niejedno słyszał o francuskim jezuitcie, który nazywał się Pierre Teilhard de Chardin,

ale nigdy nie zetknął się z jego myślą. W Paryżu dostał się pod bezpośredni wpływ jego idei. Dla powojennych intelektualistów katolickich Teilhard był swoistym fenomenem, a od połowy lat pięćdziesiątych uchodził za kogoś w rodzaju dwudziestowiecznego Tomasza z Akwinu i zyskał sobie tak wielu oddanych entuzjastów, jak w minionych stuleciach jedynie Bonawentura i Ramon Llul.

Teilhard, rasowy Francuz, intelektualista, asceta, bohater pierwszej wojny światowej, wybitny student, twórczy nauczyciel, mistyk, odkrywca Człowieka Pekinśkiego (*Sinantropusa*), badacz Chin, pustyni Gobi, Birmy, Jawy, Kaszmiru i Afryki Południowej, postanowił dowieść, że chrześcijanin może uznać teorię Darwina, nie wyrzekając się tym samym wiary.

Cała materia, zdaniem Teilharda, jest i zawsze była obdarzona „świadomością”, choćby najprymitywniejszą. „Świadomość” ta rozwijała się przez miliardy lat i przez wszystkie formy istnienia: od substancji chemicznych, poprzez rośliny i zwierzęta, aż po istotę ludzką. Nadal się rozwija, dochodząc obecnie do ostatniego stadium rozkwitu: do punktu Omega, w którym wszyscy ludzie i cała materia stopią się w jedność, o której śnili tylko wizjonerzy i święci minionych epok. Teilhard utrzymywał, że kluczem do owego punktu Omega będzie Jezus. I tak wszystko złączy się ze wszystkim, zjednoczy się w miłości i permanentnym zbawieniu.

W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, kiedy David przyjechał do Paryża, obdarzone długą pamięcią władze Kościoła zaczynały mieć dość Teilharda i jego doktryn. Krytyczne spojrzenie francuskiego jezuita, jego swoboda wypowiedzi i galijska logika, umiejętność odpierania wszelkich zarzutów potokiem szczegółów technicznych i naukowych, odrzucanie wyższych racji na polu intelektu i nader śmiała próba zespolenia współczesnej nauki z pradawną wiarą — wszystko to budziło w nich trwogę. Nie tylko orli nos Teilharda przypominał im jego siedemnastowiecznego przodka, Kartezjusza, którego idee nadal uważali za herezję. Niepokoiło ich przede wszystkim to, że Teilhard próbuje zracjonalizować misterium wiary katolickiej, „naukowic” Boga i dowieść, że prawdy objawione są całkowicie wytłumaczalne w kategoriach próbek i skamielin.

Teilhard: wierny „jasnym i wyrazistym ideom” Kartezjusza, ojca całej współczesnej myśli naukowej; inspirowany przez ideały Ignacego, ojca nie tylko jezuitów, ale i wszystkich samotnych śmiałków; zafascynowany mistycznym mrokiem mądrości, czczonej przez jego ulubionego autora, Jana od

Krzyża, z którym dzielił ból, nie dochodząc nigdy do tej samej ekstazy; ukształtowany intelektualnie przez najświetlejsze autorytety naukowe owych dni — był odpowiedzią na zapotrzebowanie, urodzonym idolem zbankrutowanych intelektualistów katolickich tamtego czasu i tysięcy protestantów pozostających w kleszczach bezlitosnego rozumu, który od czterech wieków uznawali za największy dla człowieka powód do chwały. Teilhard był dla nich jednocześnie światłem przewodnim i męczennikiem. Umęczonym wojną Francuzom i Belgom dawał nowe dźwięczne hasła i nową dumę. Rozpalał umysły spragnionych innowacji Holendrów i Niemców. Podrzucał pożywkę wiecznie skrywanemu emocjonalizmowi duchowieństwa anglikańskiego, które w owym czasie zrzucało kajdany tradycji.

Jego nowa terminologia (był autorem wielu współczesnych neologizmów), śmiała myśl, pancierz nauki, międzynarodowa reputacja, odrzucanie buntu, nawet kiedy gnębiły go szykany, jego tajemnicza śmierć i eksplozja pośmiertnej sławy, owocująca wieloma publikacjami, wszystko to przydało mu, jego nazwisku i ideom, znaczenia, jakim cieszyli się Joanna d'Arc, Franciszek Ksawery i Simone Weil. Mimo iż Rzym nigdy nie zdobyłby się na kanonizowanie go, został kanonizowany przez nowy „głos ludu”. Dla amerykańskich pseudoteologów był cudownym źródłem ezoterycznych słów i pogmatwanych myśli.

Nieliczni uświadomiali sobie, że wizje Teilharda straciły aktualność na długo przed jego śmiercią. Dostarczył chrześcijanom jedynie krótkiego oddechu pomiędzy długą jesienią dwiętnastego stulecia a zimą, która spowiła wszystko u schyłku wieku dwudziestego. Teilhard nie był ani treściwym pokarmem, zdolnym zaspokoić prawdziwy głód, ani też niebiańską manną, zapowiadającą nowe Zesłanie Ducha Świętego. Był zaledwie strzeżonym — pożegnalnym kielichem mocnego wina.

Po drugiej wojnie światowej, za pontyfikatu Piusa XII, Kościół Rzymskokatolicki nieustannie oczyszczano z „niebezpiecznych idei”. Także Teilhard padł ofiarą cenzorów. Uciszone go i skazano na banicję, nie wolno mu było nic publikować ani nigdzie wyklądać. Mimo to, jego koncepcje rozprzestrzeniły się w kręgach europejskich i amerykańskich intelektualistów niczym rtęć. Podobnie jak wielu innych, David także suto raczył się tym winem idei i wierzył, że zapowiadają one nowy brzask.

Rzecz jasna, David od samego początku wiedział, że zmierzając w kierunku antropologii. Dlatego też, studiując w Rzymie, koncentrował się głównie na tych kwestiach teologicznych, które miały bezpośredni związek z tą gałęzią nauki. Interesowały go zwłaszcza takie zagadnienia, jak stworzenie świata materialnego i człowieka, sprawa Adama i Ewy oraz problem grzechu pierworodnego. Stwierdził, że stanowisko Kościoła jest w tych kwestiach jednoznaczne: Bóg w siedem dni (dopuszczono umowne traktowanie tego czasu) z niczego stworzył świat. Pierwszym mężczyzną był Adam, a pierwszą kobietą — Ewa. Oboje zgrzeszyli. Z powodu tego grzechu wszyscy mężczyźni i kobiety — jako że wszyscy mężczyźni i kobiety pochodzą od Adama i Ewy — pozbawieni są boskiego daru, zwanego łaską. Rodzą się obarczeni grzechem pierworodnym. Ten stan może zmienić tylko sakrament chrztu.

Niepokoilo Davida to, że tak przedstawione doktryny, nawet jeżeli wziąć pod uwagę wszelkie udoskonalenia i modyfikacje, niezwykle trudno było wyjaśnić w świetle aktualnych wówczas osiągnięć paleontologii. Owa trudność pogłębiała się jeszcze, im bardziej wnikało się w naukę.

W świetle tego, co głosiły antropologia i kulturoznawstwo, rodowód człowieka sięgał bardzo daleko w przeszłość i obejmował czasy, w których kształtowało się nie tylko jego ciało, ale także umysł i instynkty wyższe. Oczywiście, jeśli uznano się te domniemanie i teorie „naukowe” za „fakty” albo nawet wysoce prawdopodobne hipotezy, koncepcja Boga tworzącego człowieka i zsyłającego potem swego syna Jezusa, by wybawił go z kłopotliwego położenia, ten centralny dogmat chrześcijaństwa, trafiała jakby na aukcję, czekając na tego, kto zaoferuje najwyższą stawkę.

Geniusz Teilharda sprawił, że jego oferta, równie wysoka jak propozycje nie—katolików i nie—chrześcijan, przerzuciła pomost nad tym niemożliwym do przejścia rozziwem. Ufając tej obietnicy, tak David, jak i całe jego pokolenie zaakceptowali koncepcję francuskiego jezuitę.

Jednakże szybko ujawnił się jej słaby punkt. Chrześcijański Stwórca stracił swoją boskość. Nadal tajemniczy i niezbędny, stał się częścią świata. Jezus, zbawiciel, nie był już bohaterem wkraczającym między ludzi i stawiającym historię na głowie. Zredukowano go do funkcji kulminacyjnego elementu ewolucji, tak naturalnego we wszechświecie, jak aminokwasy. Impuls, który miał w przyszłości doprowadzić do objawienia go wszystkim ludziom, stał się przypadkiem na drodze ewolucji —

rodzajem kosmicznego żartu — poczętym przeszło pięć miliardów lat temu, pośród oparów wodoru i helu oraz aminokwasów, w zmieniającym się wciąż kosmosie. Impuls ten, pozbawiony możliwości wyboru, musiał i musi mknąć dalej, aż w „dniach ostatnich” zrodzi doskonały i ostateczny kwiat „pełni ludzkiej świadomości”.

Podobnie jak Wielka Kamienna Twarz, którą David tak dobrze pamiętał ze swoich wędrówek z wujkiem, Jezus po prostu wyłonił się z natury. Punkt Omega. Tyle, że będzie to oczekiwana godzina chwały, Dzień Ostatni.

Ani David, ani inni, którzy nazywali historię człowieka „największą przygodą biologiczną wszechczasów”, nie uświadamiali sobie faktu, że taka interpretacja dawnych wierzeń chrześcijańskich wiedzie prosto do naruszenia innych fundamentalnych zasad i zastępowania ich prymitywniejszymi konkluzjami. Ale euforia często zaćmiewa myśli o przyszłości. Swoboda intelektualna ma swoje własne okowy, swój własny rodzaj krótkowzroczności. A z triumfem czystej logiki, zawsze chyba idzie w parze lekceważenie człowieczeństwa i pierwiastka duchowego.

Wśród takich właśnie fermentów dojrzewała psychika Davida.

W okresie studiów doktoranckich Davida miały miejsce dwa wydarzenia, które szczególnie zapadły mu w pamięć. Oba wiązały się ze zgonem wuja Edwarda. Będąc na drugim roku, David dowiedział się, że ów starzec, mający wówczas przeszło osiemdziesiąt lat, jest bliski śmierci. Tuż po powrocie z wycieczki na południe Francji otrzymał telegram od ojca, informujący go, że Stary Edward, któremu niewiele już zostało życia, usilnie pragnie się z nim zobaczyć.

Tego samego wieczoru złapał samolot. W dobę później był już na farmie w hrabstwie Coos. Edward stopniowo rozstawał się z życiem, co jakiś czas odzyskując przytomność.

Pod koniec drugiej doby, spędzonej na farmie, około północy, David siedział w pokoju konającego. Coś czytał. Rodzice udali się już na spoczynek. Pokój oświetlała jedynie ustawiona na biurku lampa. Na zewnątrz panowała niemal kompletna cisza. Wśród drzew zawodził nocny wiatr. Czasem z daleka dochodził jakiś niewyraźny odgłos.

W pewnej chwili David podniósł głowę i spojrzał na Edwarda. Zdawało mu się, że coś usłyszał. Ale starzec leżał bez ruchu, z wysiłkiem łapiąc oddech. Młodzieniec podszedł do niego, zanurzył ręcznik w misce i zmył pot z jego czoła. Miał już wrócić na krzesło, kiedy znów usłyszał — a przynajmniej

tak mu się zdawało — jakiś głos. A może głosy, tego nie był pewien. Spojrzał na Edwarda: nic się nie zmieniło. Podniósł więc głowę i zaczął nasłuchiwać.

Mógłby dać głowę, że w sąsiednim pokoju znajdowało się z pół tuzina rozmawiających cicho osób. Wiedział jednak, że poza nim i Edwardem nie ma w domu nikogo, wyjąwszy rodziców i służącą.

Starzec poruszył się niespokojnie i zaczął łapać powietrze. Powieki jego przez chwilę trzepotały. Z wysiłkiem otworzył oczy. Wzrok jego przewędrował przez sufit do jednego z dalszych kątów pokoju, po czym spoczął na Davidzie.

— Mogę panu jakoś pomóc? — zapytał młodzieniec. Zawsze się tak do niego zwracał. Edward potrząsnął głową w charakterystyczny dla siebie sposób, który David tak dobrze pamiętał z dawnych dni.

Niemal w tej samej chwili zaczęła się agonía. Starzec powoli nabierał powietrza i z trudem je wydychał. Jęczał. David nacisnął na dzwonek, by wezwać rodziców. Klęknął u wezgłowa i zaczął się cicho modlić.

Starzec powstrzymał go ruchem palca. Próbował coś powiedzieć. David niemal przytknął ucho do jego ust. Ledwie słyszał poszczególne słowa.

— ...się za nich... Modliłem się za nich... przychodzą zabrać mnie do domu... Ty nie... chłopcze... do domu... Ty nie... do domu...

Tamte głosy, pomyślał David. Tamte głosy. Mężczyźni i kobiety. Kiedy to był z Edwardem i tamtymi i Edward się modlił za nich, a on nie? Czemu potrzebowali modlitw? Nie mógł uwolnić się od myśli, że starzec mówi o ich wycieczce do Salem. Nie widział żadnego związku z tym faktem. Mimo to, ta myśl nie dawała mu spokoju.

Edward niespiesznie wytchnął powietrze z płuc. Jego wargi poruszyły się i lekko skrzywiły. David usłyszał cichy charkot. Potem został sam, otoczony martwą, nieskazitelną ciszą, ostatnią towarzyszką umierającego. Oczy Edwarda otworzyły się, szkliste i nie widzące.

Po pogrzebie Starego Edwarda, David spędził jeszcze kilka dni w domu, po czym udał się do Nowego Jorku. Miał tam coś do załatwienia, miał też okazję zobaczyć Teilharda de Chardin. Licząc na autograf, zabrał ze sobą egzemplarz *Środowiska Bożego*.

Spotkanie z francuskim jezuitą było krótkie i przejmujące. Przyjaciel, który je zorganizował, ostrzegł Davida, że ów stary człowiek nie najlepiej się czuje.

— Wizyta będzie krótka. Zgoda?

Teilhard był o wiele chudszy, niż się David spodziewał. Rozmawiali po francusku. Powitał młodzieńca uprzejmie, choć nie wylewnie, chwilę porozmawiał na temat antropologii, po czym wziął z jego rąk egzemplarz swojej książki i popatrzył na niego zadumany. Jakby pod wpływem chwili, wyjął z kieszeni pióro, napisał parę słów na przed tytule, zamknął książkę i zwrócił ją Davidowi, przypatrując mu się ciekawie. Zaciśnął usta w charakterystyczny dla siebie sposób i lekko przekrzywił głowę.

David dostrzegł siłę tkwiącą w jego podbródku. Najbardziej jednak wbiło się w jego pamięć spojrzenie Teilharda. Spodziewał się, że ujrzy w nim głębię, typową dla człowieka, który wiele podróżował i głęboko traktował najpoważniejsze w życiu sprawy. Ale oczy Teilharda były szeroko otwarte. Nie znalazł w nich ani skrawka wspomnień czy refleksji, ani też żadnych śladów dawniejszych rozterek. Nie było w nich nic z błyskotliwej inteligencji. Stary paleontolog był skupiony tylko na Davidzie, na jego obecności; przyjmował jego spojrzenie z pełnym zrozumieniem i prostotą, która niemal zawstydziła młodego człowieka.

Po kilku sekundach Teilhard powiedział:

— Dochowasz prawdy, ojczy. Dochowasz prawdy. Szukaj ducha. A nawet jeśli wszystko inne pryśnie, dawaj nadzieję. Nadzieję.

Jeszcze przez moment spotykali się wzrokiem. Potem się rozstali. Wracając do centrum miasta, David zapytał prowadzącego samochód przyjaciela:

— Jakim cudem i dlaczego wszystko stało się dla niego takie proste?

Przyjaciel nie umiał mu na to odpowiedzieć.

David nagle przypomniał sobie o czymś. Co Teilhard napisał w jego książce? Otworzył ją. Znalazł następującą dedykację: „Powiadają, że tą książką otworzyłem Puskę Pandory. Nie zauważyli jednak Nadziei, kryjącej się w jednym z jej zakamarków.”

Jeszcze przez szereg tygodni po tym spotkaniu, Davida dręczyła myśl, że temu siedemdziesięcioletniemu jezuitcie niełatwo było zdobyć się na nadzieję. Jednakże, kiedy wrócił na Sorbonę, znów zaabsorbowały go studia i wspomnienie owego zdarzenia na jakiś czas zatraciło swą ostrość.

Do Stanów Zjednoczonych wrócił w czerwcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku, w dwa miesiące po śmierci Teilharda.

Dawniejsi koledzy i znajomi z trudem rozpoznawali go w rasowym intelektualście, jakim się stał. Miał wówczas trzydzieści cztery lata i był w pełni sił. Szczupły i dobrze umięśniony, liczył sześć stóp wzrostu. Przyjaciele dostrzegli przedwczesną siwiznę, subtelne, lecz wyraziste zmarszczki wokół ust, świadczące o dojrzałości, a także to, iż z jego twarzy zniknęła młodzieńcza zapalczliwość, cechująca go pięć lat wcześniej, kiedy wyjeżdżał do Europy.

Ustąpiła ona miejsca innemu rysowi: pewnemu „dookreśleniu”, jak nazwał to jeden z jego przyjaciół. Oczy Davida stały się bardziej wyraziste. Był tak samo skory do rozmowy, jak zawsze, ale to, co mówił, zawierało daleko więcej konkretów i głębszych znaczeń. Kiedy wypowiadał się na tematy poważne, czuło się, iż wszystkie jego słowa i myśli pochodzą z bogatych zasobów wewnętrznych doświadczeń, starannie dobranych, skomponowanych w harmonijny układ i pieczołowicie oszlifowanych. Był „dopracowany” w każdym calu. Niejeden z jego starszych współpracowników mawiał:

— Któregoś dnia zostanie biskupem.

Przed objęciem katedry w seminarium David jeszcze rok spędził na swych prywatnych studiach, odwiedzając muzea i podróżując po świecie, by przyjrzeć się pracy paleontologów. Ten rok był dla niego bezcenny: dał mu czas na zorientowanie się w stanie badań, nadrobienie braków w lekturach, poznanie wielu wybitnych „kolegów po fachu” i bezpośredni kontakt z wieloma wykopaliskami. W połowie września pięćdziesiątego szóstego roku pojawił się w hrabstwie Coos, by spędzić z rodzicami dwa tygodnie. Pierwszego października zaczął wykładać.

Następne dziewięć lat życia minęło mu dość spokojnie. Od samego początku zyskał sobie pewną popularność i uznanie. Studenci nadali mu przydomek „Gnat” — z uwagi na skamieliny, które przechowywał w gablotach w swojej pracowni.

W maju sześćdziesiątego piątego znów znalazł się w Paryżu, by wziąć udział w międzynarodowym zjeździe. Spędził tam trzy tygodnie. Któregoś wieczoru stary znajomy, proboszcz z jednej z północnych diecezji, poprosił go, by pomógł mu przy uwolnieniu pewnego pięćdziesięcioletniego mężczyzny od złego ducha.

David niewiele wiedział o egzorcyzmach. Studia wyrobiły w nim przekonanie, że to tylko pozostałość po wiekach przesądów i ignorancji. Jak każdy kompetentny antropolog, mógł przeprowadzić paralelę pomiędzy rzymskokatolickim obrzęd-

kiem egzorcyzmów a wieloma podobnymi rytuałami, występującymi od Afryki po Oceanie i na obszarze całej Azji.

— Nie, ojcie Davidzie — stwierdził proboszcz, słysząc, że David uważa, iż kwestia egzorcyzmów i opętania przez szatana należy do świata wymysłów, mitów i bajek. — Nie, ojcie. To nie jest tak. Mitów się nie wymyśla. Rodzą się przez niezliczone generacje. Są ucieleśnieniem instynktu, głębokiego poczucia wspólnoty. Bajki zaś to opakowania, świadomie tworzone przez ludzi chcących zachować w pamięci wyuczone lekcje. Natomiast opętanie przez szatana i egzorcyzmy — cóż, przyjedź i sam zobacz. Tak czy inaczej, pomóż nam.

Podczas owych egzorcyzmów David miał zastąpić młodego księdza, który się nagle rozchorował. Obrzęd trwał już od trzydziestu godzin.

— Jeszcze parę godzin i będzie po wszystkim — powiedział mu stary proboszcz.

I rzeczywiście, kiedy David włączył się w tę sprawę, najgorsze było już za nimi. W dwie i pół godziny później proboszcz był już bliski zakończenia egzorcyzmów i wygnania złego ducha. Poprosił Davida, by podał mu flaszkę z wodą święconą i krucyfiks.

W tym samym momencie, najzupełniej z nienacka, opętany zeszytniał. Wrzasnął drwiąco:

— Kapłanie, jeśli weźmiesz to z jego rąk, nie będziemy musieli odejść. On ma zbyt wielu wrogów. Nie będziemy musieli odejść! Nie pomógł im, kiedy o to prosili. Nie odejdzimy! Nie będziemy musieli! — Zaniósł się ohydny, chrapliwym śmiechem, celując chudym palcem w Davida. — Ha ha! Palili się. A on nie pomodlił się za nich... Ojciec beznadziei! Ha ha!

David długo nie mógł się uspokoić. Proboszcz sam wziął wodę święconą i krucyfiks i skutecznie zakończył egzorcyzmy. Potem odbył krótką rozmowę z Davidem. Uspokoił go, ale na koniec dodał:

— Masz jakiś problem. Nie znam twojego życia. Jestem jednak pewien, że Bóg go rozwiąże.

Wróciwszy do swojej diecezji, David odbył szczerą rozmowę z biskupem, zaniepokojonym zmianami, jakie dostrzegł w jego zachowaniu. Niepokojące było to, że David nie był już tym samym, pewnym siebie, czasem zadziornym, zawsze nieco nieprzystępnym intelektualistą, natomiast zadawał wiele pytań i szukał spokoju wewnętrznego, zmagając się z jakąś zagadką, której nie umiał nazwać i która nie dawała mu spokoju.

David opowiedział biskupowi o paryskich egzorcyzmach i niegdysiejszym spotkaniu z Teilhardem.

— Czy masz jakieś poważne wątpliwości co do swej wierności antropologii? — zapytał biskup, zastanowiwszy się nad tym. — A może powinienem inaczej sformułować to pytanie? Czy czujesz, że to doświadczenie z egzorcyzmami odśloniło w tobie jakiś niedostatek, coś, co twoja wiedza antropologiczna i twój intelektualizm tylko utwierdzają i utrwalają?

— Szczerze mówiąc, nie wiem — odparł David. — Chodzi też o śmierć Starego Edwarda. Dlaczego tak poważnie potraktowałem jego ostatnie słowa? Wiem, że dotyczyły czegoś dla mnie ważnego. Ale nie wiem dokładnie, czego.

— Posłuchaj, Davidzie — powiedział w końcu biskup. — Skontaktuję cię z ojcem G., diecezjalnym egzorcystą. Nie pracowuje się, dzięki Bogu. Ale tak czy inaczej będzie mógł ci pomóc — przynajmniej, jeśli chodzi o egzorcyzmy.

Ojciec G. był człowiekiem pełnym werwy, o gwałtownych ruchach i ogromnym zapasie trafiających w sedno uwag.

— W porządku, ojcie, w porządku — stwierdził, wysłuchawszy opowieści Davida. — Masz problem. A ja znam tylko jedną odpowiedź na wszystkie problemy: działanie. Nie jestem intelektualistą. Oblałem wszystkie egzaminy, jakich wymagali. Ale w diecezji potrzebowali księży, więc mnie przepuścili. Umieję, w każdym razie, odprawić mszę i prawidłowo ochrzcić dziecko, mimo iż moja łacina jest okropna. I jestem dobrym egzorcystą. Kiedy zdarzy się następny przypadek opętania, włączę cię do gry. Tylko konkretny udział w takiej sprawie zdoła ci pomóc.

Zgodnie ze swą obietnicą, ojciec G. skorzystał z pomocy Davida przy dwóch ingerencjach złego ducha, z którymi przyszło mu się zmierzyć w ciągu następnego roku. Oba przypadki miały względnie spokojny przebieg, a przynajmniej nie zaszło podczas nich nic, co dotyczyłoby bezpośrednio Davida. W nim samym jednak te dwa lata dokonały ogromnej zmiany. Zarówno to paryskie doświadczenie z opętaniem, jak i oba przypadki egzorcyzmów na ojczystej ziemi przekonały go, że to, o co toczyła się wówczas gra, nie miało nic wspólnego z mitem, bajką czy chorobą psychiczną. Co więcej, wciąż borykał się z tym, by nadać jakiś sens swym własnym przeżyciom. Próbował powiązać jakoś fakty, wyłowić ich znaczenie.

Po pierwsze, ostatnie wyznanie wuja Edwarda, że modlił się za „nich” i ich powrót „do domu”, i fakt, że on sam, David, tego nie dopełnił. Po drugie, to Teilhardowe „dawaj nadzieję”

i dedykacja wpisana do książki. I wreszcie — Paryż i drwiny owego pięćdziesięciolatka. Generalnie rzecz biorąc, wszystkie te sprawy były dla niego niejasne i na pozór nic ich nie łączyło. A jednak był pewien, że takie powiązanie istnieje i pragnął je odnaleźć.

Spędzając wakacje na rodzinnej farmie, chadzał na cmentarz, na którym pochowano Edwarda. Przesiadывał też w jego sypialni. Wyprawiał się też do miejsca, które tak często razem odwiedzali, i stawał przed obliczem „Starego Człowieka” z Franconia Notch. Raz czy dwa, po obiedzie, zawędrował do zagajnika na zachodnim krańcu domu, by wspominać nieco wuja. Sam nie wiedział, dlaczego w tamtym miejscu odczuwa taki spokój.

Matka Davida, bardzo związana z synem i znająca na wskroś jego nastroje, powiedziała mu kiedyś, gdy po jednej z takich wizyt wracał do seminarium:

— Davidzie, pewne sprawy wymagają czasu. Czasu. Tylko czas może tu pomóc. Bądź cierpliwy. W stosunku do siebie. I do tego, co ciebie gryzie, cokolwiek by to nie było. Pamiętaj, ile lat Edwardowi zajęło odnalezienie spokoju.

David był jej wdzięczny za te słowa, niosące niemalą ulgę. Traktował je jak swoisty „sygnał”. Ale tu znów wszystko było takie pogmatwane: zarówno to wrażenie ulgi, jak i ów „sygnał” wymykały się jakiegokolwiek racjonalnej interpretacji. Podobnie jak wpływ, jaki miał na niego zagajnik, podobnie jak znaczenie ostatnich słów Starego Edwarda, dokładny sens tego, co wyjawiał opętany paryżanin, czy też dziwne zachowanie się Teilharda. Problem tkwił w tym, że wobec tych spraw jego erudycja i cała nabyta wiedza były najzupełniej bezradne. Miał wrażenie, iż źródło tych zagadkowych spraw znajduje się gdzieś poza zasięgiem jego intelektu — klóciły się z tym, co pojmował i wyniósł ze szkoły. I to go niepokoiło.

Nawet studenci zauważyli pewien nowy ton i, po części, nowe treści jego wykładów. Nadal niezmordowanie badał dawne doktryny w świetle osiągnięć nowoczesnej nauki, nie podważając jednak w żaden sposób tradycyjnego przedstawienia kwestii stworzenia i grzechu pierworodnego. Uwagę ich zwróciło jednak coś innego. „Gnat” informację z antropologii i paleontologii uzupełniał stwierdzeniami, jakie nigdy dotąd nie padały z jego ust. Kiedyś powiedział:

— O ile będziemy się odwoływać tylko do naszych norm i logiki, nie będzie nigdy miejsca na nadzieję.

Innym razem:

— Posługując się szkiełkiem naukowca i subtelnościami teologii, musimy pamiętać także o duchu.

Wykład o ceremoniach pogrzebowych w środkowej Afryce zakończył kiedyś stwierdzeniem:

— Ale nawet analizując te dane z punktu widzenia teologii i ich racjonalności, musicie zachować ostrożność. Działając z najwyższą skrupulatnością, też można przeoczyć ślad obecności ducha.

W takich chwilach wyczuwało się w jego głosie swoistą nutę żalu.

Nieliczni — nawet spośród studentów, którzy zazwyczaj dobrze znają życie prywatne swoich profesorów — wiedzieli, że w owym czasie David został powołany na stanowisko diecezjalnego egzorcysty. Ojciec G. odniósł poważne obrażenia w wypadku samochodowym i nigdy już nie miał stanąć na nogi.

David poważnie potraktował swoją nową funkcję. Podczas rozmowy z biskupem, poprzedzającej jej objęcie, próbował dać wyraz swoim dziwnym przeczuciom.

— Zmieniam się — powiedział. — To znaczy, powoli uświadamiam sobie, co się ze mną stało przez te lata. Nie chodzi o to, że mam jakieś straszliwe problemy. Odnoszę raczej wrażenie, że zlekceważyłem coś ważnego i że przyjdzie czas, kiedy będę musiał temu stawić czoła. Egzorcyzmy jeszcze potęgują tę potrzebę.

— Ojcie Davidzie, myślę, że diecezja zawsze będzie miała z ciebie pożytek — zauważył biskup.

— Tak. Oczywiście, że tak. Mam nadzieję, że tak będzie. Ale... — Urwał, spoglądając gdzieś za plecy biskupa. Miał jakieś niejasne przeczucie. Gdyby tylko mógł ubrać je w słowa. — Niewykluczone, Eksceleńco, że za parę lat... — Znów umilkł i utkwiał wzrok w oknie. Czuł, że będzie musiał wtedy wybrać jedną z dwóch możliwości. A jednak jeszcze nie widział w tym głębszego sensu. Odwrócił się i spojrzął na biskupa. — Niewykluczone, że zrezygnuję wówczas z wykładów w seminarium.

— Zaryzykujemy — oznajmił z uśmiechem biskup, dodając mu otuchy.

JONATHAN

W listopadzie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku David musiał na trzy tygodnie opuścić seminarium. Spędził ten czas w Nowym Jorku, zajmując się dziwnym przypadkiem jednego ze swoich wychowanków, niejakiego Yvesa L., urodzonego w Manchester w stanie New Hampshire, znanego też jako ojciec Jonathan. Yves odrzucił swe imię, kiedy został ekskomunikowany z Kościoła Rzymskokatolickiego. Był o czternaście lat młodszy od ojca Davida. Podobnie jak tamten, pochodził z zamożnej rodziny i, co miało dość duże znaczenie, był jedynakiem.

Ojciec Yvesa, Romain, zawołany katolik, był lekarzem; pochodził z francuskiej części Kanady. Matka, Sybil, katoliczka z wyboru, miała w sobie krew szwedzką. Jej pierwsze, bezdzielne małżeństwo, zakończyło się tragicznie — samobójstwem męża — gdy miała dwadzieścia siedem lat.

Kiedy urodził się Yves, przekroczyła już czterdziestkę. Romain miał pięćdziesiąt dwa lata. Jego syn z poprzedniego związku, Pierre, przyrodni brat Yvesa, miał w owym czasie dwadzieścia osiem lat i żył wraz z żoną i dziećmi w New Jersey.

Przed pierwszym małżeństwem Sybil uczyła w prywatnej szkole w Szwajcarii. Miała za sobą studia na uniwersytecie w Heidelbergu i doktorat z filozofii. Do Kanady wyemigrowała z rodzicami na początku lat trzydziestych. Aparycja Yvesa niejedno zawdzięczała jego szwedzkim przodkom, a zwłaszcza nordyckiej urodzie Sybil.

Dzieciństwo jego należało do szczęśliwych. Krewni i znajomi, których z tą trójką łączyły wieloletnie kontakty, zapamiętali panującą w owej rodzinie więź, niektórzy jednak uzupełniali to stwierdzenie uwagą, iż jak na potrzeby małego chłopca, było w tym wszystkim zbyt wiele intelektualizmu i dorosłości. Znajdując się pod przemożnym wpływem matki, Yves już w wieku dziewięciu lat pochłaniał wszelkie książki. W siedem lat później, podczas egzaminów końcowych, zadziwił komisję szczegółową znajomością dzieł literatury angielskiej i amerykańskiej.

Matka Yvesa była niespokojnym duchem; odnosiło się wrażenie, że jej świat wewnętrzny kryje w sobie wiele tajemnic. I, jak to często bywa wśród neofitów, była bardziej prawowier-
na niż niejeden katolik.

Wiara jego ojca miała zupełnie inny charakter: pospolitszy, bardziej instynktowny. Romain wychował się na północnym zachodzie Kanady. David miał kiedyś okazję przekonać się, że najdawniejsze obrazy zakodowane w pamięci ojca Yvesa wiele mają wspólnego z tym, co sam zapamiętał: z surowością natury, bezmiarem nieba, gór i wody, niepokonaną i częstokroć okrutną mocą śniegu, burzy, wichru i niegościnniej gleby.

Rodzice Yvesa byli sobie niezwykle oddani, jednakże seksualny aspekt ich związku wygasł z chwilą narodzin chłopca, kiedy to Sybil musiała się poddać wycięciu macicy. Najwidoczniej głęboko odczuła to, że została okaleczona czy też pozbawiona części swej kobiecości.

Romain zaś, kiedy jego żona zaszła w ciążę, przeżył poważny kryzys religijny. Po części dlatego, że ciąża zagroziła życiu jego żony, a także z uwagi na przelotny romans, na który sobie w owym czasie pozwolił, obawiał się, że jest bliski utraty wiary, że umrze jako niewierzący i straci szansę na wieczny żywot w Niebiosach.

Yves nigdy nie dostrzegł, że jego ojca ogarnia zwątpienie; przez długi czas nie uświadamiał sobie, że w okresie jego dzieciństwa uczucie łączące jego rodziców osłabło. Wyglądało na to, że oboje nadal bardzo się kochają.

Kiedy Yves wkraczał w drugą dekadę swego życia, Sybil cieszyła się już dobrym zdrowiem; jej inteligencja i dobroć były powszechnie znane. Mimo iż obce było jej to, co nazywała mechanizmami płci, przywiązywała wielką wagę do miłości i zmysłowości, była pełna wdzięku i twórcza, choć pozbawiona wyższych ambicji. Romain, jako lekarz, słynął z wysokich umiejętności i oddania swej pracy, jak i sprawom społecznym. Łączył ich niepisany pakt o wzajemnej przyjaźni i poświęceniu. Dzięki niemu stworzyli sobie świat prawdziwej ufności i niczym nie zakłóconego spokoju.

Generalnie rzecz biorąc, atmosferę, w której Yves dorastał — zbyt poważną jak na jego wiek — przepajały wartości, które bardziej czuł, niż rozumiał. Życie rodzinne wiązało się dlań z uczuciami, które odbierał i oddawał, co jednak nie wpływało na jego indywidualne gusta i skłonności. Życie z Sybil i Romainem grawitowało wokół spraw niewidocznych, które niedojrzały jeszcze Yves intuicyjnie wyczuwał, choć nie potrafił nazwać. W domu państwa L. panowało absolutne zintegrowanie osobowości i codziennego wdzięku. Była w tym i siła miłości, i trwałość osądów. A jednak perspektywa była wąska, zbyt wąska.

W takiej rodzinie wszystkie cechy Yvesa i jego związki z innymi ludźmi — z rodzicami, szkołą, parafią i przyjaciółmi — oparte były na solidnych podstawach. Do osiemnastego roku życia uczęszczał do szkół parafialnych. Wspomina się go dzisiaj jako chłopca, który niczym nie różnił się od swoich rówieśników. Doskonale radził sobie z wieloma dyscyplinami sportowymi, świetnie też tańczył. Spotykał się z miejscowymi dziewczętami i dorabiał sobie z jednym z kolegów, aż uzbierali dość pieniędzy aby kupić używany samochód.

Miał zaledwie kilka zatargów z władzami szkoły. Nie chodziło tu o sprawy nauki — w tej materii nie można mu było nic zarzucić. Ale od czasu do czasu, na oczach całej klasy, wciągał któregoś z nauczycieli w utarczkę słowną, powodując niekontrolowany wybuch złości.

Później się kajał, a jego szczerą skrucha i rozbijający uśmiech zazwyczaj osiągały skutek: bez trudu uzyskiwał przebaczenie. Prawdopodobnie nie bez znaczenia było i to, że jego ojciec był zasłużonym członkiem lokalnej społeczności, matka aktywnie udzielała się w parafii, a on sam co roku zdobywał nagrodę stanową za pracę z angielskiego, przynosząc szkole chlubę. Umiał sobie radzić ze słowami, a jego zmysł poetycki wykraczał poza przeciętną. Pomagało mu to w nauce i pozwalało na własną skrobaninę.

Mając szesnaście lat, Yves trochę malował, pisywał wiersze, by upamiętnić pewne wydarzenia z życia szkoły i domu, został wytypowany, by wygłosić mowę pożegnalną po promocji i autentycznie kochał literaturę. W rok później zdecydował, że wstąpi do seminarium.

Pracę dyplomową, którą Yves napisał pod koniec ostatniego roku szkoły, czyta się dzisiaj jak niesamowitą przepowiednię. W tym nazbyt dojrzałym jak na jego wiek studium twórczości Shelleya napisał: „Ale nawet biorąc pod uwagę całą urodę tej poezji, nie sposób przewidzieć, co osiągnąłby jako poeta i człowiek, gdyby przekroczył wiek trzydziestu lat. Shelley odkrył nowy sposób pojmowania boskości. Mogła być to jednak — tego się nigdy nie dowiemy — pułapka zastawiona przez Szatana z Księgi Hioba lub Diabła Dantego.” Yves przez wiele lat nie rozstawał się z tą pracą, gdyż czuł, że pisząc ją, dotknął czegoś bardzo istotnego.

Swą decyzję o wstąpieniu do seminarium zawdzięczał w dużej mierze wpływowi rodziców. Pierwszą ambicją w życiu jego ojca było zostać kapłanem; to samo nie spełnione pragnienie wpoił swojemu synowi — nie jako nakaz czy zobowiązanie,

ale jako pewien ideał. Yves, już mając siedem lat, wiedział, że w oczach jego ojca, kapłaństwo było najwspanialszym, najważniejszym i najszczytniejszym powołaniem. Właśnie to ojciec przekazał mu swym wejrzeniem, słowami i postawą. Wpływ matki nie był tak pozytywny. Wyglądało na to, że i ona uważa kapłaństwo za ideał i wymarzony cel, jednakże tylko dlatego, że wszelkie inne zajęcia ma za pośrednie.

Do seminarium, w którym uczył się Yves, w dwa lata później trafił i ojciec David M. Młodzieniec był jednym z wielu alumnów i niczym nie zwrócił na siebie uwagi Davida. Z nauką radził sobie, jak zwykle, doskonale. Miał bardzo dobry głos i wspaniale śpiewał psalmy. W szatach liturgicznych wyglądał okazale: przeszło sześć stóp wzrostu, blondwłosy, niebieskooki, o dłoniach męskich i pięknych zarazem. Był obdarzony ujmującym wdziękiem i symetrią ruchów, a co najistotniejsze — posiadał oczy promieniujące niezwykle blaskiem, co niemal hipnotyzowało otaczających go ludzi.

Z tych wszystkich względów, Yves był idealnym kandydatem na kaznodzieję, typem, o jakim myślano, pisząc brewiarze. Dobra znajomość języka angielskiego i zgrabny styl przydawały się wielce podczas pisania szkolnych kazań, które potem wygłaszał w seminarium.

Zważywszy na te niewątpliwe zalety, darowano mu zainteresowanie sztuką i poezją. W latach pięćdziesiątych charakterystyczne dla seminariów duchownych było to, że nie darzono tam zaufaniem nikogo, kto interesował się sztuką i literaturą — a zwłaszcza poezją. Ówczesny katolicyzm uważał te dziedziny za „niebezpieczne.” Kościołowi nigdy nie przychodziło łatwo popodporządkowanie sobie poetów i malarzy; bywali czasem niemile widzianymi prorokami albo niewygodnymi opiniodawcami.

Jednakże Yves umiał korzystać ze swych uzdolnień. Nigdy nie wykraczał poza kanon. Był ostrożny, bardzo ostrożny.

Tylko jeden incydent, związany z jego pobytem w seminarium, lekko zaniepokoił wykładowców. Było to w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym. I znów Yves zdołał wszystko załagodzić. Zdarzenie to miało miejsce podczas ostatniego — ustnego — egzaminu z teologii. Zdawał go przed komisją złożoną z czterech profesorów, z których trzech zadawało mu pytania, a czwarty, przewodniczący, rozstrzygał sporne kwestie i miał prawo do decydującego głosu podczas ustalania oceny. Ogólnie rzecz biorąc, moderator — jak nazywano owego czwartego członka komisji — nie brał udziału

w egzaminowaniu; w tym czasie czytał książkę lub studiował listy.

Podczas tamtego egzaminu moderatorem był David. W pewnym momencie doszło do gorącej dyskusji pomiędzy jednym z egzaminatorów, ojcem Herlihym, a Yvesem. Ojciec Herlihy zapytał młodzieńca o naturę siedmiu sakramentów (chrztu, komunii, małżeństwa itd.) i wyglądało na to, że odpowiedź go rozeźliła. Ale to Yves zaintrygował Davida — widoczne na jego twarzy napięcie, wyostrome rysy, usta uparcie zaciśnięte w jakimś grymasie, spocone czoło, oczy pozbawione ujmującego ciepła. Ta zmiana, tak całkowita, tak nagle, zdumiała i zarazem zaniepokoiła Davida. Nie widział nic z dawnego blasku, z oczu Yvesa wзираła tylko gorzka niechęć.

Młodzieniec zdołał w końcu wymamrotać jakąś odpowiedź i po zakończonym egzaminie szybko wybiegł z sali.

David, przejęty tym zdarzeniem, udał się zaraz do gabinetu ojca Herlihy'ego, by poznać szczegóły tego, co zaszło pomiędzy nim a Yvesem.

Okazało się, że młodzieniec upierał się, że wszystkie sakramenty są jedynie przejawami naturalnej więzi łączącej człowieka z otaczającym go światem. W świetle przyjętych doktryn należało to uznać za herezję. Sakramenty, w myśl wiary, to najdoskonalsze formy związku z Bogiem. Ze słów Yvesa wynikało, że Chrystus, po śmierci, ponownie złączył się z naturą, a sakramenty są jedyną drogą do zjednoczenia się z nim na ziemi, morzu, niebie i w całym wszechświecie.

David, jak zwykle zwracając uwagę na najdrobniejsze detale, chciał wiedzieć dokładnie, jakie wrażenie na ojcu Herlihym zrobiła wypowiedź Yvesa.

— Zabawna sprawa — odparł zapytany, po czym powiedział coś, czego David nigdy nie zapomniał. — To, co mówił, było po prostu *głupie*, ale krył się w tym jakiś szczególny *sens*. Jakbym słuchał nie całkiem ludzkiej istoty — wiem, że brzmi to dość głupio.

David jeszcze długo gryzł się tą sprawą. Poniekąd czuł się winny: odnosił wrażenie, że reakcja Yvesa w jakiś sposób wiązała się z jego własnymi wykładami na temat stworzenia świata i początków człowieka. Młodzieniec mógł mylnie zinterpretować doktryny Teilharda, wpajane mu przez Davida. Zważywszy na to, że tylko wątła granica dzieliła poglądy Teilharda od totalnego zaprzeczenia boskości Jezusa, koncepcje te mogły posłużyć — co David uzmysłowił sobie po raz pierwszy — do stworzenia konstrukcji myślowej, sprowadzającej człowieka do

poziomu zwierzęcia, zmieniającej świat w pozłacaną menażerię, nadającej Jezusowi status chrześcijańskiego herosa, równie szacownego i tak samo żałośnie śmiertelnego, jak grecki Prometeusz, przedstawiającej Boga jedynie jako najgłębsze trzewia ziemi i nieba oraz niewyobrażalne przestrzenie rozszerzającego się wciąż kosmosu.

David nie mógł uwolnić się od myśli o tym incydencie. Podczas sporu z ojcem Herlihym, Yves, co było widać wyraźnie, dał upust jakiejś wewnętrznej dzikości i nienawiści, klócej się z jego normalnym sposobem bycia. David dość nieufnie podchodził do tak nagłych i gwałtownych zmian. Może chłopak miał tylko zły dzień — każdemu może się to zdarzyć. A jeśli było inaczej, ujmująca powierzchowność Yvesa i jego nienaganne zachowanie należało uznać za maskę, pod którą kryło się coś zupełnie innego: jakieś wewnętrzne uwarunkowania ducha i umysłu, na które lata spędzone w seminarium nie miały żadnego wpływu.

I na tym stało. Zbliżał się koniec roku szkolnego. Trzy tygodnie później Yves, podobnie jak jedenastu innych kleryków, otrzymał święcenia. David zaś, wykorzystując swój urlop, odwiedził dom rodzinny, po czym udał się do Meksyku na międzynarodowy zjazd antropologów. O owym incydencie na jakiś czas zapomniano.

Kiedy lato dobiegło końca, Yves został skierowany do pracy w odległej parafii Manchester. Znalazł się w pobliżu rodzinnego miasta, nie opodal swoich rodziców. Ta nowa sytuacja okazała się zbawienna dla jego matki. W kilka miesięcy później ojciec Yvesa, Romain, zmarł nagle na atak serca. Gdyby młodzieńca nie wysłano do Manchester, Sybil zostałaby całkiem sama.

Okres pomiędzy wrześniem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku a styczniem sześćdziesiątego siódmego Yves pamięta doskonale. Wspomnienia z sześćdziesiątego siódmego roku zawierają pewne luki, ale i na tej podstawie udało się zrekonstruować wiele z tego, co się z nim działo. Od kwietnia sześćdziesiątego ósmego, kiedy to David podjął pierwszą próbę uwolnienia go od złego ducha, do marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego, w którym zakończył egzorcyzmy, pojawia się jeszcze więcej „białych plam”. A jednak to, co zapamiętał, w zestawieniu z notatkami i wspomnieniami Davida, a także zapisem przebiegu egzorcyzmów, pozwoliło nakreślić pewien całościowy obraz, ukazujący na przykładzie określonej jedno-

stki, od czego zaczyna się opętanie, jak zdobywa grunt, jak się rozwija, by wreszcie zawładnąć człowiekiem tak kompletnie, jak to tylko możliwe.

Opętanie przez złego ducha nakłada się na strukturę codziennego życia. W przypadku Yvesa — na życie codzienne kapłana, objawiając się najpierw w sposobie, w jaki udzielał Sakramentu Małżeństwa, potem podczas odprawiania Mszy Świętej, a wreszcie we wszystkich jego powinnościach kapłańskich.

Przyjmując Sakrament Kapłaństwa, człowiek oddaje się całości. To nie jest tylko dodatkowe zajęcie. Nie zostaje obdarzony jedynie nowym przywilejem albo wyjątkowymi uprawnieniami. To jest jak wejście w nowy wymiar ducha, wpływające na wszystko, co człowiek myśli i czyni. Jakiegokolwiek zniekształcenie tego wymiaru przez ingerencję wrogich czy choćby absolutnie obcych sił wróży niepokój i problemy. Wymiaru kapłaństwa nie można anulować lub zastąpić czymś innym; można go tylko skalać, zanegować albo wypaczyć.

Yves z chęcią podjął pracę w parafii Świętego Declana. Nie była zbyt absorbująca. Wiele czasu mógł poświęcać swym własnym zainteresowaniom. Parafia znajdowała się na skraju miasta; okna jego gabinetu wychodziły na północny wschód i zachód. Szybko zdobył sobie pewną popularność jako kaznodzieja i duszpasterz młodzieży; był mile widzianym gościem w domach parafian. Nikt nie kwestionował jego uczciwości; Yves nie dążył do gromadzenia bogactw, rzadko sięgał po trunki, a ci, którzy poznali go bliżej, twierdzili, że nie miał nigdy żadnych inklinacji do naruszenia ślubów celibatu. „Wspaniały młody ksiądz” — takie wrażenie sprawiał i tak go oceniano.

Po paru miesiącach, kiedy już ustalił sobie porządek dnia i przekonał się, ile czasu trzeba mu na pełnienie obowiązków, wrócił do tego, co go pasjonowało: do malarstwa i literatury angielskiej. Kiedyś wybrał się do Nowego Jorku, by omówić z pewnym wydawcą kwestię opublikowania studium o poezji Gerarda Manly Hopkinsa, i wrócił stamtąd pełen entuzjazmu dla tego projektu.

Pierwsze widome oznaki wewnętrznej przemiany zaczęły występować u niego po kilkunastu miesiącach pobytu w parafii Świętego Declana, pod koniec tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku.

Yves zazwyczaj udzielał od trzech do pięciu ślubów w ciągu miesiąca. Odnosiło się wrażenie, że sama jego obecność dodaje owym ceremoniom powagi i doniosłości, czyniąc je za-

razem radosnymi. Kazania, które wówczas wygłaszał, miały w sobie coś wyjątkowego. Wszyscy obecni czuli dreszcze, widząc tego przystojnego i pełnego wdzięku, młodego księdza, składającego hołd miłości nowożeńców w imię świętości Kościoła, Bożej czystości i chwały Jezusa. Te właśnie tematy poruszał za każdym razem Yves, posługując się językiem pełnym poezji i zrećnie modulując głos.

Z czasem, jednakże, coraz większy niedosyt budziły w nim formuły związane z udzielaniem ślubu, zapisane w *Obrzędku Rzymskokatolickim*, oficjalnym podręczniku dla kapłanów, zawierającym szczegółowe instrukcje, jak należy udzielać poszczególnych sakramentów. Czuł, że słowa i gesty, którymi posługuje się ksiądz podczas owej ceremonii, nie tylko są anachroniczne, ale i nie oddają w żaden sposób współczesnych sądów i odczuć na temat małżeństwa.

Odnosiło się to zwłaszcza do słów przysięgi małżeńskiej, które uważał za odpychające i nieadekwatne. Oto stał, jako oficjalny przedstawiciel Kościoła, przed dwojgiem młodych ludzi, idących razem w cudowny związek i wspaniałe życie, i wszystko, co mógł im zalecić w imię Boga i religii, sprowadzało się do tego, że mają „wytrzymać”, nie rozstawać się pod żadnym pozorem, dopóki śmierć ich nie rozdzieli. Wciąż zadawał sobie pytanie: czy to właśnie obiecują sobie nowożeńcy?

Początkowo nie zmieniał tekstu przysięgi. Zarys owych prawdziwych obietnic przedstawiał w przygotowanych na tę okazję kazaniach.

Zaczął od tego, że małżonkowie dają sobie to, co Chrystus ofiarował Kościołowi. Chrystus był najdoskonalszym wzorcem. Później, rozwijając ten temat, określał już dokładniej, czym był ów dar Jezusa.

Świadomie odwoływał się do tego, co usłyszał w seminarium od ojca „Gnata”, i do swoich przemyśleń na temat doktryny Teilharda. Zwracając się do nowożeńców, wplatał w te rozważania fragmenty wyciętych wierszy o Jezusie.

W tych kazaniach Yves przedstawiał Chrystusa jako najwyższy etap człowieczeństwa, punkt Omega. To Jezus uczynił piękną całą naturę, w tym ciała i miłość współmałżonków. To On był tak oddany dziełu udoskonalenia świata materialnego, że drogą ewolucji osiągnął szczyt doskonałości. Yves podkreślał, że tak samo totalnie, jak Chrystus, który ofiarował Siebie światu ludzi, wybierając nawet śmierć, właściwą wszystkiemu, co żyje, tak i małżonkowie winni dostosować się do tego świata. Na początku powinni odnaleźć doskonałość w sobie, nastę-

pnie w otaczających ich ludziach, potem w naturze, w życiu i wreszcie — w swej agonii i śmierci.

Wszystko to, oczywiście, niewiele miało wspólnego z nauką Kościoła, według której Chrystus nie jest w żaden sposób uzależniony od świata materialnego, a małżeństwo to sakrament, pozwalający obojgu partnerom żyć w stanie nadnaturalnej łaski i osiągnąć, po śmierci, wieczny żywot w niebie.

Ale w owym wczesnym „enigmatycznym stadium” opętania wystąpiło u Yvesa coś znacznie dziwniejszego i daleko bardziej niepokojącego niż tylko zwątpienie w prawdy wiary. Znamienne i uderzające było to, że nieustannie łapał się na tym, iż jego myśli i słowa „przychodzą” do niego. Czasami, przemawiając do wiernych, uświadamiał sobie, że powiedział to czy tamto wbrew swej woli lub też bezwiednie. I nie chodziło tu o to, że błędził gdzieś myślami. To było swoiste „zdalne sterowanie.”

To, że Yves uzmysłowił sobie, co się z nim dzieje, nie miało żadnego związku z kwestionowaniem pewnych jego myśli i wypowiedzi przez współpracowników z probostwa i kilku parafian. I do takich głosów doszło, tym się jednak nie przejął. Nadal mógł polegać na swym uroku i elokwencji i radził sobie z przejściowymi trudnościami.

To „zdalne sterowanie” — które wciąż się nasilało, by w przyszłości całkowicie zawładnąć jego wolą — było dla niego pierwszym, wyraźnym sygnałem, że tkwi w nim coś obcego. Pierwsze jego wpływy uświadomił sobie w czasie wolnym od pracy.

Kiedy kościół i parafia nie wymagały jego aktywności, Yves, jak przystało na artystę, zabierał się do malowania lub pisania. Wena twórcza nakazywała mu sięgnąć po pędzel lub po pióro. Jawiły mu się barwy, linie, kształty albo przestrzenie. Owe wizje przez jakiś czas utrwały się w jego wyobraźni, odciskały się w jego wnętrzu. Potem, na przykład, siadał do sztalug, rozpalony obrazami, pomysłami, igraszkami fantazji i ulotnymi pejzażami.

Kreśląc wstępne szkice na płótnie lub papierze, inspirowany ową naturalną dla artysty grą wyobraźni, doświadczał czegoś w rodzaju spotęgowania percepcji wewnętrznej i było to zawsze przyjemne doznanie. Mówił, że w takich chwilach jego umysł i wola spotykają się, by radować się owocami jego wyobraźni. I wówczas oddawał swej wyobraźni owe świeżo oszlifowane kształty, które uprzednio pobudziły jego zmysły.

To właśnie te oszlifowane formy starał się utrwalić na płótnie albo wyrazić słowem. Ale już malując czy pisząc, odkrywał, że wspomnienia spraw minionych odżywają i zapalają się niczym lampki na tablicy rozdzielczej, wpuszczając w jego wyobraźnię asonanse i cienie. Usiłował więc oddać wiernie ten nowy kształt swoich doznań, a twór jego wysiłku rozrastał się nagle i nasyczał nowymi znaczeniami.

Właśnie ten — dość typowy — proces tworzenia zaczął niespodziewanie wkraczać na nowe tory; za każdym razem wiązało się to ściśle z kłopotami lub trudnościami, na jakie Yves natrafiał jako kapłan.

Najbardziej znaczący przypadek, jaki sobie przypomina, łączył się z kilkoma nieprzyjemnymi zdaniami, wypowiedzianymi przez jednego z księży. Pod koniec września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku Yves udzielał komuś ślubu. Po mszy starszy asystent parafialny, który był świadkiem tej ceremonii, skrytykował jego kazanie.

— Czynisz małżeństwo sprawą czysto ludzką — argumentował. — To jest sakrament, droga dla nadnaturalnej łaski. Pan Jezus nie zrodził się z ziemi, z ciała kobiety ani z gazów stratosfery.

Konsekwencje tej nagany mogły być nader nieprzyjemne, ale Yves zdołał zręcznym słowem załagodzić spór. Starszy asystent nie dał się przekonać, jednakże czuł słabość do Yvesa, podobnie jak wszyscy. Yves zaś nie chciał kłopotów. Za bardzo lubił tę placówkę. A jednak cała ta sprawa wzbudziła w nim głęboką niechęć.

Następnego dnia, jak co tydzień, miał wolne. Ranek poświęcił na malowanie, mając wciąż w pamięci ów irytujący incydent. Zauważył wtedy też coś szczególnego, czemu najwyraźniej nie potrafił zapobiec: czuł, że składa się z *dwóch części*, a może po prostu realizuje równocześnie dwie *przeciwstawne sobie* funkcje.

Nie przestał zajmować się obrazem: trzymał pędzel, dobierał kolory, nabierał farby, malował, odchodził od sztalug, wracał do nich i kontynuował pracę. Cały czas pracował też jego naturalny wewnętrzny mechanizm — wyobraźnia, pamięć, umysł i wola.

Ale nieprzerwanie toczył się także i inny, równoległy proces. *Wyobraźnia* Yvesa odbierała dane — obrazy, wrażenia, kształty — z jakiegoś źródła, które nie miało nic wspólnego z otaczającym go światem. Wiedział to, gdyż te sygnały nie przypominały niczego, co kiedykolwiek widział, słyszał albo

myślał. Wydawało mu się także, iż jego umysł i wola nie przyswajają sobie tych obrazów. Wprost przeciwnie, odnosił wrażenie, że paraliżują one i wolę, i umysł, zamrażają je, stopniowo wyjaławiając. Coś „wpychało” w jego umysł całkowicie nową ideę — nie potrafił nawet rozróżnić jej zarysów ani szczegółów — zmuszając wolę, by ją zaakceptowała.

Bronił się przed tą „presją”, jednakże owa idea, opanowawszy jego wyobraźnię, w końcu wdarła się w głąb umysłu i woli. Wówczas, jak mu się zdaje, poddał się. Potem ta całkowicie obca mu koncepcja na nowo wypełniła jego wyobraźnię swoimi własnymi znaczeniami, racjami i swoją logiką, żeby oblec je w nowe kształty. Jego umysł zaczął nadawać tym formom nazwy; Yves, chwilami, łapał się na tym, że buduje z owych słów całe zdania.

Mniej więcej po godzinie tych — po raz pierwszy tak wyrazistych i niesamowitych — zmagani wstrząsnęło nim odkrycie, że maluje teraz w inny, kompletnie obcy sobie sposób. Płótno, na którym zamierzał przedstawić jakąś scenkę uliczną, pokrywał galimatias pociągnięć pędzla. Nakładał się na to szalony deseń innych form i kształtów — zagadkowych drzew i rzek, nieregularnych brył obdarzonych nogami, kwadratów z uszami, pętli przechodzących w jakieś cyfry.

Kiedy opierał się temu „naporowi” idei z nieznanego źródła, proces malowania przebiegał normalnie. Gdy się poddał, powrócił chaos. Miał wrażenie, że posłużono się nim, by przełożyć na język obrazów jakąś wiadomość, instrukcję czy zamysł, narzucając to siłą, nie pozostawiając mu żadnego wyboru.

Yves poczuł się samotny i bezbronny. Był bardzo zaniepokojony. W pierwszym odruchu postanowił wyjechać, by odwiedzić kogoś z przyjaciół. Ale nie znalazł spokoju. Ledwie opuścił miasto, odkrył, że nie potrafi się skupić na prowadzeniu auta, coś wlewało się weń z wielkim impetem, rozpraszając jego uwagę. Musiał zatrzymać się na poboczu. Siedział w samochodzie, próbując obronić wolę i umysł przed obrazami i kształtami, walącymi w nie z jakiegoś źródła, którego nie umiał określić.

Ilekróć stawiał większy opór, w grę wkraczał nowy czynnik: niechęć, jaką budził w nim niedawny spór ze starszym asystentem. Kiedy się poddawał „presji” „wpychanych” w jego umysł idei, przyjmował ową odrazę z jakąś szczególną satysfakcją. Gdy się bronił, to odczucie tliło się nadal, sprawiając mu ból. Podczas krótkich przerw w tych wewnętrznych zmaganiach

Yves drążył myślą koncepcje, które zawarł w swym kazaniu, jeszcze bardziej je rozwijając. Sprawiało mu to niemalą satysfakcję.

Gdy tak siedział na poboczu, zapomniawszy o planowanej wizycie u przyjaciół, odkrył nagle, że dobrowolnie ulega „presji” tych obcych idei. Ledwie się poddał, poczuł ogromną ulgę. Utwierdził się też w przekonaniu, że jego niechęć do starszego asystenta jest w pełni uzasadniona: to on, Yves, miał wtedy rację. Wiedział, o co chodzi. Co więcej, odkrył teraz, że jego wyobrażenia i uczucia otrzymały nowy ładunek, który niewątpliwie znajdzie ujście w jego kazaniach, malarstwie i wierszach.

Yves uważa dziś, że właśnie wtedy „zdalne sterowanie” na stałe wkroczyło w jego życie, gdyż przyjął je dobrowolnie. Rzecz można, że było to „uświęcenie” opętania Yvesa.

Ledwie zgodził się na to — a dziś obstaje przy tym, że świadomie poddał się temu „zalnemu” czy też „obcemu” sterowaniu — doświadczył lawiny doznań. Nadal siedział w samochodzie. Znajdował się na spokojnej wiejskiej drodze. A jednak wszystkie jego zmysły — wzrok, słuch, smak, zapach, dotyk — zalewał chaotyczny, nieokiełznany potop wrażeń. Znalazł się w samym środku wiru dźwięków, barw, zapachów, smaków i dotknięć. Zdołał wyróżnić w tym zamęcie i loskocie swoisty rytm, jednakże nie panował nad sobą i nie potrafił otrząsnąć się z tych doznań. Czuł się zresztą w jakiś niesamowity sposób uprzywilejowany, był dumny z tego stanu. I wtedy ta szalona burza pograżyła się w jego wnętrzu, pochłaniając nieodwołalnie jego wyobraźnię i pamięć. Miał wrażenie, że jakieś nieludzkie myśli wsączają się w najdalsze zakamarki umysłu, a sprawne macki oplatają poszczególne włókna jego woli.

Powoli zaczynało do niego docierać to, co działo się dookoła. Tamto trwało tylko parę chwil, ale totalnie wyrwało go z rzeczywistości, zbudowało wewnętrzny mur.

Do zmysłów Yvesa znów zaczęły docierać dźwięki, światła i obrazy, pozwalając mu na nowo obserwować świat. Ponownie słyszał śpiew ptaków i czuł, jak słońce dotyka jego twarzy. Chłód wiatru, zapach pokrytych rosą traw i kwiatów, wszystko to jawiło się aż nadto wyraźnie. Ale każdy skrawek doznania nosił ślad jakiejś obcej siły, wijącej się powoli i władczo, leniwie i swobodnie korzystającej z miejsca, które wywalczyła sobie w ciemnych zakamarkach jego umysłu.

Przez krótką chwilę pobrzmiwało jeszcze słabnące echo niedawnego oporu. Jakiś gasnący głos usiłował protestować. Uciszył. Yves „dał sobie na luz” i napięcie przyszło. Po raz pier-

wszy od wielu lat był naprawdę spokojny. I czuł się odświeżony. Jego ciało nagle stało się swobodne, a myśli ogarnęło niemal natarczywe, absolutnie wszechwładne ukojenie.

Nigdy przedtem nie odczuwał tak wyraźnie, że został „nawiedzony.” Pamięć jego wypełniła się nagle wizerunkami wszystkich tych, którzy niegdyś przeżyli takie spotkanie z „inną istotą.” Mojżesza przy płonącym krzaku; Izajasza, widzącego ogniste serafiny w świątyni Jahwe; Marię, Dziewicę z Nazaretu, chylącą głowę przed Gabrielem; Jezusa, stojącego naprzeciw Mojżesza i Eliasza na górze Tabor, rozmawiającego z Bogiem; świętego Jana w grocie na Patmos, oglądającego Mistycznego Baranka w pełnej chwale; Konstantyna, zauroczonego widokiem krzyża pośród chmur; Joannę d'Arc, uwięzioną w lochu, przebijającą się przez Ciemną Noc i tulącą się do Oblubieńca; Teilharda, trzymającego w dłoniach kości *Sinantropusa* i dostrzegającego w nich Omegę, Jezusa. Yves czuł wyraźnie, że przeznaczony mu jest, podobnie jak tamtym, prawdziwe objawienie.

To wszystko przemknęło przez niego i skryło się w cień, kiedy podniósł wzrok, by znowu popatrzeć na pola, drzewa i niebo. Wszystko przyjęło teraz nowy rytm, animowany przez życie, o którym śnił, nigdy go nie zaznawszy. Pojmował teraz, że to, co go otacza, jest sakramentem, sznurem sakramentów, uroczym naszymnikiem oplatającym szyję człowieczego świata. Umysł, wołę i zmysły Yvesa przenikał jakiś nowy aromat, czyniący go — czemu nigdy nie sprostałby żaden biskup — kapłanem nowej istoty. Wiedział: to zawsze było tuż obok niego, a jednak tak daleko. „Piękności, tak dawna i tak nowa! Za późno ciebie poznałem!” — wyszeptał w ślad za świętym Augustynem.

Czuł bezbrzeżne zdumienie i skruchę, że dotąd nie umiał tego wszystkiego dostrzec. Te odczucia zdominowała jednak euforia, oszalałająca rozkosz. Coś, co wniknęło w jego wnętrze, poruszyło się; zaczął śnić na jawie.

— Hej, ojczel! Jakiś kłopot?

Czyjś głos wyrwał Yvesa ze świata marzeń. To miejscowy policjant z drogówki zatrzymał swój wóz patrolowy. Kapłan potrząsnął głową, zirytowany tym, że ktoś mu przeszkadza. W jego oczach błysnął gniew. Ale serdeczny uśmiech policjanta uspokoił go. Znali się z Manchester.

— Potrzebowałem kilku chwil spokoju, Pat — wyjaśnił przytomniejąc. Sięgnął do stacyjki. — Pozdrów ode mnie Jane i dzieciaki.

Skinął dłonią na pożegnanie i ruszył na spotkanie z przyjaciółmi.

Od tamtego dnia Yves zachowywał szczególną ostrożność. Postępował tak, jakby nieustannie nad sobą czuwał. Potrafił, nad podziw trafnie, przewidzieć czyhające na niego kłopoty. Czasem też otrzymywał ostrzeżenie dotyczące konkretnej osoby. „Słyszał” czyjś głos. Bywało, że ostrzegał go przed podjęciem jakiegoś działania: udzielenia ślubu, wyповідania kogoś, spożycia obiadu w domu zaprzyjaźnionych parafian lub z którymś ze znajomych księży; upomnienie mogło też dotyczyć jakiejś książki, artykułu prasowego albo listu. Owe upomnienia były bezgłośnie, a jednak wyraźne i konkretne: „Unikaj tego!”, „Nie rób tego!” albo „Zrezygnuj z tego spotkania!”. Żaden z kapłanów nie miał już zastrzeżeń do idei zawartych w jego kazaniach, czasem tylko budziły sprzeciw nazbyt kwieciste sformułowania.

Inaczej bywało, gdy prywatnie rozmawiał z parafianami, udzielając, na przykład, nauk przedmażeńskich. Tak poetycko przedstawiał znaczenie ich związku, obstając przy wyjątkowej roli Chrystusa w życiu doczesnym, że wychodzili kompletnie zauroczeni jego radami.

Yves potrafi dzisiaj szczegółowo określić, co wpłynęło na to, że inaczej zobaczył sakrament małżeństwa, i w jaki sposób potoczył się ten proces. Małżeństwo stało się dla niego sakramentem natury. Przestało być, jak to ujął starszy asystent, drogą dla nadnaturalnej łaski. Było czymś, co jednoczyło ludzi z naturalnym wszechświatem. Takie widzenie rzeczy dowodziło, iż wiara Yvesa kruszy się.

Z czasem, kiedy Yves zaczął nadawać ten sam mroczny ton innym sakramentom, stan jego znacznie się pogorszył; pojmował coraz wyraźniej, co oznaczało dobrowolne poddanie się sile, której teraz nie potrafił okiełznać. Szansa na przeciwstawienie się jej odplynęła w przeszłość.

W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim sytuacja stała się krytyczna. Odczuwał to szczególnie wyraźnie podczas odprawiania Mszy Świętej. Ministranci i wierni dostrzegli, że zajmuje mu to coraz więcej czasu. Co najdziwniejsze, wiązało się to tylko z jedną z części mszy: z najbardziej uroczystą chwilą, poprzedzającą Podniesienie, rozpoczynającą się w momencie, gdy kapłan unosi dłonie, wnętrzem do dołu i zwierając palce, nad kielichem i chlebem. Zapada wówczas kompletna cisza, przerywana tylko przez dźwięk dzwonek. Yves potrafił stać tak nienaturalnie długo, cały czas wyciągając ręce — najpierw

przez trzy minuty, potem przez dziesięć lub piętnaście, raz nawet przez trzydzieści nerwowych minut, nie przejmując się cierpliwie czekającymi i wpatrzonymi w niego wiernymi i ministrantami. Zaintonowanie następującej potem formuły również zabierało mu nienaturalnie dużo czasu. Rzecz w tym, że owe czynności zajmują zwykle kapłanowi trzy do pięciu minut.

Współpracownicy Yvesa uważali, że przechodzi on okres „mystyczny” albo ma „skrupuły religijne”; że zbyt poważnie traktuje wszystkie oficjalne zalecenia odnośnie gestów i wypowiedzianych w trakcie Mszy Świętej słów. Niektórzy kapłani przechodzą taką fazę. Czują, że każde odstępstwo pograży ich w grzechu ciężkim czy też śmiertelnym. I dlatego dręczą się uporczywym przestrzeganiem wszystkich reguł; w koło powtarzają te same czynności i słowa, aby się upewnić, że wszystko robią poprawnie i z pełną świadomością.

Ale Yves nie był mistykiem, nie miał również takich skrupułów. Przechodził przez coś, co obecnie opisuje jako bezwzględne katowanie i biczowanie jego jaźni. Zaczęło się to, wspomina dzisiaj, pewnego ranka, gdy uniósł dłonie nad kielichem i chlebem, i trwało aż do końca Podniesienia: „zdalne sterowanie” przybrało na sile i zmieniło zasób „sygnałów”.

— Walczyłem o każdy cal — opowiada Yves. — I każde starcie przegrywałem.

Przychodziły mu na myśl zupełnie inne słowa i treści niż te, których wymagały oficjalne zalecenia. Za każdym razem dotyczyło to jedynie kluczowych słów. Jeżeli, na przykład, należało użyć zwrotów „zbawić” i „zbawienie”, nie potrafił się zdobyć na nic innego, jak tylko: „zwyciężyć” i „tryumf”. Słowa „zbawić” i „zbawienie” jawiły mu się jak hasła zapisane na strzępkach papieru i przypięte do ściany poza jego zasięgiem. Ten brak dostępu do nich był dlań źródłem ogromnej udręki i palącego bólu.

To samo było ze zwrotami: „miłość” (zastąpionym przez hasło „duma”), „umarł” i „śmierć” (teraz „powrócił do domu śmierci” i „nicność”), „poświęcenie” (teraz „wyzwanie”), „grzechy” („mity i bajki”), „chleb” i „wino” („pożądanie” i „rozkosz”). I tak to szło.

Sytuacja pogarszała się jeszcze, kiedy należało wykonać znak krzyża: Yves odkrywał, że może poruszać jedynie palcem wskazującym i kreślić tylko linię pionową, wiodącą w górę.

Jego pamięć i odruchy protestowały przeciwko tym odstępstwom od rytuału. Nie umiał jednak powstrzymać zalewu za-

stępnych słów i myśli. Szybko pojął, że zmieniają one całkowicie sens i cel ceremonii. Zaprzął do walki z nimi swój umysł i wolę. Ale za każdym razem efekt był taki sam: dopóki walczył, rozrastał się w nim jakiś twardy guz — nie w jego ciele i nie w mózgu, ale w pokładach jego świadomości. „To było tak, jakbyś uświadomił sobie, że to, co przeraziło cię w nocy, było zjawiskiem rzeczywistym, a nie koszmarnym snem.” Rozrastanie się owego guza niepokojąco redukowało obszar zajmowany przez jego jaźń.

W kulminacyjnym momencie tego wewnętrznego cierpienia następowało coś w rodzaju psychicznego i fizycznego rykoszetu: krew tętniła w uszach i przychodził bardzo szczególny ból — potwornie bolały go nawet rzęsy, włosy i paznokcie. Przez umysł, niczym w kalejdoskopie, przewijały się migawki z całego jego życia, ukazujące, jak bardzo było ono niedorzeczne, cuchnące, godne wzgardy i beznadziejne. Niemal słyszał, jak narasta w nim krzyk: „Tonę! Ginę! Zbaw mnie!”

Ale ten krzyk nigdy się nie rozległ. Yves rezygnował z walki. Ból ustępował. Ogarniała go cudowna radość — nie mająca jednak nic wspólnego z ulgą. Kontrast tego spokoju z poprzedzającym go cierpieniem sam w sobie był niemal bolesny.

Apogeum owej udręki nastąpiło pewnego dnia, kiedy Yves zaintonował formułę Podniesienia. Zamiast zdań „To jest Ciało Moje” i „To jest kielich Krwi Mojej”, zabrzmiały w mu w uszach inne, jego własne słowa: „To jest Mój Nagrobek” i „To jest Mój Seksualizm.” Kiedy wypowiadał te zdania, przepisowo pochylając się nad ołtarzem, Podniesienie straciło dla niego jakikolwiek sens. Palec wskazujący, wygięty na kształt haka, zanurzył się w winie, po czym przekreślił, pionową, czerwoną krechę, biały opłatek.

Yves nie mógł się wyprostować. W uszach dzwięczały mu dwa krańcowo różne odgłosy. Dałby głowę, że je naprawdę słyszy: drwiący śmiech, odbijający się coraz to nowym echem, oraz cichy skowyt, płaczący protest, zamierzający pośród nawrotów owego ohydneho śmiechu. I nagle dotarły do niego słowa, narzucane przez to „zdalne sterowanie”: „Jezus jest teraz Jonathanem”, „Jonathan jest teraz Yvesem” i „Yves jest teraz Jonathanem i Jezusem”. I w końcu: „Wszystko skupiło się w panu Naturalnym”.

Dopiero po jakimś czasie Yves uświadomił sobie, że tylko on słyszy te głosy. Ale nawet jeśli nie docierały one do innych ludzi, i tak poruszył ich jego wygląd, zmieniony przez przedłużające się chwile wewnętrznych zmagani. Kiedy Yves odwrócił

się, by rozdać komunię, zobaczyli, że twarz ma napiętą, zmierzowaną i kredowobiałą. Włosy, wówczas jeszcze krótko przycięte, wyglądały na zjeżone. Oczy, zazwyczaj tak wyraziste i urzekające, zmieniły się w szparki. Mamrotał coś przez zaciśnięte zęby. Wydawał się nienaturalnie sztywny, niewiele było w nim życia.

Do końca mszy nie zdołał wyzwolić się z tego potwornego napięcia. Dopiero potem, kiedy mógł już spędzić trochę czasu w samotności, znów spłynął na niego ów dziwny spokój, połączony z euforią. Gdy opuszczał zakrystię, był uśmiechnięty i opanowany, wyglądał tak, jak zawsze.

Skutki tego poddania się „sterowaniu” podczas mszy były natychmiastowe i dalekosiężne. Chrzcząc dzieci, Yves przeinaczał lacińskie zwroty, niezrozumiałe dla rodziców i pozostałych wiernych. Zamiast powiedzieć: „Chrzczę ciebie w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego”, mówił: „Chrzczę ciebie w imię Nieba, Ziemi i Wody”.

Owe zmiany, zarówno w przypadku udzielania Chrztu, jak i innych sakramentów (Ostatniego Namaszczenia i Spowiedzi), wiązały się najczęściej z wszelkimi wzmiankami o „Szatanie”, „Diable” i „złych duchach”.

Podczas chrztu, kiedy należało powiedzieć (po łacinie): „Odejdź, Duchu Nieczysty”, „Odrzucić Szatana i wszystkie jego dzieła” i „Stań się dzieckiem Boga”, mówił: „Odejdź, duchu nienawiści do Anioła Światła”, „Odrzucić wygnanie księcia Lucyfera” i „Stań się poddanym Królestwa”.

Podczas spowiedzi nie mówił już: „Odpuszczam ci grzechy w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego”, ale: „Utwierdzam cię w twoich naturalnych pragnieniach, w imię Nieba, Ziemi i Wody”. Kiedy zaś udzielał Sakramentu Chorych (zwanego dawniej Ostatnim Namaszczeniem), polecał konającego łasce i pokojowi „Siostry Ziemi” oraz wieczności „Matki Natury”.

Ilekc buntował się przeciwko przyjęciu tego, co „dyktowało” mu „zdalne sterowanie”, tamten potworny guz dawał znać o sobie i znów nie istniało nic poza bólem. Natychmiast się poddawał i za każdym razem czekała go ta sama nagroda: dzika euforia. Słońce świeciło jaśniej. Niebo było bardziej błękitne. Kawa, którą pił, smakowała mu jak nigdy. Krew żwawiej krążyła w żyłach. W głowie panowała niebywała jasność.

Pod koniec tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku współpracownicy Yvesa pojmowali już, że dzieje się z nim coś, czego nie sposób już tłumaczyć jego artystyczną naturą, kanadyjsko—francuskim rodowodem, okresem mistycznym czy skrupułami religijnymi. To było coś szczególnego. Jednych

przerażało. W innych budziło niechęć. Jeszcze innych złościło. We wszystkich wywoływało niejasne poczucie, że w Yvesie kryje się coś całkowicie obcego. A co więcej, zaczął nazywać siebie „ojcem Jonathanem”.

Wszystkie te przypadki rozpatrywano jednak osobno, nikt nie powiązał ich w konkretny wzór. Jeden z kapłanów zaklinał się, że kiedy Yves, podczas mszy, zwracał się do wiernych słowami: „*Dominus vobiscum*” („Pan z wami”), mówił w istocie: „*Dominus Lucis vobiscum*” („Pan Światła z wami”). Inni nie słyszeli tego uzupełnienia, ale i ich zaszokował błysk jego oczu. Kiedyś dziecko, którego czoła dotknął podczas chrztu, wpadło w histerię i zostało przewiezione do szpitala.

Każdy z tych incydentów, gdyby oddzielić go od pozostałych, daloby się racjonalnie wytłumaczyć. Ale wizyta Yvesa u chłopca umierającego na raka kości przesądziła o tym, że porzucił on pracę w parafii.

Było to pod koniec tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku. Czternastoletni chłopiec, rudowłosy syn emigrantów z Irlandii, miał otrzymać ostatnie namaszczenie: śmierć czała się już blisko i nieuchronnie. Przed przyjściem księdza — ojca Yvesa — chłopiec poprosił matkę, by mu umyła twarz i ręce i pomogła włożyć ulubioną koszulę oraz krawat. Poprosił też ojca, by skierował jego łóżko ku drzwiom, gdyż — jak powiedział — w kącie skryło się coś ciemnego.

Po przyjściu Yvesa wszystko przebiegało normalnie aż do chwili, gdy zdecydował się on przesunąć łóżko frontem do „zaciemnionego” kąta. Chłopiec zaczął krzyczeć:

— Nie! Ojczel! Nie! Proszę! Mamo!

Kiedy jego matka wbiegła i zobaczyła Yvesa wpatzonego w tamten wyjątkowy kąt, chłopiec rozszlochał się.

Yves nie pamięta wszystkiego, co chłopiec wołał, ale przypomina sobie pewne słowa i zwroty: „ciemność”, „uśmiechają się do siebie”, „on nienawidzi Jezusa”, „wybaw mnie” i „nie chcę z nimi iść”.

Ojciec chłopca musiał w końcu poprosić Yvesa o to, by wyszedł i wrócił następnego dnia. Matka zaś zatelefonowała do proboszcza, przełożonego Yvesa. Wezwany, przyjechał w godzinę później, udzielił ostatniego namaszczenia i zaczął czekać aż do samego końca, co nie trwało długo.

Ten incydent przeważał szalę. Wszystko, co wiedziano na temat Yvesa i mówiono o nim, zebrano w całość.

Proboszcz i jego starszy asystent, nie mówiąc nic Yvesowi, poświęcili trzy miesiące na zbieranie informacji i obserwację

jego zachowania. Zaintrygowały ich też sygnały, których nie mogli do niczego dopasować. Okazało się, że człowiek odpowiadający rysopisowi Yvesa wynajmował poddasze w nowojorskiej Greenwich Village. Jego wizyty w tamtym miejscu zbiegały się z urlopami i wolnymi dniami Yvesa.

Odkryli, że to poddasze było też znane jako Świątynia Nowej Istoty; że owego mężczyznę zwano ojcem Jonathanem i że udzielał posług wszystkim bez wyjątku: odprawiał msze, udzielał ślubów, spowiadał, udzielał święceń kapłańskich mężczyznom i kobietom, chrzczył niemowlęta i dorosłych, odwiedzał domy i szpitale, w których umierali i wprowadził pewien specyficzny obrządek, zwany Podnoszeniem Światła. Tych, którzy zostali wyświęceni, nazywał Nosicielami Światła. Nie udało się jednak uzyskać bliższych informacji o tych obrzędach i o ich uczestnikach.

Kiedy gotowy raport czekał na przesłanie do biskupa, Yves otrzymał chyba coś w rodzaju ostrzeżenia — nazbyt późnego — co do zamiarów swych współpracowników. Przez niemal dwa miesiące zachowywał się — na ile można było to ocenić — absolutnie normalnie. Nie bywał w Greenwich Village. Ciężko pracował.

W połowie czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego, kiedy wszyscy zainteresowani gotowi byli już uznać tę sprawę jako wyolbrzymioną i nieistotną, Yves przeżył pierwszy poważny atak. Zdarzyło się to, co było do przewidzenia, podczas mszy.

Kiedy uniósł dłonie nad kielichem, zaczął nagle lkać, jęczeć i kołysać się na boki. Jedna ręka zacisnęła się na kielichu. Druga, z hukiem, opadła na oplatek. Ministranci zawołali proboszcza. Ale i on, mając do pomocy dwóch asystentów, nie mógł rozewrzeć dłoni Yvesa, uspokoić go ani usunąć kielicha. Wydawało się, że i kapłana, i kielich i hostię związały z ołtarzem jakieś nity. Yves nie panował już nad sobą.

Proboszcz opróżnił kościół i zamknął drzwi. Miał już wezwać lekarza, kiedy Yves nagle wypuścił oplatek i kielich. Zdało się, że coś go odrzuciło; spadł z trzech stopni i zwałił się na marmurową posadzkę prezbiterium. Kiedy go podnosili, był nieprzytomny.

Ocknął się godzinę później. Zdradził proboszczowi, że jego matka była epilepticzką, i prosił, żeby nie rozgłaszać tego zdarzenia. Pójdzie spać, podporządkuje się zaleceniom lekarza i wszystko będzie grało.

Ale proboszcz uwierzył w najgorsze. Widział w Yvesie człowieka opętanego. Doszedł do tego, jedynie opierając się na własnych reakcjach, ale i tak nie mógł zlekceważyć tej sprawy, dopóki nie zyskał pewności. Dyskretne śledztwo dowiodło, że Sybil, matka Yvesa, nigdy nie chorowała na padaczkę. W pewien niedzielny poranek proboszcz odbył długą rozmowę z biskupem, opowiedział mu całą historię. To było w czerwcu, kiedy biskup przyjechał do seminarium, by wyświęcić nowych alumnów.

Biskup skonsultował się z ojcem Davidem M.

Po rozmowie z biskupem ojciec David spotkał się z Yvesem. Wracał z tego spotkania, kompletnie zbity z tropu. Yves chętnie z nim współpracował, a wszystko, co mówił, trafiało Davidowi do przekonania. Niepokoiły go tylko dwie sprawy, dla których nie znajdował satysfakcjonującego go wyjaśnienia: fakt, że Yves ciągle nazywał siebie Jonathanem, i stan palca wskazującego u jego prawej ręki.

Na imię David mógł ostatecznie przystać. W końcu, przed dziesięcioma laty, on sam posługiwał się — a przynajmniej tak podpisywał listy do bliskich przyjaciół — imieniem „Pierre” (pod wpływem Teilharda de Chardin), narażając się na liczne kpiny. Nawet przydomek „Gnat” przylgnął do niego przede wszystkim dlatego, że mu się spodobał; usłyszawszy kiedyś, że tak go nazywają, świadomie posłużył się nim podczas kilku wykładów.

Co innego, palec. Zdaniem lekarza, który robił prześwietlenie, kości i nerwy były nienaruszone. Nie można było tego w żaden sposób powiązać z opowieścią o epilepsji matki Yvesa. Stwierdzono wprawdzie zwapnienie, ale owa deformacja nie była wynikiem żadnego urazu; nie wykryto też innych śladów zwapnienia. Yves nigdy nie uskarżał się na artretyzm.

Co do reszty, David nie znalazł powodów do niepokoju. Zrobił wywiad na temat matki Yvesa: w istocie, miewała ona jakieś ataki, ale badający ją lekarze nie wiązali ich z padaczką. Tę wiadomość David przyjął z ulgą. Ale nadal odnosił wrażenie, że coś jest nie tak. Był przekonany, że coś istotnego przeoczył; czuł się głupio, nie wiedząc, dlaczego. Rozmawiał z Yvesem zarówno o doktrynach wyznawanej przez niego wiary, jak i o jego własnym życiu duchowym. Na ile zdołał się zorientować, poglądy i doświadczenia w obu tych kategoriach mieli mniej więcej zbieżne.

— Jeżeli Yves błądzi — powiedział później do biskupa — to ja również. I co mam zrobić?

Biskup przez chwilę przyglądał mu się badawczo. Potem rzekł cicho:

— Ojcie Davidzie, gdyby cała ta paleontologia i nauki de Chardina doprowadziły cię do punktu, w którym musiałbyś wybierać pomiędzy wiarą a de Chardinem, wybrałbyś, jak przypuszczam, wiarę.

To było stwierdzenie faktu, sugerujące jednak pytanie. David zerknął na biskupa, który odwróciwszy się do niego tyłem, wyglądał przez okno gabinetu.

— Powiedz mi ojcie — kontynuował biskup — czy ewolucja jest takim samym faktem jak, powiedzmy, zbawienie nas wszystkich przez Jezusa?

Zdaniem Davida, w tym pytaniu pobrzmiewały odległe echa nagany, jakiej udzielił mu biskup w dniu, w którym obarczył go funkcją egzorcysty. Dziś wspomina, że zaskoczyło go takie postawienie sprawy. „To brzmiało tak, jakbym wówczas zlekceważył coś istotnego i teraz miał stawić czoła konsekwencjom tamtej decyzji.” W głębi duszy, spontanicznie, powiedział: „Tak”.

Biskupowi zaś odpowiedział wymijająco, wstając i tłumacząc, że przypominałoby to porównywanie jabłek i pomarańczy. Ale biskup najwyraźniej zadowolił się samym postawieniem tego pytania. Był zbyt stary i zbyt mądry, by oczekiwać precyzyjnej odpowiedzi.

Rozmowa z biskupem nie uspokoiła Davida. Postanowił, że następnego dnia znów zobaczy się z Yvesem.

To, co mu zaproponował, było dość proste. Po długim namyśle doszedł do wniosku, że powinni wspólnie odprawić nabożeństwo, uwzględniając w nim specjalne modły za chorych i cierpiących oraz główne elementy rytuału egzorcyzmów. On sam, David, przeprowadziłby proste egzorcyzmy. Wyjaśnił Yvesowi, że chodzi o to, by zadowolić biskupa i proboszcza.

Yves nie miał nic przeciwko temu. Stwierdził, że odpowiada mu ten pomysł. Poza nimi obecny miał być tylko proboszcz; nie przewidywano żadnych kłopotów.

Egzorcyzmy przeprowadzono w kaplicy seminarium; trzech kapłani korzystali z klęczników zajmowanych zwykle przez kleryków. Yves odpowiadał szeptem na wszystkie pytania zadawane mu przez Davida jako egzorcystę: „Czy wierzysz w Boga?”, „Czy wierzysz w Pana Naszego, Jezusa Chrystusa?”, „Czy wyznajesz się Diabła, wszystkich jego dzieł i pokus?” i tak dalej.

Potem pocałował krucyfiks i przeżegnał się, zanurzony w uprzednio zakrzywiony palec wskazujący w misie z wodą święconą.

Odprawiwszy nabożeństwo, David i proboszcz podnieśli się. Yves nadal klęczał, kryjąc twarz w dłoniach. Po cichu wyszli, zostawiając go samego. — O to chodziło — stwierdził David, odetchnąwszy z ulgą.

— Nie zrozumiałem ani słowa — zauważył proboszcz — sądzę jednak, że na jego miejscu byłbym równie skrępowany.

Yves po kilku minutach opuścił ręce i rozejrzał się po kaplicy; był sam. Pamiętał niewiele z tego, co się wydarzyło. Przypominał sobie, że wszedł tu z Davidem i proboszczem, klęknął i otworzył modlitewnik. Nic więcej. Następny kwadrans i egzorcyzmy w żaden sposób nie utrwaliły mu się w pamięci. Tak, jakby klękając otrzymał silny środek uspokajający. Nie pamiętał nic poza tym, że jakiś impuls nakazywał jego ustom formułować słowa, a członkom poruszać się.

Odczekał chwilę, a potem popatrzył na ołtarz. Nic się tam nie zmieniło, jednakże w powietrzu unosił się bezkształtny, intensywny cień, przesłaniający krucyfiks i osadzony w oknie witraż. Później, raptownie ale spokojnie, jak człowiek, który przypomniał sobie o podjętej decyzji albo o poleceniach jakiejś władzy zwierzchniej, Yves podniósł się i opuścił kaplicę. Kleryk, którego spotkał pod drzwiami, zapamiętał jego twarz: promieniującą radością i roześmianą.

Siedząc tej samej nocy w gabinecie, David nie mógł skupić się na pracy. Powinien był kończyć referat na konferencję poświęconą badaniom paleontologicznym, jakie de Chardin prowadził w Chinach, w Czukunftien, gdzie odkrył szczątki *Sinantropusa*. Jednakże myśli Davida wracały wciąż do pytania biskupa: „Czy ewolucja jest takim samym faktem, jak zbawienie nas wszystkich przez Jezusa?” Powiedział już sobie, że to głupie pytanie. Kompletnie bezsensowne. Biskup był człowiekiem starej daty. A jednak nadal go to gryzło.

Podniósł wzrok na gabloty, w których rezydowały jego ulubione skamieliny i skarby paleontologii. Przyglądał się wyszczerbionym sklepieniom czaszek, kolekcji kostek, kawałkom pradawnych skał, w których utrwaliły się pozostałości flory i fauny, i serii zrekonstruowanych popiersi: australopitekowi, pitekantropowi, neandertalczykowi i człowiekowi kromanińskiemu. Umysł płał mu figle: David nie tylko czuł spojrzenia

owych gipsowych wizerunków, ale i słyszał „głosy” martwych i potrzaskanych ludzkich szczątków.

Nagle rozjaśniło mu się w głowie. Był zły na siebie. Czy naprawdę *musi* wybierać pomiędzy ewolucją a Jezusem? Czy to *konieczne*? Jeśli Jezus stanowi punkt kulminacyjny, *żaden* wybór nie wchodzi w grę. Jezus i ewolucja to, w pewnym sensie, jedno i to samo.

Przez jakiś czas zastanawiał się nad tym. Potem, pod wpływem nagłego impulsu, wyszedł, by przedzwonić do pokoju gościnnego, w którym nocował Yves.

— Halo, czy to Yves... hm... Jonathan? — zająknął się.

— Słucham, ojcze. — odpowiedział przyjaźnie Yves.

— Coś mi przyszło do głowy, Jonathanie. W związku z ewolucją i tym wszystkim. Co byś powiedział na to, że Teilhard się mylił, a jego teoria ewolucji jest sprzeczna z dogmatem o boskości Chrystusa?

Krótką pauza. A potem spokojny głos Yvesa, przesycony lekką nutą tryumfu:

— Wydaje się, ojcze Davidzie, że zadajesz to pytanie sobie, i to po raz pierwszy.

— Ale co ty o tym sądzisz, Yves — przepraszam, Jonathanie — naciskał David. — Teraz *ciebie* pytam.

— Tu nie ma miejsca na żadne sprzeczności — David zaczął odczuwać ulgę — z tej prostej przyczyny, że to ewolucja — i tylko ewolucja — potwierdza istnienie Jezusa. — Yves doskonale pamięta tamtą rozmowę. Znow silnie odczuwał „zdalne sterowanie”; czekał, aż przyjdą do niego myśli i odpowiednie słowa. Potem kontynuował cicho i z naciskiem, niczym ktoś, komu nieobce są tajniki jakiejś wyższej wiedzy. — Ojcze Davidzie, wszystko, co wiem, zawdzięczam tobie. Od ciebie pochodzi cała moja duchowość, moja wiara i widzenie rzeczy. Wiesz równie dobrze, iż to ewolucja pozwala nam wierzyć w Jezusa, daje nam — jako rozumnym istotom — dostęp do Niego. Czyż nie tak, ojcze Davidzie?

Davidowi, na drugim końcu linii, na chwilę zapało dech. Kiedy słowa Yvesa dotarły do jego ucha, myśli i obrazy, które ze sobą niosły, wepchnęły się w jego umysł, niczym nachalni goście. Poczuł, że jest obiektem inwazji, jakiej nigdy dotąd nie zaznał. Przez chwilę jeszcze się bronił:

— Naprawdę sądzisz...

— Ojcze Davidzie, odwołaj się do swej świadomości i swojego świadomego umysłu. — Zakończył tę wypowiedź straszliwie wyważonymi i twardymi słowami, które do reszty

pozbawiły Davida pewności siebie: — A zresztą, jeżeli ja potrzebowałem egzorcyzmów, to i tobie by się przydały. Może obaj ich potrzebujemy? A może — i to chyba lepszy pomysł — żaden z nas ich nie potrzebuje?

W słuchawce coś szcęknęło i połączenie zostało przerwane.

David był ogłuszony. Po kilku godzinach postanowił zadzwonić do biskupa. Zanim zdołał powiedzieć choćby słowo, usłyszał najświeższą nowinę: Yves tego wieczoru odwiedził biskupa, zrezygnował z pracy w diecezji i wyjechał, wraz z jakimś przyjaciółmi, do Nowego Jorku.

Od tamtej pory aż do dnia ślubu na plaży David rzadko widywał się z Yvesem, choć wiele słyszał o jego poczynaniach — jako ojca Jonathana.

Teraz miał jednak swój własny problem: czy został w jakiś sposób zarażony opętaniem? Czy poddał się Złemu? Czy dobrowolnie, choć pod pozorem dobra i mądrości, dopuścił Diabła do swego osobistego życia?

Wrócił myślą do egzorcyzmów. Jeżeli się dobrze zastanowić, Yves nie był wówczas jedynym, który łacińskie formuły zamieniał w mamrotanie. On sam, David, również mamrotał, poniekąd odruchowo, rozmyślając także o innych sprawach.

Ojciec David M. nie spodziewał się jeszcze, że nie zazna spokoju przez następne dwa lata, aż do dnia, w którym uwolni Yvesa od złego ducha.

Ojciec Jonathan — bo tak nazywał się teraz Yves — osiedliwszy się w Greenwich Village, zainteresował się najpierw mieszkańcami tej dzielnicy, szukając pośród nich neofitów i ludzi, których mógł zdobyć dla swej sprawy. Bywał w popularnych dyskotekach i barach, wstępował do klubów, brał udział w happeningach organizowanych przez zamieszkujące Greenwich grupy. Zyskał sobie miano, o które zabiegał: twórcy nowej religii.

Jednakże po roku takiego apostołstwa zmienił kierunek swych zainteresowań. Już nie otaczał się zwykłymi mieszkańcami Village. Wyzначzył sobie kolejną misję: krzewienie nowego ruchu religijnego pośród dobrze usytuowanych rodów z górnego Manhattanu. Zaczął od zaprzyjaźnienia się z kilkoma ludźmi stamtąd, których poznał przypadkowo. Z czasem rozszerzył ów krąg. Dość szybko na tyle napelniał skarbonkę, że mógł powiększyć i ozdobić swój przybytek, który nazywał Kaplicą na Poddaszu. Tam w każdy środowy wieczór odprawiał nabożeństwa,

udzielał nowych „Sakramentów” i służył radą swoim „parafianom”.

Jesienią tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku miał już wokół siebie wielu wiernych, twierdzących, iż Jonathan, nie siląc się na obrazoburstwo i wprowadzanie nowych, dziwacznych doktryn, wskrzesił w nich wiarę w Boga i przyszłość. Jego przesłanie było proste. Ubierał je w piękne słowa. Swoje kazania ubarwiał autentyczną znajomością sztuki i poezji. A przede wszystkim, odwoływał się wciąż do wartości estetycznych. Mówił, na przykład, o Brakującym Ogniwie albo o wizerunku neandertalczyka i sprawiał, że cała idea ewoluowania z materii nieożywionej jawiła się jako wspaniały początek. Przyszłość malował jeszcze wspanialej. Tłumaczył swoim wiernym, że oto rozwija się nowa istota, która żyć będzie w nowym czasie. „Nowa Istota” i „Nowy Czas” — to były jego naczelne hasła.

Poglądy Jonathana i jego wizja owej — dość niesamowitej — „Nowej Istoty” trafiły w odpowiedni czas, wypełniając odczuwaną przez wielu próżnię. Próżnię, która zaczęła się pojawiać na wiele lat przed przybyciem Jonathana; w ciągu poprzednich dekad szeroko dawała się we znaki, poprzez teatr, poezję i sztukę. Twórcy nieustannie ubolewali nad tym, że człowieczy świat coraz częściej poświęca swój sens na rzecz praktyczności. A nawet najbardziej „praktyczny” świat, pozbawiony sensu i dostępu do transcendencji, przestaje karmić ludzkiego ducha. I taki duch, pozbawiony swojej „karmy”, musi umrzeć.

Sferom związanym z religią, a zwłaszcza z Kościołem Rzymskokatolickim, owa próżnia zaczęła dawać się we znaki pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy odczuwalne stały się pierwsze skutki zmian wprowadzonych przez Drugi Sobór Watykański. Poszła w niepamięć część dawnej symboliki — wraz z jej tajemnicą i odwiecznymi skojarzeniami. Te zmiany mogłyby zapoczątkować coś naprawdę trwałego, gdyby nie owa dziwna pustka, jaka wdarła się w umysły katolików i ludzi innych wyznań.

Efekt był natychmiastowy. Nastąpiło odrętwienie. Niosła bowiem w sobie obojętność: wobec właściwych religiom rytuałów — słów, działań i przedmiotów — wobec teologii i koncepcji inspirowanych religią; wobec funkcji i charakteru kapłanów — księży, rabinów, pastorów, biskupów i papieży — wobec tego wszystkiego stosowano zasadę „użyteczności”: forma równa się funkcji; mimo iż poza funkcjonalnością winien istnieć także głębszy sens. Zewnętrzne aspekty religii zdawały

się tracić na znaczeniu. Coraz więcej osób odrzucało je, ignorowało lub traktowało jedynie jako coś w rodzaju umowy społecznej czy konwenansu.

Przesłanie Jonathana było proste i idealnie pasowało do tej nowej sytuacji. Całe piękno człowieczeństwa, powiadał, zostało przyćmione przez teoretyzowanie na temat wiary i zinstytucjonalizowanie kościołów. Ale teraz nadszedł nowy czas: wszystko jest i zawsze było w zgodzie z naturą. Co jest dobre, jest naturalne. Nie potrzebowaliśmy sztucznego wsparcia, jakie zapewniały nam zorganizowane religie. Musimy raz jeszcze odkryć to, co jest doskonale naturalne. Otaczają nas wszędzie naturalne sakramenty i naturalne świątynie; jest w naszym zasięgu naturalna świętość, naturalna nieśmiertelność, naturalna boskość. Jest naturalna łaska i oszałamiające, naturalne piękno. Ponadto, pomimo przepaści, jaką zinstytucjonalizowana religia oddzieliła człowieka od natury, ludzi i świat łączy niezaprzeczalna mistyczna więź. Wywodziśmy się z tego związku i wracamy do niego poprzez śmierć. Jonathan nazywał tę naturalną więź „Ojcostwem”.

Mówiąc krótko, Jonathan dokonał swoistej syntezy teilhardowskiej teorii ewolucji i jego koncepcji Jezusa. Uzupełnił to głęboko humanistycznymi treściami, bacznie obserwując przepaść, w której znaleźli się tradycyjnie myślący chrześcijanie.

Jego zdaniem, wyznawanie „religii” znów stało się łatwe. Z jednej strony, coraz powszechniejsze przekonanie, że człowiek wywodzi się z materii nieożywionej, było absolutnie do przyjęcia. Z drugiej zaś, nikt już nie musiał zaprzętać sobie głowy wiarą w niepojęte „ciała zmartwychwstanie”. Miejsce tego dogmatu zajął powrót „tam, skąd przyszliśmy”, jak mawiał Jonathan: ponowne zjednoczenie się z naturą i wszechświatem.

Takie poglądy pozwalały na zręczne szafowanie całą gamą słów i koncepcji, dotyczących „zbawienia”, „miłości bożej”, „nadziei”, „dobra”, „zła” i „uczciwości” — swojskich określeń i idei, doskonale znanych jego wiernym. Rzecz w tym, że znaczenie, jakie nadawał tym pojęciom, różniło się od powszechnie przyjętego: zrezygnował z nadnaturalnego boga, z boga—człowieka zwanego Jezusem i z nadprzyrodzonego stanu, który określano mianem „życia wiecznego”.

„Gmina” Jonathana nigdy nie należała do dużych — liczyła co najwyżej sto pięćdziesiąt osób. Ale i z tego czerpał ogromną satysfakcję, gdyż czuł, że przygotowuje się na nadejście wspaniałego Nowego Czasu, czającego się tuż za rogiem — w Kaplicy na Poddaszu.

Ponosił jednak konsekwencje takiego postępowania. Z czasem, u progu wiosny tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, dostrzegł, że nie jest już — dosłownie mówiąc — „w pełni sobą” i ten stan się pogłębia. Inni ludzie — jego trzódka i znajomi — nie dostrzegali jeszcze tych zmian, widzieli jedynie jego długie włosy i egzotyczne ubiory, słyszeli coraz bardziej egzaltowany ton jego głosu.

A jednak wiele wskazywało na to, że „ruchowi” Jonathana zagraża wygaśnięcie — jeszcze przed nadejściem Nowego Czasu! Nie udawało mu się już pozyskiwać nowych wyznawców. Jego doktryny i poglądy nie były w stanie sprostać wrzeniu, jakie ogarnęło kraj pod koniec lat sześćdziesiątych. Jego rewolucja nie miała nic wspólnego z polityką. Kaplica na Poddaszu straciła na popularności, zanim na dobre rozpoczęła działalność. Jonathan potrzebował czegoś nowego.

Czasami budził się w nocy i czuł, jak jego umysł przenikają dziwne impulsy. Pakował wówczas plecak i szykował się do drogi. Spędzał samotnie długie godziny w swojej Kaplicy, nie pamiętając później, co tam robił. „Zdalne sterowanie” w pełni nim zaważnęło. Musiał czekać, aż dowie się, co ma czynić. Czekając na te rozkazy, udzielał swym nielicznym „parafianom” ślubów i chrzcili ich nowonarodzone dzieci. Odprawiał cotygodniowe nabożeństwa. Śnił nieustannie o powołaniu nowego kapłaństwa i nowego kościoła, który przyciągnąłby do siebie rzesze katolików i protestantów.

Pod koniec lata tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku „instrukcje”, jakie otrzymywał Jonathan, stały się jeszcze bardziej naglące. Przyjaciele, którzy co roku jeździli w kanadyjską głuszę, by tam polować i łowić ryby, zaprosili go na trzytygodniowy wypad.

Otrzymawszy to zaproszenie, Jonathan z miejsca pojął, że o to właśnie mu chodziło. Jakiś wewnętrzny głos powtarzał wciąż: „Jedź! Jedź! Znajdziesz tam swoje zwierciadło wieczności. Wyświęcenie ciebie na najwyższego kapłana jest tuż tuż!” Dzisiaj, zapytany, czy rzeczywiście słyszał wówczas czyjś głos, zaprzecza. To było raczej coś w rodzaju wewnętrznego przekonania, równie kategorycznego jak poprzednie „instrukcje” i tak samo zniewalającego.

Łącznie z Jonathanem, grupa liczyła dwanaście osób. Rozbili obozowisko. Dzielili się na mniejsze zespoły i wyruszyli w las, gdzie spędzali od dwóch do czterech dni.

Ojciec Jonathan od czasu do czasu łowił ryby, głównie jednak zajmował się pisaniem i malowaniem. Po tygodniu jed-

nak coraz głębiej zapuszczał się w las. Szukał czegoś, jakiegoś miejsca. Wiedział, że rozpozna je, kiedy tam trafi. Szedł zawsze z biegiem rzeki, nad którą rozbili obóz. Wiedział, że dzięki temu bez trudu odnajdzie drogę powrotną.

Podczas jednego z tych wypadów znalazł swoje *miejsce* — tak to później określał. To miano, „moje miejsce”, przejmując dzisiaj Jonathana dreszczem: tam właśnie dopełniło się jego opętanie.

Owego dnia, po lunchu, wybrał się na południe. Szedł tak już trzy godziny, a rzeka wciąż biegła prosto. W pewnym momencie dostrzegł jednak, że kryje się ona pomiędzy dwiema skarpami, wijąc się tam, na kształt litery „S”. Kiedy doszedł do drugiego zakrętu, całe jego ciało i umysł zelektryzowało niespodziewane odkrycie. Zamarł w bezruchu, a w uszach dzwięczało mu, niczym dzwon, jedno łacińskie słowo — *sacerdos* (kapłan). *Sacerdos!*

To było to! To było to miejsce! Tutaj zostanie wyświęcony na Kapłana Nowej Istoty i Arcybiskupa Nowego Czasu. To było to! Czuł ogromną wdzięczność.

Miejsce było piękne. Poziom wody wynosił tu najwyżej kilka stóp. Dno wyglądało jak miękki, ruchomy dywan z białego, jak sól, piasku. Po obu stronach rzeki, niczym szpalery czarno odzianych mnichów, wznosiły się rzędy skał i głazów, obmywanych i polerowanych niegdyś przez wzbierający nurt. W załomach rzeki widział niewielkie połączenia śnieżnobiałego piasku, wznoszące się stopniowo ku pasom niebieskawych i czarnych kamyków; dalej zaś rosły trawy i paprocie, wnikałce pomiędzy sosny, olchy, sykomory i kasztanowce. Wszystko prażyło się w słońcu, a na skały, piasek i wodę padał gdzieś gdzie cień, mieszając żółty blask z zielonym półmrokiem.

Jonathan przyglądał się setce słońc, odbijających się w szarozielonej wodzie, oślepiających go wspaniałym ogniem. Rzeka płynęła powoli, lecz nie ociężała, cały czas nucąc jednostajną, kojącą piosenkę.

To miejsce było „zwierciadłem wieczności”, o którym marzył Jonathan, oknem natury, przez które mógł dojrzeć potęgę, subtelność i zbawczą moc wieczności, a także bezgraniczne przestrzenie bytu.

Jonathan, oszołomiony, runął na piasek; płakał. Leżąc na brzuchu i drążąc dłońmi piasek, wołał bez końca:

— *Sacerdos! Sacerdos! Sacerdos! Sacerdos!*

Krzyk odbijał się od skał i drzew, wracając coraz słabszym echem, jakby unosił ze sobą jego nadzieje i prośby, aż w końcu Jonathan umilkł, zamieniając się w słuch.

Wilgoć piasku wnikała w jego ubranie, a słońce oblewało ciepłem plecy. Czuł, że staje się lekki; jakaś potężna dłoń unosiła go w górę. Słyszał swój głos powtarzający niemal błagalnie:

— Uczyni mnie... uczyni mnie, proszę... uczyni mnie... kapłanem... uczyni kapłanem...

Słowa wsiąkały w biały piasek, przylegający do jego twarzy.

Miał wrażenie, że owa dłoń zawładnęła już wszystkim, jego myślami, odczuciami i wyobraźnią. Czuł, że staje się pusty. Coś wymazywało jego przeszłość, całą przeszłość, wszystko, co pamiętał i co zapomniał, wszystko, co stworzyło go takim, jakim był do tej chwili. Opuszczały go wszystkie idee, koncepcje, wspomnienia i skojarzenia, narzucone mu przez kulturę, religię, środowisko i lektury.

Potem, pod wpływem jakiegoś wewnętrznego impulsu, któremu nie chciał już się przeciwstawić, podniósł się i powoli wszedł do wody. Zatrzymał się na środku rzeki, przez moment wpatrywał się w niebo. Posłuszny wewnętrznemu głosowi, nachylił się, sięgając ku podstawie jednego z głazów, próbując odnaleźć miejsce, w którym był osadzony. Rzeka beztrząsco obmywała jego barki i plecy. Podbródek miał niemal na wysokości lustra wody.

— Dotykałem serca naszego świata — powiedział podczas którejś z naszych rozmów — miejsca, w którym Jezus, punkt Omega, wciąż ewoluował i lada chwila miał się wyłonić.

Wydało mu się, że „tylko ten świat ma moc przebaczenia i oczyszczania”, że tylko on „jednoczy w sobie wszystko”. Miał wrażenie, że się w końcu „przebił” i że zagwarantował tym sobie objawienie nad objawieniami: rzeczywistą prawdę, rzeczywistego boga, rzeczywistego Jezusa, rzeczywistą świętość, rzeczywisty sakrament, rzeczywisty byt i nowy czas, w którym naprawdę wszystko będzie nowe.

Zatracił poczucie normalnego czasu, nie dostrzegał już słońca, rzeki i jej brzegów. Wiatr stał się wielkim, pędzącym ptakiem, trącającym skrzydłami zielono-brunatne ramiona otaczających go drzew. Skały ożyły, stały się jego braćmi i siostrami, tysiącletnimi kuzynami, obserwującymi jego wyświęcenie z szacunkiem, na jaki stać było tylko naturę. Woda mrugała do niego życzliwie, nucąc pieśń, którą przed milionami lat, w czasach gdy nie było jeszcze człowieka i świata, wpoili jej

wirujące, kosmiczne atomy. Przeżywał chwile autentycznej ekstazy.

Sam także zaintonował swój hymn.

— Jezul Jezul Jezul — Szybko jednak zmienił słowa. — Panie Światła! Panie Światła! Panie Światła! — Znow nie pannał nad sobą. Wszystkie włókna i tkanki jego ciała i umysłu przepelniała jakaś mroczna siła. Śpiewał coraz głośnie. — Panie Światła! Panie Jezusa i wszechrzeczy! Twój niewolnik! Twój sługa! Twoje stworzenie! Twój kapłan!

Czuł cudowne rozluźnienie; uwolnił się od napięcia, na nic nie oczekiwał, nie wychodził w przyszłość ani myślą, ani też pragnieniem. Wszystko sprowadzało się do cudownego „tu i teraz”.

Wyprostował się i popatrzył na brzeg; ręce, które pokaleczył, próbując wykopać ów głaz, zwisały teraz luźno. Przyglądał się swym dłoniom i palcom, zachwycając się połyskiem skąpanej w słońcu krwi, znaczącej jego czystą skórę.

Powoli ruszył w kierunku brzegu. Potem przyspieszył kroku. Zaczął biec. Kiedy przebiegł przez połą piasku i znow znalazł się na stałym gruncie, pognął między drzewa, pchany rozpierającą go siłą. Wbiegł na stok. Gdy znalazł się na górze, brakowało mu tchu. Zataczał się i potykał.

Wyciągnął ręce, chcąc się czegoś przytrzymać. Ale w pobliżu znajdowały się tylko wyniosłe, szorstkie sosny, dotykające swymi koronami nieba. Nie mogły mu pomóc — ich gałęzie znajdowały się zbyt wysoko.

Zmagając się ze zmęczeniem i potem zalewającym mu oczy, wypatrzył gdzieś niewielkie drzewko, którego gałęzie wisały nisko nad ziemią. Potknął się, upadł, wstał i parł dalej, aż zwałił się na ów pień, rozpościerając ręce, by wesprzeć się na krótkich odroślach, sterczących z jego boków. Wisił tak przez chwilę, opierając policzek o pień, a ramiona o gałęzie, łapiąc dech i na wół łkając; czekał, aż wróca mu siły.

Nagle uświadomił sobie, że jego twarz dotyka czegoś gładkiego: nie szorstkiej kory sosnowej ani sękaty sykomory. Powoli otworzył oczy i cofnął się, ze zdumieniem wpatrując się w to drzewko.

Nie potrafił w żaden sposób opanować narastającego lęku. Teraz widział je wyraźnie: nagi, odarty z kory pień, sprowadzony do jednej czwartej dawnej wysokości — przez uderzenie gromu, przypadkowy cios siekiery, a może coś całkiem innego. Uschnięty pień, dźwigający dwie ostatnie, przykrótkie gałęzie. Szarobiałe, wykrzywione krzyż, splamiony krwią.

Stoję pod krzyżem, pomyślał ze zgrozą i wstrętem Jonathan. Tam jest krew. Moja krew? A może kogoś innego? Jego krew? Czyja krew? Pytania wwiercały się w mózg, niczym histeryczne wrzaski.

Zaczął krzyczeć:

— Przeklinaj to! Przeklinaj go! Przeklinaj tę krew! Przeklinaj tego fałszywego Jezusa! — „Zdalne sterowanie” podsuwało jego wargom słowa. — Zniszcz to! Połam te ramiona! — Instrukcje waliły w niego bez ładu i składu.

Wyciągnął ręce, złapał jedną z gałęzi i zaczął ją ciągnąć, wrzeszcząc:

— Przeklinam cię! Przeklinam cię! Uwolniłem się od ciebie! Panie Światła! Wybaw mnie! Pomóż!

Gałąź pękła. Chwycił oburącz drugą i targał nią, nie przestając krzyczeć. Trzasnęła tak niespodziewanie, że poleciała w tył. Staczał się ze zbocza, ku rzece, widząc świat jako spadzisty tunel, pełen światła, wstrząsów i razów, aż wreszcie wpadł na jakiś pień i stracił przytomność.

Przyjaciele znaleźli go tam w kilka godzin później, tuż przed zmrokiem. Był półprzytomny i osłabiony, w dłoniach nadal trzymał złamaną gałąź. Posadzili go, opierając plecami o drzewo, które powstrzymało jego upadek. Miał przed sobą stok. Słońce już zachodziło, ale jego ostatnie, czerwono—złote promienie wąskimi smugami dotykały uschniętego drzewka, podkreślając pozostałe po gałęziach drzazgi i poznaczone ciemnymi plamami pień.

Nie docierało to jeszcze do Jonathana. Stopniowo uświadamiał sobie, że otaczają go jakieś wysokie sylwetki, że słyszy czyjeś głosy, że czyjeś ręce przytykają mu do warg flaszki whisky, a inne opatrują jego obrażenia. Słyszał trzask ciętych toporkami gałęzi. Ale wzrok jego padł na tamto drzewko. Zadźwięczały sygnały alarmowe. Spróbował się podnieść, nie spuszczając z oczu uschniętego pniaka.

Czerwone światło słońca ustępowało miejsca niebiesko—czarnemu zmierzchowi, drzewko zlewało się ze stokiem. Jeden z myśliwych dostrzegł, że Jonathan usiłuje wstać, i zauważył, jak intensywnie wpatruje się on w ów pień.

— Spokojnie, ojcze — powiedział. — To tylko drzewo. Martwe drzewo. Zapewniam cię, wszystko w porządku. Nie przejmuj się, ojcze, dobra? To tylko drzewo, ojcze.

Przytrzymał Jonathana, nie pozwalając mu wstać.

Kapłan zwałił się znów na ziemię i wymamrotał:

— Tylko drzewo. Tylko drzewo.

Ponownie stracił przytomność. Ułożyli go na prowizorycznych noszach i ruszyli z powrotem do obozu.

Jonathan był w fatalnym stanie, ale chyba sobie tego nie uświadamiał. Spędzili jeszcze kilka dni w obozie, żeby mógł nieco wypocząć, po czym udali się do Manchester, New Hampshire. Zostawili Jonathana u jego matki.

Był skrajnie wyczerpany, cierpiał na zawroty głowy, wszystko go bolało. Miał trudności ze snem i nie potrafił się skupić na lekturze czy też malowaniu. Lekarz domowy zalecił mu dwumiesięczny wypoczynek.

Pierwsze tygodnie Jonathan spędził w łóżku, pod wpływem środków uspokajających. Był pod opieką matki i dochodzącej pielęgniarki. Z czasem zaczął odzyskiwać siły. Pod koniec października krążył już po domu. W listopadzie był na tyle silny, że zaczął wychodzić do ogrodu; zaczął też czytać i malować.

Jego matka, dzięki proboszczowi miejscowej parafii, pozostawała w kontakcie z seminarium i z ojcem Davidem. Kiedy Jonathan (ona także musiała zaaprobować jego nowe imię) doszedł już do siebie, zatelefonowała do Davida. Ten zaś zjawił się któregoś popołudnia, by się zobaczyć z jej synem.

To spotkanie zaniepokoiło Davida, dla Jonathana zaś było okazją do wypróbowania nowych sił, ulotnym triumfem, w którym się pławił pomimo swego żalosego stanu. Zwracał się do Davida słowami „mój synu”, traktował go jak ojciec, wywołując tym dość niespodziewaną reakcję. David, po raz pierwszy od wyjścia poza wiek młodzieńczy, czuł autentyczny lęk.

Otuleni tą atmosferą niczym jakąś ponurą kurtyną, David i Jonathan gawędzili na temat Kanady. Towarzysze tego ostatniego doszli do wspólnego wniosku, że albo zaatakowało go jakieś dzikie zwierzę, albo wpadł w panikę, wziął nogi za pas i uciekając uderzył się o coś. Ale już po kilku minutach rozmowy David nabrał pewności, że wydarzyło się coś o wiele bardziej znaczącego, Jonathan jednak nie zamierzał się przed nim otwierać.

Jonathanowi udało się w końcu odwieść Davida od pytań o Kanadę i niedawny wypad. Zaczął opowiadać o swoim nowym apostołstwie i planach utworzenia w Nowym Jorku „misyj”. I wówczas, niespodziewanie, najzupełniej z nienacka, rozmowa zaczęła dotyczyć Davida. Raz jeszcze odkrył on, że w dużej mierze zgadza się ze wszystkimi stwierdzeniami Jonat-

hana. I raz jeszcze coś w nim buntowało się przeciwko tym treściom.

W pewnej chwili Jonathan zdołał go przycisnąć do muru, mówiąc:

— Ojczy Davidzie, mój synu, i ty kiedyś odnajdziesz światło, i ujawnisz się, by głosić chwałę Nowego Czasu i Nowej Istoty.

Odżyły dawne niepokoje Davida, w kuszących słowach Jonathana zadźwięczała dobrze znajoma nuta, przejmująca go dreszczem. Przypuścmy, że nie zdołałby się oprzeć wezwaniu i zaangażował się w to, co proponował jego dawny uczeń — cokolwiek by to było. Co wtedy?

David nigdy nie zapomniał tego narastającego, głębokiego obrzydzenia, które ogarniało go, gdy siedział w przy łóżu owego chorego człowieka, na skraju cichego miasteczka. Wstręt mieszał się z lękiem. Podobnie, choć nie tak samo, czuł się kiedyś w Afryce, gdy schodził w głąb zbiorowego grobu, grobowca jednego z dawnych wodzów. Stojąc nad zwałami kości ludzi, których poświęcono, by zapewnić przywódcy plemienne- mu dostęp do wiecznego szczęścia, czuł bliskość suwerennego, niezależnego zła, słyszał kuszący głos, szepczący do niego po- śród tego cuchnącego mroku: „Wejdz w moje włości, Davi- dzie! Tu jest twoje miejsce!”. Nie mógł się wtedy uwolnić od myśli, że tamci, od dawna spoczywający w grobie ludzie nigdy nie słyszeli o Jezusie i chrześcijaństwie. Kiedy tak stał w owym grobowcu, nie mógł się opędzić od jakichś niejasnych skoja- rzeń. Niestety, narastające mdłości nie pozwoliły mu w nie wnikać.

Teraz, próbując zgłębić tamtą tajemnicę, popatrzył na Jonathana. Kto tu był opętany? Czyżby obaj? A może to tylko kwestia wyobraźni? Jonathan, pomimo swego stanu, trzymał się prosto, z jego policzków znikła bladość, niebieskie oczy lśniły, a długie włosy spadały wdzięcznie na ramiona. Przyglą- dając się mu, David nagle poczuł się słaby, maleńki i poniekąd brudny. Kolejne słowa Jonathana jeszcze bardziej okaleczyły jego odwagę.

— Nie na darmo, mój synu, nazwano mnie Jonathanem. Ty zwiesz się David. Jak głosi Pismo, ich obu związało Boże dzieło.

David odwrócił się bezradnie, walcząc z narastającym osła- bieniem i lękiem. Szukał jakiegoś punktu oparcia, ale głos Jonathana, tryumfujący, donośny, nie dawał mu żadnej szansy.

— Co mnie się zdarza, zdarza się i tobie, mój synu. Nie dostrzegasz tego? Wszystko zostało ustalone. Weszliśmy do Królestwa Nowego Czasu i Nowej Istoty.

David czuł, jak jego opór maleje. Obrzydzenie narastało. Zaplątał się w pułapkę, której nie przewidział. Podszedł do drzwi, otworzył je i rzucił cicho, przez ramię:

— Jonathanie. Przystańmy na jedno. Jeżeli będziesz po- trzebował pomocy, pomogę ci. Umowa stoi? — Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, odwrócił się więc powoli. — Jonathanie! Spotkamy się, kiedy...

Urwał. Jonathan stał na środku pokoju. Oczy miał za- mknięte i chwiał się, jakby targał nim silny wiatr.

— Jonathanie! Jonathanie! Dobrze się czujesz?

— Ojczy Davidzie. — To był niemal szept, i to przesycony bólem. — Ojczy Davidzie, pomóż mi... nie teraz... to niemożli- we... zbyt daleko... ale w chwili... umowa stoi... jeżeli...

Reszta słów zmieniła się w niewyraźne mamrotanie. Jona- than zawrócił i opadł ciężko na fotel. David zauważył, że jego lewa dłoń zaciska się na zakrzywionym palcu wskazującym.

Drzwi otwarły się. Weszła matka Jonathana, cicho, niespie- sznie. Jej twarz wyglądała jak maska.

— Nie przejmuj się, ojczy Davidzie — szepnęła. — Pójdzie teraz spać. Potem będziesz mógł do niego wrócić. Idź i odpoc- znij. Potrzeba ci tego. Potrzeba wam odpoczynku.

Pogadał z nią trochę, po czym wyszedł. Obiecała informo- wać go o zachowaniu Jonathana.

W połowie grudnia Jonathan znów opuścił dom i udał się do Nowego Jorku. David przez następne cztery miesiące śledził jego ruchy. Był zawsze w pobliżu, choć nigdy nie rzucał się w oczy, regularnie odwiedzał Nowy Jork, zbierając informacje na temat tego, gdzie jest Jonathan i co robi. Chwilowo nie mógł interweniować. Wiedział jednak, że taki moment nadej- dzie.

Był już pewien, że Jonathan w pełni podporządkował się złemu duchowi. Żył też uzasadnione podejrzenie, że i na niego to wpłynęło, choć nie umiał tego dokładniej określić. Ale dopiero w dniu owych nieszczęsnych zaślubin na plaży miał okazję pomóc Jonathanowi i dowiedzieć się dokładnie, co się jemu samemu przytrafiło.

W lutym, najzupełniej przypadkowo, usłyszał, że Jonathan zamierza udzielić ślubu w Dutchman's Point. Ojciec narzecz- nej, znany makler, był starym znajomym Davida. Egzorcysta, nie zwlekając, zadzwonił do niego i zaproponował, by zjedli

razem lunch. Makler przywitał Davida ciepło, jak starego przyjaciela. Atmosfera spotkania ochłodziła się nieco, gdy David wyjawiał cel swej wizyty. Chciał, żeby odłożyć ślub albo zwrócić się do innego kapłana.

Ależ ojciec Jonathan to wspaniały kapłan, zaproponował ojciec Hildy. Potem, co było dość nieprzyjemne, zaczął narzekać na kler, dowodząc, że Jonathan przynajmniej potrafi przekonać młodzież do odmawiania modlitw, wiary w Boga i troski o środowisko naturalne — co raczej nie zdarza się „panom w sukniach”. David bronił swego stanowiska, sygnalizując swe obawy i podejrzenia względem Jonathana. Na próżno. Usłyszał, że świat się zmienia. Po co ta niepokojąca gadanina o złu i Szatanie? Przecież on sam, ojciec David, nie wierzy już chyba w te bzdury? Musiał więc wyjawić, że niepokoi się o Jonathana i o córkę swego przyjaciela.

Skoro więc tak się boi, zakończył makler, wstając od stołu, to może sam zjawi się na ślubie? Może traktować to jako zaproszenie. Zobaczy, że wszystko będzie w porządku. Hildę czeka wielkie szczęście. Zależy jej na tym, by odbyło się to właśnie w ten sposób. Tylko raz wychodzi się za mąż.

— Przyjadę — odpowiedział David. — Możesz być pewien. Ale ty będziesz odpowiadał za skutki.

Makler umilkł i przyjrzał się księdzu. Przez chwilę zastanawiał się nad czymś, potem się rozeźlił. Jego słowa głęboko dotknęły Davida.

— Ojciec, jeżeli chodzi o sprawy religii, jestem człowiekiem prostym. Sądzę, że wszystko, cokolwiek dzieje się w tej materii, jest waszą winą, winą kleru. Wiesz — urwał, przypatrując się Davidowi — czasem odnoszę wrażenie, że to *wy* jesteście już straceni. My, laicy, jesteśmy w jakiś sposób chronieni. Nigdy nie próbowaliśmy sterować religią.

I tak się rozstali.

PAN PEWNIĄK I CHÓR Z SALEM

Egzorcyzmowanie ojca Jonathana zaczęło się w pierwszym tygodniu kwietnia, a zakończyło już w drugim tygodniu maja. Ku zaskoczeniu Davida, przeszło względnie łatwo. To on znalazł się w tarapatkach. Jego zdrowie psychiczne, wiara i życie doczesne były, w najwyższym stopniu, zagrożone. Dzięki owym cierpieniom Davida będziemy mogli lepiej pojąć mecha-

nizm opętania — a przynajmniej tego typu opętania — to, jak do niego dochodzi, jak się ono rozwija i gdzie, w ostatecznym rozrachunku, wchodzi w grę wolny wybór opętanego.

O ile uwalnianie Jonathana od złego ducha zostało zarejestrowane na taśmie magnetofonowej, to rozpatrując szczegóły czterotygodniowych zmagania Davida z demonem, musimy się opierać na jego bardzo pieczołowicie prowadzonym dzienniku z owego okresu, a także na tym, co opowiadał osobom trzecim, oraz na rozmowach, które z nim przeprowadziłem.

Kiedy David i Jonathan opuścili gości weselnych zgromadzonych na plaży Massepiq, udali się prosto do seminarium, gdzie pozostali aż do rozpoczęcia egzorcyzmów.

Gdy tam jechali, Jonathan uporczywie zadawał jedno pytanie: dlaczego tak istotne jest, by zacząć ceremonię, zanim słońce osiągnie zenit?

David był szczery: nie wiedział tego na pewno, może nie dane było mu to wiedzieć, ale przeczuwał, że słońce w zenicie źle wpłynie na Jonathana.

— To niedobre dla ciebie, Jonathanie — powiedział krótko.

Jonathan był bliski rozpacz. Musiał przyjąć, że blask i ciepło, najpiękniejsze doznania w jego świecie, są dla niego złe. Mimo to, podporządkowując się instrukcjom Davida, zadbał o to, by rolety w jego pokoju w seminarium były opuszczone. Aby zaczerpnąć świeżego powietrza, wychodził tylko wieczorem i w nocy. Unikał ostrego, południowego słońca.

Przygotowania wstępne, do jakich ojciec David zdążył przywyknąć jako diecezjalny egzorcysta, zakończyły się w ostatnich dniach marca. Część z nich — badania ogólne, rozmowę z psychologiem i analizę warunków domowych — przeprowadzono jesienią, tuż po owym zdarzeniu w Kanadzie. Kilka dalszych czynności pozwoliło sfinalizować sprawę. Pozostało tylko wybrać miejsce i dzień oraz wytypować pomocników.

David był przekonany, że spotka się nie tyle z jawną agresją, co z ogromnym stresem psychicznym, z ingerencją w jego własnego ducha. Pomocy szukał więc u znajomego, młodego psychiatry i nieco starszego lekarza ogólnego. Wiedział też, że wesprze go ojciec Thomas, młody asystent, który w czerwcu miał przejąć jego obowiązki.

Trudniej było z wyborem miejsca. David optował za kaplicą albo pokojem w oddalonym skrzydle seminarium. Jonathan błagał, by egzorcyzmy odbyły się w domu jego matki, gdzie się urodził i przeżył pierwsze lata. W tym domu, który zaprojekto-

wał i zbudował jego ojciec, dojrzewały jego pierwsze związki, ambicje i wielkie nadzieje. Co więcej, dom ten stał na rodzimym ziemi, co dawało szansę na nieosiągalną w seminarium swobodę.

Biskup, jak zwykle spokojny, zdecydował za nich.

— Cokolwiek ma się stać, lepiej, żeby przeprowadzono to dyskretnie i po cichu. Nie chcę, żeby połowa moich młodych seminarzystów dawała się ponieść nerwom i wpadała w amok — oświadczył Davidowi. Dodał coś jeszcze, czego trudno się było spodziewać po tym światowym człowieku, którego głównym tytułem do chwały była znajomość tajników obrotu pieniędżem. — To nie przesady, ojczu Davidzie — powiedział, unosząc brwi — wszak to jego ojciec zbudował ten dom i wprowadził tam swoją rodzinę. On także jest tym zainteresowany. Jego też to, z pewnością, dotyczy.

David zapamiętał sobie ostatnią uwagę biskupa. Dotyczyła tego, na co nie zważał przy wcześniejszych przypadkach opętania: związku pomiędzy konkretnym miejscem a egzorcyzmami.

Przystali na to, że Jonathan pozostanie w seminarium, pod opieką Davida i jego asystenta, aż do pierwszego kwietnia — dnia, w którym rozpoczną się egzorcyzmy. Im bliższy stawał się ten termin, tym bardziej zdenerwowany był Jonathan; jadł coraz mniej i uzależniał swój mocny sen od dawek środków nasennych.

Trzydziestego pierwszego marca, o dziesiątej rano, David odwiózł go do domu matki. Wieczorem dołączyli do nich jego pomocnicy — tu znów kierował się swym instynktem. O czwartej nad ranem, obudzeni przez jakiś hałas, odkryli, że Jonathan, kompletnie ubrany, przetrząsa szuflady kredensu. Nie byli do końca pewni, czy szuka noża, którym mógłby go dzielić w siebie lub w kogoś z nich, czy też — jak twierdził — przygotowuje sobie posiłek. Tak czy inaczej, skoro już wstali, David poprosił matkę Jonathana, by przygotowała śniadanie. O szóstej rano mogli przystąpić do dzieła.

Z przygotowaniami nie mieli problemów. Wynieśli z pokoju meble. Z terakotowej posadzki usunęli dywan i chodniczki. Zamknęli okiennice. Jonathan zdecydował, że będzie kłęczał, kryjąc twarz w dłoniach, tuż przy niewielkim stoliku, na którym David umieścił swój krucyfiks, fłaszeczkę z wodą święconą, dwie świece i modlitewnik. Magnetofon postawili pod oknem. David miał na sobie sutannę i komżę, a na szyi zawiesił stulę. Nie bawił się w uroczysty wstęp. Stanąwszy po drugiej stronie stolika, naprzeciw Jonathana, w kręgu swych pomocników, natychmiast przeszedł do rzeczy. Zmówił pierwszą modli-

twę, odłożył książkę, spojrzął na swego dawnego ucznia i powiedział:

— Jonathanie, zanim przejdziemy do dalszych czynności, chcę cię prosić, byś, w obecności tych oto świadków, oznajmił wyraźnie, że jesteś tu ze swej własnej i nieprzymuszonej woli i pragniesz, bym, w imię Jezusa i mocą Jego Kościoła, uwolnił cię od złych duchów, które mogły cię opętać albo zniewolić jakąś część twojego ciała lub umysłu. Odezwij się.

Popatrzył na pochyloną głowę Jonathana. Nie widział jego twarzy, jedynie złote włosy, niewielkie skrawki czoła, prześwitujące między długimi palcami artysty i zgrabne dłonie, zasłaniające oblicze.

— Jonathanie, proszę, powiedz to. — dodał po chwili. Powstrzymał oddech, czując narastające napięcie.

— Zgodziłem się tu przyjść — głos Jonathana był bardzo niski i melodyjny — pragnąc, by zło lub wszelkie obecne błędy poddane zostały działaniu egzorcyzmów. — David odetchnął z ulgą. Ale niepokój niemal natychmiast powrócił, kiedy tamten dodał: — Zło jest subtelne. niesprawiedliwość jest odwieczna. Wszelkie nieprawości należy naprawić. Oto prawdziwe egzorcyzmy.

— Jonathanie, mówimy tu konkretnie o Szatanie, Księciu Ciemności i Aniele Światła — podkreślił surowo David. Zauważył, że Jonathan poruszył się lekko, jakby nie chciał uronić ani słowa. — Gotowi jesteśmy wykryć jego obecność i uwolnić cię od niego mocą daną nam przez Jezusa. Zgadzasz się na to?

— Zgadzam się.

Chwila ciszy. David miał już zadać kolejne pytanie, kiedy Jonathan znów zaczął swoje.

— Biedny Jezus! Biedny, biedny Jezus! Tak źle traktowany. Tak żałośnie przedstawiany. Tak zuchwale zniekształcany. Biedny Jezus! Biedny, biedny Jezus!

David zastygł w bezruchu. Głos Jonathana był nadal donośny i dźwięczny. Należało podjąć kolejną próbę.

— Jonathanie, na mocy danej mi przez Kościół Chrystusowy i w imię Jezusa, chcę zadać tobie kolejne pytanie. Czy kiedyś świadomie, wiedząc, co czynisz, na ile sięgasz pamięcią, podporządkowałeś się Złemu, przyznałeś mu rację lub próbowałeś z nim igrać?

Odpowiedź Jonathana padła natychmiast, melodyjna i spokojna.

— Robiąc to Jezusowi, zdradziłbym siebie, moją trzode, dobroć Chrystusa, świat, życie samo w sobie, nasz wieczysty pokój...

— Jonathanie. Chcę odpowiedzi, jednoznacznej odpowiedzi na moje pytanie. To istotne.

— Wprost przeciwnie, to Jezus przyszedł do mnie i stałem się Jego kapłanem. Chwała Jezusowi! Chwała Panu Naszego Świata!

David musiał zadowolić się tą odpowiedzią, przeszedł więc do kolejnego etapu.

— A teraz, Jonathanie, powtórzmy sobie Wyznanie Wiary, a potem twoje śluby z okresu chrztu. — Miał nadzieję, że w ten sposób uniknie przeprowadzenia formalnych egzorcyzmów. Skoro Jonathan do tej pory odpowiadał zadowolająco, opętanie mogło być tylko częściowe.

David przytoczył pierwsze słowa Wyznania Wiary:

— Wierzę w jednego Boga, Ojca wszechmogącego, Stwórcy nieba i ziemi...

Urwał, czekając na Jonathanana. Ale tamten zapewne zaczął nieco wcześniej, gdyż do Davida dotarło tylko słowo „ziemi”. Przeszedł do następnego zdania, ale zaraz umilkł, gdyż Jonathan mówił dalej.

— Ziemia, dwa lub trzy miliardy lat temu. Każdy z nas to trzydzieści bilionów komórek. Sto pięćdziesiąt milionów za czasów Cezara. Trzy miliardy sześćset milionów obecnie. Dwieście milionów ton mężczyzn, kobiet i dzieci. Dwa tryliony ton zwierzyny...

— Jonathanie, powróćmy do...

— I wszystko po to, by mógł się pojawić Jezus. O, piękna Omega! Chwała Jezusowi. Chwała Panu Tego Świata, z którym my wszyscy, całe dwieście milionów ton, stanowimy jedno.

David umilkł i uważnie przyjrzał się Jonathanowi. Młody człowiek wciąż nie odsłaniał twarzy i nie przestawał mówić.

— Co oni z tym zrobili? Żydzi i chrześcijanie. Ci judeochrześcijanie. — Jonathan zniżył głos do szeptu; mówił z wyraźnym niesmakiem. — Arcykapłan stworzenia — oto, czym stał się dla nich każdy człowiek. — Ramiona Jonathanana drżały; płakał.

I znów David czuł, że coś w nim zgadza się z każdym stwierdzeniem Jonathanana. Jakaś jego cząstka, o której istnieniu nie miał dotąd pojęcia, powtarzała z uporem: „Tak! Tak!”

Jonathan mówił coraz szybciej, nabierając pewności.

— I to, co było początkowo nową rośliną, próbnym gatunkiem, takim jak ropuchy i raszki, wlatującym w górę, ku punktowi Jezusa, zmieniło nagle kierunek lotu i uczyniło tę planetę swoim placem zabaw, estradą, swoim dominium. — kontynuował jeszcze ciszej, jakby się modlił. — Biedny Jezus! Biedny świat! Chwała Panu Świata Światła! Biedny Jezus!

Aprobata, z jaką David przyjmował słowa Jonathanana, stopniowo ustępowała miejsca goryczy. Co takiego powiedział ojciec G.? Pamięć egzorcysty przybierała kształt wielkiego wiru. Wpadł w panikę. Desperacko przetrząsał swoje wspomnienia, jakby wertował stos starych papierzyk w poszukiwaniu jakiegoś niezbędnego dokumentu. Próbował dokopać się do początku, do pierwszych instrukcji, jakich udzielił mu ów żwawy egzorcysta. Co to było?

Przeszkodził mu w tym głos Jonathanana.

— Ojcie Davidzie, oddalasz się ode mnie. Proszę, zostań ze mną!

To brzmiało jak żądanie. David znów zerknął na ową głowę, wtuloną w zgrabne dłonie, na palce, spomiędzy których wymykały się złote kosmyki. Jonathan wyglądał jak skąpany w światłości anioł, pokutujący na kolanach za ludzkie grzechy. David gotów był rzec: „Dobrze! Jonathanie, nie lękaj się. Jestem z tobą. Tak!” Te słowa same pchały mu się na wargi. Ale znów ogarnęła go fala niepokoju i, jak bumerang, wróciło tamto pytanie: przed czym ostrzegał go ojciec G.? Co powiedział? Co to było?

I znów usłyszał Jonathanana.

— Ojciec G. to już przeszłość. — Łatwość, z jaką wdarł się w myśli Davida, była szokująca. — Wrócił do łona, z którego wszyscy wyszliśmy. Zostawmy umarłych umarłym, ojcie Davidzie. Chodzi o ciebie i mnie. My żyjemy. Wejdźmy w światło, póki jeszcze możemy.

Jonathan nie przestawał mówić, łączył wyjątki z Pisma ze swoimi przemyśleniami. David odwrócił się od niego, tak jakby chciał się wyzwolić spod jego wpływu; walcząc z natłokiem myśli, próbował odzyskać straconą pozycję. Podniósł wzrok ku sufitowi. Czuł się osaczony: znajdował się sam na sam z Jonathanem, związany z nim jakimiś dziwnymi falami eteru, niewidzialnymi łączami. I przez cały czas drażył swoją pamięć, szukając mocnego oparcia dla swej woli i umysłu. Ha! Nareszcie! „Anioł Światła”. To właśnie powiedział ojciec G. To właśnie David chciał sobie przypomnieć. „Anioł Światła”. Ojciec G. udzielił mu też upomnienia: „Groźne dla ciebie, Davidzie, jest

to, że zbyt wiele myślisz. Za wiele masz w sobie z mózgowca. Posłuchaj swego serca. Pan przemawia przez serce.”

Odczuwał teraz ogromną ulgę. Otworzyła się w nim jakaś nowa przestrzeń — wolna, niczym nie skępowana, kojąca, ogromna, świeża i należąca tylko do niego — niedostępna dla owego krętego, mrocznego kanału, łączącego go z Jonathanem.

I wtedy walnęło go w uszy jedno słowo — jego własne imię — ostre niczym chłasięcie biczem.

— Davidzie! Davidzie!

To był Jonathan. Tym razem zabrzmiało to jak nagana; takiego tonu używali władcy albo zwierzchnicy. A zatem role się odwróciły.

Asystent Davida szepnął mu do ucha:

— Ojczy, on dygocze. Sądziysz, że wszystko jest w porządku? Lekarz obawia się...

David uspokoił go gestem i uważniej przyjrzał się Jonathanowi. Tamten nadal zaślaniał twarz, ale zarówno egzorcysta, jak i jego pomocnicy odnieśli wrażenie, że lka.

Ojciec David zdecydował się zmienić nieco taktykę. Musiał zapewnić sobie punkt oparcia. Musiał jakoś sprowokować Jonathana, by stawiał opór nękającemu go złemu duchowi; musiał wywabić owego demona z ukrycia. I zapanować nad sobą na tyle, by tego dokonać.

Patrząc z perspektywy czasu i znając charakter Davida, łatwo pojąć, że postąpił tak, a nie inaczej. Biorąc zaś pod uwagę jego własną sytuację, niezależnie od sprawy Jonathana, łatwo też pojąć, że to, co się później stało, było zarówno nieuniknione, jak i konieczne.

Zbliżył się do Jonathana. Powodowały nim jedynie litość i współczucie. Dotknął lekko ramienia opętanego i powiedział:

— Jonathanie, mój przyjacielu. Nie poddawaj się rozpaczcy. Nie odejdę i nie zrezygnuję. Nie opuszczę cię, aż...

— Wiem, że tego nie zrobisz... — Wydawało się, że poszczególne słowa wyrzucane są przez gwałtowne skurcze płuc i krtani Jonathana. — Wiem, że tego nie zrobisz, ponieważ... — Na moment przerwał, by zaczerpnąć powietrza. — Ponieważ nie możesz, mój bracie. Nie możesz.

Ten głos, chrapliwy i zarazem syczący, wpełznął się w głąb umysłu Davida. Egzorcysta cofnął rękę; kiedy to robił, odebrał jakieś dziwaczne sygnały. Coś wmawiało mu uporczywie i zawzięcie, że w tym pokoju jest tylko dwóch normalnych ludzi: on i Jonathan. Pozostali — jego młody współpracownik, lekarz ogólny i psychiatra — byli jedynie manekinami, plastikowymi

modelami żywych istot, groteskowymi bohaterami kosmicznego żartu. Tylko on i Jonathan. Tylko Jonathan i David.

— Pojąłeś to, Davidzie! — szepnął Jonathan. Chrapliwy głos. Syk.

Kto tu był górą?

— Co pojąłem?

Ledwie to pytanie opuściło jego wargi, poczuł, że nie musi czekać na odpowiedź, odebrał pewien ciąg myślowy, tak jakby dzielił swój mózg z Jonathanem albo pozostawali w jakimś kontakcie intuicyjnym, obywatycznym się bez pomocy mowy.

— Co pojąłem? — powtórzył kilkakrotnie.

To był już tylko rozpaczliwy krzyk, protest przeciwko temu szachrajstwu. Wszystko już było dla niego jasne. Po raz pierwszy nabral pewności, że wślizguje się weń ten sam duch zła, który zniewolił Jonathana. Pojął też, że i Jonathan o tym wie.

Opętany podniósł nagle głowę i spojrzął na Davida. Jego prawa ręka, ta z zakrzywionym palcem, zacisnęła się na dłoni egzorcysty, wciąż jeszcze spoczywającej na jego ramieniu. David wyglądał tak, jakby ujrzał ducha: zbladł, skulił się, wytrzeszczył oczy i zacisnął wargi, miał kłopoty z oddychaniem i ociekał potem. Zobaczył bowiem, że twarz Jonathana rzeczywiście wykrzywia jakiś grymas, nie mający jednakże nic wspólnego z cierpieniem czy żalem; była szeroko uśmiechnięta i malowało się na niej rozbawienie. Opętany wstrząsał nie szloch, a tłumiony śmiech. I to śmiechem zaniósł się teraz, oddychając z ulgą.

— Jesteś taki sam, jak ja, Davidzie! Ojczy Davidzie! — zawołał.

Asystent Davida, Thomas, przysunął się bliżej. Obaj lekarze cofnęli się, zaskoczeni, z niedowierzaniem przenosząc wzrok z egzorcysty na opętanego, potem znów na egzorcystę. To, że ojciec Thomas zaoferował mu swą pomoc, David skwitował wzruszeniem ramion.

— Przyjąłeś, podobnie jak ja, Pana Światła, stary głupcze! — wrzasnął Jonathan, dławiąc się od śmiechu. Puścił rękę Davida i wstał. — Lekarzu, lecz się sam!

Rechotał z radości. Jego śmiech wypełniał cały pokój; Jonathan gwałcił się w pół i walił dłonią w kolano, lzy ściekały mu po policzkach.

— Ha ha! Davidzie, to dopiero kawał. Jesteśmy bratnimi duszami. Ty też nie wierzysz w ani jeden parszywy skrawek tej całej dziecinady. — David każde jego słowo przyjmował jak

cios. — *Hoc est corpus meum!* Jesteś tak samo wyzwolony, jak ja, człowieku. Należysz do Nowej Istoty i Nowego Czasu.

Nagle Jonathan się uspokoił.

— I ty próbowałeś mnie uwolnić?

Rozbawienie ustąpiło miejsca potwornej wzdardzie. Nachylił się ku twarzy Davida. Powoli, ważąc każde słowo, powiedział:

— Wynoś się stąd, żalony cherlaku! Wynoś się razem z tymi strachami na wróble, które tu sprowadziłeś. Idź opatrzyć swoje rany. Idź sprawdzić, czy uleczy cię twój cukierkowy Jezus. *Wynoś się!*

W tych ostatnich, wyraźnie podzielonych na sylaby słowach zawarł cały ogrom pogardy, definitywnie kończąc nimi rozmowę.

David sprawiał wrażenie człowieka, który usiłuje się podnieść po straszliwym uderzeniu.

— Chodźmy, ojcze Davidzie — powiedział, cicho ale stanowczo, młodszy ksiądz, widząc, że Jonathan wziął nad nimi górę.

— Idziemy, Davidzie — rzekł lekarz.

Egzorcysta odwrócił się jeszcze, by spojrzeć na opętanego. Pomocnicy nie dostrzegli na jego twarzy lęku, a jedynie zdumienie i ból. Ich spojrzenia powędrowały śladem jego wzroku. Jonathan stał nieruchomo, obserwując ich odwrót. Wyglądał teraz zupełnie inaczej. Głowę miał uniesioną. Był wyprostowany, wysoki. Złote włosy opadły mu na ramiona, tworząc jakby aureolę, odbijającą migotliwe światło świec. Z niebieskich oczu bił nieco przymglony blask. Prawa ręka była uniesiona tak, że sztywny palec wskazujący przekreślał gardło. Lewa zwisała wzdłuż boku.

— Idź w ciemność, głupcze! — wrzasnął falsetem.

Prawa ręka opadła gwałtownie i zmiotła ze stolika lichtarze. Świece zgasły i pokój ogarnął półmrok. Młodszy kapłan otworzył drzwi. Wszyscy czterej czym prędzej przez nie wybiegli, ścigani krzykiem Jonathana.

— W ciemność! Głupcy!

Kiedy wydostali się na zewnątrz, uświadomili sobie nagle, że dzień jest bardzo ciepły; w pokoju odczuwali dotkliwe zimno.

David dosłownie wtoczył się do oświetlonego przedpokoju i oparł o ścianę. Matka Jonathana siedziała obok wieszaka, na rzeźbionym krześle o prostym oparciu. W rękach trzymała ró-

żaniec. Po chwili podniosła głowę i, nie patrząc na Davida, powiedziała cicho i ze smutkiem:

— On ma rację. Mój syn. Niewolnik diabła. Ma rację, ojcze Davidzie. Potrzebujesz oczyszczenia. Niech ci Bóg pomoże. — Potem, czując, że David i jego pomocnicy zaczynają powątpiewać w jej zdrowie psychiczne lub wiarę, dodała: — Jestem jego matką. Nie spotka mnie żadna krzywda.

Mówiąc to, kierowała się instynktem, ale David był przekonany, że się nie myliła.

Przetoczył się obok niej. Nikt więcej nie zwracał na nią uwagi. Pomogli Davidowi wsiąść do samochodu i odwieźli go do seminarium. Znalazszy się w swoim pokoju, opadł na fotel i spędził tam pół godziny w towarzystwie młodszego kapłana.

— Co teraz zrobimy, ojcze? — zapytał w końcu Thomas.

David nie odpowiedział. Był zajęty sobą i czarną prawdą, jaką w sobie dostrzegł. Spojrzał na młodzieńca i poczuł się dziwnie nie na miejscu. Cóż miał wspólnego z tą świeżą twarzą, z czarną sutanną, białą koloratką i — przede wszystkim — z wyrazem oczu tego chłopaka? I jaki to właściwie był wyraz? Wytężając wzrok, przyjrzał się Thomasowi. Jaki to wyraz? Czy on sam kiedyś miał to w sobie? Czy to tylko jakiś żart? Zwykła szarada lub przejaw świadomej infantylności? Młodzi kapłani muszą wierzyć — jak małe dzieci. Potem dorastają — tak jak dzieci. I tracą to spojrzenie. Tracą „wiarę”?

— Otaczają cię znaki zapytania, Thomas — powiedział trochę bez sensu. Potem umilkł, wciąż wpatrując się w swego współpracownika. W co on, u diabła, wierzy? Ten idiotyczny wyraz oczu! Cóż jest wart? Skoro wszystko to tylko cud, miód i ultramaryna, dobroduszość, pieczone gołąbki na tamtym świecie i infantylna ufność. Dlaczego patrzy tak otwarcie i niewinnie?

— Nie rób z siebie takiego durnia! — rzucił ze złością. I natychmiast uświadomił sobie, co zrobił.

— Przepraszam, Thomas — wymamrotał, widząc, że młodzieniec zbliża się do płaczu.

Thomas zaczerpnął tchu.

— Ojcze Davidzie, niewielkie mam doświadczenie. Musisz jednak odpocząć. Pozwól, że zadzwonię do twojej rodziny.

David bezradnie kiwnął głową.

Po południu zawieziono go do hrabstwa Coos, do domu rodzinnego. Rodzice ucieszyli się, że go widzą. Mieszkali sami, jeżeli nie liczyć pomocy domowej i ogrodnika, który sypiał na farmie.

Tamtej nocy David położył się spać w pokoju, który zajmował jako dziecko i młody chłopak. Tuż po północy obudził się spocony; trząsał się jak osika. Nie wiedział dlaczego, ale ogarnęło go jakieś złe przeczucie. Wstał, szedł do kuchni i zagrzezał sobie nieco mleka. Wracając do siebie, zatrzymał się pod drzwiami pokoju Starego Edwarda. Stał tam przez chwilę, sącząc mleko i rozmyślając o tym i o owym. Dzisiaj mówi, że w jego umyśle coś się wtedy klarowało, zupełnie jak obraz na ekranie świeżo zapalonego telewizora. Potem, bez żadnego konkretnego powodu, pod wpływem jakiegoś niezrozumiałego impulsu, otworzył drzwi, zapalił światło i wszedł do środka.

Pokój niewiele się zmienił od dnia śmierci Edwarda, jedynie nad kominkiem zawisło duże zdjęcie wuja, zrobione na kilka miesięcy przed jego odejściem. David miał wrażenie, że go obserwuje. Przesiedział w tym pokoju godzinę. Potem, nadal ulegając temu samemu impulsowi, niespiesznie wrócił do sypialni, zabrał pościel i swoje drobiazgi i przeniósł się do pokoju Edwarda.

Pozostał na farmie przez niemal cztery tygodnie. Przez pierwsze dni chadzał na długie spacery i trochę pomagał przy rozmaitych pracach. Czasami mijał zagajnik na zachodnim krańcu domu, ale nigdy się tam nie zagłębił. Stał na jego skraju, zastanawiając się nad tym, a potem szedł dalej. Odwiedził kilku starych przyjaciół, większość wieczorów spędzał jednak z rodzinami.

Pod koniec pierwszego tygodnia pobytu ten dość luźny i urozmaicony program dnia uległ zmianie. David większość czasu zaczął spędzać w swoim pokoju, wychodził tylko na posiłki, rzadko też opuszczał dom. Około trzeciego tygodnia nie pokazywał się w ogóle, chyba, że musiał przejść do łazienki. Nie otwierał okiennic. Jadł niewiele, pod koniec swego pobytu na farmie odżywił się tylko mlekiem, sucharami i suszonymi owocami, które matka zostawiała na tacy pod jego drzwiami.

Zaraz po przyjeździe uprzedził rodziców, by nie przejmowali się jego dziwnym zachowaniem. Pierwszego dnia odwiedził też miejscowego księdza, ojca Josepha, który był jego dawnym uczniem. W ciągu ostatnich dziesięciu dni, jakie spędził na farmie, ksiądz ten był jedynym człowiekiem, któremu dane było odwiedzać Davida i z nim rozmawiać.

Przez te cztery tygodnie David prowadził szczegółowy dziennik, będący — wyjąwszy chwile, gdy tracił panowanie nad sobą (tych nie potrafił wiernie odtworzyć) — chronologicznym

zapisem wydarzeń: wewnętrznych doświadczeń i zewnętrznych fenomenów, ważnych dla tego kluczowego okresu.

Jonathan cały ten czas spędził w Manchester, u swojej matki.

Porównanie sposobu, w jaki David i Jonathan w owym okresie spędzali poszczególne dni i godziny, byłoby dość trudno przeprowadzić, wiele jednak wskazuje na to, że pewne stany, które przeżywał David, zbiegały się — czasem co do godziny — z dziwnymi chwilami w życiu Jonathana. Nam wszakże zależy głównie na tym, by odtworzyć przeżycia Davida, gdyż to jemu, mówiąc językiem teologii, została odebrana świadoma wiara. Oto poddano jego religijność poważnej próbie, dokonując na nią zamachu, który niemal całkiem ją unicestwił. David, umysłowo i psychicznie, znalazł się w pozycji człowieka, któremu obca jest jakakolwiek wiara. Do tego stopnia, że choć nadal uważał swe śluby kapłańskie za ważne, dopuścił do swego umysłu i uczuć jakąś formę opętania.

Obyłoby się bez walki i wielu cierpień, gdyby religijność Davida nie była tak uparcie związana z jego *wolą*. Żeby umożliwić jej przetrwanie, musiał, mówiąc obrazowo, walczyć o każdy cal z demonem, którego sam do siebie dopuścił i który dążył teraz do tego, by nim kompletnie zawładnąć. Od dawna świadomie przyswajał sobie pewne idee i przekonania. Aż do tamtego pobytu na farmie nie uświadamiał sobie jednak, że wszystkie one, pomimo pozorów „obiektywności”, mają swój wymiar moralny i odnoszą się bezpośrednio do któregoś z duchów — dobrego albo złego. Nie dostrzegł tego, że nie ma rzeczy moralnie obojętnych. Wykorzystując owe idee, przekonania i słabości, wszedł w niego jakiś duch, najzupełniej mu obcy, ale roszczący sobie prawo do pełnej władzy nad nim.

W ciągu owych czterech tygodni w hrabstwie Coos przez umysł Davida przesuwano się nieustannie i w sposób niejako zintensyfikowany, niczym plik kartkowanych fotografii, całe jego życie religijne — dzieciństwo, szkolne lata, nauka w seminarium, święcenia, studia doktoranckie, wyprawy antropologiczne, wykłady, artykuły i książki, rozmowy; kadry ciągle się zmieniały. Kiedy dochodził do końca, wszystko zaczynało się od nowa.

Migawki. Krótkie scenki. Dawno zapomniane twarze. Echa słów i zdań. Żywe wspomnienia. Każde opatrzone krótką konkluzją. Dzień, w którym powiedział siostrze Antonio, katechetce w szkole klasztornej, że Jezus nie mógłby się zmieścić w hostii. Miał wtedy osiem lat. Siostra poklepała go po głowie:

„Davidzie, nie rozrabiaj. My wiemy, co jest prawdą.” Nie dali mu wyboru ani odpowiedzi. *Żadnego wyboru. Żadnego wyboru*, powtórzyło echo.

Rozmowa z biskupem, decydująca o przyjęciu do seminarium: „Stając się kapłanem, zyskujesz prawo do duchowej doskonałości, niedostępnej dla większości chrześcijan.” Duch nie jest elitarny. *Nie elitarny. Nie elitarny*, zadźwięczało.

Mózg Davida wypełniał się echemi dawnych lat i nieprzerwanym ciągiem „fotografii”.

Przypomniał sobie chwilę, gdy się przekonał, że nie odnotowano istnienia żadnych wiarygodnych świadectw o Jezusie, pochodzących z Jego czasów. Cztery Ewangelie, Dzieje Apostolskie i listy świętego Pawła zawierają tylko to, w co wierzone i co uważano za prawdę po trzydziestu, czterdziestu i sześćdziesięciu latach od dnia Jego śmierci. I nawet jeśli tamci kronikarze wierzyli w to, co piszą, jak miał zyskać pewność, że dysponowali rzetelną wiedzą? Wiedział tylko to, co oni uważali za prawdę, i wierzył w to, w co oni wierzyli. „Nie dysponuję żadnymi świadectwami. To tylko pozory.” *Pozory. Pozory. Pozory*. To jedno słowo wybijało się ponad wir wspomnień, niczym uderzenie młota.

I kolejna migawka, kolejna zmiana, kolejny okrucieństwo. Przed jedenastu laty David udał się na pielgrzymkę do miejsc związanych z życiem i śmiercią Jezusa. Bezpośrednio potem odwiedził Rzym, całymi dniami podziwiając pomniki, bazyliki i skarbcce. Uczestniczył w mszach odprawianych w Bazylice świętego Piotra. Kiedy wracał do Ameryki, nurtowało go tylko jedno pytanie: cóż mogło łączyć tajemniczy żywot Jezusa, związany z tamtą surową, ubogą i nagą krainą, z przepychem i chwałą papieskiego Rzymu? Może zrozumiał to dopiero na farmie, ale już wtedy, gdy wracał do domu, wpadł na trop właściwej odpowiedzi: nie było tam *żadnego* związku. I znów kołatało mu się w głowie tamto stwierdzenie, przyprowadzające go teraz o ból: *żadnego związku, żadnego związku, żadnego związku*.

Przed czterema laty badał starożytny grobowiec w północno-wschodniej Turcji. Znaleźli w jego wnętrzu szczątki jakiegoś wodza, otoczone kośćmi ludzi i zwierząt, zarżniętych z okazji jego pogrzebu. Wszystko to — kości, broń, naczynia, proch i patos tej sceny — wywarło na nim ogromne wrażenie. To byli ludzie, jemu podobni. Nigdy nie słyszeli o Chrystusie. Jak można było ich winić za to, że nie wiedzieli nic o Jezusie i o chrześcijaństwie? Czyżby wszystko, co David wiedział o Chrystusie, nie miało aż tak wielkiego znaczenia? Czyżby

prawda była większa niż dogmat? Niż wszelkie koncepcje na temat Jezusa jako Boga, człowieka czy jakiegokolwiek innej formy? Na pewno tak. Inaczej, wszystko straciłoby sens. *Większa niż Jezus. Większa niż Jezus. Większa niż Jezus*. Kolejne drażniące echo.

Zaczynał już widzieć tę fatalną nić, która wiązała owe echa dawnych oporów, owe protesty zdrowego rozsądku i całą arogancję logiki obnażonej do szpiku kości. Otoczka wiary cofała się niepostrzeżenie, a jego umysł i duszę spowijała nowa szata. Sam stworzył tę nić, akceptując teorie Teilharda de Chardina. Przyjawszy je, nie mógł już godzić się na rozdzźwięk pomiędzy materialną naturą świata, a koncepcją Jezusa Zbawiciela. Materialność i boskość były jednym i tym samym: świadomość i wola, podobnie jak świat materialny, brały swój początek z czystej materii — równie automatycznie, jak kura z jajka. Boskość Jezusa wywodziła się z Jego człowieczeństwa i było to równie naturalne, jak fakt, że z żołądki wyrasta dąb, równie oczywiste, jak to, że woda płynie z prądem.

Chrystus — tak zintegrowany ze wszechświatem, tak tożsamy z jego istotą, tak totalnie fizyczny — *różnił się* od tego, którego ukazywały dogmaty religijne; był *większy*, niż przypuszczali chrześcijanie. Jezus, kobiety i mężczyźni, wszyscy byli braćmi głazów, siostrami gwiazd, istnieli na równi ze zwierzętami i roślinami. Wszystko można było objąć rozumem. Sprowadzało się do atomu i z atomu brało początek. Znalazło swoje miejsce.

Tyle, jeżeli chodzi o Teilharda, pomyślał z goryczą David.

Ze złością, której nie umiał poskromić, uświadomił sobie wpływ takiego myślenia dopiero wówczas, gdy przyszło mu samotnie walczyć o swoją duszę. Pojmowanie religii nie wiązało się już z takimi pojęciami, jak cześć i lek. Otaczający go świat widział tylko jako radosną rodzinę — choć dręczyły go też jakieś złe przeczucia. Chrystusa podziwiał jak jednego z dawnych, uwielbianych bohaterów. Mszę Świętą traktował nieco pobłaźliwie, podobnie jak uroczystości ku czci Czwartego Lipca. Ukrzyżowanie i śmierć Jezusa były jedynie chwalebnyymi wydarzeniami historycznymi, świadectwem heroicznej miłości, a nie wszechobecnym źródłem przebaczenia i nadziei na przyszłość.

Pozostając sam na sam ze swoimi myślami i wspomnieniami, David szukał nie tyle odpowiedzi na pytanie, kiedy i gdzie popełnił błąd, ale jak odzyskać silną wiarę. I kiedy tak minione

lata przesuwaly się przed nim niczym ciąg przezroczy, od lewej do prawej, regulował ostrość, studiując każdy detal.

W miarę upływu dni owe przezrocza sunęły coraz szybciej, ciągi się powtarzały. Nadal jednak mógł rozróżniać szczegóły. Poszczególne słowa komentarza ustępowały miejsca następnym. *Zadnego wyboru. Nie elitarny. Pozory. Zadnego związku. Większa niż Jezus. Bracia glazów.*

Kiedyś po północy, na początku trzeciego tygodnia swego pobytu na farmie, David odniósł wrażenie, że coś go odrywa od uważnego studiowania przemykających przezroczy lub że to one oddalają się od niego, niknąc w jakiejś ciemności, której dotąd nie zauważał. Uświadomił sobie nagle, że nie przesuwają się przed nim od lewej do prawej, horyzontalnie. Znajdował się przed wirującą kulą, umykającą gdzieś w przestrzeń. Oddalając się od niego i wciąż się obracając, ukazywała na swej gładkiej, jasno oświetlonej powierzchni wszystkie fazy jego życia.

Dobywały się z niej wszystkie odgłosy minionych lat — słowa, głosy, różnojęzyczny gwar, muzyka, płacz i śmiech. Hipnotyzowała go swym mlecznym blaskiem. Wydawało mu się, że przygląda się samemu sobie.

A jednak wciąż coś w nim szeptało cichutko: *Dlaczego ja? Skąd ten atak? Dlaczego ja? Gdzie jest Jezus? Czym jest Jezus?* wokół tej świetlistej kuli rozpościerała się niezgłębiona, aksamitna noc, o której istnieniu nie miał dotąd pojęcia.

Przyglądając się tej kuli, czuł, że w jakiś niewytłumaczalny sposób patrzy na swoją obecną naturę. Takie drobiazgi, jak otaczający go pokój, krzesło, na którym siedział, ubranie, które ocierało się o jego skórę, przestały dla niego istnieć.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, światło bijące od wirującej kuli zaczęło przygasać. Otaczająca ją ciemność znaczyła przezrocza cieniami, plamkami mroku, niweczającymi obraz rysami. To, czym był i co znał, pogrążało się w czerni. Wpadł w panikę, wiedział jednak, że nie może tego nijak powstrzymać.

Już niczemu się nie przyglądał, unosił się bezwładnie pośród mroku. Pożywką dla jego panicznego lęku i poczucia bezradności było przekonanie, że to on sam jest powodem owej kosmicznej pustki i że nie może się bez niej obejść. Gdyby nie ona, groziłby mu upadek w nicość.

W końcu wszystko, czym był, co wiedział o sobie, zniknęło. Czysta jaźń, do której go zredukowano, wisiała na niewidzialnej nici — dopóki mógł generować tę ciemność. Obok lęku pojawiła się rozpacz: oto pozbawiano go światła, szans na zbawienie i łaskę, poczucia piękna, motywacji, wiedzy o harmo-

nii świata, wszelkiego dostępu do wieczności Boga. I znów przyszło tamto pytanie: *Dlaczego ja?*

Czekał, liczył na coś, nieomal nasłuchiwał. Godzinami. Dniami. To czekanie tak go absorbowało, tak męczyło, że pojął w końcu, iż nie robi tego z własnej woli. Zostało mu narzucone przez kogoś — albo coś — z zewnątrz. A jednak, ilekroć usiłował dociec lub wyobrazić sobie, skąd się to bierze, kończyło się to fiaskiem. Jedyne, co mógł, to czekać, poddawać się czekaniu, oczekiwaniu.

Wdarł się weń smutek, od którego nie potrafił się uwolnić. Nie był już pewien siebie ani niczego, co kiedyś znał. Wszystko sprowadzało się do wyodrębnionej sytuacji, bezbarwnego szkicu, pustego schematu, przez który przenikały kłęby obcych wpływów, których nie potrafił w żaden sposób kontrolować ani zniechęcić. Był bezradny. Zasypiał wreszcie i spał, dopóki przez okno nie wlało się światło dnia.

Rankiem uświadamiał sobie, że to nie był zły sen: naprawdę odizolowano go od wszystkiego, co kiedyś przyjął w siebie i czym się stał. Musiał czekać. Przeczuwał niejasno, że to, na co czeka, cokolwiek to jest, może objawić się tylko w takich okolicznościach.

Rozmowa Davida z ojcem Josephem, która miała miejsce pod koniec trzeciego tygodnia, odsłaniała niejako sedno owych zmagañ i dobrze ukazuje stan jego umysłu na progu ostatniej fazy tej niespełna trzydziestodniowej próby. Miała miejsce podczas trzeciej wizyty ojca Josepha. Za każdym razem pytał on Davida o doświadczenia, z jakimi się mierzył, za każdym razem też opuszczał farmę, czując ogromny smutek i trudny do zniesienia ból. David ostrzegł go na samym początku:

— Ojcze, nie angażuj się w to zbyt mocno. Spotka cię tylko krzywda. I przychodź do mnie rankiem. Po południu urządzam sobie małą drzemkę. Wieczorów i nocy nie zniósłby nikt poza mną.

Tym razem, wchodząc z zalanego słońcem korytarza do pokoju Davida, ojciec Joseph musiał poświęcić chwilę na oswojenie się z półmrokiem. Przez szczeliny na obrzeżach okiennic przeciskały się jedynie wątle promyczki słońca. Zobaczył, że David siedzi w kącie przy kominku, przy niewielkim stoliku, pochylony nad swoimi zapiskami. Na blacie stała świeca: jedyne źródło światła, na jakie sobie pozwolił.

Ledwie ojciec Joseph wszedł do pokoju, egzorcysta wstał i wskazał mu fotel.

Proszę usiąść, ojcze — powiedział, unikając jego wzroku.

David nie golił się już od kilku dni. Wyglądał dość mizernie, policzki miał zapadnięte. Był bardzo blady. Ale nie to zwróciło uwagę jego gościa. Rysy Davida, jego czoło, policzki, nos, podbródek i szyja zastygły w bezruchu, jakby zahartowane przez nadmiar wewnętrznej determinacji i konieczność ciągłego stawiania oporu, które zmieniły je w elementy nic nie wyrażającej maski.

Intrygujące były zwłaszcza jego oczy. Wydawały się większe, powieki stały się cięższe, białka bielsze, a źrenice ciemniejsze niż przedtem. David musiał wiele płakać. Ale w owej chwili jego oczy były czyste, patrzyły śmiało, jakby z dystansu.

Nie uśmiechały się, nie było w nich życzliwości, ale nie były też nieżyczliwe. Nic ze strachu. Nic z bólu. Nie były też martwe. Coś wyrażały; coś kompletnie obcego ojcu Josephowi. Nigdy przedtem nie spotkał się z takim spojrzeniem. Nie umiał jego nazwać ani opisać. Patrzył w oczy kogoś, kto widział rzeczy, o jakich mu się nawet nie śniło.

Uznał, że nie należy się bawić w kurtuazję czy choćby pytać Davida, jak się miewa. Siedzieli w milczeniu, dobrze się rozumiejąc.

Z zewnątrz docierały pojedyncze, ciche odgłosy: warkot ciężarówki na pobliskiej drodze, świergot ptaków, ujadanie psa na jakiejś odległej farmie.

— Sądzę, ojcie Joe, że właściwy atak jeszcze nie nastąpił — powiedział powoli David, wiedząc, że to odpowiedź na nurtującą jego gościa kwestię. I zaraz dodał, uprzedzając następne pytanie: — Tak, będę wiedział, gdyż tamci również się wtedy pojawiają.

Obaj na to czekali. Gość Davida wiedział z poprzednich rozmów, kim są „tamci”. Egzorcysta był przekonany, że zwolnić z tej próby mogą go tylko duchy z Salem, o których wspominał na łożu śmierci Stary Edward. Jego też David w jakiś sposób z nimi kojarzył.

— Dotąd było to złe, ale do zniesienia — powiedział nagle.

Ojciec Joseph przyjrzał mu się dyskretnie: David, opuściwszy powieki, wpatrywał się w stolik. Kapłan odwrócił wzrok; był zakłopotany, sam nie wiedział dlaczego. Głos Davida był niski, bardzo niski, wydawało się, że artykułowanie słów okupione jest potężnym wysiłkiem.

— Nie — kontynuował egzorcysta, odpowiadając na kolejne bezgłośnie pytanie Josepha. — Nic nie możesz zrobić. Muszę zwalczyć to sam. Módl się. To wszystko. Módl się. Dużo. Módl się za mnie.

I znów zapadła długa cisza. Ale Joseph wiedział już, że to milczenie wypełnione jest po brzegi treściami, które trudno byłoby mu ubrać w słowa. Nie umiał określić, jak przebiegała ta bezgłośnie rozmowa i czego konkretnie dotyczyła. Był prostym człowiekiem, obce mu były wyrafinowane koncepcje i wielopłaszczyznowość życia duchowego. Nie rościł sobie pretensji do pseudointelektualizmu. Wiedział, że ta rozmowa dotyczy spraw subtelnych i intymnych, niedostępnych dla mowy; że słowa są tu zbędne. Porozumiewali się na innym szczeblu. Wolał jednak nie dociekać, na jakim. Czuł, że gdyby bliżej zapoznał się z tą formą kontaktu, zatraciłby zdolność porozumiewania się przy pomocy słów. Stałyby się one topornymi, prymitywnymi dźwiękami, grubiańskimi, niewygodnymi i pozbawionymi znaczenia. David i Joseph doszli już za tę cienką granicę, dzielącą język od znaczenia, czyste znaczenie otuliło ich obu niczym obłok.

Ojciec Joseph został z Davidem aż do chwili, gdy poczuł, że ma odejść. Niespiesznie zaczął zbierać się do wyjścia.

— Odpraw mszę za nich. — powiedział David. — Potrzebują modlitw. Ja ich zawiodłem. Teraz ja ich potrzebuje, ich modlitw i tego, by mi przebaczyli.

Joseph popatrzył na niego, zaintrygowany, ale powstrzymał cisnące mu się na usta pytanie. Pojął, że David już wszedł w kontakt z „nimi”.

Większą część kolejnego, czwartego tygodnia, zarówno w dzień, jak i w nocy, David spędził na krześle, przy oknie. Mniej więcej na dzień przed ostatecznym pojedynkiem opadła go jakaś dziwna cisza. Nie napawała go lekkiem, nie było w niej nic złowieszczonego. Zagarnęła go jednak tak doszczętnie, eliminując wszelki ruch myśli, emocji i wspomnień, że wywołane przez nią zwątpienie i niepewność rozrosły się tak mocno, iż oczekiwanie zaczęło sprawiać mu ból.

Ale nawet najdłuższe oczekiwanie nie mogłoby go przygotować na cierpienie związane z przybyciem owych „gości”.

Pierwszy znak ich obecności otrzymał któreś nocy, około dwudziestej trzeciej. Przez cały dzień wokół farmy szalała burza. Ojciec Joseph musiał więc zrezygnować z planowanej, cotygodniowej wizyty. David spędził ten czas przy oknie, kontemplując ulewę i błyskawice. Wieczorem burza oddaliła się, pozostawiając po sobie huk odległych grzmotów i sporadyczne nawroty rzęśstego deszczu.

David odczuwał zmęczenie, jakie ogarniało całą okolice, udręczoną, okaleczoną i stłamszoną przez wichę, gromy i ule-

wę. Natura zazwyczaj szybko otrząsała się z tego stanu i wracała do swych nocnych działań, kumulując energię, oddychając, przecząc się, pulsując, nabierając sił i wyglądając słońca oraz nowego dnia.

Czekał, aż pobliskie pola ożyją i zaczną szeleścić. Ale tego wieczoru świadcząca o zmęczeniu cisza przedłużała się. Władczą ręką zatrzymała naturalny cykl, otwierając drogę dla specjalnych gości. David wszystkie te zmiany odbierał jedynie jako dopełnienie swego własnego nastroju.

Nadal szczególnie ostro i wyraźnie odczuwał ten puls oczekiwania, czekania na coś, coraz intensywniej reagujący na przedłużającą się ciszę. Raz jeszcze zawisł w smolistej próżni. Raz jeszcze oczekiwanie wydało mu się sednem jego natury, jedyną racją jego bytu. „Dopóki będę zdolny czekać...”, pomyślał ponuro. Czekać, wyteżać słuch i wzrok.

W jakąś godzinę później dotarł do niego dość intrygujący dźwięk.

Kiedy usłyszał go po raz pierwszy, nie zwrócił na niego uwagi. Dźwięk był tak cichy, że wziął go za pulsowanie napływającej do uszu krwi. Po kilku sekundach jednak zaczął się weni wsłuchiwać. Nawet najdrobniejsza zmiana natężenia sprawiała, że sztywniał.

Nie umiał go nazwać. Równocześnie, co w pewien sposób wiązało się z tym dźwiękiem, świadomość Davida musnęły jakieś skrawki wspomnień, drażniące, potęgujące napięcie. Wracała mu pamięć. Okruchy, ostre szczątki potłuczonych luster, w których odbijały się cienie czyjegoś życia. Nie potrafił jednak określić, co to było.

Odkrył, że próbując sobie to przypomnieć, blokuje swoją pamięć, a próbując myśleć, pozbawia się dostępu do wiedzy. W pewnym momencie dźwięk kompletnie ucichł. David nagle pozostał sam. I poczuł, że wali się na krzesło. Wszystko więc wskazywało na to, że podniósł się uprzednio, wyteżając słuch. Dłonie i czoło miał wilgotne. A łaknienie wiedzy budziło w nim bezbrzeżny smutek.

I wówczas znów rozległ się ten dźwięk. David uświadomił sobie, że nie potrafi określić kierunku, z którego dochodzi. Nie spoza domu. I nie z domu. Nie umiał też powiedzieć, czy nie dochodzi ze wszystkich kierunków jednocześnie. Odniósł absurdalne wrażenie, że ów odgłos, w pewnym sensie, był z nim zawsze związany. Zawsze go słyszał, ale nigdy się weni nie wsłuchiwał, a nawet nie przyjmował do wiadomości jego istnienia.

Skierował głowę w prawo, potem w lewo. Odwrócił się do tyłu, nasłuchując, czy nie dobiega z głębi pokoju. I nagle przeżył szok: zrozumiał, dlaczego wydaje mu się, iż nie potrafi wskazać jego źródła. Pierwszy raz w życiu słuchał czegoś, co docierało do jego mózgu i umysłu bez pośrednictwa czynników zewnętrznych — bez fal akustycznych, bez określonego, niezależnego źródła, bez udziału jego bębenków. Ale, bez wątpienia, był to dźwięk rzeczywisty, choć niedostępny dla uszu.

Zaskakująca odmienność tej nowej formy słuchu miała w sobie coś tajemniczego, a zarazem nader rzeczywistego. Ów dźwięk był realniejszy niż wszystko, co zdarzyło mu się dotąd słyszeć. Burzył nocną ciszę i jego czuwanie skuteczniej niż oddana tuż pod oknem salwa. Niezwykle przyjemny, bo tak tajemniczy. Niosący ulgę, gdyż niweczył otaczającą Davida ciszę w sposób jak najbardziej intymny. Absorbujący, gdyż nie dobywał się z żadnego źródła, a jednak angażował cały zmysł słuchu. Ale i zatrważający, gdyż nie było w nim nic z czułości.

Niósł w sobie prawdziwe objawienie. David zrozumiał teraz, że pewne prawdy na temat zjawisk materialnych — w tym przypadku, dźwięków — można poznać jedynie bez pośrednictwa zmysłów. Jednakże, ilekroć jakiś zabłąkany głos — krzyk nocnego ptaka lub pohukiwanie sowy — atakował jego słuch w normalny sposób, znów budził się w nim lęk i nieufność wobec tego odkrycia. Te nowe, niesamowite, natarczywe dźwięki zdawały się należeć do najczystszej *substancji* wrażeń akustycznych, wsłuchiwanie się w nie było jedynym prawdziwym słuchaniem. Odgłosy nocy — nawet szuranie jego stóp o podłogę — należały do ulotnego świata, sztucznego, nierzeczywistego, skonstruowanego jedynie z zewnętrznych bodźców i jego własnych reakcji.

Gwar owych „wewnętrznych” dźwięków narastał, a „sztuczny” świat — ten, z jakim stykał się na codzień — jawił mu się jako krucha altanka o dziurawych ścianach albo luźno powiązana siatka. Przez niezliczone szczeliny wdzierala się huczająca, bezwzględna i zachłanna, nowa rzeczywistość.

David zaczynał już po trosze rozumieć, na czym polega opętanie, poddawał się temu gwarowi. Nie mógł się od niego uwolnić, odrzucić go, zbadać i zanalizować, zdecydować, czy go akceptuje, czy też nie. Owe dźwięki nie pozostawiały mu miejsca na refleksję lub negację, nie domagały się aprobaty, nie dawały rozkoszy ani bólu, nie budziły niesmaku ani zachwyty. Były neutralne. I dlatego groźne. Tą samą obojętnością wobec osądów i gustów, bardziej wyjąławiającą niż arktyczny wiatr,

zaczynały zarażać jego umysł i wolę. Wszystko, co jego pamięć wiązała z tymi dźwiękami — piękno, harmonia i sens — obumierało. Czuł to aż nadto wyraźnie. Wiedział, do czego to prowadzi.

— Mój Boże! Jezul — krzyknął w duchu. — Mój Boże! Jeśli moje wszystkie zmysły — wzrok, słuch, węch, smak i dotyk — ulegną takiej inwazji, będę opętany. Będę opętany! Jezul Będę opętany.

Próbował głośno wezwać Jezusa, wykrzyknąć *Zdrowaś Mario* lub *Ojczy Nasz*, jakąś modlitwę, którą znał i odmawiał tysiące razy w ciągu roku, od trzydziestu pięciu albo czterdziestu lat. Ale nie słyszał nawet swego głosu. Był pewien, że słowa opuszczają jego wargi. Niestety, coś już zawładnęło jego słuchem.

Gwar narastał — stopniowo, bardzo powoli, lecz nieubłaganie. David wspomina dzisiaj, że ów odgłos nie miał w sobie nic rytmicznego. Było to połączenie tysięcy drobnych dźwięków, prawdziwy bełkot. Narastało, zbliżało się do niego. Te niezliczone, drobne dźwięki splatały się w dwie lub trzy sylaby, których nie potrafił jeszcze wychwycić. Stawały się coraz głośniejsze, a jednocześnie zlewały się tak powoli, a dzielące je pauzy tak bardzo się przedłużały, że umysł i ciało Davida musiały znosić kolejne uderki. Wiązało się to z owym czekaniem, oczekiwaniem na coś, przewidywaniem tego, co ma nadejść — lęk przenikał cały organizm, powodując nieznośny ból. Ale gdzieś w głębi broniła się jeszcze silna, nieugięta dusza.

W miarę jak zlewające się głosy przyjmowały wspólny kształt i rytm, owe sylaby coraz bardziej się wybijały. Całe ciało Davida poddało się temu rytmowi: kołysało się, stopy uderzały o podłogę, ręka o kolano, ramiona i głowa wychylały się gwałtownie do tyłu i do przodu. Nie mógł jeszcze rozróżnić tych sylab, ale rytmiczne bicie angażowało wszystkie partie jego ciała. Usta, chwilami, podejmowały owe zgłoski. Głosy wciąż przybierały na sile. Tysiące głosów. Wiele tysięcy. Coraz więcej.

Wargi już pewniej naśladowały owe dźwięki, dołączając się do tego, coraz głośniejszego, zgrzytliwego chóru. Napięcie narastało. David poruszał się coraz szybciej. Głosy odbierał już jako ryk. Jego własny głos również podchwycił te sylaby.

Pan Pewniak... Pan Pewniak... Pan Pewniak... Pan Pewniak...

Przez jego mózg i duszę maszerowała teraz cała armia głosów, krzycząc, wrzeszcząc, zgrzytając, skrzecząc, powtarzając ostatnie zgłoski: *Pew—niak! Pew—niak!*. David poczuł, że za-

czyna się przeistaczać w rozedrgany sznur napiętych mięśni, targanych tym obłąkańczym dźwiękiem.

Kiedy hałas osiągnął crescendo, David zrezygnował z walki, poddał się, czekając, aż nastąpi kompletna dezintegracja. I wówczas wyróżnił w tym loskocie jakiś nowy, całkowicie odmienny ton. Odzyskał grunt, już nie kapitulował. Odżyło w nim coś jeszcze nie splugawionego.

Ten nowy dźwięk był czysty, poniekąd przypominał bicie dzwonu, David wiedział jednak, że to nie szczęk metalu. Wiedział też, że ów ton nie ucichnie, mimo iż wybił już pełną godzinę. Więcej w tym było śpiewu, niż dźwięku dzwonów. Śpiewu budzącego nadzieję na trwałość, krzepiącego, nieustającego. To był odgłos życia. Miał w sobie urzekające piękno dźwięcznej, melodyjnej mowy bez słów, rozchodzącej się w najczystszy powietrze, a zarazem płynność i ciepło spełnionej miłości.

Im bardziej serce Davida wrywało się ku tej nowej pieśni, tym większy wstręt budził w nim tamten prostacki zaśpiew: *Pan Pewniak! Pan Pewniak! Pan Pewniak!* Ale nadal nie mógł się uwolnić spod wpływu tamtej agresywnej i kuszącej mocy. I tak tworzyła się pustka, otchłań, przepaść nie do przebycia, której ścianami były dźwięki, a dnem — najczystszy ból. Część umysłu Davida, zagłuszana hukami i rozdygotana, pogrążyła się w depresji; wola kulila się z obrzydzenia. Drugą część przepelniał spokój i poczucie bezpiecznej wolności; była ufna, uodporniona na ciemność. „*Pomiędzy nami a tobą istnieje wielka przepaść... ci, którzy chcieliby przez nią przejść, nie mogą.*” Chaotyczne zdania, błakające się w pamięci Davida, naładowane były przerażeniem.

I tamten dźwięk, ciągle tamten dźwięk. Straszliwy, donośny, przykry, chrapliwy, owijający się wokół niego, ogłuszający go i dławiący swoimi splotami. I ta druga nuta, świeża i odległa, dochodząca z wysoka, z jakiejś krainy słońca i spokoju, leżąca poza jego zasięgiem; przeciwna tamtej, przyjazna, pełna tak niewyobrażalnej słodyczy, że po twarzy Davida spływały teraz łzy tęsknoty.

W pewnym momencie to wtapianie się w przeciwne sobie, sprzeczne echa przybrało na sile, dostarczając nowych doznań. Walka objęła także inne zmysły i ich zewnętrzną powłokę. W miarę jak ten konflikt narastał, przenikając go całego, źródła lęku i pożądania, odrzy i fascynacji wzbierały, aż ogarnęły cierpieniem wszystkie zmysły.

Upadł na kolana, przyciskając czoło do zimnej szyby; ręce splótł do modlitwy, otwarte szeroko oczy wpatrywały się

w noc, nie widząc jednak innej pary oczu, obserwującej go z zewnątrz. Przez kilka nie kończących się minut to burzliwe zmaganie dobra ze złem — nieodłączna, gwałtowna cząstka człowieczego świata — koncentrowało się na owej klęczącej sylwetce, totalnie ją pochłaniając.

Nagle stwierdził, że pływa w niczym nie zmaconym jeziorze, pośród urzekających dolin, pokrytych zielonymi lasami i kobiercami dzikich kwiatów. Przed sobą miał błękitne niebo, lekko spątynowane przez wschodzące słońce. Tuż potem, równie niespodziewanie, poniósł go jakiś górski potok, spadający z wysokiej przełęczy, nie dotkniętej nigdy słonecznym blaskiem. Wydawało się, że nic nie zdoła go uchronić przed utonięciem lub roztrzaskaniem się na ostrych, jak zęby rekina, skałach i szkaradnych głazach. Jego ciało mknęło przez kaskady i progi ściśnięte pomiędzy gigantycznymi murami stromych gór, poznaczonych wąskimi rozpadlinami, niebezpiecznie nachylających się nad nurtem. Przez cały czas ścigał go tupot Pana Pewniaka i wabiły wesołe tony tej drugiej, płynącej z góry melodii.

Te zderzające się ze sobą, chaotyczne obrazy coraz szybciej ustępowały miejsca następnym. Wtłoczono go do fotoplastykonu, gdzie przedstawiano na przemian grozę i oddech ulgi, piękno i bestialstwo, życie i śmierć. Nie było w tym żadnego porządku, rytmu ani sensu. Raz oglądał delikatne, odziane w jedwab sylwetki, tańczące na zielonej platformie. Potem, w mgnieniu oka, znalazł się wśród wypatroszonych trupów; widział rozplatanе brzuchy, wnętrzności wylewające się na uda i kolana, zwłoki rozcięte od stóp do głów, ucięte piersi, palce i włosy, wylupione oczy. W moment później pojawiły się kiście ciężkich, dojrzałych owoców, ułożone w stosy pomiędzy drzewami oraz podawane na wymoszczonych hiszpańskim mchem tacach podczas wspaniałej uczty. W owym obląkańczym kalejdoskopie, który na te kilka straszliwych chwil stał się światem Davida, ukazały się ciężkie zbiorniki, z których, przez niezliczone otwory, tryskały strugi moczu, prosto w rozwarte oczy i usta umarłych, tysiacy umarłych, mężczyzn, kobiet, dzieci, płodów, rzuconych bezładnie na kamienistą równinę.

Oglądając tę lawinę oszalamiających i przerażających obrazów, czuł, że traci panowanie nad sobą. Był pewien tylko jednego: dwie siły walczyły o niego, a on nie był w stanie uchronić przed nimi swoich zmysłów. Nie mógł się odciąć ani od brudu, ani od piękna. Przez całe dotychczasowe życie potrafił nad sobą panować. Teraz to przepadło. Inwazja trwała nadal.

Chaos dotarł już do jego smaku i węchu; wdierał się we wszystkie zmysły i w te cząstki jego istoty, które karmiły się doznaniem zmysłowymi. Gorycz i słodycz, ostre i łagodne, kloaka i perfumy, klucie i pieszczota, zwierzęce i ludzkie, jadalne i niejadalne, wymioty i smakołyki, szorstkie i gładkie, obłe i spiczaste, szok i ukojenie, oszołomienie i ochłonięcie, bolesne i przyjemne — kontrasty drażniły wszystkie kubki smakowe i nerwy w jego ustach, gardle, nosie i żołądku.

Wpadł niemal w histerię, kiedy zaatakowano zmysł dotyku: każdy centymetr jego skóry ocierał się o chropowate łuski albo miękki aksamit, znosił dotknięcia rozżarzonych szpikulców i lodowatych sopli, był masowany przez łagodne ciepło i delikatne gąbki.

Każde nowe doznanie dodawało do tej mozaiki kolejny element absurdu, chaosu, przypadkowości i bezradności, potęgując szalejącą w jego zmysłach burzę.

Ale mimo iż przestał już nad sobą panować, jego umysł i wola wciąż szukały odpowiedzi na najważniejsze pytania. Dlaczego nie mogę się bronić? Co mam zrobić, żeby to odrzucić? Czym mam się kierować, żeby się tego wszystkiego pozbyć? Co ja robię? Rozumiał doskonale, że jego czas jeszcze nie nadszedł, że nie wszystko było stracone; że gdzieś w nim kryje się jeszcze jakaś zdrowa i aktywna cząstka. Przez cały czas trzymał się jednego: im bardziej się wszystko zmieniało, im mocniej zaciskały się owe kleszcze, im bardziej paraliżowały go zgroza i ból — tym piękniejsza i radośniejsza była dochodząca z góry pieśń.

Te urzekające dźwięki nadal rozbrzmiewały na niewyobrażalnych, niedostępnych dla niego wyżynach. Ale zarazem, czego nie mógł pojąć, były tuż obok niego. Zaczął walczyć o to, by je lepiej usłyszeć, by móc ich słuchać. To nie był jednolity, jednorodny śpiew. Słyszał wiele głosów, fascynujące związki akordów łączące się harmonijnie z ciągami strzelistych nut, tchnące jakąś niewysłowioną radością. Adagio, poważne, a zarazem przepojone szczęściem. Donośne i niosące pokój. Miało w sobie jednocześnie wszystkie cechy miłości — pobudliwość, tajemniczość i intymność — zbudowane było na równomiernym, organicznym pulsowaniu, sięgającym głębiej niż do serca wszechświata i docierającym do wyżyn wiecznego spokoju, kojarzonego od wieków z niezmiennością Boga.

W pewnym momencie, pomimo tego całego łoskotu i bólu, Davidowi zabiło serce. Miał wreszcie swoją chwilę ulgi i ukojenia, tuż przed ostatecznym starciem. Nie było w tym nic ze zwodniczego uspienia, które czasami ogarnia kapłanów pod-

czas konwencjonalnych egzorcyzmów. Słyszał pieśń, którą skądś znał, śpiewaną przez głosy, które również znał. I choć nie mógł skojarzyć tego, co to za pieśń i kto ją śpiewa, pojął, że nie jest sam. Złapał się na tym, że szepcze:

— Jezu! Nie jestem sam. Nie jestem sam!

Zaczął rozróżniać poszczególne głosy. Znał je! Znał je! Nie potrafił ich nikomu przypisać, ale je znał! Należały do przyjaciół. Jakich? Skąd? Kim oni są? Uświadomił sobie, że zna ich od lat. Ale kto to? A kiedy to nowe doznanie przeniknęło w głębię jego zmysłów i starło się z osamotnieniem, ta szalona huśtawka zaczęła ogarniać także jego umysł, wolę i wyobraźnię. Zaczął coś bełkotać, powtarzać jakieś strzępy zdań, których początkowo sam nie mógł zrozumieć. Miał wrażenie, że te słowa zawdzięcza jakiemuś utajonemu talentowi, którym się zawsze posługiwał, nie uświadamiając sobie jego istnienia, jakiemuś źródłu wiedzy, którą zawsze negował jako człowiek dorosły i rasowy intelektualista.

— Mój chór z Salem... moi kochani... — Jakaś siła wyzwalała zeń te słowa; jego własna siła. — Moi przyjaciele... Przyjaciele Edwarda... Zbliżcie się... Przebaczenie mi...

Ledwie sięgnął pamięcią do ostatnich dni Starego Edwarda i dawnej wycieczki do Salem, coś zaczęło się krystalizować. W samą porę. Właśnie zbliżało się starcie, które miało się stać ostatnią fazą tej straszliwej próby.

Momentalnie wpadł w panikę: poczuł nagle, że wszystko wymyka mu się z rąk i że nie znajduje żadnych sensownych powodów, by opierać się wrzaskliwej, agresywnej ingerencji Pana Pewniaka. Jego umysł znów zdawał się być jedynie odbiornikiem. Jego wola — wola, na której zawsze polegał, zarówno podczas studiów, jak i przy każdej istotnej decyzji — ponownie znalazła się w siłach, niezdolna, jak mu się zdawało, powieść go do zwycięstwa.

Ogarniało go coraz większe przerażenie; w głowie panował chaos, a wolę zawłaszczwały, krępowały i paraliżowały sprzeczne, neutralizujące ją motywacje. W jego umysł i ducha wsączał się jakiś jad.

Coś w jego wnętrzu, bez ładu i składu, dowodziło wrzaskiem i piskiem swoich racji. Pan Pewniak wibrował i potwornie zgrzytał. *Hoc est corpus meum... Hokus pokus, oto Jezus, ukrzyżowany osioł... Ludzie winni dążyć do dobra i prawdy... Jak rozkosznie i po ludzku jest próbować tego, co najbardziej nieludzkie... Jezus, Maria i... Szatanie, diabły to potrafią pieprzyć, pieprzyć... Tobie powierzam moje serce i... Bóg nie dopuści zła... Dobro jest równie*

*banalne jak zło, próbowałem obydwu... Pragnę zbawienia przez Krzyż... i mam nadzieję posmakować wolności bluźnierstwa... Kocham... Nienawidzę... Wierzę... Nie wierzę... Stworzył Jezusa ze szlamu... i powiedział, oto jest mój Syn umiłowany, w którym mam upodobanie. Wola Davida drętwiała z bólu i wyczerpania. Ten sam jazgot atakował przez cały czas zmysły Davida, pogrążając je w krainie chaosu i nieopisanego kretyństwa, aż jego dotyk, węch i słuch powtarzały zgodnie: *Dobro jest zbyt dobre, żeby było prawdziwe... Zło jest zbyt złe, żeby nie było prawdziwe... Co jest prawdziwe?**

Zdawało mu się, że nie ma już żadnego wyjścia, żadnej drogi ucieczki, żadnej alternatywy, żadnego czynnika determinującego, żadnego decydującego argumentu. Przepadły. Wszystko przepadło. Wszystko, czego się David nauczył, wszystkie drogi i ścieżki poznania rozumowego, subtelności psychologii, dowody teologiczne, logika filozoficzna, fakty historyczne — wszystko to, jak wiele innych rzeczy, było jedynie nabytkiem, śmieciem, który sobie przyswoił, rzucanym teraz w płomienie zbliżające się do progu jego najgłębszej natury. Wszystko, co ciskał w ów ogień, paliło się, topiło, marniało, było tylko paliwem, nie mogło przeciwstawić się płomieniom.

Umysł Davida już niemal całkiem zasnuły czarne chmury, kiedy uświadomił sobie, że coś jednak pozostało nietknięte. Coś, co oparło się czerni i chmurom. Coś, co dźwigało się w nim, silne i niezależne, za każdym razem, gdy tamta niezwykła, natarczywa pieśń przebijała przez zgiełk, zagarniając go. Początkowo, niemal nie zwracał na nią uwagi. Potem zdumiała go jej siła, nie siła głosu, gdyż ten nie zawsze był słyszalny, ale uporczywość, z jaką wdzierала się w środek jego cierpienia i coraz większej rozpacz. Spróbował skupić się na niej i na sile, która w nim wzbierała, odpowiadając na wezwanie, ale zaraz stracił z nią kontakt. A wówczas, znów zniemacka, wybuchło kolejne starcie i na nim musiał się skoncentrować. Pieśń usłyszał ponownie dopiero wtedy, gdy odnalazł w sobie nowe pokłady owej dziwnej, autonomicznej siły.

Z miejsca pojął, co to za siła. To była jego wola. Jego autonomiczna wola. Był wszak istotą obdarzoną możliwością wolnego wyboru.

Zerknąwszy kosym okiem na to, co dzieje się w jego umyśle, pożegnał się raz na zawsze z całym bagażem iluzji, motywacji psychicznych, stymulacji behawioralnych, racjonalizmu, barier myślowych, etyki opisowej, zobowiązań społecznych i powszechnych sloganów. Wszystko to zmieniło się w żużel,

pożarte i unicestwione przez żar, który i jego jeszcze mógł pochłonać.

Pozostała mu tylko wola. Mógł liczyć jedynie na prawo do swobodnego wyboru. Zdecydować się na związane z tym wyborem udreki.

— Mój chórze z Salem! — powiedział, nie całkiem zdając sobie z tego sprawę. — Moi przyjaciele! Módlcie się za mnie! Wstawcie się za mną u Jezusa. Módlcie się za mnie. Stoję przed wyborem.

Przeżywał teraz szczególne męczarnie. Nigdy przedtem nie doznawał czegoś takiego. Później wielokrotnie zadawał sobie pytanie, ile razy, w okresie poprzedzającym ową noc, przyszło mu dokonywać prawdziwie wolnego wyboru. To bowiem było źródłem owych męczarni: wolny — totalnie wolny — wybór. Wybór sam w sobie. Wolny od zewnętrznych wpływów. Nie stymulowany żadnymi zapisami w jego pamięci. Ani nabytymi gustami i przekonaniem. Wybór, podczas którego nie będzie się kierował żadnymi konkretnymi powodami czy motywacjami. Nieistotne było tu pragnienie życia czy też śmierci — w owej chwili było mu to obojętne. David stał się, w pewnym sensie, owym osłem, którego średniowieczni filozofowie wyobrażali sobie jako bezradne, sparaliżowane własną niemocą zwierzę, stojące w obliczu śmierci głodowej, gdyż nie potrafiło wybrać, z którego żłobu ma jeść. Totalnie wolny wybór.

Rytmiczny tupot Pana Pewniaka pełnił teraz rolę groteskowego akompaniamentu dla tej chorej, przesyconej złem farsy. Przed oczyma wyobraźni Davida zamajaczył nagle ohydny pysk satyra i ogromne cielsko — tak rzeczywiste, jakby naprawdę przed nim stało. Nagie. Sprośnie rozwalone. Baniaste. Krzywonose. Dwoje zmrużonych ślepi, zerkających w przeciwne strony. Krzywa, wyszczerzona, ociekająca pianą gęba. Gardziel, z której dobywał się obłąkańczy rechot. Ciężkie, kobiece piersi, pokryte kurzajkami, o krwistoczerwonych sutkach, sterczących niczym dwa bliźniacze członki. Rozchylone nogi, po których ściekały strużki krwi i spermy. Wygięte palce jednej ze stóp, trące z zapalem krocze. Sękate, niepodobne do siebie paluchy o połamanych paznokciach, poruszające się niezgrabnie i sięgające ku grubym kłakom. Pośladki pokryte zaschniętym kałem.

David poczuł smród obory i szaletów. Przypomniał sobie demony dawnych Greków i Afrykę. Czuł najstarszą fascynację z tych, jakie odnotowano w dziejach człowieczego serca. Czuł, że przyjmuje w siebie pradawne nasienie zła, nie tyle jako materialny dar wielkiej wagi, ale jako konsekwencję tego, iż

wywodzi się z długiej linii nosicieli tego i, w pewnym sensie, kumuluje w sobie zło tych wszystkich generacji. Nie złe odruchy. Nie złe czyny. Nie złe odzuchy. Nie winę czy też wstyd. Nic pozytywnego. Raczej jakiś brak, jakąś fatalną skazę. Zabójczą skazę. Gotowość do zniechęcenia siebie samego, do targnięcia się na własne życie, nie dlatego, iż odmówiono mu wiecznego życia, ale dlatego, iż byłby do tego zdolny, gdyby... To „gdyby”, zwodnicze dla śmiertelnika, który ma nieskończone aspiracje, nie mając szans na wieczność. Łacińskie *fomes peccati*. Hebrajskie *yetzer ha—ra*. „Tak jak Bóg, będziecie znali dobro i zło”, powiedział Wąż, nie dodał jednak: „ale zdani na siebie, będziecie zdolni tylko do czynienia zła”.

David musiał dokonać wyboru. Przyjąć to albo odrzucić. Proponowano mu krok w ciemność. Dobiegająca z wyżyn pieśń ucichła. Tupot Pana Pewniaka również. Wszystko zdawało się czekać na decyzję Davida. Jego własną. Tylko jego.

Nawet uchylenie się od tego wyboru oznaczało decyzję. Byłoby ucieczką w cynizm, stwierdzeniem: „nic mnie to nie obchodzi”, odrzuceniem prośby o zaufanie, wybraniem samotnej egzystencji, po prostu egzystencji.

Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że powinien się odwrócić i poszukać pociechy w złu — znalazłby się przynajmniej pod jakąś wymierną kontrolą i poddałby się czemuś, co korespondowało z jednym z jego najbardziej utajonych pragnień. Ale to trwało tylko moment, gdyż spoza owego muru decyzji doleciał do niego — tak mu się zdawało — donośny krzyk, ale nie głos protestu, hysterii, rozpacz, raczej krzyk duszy skrajnie udręczonej przez ból, niesławę i osamotnienie. Usłyszał kilka różnych wezwań: „Ojczy, Abba!”, „Matko, zobacz!”, „Panie, pamiętaj o mnie!”, „Pod tym znakiem...”

David, mimo iż dręczony własnymi lękami, nie potrzebował niczego więcej, by przebyć ten mur. Znów zaczął formułować słowa, otwierać usta, artykułować zdania, których nie słyszał.

I nagle wpadł w panikę. A jeśli to tylko ułuda, jakaś drwina? Owa panika rozpętała w jego mózgu prawdziwe pandemonium. Ale nie mogło ono już sprostać tej gwałtownej potrzebie mówienia, zamiany słów w dźwięki. Nawet, gdyby miało mu to odebrać ostatnie siły, kosztować go życie, będzie musiał przemówić. Jego dążenia niewiele będą miały wspólnego z rzeczywistością, jeśli tego nie zrobi... jeśli tego nie zrobi.

Wciąż znosząc katusze, wciąż klęcząc i wpatrując się w okno, David tak bardzo dał się pochłonać owemu ostatniemu wysił-

kowi, że nie dostrzegł stojącej na zewnątrz sylwetki. Ojciec Joseph przeczekał w domu burzę, po czym wyruszył na farmę. Jedyne światło, jakie tam dostrzegł, dochodziło z okna Davida. Stał więc na zewnątrz, zastanawiając się, co też dzieje się z przebywającym w owym pokoju przyjacielem.

— Pomóż mu, Matko Jezusa. W imię Jezusa, poproś o pomoc dla niego, błagam cię.

Widział poruszające się bezgłośnie wargi Davida i rozszerzone, niewidzące oczy, wpatrzone gdzieś w noc.

Miał już zastukać w okno albo zbudzić pozostałych domowników, jednakże usłyszał słowa Davida, początkowo trochę nieskładne, potem już zdecydowane, stapiające się w jeden ciąg i wibrujące.

— Wybieram... Będę... Wierzę... Pomóż mojej niewierze... Jezu!... Ja wierzę, wierzę, wierzę.

Joseph nie był w stanie się ruszyć; wciąż słuchał. Mógł jedynie widzieć twarz Davida i słuchać jego głosu. Nie mógł wejść w jego świadomość, gdzie znów rozległy się obie pieśni, sięgające w najgłębsze zakamarki duszy.

Ale David już inaczej odbierał to wszystko. Dokonał wyboru i natychmiast poznał skutki swej decyzji. Odkrył, że wiara nie niesie w sobie destrukcji, bezradności i dziecięcych słabości i wbrew temu, co głosił Pan Pewniak, nie jest też pełnym sparaliżowaniem umysłu i woli. Wprost przeciwnie, jego umysł, wola i wyobraźnia spotkały się z nowym, ogromnym i zapierającym dech w piersiach wymiarem, z wielką, kojącą przestrzenią.

Horyzonty życia i egzystencji ogarnęła tak cudowna jasność, że tamte mroczne katusze wydały mu się jedynie niewielkim sprawdzianem. Miał przed sobą ogromne połacie spokojnego, błękitnego nieba, skąpane we wspaniałym słonecznym blasku.

Wszystkie skale, miary i osiągnięcia jego życia ukazywały mu się teraz w pełni wdzięku i krasy, jaką dać może tylko wolność, owa wolność, którą zawsze bał się utracić, choć nigdy nie był pewien, że ma ją w sobie. Wszystkie stoki, na jakie wspinał się jako chłopiec — pierwsze próby myślenia, czucia, osądzania, wyrażania siebie — porosły teraz wysokimi, niebywale wonnymi kwiatami, przypominającymi fiołki, dzwonki i orliki. Wszystkie szpary i dolki, przez które się przewracał, rozwijając swój intelekt na uniwersytecie, wypełniała teraz wspaniała, zielona trawa.

Ale najbardziej zdumiewało go to nowe niebo, ten świeży horyzont. Przez całe lata widział niebo jako żelazną kratę —

wysyłał tam sporadyczne błagania, które przeciskały się przez jej otwory. Ale horyzont był jedynie wysokim, niedostępnym ogrodzeniem ze stalowej siatki, otulonym mgłą niewiedzy i agnostycyzmu: takimi hasłami, jak nadużywane przez pseudo-intelektualistów „dokładnie nie wiemy” albo „bądźmy otwarci na wszystko” — stały wstęp do wszystkich sporów o wiarę.

Kiedy podjął decyzję, niebo stało się nagle nieskalanym, głębokim i rozległym bezmiarem. Widnokrąg był teraz ogromnym, rozszerzającym się w nieskończoność kręgiem, nie znającym przeszkód, ograniczeń, niczym nie splamionym. David widział siebie wyniesionego na niewyobrażalne wyżyny, uwolnionego z więzów; znajdował się w zenicie wszystkich swych — świadomych i nieświadomych — pragnień, nie musiał już oglądać się za siebie, nie nękały go utajone żale ani dokuczliwe wspomnienia, wgrzyzające się w jego niedoświadczony seksualizm i nieoczekiwane kaprysy.

Miał teraz pełny wgląd we wszystko, co stanowił jako istota ludzka, a także w to, co dla niego znaczyło bycie człowiekiem: w pradawne serce odwiecznych ludzkich słabości i na sam szczyt miłosiernie danej człowiekowi mocy bycia z Bogiem, bycia z Boga i wiecznego życia.

W tym wiecznym świetle oglądał wszystkich tych, którzy zamieszkiwali jego przeszłość — neandertalczyka, człowieka kromanieńskiego, *Sinantropusa*, człowieka rozumnego, zbieracza pożywienia, hodowców, ludzi z epoki kamiennej, ludzi z epoki brązu i epoki żelaza, Żyda, krzyżowca, mużulmanina, renesansowego papieża, rosyjskiego patriarchę, greckiego kapłana, katolickiego kardynała, azjatyckiego Budę, afrykańskiego diabła, Szatana, Darwina, Freuda, Mao, Lenina, biedotę z Rumunii, płonące sylwetki na ulicach Hiroszimy, umierające niemowlęta z Bombaju, domy w Bel Air, sale wykładowe Sorbony, wille w Miami Beach, kopalnie Zachodniej Wirginii, hostię w swych własnych rękach podczas Mszy Świętej, martwą twarz Jonathana...

Miał już pogrążyć się w modlitwie, kiedy nagle znów usłyszał tamte śpiewy. Wizja prysła i powrócił do rzeczywistości krzesła, okna i nocy. Niebiańska pieśń była teraz nie więcej niż pojedynczym, przedłużanym w nieskończoność dźwiękiem lutni, upartym, krystalicznym, wyraźnym i pięknym. Zgrzytliwe pienia Pana Pewniaka słabły i kruszyły się.

Coś nieokreślonego sprawiło, że David poczuł ostry ból, jednakże nie żałował tego. Wiedział, że ma do czynienia z nieuniknioną niedolą jakichś żywych istot, których nie znał, a mi-

mo to kiedyś zniecierpliwiał, nie dostrzegając, że ich los był tragedią, której nie złagodziła niczyja litość czy też wzruszenie. Pomimo całego spokoju i światła obmywającego jego duszę, podążył za rejterującym rannym przeciwnikiem.

Niegdyś donośne, chrapliwe wrzaski Pana Pewniaka przeszły teraz w wstępną, piskliwą zawodzenie, podszyte przerażeniem i straszliwym bólem, poruszające gorączkowo i nieregularnie wszystkie nuty protestu. Ten skowyt zdawał się skręcać w spiralę, miotać, wić i kulić, niczym owad potrzęsający jadowitymi mackami, pierzchający w popłochu do rodzimego ścieku; niczym nękany solidnym, pulsującym bólem wąż, unoszący wysoko leb i uchodzący przed lawą tej drugiej pieśni — tej, którą David nazywał później „chórem z Salem”.

David znów czuł wokół siebie ogromne przestrzenie. Jazgot Pana Pewniaka cichł, ścigany wciąż przez niebiańskie pieńnia. Słyszając, że oba dźwięki oddalają się, David wstał. Uważnie nasłuchiwał. Tak, oddalały się od niego. Otworzył obie części okna i wyrzwał, ponad ramieniem ojca Josepha, szukając wzrokiem ogrodu i tego, co było dalej: pól, gór i widnokręgu. Dźwięki uchodziły coraz dalej, wysane, jak mu się zdawało, przez niezbadane, międzygwiazdne otchłanie, toteż uniósł głowę i przyjrzał się niebu. Centrum burzy przesunęło się na wschód, w kierunku Oceanu Atlantyckiego. Było zimno, prawdopodobnie brał lekki przymrozek. David wpatrywał się w gwiazdy, usiłując śledzić trajektorię owych dźwięków. Ale ucichły już ostatnie echa. Wszystko ucichło. Nasłuchiwał w milczeniu, patrząc w górę. Żadnego odgłosu.

Usłyszał natomiast szelest świadczący o tym, że ziemia dochodzi do siebie po burzy, i w jego oczach oraz kącikach ust pojawiły się ślady uśmiechu.

Dotknął wreszcie wzrokiem ojca Josepha i skinieniem zaprosił go do siebie. Księżyc unosił się wysoko, jasny i radosny, promieniący ciepłą żółcią. Jego absolutne milczenie było złote, kojące i ciepłe. David i Joseph mieli już się odwrócić od okna, kiedy w zagajniku, w którym zwykł się przechadzać, paląc fajkę, Stary Edward, rozśpiewał się przedrzeźniacz. David odebrał jego śpiew jako sygnał ze świata łaski, znak nie kończącego się życia; coś zupełnie innego niż to, czego Jonathan i on sam, David, doszukiwali się niegdyś w naturze: nie nieustające ruchy molekuł, ale znak wiecznego życia dla wszystkich istot, dowód miłości pozbawionej cienia.

David opadł na krzesło, zasłuchany. Joseph stał bez ruchu, nie chcąc mu przeszkadzać. Popatrzył na niebo i drzewa. Przez

całą długą noc, aż do chwili gdy księżyc zaszedł i na wschodzie pojawiły się pierwsze promienie słońca, najpierw niebieskawo—szare, a potem czerwone, obaj mężczyźni nie opuszczali pokoju, wsłuchani w głos przedrzeźniacza. Śpiew tego ptaka wydawał się nieść w sobie niezmacony spokój nieskończoności. Wypełniał uszy i umysły. Wnikał we wszystkie kąty i szpary pokoju. Zdumiewał, był pełen niespodziewanych wlotów i długich, wdzięcznych fraz, godnych niemal miana muzyki, po których zrywał się nagle, by podchwycić nową skalę. Nie było w tym nic z tryumfu. To było święto spokoju, proklamacja ciągłości, potwierdzenie wartości życia, piękna samego w sobie, zapewnienie, że dzień następny będzie takim samym błogosławieństwem, jak wszystkie poprzednie. To było zwiastowanie, napełniające nocną ciszę łaską.

Tuż przed świtem Joseph usłyszał cichy szept i zerknął na Davida. Egzorcysta odmawiał Pozdrowienie Anielskie, odwołując się do greki Pawła, Łukasza i Jana.

— *Chaire Miryam, kecharitomene*. — Na dłużej zatrzymał się przy owym wspaniałym komplemente, którym Archanioł Gabriel obdarzył Paniękę. — *Kecharitomene! Kecharitomene! Kecharitomene...!* Łaski pełna! Łaski pełna! Łaski pełna!

Po policzkach Davida powoli ściekały łzy.

Joseph wiedział, że nie należy mu przeszkadzać. Kojąca cisza i ten śpiew były wszystkim, czego potrzebował i na co zasłużył — upragnionym balsamem.

Zaczekali, aż wstanie dzień i ptak umilknie. Widzieli, jak wzbijał się nad drzewa i mknął w górę, znów śpiewając, aż stał się zaledwie punkcikiem na jaśniejącym, porannym niebie. To szybował, to znów trzepotał skrzydłami, a w końcu zniknął, roztopił się w ciszy.

David poruszył się i zwilżył wargi.

— Zaparzmij sobie kawę, ojczu Joe — powiedział, nie patrząc na Josepha. — Potem pojedziemy do Jonathana, póki jeszcze nie jest za późno.

Ojciec Joseph nie ruszał się. Czekał na spojrzenie Davida i na dalsze słowa. Egzorcysta odwrócił się z uśmiechem.

— Teraz wiem, Joe. Teraz wiem — Na moment umilkł i wyrzwał przez okno. — To taki sam duch. Taka sama metoda. Takie samo zniewolenie.

PIEŚŃ MATKI

Przez całą drogę Joseph zerkał na twarz Davida. Była nieruchoma, bez wyrazu, jeżeli pominąć twardy zarys szczęki. Policzki miał zapadnięte, ale nie rzucało się to zbyt w oczy, z uwagi na okalający twarz zarost. W oczach widać było zdecydowanie. David wydawał się naładowany jakąś wewnętrzną siłą, bardziej wyczuwalną, niż zrozumiałą. Trochę to przstraszyło Josepha. Czuł w Davidzie swoistą bezwzględność, wiedział, że on już się nie cofnie. Odwrócił wzrok i nagle, niespodziewanie, zaniósł się cichym śmiechem.

— Co cię tak rozbawiło, Joe?

Wargi egzorcysty nareszcie się poruszyły.

— Boże, zlituj się nad tym biednym Diabłem — powiedział spontanicznie ojciec Joseph, widząc malującą się na twarzy Davida determinację.

David uśmiechnął się i spojrzał na niego z podziwem.

— Niech cię Bóg błogosławi, ojczy Joe. Tobie nic nie jest w stanie zagrozić. Nie traktujesz siebie na tyle poważnie.

I obaj wybuchnęli śmiechem.

Do domu Jonathana dotarli tego samego dnia, o zmierzchu. David uznał, że nie powinni bawić się w werbowanie pomocników. Wiedział, że ta sprawa nie wymknie mu się z rąk; wiedział, że już raz pokonał tego „Pana Pewniaka”, w którego sidłach znajdował się też Jonathan.

Zatrzymawszy się przed domem, zobaczyli, że drzwi frontowe są otwarte. W progu stała matka Jonathana, Sybil; ramiona miała owinięte szalem. Nie uśmiechała się, nie była też smutna, po prostu poważna.

— Spodziewałam się ciebie, ojczy Davidzie — powiedziała, kiedy weszli. — Mówili mi, że przyjedziesz. — Potem, odpowiadając na bezgłośnie pytanie egzorcysty, wyjaśniła, że do trzeciej nad ranem Jonathan czuł się dobrze, to znaczy nic się nie zmieniło. — Ale kiedy ciebie uwolniono, jemu nagle się pogorszyło — dokończyła.

Joseph był oszłomiony; trudno mu było uwierzyć, że ta kobieta użyła zwrotu: „kiedy ciebie uwolniono”. Widział jednak, że David doskonale ją rozumie.

— Nie mówię o zdrowiu fizycznym mojego syna — dodała. — Tu chodzi o jego duszę.

David przyglądał się jej przez kilka sekund. Joseph pojął, że ci dwoje pozostają w jakimś wewnętrznym kontakcie, do

którego nie został dopuszczony. Wiedział jednak, że zbyt wiele by go to kosztowało.

Na stolyczku w przedpokoju stały dwie zapalone świece. Obok nich znajdowały się: krucyfiks, otwarty modlitewnik, flaszka wody święconej i stula.

— Jeszcze chyba nie jest za późno — stwierdził David.

— Chyba nie — przyznała. Skrzywiła się lekko. — Rzecz w tym, że ja niedługo odejdę. A jeśli i jego to czeka, chcę, żebyśmy wszyscy byli razem.

David niespiesznie pokiwał głową, wpatrując się w drzwi za jej plecami. Był po trosze czujny, po trosze zadumany. Po chwili odwzajemnił jej spojrzenie, mówiąc:

— Tak będzie, matko. Nie bój się. Wszyscy będziecie razem. Najgorsze już minęło.

Założył stulę, wziął modlitewnik i flaszkę. Joseph trzymał lichtarze. David opuścił wzrok na książkę. Matka Jonathana otworzyła ją w miejscu, gdzie zaczynała się główna modlitwa. Minawszy Sybil, przekręcił klamkę i wszedł do pokoju Jonathana.

Panował tam mrok, okiennice były zamknięte. Nozdrza jego zaatakował nienaturalnie ostry, intensywny odór. Jonathan siedział w kącie, na podłodze, z podwiniętymi nogami. Światło z korytarza padło na jego twarz. David zobaczył jego oczy — steżały ze zgrozy. Już wiedział: Jonathan nic więcej nie zdoła, nie będzie walczył.

Usta opętanego były otwarte, nie było jednak widać zębów ani języka. Joseph postawił świece na stolyczku przy łóżku. Kiedy ich blask dotknął Jonathana, zauważyli na podłodze krople wody. Tworzyły zakrzywioną linię, łączącą dwie ściany. Sybil musiała więc użyć wody święconej, by zamknąć syna w owym kącie. Jedna z rąk Jonathana spoczywała luźno u jego boku, druga zaś — ta z zakrzywionym palcem — opierała się o pierś, jakby zastygła w jakimś tajemniczym geście. Nie ruszał się, ale jego wzrok przywarł do twarzy Davida, śledząc każdy jego ruch.

Egzorcysta, stanawszy nad nim, wyraźniej zobaczył jego oczy: duże, przekrwione białka i czarne, połyskliwe półksiężycze źrenic.

Joseph spodziewał się, że David zacznie odprawiać egzorcyzmy, jednakże tamten milczał. Po prostu stał. W ciszy.

Zakrzywiony palec oderwał się od piersi Jonathana, kierując się nieznacznie w stronę Davida. Egzorcysta przyglądał mu się, nieruchomy i milczący. Palec przeciął powietrze, po czym

opadł bezwładnie. To był znak bezradności. Usta Jonathana otwarły się i zamknęły; próbował coś powiedzieć.

David nawet nie drgnął ani się nie odezwał.

Jonathan poruszył głową, nie odrywając wzroku od egzorcysty, jakby próbował się uwolnić z jakichś więzów łączących go z nim. Przez jego ciało przebiegł nagły i widoczny dreszcz; odwrócił się do ściany. Trząsał się cały. Ledwie usłyszeli przytłumione, bełkotliwe słowa, które wyszły z jego ust.

— Przemów do mnie, Bracie...

— Nie jestem twoim bratem, Szatanie! Nie bratem!

Głos Davida był jak ciężki nóż. Joseph drgnął. Egzorcysta znów umilkł.

— My też musimy posiadać dom, ojcze...

— Wasz dom na zawsze pozostanie na krańcach ciemności.

A wasz ojciec to Ojciec Kłamstw.

Drwina, zawarta w tych słowach, dotknęła nawet Josepha. Zrozumiał, że David czuje taką nienawiść i taki wstręt, o jakich mu się nawet nie śniło.

— Nawet Pomazaniec pozwolił nam wejść w świnie.

— Na znak waszego plugastwa — rzekł wzgardliwie David — i tego, że pogrąża was żywcem w udręce.

— Posłuchaj...! Posłuchaj! — W owym głosie czuło się teraz totalną desperację. To był prawie szloch. — Posłuchaj!

— Ty będziesz słuchał i będziesz posłuszny! — David nie krzyczał. A jednak każde jego słowo miało siłę pocisku. — Wy wszyscy będziecie posłuszni! Odejdziecie! Opuśćcie całkiem to stworzenie! Zrobicie to w imię Boga, który je stworzył, i Jezusa z Nazaretu, który je zbawił! Oddalicie się i wróćcie do nieczystości i udręki, które wybraliście! Zrobicie to teraz. W imię Jezusa. Teraz. Idźcie. Odejdźcie. W imię Jezusa.

Ton Davida uległ zmianie. Egzorcysta zwracał się teraz do Jonathana, łagodnie i czule, a zarazem z taką siłą, że poruszyło to Josepha równie mocno, jak poprzednie jego słowa.

— Jonathanie. Jonathanie. Wiem, że mnie słyszysz. A słysząc mnie, słyszysz słowa Jezusa.

Ciało Jonathana zaczęło wiać się z bólu i dygotać. Wyciągnął się tak — twarzą do podłogi — że tylko jego palce dotykały kąta, w którym się przedtem kulił. David i Joseph cofnęli się o krok.

— Wiem — ciągnął David — przez co przeszedłeś. Wiem, gdzie upadłeś. Wiem, w jaki sposób opętał cię ten duch nieczysty. Jezus odkupił wszystkie twoje grzechy, tak jak odkupił moje. Ale teraz ty musisz zapłacić. Uwierz mi, wiem to. Wiem,

że tylko ty możesz wyrazić na to zgodę. Z własnej woli, Jonathanie. Z własnej woli. Musisz zgodzić się ponieść karę. Zgadzasz się, Jonathanie? Zgódź się! Jonathanie! Zgódź się! Na miłość Jezusa, zgódź się z własnej woli!

Potem zwrócił się do Josepha.

— Użyj wody święconej!

Joseph wykonał polecenie. David otworzył książkę i zaczął odmawiać właściwe modlitwy.

Z ust Jonathana wydobyło się wycie; trwało dłużej, niż pozwoliłby na to normalny oddech. David nie przestawał czytać, trzymając przed sobą krucyfiks. Im bardziej zagłębiał się w modlitwy, tym głośniejszy był skowyt, przeplatany straszliwym łkaniem i jękami.

I wówczas usłyszeli cichy śpiew. Dochodził z korytarza. Matka Jonathana śpiewała hymn maryjny — starą, gregoriańską pieśń *Salve Regina*. W miarę jak ta średniowieczna łacina wnikała do pokoju, Jonathan uspakajał się: cichł skowyt, ustępowały dreszcze. David przestał odmawiać modlitwy; zamknął książkę i słuchał.

Głos matki drżał jak trzcina. Ale zarówno David, jak i Joseph czuli, że sięga w głąb ich pamięci, poza wszelkie ograniczenia, jakie narzuciło im dorosłe życie, aż do owych pierwszych godzin, dni, miesięcy i lat, kiedy byli aż nadto wrażliwi na ludzkie nieszczęście, a miłość, jaka ich otaczała w domu i w rodzinie, była jedyną skuteczną osłoną przed wszystkimi cierpieniami.

Matka Jonathana dosłownie wkładała całą duszę w tę śpiewaną modlitwę. Jej matczyne serce wzywało inną matkę. I, na ile Joseph był w stanie pojąć, tylko te dwie matki mogły ocenić właściwie, co jest stawką w tej grze. Nigdy nie poddawał się emocjom, ale teraz stanęły mu przed oczyma wspomnienia i poczuł, że zaczyna gryźć go nostalgia. Dostęp do doznań estetycznych miał zawsze ograniczony z uwagi na nie dość subtelny umysł i brak oglądy. Jako dorosły człowiek, nigdy nie rozmawiał ze swoją matką; zmarła, zanim osiągnął dojrzałość.

Do tego momentu kobieta, do której modliła się matka Jonathana, była dla niego jedynie jasną i niedostępną gwiazdą na firmamencie jego religii: Żydówką z Galilei, która sama nie zasłużyła się niczym, ani myślą, ani słowem, ani też czynem, a została obdarzona łaską, jakiej nie dostąpił i nie dostąpi żaden inny człowiek — została naznaczona najczystsza Bożą świętością już w pierwszej chwili swojego istnienia. Tak widział Marię ojciec Joseph. To ją wyniosło na ołtarze. Nigdy nie zrywała kwiatów zła. Była chroniona. Jedna z ulubienic Boga.

Teraz jednak, słuchając z Davidem tej pieśni, uczył się, z dość zawrotną szybkością, co to znaczy być matką i co znaczy być dzieckiem. Dotknął tego tajemniczego *convivium*, związku łączącego matkę i dziecko, ich współlistnienia. I zaświtało mu, że to współlistnienie nie ma odpowiednika w całym pejzażu ludzkiego życia — czym innym jest związek dwojga zakochanych, dwojga przyjaciół, obywatela z jego ojczyzną, człowieka z Bogiem.

Teraz jedna matka modliła się do drugiej, pokładając w niej wiarę, jakiej nie wzbudziły w sobie żaden mężczyzna. Zrozumiał: jako matki, które niegdyś związane były ze swym kruchym dziełem każdym uderzeniem serca, oddechem, ruchem, snem i przebudzeniem, znajdowały się nie na peryferiach, ale w samym świetlistym centrum delikatnych początków psychofizycznego życia swych dzieci i obie widziały, jak ich potomkowie przechodzą przez próg narodzin, szybkim krokiem mknąc ku świadomości, poznaniu, procesom myślowym, własnej woli i nadawaniu sensów.

Matka Jonathana przestała śpiewać. Przez moment panowała cisza. Potem Sybil ubrała we własne słowa ostatnią, mówioną modlitwę. David i Jonathan słyszeli, jak mówi:

— Ty byłaś Jego matką. Widziałeś, jak umierał. Widziałaś, jak ożył, Rozumiesz. Mogłaś wówczas umrzeć z bólu. Pomóż mi teraz.

Joseph nie potrafił powstrzymać łez napływających mu do oczu.

Zwrócił jego uwagę cichy głos Davida. Egzorcysta klęczał w kącie, przy Jonathanie. Jonathan usiadł, już wyprostowany; opierał się o ścianę. Obie dłonie wsunął w ręce Davida.

Joseph odwrócił się, chcąc wyjść z pokoju. Nic nie rozumiał, czuł. Była to, w końcu, pora spowiedzi.

Na twarzy Jonathana dostrzec można było ślady bólu i łez, a zarazem anielski spokój i swoistą jasność — niemal radość — jaką Joseph widywał najczęściej na twarzach konających, którzy uwolniwszy się od buntu i rozpacz, przystali wreszcie na nieuniknione i zwrócili się w pełni ku wierze i nadziei.

Spokój godny pozazdroszczenia.

Dziewica i Dziewkorób

Nagle wszystko w pokoju uległo zmianie, jakby rozgrywało się tu jakieś niezwykle i perfekcyjnie prowadzone przedstawienie teatralne, podczas którego, w ciągu kilku sekund, aktorzy zamieniają się kostiumami i rolami, a dekoracje, poruszane niewidocznymi trybami, obracają się na wszystkie strony niczym w kalejdoskopie, sprawiając, że widzowie przestają wierzyć własnym oczom.

Przed chwilą ojciec Gerald, egzorcysta, nachylał się nad opętanym Richardem/Ritą*, który wbił zęby w swoją własną stopę. I nagle w szklitych dotąd oczach opętanego błysnęły niesamowite iskierki ironii. Zielonkawę. Zęby uwolniły stopę. Usta otwarły się, odsłaniając dziąsła, gardziel i sterzący język, wibrujący lekko pośród szarej piany. Twarz porwały nieregularne zmarszczki, Richard/Rita zaniósł się rześystym śmiechem. Totalna kpina, szyderstwo. Dzika satysfakcja. Śmiech naładowany kpina i pełną wzgardy nienawiścią.

Gerald, w ułamku sekundy, pojął, co się dzieje. Dziewkorób, niedostępny dla jego oczu, zaatakował, wpił się dwoma szponami w jego podbrzusze. Pomocnicy usłyszeli chrapliwy śmiech. Zatkali uszy. Nie uświadamiali sobie jednak, jakie męczarnie przeżywał teraz Gerald. Widzieli tylko, jak gwałtownie się miotał, „jakby uwieziono go w imadle”, słyszeli ostry trzask, kiedy jego sutanna i ubranie rozdarły się, odsłaniając jego ciało, od torsu po kostki. To, co działo się później, umknęło im; widzieli tylko, jak się wil i dygotał.

Gerald czuł, że jeden ze szponów wbił się w jego odbytnicę. Drugi wzięł genitalia, odciągając mosznę od członka, brutalnie ją szarpiąc. Oba były sztywne, ostre jak krawędzie jakiegось puszki; wdzierały się coraz głębiej, przesywały go niemal na wyłot. Zatoczył się w tył, odrywając się od kozetki Richarda/Rity,

* Richard O. jest transseksualistą. Relacjonując jego życie przed operacją, piszę o nim jako o Richardzie O. lub po prostu Richardzie. Odnosząc się do okresu późniejszego, aż do zakończenia egzorcyzmów, nazywam go Richardem/Ritą. Ojciec Gerald często określał go jako R/R. Za pozwoleniem Richarda O., pisząc o nim, używam zaimków typowych dla rodzaju męskiego — on, jego, jemu itd. Obecnie występuje jedynie jako Richard O.

który pękał ze śmiechu, wymachując nogami i waląc pięściami, nie kontrolując swojego rozbawienia.

Egzorcysta, zgięty niczym szczyryk, chwiejnie przemierzał pokój; nie potrafił powstrzymać krzyku, który wylewał mu się z krtani. Jeden ze szponów wwiercał się coraz głębiej w jego ciało. Ból przeszywał pośladki, podbrzusze i brzuch; ciało, żyły, tkanka tłuszczowa i skóra były już chyba w strzępach.

W nozdrza Geralda wdarł się ohydny smród, którego źródło znajdowało się gdzieś z tyłu. Bezłitosny głos Dziewkoroeba zaatakował jego bębenki.

— Ty jesteś moją maciorą. Wlażem na ciebie. Ja, twój odyniec. Mój ryj obdarza cię najlepszą dymanką w całym Królestwie. Dawaj, macioro! Rozchyl nogi! Twój odyniec pokrywa ciebie, wichrzy nietknięte włoski, Mój człon pozbawia ciebie dziewictwa. Nie jesteś dziewczyną. Ale ja potrafię przerobić każdą szparę!

Gerald zataczał się gwałtownie, potykał o własne nogi, gwałcił się w pół, bezradnie chwytając powietrze, zostawiając za sobą cienką strużkę nasienia, krwi, ekskrementów i wrzasków, aż wreszcie wałnął w ścianę i zsunął się po niej, niczym porzucony tobołek. Z cienkiej, czerwonej krechy, przecinającej jego czoło, pociekła krew.

Oczy Richarda/Rity znów stały się szkliste.

Atak trwał może trzy sekundy. Minął, zanim pomocnicy doszli do siebie. Nagle wszystko — wrzaski Geralda i śmiech opętanego — ucichło i w pokoju zapanała kompletna cisza. Cisza po agresywnej, ogłuszającej burzy.

Potem przyszedł czas na ruch i gwar. Lekarz i policjant położyli Geralda na noszach, które, jak na ironię, przygotowano dla Richarda/Rity. Czterej mężczyźni czym prędzej przywiązali opętanego do żelaznej ramy kozetki. Nikt nie patrzył mu w oczy. I tak czuli jego wzrok, skupiony, triumfalny, pełen satysfakcji. „To przypominało wiązanie gorącego, parującego truposza”, powiedział później któryś z nich.

Dwaj bracia Richarda/Rity, Bert i Jasper, z oczyma czerwonymi od łez i twarzami żółtymi z przerażenia, wynieśli nosze. Ledwie opuścili dom, odczuli niesamowitą różnicę pomiędzy tym, czego właśnie doświadczyli, a otaczającym ich światem. W ogrodzie nad sadzawką zaczynały szczebiotać drozdy, dając początek porannemu chórowi, który Richard/Rita ukochał tak bardzo, że zdecydował się zamieszkać w tym domu. Słońce świeciło jasno.

Ojciec John, asystent Geralda, nadal w nienagannie wyprasowanej sutannie, usiadł na składanym krześle, by się pomodlić, nie spuszczać oka z opętanego. Dla pewności, trzymał w dłoniach krucyfiks i buteleczkę wody święconej.

Jeszcze przed rokiem, kiedy podlegał rygorom seminarium, nie słyszał o takich zdarzeniach. Nawet nie przypuszczał, że to jest możliwe. Zło istniało jedynie jako definicja na jednej ze stron podręcznika. Diabeł, cóż, to było tylko tajemnicze miano pewnego jegomościa, któremu przypisywano posiadanie rogów, zielonego pyska, kopyt i rozwidłonego ogona. Teraz jednak wyglądał na wyczerpanego, wyzutego ze wszystkich uczuć; wyglądał tak, jak mogą wyglądać tylko młodzi ludzie, kiedy totalne wyczerpanie skazi ich świeżość, nie przydając im zmarszczek ani nie niszcząc makijażu, a jedynie zamieniając twarz w bladą maskę. Była szósta dwadzieścia.

Do dnia, w którym Gerald zdecydował się kontynuować i zakończyć przerwane egzorcyzmy, miało minąć jeszcze trzydzieści dni. To pierwsze podejście wiele mu utrudniło. Biskup wyrażał się z powątpiewaniem o jego kompetencjach. Psychiatrizy zajmujący się przypadkiem Richarda/Rity orzekli, że Gerald, nie znając się na psychologii, zagraża zdrowiu psychicznemu ich pacjenta. Egzorcysty również zdrowie nie dopisywało. A jak wynikało z poprzednich doświadczeń, nawet częściowe fiasko poważnie utrudniało pomyślne zakończenie egzorcyzmów.

A jednak — o ile to tylko było możliwe — Gerald musiał doprowadzić do końca owe egzorcyzmy. Z dwóch powodów. Gdyby nie udało mu się tego dopełnić, nie byłoby żadnej gwarancji, że sam nie padnie ofiarą ataków — albo i czegoś znacznie gorszego — ze strony złego ducha, który opętał Richarda/Ritę. Zmarł, zresztą, wkrótce po sfinalizowaniu tych egzorcyzmów. Niezależnie od tego, wielce prawdopodobne było, że nikomu innemu nie udałoby się sprostać tej próbie.

GERALD

Gospodyni Geralda, Hannah, poprowadziła mnie przez dom do ogrodu i zawołała szczupłego osobnika w koszuli i dżinsach, który właśnie zajmował się rabatami na jego krańcu. Kiedy wszedłem na trawnik, ów mężczyzna zamachał do mnie.

— Cześć! Podejdź tu. Pogadamy. Chcę uporać się z tym przed zachodem słońca.

Było niemal w pół do szóstej. Słońce już tak nie grzało, ale wszystko wokół nadal skąpane było w ciepłej zółci.

— Tu pośród moich tulipanów — powiedział ojciec Gerald, machnąwszy trzymanym w lewej ręce rydlem — znajduję prawdziwe piękno. I, oczywiście, spokój. — Nachylił się nad rabatką, uklepując ziemię. — A ty, Malachi, parałeś się kiedyś ogrodnictwem?

Wyjaśniłem, że troszkę. Spytałem, czy podczas naszej rozmowy mógłbym robić notatki. Śmiejąc się, wyraził zgodę. Od samego początku stwarzał przyjazną atmosferę: byłem mile widzianym gościem; mogłem wiele oczekiwać po tym spotkaniu.

Nie spodziewałem się absolutnie, że zastanę go przy tulipanach. Wyobrażałem sobie raczej, że będzie siedział w fotelu, zmęczony i być może pogrążony w jakiejś lekturze. Albo że przykuśtyka o lasce i powita mnie bładym uśmiechem. To, że cieszy się życiem i spokojem ducha, a co więcej, pozostaje w dobrym zdrowiu i wygląda na szczęśliwego — przypawiło mnie niemal o szok.

Miał tam trzy rabaty tulipanów. Zajmował się właśnie środkową. Za jego plecami znajdowała się grządka żółtych azalii. Dalej teren opadał ku rozległym prერიom i majaczącym w oddali góróm. Gdzieś w górze warczał niewielki samolot.

Ten spokój był zarazliwy.

— Co właściwie pociąga cię w twoich tulipanach, Geraldzie? — zapytałem. Stałem tuż obok rabaty.

Nie odrywając się od pracy, odpowiedział, powoli i starannie dobierając słowa;

— Brak wymagań. Sam widzisz. Nie wrzeszczą. Po prostu są. Piękne. Po prostu są. — Ostatnie słowo wymówił z lekko francuskim akcentem. — Jak zapewne wiesz — dodał, uśmiechając się nieco po łobuzersku — miałem trochę do czynienia z pięknem. I z bestią. Po czymś takim rozpoznaje się piękno na pierwszy rzut oka. — Umilkł na chwilę, wpatrując się w dwa bliźniacze szczyty, widoczne w oddali, na lewo od nas. Nie widziałem ich zbyt dokładnie, słońce świeciło mi w oczy. — I bestię również — dokończył.

W minutę lub dwie później Gerald wyprostował się niespiesznie i po raz pierwszy odwrócił się do mnie, stojąc tyłem do słońca, z luźno opuszczonymi rękoma. W owym czasie, w cztery miesiące po uwolnieniu Richarda/Rity od złego ducha, mieszkał jako rentier na skraju niewielkiego miasta na

środkowym zachodzie i, jeżeli wierzyć diagnozom lekarzy, miał przed sobą jeszcze cztery lub pięć miesięcy życia. Miał czterdzieści osiem lat, nieuleczalną chorobę serca i dwa zawały za sobą.

Był nieco wyższy ode mnie. Siwooki, jasnowłosy, o wąskich ramionach; trzymał się nieco krzywo, jakby część jego torsu była zniekształcona — nie było to jednak pamiątką po zawałach, ale dziełem Dziewkoroba, niemłą pozostałością po tamtych egzorcyzmach. Czoło jego przekreślała pionowa blizna. Uderzyło mnie to, że jego twarz promieniuje — emanowała jakimś nieokreślonym światłem. Pomiedzy jego oczyma widać było podłużną, ciemną plamę. Jakby znamię. Nasi wspólni przyjaciele, którzy pomogli mi w zorganizowaniu tego spotkania, wspominali o niej. Nazywali ją — żartobliwie, ale i z atencją — „znakiem Jezusa”. Blizna przechodziła przez środek owej plamy.

Mówili, że Gerald nigdy nie patrzy w ciebie, a tylko na ciebie. Kiedy się z nim spotkałem, pojąłem, co mieli na myśli. Tak jakby ktoś szukał na mapie nazwy jakiegoś miasta, żeby dokładnie określić jego położenie. Geralda interesował jedynie kontekst: to, gdzie się znajdujesz. Rzecz w tym, że nie wiedziałem, co uważa za kontekst.

— Niewiele o tobie wiem poza tym, że powinienem ci zaufać. Nazywasz się Malachi Martin. Miejsce zamieszkania — Nowy Jork. Kiedyś byłeś jezuitą. Kilka ksiązek na koncie. Chcesz porozmawiać na temat Richarda/Rity. — Mówił to cicho i spokojnie. Po chwili, patrząc mi w oczy, dodał: — To prawie wszystko, jeżeli nie liczyć tego, iż zdajesz się mieć w sobie spokój, mimo iż — przyjrzał mi się uważnie — mam wrażenie, że nie zapłaciłeś za to. — Zauważył chyba, że podświadomie zaprotestowałem. — Nie. Nie o to chodzi. Mówię o cenie, którą się rzadko płaci. Chcę powiedzieć, że posmakowałeś słodczy życia, ale nie zaznałeś jego grozy.

Znów umilkł i popatrzył na tulipany.

— Regularnie zajmuję się ogrodem. To relaksuje. Tulipany... cóż, chyba uwielbiam ich kolory. — Kolejna pauza. Znów ten łobuzerski uśmieszek. — Zanieśmy kilka tulipanów Hannah, żeby przyozdobiła stół.

Ponownie się schylił. Nic nas nie dzieliło, wyjąwszy napięcie, jakie czułem, kiedy po raz pierwszy mierzył mnie wzrokiem. Ale to szybko przyszło. Zadowolilo go to, że znalazł we mnie coś intrygującego.

— Chcę porozmawiać o Richardzie/Ricie — powiedziałem, ponownie przystępując do pracy. — Ale to ty mnie interesujesz.

Przez chwilę milczał, zastanawiając się nad tym. Wieczorny wiatr pochylał tulipany. Słońce zaczęło przygasać, ustępując miejsca szaremu błękitowi.

— Myślę, że wiesz — powiedział spokojnie, jakby chciał uwolnić mnie od resztek ewentualnego napięcia — że tym razem nie ujdzie ci to na sucho. Bez frycowego. Nie wiem, czy kiedyś przyszło ci płacić za swoje działania, ale teraz zapłacisz — o ile nie zrezygnujesz ze swych planów.

— Przemyślałem to.

— To nie zabawa, Malachi. Wkraczasz na ich grunt. Niebezpiecznie daleko. Z ich punktu widzenia. Tak to jest, o ile mogę wierzyć swoim przyjaciółom. — Zwróciłem uwagę na to, jak wyrzuca z siebie poszczególne, krótkie zdania. — Ale jedno widzę. Rozważyłeś to wszystko. Co? Nadal chcesz podjąć to ryzyko. Bo to jest ryzykowne. Tak czy inaczej. Potrafisz się obronić. Tyle widzę.

— Spędziłem dwa dni z Richardem/Ritą, Geraldzie.

— Wszystko dobrze?

Obaj unikaliśmy takich drażliwych zaimków, jak „on”, „ona”, „jego”, „jej” i ich pochodne.

— Na ile zdołałem się zorientować. Rzecz jasna... — Richard/Rita, od czasu egzorcyzmów, żył na swoistym pograniczu. Była w nim pewna niepokojąca nieokreśloność.

— Rzecz jasna. Rozumiem. Ale przynajmniej jest czysty.

— A jak byś określił pożytek, jaki ty wyniosłeś z tej całej sprawy?

— Przedtem nie wiedziałem, co to jest miłość. Co znaczy męskość i kobiecość. Naprawdę nie. Co więcej, uwolniłem się od samozadowolenia.

Robiło się chłodno. Byłem rad, że idę wraz z Geraldem do domu, na wieczerzę. Wciąż rozmawialiśmy. Podczas tej rozmowy uświadomiłem sobie raz jeszcze, że prawdziwe przypadki egzorcyzmów, mimo iż wiążą się z poważnymi konsekwencjami, nie mają nic wspólnego z prymitywnymi horrorami służącymi jedynie straszaniu czytelników i kinomanów. Tego wieczoru drążyliśmy nie tyle kwestię grozy, co raczej dróg, jakimi poprzez miłość można się od tej grozy uwolnić. Sprawa Richarda/Rity była pod tym względem szczególnie ważna, gdyż dotyczyła bezpośrednio naszej zdolności do rozpoznawania miłości oraz niebezpieczeństwa, jakie niesie w sobie utożsamienie tejże miłości z jej stroną fizyczną lub nawet z procesami chemicznymi.

Okazało się, że i ojciec Gerald skupił się głównie na tym problemie. Richard/Rita doprowadził to utożsamienie do upiernej przesady. Ci wszakże, którzy mieliby okazję bliżej zapoznać się z jego przypadkiem i zrozumieć go, nauczyliby się czegoś. I ja, wnikając w Geralda i w jego przeżycia, tak niesamowite, a zarazem burzliwe, starałem się pojąć tę tak subtelną lekcję.

— Geraldzie, później może wrócę do tego, co określiłeś słowem „czysty” — przed kolacją użyłeś tego terminu w odniesieniu do Richarda/Rity. Teraz jednak coś innego chodzi mi po głowie. — Po posiłku przenieśliśmy się do jego azylu. — Mając w pamięci zapis owych egzorcyzmów i wyczerpującą rozmowę z Richardem/Ritą, skoncentruję się na sprawach seksu i miłości. Przykładowo, dlaczego w seminarium nazywano ciebie „Dziewicą”? — Dowiedziałem się o tym od jego przyjaciół.

— Przez niemal połowę studiów byłem jedynym człowiekiem w seminarium, który nie znał tego przydomku. Sprawiałem ponoć wrażenie kogoś, kto nic nie wie o seksie.

— A wiedziałeś?

— Właściwie nie. Widywałem zdjęcia i diagramy, materiały naukowe. Byłem w stanie, oglądając film, odróżnić namiętny pocałunek od przyjacielskiego lub serdecznego. Ale seks zawsze stanowił dla mnie zagadkę.

— Czy mając dwanaście, trzynaście lub czternaście lat, nie doznawałeś normalnych dla tego wieku odczuć?

— Nie wiem, co rozumiesz pod pojęciem „normalne”. Nigdy nie miałem nocnych wytrysków. Do tej pory. A kiedy tu i tam zaczęły rosnać mi włosy, nie przykładałem do tego większej wagi.

— Onanizowałeś się kiedyś?

— Nigdy. Nawet mnie to nie pociągało. W żadnym wypadku. Erekcje, zarówno w okresie dojrzewania, jak i później, traktowałem jako coś, co mi się *zdarza*. To może zabrzmieć zabawnie — uśmiechnął się nieśmiało — ale nie jako coś, czym powinienem się zająć. Coś krępującego. Później jednak ojciec wziął mnie na spacer i wygłosił wykład na temat seksu, ten sam, który poznało już czterech moich braci. Zaczął go, jak zawsze, stwierdzeniem: „Wiesz, Gerry, masz penisa. Służy on do dwóch rzeczy, z których żadnej nie wykonuje perfekcyjnie: do oddawania moczu i kopulacji”. Na pamięć znaliśmy tę mowę. Potem następowało wyjaśnienie, czym z punktu widzenia medycyny jest kopulacja.

Skierowałem rozmowę ku okresowi tuż przed wstąpieniem Geralda do seminarium: czy chadzał z dziewczętami, umawiał się z nimi, czy może posuwał się jeszcze dalej? Zdarzało mu się od czasu do czasu zabierać siostry swych kolegów szkolnych na jakiś film, przeważnie w większej grupie. Bywało też, że chodził na tańce, ale nigdy go to nie bawiło. Jak tylko mógł, unikał takich okazji. Generalnie rzecz biorąc, dziewczęta i kobiety go peszyły.

Podniósł się.

— Zróbmy rundkę po ogrodzie. Warto naoliwić tryby.

Wyszliśmy. Było już ciemno. Na tle gwiazd przesuwano się leniwie kilka chmur. Księżyc nie świecił. Ogród rozjaśniały częściowo światła dochodzące z domu. Kilka odległych światełek pełgało gdzieś w górach. Było niemal cicho.

— Całowałaś kiedyś dziewczynę?

— Nie. Nie namiętnie. Nigdy. — Rozmawiając ze mną, patrzył w przestrzeń. Teraz zerknął na mnie, zaintrygowany. — Po co te wszystkie pytania o moje życie seksualne?

— W ten sposób — może nieco pośredni, ale zawsze — chcę odkryć, co rozumiesz przez miłość, męskość i kobiecość, a także czego cię w tej materii nauczyły egzorcyzmy.

Przystanęliśmy na chwilę, chłonąc w siebie nocną ciszę i odległe światła. Potem znów zacząłem.

— Pozwól, że wyrażę to po swojemu, Geraldzie. Przyjmuję, że w dorosłe życie — w życie kapłana — wchodziłeś, mając bardzo niejasne pojęcie, o co chodzi w seksie i...

— Ty znowu swoje — przerwał mi wesoło. Przeszliśmy kilka kroków w milczeniu. — Przypuszczam, że taki kiedyś byłem — brakowało mi doświadczenia. Rzecz jasna, w wieku osiemnastu lub dziewiętnastu lat uświadamiałem sobie, że istnieje coś bardzo potężnego, co się nazywa seksem. Ale — zatrzymał się, by popatrzeć na grządki tulipanów — to zawsze było coś, o czym *wiedziałem*. Teoretycznie. Na logikę. Czulem, po sobie, że to potężna siła. Nigdy nie dałem jej ujścia. Kiedyś pewna dziewczyna usiłowała pocałować mnie w usta. Przeraziło mnie to... to... — Szukał właściwego słowa, ale nie mógł go znaleźć. — Słuchaj. Coś mi mówiło, że jeśli dopuszczę to do siebie, zapanuje nade mną. — I nagle wykrzyknął triumfalnie: — Ta cierpkość! To jest to. Tamten pocałunek wydał mi się cierpki.

— I nieczysty?

— Nie. Uroczo cierpki. Ale zbyt uroczo. Powodował uroczy zamęt. Tyle że wiedziałem, iż nie potrafiłbym okiełznać tego zamętu.

Zawróciliśmy, by ruszyć w kierunku domu.

— No dobrze, Geraldzie, a cóż zmieniły tamte egzorcyzmy?

— Sądzę, że najlepiej będzie wyrazić to jak najprościej. R/R przez całe lata uważał, że płęć i seks to jedno i to samo, pod wszelkimi względami. Jeżeli się nad tym zastanowić, to ja też. Nie wiem, jak ty. — Zbliżaliśmy się do domu i na jego twarz padło jakieś światło. — Może pamiętasz to z zapisów? Na tym opierała się cała linia obrony Dziewkoroba. — Takie właśnie imię przyjął zły duch, który opętał Richarda/Ritę. — I wiele trzeba było słów i bólu, żebym to pojął.

Stał wpatrzony w okna; twarz i oczy miał jasne i czyste.

— Malachi, powiem krótko. Od czasu owych egzorcyzmów pojmuję, że kiedy dwoje ludzi — mężczyzna i kobieta — kocha się, uprawia miłość, to odtwarza tym samym Bożą miłość i Boże życie. Brzmi to banalnie. Szablonowo. A nawet brzmi jak unik, wykręt albo pustosłowie. Ale tak właśnie jest. Albo tak, albo ma się do czynienia z parą mniej lub bardziej rozwiniętych zwierząt, które kopulują — czy też parzą się, jeśli wolisz — a po wszystkim jest tylko słodki pot, może parę złudzeń i pora na powrót do szarego bytu. Żyje się raz. Teraz albo nigdy. Zrób to, choćbyś miał paść. Wszystko, na co masz ochotę. Jeżeli się chce, można się nauczyć nawet od kangurów. — Przekrzywił komicznie głowę i dodał: — Widziałeś kiedyś zaloty i kopulację kangurów? Ja tak. Na filmie dokumentalnym. Nadzwyczajne. Nadzwyczajne. — Potrząsnął głową.

— Cóż, abstrahując od praktycznego znaczenia, jakie może to mieć dla ciebie, Geraldzie, skoro dochowujesz celibatu i...

— I mam przed sobą zaledwie kilka miesięcy życia — powiedział łagodnie, jakby chciał wyraźnie dać do zrozumienia, że liczy się z owym nieprzekraczalnym terminem.

— Okay. Abstrahując od tego, może wrócimy jeszcze do tego tematu. Ale wyjaśnij mi coś. Czy nie ma tam stadium pośredniego? To znaczy: mężczyźni i kobiety nie są jednak zwierzętami. Ale i nie dokonują aktu wielbienia Boga. A może tak? Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

— Aaach! Sprawa wrodzonego, naturalnego dobra. — Naśladował kogoś, kogo nie znałem, zapewne jakiegoś profesora z czasów seminarium. — Cóż. — To słowo wymówił z dość ironicznym naciskiem. — O ile dziś to rozumiem, my wszyscy,

mężczyźni i kobiety, przechodzimy przez ten świat, znajdując drogę pomiędzy faktami, faktami i jeszcze raz faktami. Pomiedzy górami faktów. Ale czego byśmy nie robili i czego byśmy się nie dowiadawali, przez cały czas *doświadczamy* obecności ducha. Ducha Bożego.

Popatrzył na światła pobliskiego miasta.

— Czasem to doświadczenie objawia się przez myśli, które przychodzą nam do głowy. Albo przez słowa, które słyszymy. Częściej jest to doświadczenie intuicyjne. Bezpośredni „wgląd”. Niektóre z tych spostrzeżeń są jak sygnały, które odbieramy. Słyszysz śmiejące się dzieci, widzisz piękną dolinę rozświetloną południowym słońcem. Ale zazwyczaj jesteś bierny. Kiedy indziej coś robisz. I to jest jeszcze lepsze. Jak wtedy, gdy komuś współczujesz albo wybaczasz.

I znów byliśmy przy grządkach tulipanów. Zatrzymał się przy środkowej, tej, którą się ostatnio zajmował, i przyjrzał się milczącym kwiatom. Nikły poblask światła domu wydobywał ich delikatne barwy.

— Ale najbardziej się to spełnia w miłości i dawaniu jej sobie. *Oboje* są aktywni. *Oboje* biorą. *Oboje* dają. Nikt nie jest bierny.

W tym momencie zaooponowałem, mówiąc, że nie mam pojęcia, w jaki sposób mężczyźni i kobiety odtwarzają Bożą miłość i Boże życie, kochając się. Możemy tak powiedzieć, ale traktując to jako dość odległą metaforę. Przecież tulipany robią to samo. Kangury także. Wszyscy oni, włączając w to mężczyzn i kobiety, mogą nawet nie wiedzieć, że odtwarzają Boże życie i Bożą miłość. Ale to robią. A może nie? Taki był sens mego pytania.

Odwrócił się ode mnie, kierując się ku górom. Mówił szeptem, urywanymi zdaniami, jakby czytał z jakichś kartek z wypowiedziami, które tylko on widział.

— Pamiętasz Dziewkoroba i moją walkę z nim. Pamiętasz? — Sednem zmagania pomiędzy Geraldem a złym duchem, który opętał Richarda/Rite, była kwestia znaczenia miłości i kochania. — Cóż — kontynuował — na płaszczyźnie miłości — a nie chodzi mi tu jedynie o kulminację aktu miłości, ale o całą jej płaszczyznę — zarówno mężczyzna, jak i kobieta są włączeni w *dynamizm* miłości. Nie ma przeszłości. Nie ma bezruchu. Nie ma oczekiwań. Nie ma „wtedy”, „teraz” i „potem”. Jedynie czarny aksamit, na którym migocą wszystkie gwiazdy. Nie ma zapomnienia. Wszystko...

— Ależ, Geraldzie, Bóg... gdzie w tym wszystkim jest Bóg? Zaczęłeś mówić o Bogu, tak jakby kochankowie, łącząc się, instynktownie uczestniczyli w życiu Boga.

Odwrócił się nagle i niemal gwałtownie odparł:

— To jest Bóg! Taki właśnie jest Bóg. — Znów patrzył w inną stronę, jakby szukał tam inspiracji. — Bóg nie jest stałą i niewzruszoną liczbą, jak się przyjęło uważać. Taki jest w ksiązkach. Jest natomiast — wiecznie dynamiczny, nieustannie stający się, bez początku i bez końca. Stający się, ale niezmienny. Bez „wtedy”. Bez „teraz”. Bez „potem”.

Kiedy zawrócił i ruszył w kierunku domu, postarałem się dotrzymać mu kroku.

— Ale w naszej sprawie jest para. Mężczyzna i kobieta.

— Ha — powiedział, zachnąwszy się nieznacznie — takie jest nasze uwarunkowanie. I taka jest cena.

— Cena?

— Tak, cena. Aby mieć swój udział w Bożym bycie, ci dwoje muszą odtworzyć jedność Boga. Muszą kochać. Naprawdę kochać. Tego nie można udawać.

— Ale jaką częśćkę — o ile można tak powiedzieć — Boga powielią sobą mężczyzna, a jaką kobieta?

— Żadnej. Sam w sobie i sama w sobie. Żadnej. Niczego, co jest fizyczne. Jedynie w miłości i dawaniu sobie jej.

— Cóż więc powielają w miłości i dawaniu jej sobie?

Zatrzymaliśmy się w połowie ogrodu. Gerald przygłądał mi się uważnie, jakby czegoś szukał. Po chwili nabrał tchu i powiedział cicho:

— O ile wiem, Bóg jest piękny, jest pięknem samym w sobie. Uosobieniem piękna. Istotą, która jest piękna. A wola Boża w pełni włada tym pięknem, tą istotą. Jeżeli odnieść to do miłości człowieczej, kochająca kobieta jest echem tej istoty, a pragnący jej mężczyzna — odpowiednikiem owej woli. Poprzez ich miłość, wola łączy się z istotą. Po prostu odtwarzają to, wiesz, uczestniczą w życiu i miłości Boga, w jakiś sposób — w samej naturze Boga. Jeśli nie, wróćmy do tych kangurów — albo szympanсів.

— Zakładając więc, że tak jest — powiedziałem, kiedy znów ruszyliśmy z miejsca — powiedz mi, co, w świetle tego wszystkiego, oznaczają dla ciebie dzisiaj męskość i kobiecość.

— Pamiętasz sedno sprawy Richarda/Rity?

Popatrzył na mnie, wiedząc, że pamiętam.

To właśnie, podczas egzorcyzmów, było zasadniczym elementem Pozorów. Richard/Rita utrzymywał, że *męskość* i *kobie-*

coś wywodzą się z tego samego źródła, co *seks* — z ciała, z zachodzących w nim reakcji chemicznych.

— I żadne z najbardziej skrajnych starań Richarda/Rity, nawet i operacja, nie potwierdziło tego. Nie był, z gruntu, hermafrodytą. Nikt nie jest, jeżeli o to chodzi. Jesteśmy, z gruntu i niezmiennie, mężczyznami lub kobietami. Natura może się czasem pomylić i obdarzyć nas niewłaściwymi genitaliami. To nie ma znaczenia. Jeżeli nie liczyć takich mutacji, nasza aparatura seksualna współgra z tym, czym jesteśmy — z rodzajem męskim albo żeńskim. Androginia to gadka szmatka.

Rozbawił mnie ten rymowany slang. Musiałem jednak zmierzyć się z czymś naprawdę trudnym. Zdaniem Geralda, rodzaj żeński — kobiecość — odpowiadał istocie Boga, męski zaś — męskość — Bożej woli. Wynikało stąd, że sedno Boskości, w naszym ludzkim jego rozumieniu, winno być pierwiastkiem kobiecym.

— Jeśli masz słusność, Geraldzie, Bóg, jeżeli ująć to w kategoriach człowieczeństwa, więcej ma w sobie kobiecości, niż męskości.

— Oczywiście. Potężniejszej. Twórczej. W jej naturze zawiera się najwyższe teatrum — nie obiekt — ludzkich tęsknot.

— A co z biblijnymi „On”, „Jemu” i „Jego”? I z Izraelem jako kobietą, którą Bóg kocha i o którą zabiega? I z całą resztą?

— To tylko solidna doza semickiego szowinizmu. Plus sporo ignorancji. I potężna porcja odwiecznego szowinizmu wszystkich mężczyzn. Mężczyźni od samego początku stali na czele. Nawet w buddyzmie. Dlatego tylko, że Budda był mężczyzną.

— A zatem kobiecość jest czymś zasadniczo duchowym?

— Jedyne duchowym.

— I męskość również?

— Właśnie. Ptak nie dlatego lata, że ma skrzydła. On ma skrzydła dlatego, że lata. Mężczyzna jest rodzaju męskiego nie dlatego, że posiada członek i mosznę; kobieta — rodzaju żeńskiego nie dlatego, że posiada pochwę, łono, estrogeny lub coś jeszcze. Mają to wszystko — jeśli mają — *ponieważ* ona jest rodzaju żeńskiego, a on męskiego. Nawet jeśli, pod tym względem, brakuje im czegoś lub wszystkiego, nadal zachowują przynależność do swoich rodzajów.

Wróciliśmy na ganek. Gerald miał już otworzyć drzwi, a ja powinienem był się z nim pożegnać. Zrobiło się późno. Musiałem jeszcze wrócić do miasta i złapać autobus, który dowiezie mnie na lotnisko. Gerald, zgodnie z zaleceniami lekarza, powi-

nien był już od godziny leżeć w łóżku. Najistotniejsze było jednak to, że gdybym tak się nie dopytywał i nie drażył tej sprawy, nie przysporzyłbym jemu trudnego do zniesienia bólu. Nie uświadamiając sobie jednak tego, ciągnąłem dalej:

— Geraldzie, powiedz mi jeszcze jedno, zanim dam ci spokój. Czy biorąc pod uwagę to wszystko, o czym rozmawialiśmy, żałujesz, że nigdy się nie zakochałeś, że nigdy nie kochałeś się z kobietą i że nie będziesz miał już po temu okazji?

Przeważnie, kiedy popełnia się błąd, niejasno się to wyczuwa i zaraz desperacko stara się naprawić sytuację.

— Wiem, że nie żałujesz, iż jesteś kapłanem. Wiem też, jak wiele znaczy dla ciebie celibat. Ale odłóżmy to na moment i powiedz, czy czujesz jakiś żal.

Gerald puścił klamkę. Spuszczając wzrok, pochylił głowę. Nie widziałem już wyrazu jego twarzy. Nagła cisza, jaka zapadła, była czymś więcej niż tylko nieobecnością słów. Była raptownym przerwaniem połączenia. Czulem, że czoło mam zroszone potem.

Stał tak przez moment w świetle lampy, wyglądając na wychudzonego, pokrzywionego, kruchego, tak jakby na jego barkach spoczął jakiś wielki ciężar. Zauważyłem pewne cechy, które umknęły mi wcześniej: zmarszczki i zapadnięte policzki. Twarz miał nieruchomą, ale „znak Jezusa” jakby ściemniał. Gerald powoli zszedł na trawę i pokuśtykał drobnymi kroczkami w kierunku tulipanów. Ruszyłem za nim, próbując coś powiedzieć, ale uciszył mnie nieznacznym i niespiesznym ruchem prawej dłoni. Zwolnił, zatrzymując się o kilka jardów od rabatek. Nie śmiałem podnieść wzroku, początkowo nic też nie słyszałem. Wiedziałem jednak, że płacze. Później, w miarę upływu minut, uświadomiłem sobie, że to nie jest łkanie ani szloch. Gerald nie dygotał, stał nieruchomo, w milczeniu. Łzy płynęły nieprzerwanie, przywoływane przez jakiś głęboki smutek, który niegdyś musiał zaakceptować, i związany z tym ból, który znał doskonale. Rozmawiając z nim, wyzwoliłem ów ból i smutek, i to w stopniu, nad którym nie umiał zapanować. Wiedziałem, że musi się z tym uporać po swojemu. Nic go nie mogło pocieszyć ani powstrzymać tych łez. Seneka powiedział kiedyś: „kiedy mężczyzna płacze, robi to w ramionach swojej matki albo w samotności”. Gerald był osamotniony.

To trwało kilka minut. Potem, unosząc dłonie i wycierając nimi oczy, powiedział po prostu:

— Wiem, że rozumiesz, jakie to miało znaczenie.

Głos miał dziwnie głęboki, niepodobny do tego, jakim się posługiwał przez cały wieczór. Wtedy pochodził od kogoś pełnego życia i na swój sposób rozwibrowanego, od kogoś, kto siedł obok i rozmawiał ze mną. Teraz dochodził z daleka; był głęboki, poważny i uroczysty. Przemawiał do mnie z innego obszaru, po którym stąpał samotnie; z obszaru, na którym przypieczętował się jego los i którego najskrytsza część jego jaźni nigdy już nie opuściła. Miałem do czynienia z egzorcystą, przemawiającym ze świata samotności, w którym na zawsze przyjdzie mu pozostać ze swą straszliwą wiedzą, skaleczonymi wspomnieniami i ślepą ufnością, trzymającą się kurczowo wszechmogącej miłości w imię ostatecznego oczyszczenia.

— Nie przepraszaj, Malachi. Żadnych wyrzutów sumienia. To są, po prostu, sprawy, którymi nie powinno się dzielić z nikim. Są lzy, które należy przelać w samotności. — Wyprostował się i odchrząknął. Widziałem, jak bierze w siebie cały horyzont, obracając głowę powoli, w zadumie. — Gdzieś w moim świecie — powiedział głośno, ale jakby do siebie — gdzieś tam, w okresie, który przyszło mi w nim spędzić, musiała być, a może nadal jest, kobieta, którą mógłbym pokochać. Nigdy nie zobaczę jej oczu, nie usłyszę jej głosu ani nie poczuję dotknięcia jej palców. Mógłbym z nią zaznać ekstazy i wieczności Bożej. Mógłbym zobaczyć w jej włosach i na jej piersiach urodę Boga. Gdzieś tam. Ktoś tam. Ale nigdy do tego nie dojdzie. Nie teraz. Już nie. Nigdy nie zyskam dostępu do samej jej tajemnicy niepodzielnej chwały Bożej.

Wiesz dobrze, iż nie płaczę z powodu utraconej sposobności lub zawiedzionych nadziei. A zatem mi pomóż. — Znów otarł lzy. — Z jednej strony, nie wiem, dlaczego płaczę. Z drugiej, wiem doskonale. Kiedy dotykasz wnętrza takiej sytuacji jak ta, w której znalazł się R/R, myślę, że ta straszliwa kruchość ludzkiej miłości staje się jeszcze piękniejsza, a ty lękasz się o jej bezpieczeństwo. Biedny R/R i jego subtelne marzenia! On naprawdę, autentycznie, pragnął być kobietą i kochać tak, jak tylko one to potrafią.

Odwrócił się i spojrzał w kierunku domu. Oczy nadal miał wilgotne i błyszczące, ale już czyste.

— Czy dlatego kochankowie czasem ronią lzy w chwili największego szczęścia?

Najwidoczniej, kiedy to mówił, znów zebrało mu się na płacz, gdyż pospiesznie zwrócił głowę ku górom.

— Zapewne wiele kobiet i wielu mężczyzn dzieliło z R/R jego piękne sny — powiedział zbolalym głosem — oglądało je

w zasięgu ręki, sięgało po nie i odkrywało, że przyskają, zanim się je uchwyci. — Przez moment milczał. — Nie wiem, dlaczego przez nich płaczę. Może ich czuję? Bo tylko Jezus jest w stanie skleić ich ducha.

Czekałem do chwili, gdy wydało mi się, że już przestał płakać. Chciałem mu zadać jeszcze jedno pytanie, zapytać go o Jezusa. Ale on odezwał się pierwszy.

— Oczywiście, że żałuję. Skłamałbym, gdybym twierdził inaczej. Żałuję, że nie dane mi było tego odczuć. Wszyscy znani mi ludzie, którzy kiedykolwiek kochali, opowiadali, że jeżeli idzie o prawdziwą miłość, to ta fizyczna jest polem startowym dla wspaniałych odczuć. On nie jest już tylko przy niej albo w niej. Ona czuje, że nie jest już jedynie z nim lub u jego boku. To posuwa się dalej, ku — jak to nazwała tamta kobieta? — ku „scaleniu”, tak to określiła. Albo, jak to powiedział pewien mężczyzna, ku „pełni bycia razem”. Razem ze sobą, z żoną, z Bogiem, z ziemią, z życiem.

Zapytałem Geralda, czy odwołując się do swej wiedzy i owe go szczególnego poczucia żalu, myślał kiedyś o tym, że stracił szansę na danie życia dzieciom. Stwierdził, że to, czy ma, czy też nie ma dzieci, to zupełnie inna sprawa. Mimo to naciskałem dalej, sugerując, że może jakaś cząstka głębokiego smutku i cierpienia, które wiązały się dlań ze sprawą Richarda/Rity, brała się stąd, że tamten nieszczęśnik nie był w stanie mieć dzieci. Nieistotne było, o jak wielkiej miłości by śnił i jak wiele osiągnął, nigdy nie łączyłoby się to z poczęciem nowego życia. To zawsze byłoby kalekie marzenie.

Gerald przypomniał mi, co Richard/Rita krzyczał pod koniec egzorcyzmów, miotając się na wszystkie strony. Nie przedstawiał krzyczeć: „Życie i miłość! Miłość i życie! Życie i miłość!”; aż musieli mu zatkać usta.

— Teraz — rzekł Gerald, kończąc swą wypowiedź — i ja, podobnie jak Richard/Rita, aby odkryć życie w miłości i żywą miłość, muszę czekać, aż przejdę na tamtą stronę. Obecnie — jeżeli chodzi o życie i miłość w wieczności — jestem eunuchem.

Kiedy wymawiał to ostatnie zdanie, tembr jego głosu niezauważalnie się zmienił.

Więcej w tym było tego Geralda, który przyjął mnie tego wieczoru. Poszliśmy znów w kierunku domu. Kiedy przechodziliśmy przez hall i drzwi wejściowe, zacytował Jezusa:

— „Ci, którzy uznani zostaną za godnych udziału w świecie przyszłym i w powstaniu z martwych, ani się żenić nie będą,

ani za mąż wychodzić". Nie ma tam małżeństw — dodał zamyślony. — Nie ma potrzeby.

— Geraldzie, o Jezusie.

Wszedł mi w słowo.

— On był — jest — Bogiem. Nie potrzebował dopełnienia przez kobietę, przez człowieczą miłość.

— Czyżbyśmy więc mogli kochać się, czyżbyśmy się więc kochali, dlatego że jesteśmy tylko ludźmi?

— Tylko dlatego, że *jesteśmy* ludźmi. Kiedy przyjmiemy Boga i On nas przyjmie, kochanie się straci sens. Będziemy mieli wszystko to, co może dać nam człowiecza miłość, i jeszcze więcej. Miłość samą w sobie.

Świadkowie początków kapłańskiego życia Geralda, nie przewidzieliby tego, że zakończy je jako egzorcysta, skazany na rychłą śmierć. Gerald, urodzony w Parmie w stanie Ohio, do czternastego roku życia wychowywany we francuskim mieście Dijon, kontynuujący edukację w Cleveland, wyświęcony na kapłana w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, został skierowany do pracy w parafii na skraju Chicago.

Tam oraz w innych parafiach przepracował, jako asystent, dwadzieścia trzy spokojne lata. Przez ten czas zyskał sobie opinię nadzwyczaj rozsądnego człowieka. Nie gubił się nawet podczas najtrudniejszych prób. Czasami krytykowano go za to, że był trochę zbyt oderwany od świata. „Nie bardzo bywały”, stwierdzał niekiedy któryś z jego współpracowników. Ale ilekroć narastał jakiś kryzys, potwierdzało się, iż sądy i decyzje Geralda są słuszne.

Któregoś dnia proboszcz sąsiedniej parafii zwrócił się do niego z prośbą o przyjazd i o konsultację. Kiedy Gerald zjawił się u niego w domu, poznał historię młodego człowieka, Richarda O., pracownika jednego z towarzystw ubezpieczeniowych, który jakiś czas przedtem osiedlił się w tamtej okolicy. Nie był on katolikiem, ale jego dwaj bracia, wspierani przez kilku bliskich przyjaciół, zdecydowali się odwiedzić owego starego księdza, prosząc o poradę i pomoc. Stan ich brata i przyjaciela, Richarda, od pewnego czasu poważnie się pogarszał. Zwracali się już do lekarzy i psychologów. Nakłonili Richarda, by odwiedził pastora luterańskiego. Potem przyszła pora na modły pewnego rabina. Ale z Richardem było coraz gorzej.

Jego bracia, rozmawiając z dwoma księżmi w rozmównicy parafialnej, nie ukrywali niczego. Przedstawili pokrótce życiorys Richarda/Rity.

— Ojczy, nie jesteśmy katolikami. Nie wierzymy w Kościół Katolicki; jeżeli chodzi o ścisłość, nie wierzymy też w żaden inny. Ale zrobimy wszystko, dosłownie wszystko, pod każdym względem, żeby tylko pomóc naszemu bratu.

Stary ksiądz poprosił, by chwilę poczekał. Wyszedł wraz z Geraldem na zewnątrz.

Proboszcz zadał Geraldowi kilka pytań. Czy uważa sprawę Richarda O. za autentyczny przypadek opętania? Tego Gerald nie potrafił powiedzieć; nigdy przedtem nie zetknął się z takim przypadkiem. Czy nie powinni zawiadomić biskupa? Gerald miał już okazję pogadać z „młodym Bilym” (tak nazywali biskupa kapłani). W diecezji nie było oficjalnego egzorcysty. Biskup w tej materii nie wiedział nic i chciał wiedzieć jeszcze mniej.

— Zajmijmy się wszystkim krok po kroku, z góry na dół — zaproponował z humorem Gerald.

Wrócili do rozmównicy i zapytali obu braci o opinie lekarzy i psychologów na temat Richarda O. Gerald otrzymał zapewnienie, że mogą je niezwłocznie dostarczyć. Zapytał jeszcze, czy Richard wie, iż zdecydowali się spotkać z księżmi. Jeden z braci, Bert, stwierdził, że uważa to za wątpliwe.

— To prawdopodobne — odparł Gerald. Potem wyjaśnił, że jeśli Richard jest rzeczywiście opętany przez złego ducha, może wiedzieć znacznie więcej niż to, co mówią mu bracia.

Ta rozmowa miała miejsce w trzy dni po świętach Bożego Narodzenia. Raporty specjalistów nadeszły tuż po Nowym Roku. Za zgodą swojego proboszcza, Gerald zamieszkał okresowo w probostwie swego starszego kolegi, żeby być bliżej Richarda O. Na początku lutego, po przetrawieniu owych raportów i kilku rozmowach z lekarzami i psychologami, w towarzystwie obu braci po raz pierwszy odwiedził Richarda.

Richard/Rita przyjął ich w swym domu całkiem przyjaźnie. Tamtego dnia wydawał się być przesadnie szczęśliwy. Mówił o sobie i nie tał swojego stanu. Powiedział, że czasami, tak jak w owej chwili, widzi wszystko wyraźnie i ma świadomość, że potrzebuje jakiejś pomocy. Kiedy indziej, jeżeli wierzyć opowieściom świadków, zachowywał się dość dziwnie. Ciągle się w nim coś zmieniało. I było to zbyt bolesne, zbyt raptowne i niespodziewane, by mógł to ciągnąć dłużej.

— Pomóżcie mi, jeśli możecie — dodał. — Nawet jeśli później powiem wam, byście szli do diabła, pomóżcie mi. Podpiszę wszystkie konieczne dokumenty.

Odpowiadając na propozycję Geralda, zgodził się pojechać do Chicago i poddać się przebadaniu przez lekarzy i psychologów, których sami wybiorą. Następnego dnia razem pojechali do Chicago. Złożyło się tak szczęśliwie, że i ta wizyta, i wszystkie badania przeszły bez żadnych problemów. Richard/Rita nie pogrążył się w żadnym ze swych nagłych ataków.

Będąc w Chicago, Gerald i stary ksiądz odwiedzili jedyne go egzorcystę, jakiego zdołali wytropić w tamtej okolicy. Był to dominikanin, były misjonarz, który mieszkał, jako rentier, na jednym z przedmieść. Uśmiechnął się niewesoło, kiedy opowiedzieli mu całą historię.

— Poradzicie sobie lepiej ode mnie, chłopcy — powiedział cicho. — Pozwólcie, że wprowadzę was w obrządek egzorcyzmów i podsunę kilka moich własnych rad dla was i waszych pomocników. Coś niecoś nauczyłem się w Korei. Nie wszystko poszło na marne.

Wpoił im podstawowe zasady egzorcyzmów. Ostrzegł Geralda, by nie próbował zastępować Chrystusa. Tylko w imię Jezusa i Jego mocą, podkreślił, można wygnać złego ducha. Uczulił na różne pułapki czyhające na nieostrożnych; ukazał niebezpieczeństwo, jakie niesło w sobie wdawanie się w spory logiczne z demonem; zwrócił uwagę na konieczność zwerbowania silnych, milczących pomocników i na standardową procedurę, stosowaną w przypadku egzorcyzmów.

Gerald jeszcze kilka razy wracał wraz z Richardem/Ritą do Chicago. Jeździł też sam, by spotkać się z kilkoma teologami i pogłębić swą wiedzę o tym, co dzieje się podczas egzorcyzmów. Richard/Rita też był zmuszony odbyć kilka takich podróży w związku ze swą pracą. Koniec końców, do dzieła można było przystąpić dopiero na początku marca. Gerald miał wrażenie, że zadbał o wszystkie środki ostrożności. I jego, i lekarzy zaintrygowała historia Richarda/Rity i fakt, iż przeszedł on operację zmiany płci, ale uspokoiło ich to, że zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym był najzupełniej normalny i nie uciekał w jakieś dziwne gry i zabawy, by zwrócić na siebie uwagę. Taką opinię wydał wcześniej jeden z psychologów. Gerald uznał, że egzorcyzmy nie pogorszą jego stanu.

Wytypował pięciu pomocników. Obaj bracia Richarda/Rity, Bert i Jasper, zgłosili się na ochotnika. Stary proboszcz postarał się o pomoc kapitana tamtejszej policji i pewnego nauczyciela angielskiego ze szkółki parafialnej. Swoją pomoc zaoferował też gospodarz Richarda, Michael S., Amerykanin greckiego pocho-

dzenia i dobry znajomy proboszcza, od którego dowiedział się o owych egzorcyzmach. Asystentem Geralda miał zostać ojciec John, młody człowiek, świeżo przydzielony do jego parafii.

W ciągu miesiąca poprzedzającego egzorcyzmy tylko raz czy dwa coś nadszarpnęło odwagę Geralda. Któregoś dnia stary dominikanin wziął go na stronę, kiedy wraz z proboszczem zbierali się już do wyjścia. Chciał wiedzieć, czy Gerald jest prawiczkim. Jestem, potwierdził zapytany, ale cóż to zmienia? Dominikanin odpowiedział na to dość bezpośrednio, starając się umniejszyć wagę pytania. Nic nie zmienia, odparł. Tyle że możesz przez to bardziej ucierpieć, odparł. Tak przynajmniej uważał.

Indagowany przez Geralda, na jakiej podstawie tak sądzi, dominikanin przyglądał mu się chwilę, po czym powiedział cicho:

— Nie spłaciłeś jeszcze swoich długów. Nie wiesz naprawdę, co w tobie drzemie. Ale — podszedł do drzwi i otworzył je — Oni wiedzą. Teraz — skinął dłonią, wskazując na proboszcza — twój przyjaciel czeka. Idź w pokoju. I nie bój się. Taki już twój los.

Jadąc do domu, Gerald i jego starszy kolega rozmawiali o całej sprawie. Wydaje się oczywiste, powiedział proboszcz, że kiedy spędza się lata przy jednym typie pracy — jak proboszcz w swej parafii albo stary zakonnik w placówce misyjnej — zyskuje się dodatkowy zmysł. Taki, którego nie można z nikim dzielić. I nawet się nie chce. A to, czego dowiadujesz się dzięki niemu, nie zawsze jest przyjemne. Czasami tam, gdzie inni widzą światło, dostrzega się mroczną, złowróżbną obecność.

— To wszystko jest dość niesamowite — zauważył proboszcz, kiedy Gerald umilkł i popadł w zadumę. — Nie próbuj tego zrozumieć. Nie można przedwcześnie osiągnąć starości. To wydarłoby tobie serce.

Im bliższa była data wyznaczonych na połowę marca egzorcyzmów, tym mniej rzeczywiste wydawało się to ich przyszłym uczestnikom, a zwłaszcza Geraldowi. Głównie z powodu Richarda/Rity. W owych ostatnich dniach nic nie pogarszało jego stanu, nie odnotowano żadnych ataków. Było spokojnie i normalnie. Przyjął ich nawet u siebie wieczorem, w przeddzień egzorcyzmów, i uraczył przyrządzoną przez siebie kolacją. Potem pomógł im przygotować pokój, w którym miał się odbyć obrzęd, i serdecznie z nimi gawędził, dopóki się nie rozstali. Gerald przywiózł wszystko, co było potrzebne do egzorcyzmów — krucyfiks, stułę, komżę, modlitewnik i butelecz-

kę z wodą święconą. Posłuchali rady starego dominikanina i wypożyczyli z miejscowej kliniki nosze; mogli ich potrzebować dla Richarda/Rity.

Postanowili, że zbiorą się rankiem, o ósmej. Gerald przeżył jeszcze kilka dość niesamowitych sekund. Ostatni zszedł na ścieżkę wiodącą do miejsca, w którym zaparkował swój samochód. Kiedy odwrócił się, by zamknąć furtkę, zobaczył, że Richard/Rita stoi w drzwiach swojego niewielkiego domu. Z takiej odległości Gerald nie był w stanie odczytać wyrazu jego oczu, ale zwrócił uwagę na dłonie.

Pamiętał doskonale, że kiedy obaj z proboszczem opuszczali dom, prawa ręka Richarda/Rity, zwrócona ku nim wnętrzem dłoni, była lekko uniesiona w geście pożegnania. Lewa spoczywała na klamce. Ale gdy znów spojrzął w tamtym kierunku, prawa dłoń tamtego, rozczapierzona niczym szpony, wyciągała się w jego stronę. Lewa, odwrócona ku górze, z lekko podkurczonymi palcami, była jakby usztywniona. Geraldowi mrówki przebiegły po krzyżu.

— Chodź już, Geraldzie! Czyżbyś zobaczył ducha? — zażartował serdecznie stary proboszcz. Richard/Rita raz jeszcze pomachał i zawrócił do domu.

RICHARD/RITA

Historia Richarda O. jest tylko po części, choć trudno odmówić temu znaczenia, historią transseksualisty. Urodził się jako osobnik o cechach zdecydowanie męskich, ale obdarzony nieodpartym pragnieniem stania się kobietą. W okresie dzieciństwa te chęci i marzenia były jeszcze mgliste. W czasie dojrzewania święcie wierzył w to, że każdy może dowolnie wybrać swoją płć, pierwiastek męski albo żeński; że każdy ma w sobie niemal tyle samo męskości i kobiecości i dopiero ogólna presja kultury, cywilizacji i uwarunkowań społecznych czyni chłopców chłopcami i dziewczynki dziewczynkami. W końcu poddał się operacji zmiany płci — z punktu widzenia medycyny, skutecznej. Przyjął imię Rita.

Richard bardzo wcześnie zrozumiał, na czym polega różnica płci; fascynowała go domniemana zagadka kobiecości, a bezasadne skazanie na męskość budziło w nim wstręt. Począwszy od szesnastego roku życia, stawiał sobie za cel rozwinięcie

w sobie pierwiastka żeńskiego, dopełnienie nieadekwatnej męskości samoistną tajemnicą kobiecości.

Przez kolejne dziewięć lat robił wszystko, z ogromną wiarą i zapalem, by myśleć, czuć i zachowywać się „androgynicznie”; był przekonany, że zdoła zespolic w sobie oba te pierwiastki. Ale nie zdołał osiągnąć upragnionej jedni, odkrył jedynie ogromną samotność (nie, wtedy jeszcze było to poczucie obcości). Mając lat dwadzieścia pięć, spróbował odnaleźć to samo połączenie w małżeństwie. Nie poskutkowało: nie znalazł w nim owego zespolenia ani też miłości. Dążenie do androginii wygasło.

Od dnia rozwodu, kiedy to miał dwadzieścia dziewięć lat, poprzez operację zmiany płci w trzydziestym pierwszym roku życia, aż po egzorcyzmy, którym poddał się, mając trzydzieści trzy lata, przeistaczał się w „sędziego liniowego”, z zazdrością obserwującego supremację kobiecości, zafascynowanego elementarnymi funkcjami męskości. Tajemnica pierwiastka kobiecego stała się czymś, co należało odkryć. W przypadku Richarda, to odkrywanie z czasem przekroczyło granice bluźnierstwa i doprowadziło go do swoistej degrengolady moralno—fizycznej, która do dzisiaj sprawia mu ból. Męska witalność stała się dlań bronią; widział w niej śmiercionośne narzędzie.

Pod koniec lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku dobrowolnie podporządkował się złemu duchowi, nazywającego siebie Dziewkorobem. Sam proces opętania zaczął się wiele lat wcześniej. Późniejszy, gwałtowny bunt przeciwko temu stanowi doprowadził Richarda do tego, że poddał się przeprowadzonym przez ojca Geralda egzorcyzmom. Ale do owego dnia Richard lokował swój problem jedynie w kategoriach reakcji chemicznych, zmian w mózgu lub przemian wzorców kulturowych, nie dostrzegając w nim dylematu duchowego.

Egzorcyzmy okazały się owocne. Był znów wolny. Ale znajduje się do dzisiaj w pożałowania godnej sytuacji: nie czuje związku z rodzajem męskim ani z żeńskim, ani też z nijakim, a jednak pozostaje na obszarze ziemi niczyjej, pomiędzy męskością a kobiecością.

Żeby zrozumieć, co go spotkało, nie trzeba wnikać szczegółowo w jego życiorys. Wystarczy poznać kilka scen i detali z jego dzieciństwa i początków drugiej dekady jego życia. Te schody, przez które przeszedł, dorastając, w pewnej mierze odzwierciedlają stan, w jakim się znajdował w okresie egzorcyzmów.

Sprawa Richarda/Rity to wyrazisty przykład klasycznej zagadki: dlaczego wszyscy opętani, choć podporządkowani złemu duchowi (do pewnego stopnia, zawsze za ich zgodą), na jakimś etapie buntują się przeciw temu zniewoleniu? I dlaczego to właśnie Richard/Rita, a nie ktoś inny spośród znanych niemu z nas transseksualistów, padł ofiarą opętania?

Richard/Rita — pierwotnie, Richard O. — urodził się w Detroit w stanie Michigan, jako trzecie spośród sześciorga dzieci (trzech chłopców, trzy dziewczynki). Jego rodzina mieszkała wówczas w dwukondygnacyjnym bliźniaku na peryferiach miasta, w dzielnicy zdominowanej przez ludność białą o dochodach przekraczających przeciętną. Matka była luteranką, ojciec Żydem, dzieci ochrzczono w obrządku luteranśkim, jednakże religia nie odgrywała w ich życiu rodzinnym znaczącej roli. Ani matka, ani ojciec nie przywiązywali większej wagi do spraw wiary. Była to rodzina, której nie doskwierały kłopoty finansowe, rządzona lekką ręką, nie odbiegając pod względem świadomej konsolidacji od innych zamieszkujących tę samą ulicę.

Ojciec Richarda osiem godzin każdego dnia roboczego, od dziewiętej do piątej, spędzał w firmie ubezpieczeniowej, a większość wolnego czasu poświęcał chłopcom. Był miłośnikiem natury i turystyki wodnej, każdego lata jeździł do Kanady na ryby i polowanka. Zabierał ze sobą najpierw obu starszych chłopców, Berta i Jaspera, a później, kiedy Richard skończył dziewięć lat, także i jego.

Mniej lub bardziej świadomym ideałem każdego z chłopców było stać się takim jak ich ojciec — wysportowanym, atletycznym i otwartym. Stać się prawdziwym mężczyzną. Pierwsze skojarzenia Richarda dotyczące owego ideału wiążą się z pewnym grudniowym dniem, kiedy to był na spacerze w parku, wraz z ojcem i ich psem Flinnym. Rzucił piłkę, którą pies łapał. Kiedy zwierzak tak skakał, wykręcał się w powietrzu, chwycił piłkę i wracał biegiem do nich, ojciec stwierdził, że taki właśnie musi być Richard — sprężony, gotów, by skoczyć, pobiec i złapać. W psich ruchach zawarty został, w odczuciu chłopca, wzorzec swoistej doskonałości i samowystarczalnej siły: wyskakując w górę, prac do przodu i napinając mięśnie, pies zdawał się być precyzyjną konstrukcją, okrytą pancerzem wiary w siebie i odpornością absorbującej wszelkie wstrząsy i uderzenia, chłód, żar, raptowne zmiany kierunku i nagłą utratę energii. Richard po dziś dzień pamięta pełen podziwu i aprobaty okrzyk ojca:

— Patrz, jak Flinny wkłada w to całego siebie!

Powrót do domu po owym spacerze wiąże się w pamięci Richarda z pewnym zgrzytem. Kiedy zobaczył ponownie swą matkę i siostry, poczuł, że coś w nim się buntuje. Nie wiedząc, dlaczego to robi, zaczął porównywać ich ruchy i barwę głosów z analogicznymi cechami ojca i Flinny'ego. Ale to zdarzenie szybko straciło na ostrości.

Chłopcy, wszyscy trzej, byli wysocy i ciemnowłosi. Dziewczynki, drobne i wąskie w pasie, miały włosy blond, podobnie jak ich matka. Całą szóstkę łączyła tylko jedna, również odziedziczona po matce cecha: prawy płatek małżowiny usznej był nieco mniejszy od lewego.

Dziewczynki, zwłaszcza w dzieciństwie, grawitowały ku matce, która nigdy nie uwolniła się od pewnej oschłości, widocznej nawet w jej uśmiechach i przejawach serdeczności. Ale nie brakowało jej też wspaniałego poczucia humoru, okraszzonego zmysłem ironii.

Każde z dzieci przeszło przez przedszkole i szkołę powszechną, a potem trafiło do college'u. W ich świecie nikomu nawet się nie śniło o zmianach społecznych, jakie miały przynieść ze sobą lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte. Ogólnokrajowa telewizja była dopiero na deskach kreślarskich. Czas wyzwolenia kobiet jeszcze się nie zaczął. Takie trendy, jak uni-seks i biseksualizm, pozostawały w ukryciu. Homoseksualizm był tematem tabu. Nie słyszało się nic o swobodzie seksualnej i totalnym zaniku więzi w rodzinie jako komórce społecznej. Młodzi ludzie jeszcze przez dwadzieścia lat mieli być wolni od radykalnych nastrojów. Nie wyruszyli jeszcze w błyskawiczną i ryzykowną podróż od wieku niemowlęcego do natychmiastowej dorosłości, z pominięciem dzieciństwa i tradycyjnie pojętej młodości. Chłopcy byli nadal chłopcami, a dziewczynki dziewczynkami. To nie budziło niczyich wątpliwości.

Jednym z pierwszych, którzy poczuli zwątpienie, był Richard. Chwila, w której po raz pierwszy poczuł ową zmianę, na zawsze pozostała w jego pamięci. Pewnego popołudnia, pod koniec lat czterdziestych, mając niemal dziewięć lat, wszedł w pierwszy, niejasny kontakt ze światem krańcowo różnym od tego, do którego przywykł.

Do czasu wakacji, które tamtego lata spędził u brata swej matki, na niewielkiej farmie, znajdującej się o czterdzieści mil od St. Joseph w stanie Missouri, Richard nawet na dzień nie opuścił asfaltowych ulic i cementowych chodników Detroit, przepelnionych nieustającym szumem. Nigdy nie widział gęsi, indyków i kurcząt. Orzechy czarne i białe, leszczyna, słodka

kukurydza, dynie, króliki, lucerna, tymotka, dzikie kaczki, wszystko, co znajdowało się na farmie, przyjmował jako coś absolutnie nowego, po raz pierwszy chłonąc to w sobie i głęboko przeżywając. Ale najbardziej oszalał na go ogrom przestrzeni — bezchmurne niebo, rzeka Missouri, rozległe pola niczym nie ograniczonych pól.

Tamto zdarzenie miało miejsce na trzy dni przed jego powrotem do Detroit. Dochodziła siedemnasta. Richard większą część dnia spędził na traktorze, towarzysząc wujkowi, który wysiewał fasolę sojową. Zostało im jeszcze jedno pole. Podłużne, przecięte ukośnym garbem, biegnącym przez środek. Z jednej strony pola znajdował się niewielki staw. Drugą wyznaczał rzędniejszy skraj sięgającego pół mili dalej lasu. Nadszedł czas, by Richard odpoczął. Położył się więc pomiędzy drzewami i przypatrywał się wujkowi, kreślącemu traktorem długie bruzdy od jednego krańca pola do drugiego.

Mijały ostatnie godziny jasnego i bezchmurnego dnia. Na zachodzie, za polem i stawem, widać było słońce powoli schodzące nad stromizny Kansas. Oczy Richarda leniwie śledziły jego blask omiatający owe stromizny i dwadzieścia lub trzydzieści mil pól i lasów, graniczących z Missouri, a potem przesuwany się przez rzekę, ku czarno-brunatnemu splechotkowi wujkowego pola. Słuchał śpiewu świergotków dochodzącego od strony stawu. Wysoko w górze jakiś ptak zmagął się z południowo-zachodnim wiatrem. Do uszu Richarda wlewały się dwa dźwięki, dwa odmienne rytmy. Warkot traktora, początkowo zbyt mechaniczny i rażący, brzmiał teraz rozkosznie. Narastał, kiedy wujek przejeżdżał obok miejsca, gdzie chłopiec leżał, cichł zaś, gdy maszyna pięła się pod garb, by zniknąć po jego drugiej stronie. Potem znów się nasilał, gdy traktor podjeżdżał pod tamten stok, pojawiał się ponownie, przetaczał się obok leżącego i parł na prawy kraniec pola, gdzie zawracał, by wyryc kolejną długą bruzdę.

Drugim odgłosem był szmer lekkiego, wieczornego wiatru, poruszającego liście rosnących wokół wiązów i klonów. Początkowo nie docierał do Richarda. Potem wdarł się w jego świadomość falującą serią cichych tchnień. Kiedy chłopiec przekreślił się na bok i podniósł wzrok, zobaczył tylko rozchwiane listowie, a za nim ciemniejący błękit nieba niczym poplamiony chodnik.

Nie tracąc kontaktu z żadnym z tych doznań, zaczął w dość szczególny sposób uświadamiać sobie obecność swego ciała, spoczywającego na skraju lasu, pośród mchu i paproci. Zapa-

chy dzikiego wiciokrzewu i majowych kwiatów jabłoni mieszały się z ostrą świeżością liści wiązu, które przed chwilą miętosił w dłoniach i rozdzierał na kawałki. Uświadomił sobie, że gdzieś nad jego głową, pośród gałęzi i liści, brzęczą i bzykają niezliczone, sądząc z intensywności tego hałasu, roje owadów. Wszystko wydało mu się ciepłe i żywe, a jego ciało i uczucia zaczęły się jawić nie jako coś odrębnego, ale jako cząstka owej rozpuszonej, tajemniczej całości, pełnej utajonych głosów i zawalowanych sekretów.

Położył się na plecach, wpatrując się w falujące, prześwielone słońcem liście i ptaki skaczące z gałęzi na gałąź, trajkoczące, toczące boje i szukające pożywienia. Chwilami z oddali dobiegał głos przepiórki wyśpiewującej swoje dwie nutki. Zobaczył wiewiórkę, która zaraz przeskoczyła z pnia na konar. Wszystkie mięśnie i ścięgna Richarda były rozluźnione. Żadnego napięcia. Ciałem i umysłem łączył się z jakąś niewzruszoną, miłą jednią, której daleko jednak było od bezruchu i milczenia. Wszystko wokół poruszało się, działało, działało. I, jak sobie dzisiaj przypomina, odruchowo doszukiwał się w owym wietrze głosu, czy też głosów, przesłania, jakie niesło mu to wielkie, wszechogarniające ukojenie. Narastający i cichnący warkot traktora stał się muzycznym tłem. Richard czuł napływające do oczu łzy i swoisty ból, który gdzieś w głębi napełniał go poczuciem szczególnej rozkoszy.

Po latach i w daleko bardziej krytycznych okolicznościach przyznał się do tego, że owe odgłosy i doznania, a w szczególności ów wiatr, przekazywały mu pewną nowinę, pewną informację. Patrząc wstecz, odnosił wrażenie, że wtedy powiedziano mu coś, czego utajony sens później sobie przypominał, choć nie potrafił przywołać ani słów, ani tonu, ani tożsamości tego posłańca.

Traktor podjechał wreszcie do niego, wujek zsiadł i obaj powoli ruszyli w kierunku domu.

Richardowi do powrotu do Detroit zostały jeszcze dwa dni. Spędził je, włócząc się po warzywniku, wylegując się w lesie i przesiadując na skraju stawu. Próbował ponownie odnaleźć cudowny moment, jakiego doświadczył tamtego wieczoru. Ale natrafiał tylko na ciszę. Był znowu, jak to określił później, zamknięty w twardej skorupie ciała.

Ciotka i wujek interpretowali jego zachowanie jako przejaw przygnębienia związanego z koniecznością rychłego powrotu do domu. A kiedy wyjeżdżali z nim na główną drogę wiodącą do stacji kolejowej w St. Joseph i Richard się rozplą-

kał, przyjęli to jako wyraz uznania: siostrzeniec chciałby u nich zostać. Owe wakacje uznali za swój sukces. Richard pamięta, jak powtarzał, nie kierując tych słów do żadnego konkretnego adresata:

— Ja wróczę. Ja wróczę. Proszę, pozwól mi wrócić.

Kiedy znalazł się w domu, jego opalenizna, tężyzna fizyczna, jakiej nabył, zdrowa cera i nowo zdobyta wiedza na temat spraw wsi i natury zachwyciły całą rodzinę.

— Nareszcie, Richardzie, stajesz się prawdziwym mężczyzną! — powiedział z dumą ojciec.

Ale Richard większą uwagę zwrócił na swą matkę i siostry. Kiedy mówiły, śmiały się lub poruszały, czuł coś nieokreślonego, przywołującego na myśl tamtą chwilę na skraju lasu. I siostry, i matka zdawały się nieść w sobie jakąś głęboką tajemnicę, jakąś pełnię, były miękkie, a zarazem elastyczne. Ojciec i bracia — żwawi, zważający na swe gesty, obnoszący się ze swą pewnością siebie, konkretni we wszystkim, co robią — wydali mu się zaskorupiali. Budzili odrzę. Ale i był zażenowany tym, że odrzę budzi w nim to, co powinno być jego ideałem. W głosach ojca i braci nie wyczuwał żadnych półtonów, żadnych ukrytych sensów, żadnych subtelnych rezonansów.

I choć nie umiał wtedy poddać tego analizie, czuł to. Rzecz jasna, nie wspominał o tym nikomu z domowników, nie próbował zdobyć się na rozmowę. Robił to wszystko, co mógł robić. Tak jak wtedy, gdy zwracał się do wiatru, drzew, barw i ptaków z farmy, myślał (lepiej byłoby rzec: *czuł*): „Nie chcę was opuścić. Chcę być taki jak wy”. W owym czasie i jeszcze długo później nie widział jednak, kim było owo „wy”.

Zagarnęła go codzienność, w domu i w szkole. Jeżeli chodzi o sport, dorównywał swoim kolegom. Zawsze dostawał dobre oceny. Ukończywszy dwanaście lat, zachłannie rzucił się na książki. W domu i w szkole uważany był za normalnego chłopca, nieco zamkniętego w sobie, w miarę łagodnego, wolnego od chorobliwej nieśmiałości, kogoś, kogo nie można było nazwać „mazgajem” albo słabeuszem, odnajdującego się w grupach i zespołach, a zarazem wyjątkowo wrażliwego i pełnego ciepła.

Nic nie zatarło w jego pamięci zdarzenia na farmie, ale nigdy już nie powrócił do St. Joseph. Następne wakacje spędzał wraz z ojcem i braćmi w Kanadzie. Dopiero pod koniec jego siedemnastego roku życia wydarzyło się coś jeszcze, co dojmująco wpłynęło na przyszłą zmianę.

Dołączył do grupy swych kolegów z klasy, którzy pod opieką niejakiego kapitana Nicholasa, byłego leśnika, wybierali się na trzytygodniowy obóz do Kolorado. Celem owego wyjazdu było zapoznanie się ze sztuką przetrwania w najprymitywniejszych warunkach. Rozkład zajęć był wyczerpujący i wymagający ogromnej aktywności. Po zakończeniu obozu mieli być obeznani ze wspinaczką, pływaniem, ratownictwem, organizowaniem sobie pożywienia, rozpalaniem ognisk, gotowaniem, zastawianiem pułapek, wchodzeniem na drzewa, pierwszą pomocą, wszystkim, czego kapitan Nicholas zdołał ich nauczyć w te kilka tygodni. Po wakacjach cała ósemka miała wspólnie spędzić ostatni wieczór na ranczo należącym do kapitana Nicholasa i jego rodziny.

W ramach owej szkoły przetrwania, każdy z chłopców miał spędzić jedną noc samotnie, z dala od obozu. Kiedy nadeszła pora na to, by i Richard zmierzył się z ową „próbą samotności”, polecono mu, by spędził tę noc na niewielkiej polance na stoku nad jeziorem, o milę od obozu. Otrzymał gwizdek, z którego miał skorzystać, gdyby potrzebował pomocy. Zgodnie z obozowym regulaminem, leśnik i pozostali chłopcy rozstali się z nim o zmroku.

Kiedy ich kroki i wołania ucichły, Richard zajął się zbieraniem chrustu na ognisko. Znajdował się sto pięćdziesiąt stóp nad taflą jeziora. Wokoło były tylko pokryte lasem góry. Nad szczytami pojawił się już księżyc w pełni, poświata dotknęła wody i wydobyła sylwetki otaczających Richarda drzew. Intensywny aromat żywicy tworzył atmosferę, w której chłopak czuł się jak mile widziany nieznajomy. Niewiele docierało do niego dźwięków poza szumem wiatru, który potrząsał koronami sosen i lekko marszczył powierzchnię wody. Powietrze było nagrzane, choć już zaczynał się wkładać lekki chłód.

Richard przez chwilę stał bez ruchu, rejestrując wszystko, co go otacza, tak by nie zgubić się w mroku, gdy ruszy po chrust. I nagle wydało mu się, że spowijająca go cisza otwiera się. Spadła niewidzialna zasłona i Richard zatracił swoją odrębność, stopił się z tym, co go otaczało.

W pierwszej chwili przestraszył się i sięgnął po gwizdek. Zasada była taka, że każde pojawienie się lęku albo obawy należało przekazać do obozu dwoma gwizdami, długim i krótkim. Nie wiązało się to z żadną ujmą. Dostrzeganie i szanowanie takich uczuć było częścią programu.

Ale ta pierwsza reakcja niemal natychmiast zatoneła pośród głębszych doznań. Richard klnie się dzisiaj, że odniósł wtedy

wrażenie, że noc, za pośrednictwem swej poświaty, szmerzącego głosu pośród sosen, aromatów i pozornej ciszy, upomina się o niego i mówi: „Jestem tylko tajemnicą. Nie groźbą. Nie krzywdę. Odsłaniam. Nie odrzucaj mnie”.

Wypuścił z warg gwizdek i usiadł na stoku, owładnięty jedną ideą, bębniącą cicho w niego słowami, które mógł uznać za własne: „Poddałem się. Postępuję wbrew temu, czego mnie uczą. Ale chcę... poddałem się... wbrew temu, czego mnie uczą...” Niemal zaraz poczuł, że otaczają go jakieś kształty, przejawy czyjejs obecności, które do tamtej pory leżały w ukryciu albo uśpieniu. Był pewien, że są, chociaż nie umiał ich dojrzeć. Strach prysł. Zostało tylko zakłopotanie. Wiatr pośród sosen i światło na wodzie były cząstką i osłoną owej obecności. Ale było też coś więcej, coś, czego nie umiał rozpoznać — coś, co mógł tylko przyjąć lub próbować odrzucić. Coś mówiło na wietrze i lśniło w księżycowym blasku. Te tajemnicze zjawiska wspólnie zamykały jego zakłopotanie w swoistej sieci, obmywając je niepojętą łaską, a zarazem zmiękczając w jego wnętrzu jakąś cząstkę, która powinna była być twarda i nierozpuszczalna, ale teraz stawała się miękka, giętka, wodnista, topniejąca w obliczu ogromnej tajemnicy. Pamięta, że powtarzał wciąż: „Poddałem się... chcę... wbrew temu, czego mnie uczą...”

Potem, pomimo ciemności, zaczął dostrzegać szczegóły: barwy otaczających go skał, różne rodzaje zmarszczek na wodzie, odcienie drzew, poszczególne tony w szumie wiatru. I pamięć zaniósła go w przeszłość: znów leżał na skraju lasu w okolicy St. Joseph, znów słuchał rozmów i pogawędek swojej matki i sióstr, znów patrzył na tańczących rodziców podczas jednego ze świąt rodzinnych, znów podczas powrotu z kina ścisnął dłoń swojej koleżanki ze szkoły.

A kiedy ów rdzeń jego natury topniał, usłyszał zwrot, którym ojciec często posługiwał się podczas rozmów z synami: „Głowa do góry, młody człowieku!” Głos słabnący, zamieniający się we wstrętny bełkot: „My mężczyźni musimy być silni. Głowa do góry głowa do góry młody człowieku głowa człowieku silni głowa do góry człowieku...”

Poczuł, że jego ciało dygoce, tak jakby zrzucało z siebie łuski zbroi. Nie wiotczało, nie kleiło się do ziemi. Było raczej spójną kontynuacją ziemi, światła, głosu wiatru, księżycowego srebra, ciszy. Zdawało mu się, że otrzymało możliwość natychmiastowego złączenia się z naturą. Wiedział, że to niemożliwe. I to był ostatni, kluczowy moment, kiedy coś w nim zdobyło się na wyraźne ostrzeżenie.

Ale po krótkiej, wewnętrznej pauzie, jak mu się zdawało, odrzucił opory, zdecydował się przyjąć tamto i zrobił to w sposób niemal godny poety.

— Nie znam cię. Chcę tego, czym jesteś. Chcę wejść w obręb twojej tajemnicy. Nie chcę męskiej twardości i siły. Chcę twojej pełni.

Powiedział to głośno. Słowa wypadły na zewnątrz, na polę wyszeptane, absurdałne — gdyż rozum mówił mu, że tej nocy na tym górskim stoku nie ma poza nim nikogo. Ale coś daleko potężniejszego, znajdującego się poza rozumem, nie przestawało go wabić. Odpowiedział:

— Chcę być kobietą... tak... mężczyzną kobietą.

Nie rozumiał, co mówi, ale powtarzał to dalej. I wszystko, tej nocy, reagowało na jego wezwanie — nieomylnie, jak mu się zdawało — mówiąc:

— Będiesz. Możesz być. Będiesz. Zagadkowy. Silny. Tajemniczy. Otwarty. Będiesz. Możesz być. Kobieta. Mężczyzną. Miękką. Twardym. Wszystkim. Będiesz. Możesz być.

Zatracił poczucie czasu. Nie rozpałił ogniska. Nie ruszył się z miejsca, na którym siedział. Księżyc wzeszedł i zaszedł. Wiatr nadciągnął i odszedł. Kilkakrotnie zahuczały sowy, raz, czy dwa, wrzasnął jakiś ptak, przerażony z powodu któregoś z nocnych zabójców. Pamięć Richarda odbierała to jakby pośrednio. Te godziny wypełniało coś innego: głos — czy też poczucie głosu — który wdierał się weń i tonął w jego wnętrzu potokiem nut.

Richard, przypominając sobie ową piosenkę, zwraca uwagę na dwie rzeczy. Nie było w niej żadnego szczególnego rytmu, żadnego wyczuwalnego brzmienia. To była tylko melodyjka, zajmująca, ale nie znacząca. Co więcej, nie mówiła mu nic nowego, szokującego, czy przedziwnego — miał wrażenie, że te nuty były już gdzieś w nim zapisane, że powracały jako echa melodii z zewnątrz. Swoim dźwiękiem określały cechę, a może stan, coś, co towarzyszyło mu zawsze, choć sobie tego nie uświadamiał, nie mówiąc już o wyrażaniu tego poprzez swoje gusta, sposób poruszania się, spojrzenia, ukryte sensy słów, czy odbiór otaczającego go świata.

Ale ta wiedza nie była już gwałtownym rwaniem się na zewnątrz, by uchwycić cel, osiągnąć doskonały zamiar celownikiem logiki — „ustawić na nim krzyżyk”, jak mawiał jego ojciec, entuzjasta strzelectwa. W tym zmienionym w melodię stanie wszystkie cele dostawały się w delikatny labirynt wrażliwości, emocji, reakcji i przeczucia. A nad tym wszystkim dominowało poczucie przyjęcia swoistego sakramentu, paktu

zawartego z tym, co zrodziło wodę, ziemię i powietrze, silnym i jednocześnie czułym, miękkim i nieugiętym, męskim i żeńskim. I właśnie to poczucie jednoczesnego, jednorodnego związku z całą naturą na dobre zadomowiło się w jego wnętrzu. Czuł, że coś lekko, niemal niepewnie dotyka w nim wszystkiego, okazując swą łagodną siłę i wolną od dumy stanowczość, dowodząc, że dokonało ostatecznego wyboru, ale nie grożąc gwałtem.

Melodia przez całą noc nie milkła, a o wschodzie słońca kapitan Nicholas i koledzy z klasy odkryli, że Richard siedzi na stoku, rześki, uśmiechnięty, może nieco rozmarzony, ale całkiem przytomny.

Tylko kapitan Nicholas dostrzegł w nim pewną zmianę: szczególną mgielkę w głębi jego oczu i sposób, w jaki odwrócił głowę, by przywitać nadchodzących. Kiedy minęła pora żartów i zaczęli schodzić w kierunku obozu na czekające ich tam śniadanie, kapitan zrównał się z Richardem i zapytał:

— Dobrze się czujesz, dzieciaku?

Gdy chłopak odwrócił się w jego stronę, leśnik zauważył, że mgielka, którą przedtem dostrzegł, znikła, tak jakby Richard opuścił zasłony, by ukryć swój stan wewnętrzny. Odpowiedź brzmiała najzupełniej normalnie:

— Urządziłem sobie bal. Dobrze się spisałem?

Wakacje skończyły się w tydzień później. Wszyscy razem opuścili góry późnym popołudniem, zeszli ze stoków i powędrowali do leśniczówki, przy której zostawili swój samochód. Po godzinie zajechali na ranczo, gdzie powitały ich żona kapita- na Nicholas a i jego córka Moira. Byli zmęczeni. Po kolacji poszli spać.

Jednakże Richard miał trudności z zaśnięciem. Ledwie poznał Moirę, odżyło w nim to, czego doznał na górskim stoku.

Mając świeżo w pamięci tamto doświadczenie i będąc wciąż pod wrażeniem paktu, jaki zawarł z powietrzem, wodą i ziemią — owego dojmującego zachwyty, jaki miał mu towarzyszyć jeszcze przez wiele tygodni — widział w Moirze ucieleśnienie tajemniczej postaci, którą nosił w swej pamięci. Wydała mu się odpowiedzią na modlitwę, którą odmówił w górach, modelem, który mu obiecano na ocienionym stoku. Dostrzegł naturalną powagę jej lica, siłę, a zarazem lekkość jej sylwetki, przywodzącą mu na myśl siłę i lekkość tamtej postaci, którą czuł obok siebie owej pamiętnej nocy w górach, lekko chwiejny chód, świadczący o swobodzie. Wszystkie elementy jej aparycji i osobowości były dla niego objawieniem tego, czego najbardziej

pragnął: matowy głos, współgrający z niewymuszonym wdziękiem jej gestów, swoiste poczucie uprzywilejowania, które widziało się w jej oczach (przynajmniej on je widział), i delikatny pokład uczuć, które, jak wiedział, objawiały się w jej śmiechu, czyniąc go totalnie odmiennym od głośnego rechotu kolegów z klasy.

Kilku chłopców zauważyło jego fascynację jeszcze tego samego wieczoru, tuż po przyjeździe na ranczo, i natychmiast urządziło sobie pośmiewisko.

— Richard chce ją urządzić! Richard ma chcieć! Richard chce ją zwalić!

Nie brał im tego za złe, nawet kiedy jeden z nich całkiem poważnie zaproponował, że go „ustawi” z Moirą.

Moira dzisiaj przypomina sobie, że tamtego wieczoru docierały do niej te żarty. Początkowo zareagowała w sposób typowy, była na wpół rozbawiona, na wpół skrępowana. I prawdopodobnie w niczym nie pomogłaby Richardowi, gdyby on nie wystąpił z inicjatywą. Zdarzyło się to rankiem, przed ich wyjazdem. Richard dość wcześnie zszedł na dół i odkrył, że Moira przygotowuje śniadanie.

Dziewczyna z miejsca wyczuła, że nie ma do czynienia z jeszcze jednym młodym człowiekiem, któremu zebrało się na flirtowanie. Nie zachowywał się też nieśmiało. Poza radosnym „Hej, dzień dobry”, początkowo niewiele mówił, natomiast zaraz zaczął pomagać jej przy śniadaniu. Miała dziwne wrażenie, że łączy ich jakaś podświadoma więź. Początkowo ją to zaniepokoiło, później, ku jej zaskoczeniu, zaczęło sprawiać przyjemność.

Kiedy tak pracowali, zapytała go, czy ma siostry.

— Trzy. — Powiedział to obojętnie, bez satysfakcji i bez wzgardy.

Zajęli się przygotowaniem stołu. Richard zerknął na nią raz lub dwa. Potem stwierdził:

— Wycieczka była fantastyczna. Byłaś tam kiedyś?

Potrząsnęła głową, czekając na typową litanie wyczynów i aktów męskiej wytrwałości i siły. Ale Richard dodał tylko:

— Odkryłem tam, kim chciałbym być.

Zapytała, czy chciałby być leśnikiem.

— Nie! Nie! — zaprotestował.

Wyjaśnił, że odkrył tam, jakiego rodzaju osobą chciałby być. Popatrzył na nią, z błyskiem w oku. Moira nastawiła się na uroczyste zapewnienia o wiecznej miłości i nieodpartym pocią-

gu. ale Richard, nadal wpatrując się w nią z ogniem w oczach, powiedział tylko:

— Szczerze mówiąc, Moira, chciałbym być taki jak ty.

W pierwszej chwili chciała wybuchnąć śmiechem, skomentować to dowcipnie i przejść nad tym do porządku dziennego. Ale coś w niej drgnęło, ostrzegając ją, by tego nie robiła. Odwróciła się szybko w stronę pieca, zaniepokojona, trochę przestraszona. Richard pracował dalej, nie przestając mówić.

Powiedział, że wie, iż zabrzmiało to dziwacznie, ale wiedział, co mówi; trudno byłoby mu to wyjaśnić, ale chciał się z nią podzielić tym faktem. Próbowala mu przerwać, ale usadził ją ostro, prawie tonem nagany. Odwróciła się do niego. Miał lzy w oczach. Nadal widziała ten błysk, ale i jakiś ulotny grymas, może oznakę skruchy.

— Przepraszam. Nie zamierzałem krzyczeć.

— Nie krzyczałeś. To ja niepotrzebnie otworzyłam gębę.

Podążyła, śladem jego spojrzenia, ku wielkim, sięgającym od podłogi do sufitu oknom kuchni. Zobaczyła, że pokryte lasem góry, które rozsiadły się w oddali, przesłania lekka mgiełka, skracająca ów dystans. Zdawało się, że chłopiec i dziewczyna, nie wychodząc z kuchni, mogliby ich dotknąć, gdyby tylko wyciągnęły ręce.

— Cokolwiek to było, Richardzie, było bardzo piękne — powiedziała, żeby przerwać pełne napięcia milczenie. — Mam nadzieję, że osiągniesz to, czego chcesz. To musi być wspaniałe.

— A zatem wiesz. Wiesz. — Był podniecony jak mały chłopiec. — Osiągnę to. Teraz jestem pewien.

Moira nie bardzo wiedziała, o co chodzi Richardowi. Jako nastolatka, zaczęła dzielić znanych sobie chłopców na różne kategorie, które nazywała po swojemu — „mięśniaków” (sportowców i ludzi bezpośrednich), „mięczaków” (miłych, ale słabych), „misiaczków” (ludzi zniewieściałych) i „profesorków” (rozmiłowanych w nauce i poważnych). Oni wszyscy mówili o sobie, i to prawie zawsze sprowadzając to do swych osiągnięć w szkole, w interesach, w sporcie, czy w kontaktach z innymi dziewczynami. Była już pewna, że Richard nie pasuje do żadnej z tych kategorii. Rezerwa, którą czuła na początku rozmowy, ustąpiła miejsca wrażeń, że jest w nim pewna delikatność, podobna do tej, jaką widziała u siebie. Czuła, że poznał — nawet jeśli była to wiedza nabyta — tę charakterystyczną dla kobiet intymność, której nie sposób szukać u mężczyzn.

Kiedy kończyli przygotowania do śniadania, Richard z ochotą dzielił się doświadczeniami. Opowiadał o swoich doznaniach

i gustach, o dotykaniu drzew, liści, trawy i kwiatów, o unoszących się w powietrzu zapachach, o wietrze, ciszy i pragnieniu, by stać się tak „dowewnętrznym” jak ona i tak niezależnym jak jego ojciec. Ten wypunktowany pauzami potok słów wypowiedzianych nad widelcami, łyżkami i szklankami miał w sobie coś miłego i delikatnego. Umilkł na moment przed dobiegającym od strony schodów tupotem pierwszej pary nóg. Moira, patrząc chłopcu prosto w oczy, zapytała:

— Richardzie, czy nie powinienes kogoś zapytać o...?

— Nikt z nich nie zrozumie. Wiesz o tym — odrzekł natychmiast, nie obruszywszy się jednak. — Nie martw się. Otrzymuję wiele rad. Od tych, którzy mają rację. Kiedy skończą, będę wiedział, jak się czuje, jak się jest zarazem chłopcem i dziewczyną. Jednocześnie.

Moira wspomina dzisiaj, że zaprotestowała przeciwko takiemu postawieniu sprawy i z całym przekonaniem usiłowała wytłumaczyć Richardowi, iż jego „plan” to totalny absurd.

— Nie!

W jego głosie znów pojawiła się owa nuta agresji. Błysk, który Moira dostrzegła na dnie jego oczu, przypomniawszy jej chwilę, kiedy jako trzyletnia dziewczynka, widziała owczarka alzackiego warczącego i szczerzącego kły. Poczula lęk.

— Tylko nieliczni mogą to osiągnąć — stwierdził szorstko Richard. Uśmiechał się, ale nie spodobał się jej ten uśmiech. — Takie są reguły tej gry — dodał po chwili.

Moira była przekonana, że chłopak powie coś więcej, ale w tej samej chwili kuchnia dostała się we władanie siedmiu jego kolegów, hałaśliwych, roześmianych i głodnych, co do reszty uwolniło ją z tej niezręcznej i niesamowitej sytuacji. Richard ponownie przywdział skórę sympatycznego, poczciwego i wesołego kolegi. Był taki, jakiego poznała dzień wcześniej, kiedy trafił do jej domu.

W kilka dni później Richard rozpoczął nowy rok szkolny, ale nadal żył wspomnieniami wakacji. Nieświadomie drażył kwestię jednego z najbardziej tajemniczych aspektów ludzkiej osobowości: płci. Spoglądając wstecz, możemy dostrzec, w jakim stopniu jego specyficzne wyobrażenia wpłynęły na dalszy rozwój jego osobowości. To jednak nie wyjaśnia przyczyn opętania.

W rok później Richard rozpoczął naukę w college'u. Kiedy był w pierwszej klasie, jego starsi bracia poženili się. Siostry już opuściły dom i założyły własne rodziny. Mimo iż wiele czasu poświęcał przyrównywaniu siebie do nich, nigdy naprawdę ich

nie poznał. Nigdy nie wdał się w głębszą rozmowę z nimi, stąd też nie miał okazji pojąć, na ile różni się ich punkt widzenia.

Specjalizował się w matematyce, a jako przedmioty dodatkowe wybrał literaturę angielską i francuski. Regularnie korespondował z Moirą i z czasem zaprzyjaźnił się z nią na dobre. Niekiedy spędzał wakacje z nią i jej rodzicami, bywało też, że dziewczyna przyjeżdżała do Detroit i zatrzymywała się u jego rodziny. Studiowała literaturę angielską i dziennikarstwo na uniwersytecie w Denver. Zamierzała wejść na rynek wydawniczy.

Pod koniec drugiego roku szkoły odbył poważną rozmowę z ojcem, bulwersując go niezwykle śmiałymi i niekonwencjonalnymi poglądami na sprawę seksu. Przeczytał całego D. H. Lawrence'a, *Orlanda* Virginii Woolf, *Indianę* George Sand i stos innych książek, o których istnieniu jego ojciec nigdy nie słyszał. Broniąc swych poglądów na temat matriarchatu, wyższości kobiety i jej statusu, powoływał się na antropologów i socjologów.

Ojciec porozumiał się z miejscowym rabinem. W okresie ferii wielkanocnych odwiedził go wraz z Richardem. Rabin uznał chłopca za rozsądnego, a jego poglądy za sensowne. Podkreślił, że pierwotna, hebrajska Biblia nie głosiła, iż Bóg stworzył Ewę, pierwszą kobietę, z żebra Adama. Słowo, którego w niej użyto, oznaczało „jedną z dwóch dopełniających się części”. Zwrócił uwagę na zasygnalizowaną w tym stwierdzeniu androginię.

— I tak mężczyzna i kobieta są połówkami tej samej istoty — podsumował — tyle że kobieta więcej ma wspólnego z Bogiem, gdyż obdarzona jest łonem, posiada moc tworzenia.

Ojciec Richarda słuchał tego ze zdumieniem. Richard zaś znalazł nową pożywkę dla swych marzeń o kobiecości.

Pod koniec ostatniego roku nauki porozmawiał z ojcem na temat pracy w firmie ubezpieczeniowej. Nie pociągał go żaden określony typ wiedzy. Nie interesowała go ani medycyna, ani też prawo. Szukał jedynie sytuacji, która pozwoliłaby mu na urzeczywistnienie największego marzenia.

Na początku czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku, mając dwadzieścia jeden lat, podjął pracę w firmie swego ojca. Dał się poznać jako bardzo gorliwy stażysta. Był sumienny, uwzględniał wszystkie uwagi, pracował ponad miarę, chętnie rezygnował z weekendów, by zająć się trudniejszymi sprawami, a nocami studiował prawo. Ojciec był dumny z jego

decyzji i jej efektów. Matkę uszczęśliwiło to, że jeden z jej synów zdecydował się pozostać w domu.

Wolne chwile Richard poświęcał na lekturę. Urządzał sobie też długie samotne spacerki. Jak tylko wy dostał się z college'u, niejako wyłączając się z życia w zbiorowości, zaczął pracować nad swym ideałem.

Bezustannie, dniem i nocą, roił sobie tylko to jedno. Marzył, by wszyscy dowiedzieli się raz na zawsze, że łączy w sobie mężczyznę i kobietę. Śniło mu się, że już o tym wiedzą i przyjmują ten fakt radośnie, a nawet z podziwem. W owych snach, zależnie od zmiennego poczucia przynależności płciowej, nosił męskie lub kobiece ubiory, skórę miał gładką lub szorstką, głos metaliczny i męski albo matowy i głęboki, włosy krótkie lub długie, umysł logiczny, funkcjonujący racjonalnie, lub podopieczony intuicji i uczuciom, piersi krągłe, o wyraźnie znaczących się sutkach, albo płaskie i bezkształtne, genitalia męskie lub żeńskie. Ale przeważnie był kobietą — i to obdarzoną szczególnie wyrazistymi cechami płciowymi.

Bywało też, że śnił o sobie jako o mężczyźnie, do którego lgnęła piękna kobieta, której twarz i ponętą sylwetkę utożsamiał ze swoją własną. Jego żeńska wersja. Kiedy się kochał, był kimś więcej niż tylko mężczyzną wchodzącym w swą partnerkę. Czuł, że jest także kobietą dzielącą z partnerem swój najgłębszy sekret. Był nie tylko mężczyzną, przybyszem i zdobywcą. Niczym kobieta, czuł, że zapada się w spowijające ów sekret aksamity, dotykając sensu stworzenia i kształtowania zagadkowych światów, pełnych cichego, namiętnego szeptu.

Czasami miało to miejsce w jego domu w Detroit, czasem też nad górskim jeziorem w Kolorado, niekiedy zaś w jakiejś egzotycznej krainie. Ale najczęściej śnił mu się mały domek nad wodą, stojący pośród drzew. Podczas podróży służbowych Richard starał się mieć oczy otwarte; liczył na to, że może znajdzie podobne miejsce na jawie.

Z Moirą łączyło go już coś więcej niż tylko przyjaźń. Dziewczyna ta, w jego oczach, była nadal kobietą, której obecności doświadczył w Kolorado, czuł więc, że mogłaby się przyczynić do spełnienia jego marzeń o doskonałej miłości. Co więcej, Moira była w nim zakochana. Wydawało się zatem, że wszystko układa się idealnie. Z czasem zdecydowali się na zaręczyny i zaczęli myśleć o ślubie. Moira była zdania, że powinni się pobrać, kiedy Richard dostanie awans. On zaś uzależniał tę decyzję od znalezienia domu, o którym śnił.

W połowie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku firma wysłała Richarda do wschodniego Illinois, do Tanglewood, by na jakiś czas zastąpił jednego z pracowników tamtejszej filii, któremu zdarzyło się zachorować. Praca w Tanglewood miała swoje zalety. Nowy szef polubił Richarda. Po uciążliwym miejskim życiu, jakie ograniczało go w Detroit, nie pozostał nawet ślad. Objęcie nowego stanowiska było równoznaczne z awansem. Biuro w Tanglewood zwiększało właśnie zasięg swego oddziaływania i Richard mógł się włączyć w realizację kluczowych planów firmy.

Najważniejsze było jednak to, że znalazł dom, który w najwyższym stopniu odpowiadał utrwalonemu przez sny wyobrażeniom. Ten parterowy budynek, zwany Domem Nad Jeziorem, otoczony trzema akrami ziemi, wyróżniał się spośród innych wielkimi, rozsuwanymi szybami, wychodzącymi na rozległy staw. Pierwsi jego właściciele, zamieszkujący go u schyłku dziewiętnastego wieku, posadzili na owych trzech akrach drzewa: kasztanowce, jawory, sosny, wiązy, brzozy i dęby. Richard już podczas pierwszych oględzin usłyszał szum wiatru trącającego gałęzie nad stawem. Pojął, że to jest ten dom. Co więcej, właściciel wyraził zgodę na dzierżawę.

Jesienią Richard wprowadził się do Domu Nad Jeziorem. Dzięki swojemu nowemu szefowi uzyskał stałą posadę w Tanglewood. Wysłał triumfalny list do Moiry, prosząc ją o rękę. Nie ociągała się z wysłaniem telegramu.

Ślub wzięli w Tanglewood dwudziestego pierwszego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku. Zdecydowali, że nie wyjadą w podróż poślubną, a miesiąc miodowy spędzą w Domu Nad Jeziorem. Zgodnie ze swym postanowieniem, pojawili się tam sami jeszcze tego samego wieczoru. Wszystko zapowiadało się wspaniale. Przez cały dzień powietrze było balsamiczne, słońce przygrzewało, ale w koronach drzew śpiewał lekki wietrzyk, przynosząc świeżość i przyjemny chłód.

— Nasz dom jest czysty, ale nie wypucowany — stwierdziła Moira, parafrazując Scotta Fitzgeralda — a omiatany wiatrem.

Przez cały okres przyjaźni i narzeczeństwa ograniczali się jedynie do sporadycznych namiętnych pocałunków. Podobnie jak pod wieloma innymi względami, i w tym przypadku każde z nich uważało, że tego właśnie pragnie drugie. Ich pierwszy wieczór we własnym domu i noc, która po nim nastąpiła, Richard długo jeszcze przeżywał w swych snach. To była total-

na katastrofa, i to nie z uwagi na ich brak doświadczenia, ale z powodu dziwnego zachowania Richarda i reakcji Moiry.

Godzinami odwlekali pójście do łóżka, spacerując nad wodą i pośród drzew, gawędząc na ganku i przyglądając się w milczeniu otaczającej ich nocy.

W końcu się położyli. Umysł i ciało Moiry zdążyły się już dostroić do ruchów Richarda, ciepła i zapachu jego ciała, pożądania, które odczuwał. Zerknęła na jego twarz, zachęcając go wzrokiem. Leżał na wznak, z głową zwróconą ku rozsuniętym szybom. Zdawało się, że słuchał dobiegających od strony stawu odgłosów nocy — szumu wiatru, plusku wody i pohukiwania sowy.

Potem odwrócił się do żony.

— Teraz, kochanie — powiedział dziwnie cicho — teraz Dom Nad Jeziorem jest ich pełen. Dziś jestem całkowicie sobą.

Moira nic nie rozumiała. Ale nie na tym jej zależało. Richard całował ją i pieścił, wchodził w nią. Zamknawszy oczy, błędząc dłońmi po całym jego ciele, po raz pierwszy zaczęła pograżać się w ekstatycznej miłości.

I wtedy usłyszała jego głos — tym razem dziwnie ostry.

— Otwórz oczy! Spójrz na mnie!

Widok jego twarzy poraził ją. Zobaczyła płaską, napiętą powłokę, bez jednej zmarszczki. Nic nie wyrażającą. Usta Richarda były zamknięte. Oczy, wprost przeciwnie, otwarte, ale patrzące sztywno, znieruchomiełe; nic nie widzące otwory, szkliste i martwe.

— Richardzie, ty mnie nie widzisz — powiedziała słabo.

Jego ciało wydało się jej nienaturalnie ciężkie, z trudem łapała powietrze. Poczula nagle bolesny skurcz brzucha i podbrzusza. Pociła się: pot pokrywał ją niczym cienka błona. Znalazła w sobie odrobinę głosu.

— Richard! —

Ale Richard był gdzie indziej. Odkąd odwrócił się od okna, widział już tylko swoje kobiece „ja”. Kiedy wszedł w Moirę, opanowała go burza, nad którą nie umiał zapanować. Sparaliżowała go nadmiarem tęsknoty, a zarazem wstrętu; poniosła z prędkością nie pozostawiającą miejsca na opór. Oba te uczucia tak się ze sobą splątały, że im większą czuł odrazę, tym chętniej oddawał się swym pragnieniom. To znów potęgowało wstręt, aż w końcu nie potrafił już rozróżnić tych doznań. Oba brały swój początek gdzieś w nim. Był ich źródłem. Im wyżej piął się ku ekstazie, tym mocniejszy czuł niesmak.

Widział jedynie, że ta jego piękna żeńska cząstka miota się gwałtownie, chcąc sprostać jego pasji. Poczul też, że jej palce, niby szpony, wbijają się w jego plecy i pośladki, najpierw lekko, potem coraz mocniej, i w końcu rozdzierają skórę. Kiedy otwierała oczy, widział, że w ich ciemnym błękitcie żarzy się uczucie. Potem zmieniły się w szparki i rozjarzyły się beżowo, przywodząc mu na myśl świńskie oczka, ale to tylko pogłębiło jego fascynację.

— Nie widzisz mnie, Richardzie! — powiedziała jego żeńska cząstka. — Spójrz na mnie! Spójrz na mnie!

Nakazał swemu ciału odnaleźć jej sekret, próbował spenetrować wszystkie krzywizny i zakamarki pochwy. Robiąc to, czuł, jak porusza się w nim coś twardego i kanciastego. Słyszał jakiś głos — może swój własny — mówiący mu:

— Daj mi cię posiąść, Richardzie; posiąść twój sekret, twoją tajemnicę. Przerżnę cię... przerżnę. Daj mi!

Słowa utonęły pośród ciężkich, przyspieszonych oddechów, narastających z coraz większą mocą. Przeszły w nieartykułowane dźwięki, świsty, stęknienia, pochrząkiwania i wdech, tak przytłumione, jakby przeciskały się przez wypełnione śliną gardło.

Pragnienie i odraza sięgnęły zenitu. Obyło się bez ejakulacji. Richard pęczniał i rozrastał się, aż odniósł wrażenie, że brzuch mu pęka. Zafascynowany własną awersją, czuł, że jakies obce ciało wlewa weń gorącą, kleistą i palącą ciecz. Zauroczenie i niesmak stopiły się w jedno. Zaczął się rzucać i szamotać.

W owym czasie Moira wrzeszczała ze strachu, miażdżona napierającym na nią ciężarem. Dławiła się własnym krzykiem. Nagle Richard zsunął się z niej. Głos Moiry odpłynął w przestrzeń.

Richard stał na drugim końcu pokoju, trzymając w dłoni nóż do papieru. Odwrócony tyłem do swej żony, zamasztył ruchami dźgał i kaleczył ścianę, zdzierając tapetę i tynk. Tłukł pięścią w mur. Moira słyszała jego głuchy, to nasilający się, to znów słabnący jęk.

Plecy, pośladki i nogi Richarda pokrywała sieć zadraśnień, pręg i skaleczeń, poznaczona gdzieniegdzie mikroskopijnymi kroplami świeżej krwi.

W owym momencie Moira zaczęła bać się o swoje życie. Bez wahania, zerwała się z łóżka i wypadła z pokoju. Złapała płaszcz i kluczyki, z rozmachem otworzyła drzwi i pognąła do samochodu. Słyszała, jak Richard woła łamiącym się głosem:

— Moira! Wracaj! Moira, nie odchodź. Pomóż mi! Wracaj!

Ale była już w połowie podjazdu. Pojechała do hotelu, w którym spali jej rodzice. Nigdy już nie wróciła do Domu Nad Jeziorem ani do Richarda. Dwa lata później uzyskała rozwód.

Marzenia Richarda legły w gruzach. Otrzymał jednak coś w zamian. Pojął, że ma teraz w sobie coś nowego, żywego i obcego, a zarazem dobrze znajomego i nieodstępного.

Dwa tygodnie, które do niedawna mogły stanowić część jego miesiąca miodowego, spędził w Domu Nad Jeziorem, niewiele jedząc, odsyłając wszystkich gości, nie odpowiadając nawet na telefony. Stopniowo wracał do normalnego życia. W biurze pojawił się w wyznaczonym terminie.

Czas wolny od pracy i obowiązków, o ile akurat nie wypadł mu jakiś wyjazd, spędzał w domu. Nie godził się na żadne wizyty. Nawet jego rodzina, która przyjechała w gości, musiała się zatrzymać w jednym z hoteli. Dom Nad Jeziorem był jego zamkiem i azylem. W weekendy wylegiwał się w łóżku, czekając na wschód słońca. Regularnie, jak tylko pojawiały się pierwsze smugi szarego światła, ptaki rozpoczynały swój śpiew. Najpierw odzywał się jeden, potem gdzieś indziej drugi, później trzeci; zaczynały sobie wtórować, aż wreszcie cały dom i ogród wypełniały się porannym chórem drozdów, zięb, rudzików, strzyżków i szpaków.

Nocami i w każdej wolnej chwili Richard wsłuchiwał się w wiatr śpiewający pośród drzew. Wciąż jeszcze słuchał go ze łzami w oczach. Za każdym razem usiłował sobie przypomnieć ukryty w tym szumie głos, uchwycić zawarte w nim przesłanie i rozpoznać jego nadawcę. Umysł nadal zaprzętała mu kwestia tajemnicy i potęgi kobiecości. Był przekonany, że te właśnie treści wpisane były w szum wiatru i ptasi śpiew.

Richard znajdował się wówczas w drugiej fazie swojego rozwoju. Dawne marzenie o androginii rozwiało się. Ilekroć wyjeżdżał w interesach firmy, regularnie spotykał się z prostytutkami, od czasu do czasu miewał też przygody z klientkami i koleżankami z pracy. Nie tolerował natomiast zachęt homoseksualistów.

Po jakimś czasie przyznawał w duchu, że to, co go pchało ku owym doświadczeniom, niewiele miało wspólnego z naturalnym u mężczyzny pożądaniem. Była to raczej nie pozbawiona zazdrości ciekawość: intrygowały go kobiety i wszystko, co było z nimi związane. Zawsze był jakby z boku. Żadna kobieta nie zdecydowała się na drugie spotkanie. Niejedna z prostitutek wychodziła od niego ze słowami: „Masz świra”.

Kiedyś zaprosił pewną kobietę do Domu Nad Jeziorem, gdyż chciał podczas zbliżenia słuchać wiatru. Początkowo wszystko szło doskonale, jednakże coś ją przstraszyło i uciekła od niego, podobnie jak Moira.

Czuł narastającą frustrację. Mógł jedynie domniemywać, czym dla kobiet jest ekstaza, czego doświadczają w tym stanie. Zauważył, że niektóre z jego partnerek podczas stosunku zaczęły niczym na łożu śmierci, odwracając głowę, jakby lękały się uderzeń albo pragnęły zaczerpnąć powietrza. Ciekaw był, czym jest taka śmierć pod nożem rozkoszy i utajonej kobiecej potęgi i jakąż to uświęcona tajemnica pozwala niewieście tak wiele razy umierać i uchodzić z życiem. Tak właśnie widział tę kwestię.

W tym samym czasie coraz bardziej ztracał poczucie własnej tożsamości — nie tylko pod względem płci. Przez trzy lata ani razu nie wysłuchał drugiego człowieka, ani razu mu się nie przyjrzał. Ograniczał się do tego, że słyszy i widzi. Zgubił przez to jakikolwiek kontakt ze swoją własną odrębnością. Nie bardzo wiedział, kim jest, o co mu chodzi, dokąd zmierza i skąd pochodzi. Szkielec jego tożsamości rozpadł się: niepostrzeżenie ktoś usunął jakiś centralny element i skutki tego były alarmujące. Wszystkie dawniejsze rysy, przejrzyste i lubiane, stopiły się w chaotyczną plataninę. Subtelne tony i półtony smaku i niesmaku, sympatii i antypatii, pociągu i odrazy, straciły na czystości, wymknęły się definicjom. Wszystko zaczęło kłębić się i wirować, było nieznane i niespodziewane. Poszczególne elementy jego wewnętrznych mechanizmów — umysłu, woli, pamięci, mózgu, serca i trzewi — przestały ze sobą współgrać.

Stał bezradnie, zanurzony po uda w potokach niezrozumiałych impulsów, płynących tymi samymi korytami, w których niegdyś jego intuicja i doskonała percepcja spotykały się z niezawodnym głosem serca. Jazń, którą pierwotnie starał się uwolnić i uszlachetnić, przeistoczyła się w coś nieokreślonego. Barwy narzucało jej wszystko, co w nią wnikało. Stał się pękniętym dzwonem, podatnym na każde uderzenie. Stał się worem pustki, rozdymanym przez nie niosące nic w sobie powietrze. Żyjąc w niepewności, której nie mogło nic rozwiązać, stał się ucieleśnieniem swego dawnego koszmaru: był dla siebie nikim. Marzenie o szczęściu, które hołubił, w rzeczywistości zaniosło go w próżnię.

Ale było i coś więcej. Przy pewnej szczególnej okazji odkrył, że ma w sobie odruchy, nad którymi nie potrafi zapanaować — odruchy, które, jak mu się zdawało, wzięły swój

początek z dawnego pragnienia, by cieszyć się zarówno swą męskością, jak i kobiecością. Przy tej właśnie okazji uświadomił sobie ogromną zmianę, jaka w nim zaszła. Zdarzenie to miało miejsce w połowie grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, podczas jednego z wyjazdów służbowych. Pogoda była fatalna: śnieg z deszczem, silna wichura, ostrzeżenia przed sztormem. Mijał właśnie ostatni dzień, jaki przyszło mu spędzić w mieście, do którego go wysłano. Richard wracał z wieczornego spotkania z klientem. Dochodziła północ. Wszyscy inni o tej porze i z uwagi na taką pogodę trzymali się z dala od ulic. Richard zdecydował, iż pójdzie pieszo, gdyż wiatr, jego wiatr, wyl tak przejmująco — ostrzegał, a zarazem wabił.

Droga do hotelu wiodła wzdłuż szeregów domków jednorodzinnych. Mniej więcej o pół mili od celu swojej wędrówki usłyszał jęk dochodzący z kępy drzew i krzaków, widocznej na placu pomiędzy dwoma budynkami. Zatrzymał się i rozejrzał. Nikogo nie zauważył. W większości okolicznych domów pogasły już światła, ich właściciele spali albo się do tego przyzwyczaili. Skierował się w stronę źródła tego jęku. Za krzakami natrafił na leżącą na ziemi dziewczynę. To była młoda Murzynka. Zgwałcono ją i pchnięto nożem. Była praktycznie naga: zdarto z niej ubranie. Pomiedzy jej nogami i w okolicy ramienia widniały na śniegu ciemne plamy krwi.

Richard był tym zafascynowany. Przyglądał się jej przez chwilę. Potem podniósł głowę i wsluchał się w wiatr, czując, jak niewidzialne palce dotykają jego twarzy, uderzają w nią. Podsunął się bliżej, chroniąc twarz przed co gwałtowniejszymi podmuchami, potem stanął i uważniej przyjrzał się dziewczynie. Nadal jęczała, od czasu do czasu poruszała głową.

Niewiele więcej zapamiętał. Przypomina sobie, że gorączkowo zdzierał z siebie ubranie (bał się, że dziewczyna umrze, zanim uda mu się skończyć to, co zamierzał zrobić). Prawie z płaczem opowiada dzisiaj, że czuł wtedy nieodparte pragnienie zespolenia się z nią. Pamięta melodię, którą wiatr wtłaczał mu w uszy — melodię, która później, cudem, zmieniła się w słowa. Pamięta ostatnie spojrzenie dziewczyny: patrzyła na niego przez moment, zanim w jej oczach pojawiła się śmierć. Czuł, jak jej ciało drży.

Potem najwyraźniej wstał, obłąkany swym triumfem — przekonany, że zyskał wreszcie dostęp do najgłębszej tajemnicy kobiecości. Chłozzczący go zewsząd wiatr sprawił, że zakreśliło mu się w głowie. Richard po raz pierwszy pojął, że wszystkie jego myśli, chęci, uczucia i wyobrażenia, niczym sznurki, sku-

piają się w jednym miejscu, w dłoni kogoś innego, kto ma pełną kontrolę tak nad nimi, jak i nad nim samym. To dawało mu poczucie bezpieczeństwa, obiecywało sukces: „Będziesz jako kobieta!”

W późniejszym okresie, kiedy na chłodno rozważał to zdarzenie, uświadomił sobie, że owa Murzynka, nawet konając, ukazała mu potęgę swej płci: ten kontakt seksualny był dla niego prawdziwym objawieniem. Zrozumiał, że ktoś podjął decyzję co do jego losu. Nie miał jeszcze pojęcia, kto się o niego tak zatroszczył. Wiedział jednak doskonale, co należy zrobić.

W kilka miesięcy później udał się do Nowego Jorku. Wcześniej czytał wiele o transseksualistach i o nowych operacjach zmiany płci. Zgłosił się więc do pewnego lekarza, który zapewnił go, że jeżeli rezultat wszystkich badań i przygotowań okaże się pomyślny, w przeciągu szesnastu lub dwudziestu miesięcy będzie mógł poddać się operacji usunięcia wszelkich śladów niewygodnej męskości — bo tym dla Richarda były jego genitalia — i otrzymać narządy kobiece. Pod koniec roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego, po pozytywnym przejściu badań psychiatrycznych i serii kuracji wywołujących niezbędne zmiany chemiczne w jego organizmie, trafił w ręce chirurga i po pewnym okresie rekonwalescencji przyjął nową postać, niemal upajając się swym szczęściem. Wrócił do Domu Nad Jeziorem. Rodzice odwiedzili go, podobnie bracia i siostry. Pogodzili się z jego nowym statusem, zaakceptowali imię Rita, które przyjął. Ojciec przekonał jego szefa, że syn będzie mógł nadal wykonywać swoją pracę, i to z jeszcze lepszymi rezultatami. I tak, w dwa miesiące później, Richard znów rozpoczął normalne życie. Jako Rita.

Tempo wewnętrznego rozwoju Richarda/Rity uległo zmianie. Odkrył, że patrzy na życie niejako z dwóch różnych punktów. Jeden wiązał się z kobiecością odkrytą dzięki operacji. O wiele bardziej cieszyły go teraz drobiazgi — ubiory, opowiadki, kolory, niuanse ludzkich głosów i architektury. Nie próbował już całościowo ogarniać otaczającego go świata, nie kwapił się już do uczestnictwa w potyczkach słownych i szermowania logicznymi argumentami. Był znacznie podatniejszy na pochwały i pochlebstwa, cieszyły go męskie komplementy. Prowadził urozmaicone życie seksualne: jednakowo traktował starych i młodych, brzydkich i przystojnych. Wystarczało mu, że jest pożądany i że wszyscy oni znajdują w nim coś intrygującego.

Drugi punkt widzenia skazały dręczące go wciąż ułomności. Przykładowo, podczas stosunków czuł się martwy: nie mógł nawet marzyć o tym, że dadzą mu poczucie ciepła, wspólnoty doznań i wyjścia poza czas. Częstokroć ten niedosyt preradzał się w wewnętrzną gorycz, która doprowadzała go do furii. Wprost obsesyjnie pragnął „kochać się i czuć, że żyje”, a także słyszeć, że jego partner odczuwa coś podobnego. Ale dopiero pojawienie się Paula sprawiło, że zaświtał mu pewien promyk nadziei.

Paul, mieszkaniec Chicago, był duchowny, który zajął się bankowością i grą na giełdzie, co przyniosło mu miliony, wywarł na nim ogromne wrażenie. Wysoki, przystojny i szpakowaty, uprzejmy, dobrze ubrany, wykształcony i elokwentny, do tego miał jeszcze wspaniałe uśmiechy. Spotkali się kiedyś na pewnym koktajlu i z miejsca przypadli sobie do gustu. Po jakimś czasie Richard powierzył mu historię swego życia. Był zaskoczony jego sensowną reakcją. Jeszcze bardziej zdumiało go to, że Paul rozumie trudności, jakie sprawia mu przeżywanie stosunków i ich następstw.

— Myślę, że coś da się z tym zrobić, Rito — powiedział. — Tyle że będziesz musiała odbyć właściwie zaaranżowaną noc poślubną.

— Poślubną? Ależ ślub nie wchodzi w grę — a przynajmniej wiąże się z wieloma trudnościami — odparł Richard.

— Nie taki ślub, o którym myślę. Po prostu potrzebujesz odpowiedniego partnera w odpowiednich okolicznościach. Zapewne sobie tego nie uświadamiasz, ale już od dłuższego czasu jesteś przygotowywana do zawarcia tego małżeństwa. Zdał się na mnie.

To, co Paul miał na myśli, Richard zrozumiał dopiero dwudziestego pierwszego czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku, uczestnicząc w Czarnej Mszy.

Zaproszenie, jakie otrzymał od Paula, dotyczyło na pozór jedynie całonocnego przyjęcia. Noc była wówczas parna, bez cienia wiatru. Richard/Rita zjawił się na miejscu około dwudziestej drugiej. Uderzył go przepych, na jaki tam natrafił. Dom, zbudowany w dziewiętnastym wieku, otaczała rozległa posiadłość. Około osiemdziesięciu gości korzystających z dobrodziejstw zimnego bufetu przebywało na świeżym powietrzu, nad basenem oświetlonym przez wysokie, grube świece. Dalsze czterdzieści osób oddawało się tańcom w sali balowej. Powietrze pełne było głosów, śmiechu, muzyki i toastów. Paul natychmiast zaprowadził Richarda/Ritę do stolika, przy którym

u boku swych opiekunów siedziały dwie młode damy. Zrobiło się całkiem wesoło. Wszyscy byli szczęśliwi i podekscytowani.

Richard/Rita ze swego miejsca mógł ogarnąć wzrokiem oba krańce basenu. Widział tam długie stoły zastawione jedzeniem, napojami, wiaderkami z lodem i kwiatami. Za oboma stołami znajdowały się wysokie, niczym mur, stelaże z których zwisały się długie, bogato haftowane, czerwone kotary. Tuż przy nich stali bez ruchu lokaje w czarnych strojach wieczorowych.

Richard/Rita, ku swemu zdumieniu, czuł się tam swojsko. Szybko włączył się w rozmowy i śmiechy, bawił się tym, że co bardziej wstawieni goście, nie zważając na swe ubrania, wypychają się wzajemnie do basenu.

Kwadrans przed pierwszą zapadła cisza. Nikt już nie otwierał ust. Umilkła muzyka. Richard/Rita dopiero teraz uświadomił sobie, że większość gości opuściła już przyjęcie. Dwie pary siedzące przy jego stoliku chwilę wcześniej ulotniły się, mówiąc, że idą zatańczyć.

Ci, którzy pozostali, milczeli. Skupili się w dwóch grupach na przeciwległych krańcach basenu. Richard/Rita zauważył, że jego partner daje znaki lokajom. Obaj służący, zachowując absolutną powagę, rozsунęli kotary.

Ledwie to nastąpiło, Richard dostrzegł, że po obu stronach basenu ustawiono niewysokie ołtarze, zwieńczone ozdobami w kształcie odwróconych trójkątów. W ich centrum znajdowały się ustawione na opak krucyfiksy, umieszczone tak, że głowa ukrzyżowanego wpisana była w wierzchołki trójkątów. Z wnętrza domu dobiegły ciche tony muzyki organowej. Ktoś zapalił kadzidło i w powietrzu rozpełzły się leniwe smugi dymu, przywodzące na myśl wijące się powoli, błękitne węże. Goście zaczęli się rozbierać, rzucając ubrania tam, gdzie stali.

Jakby na sygnał, obie grupy ruszyły wzdłuż basenu, kierując się w stronę Richarda/Rity. Ten ostatni chciał wstać, ale uniemożliwił mu to Paul, delikatnie, a zarazem stanowczo kładąc dłoń na jego ramieniu.

— Zaczekaj, Rito.

Nadzy goście stłoczyli się wokół nich. Stali nieruchomo, nie odzywając się jeszcze. Richard/Rita, pociągnięty w górę przez Paula, podniósł się. Ze wszystkich stron wyciągnęły się ręce; rozebrały go niespiesznie i beznamietnie. Jego dotychczasowy opiekun, Paul, gdzieś zniknął.

Z tłumu gości wysunął się młody, niespełna trzydziestoletni, jasnowłosy mężczyzna. Na szyi miał wąską, czarną stulę. Na palcu wskazującym lewej dłoni nosił pierścień z rubinem.

— Rito — powiedział spokojnie. — Jam jest ojciec Samson, wierny sługa Szatana, Naszego Pana. Chodź! Oddamy Mu cześć.

Wszystko to — jego głos, dotyk dłoni i palców pozostałych gości, cicha muzyka organowa, nocna duchota, lekkość ogarniająca całe ciało, ciężki aromat kadzidel — zniewoliło Richarda/Ritę swoją miękkością. Poczul, podobnie jak reszta zgromadzenia, powagę chwili i ruszył wraz z nimi wzdłuż basenu. Procesja minęła wysokie świeczniki i zatrzymała się przy jednym z ołtarzy.

Pojął już, czego od niego oczekują. Czekał na to, biernie i w milczeniu.

Podnieśli go bez trudu i położyli na wznak na białej blacie stołu ofiarnego. Ojciec Samson zbliżył się z kielichem. Ktoś przykrył włosy łonowe Richarda/Rity złożonym kawałkiem sukna. Samson postawił na nim kielich. Richard usłyszał nagle trzy głosy, wypowiadające wspólnie pierwsze słowa tradycyjnej łacińskiej mszy:

— In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti — wzbogacone jednak o nowy element — et domini nostri Satanas.

Wszystko stało się zrozumiałe. Ogarnęła go dziwna euforia.

Ojciec Samson rozpoczął czytanie z oprawionej w czerń księgi, trzymanej przez nagą, może trzydziestoletnią kobietę. Słowa ilustrował pełnymi namaszczenia gestami. Zgromadzeni skupili się wokół niego, tworząc dwa koncentryczne kręgi: w wewnętrznym znaleźli się sami mężczyźni, dotykający lewymi dłońmi ciała Richarda/Rity. W zewnętrznym — kobiety, których ręce spoczywały na biodrach mężczyzn.

Tuż przed konsekracją pomocnica kapłana wbiła coś w ramię leżącego, upuszczając z żyły kilka kropli krwi, które zmieszały się z wypełniającym kielich winem. Jak tylko ojciec Samson wypowiedział właściwą formułę („To jest ciało moje...”), goście połączyli się w pary i legli na ziemi, mężczyźni pomiędzy rozchylonymi nogami kobiet. Kapłan rozchylił uda Richarda/Rity, wspiął się na ołtarz, wszedł w leżącego, podniósł kielich, zanurzył w nim usta, przytknął go do warg Richarda, by i on mógł pociągnąć łyk, po czym przekazał naczynie najbliższej parze. Kiedy tamci sączyli wino, ojciec Samson rytmicznie zanurzał się w ciało Richarda/Rity.

— Szaa—tan!... Szaa—tan!... Szaa—tan! — powtarzał, przedłużając pierwszą sylabę, kiedy po części wysuwał się z łona, i mocno akcentując drugą, przypadającą na ponowny napór. Każda z par, po przekazaniu kielicha następnej, przyjmowała rytm narzucony przez kapłana i w końcu wszyscy — kobiety, mężczyźni i ojciec Samson — kopulowali i śpiewali swój hymn unisono. Jedynie Richard/Rita milczał.

Leżał z zamkniętymi oczyma, słuchając zaśpiewu kapłana. Po raz pierwszy czuł dziwne mrowienie, zaczynające się na wysokości pośladków, biegnące wzdłuż kręgosłupa, w kierunku karku, przenikające czaszkę, schodzące ku łopatom, mijające brzuch i podbrzusze, przenikające pochwę i sunące przez uda i łydki ku stopom i palcom. Dałby głowę, że Samson wlewa weń jakąś elektryzującą ciecz. Otworzył oczy, by spojrzeć na kapłana, ale światła były zbyt słabe, a co więcej, wzrok zaćmiewały sine dymy kadzidel.

Słyszał ciężki oddech, nie widział jednak twarzy, a jedynie zarys głowy.

— Ojciec Samsonie... Władco Ciemności... Ojciec Samsonie... Władco — mamrotał, lecz zaraz umilkł, słysząc ostry zgrzyt słów wylaniających się z owych ciężkich oddechów.

— Dziewkoróbl... Dziewkoróbl... Dziewkoróbl!

Nikt już nie wzywał „Szaa—tana”. Wydało mu się, że wszyscy jednoczą się w hymnie do „Dziewkoroba”. Palec Samsona wniknął głęboko w odbytnicę Richarda/Rity, masując ją, drążąc, sondując, naciągając i gniotąc. Richard czuł też, jak w nim samym wyzwała się nasienie; wijąc się i prężąc, nader wyraźnie odczuwał wytrysk gorącej, lepkiej i oleistej cieczy, wypełniającej jego pochwę.

— Weź mnie, Dziewkorobie! — powtarzał, podnosząc głos aż do krzyku. — Ojciec Szatanie... weź mnie... poczuj mnie... wal mnie... głębiej... głębiej...

Muzyka grzmiała coraz głośniejsze, wypełniała powietrze. Kolejne pary osiągały orgazm, jęcząc i wyrzucając z siebie skrawki zdań i słów:

— Szaatan... rznij... bierz... Szaatan... bierz... poczuj... szparę... druta...

Wszystko się powoli uspokajało. Ból, rozkosz i euforia odpływały gdzieś w dal, a Richard/Rita był coraz bardziej pewien, że dorobił się cienia — tak to przynajmniej określał. Cień ten nie był jednak przypisany do jego ciała, nie przesuwiał się po ziemi z każdym jego krokiem. Był raczej jego duchowym towarzyszem, duszą jego duszy, a może ducha. Obdarzonym włas-

nymi myślami, wspomnieniami, wyobrażeniami i pragnieniami, wypowiadającym się po swoimemu.

Richard/Rita ponownie otworzył oczy. Nie widział nigdzie ojca Samsona. Paul, jego towarzysz, śmiertelnie poważny, pomógł mu zejść z ołtarza i polecił stanąć w rozkroku. Goście, jeden za drugim, podchodzili do niego na kolanach. Przeciągając zgłoski, wzywali Szatana, po czym dotykali wargami jego pochwy i wsysali się w nią. Później opuszczali teren basenu.

Kiedy odszedł ostatni gość, Paul zwrócił Richardowi/Ricie jego ubranie, pomógł je włożyć i poprowadził go przed dom, gdzie czekała już limuzyna z włączonym silnikiem. Szofer otworzył drzwiczki.

— Rito, odtąd należysz do Niego — powiedział na pożegnanie Paul. — Nie zawieź Go.

Leżąc później w łóżku, Richard/Rita wyraźnie wyczuwał obecność swego cienia. Czuł się bezpiecznie. Sen, który nadszedł, był mocny i wolny od marzeń.

Skutki owej nocy były niesamowite. Richard odkrył, że cała jego aktywność seksualna — zarówno rzeczywista, jak i urojona — związana była ściśle z tą odrażającą sferą, której dotknął podczas swej nocy poślubnej. Wszystkie przyjemności, rozkosze, uroki, radości i ekstazy sprowadzone zostały do czystego seksu, do tego, co dzisiaj nazywa „zezwierzeniem”. Czuł, myślał i żył niczym zwierzę w okresie rui, zwierzę, które, dziwnym zrzędzeniem losu, obdarzone zostało świadomością i pamięcią, ale miało wkrótce utracić te cechy i powrócić na właściwy sobie poziom.

Richard/Rita jest jedyną ze znanych mi osób uwolnionych od złego ducha, która dziś jeszcze potrafi dokładnie określić, jakie zmiany w niej samej — w obszarze jej umysłu, pamięci, woli, emocji i wyobrażeń — spowodowało wejście w apogeum opętania.

Kluczowym punktem, pierwszym bastionem, który padł, była jego wyobraźnia. Słuchając relacji Richarda, należy pamiętać o tym, co stanowiło dlań największy problem: o tym, że utożsamiał pleć z seksem. Opętany przez złego ducha, odnosił wrażenie, że ma niewidzialny, ale wyczuwalny cień, bliźniaczy, a zarazem całkowicie odrębny, wyznaczający mu kierunek i granice samokontroli.

Richard podkreśla znaczenie chwili, w której ojciec Samson wlał weń ową elektryzującą ciecz, czy też poraził go owym impulsem. Od tego momentu wszystkie jego świadome myśli, pragnienia, wspomnienia i odczucia (a zatem i wszystko, co mówił i robił w obecności innych osób) zmieniły niejako swój

tor. Jego wyobraźnia — bo raczej nie pamięć, zmysły lub rozum — otrzymywała skądś „kalki” i „sygnały”: wizje, obrazy i diagramy. Miał do czynienia z jakąś inną siłą, z jakimś nowym wpływem, którego nie potrafił nazwać. Jako że dotyczyło to konkretnie, bezpośrednio i wyłącznie sfery seksu, określa go dziś mianem czynnika S.

W chwili gdy jego wyobraźnia otrzymywała taką „kalke” czy też „sygnał”, w ruch szedł cały wewnętrzny mechanizm procesów myślowych i wolicjonalnych, uruchamiały się pamięć i percepcja zmysłowa. Władza, którą to coś miało nad nim, była absolutna. Każdy zapach, który czuł, każde pragnienie, każde wspomnienie, myśl i pomysł, wszystko to zależało od narzuconej mu wcześniej „kalki”. Konsekwencją tego stanu rzeczy było to, że wszystkie wypowiedane przez niego słowa i podejmowane działania brały się tylko z tego źródła.

Doznania związane ze sferą seksu — z pożądaniem i zaspokojeniem — poddane były najściślejszej kontroli. Pożądanie budziło się nagle, nie miało związku z żadnymi bodźcami z zewnątrz.

Co gorsza, bywały też godziny całkowitego opętania, kiedy to coś, co miało go w swej władzy, egzekwowało ją bezlitośnie, eliminując wszystko inne. W chwilach „normalności” panował w jakiejś mierze nad sobą, czuł wprawdzie i widział to, co narzucały mu „kalki”, ale to on myślał, wspominał, wyobrażał sobie, mówił, poruszał się i działał. W momencie „całkowitego opętania” odnosił wrażenie, że nie ma już wpływu na żadną z tych czynności. Samo sedno jego duszy, czy też ducha, wypełniało się jakimś innym bytem.

Czuł się zredukowany do najwęższych granic tożsamości, uwięziony w najbardziej wyizolowanej samotni, podczas gdy wszystkie włókna i ścięgna jego życia podporządkowane były obcej tyranii, brutalnej dyktaturze.

Na ile jest to w stanie dzisiaj określić, spontanicznie opierał się tylko owej totalnej redukcji swojego „ja”. Nie pamiętał przeszłości — była wspomnieniem wspomnienia. Niczego nie oczekiwał — miał świadomość, że nie może niczego oczekiwać. Nie modlił się i nie kłął — nie było tu miejsca ani na modlitwę, ani na bluźnierstwo. Pozostawała jedynie niepodzielna i nieskończenie smutna terażniejszość, świadomość tego, że tonie w najgłębszej czerni i nicości. Samo sedno jego natury nieustannie buntowało się przeciwko temu cieniowi (choć w żaden sposób nie starało się go pozbyć).

Richard/Rita podkreśla wciąż jedno: ścisły rozdział pomiędzy wymierną i odczuwalną sferą jego myśli, emocji,

wspomnień, działań zewnętrznych i wrażeń, a swoją własną jaźnią, z którą nigdy się nie rozstał. Przez cały okres tamtych enigmatycznych doświadczeń owa wymierna i odczuwalna sfera ulegała ciągłym zmianom, to intensyfikowała się, to znów słabła, stymulowana wahaniami jego natury, to męskiej, to znów kobiecej. Psychologowie, słusznie ze swego punktu widzenia, nazwaliby to znacznymi zmianami osobowości. Jednakże jego jaźń — czy całkowicie zniewolona przez opętanie, czy też swobodna, podporządkowana jedynie temu, co absorbowało jego wyobraźnię — zachowywała zawsze swoją tożsamość.

Pytany o specyfikę cierpienia związanego z opętaniem, Richard/Rita powiada, że prawdziwy ból nie wypływa z fizycznych zniekształceń, ograniczeń ani spustoszeń — te przeważnie dostarczają opętaniem chorobliwej rozkoszy i dreszczu emocji. Cierpienie wiąże się z czymś, co na swój użytek nazwał „zwierciadłem bytu” opętanego.

Człowiek normalny, wolny od wpływu złego ducha, dostrzega siebie tylko w odniesieniu do innych osób lub rzeczy. A kiedy, najzupełniej nieświadomie, odbieramy obraz swojej osoby odbity w kimś lub czymś innym, instynktownie porównujemy to odbicie z idealnym wzorcem, który sobie stworzyliśmy i któremu zazwyczaj nie poświęcamy żadnych słów ani nawet myśli. Wzorec taki istnieje zawsze, ilekroć dokonujemy porównania, odwołujemy się do niego. To jest trzeci, utajony, ale niezbędny czynnik, dzięki któremu możemy konfrontować dwie odmienne wartości. Jesteśmy siebie świadomi, jeżeli potrafimy porównać nasze „ja” z owym odbiciem i z idealnym wzorcem.

Opętany obca jest ta wrażliwość. W stanie, w jakim się znajdują, świadomość siebie przeradza się w absolutną samotność. Nie ma utajonego trzeciego czynnika, nie ma ideału. Odwołując się do metafory, rzec można, iż opętanie jest wzniesieniem zwierciadła, w którym jaźń opętanego dostrzega tylko siebie odbitego w sobie odbitym w sobie... i tak dalej, dostrzega tylko nie kończący się ciąg samowystarczalnych odbić. Taka świadomość, już w założeniu, równa się tylko kompletnemu i bezkresnemu osamotnieniu.

Ci, którzy bliżej stykali się z Richardem/Ritą — współpracownicy, członkowie rodziny, nieliczni przyjaciele z Tanglewood — spostrzegli, że poczynszy od czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku, bardzo się zmienił. Wszystkie opowieści o tej zmianie są niemal identyczne i sięgają mniej

więcej do czasu tamtej Czarnej Mszy — faktu, o którym ludzie ci, rzecz jasna, nie mieli pojęcia.

Richard/Rita nosił się wówczas tylko po męsku, jednakże przeciętni ludzie, nie znający go wcześniej, nie potrafili właściwie określić, czy mają do czynienia z mężczyzną, czy też z kobietą. Towarzyszył mu zawsze specyficzny zapach, nie tyle niemiły, co natrętny. Jedni kojarzyli go z „piżmem”, inni ze „zwietrzalymi perfumami”, takimi, jakie biją w nos, kiedy otworzy się stara komoda; jeszcze inni mówili o „zwierzęcym odorze”. Zapach ten przenikał Dom Nad Jeziorem, jego pokój w biurze, samochód, odzież, a nawet odręczne listy. Zawsze zwracał uwagę, niekiedy budził wstręt. Czasami się nasilał.

Pozostawała jeszcze kwestia ataków Richarda. Jego zwyczaj niebieskie oczy robiły się zielonkawe. Twarz, szyję, ręce i nogi przenikał jakiś ukryty blask — jakby luminescencją — sprawiający, że wyglądał on na porośniętego futrem, trzeba było się lepiej przyjrzeć, by stwierdzić, że jego skóra jest czysta. Mówił niewiele, przeważnie wymawiał pojedyncze słowa, i to nadzwyczaj powoli, czemu towarzyszyły nieustanne chichoty, pochrząkiwania, parsknięcia, ruchy brwi i grymasy, wygięcia warg odsłaniające zęby. Ale świadków owych ataków najbardziej niepokoił dziwnie szorstki ton, czy też tembr jego głosu.

Ataki te, początkowo sporadyczne, nasiliły się latem siedemdziesiątego pierwszego roku, a pod koniec października były już na porządku dziennym. Wszystkie rozmowy z Richardem/Ritą miały w sobie coś szczególnie niepokojącego — a przecież jego praca w osiemdziesięciu procentach polegała na wymianie zdań. Jego rozmówcy odnosili wrażenie, że ich słowa giną w nadzwyczaj głębokiej studni. Czuli, że ich nie słyszy, a nawet jeśli słyszał, nie starał się o nawiązanie kontaktu. Później, kiedy już poddawali się albo próbowali powtórzyć, co właśnie powiedzieli, Richard odzywał się, rzucając pojedyncze słowa albo niespójne ciągi wyrazów. Wypowiedzi jego były jednak sensowne i przeważnie niosły w sobie żadaną odpowiedź. Wydawało się wszakże, iż przychodzą z daleka, z głębin owej bezdennej studni, w której uprzednio pogrzały się pytania rozmówców. Było to tak bezosobowe, chłodne i wolne od wszelkiej próby kontaktu, że niektórym ludziom przywodziło na myśl słuchanie taśmy magnetofonowej.

Rozmówcy Richarda/Rity szybko przekonali się, że jego odpowiedzi i stwierdzenia mają sens. W istocie, były wysoce inteligentne i ważkie. Jego rozeznanie i diagnozy były lepsze niż kiedykolwiek przedtem. A jednak ta dziwaczna atmosfera,

jaką narzucał jego ton, budziła niepokój. To właśnie, w połączeniu z nieustającymi uwagami jego współpracowników, że „gdzie tylko zjawi się Richard/Rita, pojawią się i problemy”, sprawiło, że dostał wymówienie i że stracił, jednego po drugim, wszystkich przyjaciół.

Owe „problemy” były czymś niesamowitym. Początkowo odbijały się tylko na życiu biurowym. Stopniowo jednak dotykały wszystkich, którzy nawet przelotnie się z nim zetknęli — doręczycieli ze sklepu spożywczego, drorzystę, sprzątaczkę, kobietę z pralni i jego ogrodnika. Kiedyś dostało się też policjantowi, który wypisał mu mandat. W końcu dosięgły tych członków jego rodziny, którzy zdecydowali się go odwiedzić. „Problemy” miały wiele wspólnego z tym, co się stało podczas budowy biblijnej wieży Babel. Ludzie znający siebie od lat i ściśle współpracujący od długiego czasu nagle przestawali siebie rozumieć, zaczęli się spierać i kłócić. Postronni obserwatorzy odnosili wrażenie, że wypowiedź jednej osoby jest przez drugą interpretowana opacznie, sprzecznie z intencjami mówiącego. Te „problemy” dotyczyły jedynie ludzi, którzy ze sobą rozmawiali, omawiali jakieś interesy. Wystarczyło jednak, by obserwator włączył się w rozmowę — powiedzmy, wszedł w jej „klimat” — i on wówczas zaczynał mieć „problemy”, stając się dodatkowym źródłem zamętu, bełkotu i swarów.

Zdarzenia takie miały miejsce wyłącznie tam, gdzie znajdował się Richard/Rita. Wydawało się, że ogromnie go to bawi, zwłaszcza że sam nigdy nie padał ofiarą owych „problemów”.

Sprawa ta dotyczyła również wszystkich tych, którzy pisali coś w jego obecności, czy to odręcznie, czy też na maszynie: to, co pisali, było najzupełniej niezgodne z ich intencjami, a nie rzadko okazywało się kompletnym nonsensem. Wszystkie te przypadki, rozpatrywane łącznie, zbyt silnie wiązały się z Richardem/Ritą, by można było je wyjaśnić, pomijając jego wpływ.

W chwilach wolnych od ataków i innego rodzaju „problemów” górze brały naturalna serdeczność i uprzejmość Richarda/Rity. Przemiana, jakiej wówczas ulegał, była niemal szokująca.

Wtedy jeszcze nie uświadamiał sobie, dlaczego traci przyjaciół, dlaczego ludzie się od niego odwracają i dlaczego nie jest mile widziany w biurze.

Zwolniono go pod koniec października. Akurat przyjechał doń z wizytą jego brat Bert. Spotkał się też z jego bezpośrednim przełożonym. To, czego dowiedział się w biurze i od innych osób z Tanglewood, uzupełnione jego własnymi

wrażeniami, sprawiło, iż uznał, że Richard potrzebuje pomocy psychiatry. Rzecz w tym, że Richard/Rita zaczął się jakby bawić w chowanego. Ilekroć odwiedzał psychiatrę, zachowywał się najzupełniej normalnie i lekarz w żaden sposób nie umiał wykryć u niego żadnych zaburzeń. Stało na tym, że psychiatra stwierdził, iż zwolnienie Richarda/Rity było wynikiem odrazy, jaką przełożony żywił do niego jako do transseksualisty, i poradził mu, by wytoczył sprawę o odszkodowanie i przywrócenie do pracy.

Sprawy przyjęły jednak inny obrót, kiedy Bert i Jasper zjechali do brata na weekend. Richard/Rita przeszedł wtedy kilka ataków. Ponownie pojawiły się „problemy”. W przerwach pomiędzy owymi atakami potrafił się jednak zdobyć na szczerą i dramatyczną rozmowę z braćmi. Zaczynał już niejasno i po trosze pojmować, co powodowało te drastyczne zmiany.

Bracia zatrzymali się u niego na dłużej, zdecydowani dojść do sedna całej sprawy. Richard wyraził zgodę na przebadanie go przez internistę. Nie stwierdzono żadnych odchyień od normy. Dalsze badania psychiatryczne również nie przyniosły owoców.

Richard/Rita przystał też na to, by Bert i Jasper zwrócili się o radę do pastora z tamtejszego kościoła luterńskiego. Kapłan określił go jako duszę, która odrzuciła Boga i modlitwę. To jednak nie zmieniało stanu rzeczy, toteż skontaktowali się z miejscowym rabinem. Tenże, wielce świątobliwy osobnik, zgodził się odczytać w obecności Richarda kilka modlitw. Prze czytał też kilka ustępów z Talmudu, wyjaśniając trzem braciom ich znaczenie.

Następne dni w niczym nie zmieniły stanu Richarda/Rity. Bracia postanowili więc, że zwrócą się do proboszcza najbliższej parafii rzymskokatolickiej. We trzech udali się do ojca Byrnese, który znał już z widzenia Richarda/Rite. Wysłuchał ich i dał do zrozumienia, że nie mogą liczyć na żadną konkretną pomoc z jego strony. Kajając się, wyjaśnił, że nie chodzi tu o to, iż nie są katolikami. Rzecz w tym, że nie wie, co należy zrobić. Oczywiście, będzie się modlił za Richarda/Rite. Nie powinni jednak zapominać o tym, że i inni modlili się za niego. I cóż to dało? Najwidoczniej trzeba było czegoś więcej, powiedział na koniec. Bert poprosił ojca Byrnese na stronę i zaczął błagać go o radę. Wyjaśnił, że jego brata nęka jakaś szczególna choroba. Lekarze złożyli już broń. Czy ojciec Byrnes nie zna jakiegoś księdza, który mógłby tu pomóc?

— Skontaktujcie się ze mną jutro, po południu — odparł kapłan. Przyszedł mu na myśl ojciec Gerald i jego zdrowy rozsądek.

DZIEWKORÓB

W dniu egzorcyzmów Richard/Rita wstał wcześniej, wykąpał się, umył głowę, starannie spryskał się dezodorantem i skropił swymi ulubionymi perfumami szyję, piersi, przeguby oraz miejsca za uszami. Włożył ciemnoniebieskie spodnie, czerwony golf i luźne sandały. Długie czarne włosy uczesał jak najprościej. Nie uznawał makijażu ani biżuterii.

Ubrany, wyszedł z domu, nakarmił pływające po stawie kaczkę, pospacerował trochę i wrócił do siebie, by powitać pomocników Geralda.

Zważywszy na to, iż w owej grupie byli jego dwaj bracia, spotkanie to miało w sobie coś ze zjazdu starych przyjaciół pragnących wspólnie uczcić jakąś okazję. Richard/Rita był chętny do współpracy, pomógł zaparzyć kawę i przygotować pokój, w którym mieli odprawić egzorcyzmy; generalnie rzecz biorąc, wyglądał na dość zażenowanego tym, że „sprawia im kłopot”, jak to kilkakrotnie podkreślił. Gerald, po kilku rozmowach, zdecydował, że zajmie się nim w sypialni, głównie dlatego, że odniósł wrażenie, iż to jej Richard/Rita najbardziej unika.

Kiedy wszystko było już gotowe, Richard nie opuścił już pomocników. Trochę z nimi gawędził, trochę się modlił, aż usłyszał nadjeżdżający samochód Geralda. Bert wyszedł na zewnątrz, złożył egzorcystę raport, po czym wrócił i polecił Richardowi/Ricie usiąść lub położyć się na kanapie. Ten jednak uparł się, że zaczeka na Geralda.

Egzorcysta i ojciec John weszli do pokoju. Obaj mieli na sobie rytualne szaty. Wszyscy, włączając w to Richarda/Rite, uklękli, kiedy Gerald zaczął odmawiać modlitwę do Ducha Świętego. Później, podczas gdy Richard jeszcze klęczał, pomocnicy skupili się wokół egzorcysty. Ten zaś rozpoczął obrzęd, odwołując się do tradycyjnego rytuału.

— Ojcie Geraldzie, nie sądzisz, że możemy załatwić to szybciej? — przerwał mu nieśmiało i łagodnie Richard/Rita. — Trzeba mi tylko błogosławieństwa, waszych modlitw i pewnej dozy serdeczności.

Wstał, darząc wszystkich zebranych promiennym uśmiechem, w którym wiele było uroku i wdzięczności. Bertowi serce się krajało, kiedy tak patrzył na swego najmłodszego brata. Niemal wszyscy czuli się niezręcznie, tak jakby — jak to określił później Jasper — przyszli aresztować kogoś za morderstwo i odkryli, że domniemany morderca kocha się ze swą niedoszłą ofiarą. Richard/Rita tamtego ranka wyglądał nad wyraz kobieco.

Gerald również był dezorientowany. W głowie mu wirowało. Czyżby się pomylił? Albo wszyscy oni, łącznie z Richardem, totalnie się wygłupili, albo padli ofiarą większej mistyfikacji, niż się spodziewał. Brakowało jednak czasu na pauzę i refleksję. Musiał podjąć decyzję. Kapitan policji i nauczyciel przyglądali się mu, jakby chcieli powiedzieć: „Zabierajmy się stąd, ojcze. Równie dobrze możemy zostawić tę sprawę”. Ale Gerald wiedział, że musi zyskać pewność.

— Świetnie, Rito — powiedział z nonszalanckim uśmiechem, zaskoczony własnym talentem aktorskim. — Tak też zrobimy. John, podaj mi buteleczkę z wodą święconą. Jasper! Włóż mój modłtewnik do nesesera. Bert, zrób, proszę, więcej kawy. Niech ktoś pójdzie zatelefonować do probostwa i przekazać, że wrócę na lunch. Rito, podaj mi leżący na stoliku krucyfiks i zajmijmy się błogosławieństwem.

Później, omawiając zdarzenia, jakie miały miejsce tamtego ranka, wszyscy zgodnie stwierdzili, że w chwili gdy Gerald skierował te słowa do Richarda/Rity, w pokoju zaszła jakaś zmiana. Wyraźna zmiana, tak odczuwalna i nagła, jak niespodziewany spadek temperatury albo napływ nowego aromatu. Kilku z nich, nie podejrzewając, co co chodzi Geraldowi, zaczęło automatycznie wykonywać jego polecenia. Ale tajemnicza zmiana, spowodowana wypowiedzią egzorcysty, ich także unieruchomiła. „Jakby wokół mnie rozbłysły niespodziewanie czerwone światła”, wspominał jeden z pomocników. „Jakby się włączył alarm”, dodawał drugi. Nauczyciel określił to jako „niesamowite mrowienie, przenikające kark”.

— Uświadomiliśmy sobie nagle, że to namacalny przejaw czyjejs obecności. I to bardzo, bardzo zły — oświadczył potem Bert.

Wszyscy odwrócili się, by spojrzeć na Geralda i Richarda/Rite. Egzorcysta stał niemal na palcach, obserwując reakcję tamtego na wypowiedziane z takim naciskiem żądanie. Richard/Rita, siedzący na kanapie, wyglądał jak uosobienie niepewności. Czoło pokryło się zmarszczkami, Uniesione w zdumieniu brwi prawie

się stykały. Usta były jak zasznurowane, dolna warga zacisnęła się na górnej. Z policzków odpłynęła krew. Nie widzieli jego oczu. Patrzył w dół, na swoje dłonie, to zaciskające się, to znów otwierające, chwilami powoli, chwilami nerwowo. Gerald podniósł rękę, domagając się ciszy i uwagi.

— Rito — powiedział łagodnie — podaj mi krucyfiks.

Na rzęsach Richarda Rity pojawiły się błyszczące łzy. Spłynęły cicho po policzkach.

— Chcę zostać sam. Proszę. — Głos był kobiecy, matowy i przepojony cierpieniem. Kolejny potok łez. Richard łkał. — To za wiele... Wiem, że żaden z was nie rozumie, co się ze mną dzieje. Moira to rozumie... Ją zapytajcie. Ale to wszystko jest tylko szaradą... Wystarczy, jak zostawicie mnie w spokoju. — I znów ten płacz.

Gerald popatrzył na Berta. Tamten wzruszył ramionami, jakby chciał rzec: decyzja należy do ciebie! Rozpoczął więc egzorcyzmy.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, zebraliśmy się tu dzisiaj, by się modlić i prosić, by zły duch, który być może wstąpił w to stworzenie Boże, zwane Ritą O., opuścił je przez wzgląd na imię Pana Nieba i Ziemi, Jezusa Chrystusa...

Resztę słów zagłuszyło łkanie Richarda/Rity. On sam skulił się potulnie, jakby uderzony czy też zraniony, i wyciągnął się na kanapie, plecami do Geralda. Wszyscy wsłuchani byli w jego płacz, nie docierały już do nich słowa czytane przez kapłana. Słyszeli tylko ten zawodzący, przepelniony łzami głos, pelen niekontrolowanego żalu, wstrząsający całym ciałem przesączający się przez gardło i usta, naładowany straszliwym żalem do nich wszystkich.

— ...i by wszystkie szkody wyrządzone Ricie przez złego ducha zostały naprawione i oczyszczone dzięki łasce Pana Jezusa — czytał Gerald, kończąc pierwszą modlitwę.

Słyszając to imię, Richard/Rita zeszywniał i przekreślił się na plecy. Wbrew wszelkim oczekiwaniom, jego twarz nie była splamiona łzami i żalem, malowały się na niej nienawiść, lęk i obrzydzenie.

— Zabierajcie swojego Jezusa, jego plugawy krzyż, cuchnącą wodę święconą i tego zasuszonego księżulka i wynoście się z mojego domu. — Obie ręce wyciągnął w kierunku Geralda, odwracając dłonie, jakby się bronił przed jego spojrzeniem. — Zabierajcie to wszystko. Chcę zostać sam.

Gerald zauważył, że Bert wysuwa się do przodu.

— Bert — powiedział ostro — stój, gdzie stoisz, to potrwa tylko chwilę.

Mężczyzna zatrzymał się.

— Bert, oddał ode mnie tego wszawego księdza i jego czarę mary. Bert! Bert! Pomóż mi!

Bert znów ruszył z miejsca. Tym razem młodszy kapłan, ojciec John, położył mu rękę na ramieniu.

— Daj Geraldowi jeszcze chwilę — szepnął. Jedną małą chwilę. Musimy się upewnić.

— Bert! — ciągnął łamiącym się głosem Richard/Rita. — Byłem nadzwyczaj szczęśliwy, dopóki on się od mnie nie zabrał. To wszystko pomyłka. Jestem kobietą, Bert. Jak twoja Marcia [żona Berta]. Jak Moira. Jak mama. Jak Julie [sekretarka Berta]. Patrz. — Zsunął w dół zamek błyskawiczny w swoich spodniach i odpiął górny guzik. — Patrz. Mam włosy łonowe i szparę, tak jak Marcia. Spójrz, Bert! Podejdz i dotknij jej. Jest gorąca i wilgotna. Mogę cię przyjąć, Bert, przyjąć lepiej niż Julie. Pamiętaj, jak onanizowaliśmy się w łóżku, jako dzieci? Teraz możesz we mnie wejść. Pomóż mi, Bert. Będę należeć do ciebie, jeśli to zrobisz!

Bert cofnął się, twarz miał szarą jak popiół. Gerald wyciągnął rękę, podniósł krucyfiks i uniósł go w górę przed Richardem/Ritą.

— Rito, wszystko będzie dobrze. Zostawimy cię w spokoju. Powtórzysz tylko to, co przed kilkoma dniami zrobiłeś w probostwie.

Richard/Rita, odwiedziwszy go wtedy z Bertem i Jasperem, położył rękę na krucyfiksie, który zawsze znajdował się na biurku Geralda, i powiedział:

— Ojcie, przysięgam, że całym sobą pragnę pozostać w zgodzie z Bogiem.

To, że był zdolny dotknąć krzyża, ogromnie podbudowało Geralda. Świadczyło o tym, że Richard/Rita nie uległ jeszcze w pełni złemu duchowi. Tyle że wyższe stadia opętania wiążą się z bardzo różnymi reakcjami.

Richard/Rita leżał na kanapie; nogi miał rozchylone, ręce leżały luźno na podbrzuszu. Czekali, co będzie dalej. Jego pierś podnosiła się i opadała, tak jakby spał. Dzień zrobił się pochmurny. Nadszła wiatr; skowycząc niemilosiernie, tarosił okoliczne drzewa.

Usta Richarda/Rity otwarły się i po kilku, jak się zdawało, minutach usłyszeli słowa, nie byli jednak w stanie rozpoznać tego głosu. Był gardłowy, chrapliwy, leniwy, bezpłciowy —

mógł należeć zarówno do kobiety, jak i do mężczyzny. Miał w sobie coś z głosu bardzo starego człowieka — trochę falset, trochę bas, obarczony ogromnym znużeniem, wydobywający się jakby z trudem.

— Wiem, że uchodzisz za prawiczkę, ojcie Geraldzie. Co wiesz o kobiecie — albo, na przykład, o mężczyźnie?

Gerald zdecydował się zmienić temat.

— Powiedz nam, kim jesteś?

Richard/Rita przez chwilę milczał, potem odpowiedział niemal żartobliwie:

— Kim jestem? Cóż, oczywiście Ritą. Kim by innym? Głupie pytanie!

— Jeśli jesteś Ritą, którego znamy, usiądź i weź ten krucyfiks.

— Rita nie chce. Nie!

— Dlaczego tak się dąsasz, Rito? Dlaczego nie usiądziesz i nie porozmawiasz z nami jak zwyczajny człowiek?

— Ponieważ... ponieważ... ponieważ nie jestem zwyczajnym człowiekiem. Posłuchaj! — Richard/Rita odwrócił głowę ku zamkniętym oknom. Zamrugnął, jakby śledził jakąś odchodzącą w dal scenę. Znów odwrócił wzrok. — Nie jestem zwyczajnym człowiekiem.

Gerald znów otworzył modlitewnik i miał już przejść do następnej części egzorcyzmów, kiedy zaświtała mu nowa myśl: czy rozmawiając wyłącznie z Richardem/Ritą, nie rozmija się z celem owego obrzędu? Czy Richard/Rita, względnie władający nim zły duch, nie mógłby uprawiać doskonałej gry pozorów — udając tylko chęć do współpracy? Koniec! Należało zburzyć tę fasadę, o ile takowa istniała. Gerald na oślep docierał do prawd zawartych w analizie ojca Conora, nie korzystawszy nigdy z doświadczeń jego nauk. Tego dnia za nauczyciela miał surowe doświadczenie.

Zamknął powoli książkę, wziął w obie dłonie krucyfiks i zaczął zadawać Richardowi/Ricie pytania. Wymiana zdań przerozdziła się w dość spokojny wywiad. Trwało to cały dzień. Na pewnym etapie Richard umilkł. Kiedy wszelkie próby uzyskania odpowiedzi speliły na niczym, Gerald wyszedł z sypialni, umył się, wziął coś do jedzenia i wrócił do opętanego. Upłynęło już wiele godzin. Lekarz osłuchał Richarda/Ritę i sprawdził mu tętno. Nic nie odbiegało od normy. Kiedy Gerald wszedł do pokoju, wszyscy odczuli kąśliwy chłód. Jasper zbadął grzejniki, po czym szedł do piwnicy, by sprawdzić boiler. Chłód nie ustępował.

Gerald wrócił do zadawania pytań. Tym razem Richard/Rita nie uchylał się od odpowiedzi. Kapłan zapuszczał sondy, prowokował, kwestionował jego słowa, oponował, przerywał mu, zastawiał pułapki, wszelkimi sposobami próbując złamać opór, jaki wyczuwał. Ale do czego by się nie uciekł, Richard/Rita wszystko sprowadzał na manowce długimi, zawiłymi odpowiedziami, opisami stosunków płciowych, analizami cech męskich i żeńskich, uszczypliwymi uwagami, kpinami i niekiedy nawet wykrętami. Strawili na tym całą noc i wczesne godziny poranne.

Wszystko wskazywało na to, że ten wywiad będzie trwał niemal bez końca, aż do chwili, gdy zdrowy rozsądek i ludzka wytrzymałość dowiodą, że egzorcyzmy zakończyły się fiaskiem — albo, wprost przeciwnie, wykażą, iż Richard/Rita nie padł ofiarą opętania, a jest, po prostu, nienormalny w najbardziej potocznym rozumieniu tego słowa. Gerald chwilami wyczuwał, że czegoś dotyka, nie potrafił jednak tego uchwycić. Bywały też chwile, że i inni odczuwali presję czegoś nieokreślonego i obcego. Potem to słabło i wreszcie znikało. Stawali się coraz bardziej niespokojni. Byli zmęczeni.

Wszystko się rozstrzygnęło niespodziewanie, dzięki jednemu trafnemu stwierdzeniu Geralda, kontrującemu protest Richarda/Rity.

— Ale każda zwyczajna kobieta pragnie towarzystwa swojego mężczyzny, który ją będzie hołubił — powiedział wtedy — i którego poprowadzi tam, gdzie sam nigdy by nie dotarł. Pójdą ręką w rękę. I z miłością. Bez okazywania siły i zawłaszczania. Pójdą opromienieni Bożym uśmiechem. Są odzwierciedleniem Jego piękna.

Mówiąc to, Gerald potrącił pewną strunę, która przyprawiła Richarda/Ritę od czasu operacji niemal o obsesję. Richard zeszywniał.

— Czemu, u diabła, nie zostawicie mnie w spokoju? Wy i wasz Bóg! Na co komu jego uśmiech i piękno?

Gerald zwrócił uwagę na ten nowy ton. Nie umiał go określić, ale czuł, że to ma znaczenie. I coś mu zaświtało.

— Czemu? Ponieważ wiem, że nie jesteś Ritą. Wiem, że Rita — Richard — kocha Boga, Jego uśmiech i piękno. Ale czemu ty — czymkolwiek lub kimkolwiek jesteś — nie wywikłasz się ze swych kłamstw i podstępów, żeby stawić nam czoła?

I wtedy — jak to określił kapitan policji — rozpętało się piekło. Richard/Rita zgiał się w pół, dotykając głową stóp, a jego ciałem wstrząsnęły spazmy. Pomocnicy usiłowali

położyć go na wznak. Nic nie wskórali: był ciężki jak żeliwo. Kanapa zaczęła się trząść. Tapeta nad łóżkiem odkleiła się od ściany, jakby zerwana przez jakieś niewidzialne palce. Okiennice łomotały. Richard/Rita jednocześnie wrzeszczał i puszczał wiatry. Wszystkich ogarnął szczególny lęk, poczucie nieokreślonego zagrożenia. Zaczęli się pocić. Nie byli przygotowani na takie spotkanie z niepojętym niebezpieczeństwem.

— Weźcie się w garść! Zachowajcie spokój! — ostrzegł ich Gerald.

Pojał już, że dotknął samego sedna problemu. Ale nadal błąkał się po omacku. Podszedł do kanapy i nachylił się nad Richardem/Ritą, już nieruchomym, ale nadal zgiętym w pałąk.

— Rito — powiedział wyraźnie i głośno — obiecuję ci: nie przestaniemy o ciebie walczyć. Ty również broń się i stawiaj opór.

Richard/Rita przez kilka sekund dygotał, po czym wbił zęby w podbicie jednej ze swych stóp.

Gerald wyprostował się. Przyjął nowy ton, ostry, bezwzględny i władczy.

— A ty, zły duchu, będziesz posłuszny naszym rozkazom.

I znów ten zgrzytliwy głos:

— Nie wiesz, w co się pakujesz, kapłanie. Nie sprostasz tej cenie. Nie tylko dziewictwo tu stracisz. I nie tylko życie. Stracisz to wszystko...

— Jak Pan Nasz, Jezus, godził się na cierpienie, tak i ja gotów jestem ponieść wszelkie koszty, związane z wygnaniem ciebie tam, skąd przybyłeś.

I to był pierwszy błąd Geralda. Nieświadomie, zdobywając się na coś, co można było uznać za bohaterstwo, wpadł w odwieczny potrzask. Sprawa nabrała teraz wymiaru osobistego: on sam przeciwko złemu duchowi. Żaden egzorcysta nie jest w stanie działać indywidualnie, na mocy własnych praw, przeciwstawiając demonowi jedynie swą wolę lub siłę. Powinien nie tyle dążyć do zajęcia miejsca Jezusa, co wystąpić jako Jego przedstawiciel, mówić i działać w zgodzie z Nim.

Gerald srodze zapłacił za ten błąd. Nawet nie przypuszczał, że kara cielesna może być tak drakońska. Dopiero po trzech tygodniach doszedł do siebie na tyle, że mógł wstać z łóżka, i pomimo ogromnego bólu, kuśtykać po pokoju. Z czasem miało się okazać, że ten gwałtowny atak przyniesie mu śmierć. Ale nie to powodowało najgorsze cierpienie. W ciągu owych kilku burzliwych sekund, kiedy to coś ciskało go po

sypialni i tłukło nim o ścianę, najbardziej poraziło go i okaleczyło poczucie tego, iż zadano mu gwałt.

Uświadomił sobie wówczas, że przez całe życie cieszył się pewną bezkarnością. Wewnętrzny bastion jego jaźni, rdzeń jego osobowości, do tamtej pory pozostawał nietknięty. Nigdy nie splamił go smutek. Nigdy nie dotknął go bolesny żal. Nie dręczyła go nawet najmniejsza słabość ani poczucie winy.

To ta siła jego wewnętrznego „ja” zapewniała mu bezkarność. Związany z jego profesją celibat i dziewictwo były jedynie zewnętrznymi przejawami stanu najwyższej beztroski, w jakim pozostawał jego duch. W pewnym sensie, grzech i nieczne uczynki nie stanowiły dlań problemu nie dlatego, iż takiego dokonał wyboru, ale ponieważ nigdy nie był zmuszony wybierać.

Jakaś doza egoizmu sprawiła, że owa bezkarność, będąca źródłem jego niezależności, karmiła także jego dumę. Przyjaciele, którzy podziwiali jego konsekwencję, kojarząc ją z autentyczną świętością, nie przypuszczali nawet — podobnie jak sam Gerald — że ta ogromna siła naznaczona jest niepokojącą słabością: pewnością siebie, opartą na dumie. Ból i obrażenia, z jakimi musiało się zmierzyć jego ciało podczas ataku i tuż po nim, były zarazem symbolem i wymiernym dowodem tej nieuniknionej słabości i kruchości, które były mu przypisane, jako człowiekowi.

Po ataku doszedł do siebie, ale nigdy już nie odzyskał tamtego poczucia bezkarności. Wprost przeciwnie, zrodziło się w nim narastające wrażenie własnej bezradności. Po raz pierwszy przyjął do wiadomości, że jest totalnie zależny od Boga. Jego spojrzenie na życie wiązało się odtąd nierozdzielnie z tym niezwykle stanem, który chrześcijanie określali — tak często fałszywie rozumianym — mianem *pokory*. Uświadomił sobie z radością, że został wybrany przez miłość największą z możliwych, przez uosobienie miłości, które go pokochało bez żadnych widocznych powodów. „Tylko miłość może mnie kochać”, powiedziała kiedyś Juliana z Norwich, jedna z dawniejszych angielskich świętych.

Gerald musiał teraz podjąć decyzję: czy kontynuować egzorcyzmy, czy też ogłosić ich zakończenie. Richard/Rita znalazł się poza jego zasięgiem. Konieczna była całodobowa obserwacja. Zazwyczaj leżał na kanapie, przytomny albo śpiący, czasem też stał przy oknie, jakby wyglądał lub nasłuchiwał. Liczył się z sugestiami swych braci, ale nie uznawał innych wpływów. Jadł oszczędnie, dawał się kąpać jak dziecko, niekiedy pograżał się w

dziwnym, niespójnym bełkocie, nie mógł też znieść żadnej wzmianki o Geraldzie, religii i egzorcyzmach. Nie tolerował w swym otoczeniu, ani w domu, żadnych przedmiotów związanych z religią. Wydawało się, że wyczuwa każde wniesienie takiego przedmiotu. Przykładowo, jego sprzątaczką, która zwykła nosić na szyi medalik, musiała zostawiać go w domu. Jeżeli jego bracia spotykali się z Geraldem, wiedział o tym, jak tylko weszli w próg. Robił wówczas scenę, nie mającą nic wspólnego z agresją, ale zawsze dramatyczną i pełną błagań, by oszczędzili mu dalszych uderzeń.

Zdrowie Geralda zaś stało pod znakiem zapytania, budząc niepokój jego przyjaciół. Lekarz powiedział mu, że jego serce jest w kiepskim stanie, a obrażenia, jakie odniósł, należą do poważnych. Zrobiono jednak wszystko, żeby postawić go na nogi.

Niezależnie od problemów ze zdrowiem, przeżywał dziwne zaburzenia percepcji. Występowały wówczas, gdy dłużej przyglądał się jakiemś przedmiotowi lub go dotykał.

— Miałem wrażenie, że patrzę przez ten przedmiot i wokół niego — powiedział później — a nie sięgam wzrokiem dalej. Tak jakby, w jakimś szczególnym sensie, go tam nie było. W jakiś dziwny sposób przyciągały mnie stany i wymiary, których nie umiem określić słowami. I one — te stany — wydawały mi się rzeczywistością. Obiekty materialne — stoły, krzesła, ściany, pożywienie, cokolwiek — były nierealne, należały do świata nicości. Nawet moje własne ciało przyjmowałem jako wyobrażenie skorupy, istniejące tylko dzięki tamtemu drugiemu wymiarowi.

Wiązało się to z wieloma problemami, zwłaszcza podczas spotkań z innymi ludźmi. Tamci widzieli wątłego, bladego i pokrzywionego, chromego mężczyznę, który wpatrywał się w nich badawczo, a zarazem obojętnie, jak astronom albo topograf. Był nadal miły, uprzejmy, nawet wesoły i zawsze pogodny. Podczas rozmów odnosili wrażenie, że interesuje go nie tyle ich codzienność, co raczej poziom duchowy. To było coś nowego. Gerald odkrył, że ludzie, z którymi się styka, ulegają temu samemu procesowi, co przedmioty. Jedyną różnicą było to, że każde określenie niewidocznego na pozór stanu takiej osoby wiodło do wykrycia jakiegoś nowego elementu.

Trudno to było jednak wyrazić jednym słowem, czy też zdaniem. Kiedy próbował opisywać to szerzej, zawsze kończył — nieustannie podkreślając, że chodzi mu tylko o skojarzenia i metafory — na opowieściach o „świetle”, „czerni”, „obe-

ności”, „nieobecności” i „sieci potakiwań”. Charakterystyki innych sprowadzały się do stwierdzeń: „on przez całe życie mówił nie”, „ona nigdy nie powiedziała obecności tak” i „oni pozostają w bardzo czarnym kontekście”. Mówiąc prosto, odkrył, że ten nowy sposób widzenia ludzi oddala go nawet od tych, których doskonale znał i lubił. Wiedza na ich temat i zaangażowanie woli możliwe były tylko w tym nowym wymiarze.

Proboszcz z jego parafii posunął się nawet do tego, że skontaktował się z pewnym psychiatrą, którego uprzednio Gerald prosił o zbadanie Richarda/Rity. Psychiatra ten, doktor Hammond, w towarzystwie swego kolegi pojawił się pewnego popołudnia w probostwie, by odwiedzić egzorcystę, który dochodził do siebie po pobycie w szpitalu. Powiedział Geraldowi, że zbadał dokładnie warunki, w jakich on żył od czasów dzieciństwa do chwili obecnej. Jest przekonany — podobnie jak jego koledzy — że Gerald doznał poważnego urazu i, co gorsza, nie rozumiejąc spraw seksu i ich złożoności, mimowolnie wpędził Richarda/Ritę w stan wyobcowania. Ich zdaniem, zarówno dla dobra psychiatrii, jak i samego Geralda, powinien on wyrazić zgodę na obserwację kliniczną. Richardowi/Ricie, jak twierdzili, wystarczy normalna terapia.

Proboszcz, z całkiem innych przyczyn, uparcie obstawał przy tym samym. Pogłoski o dziwnym wyniku owych egzorcyzmów dotarły do biskupa. Powiadomił on proboszcza, że oczekuje takiego załatwienia sprawy, by nie było powodu do dalszych kłopotów oraz nowych plotek i skandali. Jedna z relacji głosiła, iż Richard/Rita zgwałcił Geralda. I nie była to najbardziej szpetna z plotek, jakie krążyły po parafii.

Gerald, początkowo zły na psychiatrów, z czasem zaczął pojmować ich punkt widzenia. Tak przynajmniej twierdził. Dodał jednakże, iż nie powinni przeciwstawiać się zakończeniu przez niego tych egzorcyzmów. Zapewnił ich, że jeżeli zdoła tego dokonać, będzie usatysfakcjonowany.

Ostateczna decyzja należała, rzecz jasna, do rodziny Richarda/Rity, a zwłaszcza do Berta. Ten zaś był przekonany, że Richard stan swój zawdzięcza diabłu i że Gerald — lub inny ksiądz — powinien mieć możliwość doprowadzenia egzorcyzmów do końca.

Wszystko to bardzo męczyło Geralda. Wyznał proboszczowi, że czuje się „jak eksponat albo przypadek chorobowy”. Poza tym, coś mówiło mu, że Richard/Rita nie przetrwa długo w tym stanie i że jemu samemu nie wolno zostawić tak owych egzorcyzmów.

— Nie pragnę śmierci, doktorze — powiedział do psychiatry — ale nie mam też żadnych złudzeń co do siebie i siebie. Niewiele zostało mi życia — nawet moi lekarze orzekli to zgodnie. Ty, jak sam stwierdziłeś, w nic nie wierzysz. Jeśli nie dojdziemy do kompromisu, będziemy tak gadać, aż Richard/Rita zasklepi się w swojej wegetacji, a ja umrę. Zawrzyjmy więc układ.

Tak też zrobili. Doktor Hammond zastrzegł sobie, że chce być świadkiem egzorcyzmów. Jeżeli on i lekarz ogólny, niezależnie od woli egzorcysty, uznają, że obrzęd należy przerwać, Gerald podporządkuje się ich żądaniom. Egzorcyzmy nie będą mogły trwać dłużej niż dwa dni. Ale dopóki nie zapadnie decyzja o ich zakończeniu, ostatnie słowo będzie należeć do Geralda. Doktor Hammond wystąpi jako jeden z jego pomocników. Było jeszcze parę warunków, dotyczących zaplecza psychiatrycznego i właściwych badań. Ale Gerald był zadowolony. Miał szansę zakończyć te egzorcyzmy.

Widział już jasno, że został zaatakowany, kiedy spróbował odkryć tożsamość złego ducha i oddzielić ją od osobowości Richarda/Rity. Pozostawało mu podjąć dzieło tam, gdzie zostało przerwane, i postępować dalej nader ostrożnie, nie koncentrując uwagi na sobie i polegając jedynie na mocy oficjalnego rytuału i symboliki swojej roli.

Pewnego ranka, w cztery i pół tygodnia po przerwaniu egzorcyzmów, doktor Hammond odwiedził Geralda do Domu Nad Jeziorem, by do reszty rozprawić się ze złym duchem. Pomocnicy, łącznie z ojcem Johnem, już czekali. Dzień był ponury. Silny wiatr gwałcił otaczające dom drzewa. Wkrótce po przyjeździe pomocników spadł deszcz, który ustał dopiero wieczorem.

W Domu Nad Jeziorem panował absolutny spokój. Kiedy Gerald się tam pojawił, Richard/Rita drzemał na kanapie. Nagle, jakby na jakiś sygnał, zgiął się w pół i zatopił zęby w swojej stopie. Otworzył oczy i utkwil je w drzwiach, przez które mieli wejść Gerald i John. Bert i Jasper, obaj wymęczeni i przytłumieni przez ostatnie tygodnie, czekali wraz z kapitanem policji i nauczycielem. Niewiele padło słów. Kiedy Gerald wszedł, w oczach Richarda/Rity pojawił się jakiś błysk. Opetany coś mruknął, jak pies łaknący jedzenia. Rozchyłał i zaciskał palce. Gerald, mobilizując wszystkie swe siły, stanął w pobliżu kanapy. Starannie przygotował swoją pierwszą mowę. Ale Richard/Rita nie dał mu dojść do słowa. Uwalniając z uścisku swą stopę i gniewnie wpatrując się w Geralda, powiedział:

— Kochany Geraldzie, po co ten kłopot? Spójrz, co na siebie sprowadziłeś. Nie musisz znosić tego bólu. Nie musisz płacić takiej ceny.

Zastawiał tę samą pułapkę. Ale tym razem Gerald był na nią przygotowany.

— Cena — o ile trzeba tu mówić o cenie — została wyrównana. Będziesz posłuszny władzy Jezusa i Jego Kościoła. Podaj swe imię.

Kiedy to mówił, ból odnalazł nowe zakamarki w jego organizmie. Dolna partia jego ciała, od pępka aż po palce u nóg, zeszytniała. Pomocnicy zauważyli, jak żyły na jego czole pęcznieją. Walczył o władzę, zmagając się o to, by nie stracić przytomności, wyteżał słuch. Richard/Rita, napięty i wyczekujący, opadł na kanapę, jakby pozbawiony sił; oczy miał zamknięte, ręce zacisnął na piersi.

Po dłuższej, nie wnoszącej nic nowego chwili, kiedy już niemal zwątpił, że zdoła sprowadzić ducha do posłuszeństwa, Gerald usłyszał coś, co przywodziło na myśl głos, nie mógł jednak rozróżnić słów. W pierwszej chwili doszedł do wniosku, że jakieś nie zapowiedziane towarzystwo przybyło do Domu Nad Jeziorem i rozłożyło się przed wejściem. Skupiwszy się na tym dźwięku, stwierdził jednak, że wiązał się on z Richardem/Ritą i tyłami domu. Niewyraźnie rozróżnił kilka głosów, odzywających się jednocześnie, poruszonych, rozbawionych, czasem mrukliwych, chwilami zanoszących się od drwin. Były to głosy męskie i żeńskie, tyle że zdominowane przez ton kobiecy. Potem to trajkotanie ucichło, tak jakby oddalały się od domu.

Gerald przyjrzał się Richardowi/Ricie: opętany milczał i był nieruchomy. Egzorcysta miał już coś powiedzieć, kiedy znów usłyszał te głosy. Tym razem dochodziły z pokoju, prowokowały go. Kiedy skoncentrował się na Richardzie, brały się spoza niego; kiedy odwrócił wzrok, zdawały się dochodzić od opętanego. Miał wrażenie, że skrawki tych głosów krążą swobodnie po pokoju. Pomocnicy nie byli przygotowani na tak niesamowite zdarzenia, gdyż Gerald, dysponując zbyt małą wiedzą i doświadczeniem, nie zdołał udzielić im szczegółowych instrukcji. Napięcie, któremu musieli sprostać, wywoływało zimny pot i drżenie.

Gdyby okoliczności były inne, reakcję doktora Hammonda uznano by za komiczną. Sądząc z relacji ojca Johna, psychiatra początkowo podchodził do całej sprawy ze spokojem zawodowca — był poważny, czujny i beznamiętny, sporządzał rzeczowe notatki. Po kilku minutach zrezygnował z pisania, a na

obojętnej dotąd twarzy pojawiło się niedowierzanie, które później przeszło w lekkie zniecierpliwienie (tak jakby padł ofiarą kąśliwego żartu) i wreszcie ustąpiło miejsca swoistej bladeści, typowej dla człowieka, który po raz pierwszy zetknął się z czymś niezrozumiałym i obcym, naruszającym jego samokontrolę i zdrowie psychiczne.

Gerald był coraz bardziej skonsternowany, odnosił wrażenie, że udaje mu się wyróżnić poszczególne słowa i zdania, wypowiedane przez jeden z tych głosów, ale jak tylko próbował skupić na nich swą uwagę, rozpadały się bezładnie, wypychając mu się w uszy. Wszystko tonęło w nic nie wyrażającym trajkotaniu.

Potem wydało mu się, że owe ulotne, kobiece głosy przybierają na sile, zlewając się w jedną tonację i tembr, tak jakby, sylaba za sylabą, wpasowywały się w głos wiodący. Męskie zaś rezygnowały ze swej natarczywości i rozległej skali, przechodząc w serie pisków i pogłosów, jako tako korespondujących ze sobą, ale już nie zbieżnych. Oba poziomy, żeński i męski, stapiały się w jeden, wielokrotnie ze sobą współbrzmiając, ale irytujące echa i zgrzyty uniemożliwiały zrozumienie słów. Gerald postanowił w to zaingerować.

— Czymkolwiek, lub kimkolwiek, jesteś, nakazuję ci, w imię Jezusa, podać swe miano i odpowiedzieć na nasze pytania.

Gwar jeszcze się spotęgował, a wraz z nim nieokielzany lęk Geralda. Egzorcysta czuł się zdany na łaskę tego monstualnego głosu, z trzaskiem wydobywającego się z rozdętych płuc i przepastnej gardzieli, obelżywego i bluźnierczego, demaskującego i wywalającego na zewnątrz najbardziej utajone grzechy, zachcianki i sprośności, rzucającego je niczym jakieś obłąkańcze wyzwanie.

Ojciec John nie mógł już znieść tych odgłosów. Skropił Geralda i kanapę wodą święconą. Jazgot nasilił się, jakby nalaadowany nową mocą, a potem zaczął się oddalać. Richard/Rita przez cały czas leżał na wznak, absolutnie nieruchomo.

Ledwie ów bełkot zamarł, zdławiony łkaniem i jakimis mrukami, Gerald wszedł w fazę Starcia, przeżył pierwszy atak. Nikt go na to nie przygotował, nikt nie powiedział mu, co ma robić. Stary dominikanin z Chicago ograniczył się do stwierdzenia, że w pewnym momencie „stary” odrzuca swoją maskę. Uczulił Geralda na ten moment, mówiąc: „To coś tak paskudnego, że nie potrafiłbym tego opisać”. Nie mylił się.

Największa zaleta Geralda — jego upór — stała się nagle źródłem udręki. Nie mógł ustąpić, nie pozwoliłby sobie na to.

Zderzył swą wolę z wolą złego ducha. Nawet jeśli pewni egzorcyci wiążą początek Starcia ze sferami umysłu, wyobraźni i swej nieprzeciętnej intuicji, główny bój rozgrywa się w strefie woli. Tak też było w przypadku Geralda, i to od samego początku.

Do tego momentu czuł, że naciera na stalową ścianę, zdolną zarówno do obrony, jak i do ataku. Teraz ta ściana stopiła się i rozplynęła, a jego woła znalazła się w samym sercu ciekłego żaru, palącego, smażącego i unicestwiającego poszczególne jej włókna i ścięgna, przenikającego przez wszystkie warstwy ochronne, jakie dostępne są człowiekowi — nadzieję, zdolność przewidywania, radosne wspomnienia, satysfakcję płynącą z wierności, umiejętność wyboru właściwej drogi, pewność i przekonanie o słuszności własnego postępowania.

Nie chodziło tu o zaćmienie umysłu, ale o całkowite obnażenie woli. O najostrejszy ból i najgłębszy smutek, jakie odczuwać mogą istoty ludzkie za swego życia. Dante nazwał to udręką duszy, która nie jest skazana na Piekło (i o tym wie), ale nie jest w stanie dowiedzieć się, czy istnieje Niebo, i musi to znieść w nadziei, że obecna beznadziejność wiedzie, w perspektywie, do szczęścia i zadośćuczynienia.

Starcie zagarnęło całą fizyczną stronę jego natury. Zawładnęło, po kolei, jego słuch, wzrok, dotyk, zmysły węchu i smaku. Widział jak przez mgłę — tak jakby dwie klisze nałożyły się na siebie: obie wyraźne, ale nie na tyle, by wyeliminować wątpliwości. Bębenki zaatakowało coś w rodzaju huku młota pneumatycznego — ból, który nie zamierzał ustąpić. Każde dotknięcie przesywało jego kręgosłup dziwnym dreszczem, podobnym do tego, jaki odczuwał, kiedy ktoś pocierał szyję suchym kciukiem. W ustach czuł smak kwaśnego mleka, zmieszanego z mąką. Nozdrza wypełniał jakiś dziwny odór, którego nie potrafił nazwać. Nie chodziło tu o jakikolwiek smród ani o zgniliznę, a jednak wiązało się to z odorem, który narzucał się jego nerwom, podniebieniu i krtani.

Pomocnicy dostrzegli, że Gerald zaczyna giąć się w pół. Przytrzymali go, ale, wierni jego instrukcjom, nie próbowali go wyciągnąć z pokoju.

— Dasz radę, ojczy? — zapytał ojciec Hammond.

Gerald mógł jedynie kiwnąć głową.

Niesamowita presja zagarniała jego wolę, nie dając też upustu jego ciału. Czuł, że świeżo zaleczone okaleczenia jego brzucha i podbrzusza pękają i w otwarte ciało wnika sól. Czuł

natrętą wilgoć swej własnej krwi i potu. I wiedział, że może się zdobyć tylko na przełom.

— Twoje miano! Ty, który dręczysz Boże stworzenie. W imię Jezusa i przez Jego moc, podaj swoje miano! Natychmiast! Swoje imię!

Usłyszał ostatnie akordy tego oddalającego się głosu. Richard/Rita wil się, jakby dżgano go ostrym nożem, przekłuwającym głowę, kark i plecy. Jęknął. A potem wszyscy w pokoju usłyszeli wypowiedziane niesamowitym szeptem, powoli, ale pewnie i wyraźnie, słowa:

— Dziewkorób. Dziewkorób. Dziewkorób. To my je obrabiamy. Wszystkie typy dziewcząt. Młode, starsze, mężatki, niezamężne, lesbijki, cnotki, wszystkie, które potrzebują obrobienia. I tych, którzy chcą być obrobieni jak dziewczyny. Wszystkich. To my ich obrabiamy. Oiiiiiii! — wrzasnęło coś przeciągle. — Obrabiamy na fest!

Podtrzymującym Geralda pomocnikom wydało się, że stał się cięższy. Znow był pod presją. Ale zdążył już poznać imię. Dziewkorób. Przedarł się przez zabójczą szaradę i instynkt nakazywał mu przeciw bezwzględnie do przodu, zanim utraci tę przewagę.

— Powiesz nam teraz, ilu was tam jest. Kim jesteście? Co zczynicie? Dlaczego zniewalacie to stworzenie Boże? Powiesz nam to. Mów!

Gotów był bez końca wydawać te same polecenia, ale młodszy kapłan gestem dał mu do zrozumienia, że zaczyna się powtarzać. Czekali więc na odpowiedź. Gerald nadal walczył z paraliżującą go trucizną. Cały był obolały.

— Weźmy, na przykład, ciebie, kapłanie! — Wzgarda i niewiść, zawarte w tych słowach, mroziły krew w żyłach. — Obrobiliśmy ciebie, czyż nie? Nie czujesz tego, bobasku? Spróbuj zdziałać coś swoim końcem. O, tak! Obrobiliśmy ciebie! Oiiiiiii!

Gerald wziął się w garść i spróbował zwilżyć wyschnięte wargi; wnętrze ust było suche jak pieprz. Znow widział niewyraźnie. Musi się przez to przebić. Nauczyciel podsunął mu pod usta kubek wody. Musi się przez to przebić. Mając już wilgotny język, zaczął ponownie:

— Powiedz nam, w imię Jezusa...

Niski pomruk Richarda/Rity nie pozwolił mu dokończyć zdania. Ogrom zawartego w nim cierpienia sparaliżował wszystkich, spotęgował jeszcze udrękę Geralda, odbierając mu głos. Nie oszczędził nikogo, odebrał im władzę nad wyobraźnią i pa-

mięcią. Kapitan policji znów znalazł się w koreańskim obozie, gdzie spędził dwa lata; ponownie słuchał ostatnich jęków kolegi, któremu uśmiechnięty oficer zdierał skórę z żeber. Nauczyciel raz jeszcze wrócił do tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Wrócił do Anglii, do Surrey; znów stał przy niemieckim samolocie, który runął na ziemię i stanął w płomieniach. Uwięziony w środku pilot, paląc się, wrzeszczał: „Muttill Muttill” Bracia Richarda ponownie przyglądali się konającemu wilkowi, którego zastrzelili przed dziesięciu laty, będąc, wraz z ojcem, na polowaniu w kanadyjskich lasach. Zwierzę skowyczało urągliwie, krztusiło się krwią i wpatrywało się w nich. Lekarz raz jeszcze przeżywał pewien zimowy dzień, kiedy to, podczas wizyty domowej, widział, jak pewien ojciec, pochylony nad jeszcze ciepłym ciałem trzymiesięcznego niemowlęcia, zanosił się suchym, chrapliwym szlochem. Wszyscy czuli się winni, jakby dokonali morderstwa lub zadźgali kogoś torturami. Coś — a może ktoś — przeżywało niewysłowione katusze, ich obarczając winą za nie.

Upiorne wizje i okropne wspomnienia ominęły jedynie Johna, młodszego kapłana. Spróbował dokończyć słowa Geralda. Popelnił potworny błąd.

— Odpowiedz — rzekł głośno, z trudem panując nad nerwami. W imię Chrystusa, odpowiedz na nasze pytania...

— Nie, John — przerwał mu Gerald.

Ale było już za późno. Stało się. Jęk ucichł. Richard/Rita przetoczył się na plecy, potem usiadł. Nastąpiła niepokojąca cisza. Pomocnicy nagle uwolnili się od przeszłości. Gotowi byli skoczyć i przytrzymać Richarda/Rite. Ale Richard ograniczył się do otwarcia jednego oka. Wpatrywało się w Johna, przymrużone, pełne złowrogięj radości, jakby rozjarzone..

— Ha! Śnieżnobiałe szczenię! — Słowa przychodziły powoli, jak wyciskana z tuby pasta. Wszyscy czekali w napięciu na kolejne sylaby. — Ciebie też obrobimy. W swoim czasie.

Geraldowi żal było Johna: i na niego przyszła kolej.

— Przerzedzą ci się włosy. Będziesz siedział w konfesjonale i zastanawiał się, dlaczego tamci robią to wszystko, z czego się spowiadają. To przerodzi się w ciekawość. Ciekawość przejdzie w pożądanie. Nie przyznasz się do tego, ale to pożądanie już cię nie opuści. Zapragniesz mordować. Kraść. Pieprzyć. Co tylko powiedzą. I poczujesz, że masz druta, i będziesz podbierał pieniądze. I dorwiesz się do butelki. A potem pozwolisz, by jej gorące dłonie ukoili twoją gorączkę, a kiedy wstaniesz, zawiezie ciebie nad morze, dla zdrowia, i zaliczycie szybki numerk

na tylnym siedzeniu wozu — wszystko z miłości do twego ucukrowanego Jezusa. Ale ona będzie potrzebowała jeszcze więcej tej Bożej miłości. I jeszcze więcej. I jeszcze. I jeszcze. — Głos podnosił się, przechodząc niemal w krzyk. — I zaliczysz jeszcze kilka żon kilku facetów, tylko po to, by je pocieszyć. Będziesz dziwkazem w sutannie, śnieżnobiały szczeniaku. I będziesz bał się wyjawić to podczas spowiedzi. — Richard/Rita turlał się po kanapie, skrzeczając i wyjąc. Po chwili przestał się śmiać i znów uważnie przyjrzał się Johnowi. — Kto wie, może wsuniesz się nawet do *mojej* szczeliny.

Kapitan położył dłonie na ramionach Richarda/Rity, unieruchamiając go łagodnie, lecz stanowczo. Opetany nagle umilkł. Po chwili jednak zerknął na policjanta, marszcząc nos, jakby z niesmakiem.

— On zerznie twoją żonę. Twoją! Ona już teraz go pragnie. Miłego, czyściutkięgo młodzieniaszka, którego nie miała jeszcze żadna kobieta.

— Nie daj się, Frank — ostrzegł kapitana Gerald.

Uściskał dłoń Johna, chcąc dodać mu otuchy. Stał już o własnych siłach, wyprostowany. Posłał swym pomocnikom krzepiące spojrzenia. Potem powoli i z powagą zwrócił się do Richarda/Rity:

— Zwiesz się więc Dziewkorób. Odpowiesz na nasze pytania. — Zadbał o to, by żadnego nie pominąć. — Jak wielu was tam jest? Kim jesteście? Co czynicie? Dlaczego więzicie tego człowieka, którego Jezus zbawił?

Richard/Rita każde z tych pytań przyjmował jak uderzenie młotem. Coraz bardziej wtulał się w kanapę. Niemał się kurczył, jakby uchodziło zeń powietrze. Zgroza pokryła jego twarz cienką błoną.

Gerald nie ustępował.

— Pytam cię o to w imię Jezusa. Udzielisz odpowiedzi.

Mięśnie Richarda/Rity nie były już tak napięte, cały jakby zwiotczał; leżał teraz na plecach, oczy miał zamknięte. Kapitan puścił go i cofnął się o krok. Gerald dał znak pozostałym pomocnikom; oni również odsunęli się od łóżka. Obaj bracia Richarda/Rity popatrzyli na siebie. Jak wspominali później, byli tyleż przerażeni, co zaintrygowani. Jakież to obłąkańcze i mroczne moce zniewoliły ich brata? I dlaczego? Czy można go uwolnić? Czy tamto się podda?

Gerald czuł, że z każdą chwilą jest mu lżej. Tak jakby w całym ciele otwierały się stopniowo małe kieszonki ulgi. Wzrok znów nabierał ostrości. Nie tętniło już w uszach. Prze-

stał krwawić. Nadal paliło go w żołądku, ale to był tylko tępy, uporczywy, jednostajny i zrozumiały ból.

Przez kilka minut Richard/Rita to otwierał, to znów zamykał usta. Widzieli jego niespokojny język, jabłko Adama szarpające w górę i w dół, policzki, to napięte, to rozluźnione. Zdawał się bezgłośnie formułować jakieś słowa.

Potem je usłyszeli: początkowo jako odległy szept, przechodzący w strzępy słów i urywane frazy, potem już jako pełne zdania, wypunktowane przeciągającymi się pauzami i wygłoszone tak grobowym tonem, że obaj bracia Richarda nie mogli się w nich doszukać nawet cienia tak dobrze znanego im głosu. Doktor Hammond doszedł już do siebie i ponownie obserwował wszystko pod kątem medycyny.

— Jak wielu was tam jest? — powtórzył Gerald.

Wychylił się do przodu, czekając na odpowiedź. Powoli wylapywał okaleczone słowa i początki zdań.

— mrowie... żadnych ciał, durniu... możesz nie móc... liczebność... roz... wartości ujemne... liczą się tylko w masie... niezłomna wola każdego z osobna i wszys... trzymamy się razem... karzelki ulegają gigantycznej fali... żaden nie jest sam... zdany na siebie... nic... każdy z nas sam dla siebie jest niczym, nic nie ma... wśród nas, pojedynczy duch to tylko parę włókien — umysłu i woli — rozpiętych we wnętrzu nędznej istoty, osadzonej w wiecznej pustce, w bezkresnej próżni... brzucha na dwóch nogach, błąkającego się bez celu po jałowych glebach trwałej beznadziei... oto każdy z nas, sam dla siebie... nieprawdopodobny... zero, prawdziwe zero... nienawidzące, gardzące, miłujące to, co niemiłe... co dotyczy człowieka... albo nienawidzące Największego Wroga... uaaaaaaa... pchamy, gniciemy i miażdżymy, my z Królestwa, z Królestwa, którego Największy Wróg nigdy nie opanuje, zwarci, niepoliczalni, jedna masa, jedna wola, jedna bestia, jeden blask promieniający od Najzuchwalszego ku pozostałym. I tak ludzie cofają się pod mur... godząc się na ciemność, na choroby, ból, śmierć i ciemność... ze wszystkich stron nękania, syceni goryczą, dżgani, osłabiani, wpędzani w obłąd przez roje poddanych Królestwa, Królestwa...

— Czy każdy z was ma swoje własne imię? — przerwał mu Gerald. — Czy wszyscy jesteście równi? Co z waszą tożsamością?

Głos wychodzący z ust Richarda/Rity przeszedł w sceniczny szept.

— Doskonale! Doskonale! — westchnął zdumiony psychiatra. — O to pytanie chodziło!

— Możesz iść dalej tym torem, ojczy? — spytał Bert, patrząc z niepokojem na swego brata.

— Mój drogi, bądź łaskaw zaczekać. — Psychiatra z emocji aż wytrzeszczał oczy; poczerwieniał, zły, że mu przerwano. — To może być przełom w dziedzinie badań nad zwiłokrotnioną osobowością.

Gerald zerknął na niego z ukosa. Bardziej z politowaniem, niż ze zdumieniem. Nie zdążył jednak zrobić nic więcej.

— ...krągli i tłuści, czerwoni i czarni, płci męskiej i żeńskiej, i co oni robią, jak cuchną, jak chodzą i jak żyją, ci karłowaci ludzie... imiona, jakie imiona?... wyziewy maleńkich płuczek... to właśnie robimy, są nas... miliony, jeśli liczyć wolę i umysły... jest nas niezliczona ilość, jeżeli brać pod uwagę nienawiść, uosobienia nienawiści... jeden nad drugim, żaden nie jest wszystkim, wszyscy komuś podlegamy, niektórzy są tak blisko Najzuchwalszego, że ich inteligencji sprostać może tylko Największy Wróg, inni stoją tak nisko, że są tylko lajnym, skorupami, odciskami na jego piętach, kurzem między palcami... i kochają to wszystko, całe to zwyrodnienie... wszystko, co niweczy piękno.

Odnieśli wrażenie, że Richardem/Ritą wstrząsa jakiś niesamowity, skrzypiący rechot. Niezależnie od tego, skąd brało się to rozbawienie, opętany wyglądał straszliwie: wargi ściągnięte, obnażone zęby, policzki przecięte pionowymi zmarszczkami, rozedrgany podbródek, nozdrza rozdęte i nabrzmięte — i ta potworna wesołość. Nie mająca nic wspólnego ze śmiechem do rozpuku ani z powściągliwym, ironicznym śmieszkiem, nie będąca reakcją na jakiś zręczny żart ani przejawem ogromnego poczucia humoru. To był triumfalny rechot, unoszący się na falach upojenia nienawiścią, zgody na nieszczęście, odrzucenia bytu innego niż życie w obliczu śmierci, bezwzględności i wszechobecnego banału.

Gerald wrócił do pytań.

— Kim jesteście, wy z Królestwa? Dziewkorobie? Wy wszyscy? Co czynicie?

Richard/Rita oczekiwał potem. Wilgoć przeniknęła już jego ubranie i wierzch kanapy. Od godziny panowała w pokoju nieznośna duchota. Powietrze cuchnęło stęchlizną. Wszystkich dręczył dotkliwy ból głowy. Bert i Jasper znów zaczęli wspierać Geralda. Obaj wyglądali na okaleczonych, do cna odartych z wszelkich uczuć. To, że współczuli Richardowi i obawiali się

o jego los, wpędziło ich w odrętwienie. Ojciec John odmawiał różaniec. Nauczyciel i kapitan stali przy obu krańcach kanapy. Wydawało się, że chaotyczny monolog Richarda/Rity przemienił ich w cienie, krzepkie sylwetki pochyliły się, przygięte apatią.

Jedyną jeszcze rzeźką, zdolną do chłodnego analizowania sytuacji, aktywną, będącą wciąż w ruchu i wyraźnie panującą nad swymi emocjami osobą był psychiatra. Mimo iż i jego męczyła ta sytuacja, można było dostrzec w jego oczach błysk, spotęgowany jeszcze przez okulary w stalowych oprawkach, świadczący o tym, że w obliczu tak bezcennego doświadczenia zachowuje się jak rasowy profesjonalista. Dobry Boże, modlił się w duchu Gerald, oszczędź mu kary za głupstwa, które może jeszcze popełnić.

Ale doktor Hammond, widząc, że Richard/Rita zeszywniał, skupił się na tej reakcji. Policjant i nauczyciel położyli opętanego, Jasper zostawił Geralda i dotknął kostek brata. „Czuli”, że nadchodzi fala oporu.

— Dlaczego mamy odpowiedzieć? Największy...

— Ponieważ Jezus tak wam każe. Jego krzyż nas chroni. To On was zwyciężył swoim poświęceniem. *Bądźcie* Mu posłuszni. Odpowiadajcie.

Richard/Rita znów zwiotczał. Pokój wypełnił przeciągły jęk, trwający minutę, może dwie. Jasper czuł, że całe ciało jego brata wibruje tak, jakby przesywały je krótkie, następujące jedna po drugiej, serie impulsów elektrycznych.

— My... my... zostaw nas Królestwu. Słyszysz! Rita jest już jednym z nas, Na zawsze. Nie możesz mieć Rity.

— Rita przyjął chrzest. Został zbawiony. Wybaczone mu. Nie będziecie już swobodnie dysponować ciałem i duszą Rity. — Gerald nigdy nie posądzał siebie o taką zaciekłość. — Powiecie nam, co czynicie; w jaki sposób obrabiacie. Odpowiadajcie. W imię Jezusa.

Przez kilka minut egzorcysta miał wrażenie, że znów będzie miał do czynienia z bełkotliwym chórem, ale nie to go czekało. Richard/Rita ponownie przemówił, wątlym, niewyraźnym, całkiem nowym głosem. Tak niesamowitym i niewyrobionym, że obu swoim braciom wydał się obcy.

— Och, to zaczyna się od szczeliny i na szczelinie kończy. Tak długo, jak wyzwalamy w nich przekonanie, że szczelina to wszystko, obrabiamy je. Zrobimy dziwki nawet z najwspanialszych — nienagannych i najprzezorniejszych — jeśli choć raz... choć raz powiedzą sobie, że kobieta to szczelina, i odwrotnie...

to najmocniej godzi w Największego Wroga, gdyż kobiety są doń najbardziej podobne. Mężczyzna to przedmiot. Kobieta to byt. Obrabiamy je tak, że zaczynają myśleć, że... nie istnieje nic, poza wielkim, tłustym patafianem w morzu hormonów, poza pewnymi zapachami i okrzykami, całym tym wrzaskiem, dzio-baniem, przyciąganiem i szarpaniną. Przywiążcie je mocno do wielkiego ptaka. Przywiążcie je do niego. Nie pozwólcie im sięgnąć wzrokiem dalej. A uczynią mężczyznę na swój obraz. Jego także przywiążcie... — Richard/Rita przerwał i zmienił pozycję. Poruszał ustami, jakby łąpał powietrze. — I ciebie! Kapłanie! Obrobiliśmy ciebie na...

— Nie, Dziewkorobie. Jezus was zwyciężył. Przez wzgląd na Jego imię, odpowiedź. Dlaczego zniewalacie to stworzenie, zwane Ritą? Dlaczego?

Gerald, nie mając doświadczenia, podążał niebezpieczną, ale chyba najprostszą ścieżką. Logika nakazywała mu dowiedzieć się, jak i dlaczego doszło do opętania Richarda/Rity. Groziło to jednak rozbudzeniem niezdrowej ciekawości, zaćmieniem racjonalnej oceny sytuacji. Mógłby się wtedy posunąć tak daleko, że kontakt z sednem zła trwale by go okaleczył.

Pod koniec egzorcyzmów okazało się jednak, że to ktoś inny poniósł konsekwencje takiego kontaktu.

— Czynimy to, czego oczekuje od nas Najzuchwalszy. Zdobyliśmy Ritę, zdobyliśmy jego duszę. Rita zdecydował, że będzie szczeliną, że będzie szczeliną. Nawet gdy przemawiał do niego Najwyższy, pragnął być szczeliną, szczeliną, szczeliną.

Gerald, dzięki jakiemuś wewnętrznemu zmysłowi, czuł, że jedno z włókien zła i oporu pękło, a może pękło; czuł, że będzie miał teraz do czynienia z nieco mniejszą inteligencją.

Richard/Rita znów się szamotał i łąpał powietrze. Gerald zastanawiał się przez chwilę. Co dalej? Czy powinien zachować milczenie i pozwolić, by się wszystko wyciszyło? A może przeć dalej i uzyskać więcej informacji? Przypomnił sobie, co mówił, potrząsając głową, stary dominikanin. „Jeśli będziesz miał okazję wyciśnij ich do cna, zrób to. Jeśli możesz, zmusz ich do tego, by dokładnie określili, co się stało. Ale nie wdawaj się w wymianę zdań. Zawsze zostaniesz pobity. A to pobicie może oznaczać więcej, niż jesteś w stanie przyjąć.”

Gerald ponownie spojrzał na Richarda/Ritę: opętany rzucał się gwałtownie. Pomocnicy wpatrywali się w egzorcystę, czekając na wskazówki. Postanowił zadać jeszcze jedno pytanie.

— Zły duchu, w imię Jezusa, ujawnij pułapkę, w którą schwytaleś Richarda/Rite. Pytam cię o to, przez wzgląd na władzę Kościoła i imię Pana Naszego.

— Zaczęliśmy od rozwoju wewnętrznego, od procesów poznawczych. Powiedzieliśmy Ricie, tak jak i innym: najpierw musisz stać się sobą, odnaleźć siebie, wiedzieć kim jesteś. One wtedy wtykają nosy we własne pępki i mówią: lubimy swój zapach! Potem kobieta musi pojąć czym jest, sama w sobie. Ma wszystko w środku, w odróżnieniu od mężczyzny, któremu to zwisa na zewnątrz.

Pomocnicy odsunęli się od kanapy i skupili wokół Geralda, zdjęci niemal niewiarygodnym strachem. Bert nie podtrzymał już egzorcyzty; oparł się o szafkę nocną.

— Bycie kobietą oznacza totalną niezależność, mówimy. Żadnej winy. Nie rodzaj męski. Nie żeński. Kompletna pełnia. Szpara i lechtaczka w jednym. Androginia. Wyzwolenie z poczucia winy, z całej odpowiedzialności przed mężczyzną. Biologiczneeeeeeej!

Ostatnie słowo Richard/Rita przedłużył, rozkoszując się jego brzmieniem. Na sygnał Geralda, pomocnicy znów zbliżyli się do opętanego i przytrzymali go. Chwila ciszy. A potem:

— Niech się uwolnią od wszelkiej zależności od innych. Niech myślą, że przeszły już fazę ekstazy na drucie, ale są totalnie zmysłowe, gdyż potrafią śmiać się z miłości i jej przejawów; że rozwijają swe utajone zdolności; że cały świat zawiera się w ich własnej intymności, gdzie mężczyźni są tylko intruzami; że ich wewnętrzny kosmos jest przebogaty, bezkresny, na tyle pojemny, że może pomieścić wszystko, co zapragną czynić lub mieć, czym zapragną być; że mogą być zrównoważone, obdarzone wieloma osobowościami, wieloma obliczami, także i męskimi, wolnymi od męskiej fanfaronady, także i kobiecymi, wolnymi od kocich manier.

Richard/Rita umilkł. Wstałby, gdyby nie trzymające go cztery pary rąk. Przez chwilę usiłował wymachiwać kończynami, potem się uspokoił. Znów jęknął i zaczął mamrotać coś niemal bezgłośnie.

— Mów, Dziewkorobie! Mów! Niech twój głos zabrzmie wyraźnie!

— Potem... potem... ta stara pułapka. Ta sama pułapka, w którą złapaliśmy już tyle — i nadal łapiemy. Że pieprzenie się jest im potrzebne, jak ptakom śpiew, jak wodzie nurt, a ognio-wi żar. Choćby po to, by dowiodły, jak bardzo są niezależne. Jak wysoko stoją. Że jeśli nie będą oddychać w imię pieprzenia,

żyć w imię pieprzenia i śpiewać, gdy to robią, nie będą już w ogóle potrafiły oddychać, płakać, śpiewać, kochać, kompletnie nic. Być wyzwoloną. Tak zaczynają mówić. Wszystko jedno: mężczyzna, kobieta, kozioł, chłopiec albo, jeżeli już o to chodzi, mała dziewczynka. A później, kiedy Rita już do tego doszła... Oiiiiiii! — Znów ten sam triumfalny wrzask.

Gerald wciąż był górą. Pozory zniknęły bez śladu. Ale Richard/Rita nadal pozostawał w szponach tej dzikiej, złej bestii, która dosłownie ciskała nim po kanapie, skrzecząc dalej:

— A potem... jeden penis. Później drugi. I trzeci. Czwarty. Pięćdziesiąty czwarty. Cały las. Ostre pale. Wszystkie takie same. Oiiiiii! Później zniechęci takie kochanie. Ta nienawiść wzbudzi niesmak. Zniechęci też taką miłość. I pokocha nienawiść. Będzie leżała, czekając na penisa. I będzie śmiać się z jego absurdalności. A potem niewola. Wielu z nas stanowi zadek Najzuchwalszego. Wszystkie Rity są kawalkami jego laj-na...

Więcej nie było trzeba. Gerald przerwał mu ostro. Musiał zadać jeszcze jedno pytanie.

— W jakim momencie Rita poddała się waszej woli? Kiedy dopełniliście opętania?

— W śniegu. Na wietrze. Wiedzieliśmy, kiedy znajdziemy w nim lukę. Kiedy ukorzy się przed naszą wolą. Ale zapraszał nas już przed laty...

Gerald doszedł do wniosku, że usłyszał już wszystko, co chciał. Zły duch był już dostatecznie ujarzmiony i upokorzony. Pozostawało tylko go wygnąć.

— Panie Boże, Królu Nieba, w imię Jezusa Chrystusa, Twojego Syna Jednorodzonego, i Ducha Świętego, prosimy Cię, abyś wysłuchał naszej modlitwy i wyzwolił tego oto sługę Twojego, Richarda, z mocy złego ducha.

Modląc się, Gerald patrzył w sufit. Potem spojrzął na Richarda/Rite, podniósł krucyfiks i przygotował się do zakończenia modlitwy kończącej egzorcyzmy.

Doktor Hammond przeszkodził mu, szepcząc pospiesznie:

— Ojczy, nie przerywaj tego jeszcze. Pozwól mi zadać kilka fachowych pytań.

Mimo iż Gerald nie przepadał za psychiatrami, a zwłaszcza za tym, nadal się go obawiał. Odwrócił się z wysiłkiem, błagając go:

— Na miłość Boską, doktorze Hammond, dla pańskiego własnego dobra, niech się pan zamknie. Niech się pan trzyma z dala. Nie wie pan, co pan...

Ale już było za późno. Psychiatra podszedł do Richarda/Rity. Usiadł na skraju kanapy i zaczął mówić spokojnie, z naciskiem:

— No, Rito, już prawie skończyliśmy. To niemal wszystko. Uspokoisz się. Nie ma się czego obawiać. Odpowiedz na moje pytania. Potem się obudzisz.

Richard/Rita przestał się wiercić. Leżał absolutnie nieruchomo. Twarz miał rozluźnioną. Okolice ust nie były już napięte. Doktor Hammond, początkowo dość czujny, również się rozluźnił. To, że Gerald do tego dopuścił, było jego kolejnym błędem. Żaden doświadczony egzorcysta nie pozwoliłby na tak rażące i niebezpieczne zakłócenie obrzędu. Niebezpieczne nie tylko dlatego, że groziło przerwaniem egzorcyzmów i kompletnym fiaskiem, ale i dlatego, iż mogło się okazać fatalne dla nieostrożnego osobnika, który, przez swą ignorancję, wchodził w bezpośredni kontakt ze skondensowanym złem. I tak też, w pewnym sensie, stało się z doktorem Hammondem.

Tuż po jego słowach skierowanych do Richarda/Rity zapadła nagle martwa cisza. W zderzeniu z niedawnym bólem, zgiełkiem, jękami i napięciem, wydała się wszystkim zaskakująco obca. Jeden po drugim, podnosili głowy. Aura kompetencji emanująca od psychiatry — jego niebieski garnitur, okulary, przekonanie, pewność, z jaką zbliżył się do kanapy Richarda, by z nim porozmawiać, tłumiając swym zachowaniem obawy Geralda — zasugerowała im, że — jak to określił policjant — „może, w końcu, okaże się, że cała sprawa jest normalniejsza, niż się wydawało”.

Gerald jednak wyczuwał nie tyle rejteradę zła, co zmianę szyków. Doktor Hammond wpadł w tę samą pułapkę, w którą i on dał się schwytać miesiąc wcześniej, tyle że potencjał obronny psychiatry był daleko uboższy niż ten, którym w owym czasie dysponował egzorcysta. Ale tylko Gerald i nauczyciel zdawali się to pojmować, z lękiem czekając, co będzie dalej.

I nagle, niemal jednocześnie, pozostali pomocnicy utracili spokój, tak jakby ich odprężenie było widowym i namacalnym darem, którego ich ktoś pozbawił. Niemal dostrzegało się i czuło, jak zamiera w nich ulga. Cisza zmusiła ich do nasłuchiwania. Coś się zmieniało. Już wszyscy czuli to samo, co Gerald i nauczyciel. Jakaś zachodząca w pobliżu zmiana, związana z nimi, z tym pokojem, z Geraldem i z Richardem/Ritą.

Nawet psychiatra zamarł, gubiąc typowy dla swej profesji dystans. Sprawiał wrażenie kogoś na poły urażonego, na poły zirytowanego; jakby przerwano mu w pół zdania. Popatrzył szybko na Geralda i jego asystentów; widać było, że jest zanie-

pokoiony. Po raz pierwszy, odkąd rozpoczął praktykę, spotkał się z czymś, czego nie potrafił w żaden sposób zaklasyfikować. Czymś, co właśnie zaczynał odbierać; czymś, co wyczuwał i o czym wiedział, choć nie przyznawał się do tego nawet w najcięższych momentach swojej ośmioletniej, owocnej praktyki lekarskiej.

Jedynym dostępnym dlań środkiem obrony był jego racjonalizm, apelujący teraz: sprawdź to! zbierz fakty! zbadaj je! Ale doktor Hammond już wiedział. Nie było żadnych faktów do zbadania. Otworzyła się przed nim inna rzeczywistość. Wcześniej uznalby to za nieracjonalne. Teraz nie był w stanie zakwestionować realności tego zjawiska. Od tak dawna wiedział o jego istnieniu.

Stopniowo docierały do nich jakieś głosy. Początkowo kojały im się z tłumem — słyszeli ciche uderzenia stóp, wołania, krzyki, wrzaski, szyderstwa, rozmowy, odległe gwizdy i chrząknięcia. Nie potrafili określić, skąd dobiegały. Nauczyciel wyjrzał przez wychodzące na staw okno. Drzewa chwiały się łagodnie, poruszane wiatrem; kilka kaczek taplało się w wodzie; nie było jeszcze ciemno. Harmider się nasilił; był nadal odzwierciedleniem chaosu, ale można już było wyodrębnić jeden dominujący ton: przejmujący, trudny do opisu smutek. Słuchając tego narastającego zaśpiewu, zarejestrowanego na taśmie magnetofonowej, człowiek dochodzi do wniosku, że słyszy udręczone szepty i bezsilne protesty rzeszy konających, lamenty i pieśni żałobne, wrzaski i jęki skazanych na niekończącą się mękę, ginących w próżni skowyt potępionych, monstrualne uosobienie cierpienia, gigantyczne serce, tłukące się w takim błocie i plugastwie, jakiego nie odnotowała nigdy historia i nie przeniknęło ludzkie miłosierdzie.

Spośród wszystkich tych głosów wyróżniał się jeden, dochodzący jakby z góry, ale nieustannie wnikający pomiędzy nie i nadający im swoistą linię melodyczną: rozpaczliwy, kobiecy krzyk. To wznosił się, to opadał; to się nasilał, to słabł, regularnie, rytmicznie, drażniący ucho, przepelnięty bólem i totalnym zwątpieniem.

Gerald zauważył, że wszyscy wokół niego są schyleni, jakby kurczyli się w obawie przed czymś, co porusza się w górnych partiach pokoju. Nic tam nie dostrzegł.

Doktor Hammond siedział nieruchomo, tak jakby nie mógł oderwać się od kanapy. Wargi Richarda/Rity zsiniały, otwarte oczy patrzyły obojętnie w przestrzeń. Drugi lekarz zbliżył się, żeby go zbadać, i stwierdził, że ciało opętanego jest nienaturalnie zimne, a puls równomierny, choć słaby.

— Ojciec, to musi się wkrótce skończyć — zawołał z trudem ojciec John. — On ma już dość.

— Już niedługo koniec! Już niedługo! — odpowiedział Gerald.

Nie zdążył jednak przekazać wszystkiego, co zamierzał. Zaabsorbowało go zachowanie psychiatry. Doktor Hammond zsunął się z kanapy i stał teraz nieco wykręcony, patrząc przez ramię na Richarda/Ritę. Zapomniał o porzuconym notatniku, w jego zmrużonych oczach czaiło się zrozumienie. Nikt z obecnych, włączając w to psychiatrę, nie był w stanie wyrzucić ze swych myśli wszechobecnego bólu i rozpacz.

Łkania i lamenty przybrały jeszcze na sile, zmieniając się w trudny do zniesienia zgłęk. Twarz Richarda/Rity przybrała intensywną barwę; na rękach i szyi pojawiły się czerwone smugi i plamy. Nawet kolor oczu wydawał się głębszy. Opętany próbował coś powiedzieć.

Gerald stał się czujny: coś się zbliżało i czuł, że musi czym prędzej rzucić ostatnie wyzwanie.

— W imię Jezusa, nakazuję wam opuścić to stworzenie Boże. Wyjdziecie z Rity, w żaden sposób go nie naruszając...

Niespodziewany wrzask Richarda/Rity rozsadził im bębni.

— Odejdziemy, kapłanie. Odejdziemy. — Miliony wzburzonych głosów zbiły się w jeden, pełen odwiecznego bólu i cierpienia. — Odejdziemy w nienawiści. W nienawiści, której nikt nie wykorzeni. I zaczekamy na ciebie. Kiedy przyjdzie ci umrzeć, będziemy na miejscu. Odejdziemy. Ale — Gerald usłyszał w tym łkaniu nienawistny syk — zabierzemy jego.

Ręce Richarda/Rity wystrzeliły nagle, szerokim łukiem, ku doktorowi Hammondowi. Ruch ten był szybki, lecz niezdamny.

Psychiatra odskoczył w tył. Opętany zwałił się na podłogę, a pomocnicy rzucili się, by go przytrzymać.

— Już mamy jego duszę. Należy do nas. Jest nasz. I tego nie zmienicie. Już go mamy. Jest nasz. Nie musieliśmy o niego walczyć.

Richard/Rita charczał, jakby się dusił; oczy wychodziły mu z orbit, mięśnie karku napinały się, długie włosy spadały na plecy, pierś unosiła się i opadała; niemal się podniósł.

— Nie odbierzecie go. Jest nasz. Pracuje dla nas. Nie potrzebuje szczeliny. Pakuje w nie innych.

Doktor Hammond utracił resztki spokoju; na jego twarzy malował się błady strach.

— Tu... tu nie ma już dla nas miejsca. — Głos nadal wydobywał się z ust Richarda/Rity, przesycony niewysłowionym bólem i goryczą. — Za wiele tu cierpienia. Tam, dokąd pójdziemy...

Głos ucichł.

Richard/Rita wierzgał i drapał mocujących się z nim ludzi. Potem zaczął krzyczeć i krzyczał, dopóki nie zemdlął, a ostatnie sylaby jego słów rozplynęły się w otaczających ich głosach. Uniosły się spirala ku górze, wysoką, wątlą nutą, a potem opadły nisko, w donośny rumor, przypominający ryk patroszonego byka. Oddalały się powoli. Owe rzesze udreńczonych głosów, owe coraz radsze i coraz cichsze kroki wycofywały się coraz dalej i dalej, niczym sunący cał po calu kondukt, chwiejnie opuszczający miasto człowieka, polykany przez ogromne, niezbadane pustkowie nocy. Jeszcze dźwięczał żałośnie ów kobiecy krzyk, coraz słabiej przebijający się przez zamierające echa odchodzących tłumów, aż wreszcie słyhać było jedynie nikłą namiastkę dźwięku, to wzbijającą się, to znów tonącą, na zawsze ginącą w ciszy.

W miarę jak te odgłosy oddalały się, Richard/Rita ustępował. Napięcie ogarniające pozostałych stopniowo słabło, aż uświadomili sobie, jeden po drugim, podnosząc głowy, poruszając się niespokojnie i patrząc sobie w oczy, że zostali sami w niewielkiej sypialni i że panuje dziwna cisza, a świat nie wyrócił się jeszcze na opak. Skończyło się. Wszystko grało.

Gerald zerknął na psychiatrę. Tamten opierał się o ścianę, w rękę trzymał okulary, drugą dłonią ocierał łzy, których nawet nie starał się ukryć.

— Bert, możesz się nim zająć? — zapytał łagodnie egzorcysta.

— Zostawcie mnie. Zostawcie mnie — wymamrotał doktor Hammond w przerwie między atakami płaczu. Potem nabrał tchu. — Nic mi nie jest. Zostawcie mnie.

Podszedł powoli do drzwi, otworzył je na oścież, nieznacznie się odwrócił i popatrzył na Richarda/Ritę i Geralda. Sprawiał wrażenie człowieka niesłusznie skrzywdzonego, w oczach jego widać było zdumienie i niemą prośbę. Potem, bez słowa, odwrócił się i wyszedł. Później porozmawia z Geraldem. Teraz brakowało mu słów. I był niewiarygodnie zmęczony.

Po jakichś dwudziestu minutach przenieśli Richarda/Ritę na kanapę. Dochodził do siebie. Ruchem ręki przywołał Geralda. Był wyraźnie osłabiony, ale przytomny i świadomy siebie. Gerald

zauważył w jego oczach uśmiech, dotykający też nieznacznie kącików ust.

— Ojczy, od dziesięciu lat nie czułem się tak wypoczęty i tak lekki. Ja...

— Nie musisz tyle mówić, Rito — rzekł Gerald.

— Ale, ojczy, ja... po raz pierwszy od tak długiego czasu czuję się szczęśliwy.

— Później o tym porozmawiamy — powiedział Gerald, uśmiechając się pomimo bólu; znów miał krwotok, czuł też nieznośny ból w rejonie miednicy. Wyprostował się, na ile było to możliwe, i odwrócił się, by wyjść.

— Ojczy Geraldzie! — Richard/Rita z wysiłkiem podniósł się i oparł na łokciu. Wyglądał przez okno. — Nazywam się... ja... proszę... nazywaj mnie Richardem. Urodziłem się jako Richard. I umrę jako Richard. — Podniósł wzrok na Geralda. — A co do reszty — popatrzył na swoje ciało — co do reszty, polegajmy na Bogu i... i na Jezusie. — Umilkł i odwrócił głowę, jakby coś sobie przypominał lub próbował przypomnieć. Potem znów spojrział na egzorcystę. — Ojczy, oni mi powiedzieli... a może słyszałem, jak mówią... nie wiem dokładnie... że zostało niewiele czasu... sam wiesz...

Urwał w pół zdania.

— Wiem, Richardzie — stwierdził Gerald, próbując się uśmiechnąć, czuł jednak w sobie zbyt duży ciężar. Gdzieś w głębi miał szarego ślimaka, który pożerał jego trzewia. Gdzieś w sercu zagnieździła się bryła lodu. — Wiem. Wiem o tym już od jakiegoś czasu. W porządku. To był mój wybór.

Doktor Hammond czekał za kierownicą swojego samochodu. Uruchoił już silnik.

— Zapowiada się bardzo wilgotna noc, ojczy Geraldzie — powiedział. Pomimo ogromnego wyczerpania, zdobył się na nutę serdeczności i szacunku, o jaką Gerald nigdy by go nie posądził. — Pozwolisz, że wysadzę cię w mieście i pojedę do biura. Muszę nagrać swój raport, zanim coś zapomnę. Jutro będą mogli dać to na maszynę.

Gerald z trudem wsunął się na przednie siedzenie i pomachał na pożegnanie Jasperowi, który pomagał mu iść.

— Powiedz mi, doktorze — rzucił, kiedy wyjeżdżali na główną drogę — czy wierzysz w Diabła?

Wujek Ponto i Grzybiarz

— Wujku Ponto! — wrzasnął z wściekłością Jamsie, dochodząc do drzwi swego mieszkania. — Wujku Ponto! Tym razem zrobię to. Na Jezusa, zrobię to. Zobaczysz! Zrobię.

Zatrzasnął za sobą drzwi. Zwlekając się ze schodów i bawiąc się z kluczykami, mamrotał gniewnie:

— To załatwia sprawę... permanentnie, co? To załatwia sprawę. Urządzą cię, ty mały sukinkocie.

Każdy cal jego wysokiej, kościstej sylwetki dygotał. Ogarniająca go rozpacz niemal odbierała mu władzę nad ciałem. Jego rudawe włosy i kontrastująca z nimi cera zawsze robiły wrażenie na ludziach. Co więcej, teraz jego trupa twarz pokrywał gorączkowy rumieniec, a oczy płonęły. Wyglądał naprawdę przerażająco.

W kilka sekund później siedział już za kierownicą. Przeklinając własną niezdarność, uruchomił wreszcie silnik, nerwowo wykonał zakręt i, nabierając szybkości, ruszył ku peryferiom San Francisco.

Kipiąca w nim złość wciąż przyprawiała go o drzenie. Wybryki Wujka Ponto znosił przez całe sześć lat. Miał już tego dosyć. Mimo iż Ponto częstokroć zostawiał go samego, pozwalając mu nawet na spokojny sen, a jego niesamowita obecność niekiedy sprawiała Jamsiemu radość i dodawała werwy, w ten sobotni ranek miał już go dosyć. Ponto zamierzał wprowadzić się do niego na stałe, całkowicie i niezwłocznie, zawładnąć nim i całym jego życiem. We wnętrzu Jamsiego coś pękło. Postanowił zakończyć całą sprawę.

— Nie będziesz już mnie molestował. Odczepisz się ode mnie. Zobaczysz...

Głos mu się załamał. Wystarczyło jedno spojrzenie w lusterko: Wujek Ponto siedział na tylnym siedzeniu, na twarzy miał ten sam dziki uśmieszek, który tak wkurzał Jamsiego.

— Już ci mówiłem — krzyknął w lusterko Jamsie — że to parszywy uśmieszek. Świński! Brudny, świński uśmieszek! — Gniew i frustracja znów dały o sobie znać. — Cholera! Cholera! — Zwolnił, by wziąć zakręt. — I jeszcze raz cholera! Sam o to prosileś, Ponto. Niech ci będzie.

Pogrążył się w milczeniu, westchnął ciężko i ruszył dalej. Od czasu do czasu zerkał ukradkiem w lusterko, żeby się upew-

nić, iż Ponto jeszcze tam jest. Widział baniastą głowę, zwieńczoną niemal szpicem, wąskie czoło z małąkimi zygakami brwi, idącymi skośnie w górę, ogromne, wylupiate oczy o białkach tak przekrwionych, że niemal zlewały się z intensywnie różowymi tęczówkami. Jego nos, usta i podbródek — to, co należało nazywać podbródkiem — zawsze kojarzyły się Jamsiemu z długim, cienkim ołówkiem wetkniętym w nadzwyczaj nieforemny ziemniak z Idaho.

Twarz Ponto wyglądała tak, jakby składała ją po ciemku kilku ludzi o przeciwstawnych koncepcjach, korzystających z elementów pochodzących z różnych twarzy. Nic tam do siebie nie pasowało. Nawet kolor skóry, brązowawo—czarny, klócił się z rzadkimi blond włoskami, osadzonymi na czubku tej spiczastej główki, niczym tania peruczka.

Wyglądałby komicznie — bywało, że Jamsie śmiał się z jego fizjonomii — gdyby nie normalny wyraz owej twarzy. Niewiele było tu z oblicza klauna, w której nieregularność rysów i przeskrawienie ludzkich uczuć służą pewnemu patosowi. Oblicze Ponto stanowiło karykaturę człowieczej twarzy. Podczas gdy lico klauna mówiło wyraźnie: „Śmiej się! Ale wiedz, że jestem odbiciem bezradności nas wszystkich”, Twarz Ponto głosiła: „Nie śmiej się! Rozpaczaj, gdyż jestem odzwierciedleniem wazszej absurdalności”. Czynnikiem, który uniemożliwiał Jamsiemu ciągle bawienie się tym licem, była nieustanna jego zmienność. Czasem nic w nim nie było z człowieka. Jedynie coś innego, czego Jamsie nie umiał nazwać — nic z człowieka, nic ze zwierzęcia ani z koszmaru zrodzonego w złych snach albo prezentowanego w Gabinetie Okropności.

Jamsie do dziś pamięta, co rzekł Wujek Ponto, kiedy wyjeżdżali na autostradę 501.

— Wszystko, o co proszę i o co kiedykolwiek prosiłem, to żebyś mnie przyjął i pozwolił mi ze sobą żyć. Nie będę wchodził ci w drogę. Potrzebujesz takiego przyjaciela jak ja.

Jamsie parsknął ze złością: przez chwilę nie panował nad samochodem.

— Widzisz — ciągnął Ponto tonem wyższości. — Widzisz! Nie powinieneś tak się martwić. Nie jesteś tak dobrym kierowcą, jak był twój ojciec, Ara.

— Ojca zostaw w spokoju — zgrzytnął Jamsie.

Głos Ponto to zupełnie odrębna historia. Nigdy się nie podnosił, nawet jeśli Ponto krzyczał, ale i tak zazwyczaj był męczący. Natrętne echa tak atakowały bębenki Jamsiego, że

wszystkie dłuższe rozmowy z Wujkiem kończyły się dotkliwym bólem uszu.

Jeżeli chodzi o szczegóły, to Ponto zaczął go nękać w długi czas po stopniowym upadku jego ojca, który zaczynając jako samowystarczalny nowojorski rzemieślnik, z czasem stał się szoferem, a później sezonowym sutenerem, a nawet handlarzem prochów. Tak, i długo po tym, jak jego matka zaczęła parać się prostytutką na ulicach miasta, widząc w tym ostatnią szansę zarobienia na życie.

Zostaw ich w spokoju, powiedział w duchu Jamsie. Sprawa pomiędzy nim a Wujkiem Ponto dotyczyła tylko ich dwóch.

Mówiąc krótko, Jamsie miał dość jego natręstwa. Dwa lata nagłych wizyt o poranku, w południe i w nocy, nachalnych ingerencji, burzących jego życie osobiste — nie, tego było już za wiele. Początkowo Jamsiego nawet cieszyły zaskakujące wybryki Ponto. Uwalniały go nieco od nudy. Czasem bawiły go, pobudzały, nawet dodawały sił i pomagały w trudnych chwilach. Po latach narastającej grozy, poprzedzających pierwsze pojawienie się Wujka — po latach prześladowania przez dziwne, trudne do rozwiązania problemy — Ponto pomagał mu przynajmniej uwolnić się od ziryutowania życiem, ludźmi... i sobą samym. Ale tak było tylko na początku.

Może trwałoby to dłużej, gdyby Ponto nie zmienił taktyki. Niestety, po jakimś czasie Jamsie odkrył, że Wujek Ponto wierza nań presję. Sporadyczny gość i towarzysz przeszedł na pozycję familianta, współnika i najbliższego przyjaciela. Dopiero wtedy Jamsie uświadomił sobie w pełni, z jaką to przewrotną osobowością ma do czynienia. I tego już nie mógł znieść.

Zbliżali się do San Jose. Ponto znów zaczął mówić. Ale Jamsie już nie raz dawał mu się zwodzić. Zaciśnął wargi, zdecydowany zbyć go milczeniem. Bywało, że to skutkowało.

Już to wszystko słyszał: to, co Ponto sądził o jego rodzicach; to, że Jamsie powinien trzymać się z dala od kobiet i alkoholu („kobiety to śmierć, a gorzałka odbiera rozsądek”): kto jest jego prawdziwym przyjacielem — czy sam Ponto, czy tacy ludzie, jak jego niegdysiejsza przyjaciółka, Lila Wood, i jej przyjaciel, ojciec Mark. Wujek tłukł to w kółko.

Jamsie minął San Jose, wjechał na autostradę 52 i zmierzał na wschód, do Hollister. W głosie Wujka pojawiła się nuta podejrzliwości.

— Mówiłeś mi, że nie lubisz hrabstwa San Benito, Jamsie!

— Chwila przerwy. — Jamsie!

Jamsie nie odrywał oczu od jezdni.

Ponto zmienił ton. Zaczął się przymilać.

— Tylko powiedz „tak”. — Niemal błagał. — Tylko powiedz „tak”. Nie masz pojęcia... Nie chcę wracać... Wszystkie domy tam... — Jamsie zerknął na budynki stojące na wzgórzach. — Nie ma dla mnie miejsca pośród tamtej gorzały, dziwek i rozpaczy.

Nie słysząc żadnej odpowiedzi, nie widząc żadnej reakcji, Ponto umilkł. Jamsie patrzył w dal. Znow nastąpiła cisza.

Nieco później, kiedy Jamsie skierował się autostradą 25 na południe, ku Benito River Valley, na jego usta wpadł sardoniczny uśmiech. Ja ci pokażę, pomyślał. Ty mały sukinsynu. To mnie uwolni od ciebie, załatwi sprawę raz na zawsze.

Wujek Ponto znow się jeżył. Był coraz bardziej niespokojny.

— Jamsie, już ciebie nie łapię. Skończ z TYM! Słyszysz? Skończ z TYM! Czuję złe wibracje, bardzo złe. Ciemność i mgłę.

Jamsie znow przypomniał sobie przyjaciela Lili, ojca Marka. Ponto ironicznie nazwał go „Grzybiarzem”. Pewnego wieczoru, kiedy Jamsie odwiedził owego księdza, ten przyjął go zupa grzybową, zrobioną według własnego przepisu. Potem Jamsie rozmawiał z nim do wczesnych godzin porannych, opowiadając o swym dzieciństwie, o kłopotach z Ponto, o swej własnej rozpacz, i niezgodzie na taki los. Mark wydawał się rozumieć więcej, niż mógł to przekazać. Jamsie stwierdził jednak kilkakrotnie, że nie jest w stanie przystać na propozycję księdza: na pozbycie się Wujka Ponto. Ilekroć rozmowa dochodziła do tego punktu, czuł nieuzasadniony strach. Co się stanie, jeśli Ponto przestanie uczestniczyć w jego życiu? Tak jakby Wujek zapewniał mu bezpieczeństwo albo, innymi słowy, jakby był jemu coś winien.

Znow zerknął w lusterko. Ponto wyszczerzył się zadowolony. Widok owej szczeliny, którą Wujek uważał za uśmiech, znow rozeźlił Jamsiego, Nie potrafił się powstrzymać.

— Jesteś synem Ojca Łgarstw! — zawołał ze złością. — Mark mi powiedział, że tak nazwał go Jezus...

Przenikliwy wrzask Wujka wypełnił uszy Jamsiego.

— NIE RÓB TEGO! — krzyczał. — Nie wymieniaj przy mnie tego imienia. Nie wymieniaj GO!

Dziwaczną twarz Ponto wykrzywił grymas rozpaczy.

I znow zapadła cisza. Jamsie popatrzył na mijaną okolicę. Jakże był tu szczęśliwy przed laty, kiedy ojciec zabrał go w te strony. Na wschodzie wznosił się masyw Diabło — ironiczny komentarz do tej sytuacji, pomyślał. Na zachodzie — masyw

Gabilan. Przed nimi park narodowy Pinnacles. Powinni trafić tam za godzinę.

Muszę z tym skończyć, powtarzał sobie wciąż Jamsie. A jednak wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa budziły w nim zastanowienie. Złapał się na tym, że myśli, iż musi się uwolnić od przeszłości. Muszę wyeliminować tego „znajomka”, muszę odzyskać wolność. Ponto znow zaczął trajkotać, przerywając tok jego myśli.

Zawsze przerywał, ilekroć Jamsie zaczynał myśleć, naprawdę myśleć. To właśnie, jak sobie uświadomił, nakłoniło go do zerwania tego układu; to ciągle zakłócanie jego myśli i uczuć. Dziwaczne wypowiedzi Wujka pozbawiały go zdolności myślenia. Niewiele nawet czuł.

Przyduś pedał gazu. Trzeba było dotrzeć do Pinnacles.

I nagle, niespodziewanie, pojawił się ból, który zablokował jego pamięć i zaćmił myśli. Coś naciskało na klatkę piersiową. Doświadczał tego już przedtem, kiedy usiłował się przeciwstawić Wujkowi. Sedno bólu tkwiło tuż pod skórą i tak jak w ciągu ostatnich tygodni usiłowało się przedrzeć ku centralnemu punktowi jego ciała. Miał wrażenie, że ściąga mu mózg, próbując go spuścić w głąb kręgosłupa.

Mógł myśleć jedynie o kontrakcjach, których Mark nauczył go owego wieczoru.

— Jezus — wymamrotał, niemal bezgłośnie.

Potem zaczął dzielić to słowo na głoski.

— J—E—Z—U—S, J—E—Z—U—S.

Powtórzył to z dwadzieścia razy. Potem przeliterował to imię, powtarzając alfabet od A do J, od A do E, od A do Z, od A do U i od A do S. Powtórzył ten manewr.

Nie traktował tego jako modlitwę. Ojciec Mark nauczył go, że to jest tylko sposób na zablokowanie ingerencji Wujka Ponto.

Presja zaczęła słabnąć. Znow mógł złapać oddech.

— Jamsie — zaskrzeczał przerażony Wujek Ponto. — Wiesz, że tego nie lubię. Wcale mi się to nie podoba, I dobrze o tym wiesz. Więcej tego nie zniosę. Przerwiesz natychmiast albo nie pojedę dalej. Utracisz mnie, słyszysz? Utracisz mnie.

Jamsie roześmiał się, najpierw w duchu, potem, nie panując nad sobą, głośno.

— Moim przyjaciółom i krewnym to się nie spodoba — piszczał Ponto, uderzając łokciami o boki i trzepocząc rękoma. Jamsie pękał ze śmiechu. Nie na próżno nazywał Wujka „kaczorkiem”.

To przynajmniej poskutkowało, pomyślał. Nie miał pojęcia, dlaczego to miano irytowało Wujka Ponto. Ale śmiał się przez następne trzydzieści dwie mile. Wszystko bolało go od tego śmiechu. Ulżyło mu, że na jakiś czas przechytrzył Wujka.

Chwilami robiło mu się ponuro i przestawał się śmiać. Zerkał wtedy na Wujka Ponto, dostrzegał jego spiczastą czaszkę, ciężkie powieki i brak podbródka, łączył to z jego „kaczorkowością” i znów miał powód do śmiechu.

Przy wejściu do Parku Narodowego jakiś leśnik zainkasował pieniądze. Jamsie zaparkował swój wóz w pobliżu Pomnika Gości, kupił sobie mapę i latarkę, po czym udał się w głąb Lasu Pigmejów. Wiedział, dokąd jedzie. To wprawiało go w euforię. Ale Wujek Ponto czuwał. Jamsie musiał zapłacić za to, że go zlekceważył. Coś w powietrzu sprawiło, że wpadł w euforię. Od dawna nie czuł się tak wolny. Przyspieszył kroku.

— Zbiorniku wodny, oto nadchodzę — zanucił na melodię „Oto nadchdżę, Kalifornio”.

Ponto znów zaczął go molestować:

— Jamsie, usiądź na chwilę. Poczuj zapach dzikiej wiśni, manzanity, tego dzikiego kwiecia. Usiądź i odpocznij. Kazano ci uważać na serce. Zainwestowałem w ciebie. Jesteś dla mnie domem. Nie zamierzasz chyba przejść dziwięciu mil w górę i w dół, Jamsie? Proszę, nie! Daj spokój i porozmawiaj ze mną. Proszę!

Jamsie nie zamierzał się poddawać. Wspinając się ku grotom Bear Gulch, rozłożył mapę.

— To nie ma sensu, Jamsie — stwierdził Ponto. — Mówię ci, to nie ma sensu.

Jamsie zlekceważył go, penetrując mapę w poszukiwaniu jeziora. Ale Wujek znów zaczął się bawić. Ilekroć oczy i palec Jamsiego zbliżały się do właściwej nazwy, ta się zmieniała. Uciekała w bok, unikając go, kreśląc zygzaki na powierzchni mapy.

Jamsie najpierw był wściekły, potem przerażony. Rzucił mapę na płaski kamień i przytrzasnął palcem słowo „jezioro”. Jednak się spóźnił. „Jezioro” uciekło z mapy i wystrzeliło w niebo, ponad jego ramieniem.

Podskoczył, klnąc do żywego i obrzucając obelgami niebo, na którym widział to słowo, płynące niczym porzecz holowany przez jakiś niewidoczny samolot. Zachwiał się, mrużąc oczy. Na niebie tańczyło hasło „Zbiorniku wodny, oto nadchodzę”. Potem niebosklon wypełnił się tańczącymi słowami, pisanymi litera po literze, i to na wspak: S—U—Z—E—J, E—I—S—M—A—J, S—U—Z—E—J, E—I—S—M—A—J.

Tupnął, rozgniewany. Znów był zły.

— Do diabła z tobą i twoimi sztuczkami, parszywy chamie. Do diabła z tobą i twoimi sztuczkami...

Usłyszał tylko echo swego krzyku i pojął, że jest sam. Podniósł głowę. Wszystko grało. Niebo było błękitne i czyste. Ani śladu Wujka Ponto. Koniec z roztańczonymi literami. *Był sam.*

Znów złapał za mapę i potknął się. Wiedział już, co zrobić.

Pół mili później wszedł do jaskini Bear Gulch, Przed dwudziestu laty był tam z ojcem i teraz przydawało się to, co wówczas zapamiętał.

Będąc w połowie wąskiego chodnika, wiodącego do grotu, usłyszał coś więcej niż tylko swoje własne kroki. Początkowo był to jedynie plusk niewidocznych kaskad i szum podziemnych strumieni. Potem doszedł do tego głos. Rzecz jasna, Wujka Ponto.

— Jamsie, będę zmuszony wziąć pod uwagę tę głupotę. Jestem za wszystko odpowiedzialny.

Głos dochodził z góry. Jamsie podniósł latarkę. Przed wiekami kilka bloków skalnych zważyło się w wąską szczelinę w ścianie kanionu i utknęło tam, odcinając światło dnia i tworząc strop. Wujek Ponto wisiał pomiędzy skalami, jego oczy jarzyły się złośliwie.

— Och! Tu jest mi całkiem dobrze.

— Co, do... — Jamsie był bliski wybuchu, ale niespodziewanie utracił wolę walki. Poczul się słaby i bezradny. W przyplywie desperacji puścił się biegiem, przez kałuże i skały, moczając nogi, kalecząc stopy i łydki. Przez cały czas towarzyszył mu drwiący głos Wujka.

— Jamsie, jeżeli będziesz to ciągnął, wszystko się źle skończy. Wiesz, że i tak przybiegniesz do mnie. Beze mnie nie dasz sobie rady. Już nie!

To „już nie” ścigało go tysiącem ech. Potęgowało jego strach i potrzebę ucieczki.

Zobaczył w dali ślady słońca. Przyspieszył, ścigany wołaniem Wujka Ponto, dochodzącym ze wszystkich szczelin. W końcu wgramolił się na jakieś stopnie wycięte w skale i wyszedł na światło dzienne. Głos Ponto został gdzieś z tyłu, w ciemności, z której udało się mu wydostać. Jamsie tracił dech, ociekał potem i cały się trząsł. Pokaleczył sobie łokcie, kolana i kostki. Włosy spadały mu na oczy.

To, co zobaczył uwolniło go od paniki. Jezioro, spokojne, błękitne, nienaruszone, niczym tafla szkła, bez najmniejszej zmarszczki. Odbijały się w nim brązowe, czarne i szare masywy

i iglice, niczym nie zmacone obrazy przeszłości, ubrane w zieleni i spopieliałą biel porastających je roślin. Idealny spokój, zakłócony tylko przez ruch odbić śnieżnobiałych obłoczków, gnanych przez wiatr. Otaczające je giganty milczały. Odległość stawała się fikcją. Czas zwolnił swój bieg.

Nagle, w nowym przypływie panicznego lęku, Jamsie uważał na prawo od siebie Cień. Ze ściany sterczał tam brązowo—szary obelisk. Cień stał tuż pod nim, z dala od oślepiającego słońca.

Z lewej, z wylotu jaskini dobiegł zirytowany głos Wujka.

— No, jeśli musisz, zrób to. Skończ z tym! Do dzieła, Jamsie! To idealne miejsce!

Jamsie zerknął na Cień. Wydało mu się, że dostrzegł tam ruch, tak jakby ktoś wzdychał z ulgą, ciesząc się, iż nadchodzi upragniony koniec.

I znów uderzył weń głos Ponto.

— No już, durniu! Skacz! Powiedzieli mi, że wszystko gra. Skacz!

Ledwie to wołanie ucichło, Cień poruszył się lekko. Może pochylił się, by lepiej widzieć, co robi Jamsie. Można już było, choć z grubsza, dostrzec szczegóły jego sylwetki.

Jamsie był zdumiony tym, że nie odczuwa złości ani lęku. Po raz pierwszy od trzech lat. Czuł natomiast ulgę. Ciało i umysł były niebywale swobodne, podobnie jak wtedy, gdy łapie się pierwszy oddech po nazbyt długiej przerwie. Nie rozumiał, skąd ten spokój.

Odwrócił głowę i spojrzał na cień, tak jakby wiedział, że tam znajdzie odpowiedź na to pytanie. Dręczył go ten problem, podobnie jak wiele innych. Spróbował przeniknąć wzrokiem spowijającą ową sylwetkę czerń.

Wystarczyło mu te kilka chwil, jakie miał do dyspozycji, zanim Cień rozplynął się w mroku. Wszystkie szczegóły — twarz, głowa, sposób, w jaki tamten stał — zakodowały się w jego pamięci. Cień był wysoki, nienaturalnie wysoki. I masywny. Ciało jego pokrywały czarne fałdy. Widać było dwie ręce, uniesione przedramiona, dłonie skierowane w stronę Jamsiego, palce, to rozchylające się, to znów zaciśnięte w pięść. Głowę odchylił do tyłu, dumnie, a może w przejawie pychy. Można już było dojrzeć jego oczy, nos i usta.

Kształt jego oblicza zaintrygował Jamsiego. Widniały tam wszystkie detale typowe dla ludzkiej twarzy. A jednak nie było to oblicze człowieka. Coś zupełnie innego. Skąd je znał? Towarzyszyło mu od pierwszych chwil świadomości, przez całe dzie-

ciństwo i wczesną młodość. I od dnia, w którym podjął pierwszą pracę. Tak, to była twarz Wujka Ponto. Widział w niej też coś z twarzy swego ojca: wyraz, jaki przybierała późną nocą, kiedy Ara udawał się na „robotę”. I coś z wielu innych twarzy, które zdążył już zapomnieć. Wiele twarzy.

To trwało zaledwie chwilę. Kiedy Cień bezgłośnie wtopił się w mrok, Jamsie uświadomił sobie, że odbiera jakiś dziwny sygnał. Wątki głosik instynktu, pierwotną cząstkę swej natury, nadal żywą i rozwibrowaną. Pojął, że spotkał się z ojcem wszystkich wrogów człowieka. Z Ojcem Łgarstw, największym wrogiem zbawienia, piękna i wszystkich prawd przenikających Boży kosmos.

Pod skałą widać było już tylko ciemność. Jamsie przestał obserwować kryjówkę Cienia. Znów wrócił myślą do jeziora.

Popatrzył na absolutnie spokojną wodę i na szczyt North Chalone. Przypomniał sobie to, co przed laty, stojąc w tym samym miejscu, usłyszał od ojca: kiedyś pokonasz te trzy tysiące trzysta pięć stóp. I woda, i szczyt były czyste — w jakimś sensie kompletne; czuł to wyraźnie, choć nie umiał nazwać. Pomyślał, że nie mógłby skalać ich swym własnym, martwym i nabrzmiałym ciałem, unoszącym się bezwładnie na wodzie, plecami do szczytu; nie mógłby skazić tej wody rozkładem. Sama myśl o tym sprawiła, że poczuł się niemal jak bluźnierca.

Czym prędzej odwrócił wzrok od przejrzystej tafli jeziora. Stał bez ruchu. Umysł miał pusty, oczy nic nie widziały. Już nie marzył o zakończeniu wszystkiego w tym miejscu. Nadal jednak nie mógł się zmusić do powrotu do coraz koszmarniejszego życia z Wujkiem Ponto. „Nie mam żadnych pragnień”, pomyślał ze smutkiem.

— Jestem w szoku. Jestem w szoku — powtórzył kilkakrotnie, tak jakby chciał podkreślić coś, czego nie był w stanie uchwycić.

— Nic nie robisz, niczego nie pragniesz, jesteś niczym — drażnił go Ponto — jedynie wrakiem, bliskim targnięcia się na własne życie. — Wsączył więcej jadu w swój ton. — Jesteś — (długa pauza) — skończony — (znów ta okrutna pauza) — już teraz martwy, choć sam o tym nie wiesz. — Krótsza przerwa, a zaraz po niej coś jak strzał z pistoletu. — Skacz!

Jamsie nawet nie drgnął, nawet nie zadygotał. Był pewien, że Ponto skłamał. Wiedział, że nie jest bezradny, mimo iż nie przychodzi mu do głowy żadne rozwiązanie. Wiedział, że nosi w sobie ogromne pragnienie, silniejsze niż wszystko inne. Czuł

napływające do oczu łzy i wiedział, że wywołało je właśnie to pragnienie.

W głosie Wujka znów pojawiła się nuta niepokoju.

— Jamsie! Bądź mężczyzną. Skończ z tym.

Jamsie zerknął przez ramię na kryjówkę Cienia. Był tam nadal. Wyglądało na to, że stracił nieco ze swej swobody i pozorowego spokoju, w jakiś niepojęty sposób zeszywniał.

— Ska—acz! Ska—acz! Ska—acz! — śpiewał swoim eunuchowatym głosem Ponto.

Rytm tych słów, niczym grad, atakował uszy Jamsiego, sprawiając mu ból. Zaprzagnął uciec, odkryć jakiś trik, który pozwoliłby mu uniknąć tych natrętnych i dotkliwych razów.

— Ska—acz! Ska—acz! Ska—acz! — zawodził przenikliwie tamten, coraz to szybciej.

Jamsie miał w głowie mętlik. Nie mógł już znieść tych katuszy. Przypomnił sobie ojca Marka i jego zalecenia. O ten trik chodziło! O ten trik! Zdesperowany, zaczął powtarzać imię Syna Bożego, za każdym razem dzieląc je na poszczególne głoski.

— J—E—Z—U—S. J—E—Z—U—S. J—E—Z—U—S.

Potem zbil je wszystkie w jedno długie zakłęcie.

— J—E—Z—U—S—J—E—Z—U—S—J—E—Z—U—S.

I nagle uświadomił sobie, że ta czynność jest czymś więcej niż tylko trikiem. Ból, wywołany przez śpiew Wujka Ponto, nie dokuczał mu już tak bardzo. Łzy więcej wspólnego miały z poczuciem ulgi, niż z cierpieniem.

Mimo iż te właśnie łzy pozbawiały jego wzrok ostrości, raz jeszcze zerknął na niebo i wodę i nagle złapał się na tym, że narusza panującą tu ciszę, wołając:

— Ojcie Marku! Ojcie Marku!

I to imię wielokrotnie powtarzał. Echa docierały do niego ze wszystkich stron, z góry i z dołu. *Ojcie, ojcie, ojcie... Marku, Marku, Marku.* Zamierały gdzieś pośród iglic i bloków skalnych.

Cofnął się o krok, potem jeszcze trochę, oddalając się od jeziora. Odwrócił się jeszcze, by spojrzeć na wylot jaskini, a potem na kryjówkę Cienia. Uświadomił sobie, że jeżeli zdecyduje się wrócić do bramy wjazdowej przez jaskinie Bear Gulch, będzie musiał minąć ich obu.

Echa umilkły. Cień spod obelisku skulił się i niemal całym wtopił w mrok. Ponto milczał.

Jamsie, korzystając z tej ciszy, skierował się w inną stronę i szedł na dół szlakiem Moses Spring, wzdłuż ściany kanionu.

Ani przez moment nikt mu nie towarzyszył. Ucieszyły go te dwie godziny oddechu. I nawet kiedy widział przed sobą parking, wciąż powtarzał te dwa imiona, przywoływał Jezusa i Marka.

Strażnik wyrztał zza pisma, które właśnie czytał.

— Pomóc w czymś, kolego? Marnie wyglądasz.

— Telefon. Mogę skorzystać z telefonu?

Po kilku minutach rozmawiał już z ojcem Markiem.

— Jamsie, zostań tam, gdzie jesteś — powiedział kapłan. —

W żadnym wypadku nie siadaj za kółkiem. Zaczekaj na mnie.

Tego wieczoru Mark odwiózł Jamsiego do San Francisco. Niewiele rozmawiali po drodze. Kiedy dojeżdżali do prosto-
stwa, kapłan wyczuł, że jego pasażer znów jest niespokojny.

— O co chodzi? Coś nie tak?

— Ponto. Nie powiedział ani słowa. Nie pojawił się. Ciekaw jestem, czy...

— Nie rób tego. To wystarczy — powiedział twardo Mark.

— Twój stary Wujaszek Ponto nie wsiądzie do *tego* samochodu

— dodał, zachowując absolutną powagę.

Jamsie skinął głową. Nadal jednak był niespokojny.

Gdy wchodzili do budynku, Jamsie miał niejasne wrażenie, że przez moment widział Ponto, przyczajonego w bramie. Cienie rzucane przez lampy uliczne ślizgały się po kolumnadzie, tworząc, jak mu się zdawało, zasłone, za którą kryły się jakieś sztywne, przytłaczające go kształty, dziwacznie wychylone do przodu, obserwujące każdy jego ruch i czekające na stosowną okazję.

JAMSIE Z.

Sprawa Jamsiego Z. to niemal typowy przypadek zjawiska określanego przez specjalistów mianem „oswojenia”, czyli opętania przez „swojskiego ducha”.

Napisałem „niemal”, gdyż nie doszło tam do pełnego „oswojenia”. Jamsie zbuntował się, poddał się egzorcyzmom i ów niedoszły „swojski duch” zniknął z jego życia.

„Oswojenie” to specyficzna postać zniewolenia przez złego ducha: opętani zazwyczaj nie uciekają się do agresji, nie cuchną, nie zachowują się w sposób odrażający ani odbiegający od przyjętych norm, nie wyglądają też na zdegenerowanych.

Wrogi duch dąży tu do „zamieszkania” ze swą ofiarą. Zaakceptowany, staje się jej nieodłącznym, zawsze obecnym towa-

rzyszem. Obie „osoby”, kompan i opętany, przez cały czas zachowują swoją odrębność. Opętany czuje obecność kompana. Wszystkie ruchy, doznania — zarówno przyjemne, jak i nie mile — wszystkie myśli i wspomnienia zmuszony jest z nim dzielić. Znika gdzieś wszelka intymność: kompan zna najskrytsze pragnienia swej ofiary i nawet na moment nie pozwala jej o tym zapomnieć. Zdarza się też, że taki stan rzeczy przynosi opętanemu pewne korzyści.

Mimo iż w przypadku Jamsiego istniał ścisły związek pomiędzy pewnymi epizodami z jego dzieciństwa i towarzyszącą im atmosferą a owym doświadczeniem, które doprowadziło do spotkania z egzorcystą, człowiek ów dopiero po trzydziestce zetknął się „twarzą w twarz” ze swym kompanem, który zaproponował mu „oswojenie”. Począwszy od trzydziestego czwartego roku życia, stykał się z rozlicznymi formami perswazji, których nie szczędził mu ów duch, nazywający siebie wujkiem Ponto. Przypadek Jamsiego pozwala przyjrzeć się wielu typowym cechom „oswojenia” i związanym z nimi niebezpieczeństwom, zagrażającym tym, którzy nawet pozornie godzą się na taki kontakt.

Jamsie urodził się w Ossining, w stanie Nowy Jork. Jego ojciec, Ara, był z pochodzenia Ormianinem; w żyłach jego matki, Lydii, płynęła krew grecka. Oboje byli Amerykanami w trzecim pokoleniu. Ara, z zawodu cieśla, w wolnych chwilach grywał na klarncie, by zwiększyć swe zarobki. Lydia wywodziła się z zacnej bostońskiej rodziny, która swój okazały majątek zawdzięczała dostawom dla marynarki i giełdzie.

Lydia po raz pierwszy zobaczyła Arę podczas pewnego wieczoru muzycznego w Glen Ridge, w stanie Nowy Jork. Mimo iż jej rodzina uznała to za nieprawdopodobne, dziewczyna zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. I z wzajemnością. Pobrali się w dniu osiemnastych urodzin Lydii, pomimo gwałtownych protestów jej krewnych. Nie powstrzymała jej nawet perspektywa wydziedziczenia i całkowitego odcięcia od rodzinnych kapitałów.

Jamsie urodził się w rok później, w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim. Kolejne pięć lat spędzili jeszcze w Ossining. W tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym postanowili jednak, że przenieś się do Nowego Jorku. W Ossining możliwości zarobkowe Ary były dość ograniczone. Rodzice Lydii molestowali ją, by opuściła go i przeniosła się do nich wraz ze swym synem. Lydia i Ara doszli do wniosku, że w Nowym

Jorku łatwiej będzie o pracę, a co więcej, całej ich trójce łatwiej będzie wtopić się w tłum. Ara otrzymał list polecający, adresowany do właściciela przedsiębiorstwa taksówkowego. Liczyli na to, że w mieście im się powiedzie.

W październiku tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku przeprowadzili się do Nowego Jorku, zabrawszy ze sobą kilka koców, naczynia kuchenne, klarnet Ary i starą ikonę, przedstawiającą Najświętszą Panienkę, którą przekazał mu ojciec na łożu śmierci. Początkowo zajmowali trzypokojowe mieszkanie przy Penn Street. Po roku przenieśli się do dwóch pokoi na rogu Lexington Avenue i 25. Ulicy. Mieszkali tam aż do roku trzydziestego dziewiątego, do śmierci Ary.

Lydia, znów rozpoczynając życie w metropolii, upamiętniła ten fakt, wieszając obok ikony tabliczkę, na której napisała wielkimi, czarnymi literami: „Dzisiaj, naszego pierwszego dnia w Nowym Jorku, George Whitney zaoferował 204 za U.S. Steel”. Oba te świadectwa dziejów wisiały obok siebie przez długie lata i wokół nich też koncentrują się najwcześniejsze wspomnienia Jamsiego.

Niestety, złoty wiek Nowego Jorku, który nastąpił pod koniec wojny secesyjnej, już się kończył, choć mało kto mógł przewidzieć rozmiary tego krachu. Minione sześćdziesiąt cztery lata wzmocniły znacznie pozycję tego miasta, dodały mu prestiżu, czyniąc je głównym źródłem funduszy i nieformalnym przywódcą narodu. Zrodziły się tam ogromne fortuny; tacy przedsiębiorcy, jak Brokaw, Dodge, Carnegie, Stuyvesant, Whitney, Vanderbilt, Frick i Harness, okrywali się sławą; utworzono potężny dystrykt, zaopatrujący resztę kraju we wszelkie dobra i usługi. Po Pierwszej Wojnie Światowej Nowy Jork większość swej energii skierował ku Europie. Ale okres owej supremacji minął, a nowojorski przemysł zaczął podupadać. Jeden z ludzi pióra stwierdził kiedyś, że zmysł finansowy Nowego Jorku „otoczył się pianą papierowych zysków, w której potem zatonął”. Lydia i Ara trafili na początek owego procesu.

Mimo to, pierwsze siedem lat pobytu w Nowym Jorku upłynęło im względnie spokojnie. Ara nie spieszył się ze skorzystaniem z listu polecającego. Wolał pracować jako majster do wszystkiego i cieśla, początkowo w w okolicy własnego domu, później zapuszczał się już na Washington Square, a nawet do Yorkville. Lydia pierwsze lata spędziła w domu, opiekując się dzieckiem. Kiedy Jamsie rozpoczął naukę w szkole parafialnej, znalazła pracę w ormiańskiej pralni.

Zdaniem piszącego te słowa, Nowy Jork, w którym wyra- stał Jamsie, w pewien trudny do określenia, ale jednoznaczny sposób wpłynął na jego późniejsze kontakty z „kompanem”. Pomiędzy rokiem tysiąc osiemset dwudziestym a tysiąc dzie- więćset trzydziestym w Stanach Zjednoczonych pojawiło się ponad trzydzieści osiem milionów imigrantów; co szósty z nich zamieszkał w Nowym Jorku. Owi „obszarpańcy” znaleźli dla siebie kąt w Lower East Side.

Nowy Jork był wówczas niemal siedmiomilionowym mia- stem, w którym na codzień posługiwano się dwudziestoma pię- cioma językami obcymi i w którym ukazywało się dwieście obcojęzycznych pism, mających zaspokoić potrzeby heterogeni- cznej populacji. „Amerykaninem można się stać tylko z Bożej łaski”, napisał u progu lat trzydziestych I.A.R. Wylie. W odczu- ciu elit jankesko—protestanckich, żyjących tam od dawna, No- wy Jork, w którym w trzech pierwszych dekadach dwudziestego wieku pięć siódmych populacji stanowili Włosi, Żydzi, Niemcy, Irlandczycy, Węgrzy, Ormianie, Grecy, Rosja- nie, Syryjczycy oraz przedstawiciele innych nacji, nie był mia- stem amerykańskim. Różnice pomiędzy tymi elitami a ludnością napływową wykraczały poza kwestie etniczne. Elity nie przy- swoiły sobie żadnego z bogów Nowego Świata; sprowadziły tam swoje chrześcijaństwo, obce tradycji prekolumbijskiej. Mi- liony imigrantów wywodzili się z krajów, w których religia (w większości chrześcijaństwo, ale także islam i judaizm) wyrastała na gruncie dawniejszych kultów. Europejczycy i mieszkańcy Bliskiego Wschodu nigdy nie wyzbyli się swych pogańskich instynktów; przyswoili je sobie, oczyścili i przetworzyli. Wraz z bagażem dawnych nauk moralnych, praktyk obrzędowych, obyczajów, tradycji rodzinnych i ludowych, ci nowi Ameryka- nie przenosili też, rzecz jasna, szczątki wspomnień o starożyt- nych, odległych mocach i duchach, które niegdyś władały Starym Światem.

Pierwsze dziewięć lat życia Jamsiego upłynęło bez poważ- niejszych problemów. Życie domowe było dość ustabilizowane i zapewniało mu bezpieczeństwo. Śniadania i kolacje jadł z rodzi- cami. Niemal każdego wieczoru Ara sięgał po klarnet i grał coś swej żonie i dziecku. Jamsie, jako malec, co wieczór też klękał obok mamy pod ikoną i, patrząc Najświętszej Paniencie w oczy, odmawiał pacierz.

Ojciec zabierał go na mecze piłkarskie i bokserskie. Bywały takie niedziele, że szli na Wall Street, by pojeździć na wrotkach, odwiedzali zoo albo plynęli promem na Staten Island. Dwa lub

trzy razy w roku zabierał go do hotelu, na basen. Latem urzą- dzali całodienne wypady na Coney Island.

Tylko raz we troje opuścili Nowy Jork. Dzięki pieniądzom od rodziców Lydii mogli sobie pozwolić na spędzenie tygodnia w San Francisco. Jamsie nigdy nie zapomniał tamtych wycie- czek, wieczornych posiłków w Fisherman's Wharf i dnia w Par- ku Narodowym Pinnacles.

Dorastając, coraz śmieiej kręcił się po East Side, pozna- jąc i aprobując wielonarodowy charakter tej dzielnicy, tamtej- sze zapachy, widoki i odgłosy. Wczesnym rankiem, idąc do szkoły, mijał okna wypełnione pościelą i schodki ewakuacyjne, na których jeszcze spali ludzie. Kiedy wracał do domu, uszy jego wypełniał różnojęzyczny gwar: sklepikarze i straganiarze posługiwali się wszelkimi dialektami — słyszało się tokański, serbski, jidysz, ukraiński, sycylijski, chorwacki, kreteński i ma- cedoński.

Jamsie miał już niemal dziesięć lat, kiedy jego rodzice za- uważyli, że zdarza mu się zachowywać dość dziwnie. Czasami pośród stłoczonych w witrynach gipsowych świątków, mo- siężnych garnków, używanych ubrań, bałkańskich tytoni, me- zuz i innych drobiazgów rzucało mu się w oczy coś, co nazywał później „dziwaczną twarzą” albo „twarzą, która tak dziwnie patrzyła”. Przerażony, uciekał wówczas do domu. Blady i roz- dygotany tulił się do Lydii. Wiedziała już, co mu się przytrafiło — tak przynajmniej sądziła — i umiała go ukoić i stłumić ów lęk.

W miarę upływu lat „dziwaczna twarz” pojawiała się coraz rzadziej, nie zniknęła jednak na dobre. Jako dziecko, Jamsie nigdy nie potrafił opisać jej swoim rodzicom. Oni zaś byli na tyle mądrzy, że nie domagali się szczegółów. Zdołali jednak zrozumieć choć tyle, że Jamsiego przerażała nie tyle szpetota owej „twarzy”, co dziwne przekonanie, że jest jej doskonale znany. „Patrzy na mnie, jakby mnie znała. Naprawdę!”, mówił z płaczem mamie.

Jamsie stopniowo zgłębiał topografię najbliższych okolic. Wielu przyjaciół znalazł pośród Węgrów zamieszkujących ob- szar pomiędzy Ulicami 82. i 73. Mieszkali tam dalecy krewni jego ojca, którzy mniej więcej raz w miesiącu gościli u siebie Jamsiego, karmiąc go paszтетem z gęsich wątróbek, faszterowa- ną kapustą i papyrkazem z kurczaka. Omijał zaś Pepików (Czechów i Słowaków), mieszkających tuż obok Węgrów.

Najlepiej jednak czuł się na Lexington Avenue, pomiędzy Ulicami 30. i 22., gdzie zamieszkiwali Ormianie, i u Greków,

między Zachodnią 30. i 40. Tam nigdy nie widywał „dziwacznej twarzy”.

Pod koniec wiosny trzydziestego siódmego roku, kiedy Jamsie miał czternaście lat, Ara podjął ważną decyzję, która położyła kres szczęśliwej młodości chłopca. Jako cieśla i majsterklepka, nie zarabiał zbyt wiele, toteż postanowił skorzystać z listu polecającego, który wciąż skrzętnie przechowywał. W niedługim czasie dołączył do dwudziestopięciotysięcznej rzeszy licencjonowanych taksówkarzy nowojorskich. Zatrudniony w firmie *Burmalee System, Inc.*, jeździł dwuletnim checkerem model Y. Jamsie był początkowo dumny z tego samochodu o srebrnym dachu i żółtej karoserii, oplecionej czarno—białą szachownicą.

Ara pracował dwanaście godzin na dobę, pokonując około pięćdziesięciu mil i przyjmując od dwunastu do piętnastu zamówień. Jeśli miał dobry dzień, przynosił do domu trzy dolary plus dolar dwadzieścia pięć z napiwków. Niewiele to dawało. Ciągłe przebywanie za kółkiem, niekończąca się wojna z nowojorskimi policjantami, dążącymi do wyeliminowania taksówek chwytających klientów z ulicy, znużenie odczuwane pod koniec każdego, uciążliwego dnia i niewielkie zyski — wszystko to źle wpływało na Arę, izolując go od Lydii i przerażonego Jamsiego.

Już nie grywał wieczorami na klarnece; „starą pałkę” (tak nazywał swój instrument) zamknął w szufladzie biurka. Skończyły się rodzinne spacerki. Zamiast grywać z przyjaciółmi w bezika i kierki, do późna popijał z innymi taksówkarzami. Dorobił się wrzodów, w listopadzie trzydziestego ósmego roku spędził dwa tygodnie w szpitalu z powodu kłopotów z nerkami, a pod koniec roku zaczął odczuwać bóle w krzyżu.

Początkowo Jamsiego drażnił tylko jego żargon — ojciec coraz częściej używał takich wyrażen, jak „słabizna” (kiepski zysk), „git forsa” (godziwa zapłata) i „rozpusta” (ponad dwa dolary za kurs). Ale sprawy się pogarszały. Na samym początku Lydia i Jamsie, na zmianę, dotrzymywali Arze towarzystwa podczas owych długich godzin, które spędzał w taksówce. Kiedy Lydia dowiedziała się, że jej mąż dorabia sobie sporadycznie sutenerstwem, kierując przyjeżdżnych klientów do hoteli i domów publicznych w zamian za procent od „stawki”, zakazała Jamsiemu nocnych wyjazdów z nim. Ale chłopak, mający już dość silny charakter, i tak stawiał na swoim.

Zdarzało się, że siedząc w taksówce obok ojca, dziwił się wyrazowi jego twarzy. Kiedyś, późną nocą, gdy ojciec stał przy

krawężniku, gawędząc z jakimś alfonsem i dwiema z jego dziewczynek i śmiejąc się z jakiegoś żartu, Jamsie miał wrażenie, że ten sam wyraz dostrzegł na wszystkich czterech twarzach.

Nie przerażało go to, ale budziło w nim odrzę. A zarazem fascynowało. Z czasem zaczął świadomie szukać tego wyrazu. Odkrył jednak, że dostrzec go może tylko przypadkiem. Był czymś ulotnym, nie dawało się go przyszpilić. Czasami owe „spotkania” bywały niezwykle intensywne. Dwa takie przypadki, oba z roku trzydziestego ósmego, szczególnie wyraźnie zapisały się w pamięci Jamsiego.

Kiedyś wybrał się z ojcem i jego przyjaciółmi, by zobaczyć, jak grają *Brooklyn Dodgers*. Zbliżał się koniec meczu i wszyscy kibice wstali, wiwatując na cześć Johnniego Vander Meera z Cincinnati, który przechodził do historii baseballu, rzucając drugą pod rząd piłkę bez trafienia i biegu. Krzycząc i radując się jak reszta widzów, Jamsie omiół wzrokiem rozentuzjzmowany tłum. I nagle w morzu twarzy wyłowil tę „dziwaczność”. Przyglądała się mu. Uświadomił sobie, że ona go zna. Umilkł i, przerażony, odwrócił wzrok. Potem znów zerknął tam, gdzie ją wypatrzył. Znikła. Widział tylko krzyczących i gestykulujących kibiców.

Dokładnie w tydzień później, nocą, siedział z Arą w taksówce, słuchając sprawozdania z walki Louisa ze Schmellingiem. Kiedy bój sięgał zenitu, na twarzy jego ojca pojawił się dziwny grymas. Podczas ostatnich chwil meczu, poprzedzających zwycięstwo Joego Louisa, napięcie widoczne na twarzy Ary przerodziło się w ów „dziwny wyraz”. I znów było w tym coś nieludzkiego; coś, czego w żaden sposób nie mógł powiązać z ukochaną twarzą ojca. Coś, co nasilało się z każdym ciosem Louisa i z każdym zdaniem coraz bardziej rozentuzjzmowanego sprawozdawcy. Po gongu i ogłoszeniu amerykańskiego pięściarza zwycięzcą, napięcie przysło. Zniknął ten dziwny wyraz twarzy i Ara znów wyglądał normalnie. Ale Jamsie na zawsze zapamiętał to zdarzenie.

W miarę upływu czasu jego lęk przed tym „wyrazem” mial, ustępując miejsca ciekawości. Co to właściwie było? I jak to było możliwe, że widział go podczas meczu, a potem u swego własnego ojca, gdzie wyparł on całą czulość i miłość, jakich Jamsie doświadczał od dnia swych narodzin? I na czym polegał związek pomiędzy tym wszystkim a „dziwacznością” twarzą, którą widywał, będąc dzieckiem?

Wtedy też zaczęły się im pogarszać warunki materialne i bytowe. Ara zaczynał przebierać miarkę w picciu, a im więcej pił, tym mniej pieniędzy przynosił do domu. Lydia, początkowo tym przejęta, z czasem popadła w przygnębienie i zamknęła się w sobie. Jej syn już dorastał. Traciła kontakt z nim i z Arą.

Jamsie zatrudnił się w NBC jako goniec. Żeby objąć to stanowisko, porzucił szkołę, licząc, po części, na to, że przyniesie więcej pieniędzy do domu, ale i na to, że zrobi karierę w radiu. W owym czasie rozgłośnia NBC przyjmowała młodych ludzi jako gońców, by po dwóch latach awansować ich na przewodników i zacząć szkolić w którejś z dziedzin krzewienia radiofonii.

Sytuacja w domu rodzinnym stawała się coraz gorsza. Brakowało jedzenia. Lydia zawsze zalegała z czynszem. Za zgodą Ary, ale bez wiedzy Jamsiego, podjęła istotną decyzję. Chłopak dowiedział się o tym pewnej marcowej nocy, kiedy wrócił do domu około dwudziestej trzeciej.

Ku swemu zaskoczeniu, odkrył, że matka ma na sobie najelegantszy ze swoich strojów. Twarz pokryła grubą warstwą makijażu. Siedziała w salonie, wpatrując się w milczeniu w okno. Kiedy wszedł, nie odwróciła się, nie powiedziała też słowa. Wiedział jednak, że chciałaby mu coś powiedzieć. Czekał na to, zerknął na ikonę, wiszącą na ścianie za Lydią. Była zasłonięta czarnym sukniem. Kilkakrotnie przenosił wzrok z tego obrazu na swą matkę i w końcu zrozumiał, że dołączyła do szeregów prostytutek, które jego ojciec przedstawiał swoim pasażerom.

Lydia wstała, jakby usłyszała jego myśli. Wiedziała, że rozumiał, co się dzieje.

— Wróć dzisiaj późno, Jamsie. Nie czekaj na mnie.

Nic nie powiedział.

Kiedy wyszła, usiadł i nie ruszał się z miejsca przez dwie godziny, pogrążony w myślach. Był pewien, że wie, co postanowiła jego matka. Miała to wypisane na twarzy. Ale pojął coś jeszcze: chociaż w domu nie było rodziców, czuł, że ktoś mu towarzyszy. Powoli rozejrzał się po pokoju, po czym wyjrzał przez okno.

Idąc do łóżka, czuł, że rodzice go opuścili, a zarazem wiedział, że dopuszczono go do jakiejś tajemnicy, której nie zdołał jeszcze pojąć.

Lydia stała się jedną z pięciu tysięcy nowojorskich prostitutek. Po kilku tygodniach samotnego polowania na klientów wpisała się na listę w jednym z domów publicznych przy Zachodniej 40. Jamsie szybko przyswoił sobie jej porządek dnia.

Sypiała aż do siedemnastej. Jeżeli do dwudziestej drugiej nie otrzymała żadnych sygnałów od swojej madame, wychodziła z domu. Pracowała na Fifth i Madison Avenue, pomiędzy Ulicami 43. i 56. Zachodziła do lepszych barów i przypatrywała się witrynom, szukając klientów. Czasami do któregoś z nich dzwoniła. Pracowała tak do świtu. Potem wracała do domu, by się przespać.

Po paru miesiącach zatrudniła się u Polly Adler, przy Central Park West. Miała też listę swych własnych klientów, z którymi kontaktowała się regularnie. Kiedy Polly Adler popadła w kłopoty z władzą, Lydia po prostu nawiązała kontakty z inną madame, działającą przy West 50.

Jamsie, wstając rankiem i zerkając przed wyjściem na matkę, widział, że z każdym miesiącem wyraz jej twarzy ulega zmianie. Dostrzegał rozmaite cechy owej „dziwacznej twarzy”, która tak przerażała go, kiedy był dzieckiem. Ale już nie czuł grozy. Ustąpiła miejsca jakiejś dziwnej sympatii.

Po jakimś czasie Lydia dostrzegła to, że Jamsie traktuje ją inaczej i oboje nabrali do siebie nowego szacunku.

Ara zaś, nadal jeżdżąc dla Burmalee System, Inc., starał się rozkręcić interes z grą w kości na 49. Ulicy i Broadwayu. Niestety, to terytorium było już zajęte i odpowiedzialni za to ludzie dali mu wyraźnie do zrozumienia, że nie ma tam dla niego miejsca. Zaangażował się więc w grę w numerki i nielegalny totalizator. W owych czasach zawierano dziennie około miliona nielegalnych zakładów. Pieniądze leżały na ulicy. Jako agent, dostawał dziesięć procent od każdej stawki, przekazanej kolektorowi. Później sam zaczął zbierać zakłady i doręczać je do centralnego „banku”.

W końcu odkrył, że łatwe pieniądze można zarobić na narkotykach. W latach trzydziestych w Nowym Jorku było od dwudziestu do dwudziestu pięciu tysięcy narkomanów, a palarnie opium funkcjonowały zarówno na ulicach Mott i Pell, jak i w Harlemie, przy Times Square i na San Juan Hill. Rozpuszczoną heroinę sprzedawano po szesnaście do dwudziestu dolarów za uncję. „Zabawkę”, małe pudełeczko opium, sprzedawano na ulicy za dziesiątkę. Handlarze otrzymywali po pięćdziesiąt centów od sztuki, a w Harlemie — po dwadzieścia pięć centów od pary.

Początkowo Ara zaopatrywał się u handlarzy z Harlemu, sprzedając towar z niewielkim zyskiem w innych rejonach miasta. Potem stał się kurierem, przynosił małe paczuszki, przywiązane pod pachami. Bywało wówczas, że Ara i, niekiedy, Lydia

tak bardzo się zmieniali, wyglądali „tak dziwacznie”, że w sercu Jamsiego odżywało coś z dawnych lęków.

Ara zaczynał już zyskiwać sobie stałą klientelę i zarabiać całkiem niezłe, kiedy niespodziewanie się rozłożył. Straszliwie schudł. Trudno było znieść napady jego furii i totalnej depresji.

Pewnego deszczowego, piątkowego wieczoru, w grudniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, wrócił do domu, przemoczony do suchej nitki. Od trzech dni nie kładł się spać. Szczekał zębami. Pił więcej niż zwykle. W nocy krztusił się krwią. Następnego ranka Lydia nie wróciła do domu, a Ara dostał wysokiej gorączki. Skrupiło się na nim ostatnie siedem lat.

Jamsie wezwał wreszcie doktora Schumbarda. Ten stwierdził, że Ara umiera z powodu gruźlicy. Ormianin nie zgodził się na szpital. Jamsie nie był w stanie nic zrobić.

Następne dni zmieniły się w koszmar. Lydia cały weekend spędziła poza domem. Arze nie sposób było zbić gorączki. Często majaczył, a kiedy dochodził do siebie, pił. Jamsie wyszedł wreszcie z domu i tak długo penetrował miejsca, w których bywała matka, aż ją znalazł. Razem czuwali nad chorym, czekając na jego zgon.

Siedząc któregoś wieczoru przy łóżku Ary, kiedy Lydia na chwilę wyszła, Jamsie znów odniósł wrażenie, że ktoś mu towarzyszy. Nie było to niemiłe ani przerażające. Wspomina dzisiaj, że było w tym coś sympatycznego, tak jakby jakiś przyjaciel — lub ktoś zaufany — zjawiał się, by oszczędzić mu samotności. Odczucie to chwilami zniknęło, czasem zaś się nasilało.

Pewnego ranka, po ośmiu dniach od momentu załamania, Ara nagle usiadł w łóżku i zaczął z całych sił krzyczeć:

— Potrzebuję mej starej pałki! Słyszycie? Wy wszyscy! Mej starej pałki! Jeszcze kilka gorących liźnięć! Potrzebuję mej starej pałki!

Jego twarz znów przybrała znajomy „wyraz”.

Lydia i Jamsie usiłowali go przytrzymać, ale Ara wziął nad nimi górę. Wygramolił się z łóżka, w zakrwawionej koszuli nocnej, pokuśtykał do salonu i otworzył szufladę, w której schował klarnet. Wyjął instrument z futerału i przykręcił ustnik.

— Jeszcze kilka gorących liźnięć, zanim kopniemy w kalendarz! — wymamrotał, śliniąc się niezmiernie. Srebrne klapki klarnetu zaślśniły w słońcu.

Jamsie usłyszał, jak ojciec bełkocze:

— Moja stara pałka!

Ara wyciągnął kilka niepewnych nut, spróbował kilkakrotnie zmienić skalę, wszedł w wyższe rejestry, potem w niższe, nabierając pewności i osiągając pełnię tonu.

Mając za widownię Jamsiego i jego matkę, zaczął improwizować jakiegoś bluesa. Chwiał się i zataczał, potykając się o wytarty dywan i obijając o meble. Na moment zatrzymał się przed pamiątkową tabliczką Lydii i zarechotał. Potem, znów grając, kołysał się w tę i we wtę, aż przystanął przed zakrytą czarnym sukniem ikoną. Nagle spowaźniał. Przez sekundę milczał. Jamsie przypomina sobie, że obserwując z niepokojem Arę, złapał matkę za rękę.

Jego ojciec zagrał pierwsze takty starego ormiańskiego hymnu na cześć Najświętszej Pani. Chwiał się. Lydia i Jamsie rzucili się, żeby mu pomóc, ale było już zbyt późno. Ara, w połowie pieśni, zgiał się w pół, zakaszłał gwałtownie i runął do przodu, usiłując się czegoś złapać. Zaczepił ręką o czarną tkaninę i ściągnął ją, padając.

Kiedy do niego dobiegli, leżał na wznak, zaciskając w jednym ręku sukno, a w drugim klarnet. Nad nim lśniła ikona, z której poranne słońce wydobyło wszystkie błękity, brązy i stare złoto. Jamsie po raz pierwszy od lat ujrzał spokojne oczy Pani.

Potem popatrzył na twarz swego ojca i miał wrażenie, że zdjęto mu z ramion ogromny ciężar. Śmierć unicestwiła tamten „wyraz” twarzy. Rysy Ary przypominały te, które pamiętał sprzed dziesięciu lat. Nigdy nie zapomni tamtej przemiany. Nie potrafił nazwać tego „wyrazu”, ale był rad, że oszczędzono go Arze. Ormianina pochowano na brooklyńskim cmentarzu Greenwood, w towarzystwie czterystu tysięcy ludzi, którzy zawitali tam wcześniej.

W tydzień później Lydia oświadczyła swemu synowi, że jest zdany tylko na siebie. Spotkał się z nią ponownie dopiero przed jej śmiercią, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku. Owego dnia, kiedy się z nią rozstał, szedł przez Broadway, mając w uszach jedynie jej słowa: „Od teraz jesteś na swoim”.

Zlikwidowano dawną kolej nadziemną; pod Sixth Avenue zaczęto budować metro. Jamsie przystanął tam na dłużej, przyglądając się robotnikom. Owładnęła nim fala odrazy. Jak przeczytał w gazecie, w to metro włożono sześćdziesiąt pięć milionów dolarów. A jego ojciec był martwy, matka dożywała swych lat jako prostytutka, a on sam nie miał na to wpływu. To wszystko nie miało sensu.

Rodziło się w nim coś dziwnego. Nie wykonując żadnego ruchu, nie widząc nic nowego ani nie słysząc eterycznych podszepków, czuł, że zaproponowano mu coś, co oderwie go od udręki samotności. Było w tym też coś z lęku. Dominowało jednak to samo uczucie, jakiego doświadczył owej nocy, kiedy uświadomił sobie, że jego matka stała się prostytutką. Był samotny, ale nie całkiem sam. Głęboko odczuł stratę ojca. Miał złe przeczucia co do losu matki. A jednak oboje odsunęli się na dalszy plan. Zdominowani nowym, jeszcze nie ukonstytuowanym, ale raczej miłym wrażeniem, że ktoś go potrzebuje, że ktoś chce mu towarzyszyć.

W owym momencie po raz pierwszy uświadomił sobie, że ktoś — lub coś — nie odstępuje go na krok i że przyjęcie tego uczucia będzie oznaczało odrzucenie autentycznej miłości, jaką żywił do swoich rodziców w okresie dzieciństwa i wczesnej młodości.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym roku Jamsie otrzymał awans na przewodnika w NBC. Potem, korzystając z zaproszenia wysłanego przez jednego z najbliższych przyjaciół ojca, przeniósł się do Oklahoma City i tam rozpoczął studia. Ów przyjaciel zapewnił mu dość pieniędzy, by mógł studiować dziennikarstwo i radiofonję; Jamsie dorabiał sobie nieco, by zarobić na swe wydatki.

Lata spędzone w Oklahoma City minęły mu dość spokojnie. Nie miał do czynienia z „dziwacznym wyrazem twarzy”. Bardzo rzadko miewał wrażenie, że towarzyszy mu ktoś nieokreślony. Zaprzyjaźnił się na dobre z kilkoma osobami.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku, mając dwadzieścia trzy lata, wrócił do Nowego Jorku i ponownie zatroszczył się o swą karierę w radiu. Jeżeli nie liczyć pracy, wiódł spokojne życie. Większość czasu spędzał w domu, słuchając płyt albo czytając, czasami zaś włóczył się po ulicach śródmieścia lub dolnego Manhattanu.

Miał wciąż nadzieję, że odnajdzie swą matkę. Nikt ze starych znajomych nie wiedział, gdzie ona jest i co się z nią stało. W końcu dawny przyjaciel rodziny powiadomił go, że Lydia przebywa we Flushing. Jamsie złożył tam dłuższą wizytę.

Lydia była w fatalnym stanie. Nadal łączyło ich bardzo wiele. Oboje jednak czuli, że jeżeli nie wyniknie nic złego, powinni ograniczać te kontakty. To było zbyt bolesne.

Jamsiego pochłonięły też innego typu poszukiwania. Ledwie postawił stopę w Nowym Jorku, złapał kontakt z tamtym

„dziwacznym wyrazem twarzy” — w metrze, pośród tłumu, w świetle neonów, w kinach, a czasami nawet późną nocą, kiedy przed pójściem spać stał przy oknie, wpatrując się w światła Manhattanu.

Czuł coś nowego i, na swój sposób, krzepiącego: gwałtowne i niezbite przekonanie, że zawsze wiedział, „co” to było i „kto” to jest. Dawny lęk przerodził się w zachłanną żądzę przypomnienia sobie „tego”.

Czasami przychodziły chwile, że odnosił wrażenie, iż jest bliski odkrycia, z kim ma do czynienia, przywołania okoliczności, w których mu to wyjawiono. Nie mógł się uwolnić od myśli, że kiedyś już poznał tę tajemnicę.

Ale wszelkie próby odtworzenia tego przynosiły tylko rozczarowanie. Ilekroć miał już sobie przypomnieć te imiona i miejsca, coś mu przeszkadzało, sprawiając, że tracił z nimi kontakt. Te niepowodzenia doprowadzały go do frustracji, która z czasem zaczęła się przeradzać w złość.

Jamsie spotkał się z Lydią po raz ostatni. Przeniosła się z Flushing na dolny Broadway. Przez te kilka godzin, które z nią spędził, odpoczął nieco od stanów frustracji i wzburzenia. Lydia, żyjąca na kościelnym garnuszku, mówiła powoli i cicho o ojcu i o jego własnej przyszłości. Po tym spotkaniu Jamsie przez całe lata nie stykał się już z ludzką czułością. Później zostawił swój adres w miejscowym komisariacie i u opiekujących się Lydią księży, obiecując, że powiadomi ich, gdyby się przeprowadził. Słowa dotrzymał.

W tym samym okresie koledzy z radia zauważyli, że Jamsie zaczął mówić do siebie; co dziwniejsze, niekiedy zdarzało mu się niespodziewanie wpadać w gniew, mimo iż przebywał wtedy sam. Ilekroć widział, że obserwują go inni ludzie, uśmiechał się i był nadzwyczaj miły, by zatrzeć ewentualne niekorzystne wrażenia, jakie mógł wywołać swoim zachowaniem. A jednak widywano go, od czasu do czasu, jak chodził samotnie po ulicy albo po korytarzu, albo też stał na środku umywalni, mając szeroko otwarte oczy, rozdęte nozdrza i ściągnięte wargi, jakby angażował się w coś, co pochłaniało wszystkie jego siły.

Po dwóch latach w rozgłośni nowojorskiej przeniesiono go do Cleveland. Tam otrzymał pierwszy, paraliżujący zastrzyk czegoś, co w kilka lat później stało się dlań chlebem powszednim.

Pewnego wieczoru, wracając do domu, znalazł się na Euclide Avenue. Przez cały dzień dręczyła go największa z zagadek: kiedy i gdzie usłyszał o „twarzy” i jej „dziwacznym wyrazie”.

Od dnia, w którym pojawił się w Cleveland, ani razu jej nie widział. To jednak spotęgowało jeszcze jego ciekawość i potrzebę znalezienia odpowiedzi. Miał wrażenie, że jest już tego bliski.

Kiedy tak szedł, z mroku pamięci wylaniały się poszczególne wspomnienia i słowa, z wolna przybierające określony kształt. Niemał wychylał się do przodu, zaglądając w głąb siebie, aby je uchwycić. Podniecenie rosło; czuł, że to właśnie „ten” moment.

I nagle, kiedy miał już zobaczyć tamte obrazy i wypowiedzieć właściwe słowa, i jedne, i drugie — wspomina dzisiaj — uformowały się w długi, rwący strumień i, „niczym błyskawica”, uleciały przez czubek jego głowy prosto w niebo. Uciekły mu!

Zawiedziony, miotał się po chodniku, wznosząc pełne łez oczy ku nocnemu niebu. Widząc tam jedynie chmury, odwrócił się i, przygnębiony, poszedł do niewielkiej restauracji, w której zazwyczaj jadał kolację.

Już w drzwiach unieruchomiło go zdumienie. Nie, tego już było za wiele! Na tyłach lokalu, pośród gęsto ustawionych stolików i pograżonych w rozmowie ludzi, dostrzegł ten „wyraz” twarzy. Przcisnął się pomiędzy kelnerami i otaczającą stoliki ciżbą. Ale kiedy doszedł do miejsca, w którym zobaczył ową „twarz”, znalazł tam tylko parę statecznych ludzi w podeszłym wieku, jedzących kolację w absolutnym milczeniu. Obrzucili go krótkim, obojętnym spojrzeniem, po czym znów zajęli się posiłkiem.

Od tego momentu Jamsie nabrał przekonania, że ktoś — lub coś — bawi się z nim w chowanego. Nie pojmował jednak, w jaki sposób i dlaczego. Coraz częściej jakieś słowa i wspomnienia umykały mu spod czaszki, niczym „błyskawice”. Czasem widział ich zarys na niebie, obserwował, jak wtapiają się w chmury; czasem zaś mknęły tak szybko, że wymykały się jego uwadze.

Powtarzało się to rok po roku, we wszystkich rozgłoszeniach, w których podejmował pracę (w Detroit, w pięćdziesiątym pierwszym; w Nowym Orleanie, w pięćdziesiątym trzecim; w Kansas City, w pięćdziesiątym piątym; w Los Angeles, w pięćdziesiątym szóstym). Próbował kiedyś opowiedzieć to wszystko psychiatrze, ale rozmowy z nim uznał za bezproduktywne i irytujące.

Kiedyś, w Kansas City, poznał pewną kobietę. Mogło się to przerodzić w coś poważniejszego, jednakże już po kilku

tygodniach spotkań dał taki popis niekontrolowanej złości, frustracji i zazdrości, że owa dama zerwała z nim raz na zawsze.

W rok po przeniesieniu do Los Angeles spotkał się po raz pierwszy, twarzą w twarz, z tym, który przysparzał mu tyle kłopotów. Mieszkał wtedy w Alhambrze i codziennie dojeżdżał do rozgłośni.

Któregoś wieczoru, kiedy jechał do domu, czwarty raz w życiu wydało mu się, że towarzyszy mu ktoś niewidzialny. Radio nadawało wiązkę piosenek. Nagle zauważył, że słowa jednego z przebojów, „Kalifornio, oto jestem!”, grubą warstwą pokrywają niebo. Widywał już wiele takich dziwacznych zjawisk i jakoś sobie z tym radził, jeśli nie mógł ich zignorować. Kiedy te słowa zaczęły go otaczać, wyłączył radio.

I wtedy zauważył coś w lusterku. Jakąś twarz.

Jak zwykle w takich przypadkach, nie czuł lęku ani zdziwienia. Miał wrażenie, że się tego spodziewał, że wiedział, iż ona tam jest. Wpatrywała się w niego. Czuł — choć nie rozumiał tego faktu — że zna tego osobnika.

Zniknęły otaczające go słowa. Jamsie zwołnił, czekając w milczeniu, co będzie dalej. Ale z tylnego siedzenia nie dobiegał żaden dźwięk, żaden szelest.

Znów zerknął w lusterko: wielkie, wylupiate oczy wciąż wpatrywały się w niego. Trudno mu było uwierzyć, że są naprawdę czerwone. Pewnie odbijają się w nich światła ulicy, pomyślał. Widział nos, uszy, usta, policzki, dziwny podbródek, jakby zbyt wąski w stosunku do reszty twarzy, a także wysoko sklepione czoło, przechodzące w nieco spiczaste ciemie. Skóra była ciemna, jakby zbyt długo poddawano ją działaniu promieni słonecznych. Nie umiał określić, czy jest biała, czy też brunatna albo czarna.

Zaintrygowało go nie to, że jest tak plastyczna, ale fakt, że czegoś w niej brakowało. Było w niej życie — w oczach błyszczała inteligencja, może nawet cień rozbawienia. Głowa, chwilami, poruszała się nieznacznie. A jednak czegoś tam brakowało; czegoś, co, jego zdaniem, powinno tam się znaleźć.

Kiedy powoli zjeżdżał w kierunku garażu, usłyszał głos, nieco zirytowany i jakby znajomy, na tyle wysoki, że mówiącego można by wziąć za eunucha.

— Ojej! Daj spokój, Jamsie! Nie zgrywaj durnia. Od lat trzymamy się razem. Nie mów, że mnie nie znasz.

Jamsie uświadomił sobie, że było w tym coś z prawdy: od dawna trzymali się razem. Wszystko było tu, w niepojęty sposób, znajome.

Kiedy samochód zatrzymał się w garażu, głos znów dał znać o sobie.

— Cóż, to cześć, Jamsie! Zobaczymy się jutro. Czekaj na swojego Wujka Ponto!

Wchodząc do domu, Jamsie poczuł dziwny zapach. Jeszcze nie kojarzył go z Wujkiem Ponto. Trwało to tylko moment i zaraz o tym zapomniał.

Zdarzenie to miało miejsce w poniedziałkowy wieczór. Jamsie nie zdołał tamtej nocy zasnąć. Nie miał jeszcze pojęcia, że wizyty Wujka wkrótce staną się tak częste, że po sześciu latach będzie się z nim widywał niemal codziennie.

W niedzielę, gdy jechał do Pasadeny, zerknąwszy w prawe okno, zauważył za szybą odwróconą głowę Wujka Ponto, który leżąc na dachu auta, zaglądał do wnętrza. Ponto poruszał lewą ręką tak, jakby rzucał piłkę, a z każdym jego gestem na niebie pojawiały się słowa, frazy, a nawet całe zdania, po jakimś czasie odplywające za horyzont.

Jeden z takich napisów głosił: „WITAJ, JAMSIE, MÓJ PRZYJACIELU!” „NAJWIĘKSZE ZACMIENIE UMYŚLU!” dodawał inny. „PONTO! JAMSIE! KUMPLE! ROZCHMURZ SIĘ! PASADENO, OTO JESTEŚMY!”, krzyczały następane.

I tak to szło. Ilekroć kolejna wieść pojawiała się na niebie, Wujek Ponto odwracał głowę i szczyrzył się do Jamsiego. Pojawiające się napisy rozpraszały tego ostatniego, utrudniając mu prowadzenie wozu, toteż Ponto pogroził mu wesoło palcem i cisnął w niebo apel: „POZWÓL, ŻE CIĘ POPROWADZĘ!” Potem zniknął.

Tak efektownie zaczęły się kontakty Jamsiego z Wujkiem Ponto; ów duch miał go nękać przez całe lata, wymuszając w końcu stwierdzenie, iż jest jego „kompanem”; i dwukrotnie pchając go do samobójstwa.

Jamsie, z czasem, dowiedział się, jak wygląda Ponto. Nigdy jednak nie widział go w całej okazałości. Oglądał tylko różne partie jego ciała: twarz, tył głowy, ręce, stopy i oczy. Jamsie, który już wcześniej pogodził się z niesamowitością tych wszystkich zdarzeń, nie uważał Wujka za nieforemnego, przyznawał jednak, że trudno wziąć go za człowieka. A jeszcze ta dziwnie niekompletna twarz. Czegoś w niej brakowało.

Głowa była zbyt duża i zbyt spiczasta, powieki za ciężkie, nos i usta wiecznie skrzywione, czego Jamsie nie potrafił połączyć z żadnym znanym sobie stanem emocjonalnym. Skóra była zbyt jasna, by nazwać ją czarną, zbyt ciemna, by uznać ją za białą, zbyt czerwona, by określić ją jako ziemistą, a zarazem zbyt żółta, by nazwać to opalenizną. Ręce przypominały manipulatory. Ciało — które oglądał tylko partiami — zdawało się być obdarzone kocią giętkością i za chude, jak na taką ogromną, gruszkowatą głowę. Nogi były krzywe i nieproporcjonalne — wydawało się, że jedno z kolan jest wyżej od drugiego. Stopy Wujka Ponto były nienaturalnie płaskie, jak u kaczkę, o idealnie równych palcach.

Jamsie był pewien, że Ponto nie jest człowiekiem. Niczego więcej nie uważał za pewne, wyjąwszy fakt, że tamten istnieje naprawdę — równie rzeczywisty, jak wszystko inne. To, co robił, było konkretne i rzeczywiste. Nie mógł więc, zdaniem Jamsiego, być urojeniem. Jamsie dziwił się tylko, raz po raz, że nie czuje żadnego lęku. Zaczynał zadawać sobie pytanie, czy Ponto jest duchem, czy też istotą z innej planety. Ale na razie każde pojawienie się tamtego jedynie podsycalo jego ciekawość.

Po jakimś czasie odkrył, że każdą wizytę Wujka poprzedza dziwny zapach, ten sam, który poczuł pierwszej nocy. Po jego odejściu unosił się w powietrzu jeszcze przez godzinę. Nie był to żaden odór, nie miał nic wspólnego ze ściekami ani z gnijącą żywnością. Był to po prostu bardzo intensywny zapach; kojarzył się nieco z piżmem, był jednak trochę ostrzejszy. Jamsie, opisując go, mówił: „tak pachniałaby czerwień, gdyby miała jakiś zapach”.

Czując go, Jamsie zawsze odnosił wrażenie, że znajduje się sam na sam z jakąś potęgą. Innymi słowy, oddziaływał on nie tyle na jego zmysł powonienia, co na umysł. Nie budził odrazy, nie wabił, nie irytował i nie fascynował. Sprawiał, że Jamsie czuł się mały, nic nie znaczący. I to go najbardziej niepokoiło.

Z jego obliczeń wynikało, że Ponto ma około czterech i pół stopy wzrostu. A jednak, ilekroć mu się ukazywał, zdawał się być odbiciem jakiegoś giganta, krążącego w pobliżu, o którego obecności świadczył ów zapach. Jeżeli Jamsie w tamtej fazie ich kontaktów czuł jakiegokolwiek zagrożenie, wiązało się ono z działaniem owej woni.

Pod koniec każdej „wizyty”, tuż przed swym zniknięciem, Ponto zerkał z ukosa na Jamsiego, jakby chciał zapytać: nie zamierzasz dowiedzieć się, kim jestem? Młody człowiek, z natu-

ry uparty, postanowił nie pytać, nawet nie zauważać tego spojrzenia — w miarę możliwości.

Ponto pojawiał się w najdziwniejszych miejscach. Wyjąwszy słowa, którymi go zbesztal podczas pierwszego spotkania, oraz te, którymi pokrywał horyzont, początkowo milczał. Pojawiał się na tylnym siedzeniu auta, siadał na grzejniku w pokoju Jamsiego, unosił się pod sufitem windy, huśtał się na pomostach nad autostradą, ukazywał się w restauracjach, na kasach sklepowych, w studio, na biurku Jamsiego, na konsolcie w rozgłośni.

Popychał w stronę Jamsiego drzwi wahadłowe. Kładł pieniądze na ladzie, by zapłacić za zrobione przez tamtego zakupy, rozrywał plastikowe worki w pralni, zakręcał kurki, gasił zapłon w samochodzie, zapalał reflektory i na tysiąc innych sposobów — choć w owych pierwszych miesiącach tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku niezbyt często — przypominał Jamsiemu o swej obecności.

Wtedy jeszcze nie przeszkadzał mu w pracy, rzadko pojawiał się w jego mieszkaniu i nigdy nie nękał go w nocy. Jamsie mógł spać spokojnie. Czuł jedynie, że tamten jest w pobliżu i obserwuje go — a może czuwa nad nim; tego nie umiał sprecyzować. Po jakimś czasie zaczęły się jednak irytujące figle, które męczyły Jamsiego, pozbawiając go cierpliwości i coraz częściej wyprowadzając z równowagi. Nabral przekonania, że już kiedyś musiał widywać Wujka Ponto albo znał kogoś podobnego do niego, choć przecież nie zapomniałby tak charakterystycznego osobnika jak ten facecik!

W końcu Jamsiemu zabrakło cierpliwości, a jego ciekawość — zważywszy na te zdumiewające okoliczności, najzupełniej zrozumiała — doprowadziła do tego, że popełnił swój największy błąd. Któregoś dnia uległ impulsowi i zapytał Wujka Ponto, o co mu chodzi. Tamten akurat huśtał się na lampie w gabinecie Jamsiego.

— Tylko o to, by być z tobą, Jamsie! Myślałem, że nigdy nie zapytasz! Pragnę być twoim przyjacielem. Czy znałeś kiedyś kogoś tak wiernego i skorego do kontaktu jak ja?

Potem skoczył w nicłość.

Niewinne pytanie Jamsiego zerwało tamę. Stał się teraz celem nieustannego bombardowania, trwającego całym tygodniami. Ponto przez wiele lat nie dawał mu spokoju.

Zaczął mówić już w chwili, gdy Jamsie wychodził z mieszkania, by udać się do pracy. Rozmowy te przeważnie były pełne pustych, nic nie znaczących słów, czasem — wbrew inten-

cją mówiącego — zabawne, częściej nedorzeczne, a bardzo często pełne kąśliwych uwag, które Jamsie przyjmował z niesmakiem.

Jamsie długo panował nad sobą; po raz pierwszy poniosło go, kiedy Ponto zaczął drwić z Lydii, uzupełniając to grubiańskimi uwagami na temat hien.

Młody mężczyzna spienił się wówczas, obrzucił Wujka stekiem wyzwisk, żądając, by nie poruszał tego tematu i zniknął z zasięgu jego wzroku i słuchu.

— Dobra, Jamsie. Dobra! — ustąpił Ponto. — Dobra. Jak chcesz. Ale i tak do siebie należymy.

Zniknął.

Jamsie był roztrzęsiony. Po kilku godzinach zdołał jednak zająć się normalną pracą i na tyle odzyskał rozsądek, że zaczął się zastanawiać, czy to wszystko nie było tylko wytworem jego wyobraźni. Siedział przed mikrofonem, czekając na koniec reklam i sygnał od reżysera, że może już zabrać głos.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli, pojawił się znów Ponto. Wypisywał krótkie frazy na tabliczce, której reżyser używał, by przekazywać Jamsiemu polecenia, kiedy ten był na antenie. „DAROWANE!”, napisał. „JUŻ NIEDŁUGO! TRZYMAJ SIĘ, KOLEŚ!” Jamsie, wbrew sobie, dostrzegł w tym coś zwariowanego, choć podejrzewał, że Ponto jest zbyt mało rozgarnięty, by było go stać na takie poczucie humoru. Tak mu po prostu wychodziło. Jamsie złapał się na tym, że uśmiecha się do reżysera, który, zaskoczony tym przejawem serdeczności, również głupawo się szczyrzy.

Rozmowy z Wujkiem Ponto, jeżeli nie liczyć tych strzępów i skrawków, które tu odtworzyłem, zatarły się Jamsiemu w pamięci. Niemal zawsze były niespójne i tylko czasem na tyle irytujące, że budziły gniew. Ale ponieważ Jamsie czasem mu odpowiadał albo komentował jego zachowanie — jak najciszej — pracownicy rozgłośni pogodzili się z faktem, że Jamsie Z. „często gada do siebie” i, jak to określił jeden z nich, „jest pod pewnymi względami nieco szurnięty — ale któż z nas nie jest?”

Pomimo to, Jamsie robił karierę. Był dobrym prezenterem i miał wysokie notowania.

W sierpniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku dowiedział się, że Lydia umarła we śnie. Na kilka dni pojechał do Nowego Jorku, by uporządkować jej sprawy. Zapisła mu, swemu jedynemu spadkobiercy, dwie rzeczy: starą ikonę i tabliczkę, na której napisała, że George Whitney zaofe-

rował 204 za U.S. Steel. Jamsie zawiózł je do Los Angeles i umieścił w szafie, na której często sadowił się Ponto. Tamten mocno protestował przeciwko obecności ikony, ale Jamsie był nieugięty.

— Dobra, koleś. Dobra. Dobra — rzekł Ponto. — Ale któregoś dnia pozbedziemy się tego bezużytecznego śmiecia. Czyż nie tak, kumplu?

Pod koniec roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego Jamsie otrzymał propozycję bardzo korzystnej pracy w San Francisco, którą natychmiast przyjął. Opuścił Los Angeles, a po wprowadzeniu się do nowego mieszkania zaczął się przygotowywać do spotkania z szefem tamtejszej rozgłośni.

— Jamsie, zbliża się godzina decyzji.

Ponto, rzecz jasna, również trafił do San Francisco. Balansował właśnie na jednej z drabinek ewakuacyjnych na ścianie budynku i jego głos dobiegał przez szybę. Jamsie zbył go milczeniem.

— Jamsie! Obiecuj mi! Żadnego seksu i żadnej gorzałki! Słyszysz? Jamsie! Obiecuj to swemu staremu Wujkowi Ponto. No już, koleś, obiecuj!

Co najciekawsze, od czasu Cleveland Jamsie nawet nie tknął żadnej kobiety. Tak jakby wraz ze słowami uciekającymi mu przez czaszkę opuściło go też pożądanie.

— Aktualnie — zachichotał Ponto — nie przewiduję większych kłopotów na tej linii. Hii! Hii!

Jamsie przez sekundę przyglądał mu się ze złością, po czym zaczął szykować się do wyjścia.

Następne słowa Wujka zabarwiło dziwne zniecierpliwienie, przenikające czasem jego eunuchowaty głosik.

— Teraz wszyscy znaleźliśmy swoje miejsce, słyszysz? Nie mogę się już pojawiać tak często, jakbym chciał, ani tak często, jak pojawiałem się dawniej. Wiesz, też mam swoje sprawy. Nie uwierzyłbyś w to, ale mam.

Kiedy jechali do rozgłośni, Ponto, siedzący na tylnym siedzeniu, dostał chyba ataku hysterii. Mówił coraz szybciej i tracił wątek. W końcu jego gadanina straciła jakikolwiek sens. Plótł coś o laserach, pieczonych kurczętach, whisky i księżycu. Jamsie przypomina sobie dziś tylko poszczególne frazy, takie jak: „Jowisz obraca się co dziewięć godzin i pięćdziesiąt pięć minut”, „Oblapianki w samochodzie, masturbacja i dobre stopnie”, „Wiwat Golden Gate, ale nie zbliżaj się do wody!” i „Jego radosny skrzek”.

Podjechał pod rozgłośnię, wyszedł z samochodu i ruszył do wejścia. Ponto szedł tuż obok, cały czas plotąc trzy po trzy.

Jamsie nacisnął dzwonek przy drzwiach frontowych, ale nikt mu nie otworzył. Przeszedł więc na tyły domu. Ponto nadal gadał, wyrzucał z siebie bezsensowne słowa. Jamsie sprawdził drugie wyjście. Było zamknięte. Miał już wrócić pod drzwi frontowe, kiedy, niespodziewanie, zapadła cisza. Ponto zniknął. Wracając myślą do tamtej chwili, Jamsie pewien jest, że to nagłe zniknięcie spowodowane było nadejściem kogoś, kogo się Wujek obawiał.

— Szuka pan kogoś?

Z bocznych drzwi wyszedł łysiejący mężczyzna po pięćdziesiątce, wysoki i chudy, w okularach bez oprawek. Przyglądał mu się z ukosa.

— Mam tu pracować — odparł swobodnie Jamsie. — Szukam kierownika rozgłośni.

— Zapewne pan Jamsie Z. — rzekł tamten. — Ja jestem kierownikiem. Nazywam się Beedem. Jay Beedem.

Jamsie podał mu rękę i przyjrzał się jego twarzy. Przez moment miał wrażenie, że już gdzieś go widział. Nie wiedział jednak, gdzie.

— Wejdzmy i poznamy się bliżej.

Kiedy siedzieli naprzeciwko siebie w biurze Beedema, Jamsie przyglądał się swemu nowemu szefowi, próbując go gdzieś umiejscowić. Tamten zadał mu kilka pytań, a potem przeszedł do wprowadzenia go w jego przyszłe obowiązki. Był człowiekiem konkretnym i niemal przesadnie eleganckim — lśniąca łysinka, starannie przyczesane włosy po bokach głowy, nienagannie czyste i gustowne, może trochę za zbyt szykowne ubranie, ładne zęby, męskie dłonie o zadbanych paznokciach. Twarz miał z lekka owalną i niezbyt pomarszczoną jak na swój wiek. Uwagę Jamsiego przyciągały zwłaszcza jego oczy i usta.

Po kwadransie rozmowy Jamsie doszedł do wniosku, że nie potrafi wnikać w głąb oczu swego nowego szefa. Jay Beedem śmiał się, zerkał na niego, dając mu coś do zrozumienia, niekiedy rzucał pytające spojrzenia, ale to wszystko było tak mało dostępne, jak film rzucany na ekran. Nie ma w tym uczucia, pomyślał Jamsie. Nie ma prawdziwego uczucia. Przynajmniej ja nie umiem jego dostrzec. Tylko usta Beedema śmiały się lub uśmiechały. Nie on sam.

Jamsie nawet dzisiaj nie potrafi udzielić sobie satysfakcjonującej odpowiedzi na temat Jaya Beedema. Twierdzi, że niejasne wrażenie, iż spotkał go wcześniej, wiązało się z faktem, iż dostrzegł w jego obliczu pewne cechy owej „dziwacznej twarzy”. I rzeczywiście, jeden z istotnych elementów późniejszych

egzorcyzmów, co zarejestrowano na taśmie, ma ogromny związek z dziwną twarzą Beedema i tamtym „wyrazem”.

Kiedy Beedem stykał się z Jamsiem, Ponto nie dawał znać o sobie. A ilekroć Jamsie zwracał się do szefa, licząc na chwilę rozmowy, pomoc lub zachętę, zawsze wychodził od niego tak samo wykończony i skołowany, jak podczas najgorszych chwil z Wujkiem. Sednem tego wszystkiego był paniczny lęk, typowy dla kogoś, kto czuje się uwikłany, uwięziony albo zdradzony.

Chociaż cała sprawa pozostaje w sferze spekulacji, można wysunąć uzasadnione przypuszczenie, że Beedem należał do ludzi idealnie opętanych — tych, którzy na jakimś etapie swej kariery świadomie postanowili poddać się opętaniu, nigdy w żaden sposób nie podważali tej swojej decyzji i znaleźli się całkowicie we władzy złego ducha. Tak właśnie sądził ojciec Mark i dlatego czuł, że musi sprawdzić, czy istnieje jakaś szkodliwa dla Jamsiego więź pomiędzy Beedemem a Wujkiem Ponto.

Ale owego dnia, kiedy Jamsie po raz pierwszy spotkał się z szefem, wszystkie te problemy, które i dzisiaj spędzają mu sen z powiek, były sprawą przyszłości. W ciągu kolejnych dni i tygodni przyswoił sobie nowy porządek dnia. Pokochał San Francisco. Polubił nową pracę. Dobrze żył ze swoimi współpracownikami; tamci szanowali jego zdolności, on zaś służył im swym doświadczeniem. Miło mu się pracowało z Cloydem, producentem nagrań, i Lilą Wood, jego główną asystentką. Stosunki z Jayem Beedemem układały się poprawnie. Z czasem jednak Beedem nie krył swej wzdargy i niechęci, jakie budziły w nim pewne poczynania Jamsiego.

Pracownicy rozgłosili, którzy zauważyli tarcia pomiędzy nimi dwoma, kładli to na karb różnicy temperamentów, twierdzili, że tamci po prostu nie pasują do siebie. Wszyscy inni przyzymkali oko na dziwne nawyki Jamsiego, wiedząc, że ma swój własny styl przekazywania treści, „co jest korzystne dla firmy”. Jamsie dość szybko pojął, że wiele pod tym względem zawdzięcza Wujkowi Ponto.

Ponto krążył wokół niego w studio, sypiąc jakimiś dziwnymi informacjami, słyszalnymi tylko dla Jamsiego. Przytaczał statystyki, liczby, fakty i dane, które tamten automatycznie wpłatał w swoje komunikaty, przetwarzając je w niewiarygodnie dowcipny potok słów. W błyskotliwą i zabawną gawędę; w serdeczne trajkotanie, pełne rozmaitych dygresji, powiązanych słówkami „ale” i „natomiast”, a także frazami typu „byłbym zapomniał, że”, „jak powiedziała aktorka do biskupa” i „pozwólcie, że wam powiem, zanim zapomnicie, iż kiedykolwiek

mnie słyszeliście”, zakończone po trzech minutach jakąś zręczną pointą, dotyczącą reklamowanego produktu, wyniku komentowanego właśnie meczu albo wiadomości, którą rozgłoszania chciała szczególnie podkreślić. Ten styl stał się jego znakiem firmowym, uznanym i cenionym przez słuchaczy. I tak, w ciągu pierwszych miesięcy pracy w San Francisco, Jamsie chwalił sobie w duchu obecność Wujka Ponto.

Dopiero później dotarło do niego, że zaczynają się problemy. Któregoś wieczoru, kiedy jechali do domu, Ponto, rezydujący na tylnym siedzeniu, zaproponował:

— Jamsie, pobierzmy się.

Uważając to za cząstkę typowego dla niego bełkotu — z którym coraz częściej miewał do czynienia — Jamsie uznał, że jeżeli nie zareaguje, Ponto zmieni temat. Ale Wujek mówił poważnie i zaraz to podkreślił.

— Jamsie! Mówię poważnie. Pobierzmy się.

Ręce i nogi Jamsiego pokryły się gęsią skórą. Po raz pierwszy poczuł, że Ponto budzi w nim lęk. Przez całą drogę milczał, mając wrażenie, że zaczyna już coś pojmovać.

Następnego dnia, kiedy znajdował się w bufecie, przysiadła się do niego Lila Wood, asystentka Cloyda. Ponto, chowający się za dzbankami na kawę, przyglądał mu się uważnie. Lila, podobnie jak inni współpracownicy, zauważyła, że Jamsie jest przygnębiony. Twierdzi też dzisiaj, że wyczuła, iż się czegoś obawiał.

Wiedząc, że lepiej nie nazywać rzeczy po imieniu, zapytała niewinnie, wstając od stołu:

— Nie zjadłbyś dziś wieczorem steku z moim przyjacielem i ze mną?

Po raz pierwszy od długiego czasu ktoś tak nonszalancko zwrócił się do Jamsiego. Przywykł już do tego, że ludzie unikają jego towarzystwa. Nie wierząc własnym uszom, popatrzył na Lilę. Ale ona wiedziała, jak sobie poradzić w takiej sytuacji.

— W porządku — powiedziała, odwracając się z uśmiechem. — Do zobaczenia o wpół do szóstej.

Jamsie nie mógł oderwać od niej wzroku. Jej głos — a może coś w jej głosie — poruszył go do głębi. Wspominał później: „To było jak nuta prawdziwej harmonii wtrącona pomiędzy wrzaski dwustu skłóconych kotów i łoskot dziesięciu młotów pneumatycznych”.

Ale nie dane mu było dłużej się nad tym zastanawiać. Głos Ponto miał w sobie coś ze zgrzytu.

— Wszystko słyszałem. Dokładnie wszystko. Ta cuchnąca suczka. Znasz jej przyjaciela? Poznasz. Ja znam! Łysa świnia. To on. Nie jest nawet na tyle mężczyzną, by wleźć między jej nogi.

Jamsie czuł początkowo, że brudne uwagi Wujka nie robią na nim wrażenia, i to sprawiało mu ogromną ulgę. Nawet uśmiechnął się do tamtego. Ponto skrzywił się, rozeźlony, po czym wyskoczył w górę, wykonał przewrót w tył i zniknął.

W tej samej chwili Jamsiego zgiął w pół potężny ból. Całkiem nowe doznanie. Rodziło się gdzieś w okolicach pasa. Stamtąd przechodziło w kierunku kręgosłupa. Jeden kolec wbił się w kość ogonową, drugi przewiercił jądra, trzeci pomknął w górę i na poziomie karku rozszczepił się. Strumień bólu wypełnił płuca. Jamsiemu zabrakło tchu. Kręciło mu się w głowie. Drugi strumień wtargnął pod sklepienie czaszki i osaczył mózg, Jamsie przez kilka minut nie ruszał się z miejsca; czekał, oparłszy na dłoni podbródek. Przeszło.

Ledwie wstał usłyszał głos Wujka Ponto.

— Widzisz, koleś! Widzisz! Już w znacznej mierze należysz do mnie. Uważaj na to dziś wieczorem!

Nie było go widać, ale czuł tamten zapach.

Tego dnia wyszedł razem z Lilą. Zdążyła właśnie przygotować trzy steki, kiedy jej przyjaciel zadzwonił do drzwi. Jamsie otworzył mu i zobaczył postawnego, kompletnie łysego mężczyznę, w którego błękitnych oczach czaił się wesoły błysk.

— Jestem ojciec Mark, przyjaciel Lili. Ty musisz być Jamsie. Opowiadała mi o tobie. Cieszę się, że cię widzę.

Jak się okazało, Lila nieprzypadkowo zorganizowała to spotkanie. Jeszcze wieczór nie dobiegł końca, a już Jamsie szczerze opowiadał o swoich problemach. Mark zdawał się wiedzieć wszystko na temat zachowania Wujka Ponto. Nie znał tylko jego imienia, a kiedy Jamsie je podał, kapłan roześmiał się i powiedział:

— Dobry Boże! A myślałem, że słyszałem już wszystkie imiona tamtych. Ale Ponto? Boże!

Obaj mężczyźni ustalili, że spotkają się następnego dnia. Mark obiecał nawet, że przygotuje jakąś specjalną zupę grzybową, z której słygnął pośród przyjaciół.

Kiedy mieli już za sobą ów posiłek w probostwie, Jamsie opowiedział Markowi historię swego życia, niczego nie pomijając. Kapłan wysłuchał jej uważnie, paląc długą, osmaloną fajkę i od czasu do czasu zadając jakieś pytanie.

Było już po północy, kiedy Jamsie skończył swą opowieść. Mark odłożył fajkę i zamyślił się, przyglądając się badawczo Jamsiemu. Tego ostatniego nie zaniepokoiło to milczenie. Przez następną godzinę Mark mówił, co o tym wszystkim sądzi.

Jamsie, jego zdaniem, zwrócił na siebie uwagę złego ducha. Duchów takich były setki, a może nawet miliony lub tryliony.

— Nie sposób ich policzyć tak, jak liczy się ludzi — powiedział.

Wyjaśnił, że z jego własnych, dość bogatych doświadczeń wynika, iż duchy różnią się charakterami i sposobem podejścia do ludzi. Jednakże pewien ich typ — niezbyt ważny — dąży zawsze do tego, by „oswoić sobie” jakąś ludzką istotę — kobietę, mężczyznę lub dziecko. Rzadziej się zdarza — choć i tak bywało — że chodzi mu o zwierzę.

Jamsie był ciekaw, czym jest to „oswojenie”. Mark wytłumaczył mu, że celem, do którego dąży taki duch, jest nakłonienie wybranej osoby, by dopuściła go na stałe do swej świadomości i swego życia osobistego.

Poparł to przykładem. Normalnie, kiedy chodzisz, jesz, pracujesz, myślisz, czy rozmawiasz, masz świadomość własnej odrębności. Wyobraź sobie teraz, że przez cały czas wiesz o tym, że w twojej głowie i świadomości istnieją dwie niezależne natury, coś jak bracia syjamscy. Rzecz można, że podzieliły między siebie twoją świadomość. Jest twoja, a zarazem i tamtego. Was obu. Żaden z was nie zdoła wymknąć się drugiemu. W twoim umyśle pojawiają się myśli, które — o czym wiesz doskonale — nie należą do ciebie. Podobnie jest z wyobraźnią i wolą. I wciąż to czujesz, tak samo jak czujesz siebie. O takim właśnie „oswojeniu” myślał Mark.

Jamsie był przerażony.

Mój Boże — mówi dzisiaj. — Naprawdę zbłądziłem, przynajmniej w jakiejś mierze. Nie wiedziałem co robić. Byłem zgubiony!

Mark uspokoił go. Jamsie nie był zgubiony. Nigdy nie poddał się władzy swego „kompana”. Został po prostu zaatakowany. Ale musiał się liczyć z tym, że tamten będzie coraz mocniej nakłaniał go do zgody na pełne „oswojenie”.

Jamsie chciał wiedzieć, co będzie dalej.

— Może cię zmęczyć. — powiedział spokojnie Mark. — Może cię pokonać. Jak każdego z nas. Mierzysz się z mocą daleko potężniejszą niż ta, jaką sam możesz osiągnąć.

Potem spojrzął Jamsiemu w oczy i zapytał go bez ogródek, czy chciałby poddać się egzorcyzmom.

Co najdziwniejsze, Jamsiemu odebrało mowę. Po chwili zapytał, ważąc każde słowo:

— Czy to by znaczyło, że Ponto już nie wróci?

Mark wyjaśnił mu, że jeśli egzorcyzmy okażą się skuteczne, przepadnie na zawsze. Skoncentrował się na gestach i reakcjach Jamsiego. Zaczynał dostrzegać, na ile Ponto zawładnął już Jamsiem.

— I co? — spytał w końcu, starając się wyglądać na rozluźnionego — Co teraz zrobimy? Sądziś, że powinniśmy posunąć się aż tak daleko?

Nie chciał, by Jamsie wychodził od niego, szalejąc ze strachu.

Jamsie zaś miał w głowie chaos. Znów przeżywał dawną samotność i rozstanie z rodzicami. Czy z Wujkiem Ponto naprawdę było tak źle, jak to przedstawił Mark? Czy nie można by go trzymać na dystans, ciesząc się nadal niezwykłym charakterem tych kontaktów? I czy nie straciłby tej werwy, z której słynął jako prezydent?

Mark pogadał z nim jeszcze trochę. Raz jeszcze napełnił kieliszki. Jamsie nie był jeszcze gotów, by przystać na egzorcyzmy. Trzeba było poczekać.

Mark, czym prędzej, udzielił mu pewnej rady. Rzecz w tym, powiedział, aby nie dopuścić do inwazji. Baw się, jeżeli o to ci chodzi — dodał z przekąsem — jego błżeństwami i podszeptami, ale nie dopuść do inwazji. Gdyby, na przykład, Jamsie poczuł, że jego umysł, pamięć i wyobraźnia poddane są jakiejś dziwnej presji, powinien uwolnić się od niej za pomocą prostego triku: powtarzać, głoska po głosce, imię „Jezus”. I właśnie ten fortel miał w przyszłości uchronić Jamsiego od samobójczej śmierci w odmętach jeziora.

Kiedy Jamsie zapytał, czy może posłużyć się innym imieniem, Mark, śmiejąc się, powiedział, że tak, ale przekona się, że skutkuje tylko tamto. Wyjaśnił mu sedno egzorcyzmów — czym są i jak wpływają na opętanego. Na koniec polecił Jamsiemu, by się z nim skontaktował

— O każdej porze doby. Gdziekolwiek będę, gdziekolwiek ty będziesz, którakolwiek będzie to godzina, niezwłocznie przyjadę. Ale jeśli już uznasz, że egzorcyzmy mogą ci pomóc, nie zwlekaj.

Wróciwszy do domu, Jamsie nie mógł zasnąć. Ale Ponto nie pojawił się.

W miesiąc później, kiedy Jamsie poddał się przepisowym badaniom, lekarz zwrócił uwagę na jego serce. Polecił mu uni-

kać silniejszych emocji. Przepisał jakieś tabletki i odpowiednią dietę. Zapytał też Jamsiego, czy coś go trapi. Czy coś go gryzie? Jamsie był zaskoczony jego wnikliwością. Tak, przyznał, absorbują go sprawy osobiste. Lekarz zasugerował, że warto byłoby pomyśleć o spotkaniu z psychologiem — choćby po to, by pogadać na ten temat i trochę się odprężyć. Podał nazwisko człowieka, którego mógł z czystym sumieniem polecić.

Jamsie zastanawiał się nad tym przez tydzień. Nie godził się z opinią Marka, iż Wujka Ponto należy przepędzić, i to nie dlatego, iż nie uważał tamtego za ducha wolnego od powłoki cielesnej — przynajmniej częściowo, pomyślał z przekąsem — ale ponieważ nie mógłby stawić czoła codzienności pozbawionej jego ingerencji.

Zaczął się zastanawiać, czemu właściwie tak mu zależy na tych ingerencjach. Czyżby Ponto zdołał go już w jakiejś mierze opętać? Tak sądził Mark. A może — co bardziej mu odpowiadało — dlatego, że Ponto był jedynym jasnym punktem w tym bezbarwnym pejzażu, jedynym inspirującym go bodźcem? A jeśli na tym polegała pułapka, którą Wujek na niego zastawił? Wszystkie koncepcje krzyżowały się chaotycznie. Chaos pogłębił się jeszcze, gdy Jamsie zaczął powątpiewać w osady i intencje Marka. Ci kapłani zawsze chcieliby tylko nawracać, pomyślał. A jednak wydawało się, że Mark mówił szczerze. Może więc przydałaby się rozmowa z dobrym psychologiem?

Ponto nie pojawiał się przez cały tydzień.

Jamsie usłyszał go dopiero po ośmiu lub dziewięciu dniach, akurat wtedy, gdy jechał na pierwsze spotkanie z psychologiem.

— Ten spec od prania mózgu jest w porządku, Jamsie. To dobry człowiek; idź i zrób, co ci powie. Ale gdybyś słuchał tylko mnie i robił, co ja mówię, nie potrzebowałbyś pomocy tego specy.

Jamsie i tak odwiedził psychologa.

Ten zaś skierował go do znanego sobie psychaitry. Jamsie leczył się przez półtora roku, ale przyniosło mu to tylko ogromne rozczarowanie.

Terapeuta zaczął od poinformowania Jamsiego, że jego zdrowie psychiczne stoi pod znakiem zapytania. Konieczne było rozszerzone leczenie. Minęło jednak pół roku i terapeuta zmienił zdanie. Stwierdził, że nie znajduje u Jamsiego żadnych odchyłeń od normy ani zaburzeń równowagi psychicznej. Wszystkie opowieści Jamsiego o Wujku Ponto uznał za wymysły, za świadome wprowadzanie go w błąd. Cała sprawa to

blaga, której nie uważa za świetny kawał. Jamsie zdołał go w końcu przekonać, że to nie są wymysły, i przez następny rok gorliwie poddawał się terapii. Kiedy jednak okazało się, że nic nie zmienia się na lepsze, Jamsie zrezygnował z pomocy psychiatry.

W okresie terapii Ponto pojawiał się regularnie i zachowywał się w typowy dla siebie sposób, ale to jakoś nie przygnębiało Jamsiego. Prawdę mówiąc, nawet się cieszył, że go widzi. Miał nawet wrażenie, że Ponto jest daleko bardziej rzeczywisty niż terapeuta i wszystkie jego diagnozy. Ponto powiedział mu któregoś dnia:

— Jamsie, ty i ja jesteśmy jednym, ciałem i krwią, a tamten spec od grzebania w mózgu żyje tylko swoimi myślami. Pytam więc ciebie: co jest lepsze?

Pod koniec kuracji Jamsiego, Ponto coraz bardziej się niecierpliwił, tak jakby ograniczał go jakiś termin. Jamsie coraz częściej odkrywał w swej świadomości myśli, reakcje, uczucia, wspomnienia i intencje, należące do tamtego, nawet pod jego nieobecność. Zaczynał odczuwać i myśleć podwójnie — za siebie i za Wujka Ponto. Zawsze umiał to rozróżnić, ale nie był już — dosłownie — panem swojego umysłu.

Co najdziwniejsze, nadal pracowało mu się doskonale, wyjąwszy pewne starcia z Jayem Beedemem, który wyraźnie dawał mu odczuć dzielący ich dystans. Ale około listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku Jamsiemu było już trudno znieść to, co się w nim działo.

Pamięta wyraźnie, że od grudnia zaczął popadać w coraz głębszą desperację. Ponto nie dawał mu spokoju. Wymyślał wciąż nowe błazeństwa i nabrał zwyczaju pojawiania się wieczorem w mieszkaniu Jamsiego i przebywania tam, dopóki gospodarz nie położył się spać. Nieustannie trajkotał, zazwyczaj nakłaniając Jamsiego do działania — do porzucenia pracy, wybrania się na wycieczkę, wzbudzenia w sobie nienawiści do tej czy tamtej osoby — najczęściej jednak domagając się, by „wpuścić Wujka Ponto”.

Jeden z takich incydentów Jamsie przypomina sobie szczególnie wyraźnie. Wrócił wtedy bardzo późno. Ponto pojawił się na blacie stołu i spędził tam około godziny, żonglując w powietrzu słowami, frazami i kolorowymi — tak przynajmniej zdawało się Jamsiemu — dźwiękami. Intensyfikując swoje działania, zaczął nucić coś niebywale zgrzytliwego, co Jamsie nazwał „ciągami rytmicznych pochrząkiwań”. Powtarzał jedno słowo, za każdym razem przedłużając je o takie chrząknięcie.

Zaczął od „wpuść mnie”. Potem zmienił to w następujący zaśpiew:

— Wpuść—hm! Wpuść—hm! Wpuść—hm! Mnie—hm!
Mnie—hm! Mnie—hm! Mnie—hm!

Jamsie był coraz bardziej udręczony tym bębnieniem. W końcu krzyknął, żądając przerwania tego śpiewu.

W późniejszych miesiącach takie sytuacje powtarzały się wielokrotnie, czasami nawet co tydzień. Jamsie za każdym razem zmuszony był krzyżeć i wrzeszczeć, by go uciszyć. Sąsiedzi regularnie skarżyli się na hałas.

Pewnego grudniowego wieczoru, bardzo późną porą, kiedy nerwy Jamsiego były już doszczętnie stargane przez śpiew Ponto, trudno mu było uwierzyć, że tamten wreszcie ucichł. Aż chłonał tak upragniony spokój.

Ale zaraz usłyszał jakiś nowy dźwięk. Skupił się na nim. Wyraźnie słyszał głos Wujka Ponto, ale także i mnóstwo innych, niesłychanie podobnych.

Nie potrafił rozróżnić słów. Wiele w tym wszystkim było śmiechów i okrzyków. Kojarzyło mu się to z chwilami z lat trzydziestych, kiedy to próbował słuchać radia i nie wylapywał nic poza falującymi trzaskami i odległymi, niewyraźnymi głoskami.

Kiedy wyteżył słuch, zapanowała nagle cisza. Potem z łazienki dobiegł słodziutki głos Wujka Ponto.

— Jamsie, masz coś przeciwko temu, że przyłączyło się do nas kilku moich przyjaciół i krewnych? Przecież mamy się pobrać, czyż nie? I to wkrótce, tak?

Znów podniósł się gwar; można było odnieść wrażenie, że zbliża się do drzwi salonu.

Jamsie na sekundę zamarł, po czym, zdjęty ślepym, panicznym lękiem, podniósł się, skoczył do drzwi, wszedł do samochodu i, najszybciej, jak tylko potrafił, ruszył w kierunku mostu Golden Gate. Nie był w stanie myśleć, ale i nie mógł się uspokoić. Czuł się odrzucony, przemarznięty, skazany i zdesperowany. Miał już wszystko dosyć. Chciał się wyłączyć. Zatrzymał się na środku mostu.

— To nie ma sensu, Jamsie.

Znał ten głos. Boże! O mało się nie rozpląkał. Tamten też tam trafił; balansował na tej cholernej barierce.

— To nie ma sensu, przyjacielu. Obaj mamy wiele do zrobienia, zanim się skończy twoje życie. Jak myślisz, dlaczego mam być twym kompanem? Żebyś umarł młodo? Nie bądź durniem!

Jamsie zawrócił. Po raz pierwszy czuł, że Ponto go pokonał. Nie spiesząc się, wrócił do domu. Nie miał powodu do pośpiechu. I tak nie wiedział, co robić. Rozbiegane myśli zahaczyły o Marka. Ale co tam, nawet spec od prania mózgu nie pomógł. Jak miałby pomóc Mark?

Tamtej nocy Ponto znów dał mu spokój, ale niewielki był z tego pożytek. Noc zawsze dostarczała Jamsiemu sił i regenerowała go; jeśli nawet Ponto zabawił u niego trochę dłużej, zawsze dawał mu kilka godzin spokoju, pozwalając na względny odpoczynek. Ilekroć zamierzał zostać z Jamsiem przez całą noc, zawsze pytał go o zgodę.

Ale teraz się uparł: żądał, by ich związek przybrał bardziej intymny charakter. Co przez to rozumiał, tego Jamsie nie wiedział. Znaczyło to jednak, że będzie spędzał z nim całe noce. I choć Jamsie nie potrafił uchwycić sensu owego żądania, Ponto nalegał, by wyraził zgodę. Mieli się pobrać, czyż nie? Zalegalizować całą sprawę, czyż nie? Wciąż to powtarzał, uśmiechając się krzywo.

Po kilku tygodniach takiej udręki Jamsie dojrzał do podjęcia jakiejś drastycznej decyzji. Jakiegokolwiek, byle tylko skończyć z tymi torturami. Czy należało popełnić samobójstwo? A może zatelefonować do ojca Marka? Albo poddać się Wujkowi Ponto i zobaczyć, co będzie dalej?

Najgorsze z tych męczących spotkań z Wujkiem miało miejsce pierwszego lutego. Ponto ulokował się w sypialni. Jamsie przez całą noc krążył po salonie, parząc kawę, by nie zasnąć, spierając się głośno z Wujkiem, paląc papierosy i popijając. Nie mógł się pozbyć tamtego. Nie mógł też podjąć decyzji. Potrzebował czasu. To, czego domagał się od niego Ponto, mogło do reszty zmiążyć jego ducha.

Uznał w końcu, że musi mieć czas na przemyślenie i przeanalizowanie tej sprawy. Poprosił o kilkudniowy urlop. Będzie mógł wówczas przyjrzeć się kilku ostatnim latom swego życia, ponownie skonsultować się z psychiatrą, spotkać się z ojcem Markiem i opanować się na tyle, żeby podjąć najważniejszą decyzję.

Następnego ranka, kiedy zjawił się w rozgłośni i poszedł do Jaya Beedema, aby omówić sprawę urlopu, spotkał się z nowymi trudnościami.

Beedem rozmawiał z nim, nie odrywając oczu od leżących przed nim notatek. Powiedział, że zauważył, iż w ostatnich tygodniach Jamsie zachowywał się szczególnie dziwnie, ale nie uważa, by urlop był tu najważniejszym rozwiązaniem.

Owszem, należy mu się jeszcze kilka dni wolnych. Jako szef, uważa jednak, że jeśli Jamsie nie przestanie stwarzać napięć wpływających na innych pracowników rozgłośni, nie pozostanie mu nic innego, jak tylko rozwiązać umowę o pracę.

Ton Beedema nie był ani przyjazny, ani niezyczliwy. Neutralny. Bardzo chłodny. Bezosobowy.

Jamsie sądził jeszcze, że przekona szefa, jeśli choć trochę naświetli skalę dręczących go problemów. Ale kiedy spróbował to zrobić, Beedem przerwał mu, mówiąc powoli i z naciskiem:

— Jeśli nie potrafisz poradzić sobie ze swoimi sprawami, nie możemy tobie powierzyć takich, które dotyczą naszych klientów i słuchaczy.

Potem podniósł głowę, pierwszy raz od chwili wejścia Jamsiego. Jamsie poszukał w jego oczach jakiejś iskierki nadziei. Ale były puste. Dosłownie puste. To nie metafora. Można byłoby przyjąć, że są z kolorowego szkła, gdyby nie to, że nie odbijało się w nich ani biuro, ani żaden ze stojących w pobliżu przedmiotów, ani nawet błysk światła.

Jamsie pojął, że nie uda mu się do niego dotrzeć. Powiedział coś o wykorzystaniu zaległego urlopu. Beedem znów nachylił się nad notatkami.

Zamykając za sobą drzwi, Jamsie jeszcze raz na niego zerknął. Beedem siedział wyprostowany, intensywnie mu się przyglądając. Przenikał mu wzrokiem, pomyślał Jamsie. Czy w jego oczach czaiły się nienawiść i wgarda? A może to tylko naturalna reakcja zapracowanego szefa na problemy osobiste kolejnego pracownika?

Idąc korytarzem do biura, Jamsie próbował sobie przypomnieć szczegóły swojej rozmowy z Markiem. Miał wrażenie, że kapłan jest jedyną osobą, która rozumie jego problemy i wie, jak im zaradzić. Ale nic już nie było jasne. Usiadł przy biurku. Próbował oczyścić umysł. Pragnął przyjrzeć się wszystkiemu, co wydarzyło się od dnia podjęcia pracy w tej rozgłośni. Myśli mu wirowały. Nie potrafił rozumować logicznie. Słowa, takie jak „dobro”, „zło”, „Szatan”, „Jezus”, „Ponto”, „małżeństwo”, „opętanie” i „wolna wola”, kłębiły mu się pod czaszką. Nie potrafił ich uporządkować. I nagle doszło jeszcze jedno — „Beedem”. Beedem? Właśnie tak, z ogromnym znakiem zapytania. „Jay Beedem? Jay Beedem? Jay Beedem?”

— Jamsie, mam gotową ramówkę na następny miesiąc.

To był Cloyd, producent nagrań.

Jamsie popatrzył na niego bezmyślnie i wymamrotał:

— Jay Beedem?

— Już ją widział. Wszystko gra. Jesteśmy gotowi. Chcesz rzucić okiem?

Jamsie wziął do ręki ramówkę. Nie mógł się nad nią skupić. Wydusił z siebie tylko:

— Skontaktuję się z tobą, Cloyd.

Kiedy został sam, spróbował po raz wtóry. To nie miało sensu. Widział twarz Marka, Jaya Beedema, Wujka Ponto, swoją własną, Ary, Lydii i Cloyda. I znów oblicze Jaya Beedema, wpatrujące się weń ze wzgardą i nienawiścią. *Wszystkie* już były opatrzone znakami zapytania.

Powoli zaczynał się uspokajać, próbował przynajmniej postawić kilka sensownych pytań. Czy Mark miał rację, mówiąc, że zagraża mu opętanie? A może już został opętany? A może Mark to tylko kolejny kapłan, który próbuje go nawrócić? A jeśli w słowach psychiatry było coś z prawdy? Czy to schizofrenia, czy też paranoja? Sam stworzył to wszystko?

Nie mogąc się do reszty uspokoić, wrócił myślą do Beedema. Kim jest ten człowiek? Jeszcze jednym głupim, bezwzględnym świrem? Nie w tym facecie kryło się coś innego. Miał to w kościach. Do tego dnia, do chwili tego ostatniego spojrzenia, Jamsie nie widział u niego żadnego śladu emocji. Żadnej autentycznej reakcji. Nie słyszał nawet żadnego wybuchu autentycznego śmiechu.

Zaczął się zastanawiać, jakim człowiekiem jest Beedem. Co o nim wiedział? Beedem był urodzonym handlarzem. Rzecz można, że jeśli chciał coś sprzedać, potrafił się posłużyć dziesięcioma tysiącami różnych języków i tonów. Bywał złośliwy i potrafił zniecka upokorzyć publicznie swoją ofiarę. Często używał pięcioliterowych słów, tak jakby miały one dodać wagi i precyzji temu, co miał do powiedzenia. Pracownicy rozgłośni wystrzegały się go. Kilka z nich się z nim przespało — ale żadna nie powtórzyła tego doświadczenia. Budził lęk albo odrazę, nawet kiedy się z niego śmiano.

Kiedy był w pobliżu, Wujek Ponto nigdy się nie pojawił. Kiedy indziej, u licha, aż się narzucał ze swymi kontaktami, pomyślał z goryczą Jamsie. Czemu nie wtedy, gdy towarzyszył mu Jay Beedem? Czemu nie dzisiaj, kiedy przydałoby mu się nieco tych „porad językowych”?

Dziwne zachowanie Beedema poważnie zaniepokoiło Jamsiego. Był zły, to jasne. Ale to nie to. W żaden sposób nie umiał tego pozbiierać.

I nagle przyszło mu do głowy coś, co wyparło wszystkie myśli związane z Beedemem. Od dawna już nie trapił się „dzi-

waczną twarzą” ani jej „wyrazem”, teraz jednak poczuł, że musi rozwikłać tę starą zagadkę. Właśnie! Podobnie jak tamtej szalonej nocy w Cleveland, teraz też był pewien, że jest bliski odkrycia, „co o niej wie”. Po raz pierwszy od wielu lat desperacko spróbował zebrać wszystkie wspomnienia, powiązać je w jakiś portret pamięciowy.

Siedział tak przy biurku, co chwila nabierając przekonania, że już to uchwycił. Tak mocno ścisnął poręcz krzesła, że aż zbielały mu kostki palców. Ale pieczołowicie budowana konstrukcja za każdym razem się rozsypywała. Zgarbiony, nie ruszał się z miejsca, pracując nad tym obrazem, powoli spajając ze sobą poszczególnie elementy.

Po jakimś czasie Cloyd znów zatrzymał się przy jego pokoju. Zobaczył, że Jamsie robi wszystko, żeby się skoncentrować; usłyszał, jak stęka i mamrocze. Stwierdziwszy, że nie potrafi wyrwać go z tego stanu, przestraszył się i pobiegł po pomoc. Trafił na dwóch techników i już we trzech przypatrywali się Jamsiemu, głowiąc się nad tym, co powinni zrobić.

Jamsie totalnie wyłączył się z rzeczywistości. Czuł, że jest już blisko. Ale wszystkie skrawki obrazu skupiły się w długi, zygakowaty ciąg, na końcu którego lśniły obojętne oczy Jaya Beedema. I znów ta złota błyskawica wymknęła mu się z głowy, wystrzeliła przez ucho w kierunku okna i wtopiła się w błękitne niebo. Ostatnie, co zobaczył, to oblicze Beedema, po raz pierwszy uśmiechnięte od ucha do ucha, unoszące się na końcu owej znikającej linii.

Jamsie zatkał sobie uszy. Krzyczał coś, wyrzucał z siebie złość, protestował.

W końcu usłyszał dobiegający z daleka głos Cloyda:

— Jamsie! Jamsie! Dobrze się czujesz? Jamsie! Obudź się!

Poczuł, że dotykają go trzy pary rąk i zobaczył przerażone twarze Cloyda i obu techników.

— Co tu się dzieje?

To był Jay Beedem, chłodny, beznamiętny, znudzony, a zarazem zirytowany. Stał w drzwiach i odprowadził tamtych skinieniem. Poradził Jamsiemu, niemal po ojcowsku, by na resztę dnia wziął wolne.

Jamsie czuł się zdruzgotany. Niczego nie rozwikłał. Niczego nie zrozumiał. To idiotyczne, że wszystko znów wyleciało mu z głowy. Nawet nie dostał urlopu. Na resztę dnia wziąć wolne! Piękne dzięki, pomyślał.

Wstał, przytłoczony i załamany, bliski płaczu. Jay Beedem odsunął się na bok. Jamsie wytoczył się z biura, minął korytarz

i zszedł na parking, do swego samochodu. Już nigdy nie wrócił do rozgłośni. Nie widział się z Jayem Beedemem. Wtedy jednak potrafił ogarnąć myślą jedynie pięć czekających go minut.

Jak tylko wszedł do swego mieszkania, pojął, że Ponto już na niego czeka. Poczul tamten zapach...

— Nie wściekaj się, Jamsie — dobiegło z szafy w przedpokoju. — Nie zamierzam zbliżyć się do ciebie, dopóki mnie nie zawołasz. Nie wściekaj się. Przemyśl całą sprawę na chłodno.

Jamsie rozchmurzył się nieco. Ale zmęczenie wzięło nad nim górę. Padł na łóżko i po kilku minutach usnął.

Obudził się następnego dnia, w sobotę, około siódmej rano. Był pewien, że ze snu wyrwał go jakiś dźwięk. Przez kilka sekund nasłuchiwał. Usłyszał szelesty i jakieś skrobanie, dobiegające z szafy, w której poprzedniego wieczoru ukrył się Ponto.

Cały steżał, nabierając niejasnych podejrzeń. Co znów wymyślił Ponto? Podkraśli się do szafy, przez chwilę stał tam, nasłuchując, po czym szarpnięciem otworzył rozsuwane drzwi. To, co zobaczył, poraziło go, wywołując taki niesmak i wściekłość, jakich nie odczuwał jeszcze nigdy, nawet podczas najgorszych wybryków Wujka Ponto. Tamten siedział na starej ikonie, wydłubując kawałki mozaiki z twarzy Najświętszej Pani. Oczy już zmieniły się w dwie czarne, ślepe dziury, a Ponto pracował nad ustami.

Widząc, że Jamsie patrzy na niego, powoli przerwał pracę, zaczepiając paznokciem o jeden z fragmentów mozaiki.

— Nie będziemy już potrzebowali tego śmiecia, prawda? — Uśmiechnął się, pewny siebie. Nozdrza Jamsiego znów poczuli ten zapach. — Nie mogę przecież spędzać nocy w takim towarzystwie, co?

Jamsie wpadł w furję. Piętrząca się w nim od najmłodszych lat odraza — złość na to, że dawał się tak straszyć, rozczarowania związane z „dziwaczną twarzą”, zawód, jaki sprawili mu jego rodzice, pragnienie, by pozbyć się Wujka Ponto i jego natrętnych figli, nieustające osamotnienie — wszystko to teraz wybuchło, zalewając jego umysł falą wstrętu do dalszego zgłębiania życia. Wolę jego sparaliżowała ostateczna decyzja; pojął, że tylko poprzez śmierć zdoła znaleźć wyzwolenie i spokój.

Przez kilka sekund chwiał się na boki, czując dotkliwy ból głowy. Potem ogarnął go straszliwy gniew, który sprawił, że klnąc głośno, niczym furiat, wypadł na schody i popędził do samochodu.

GRZYBIARZ

Ani z dzieciństwem ojca Marka A., ani z jego rodziną, nie wiązało się nic niezwykłego. Mark jest rodowitym nowojorczykiem. Jego ojciec, wciąż jeszcze żyjący, wywodzi się z Maine i osiedlił się w Nowym Jorku po pierwszej wojnie światowej. Matka, niejaka pani Kelly, dziś już nie żyje, a pochodziła z Tennessee. Jej przodkowie przybyli z Irlandii pod koniec osiemnastego wieku. Kształciła się w Kansas City. Swego męża poznała, kiedy przyjechała do mieszkających w Nowym Jorku krewnych. Pracował w dużej firmie parającej się rachunkowością.

Mark był trzecim z pięciorga dzieci. Jego dwaj bracia nadal mieszkają w Nowym Jorku. Jedna z siostr wyszła za szwajcarskiego fabrykanta i mieszka w Zurychu. Druga, misjonarka, w chwili wybuchu drugiej wojny światowej przebywała na Filipinach. Przeżyła pobyt w japońskim obozie koncentracyjnym, ale poważnie podupadła na zdrowiu i zmarła w Manili wkrótce po zakończeniu wojny.

Nikt by nawet nie przypuszczał, że człowiek o tak normalnym rodowodzie, jak Mark, będzie jedyną osobą, która nie tylko uwierzy w problemy Jamsiego, ale nawet zdoła je zrozumieć — i że fakt, iż jego ojciec zajmował się czymś tak prozaicznym jak księgowość, stanie się ogniwem zespalałym cały łańcuch przypadków.

Mark, jako młody człowiek, mający za sobą półtora roku college'u, wstąpił do diecezjalnego seminarium. W siedem lat później, w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku, wraz z ośmioma innymi klerykami otrzymał święcenia kapłańskie. Dziesięć lat spędził jako asystent w różnych parafiach diecezji nowojorskiej. Znano go jako pracowitego kapłana o znacznych osiągnięciach. Był bardziej praktykiem niż mistykiem, skorym do działania, co stało się modne dopiero po kilkudziesięciu latach, człowiekiem, którego trudno było zniechęcić. Ci, którzy go znali, zapamiętali go jako mężczyznę energicznego, niemal żwawego, o jasnobłękitnych oczach, poruszającego się szybko, zawsze mającego na podorędziu odpowiednie słowa, skłonnego do nagłych wybuchów i równie szybko odzyskującego dobry humor.

Mark powiada, że w tamtych, młodzieńczych latach widział życie jako ciąg „scenariuszy”. Każda sytuacja skomponowana była z ludzi i przedmiotów. Tych pierwszych się oceniało, te

drugie poznawało, a potem kreśliło się przebieg akcji, „scenariusz” całej sytuacji. Mark stronił od mętnych koncepcji dotyczących „motywacji” i „rzeczywistości mistycznych”. Wielu rówieśnikom wydawał się człowiekiem dość płytkim i nieprzystępnym. Rzeczywiście, przyznaje dzisiaj, że w latach młodzieńczych okrywał swoje wnętrze grubą powłoką ochronną, której nic nie było w stanie przebić. Nie robiły na nim wrażenia żadne przejawy uczuć, nie poddawał się najbardziej skomplikowanym sytuacjom.

Kiedy miał zostać przeniesiony do swej czwartej parafii, przełożeni zaproponowali mu wybór: przedmieścia albo centrum Manhattanu. Nie wahając się, wybrał pracę w sercu miasta. Przez kolejne dwa lata stykał się z nowymi problemami, totalnie różnymi od tych, z którymi przyszło mu się mierzyć w peryferyjnych parafiach, gdzie dawniej służył.

W owym czasie, na krótko przed drugą wojną światową, Nowy Jork był swego rodzaju Mekką, i to nie tylko dla finansistów i przedsiębiorców. Dzięki swoim dwudziestu jeden tunnelom, dwudziestu mostom, szesnastu promom i sześciu poważniejszym liniom lotniczym, w ciągu dnia przyjmował średnio sto piętnaście tysięcy przyjezdnych. Do tej liczby dodać należy dwieście siedemdziesiąt tysięcy delegatów na pięćset dorocznych zjazdów, jakie odbywały się w tym mieście. Przyjeżdżali koleją, autobusami, samolotami i samochodami, a jak obliczył jeden z ówczesnych statystyków, prześcierał wydawanych w hotelach w ciągu jednej tylko nocy wystarczyłoby do zakrycia ośmiuset czterdziestu akrów Central Park.

Goście zatrzymywali się we wszystkich czterystu sześćdziesięciu hotelach, liczących łącznie sto dwanaście tysięcy pokoi, wartych od dwudziestu pięciu centów za noc, w dzielnicy Bronx, do pięćdziesięciu dolarów, u Ritza. Dzięki pomocy ośmiu uczynnych i cierpliwych młodych dam z Macy's City Information Bureau — albo i bez niej — znajdowali drogę do którejś z dziesięciu tysięcy nowojorskich restauracji, gdzie zaspakajali głód irlandzką baraniną, japońskim sukiyaki, kreolską potrawą ze strąków pizmaka, szwedzkim smorgasbord, buda-peszteńskim salami i kefalińskim afgalimono.

„Nowy Jork, twarde z pozoru, jest jak trzypięciominutowe jajko”, głosiła jedna z notek w *Convention and Visitors Bureau*. Goście szybko odkrywali miękkie sedno tego cudownego miasta. Mark odkrył tam także odór upokorzenia i degrengolady.

Jego parafia znajdowała się w centrum dystryktu turystyczno—hotelarskiego. Obliczył, że pięćdziesiąt do siedemdziesię-

ciu pięciu tysięcy pokojówek, gońców, recepcjonistów, kasjerów, stewardów, kucharzy, kelnerów, kelnerów i pomocy kuchennych pracuje w nietypowych godzinach, i to ponad normę. Ludzie ci szli do łóżek, kiedy w większości kościołów rozpoczynano nabożeństwa. Nierzadko ciągnęli równoległe dwa etaty. W żaden sposób nie mogli wpisać w swe hotelowe życie religii. Ale ten problem zawsze pozostawał w cieniu — a przynajmniej mało kto się nad nim zastanawiał — praktycznie rzecz biorąc, lekceważyły go wszystkie kościoły.

Zdaniem Marka, losem tych opuszczonych ludzi należało się zająć z uwagi na rozliczne zagrożenia, związane głównie ze światem zorganizowanej przestępczości — chodziło tu zwłaszcza o handel narkotykami, prostytutkę i hazard — o który wielu z nich, chcąc nie chcąc, się ocierało. Od prostego naganiania pojedynczych klientów do stałego świadczenia takich usług na rzecz domów publicznych, od zbierania zakładów do organizowania totalizatorów, od przenoszenia narkotyków do handlu nimi i ich dystrybucji — droga zawsze była prosta i zbyt kusząca, by nią nie iść. Nawet śledztwo w sprawie Seabury z tysiąc dziewięćset trzydziestego roku i późniejsze o kilka lat rozbiście syndykatu Luciana przez Thomasa Deweya nie zdołały ukrócić tego łańcucha zbrodni i występów.

Ojciec Marka, dyplomowany księgowy, zajmował się sprawami kilku znaczących hoteli nowojorskich. Kiedy jego syna przeniesiono na Manhattan, przedstawił go kilku swoim przyjaciołom i klientom z tej dzielnicy. Takiego właśnie wejścia potrzebował Mark, by zapoznać się z warunkami panującymi w hotelach i restauracjach i móc często i swobodnie rozmawiać z ich personelem. Jego praktyczny umysł szybko wychwycił specyfikę tego środowiska, a instynkt i doświadczenie podsunęły mu, co należy zrobić, by wyjść naprzeciw duchowym potrzebom tych ludzi.

Po dwóch latach, kiedy zaczęto rozważać przeniesienie go do innej parafii, wiedział już mniej więcej, co pragnie robić.

W sierpniu tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku trafiła mu się taka szansa. Odbył długą rozmowę ze swymi przełożonymi. Zaproponował im, że podejmie się, jako kapelan nadzwyczajny, opieki duchowej nad personelem nowojorskich hoteli i restauracji. Sposób, w jaki to przedstawił, przywołał na myśl ubieganie się o zezwolenie na pracę misyjną pośród dzikich ludów. Analiza sytuacji, jaką przedstawił przełożonym, wywarła na nich duże wrażenie. Nietrudno było ich przekonać. Decyzja zapadła i Mark przeniósł się do pewnego probostwa w śródmie-

ściu. Zwolniono go ze wszystkich posług na rzecz tej parafii. Miała stać się tylko jego bazą wypadową.

Jego własną parafię stanowiły odąd wszystkie hotele na Manhattanie i w Brooklyn Heights. Podzielił ją na sześć sektorów obejmujących najważniejsze placówki. Sektor Grand Central obejmował okolice hoteli Commodore i Biltmore. Centralnym punktem rejonu Penn Station był New Yorker. Times Square stanowił dość zamknięty, łatwy do ogarnięcia obszar. Sektor East Side zdominowany był przez hotel Waldorf Astoria. Ogniskiem rejonu Central Park były dwa przybytki: Plaza i Sherry Netherlands. Sektor Brooklyn Heights obejmował głównie okolice słynącego z dwóch tysięcy sześciuset czterdziestu jeden pokoi hotelu St. George.

Ale działalność Marka nie ograniczała się do hoteli i nie dotyczyła jedynie pierwszej klasy. Odwiedzał restauracje, nocne kluby, tancbudy, knajpy, hoteliki drugiej i trzeciej klasy, a także przybytki nie mieszczące się w żadnych kategoriach. Był niemal stałym gościem w Paradise Cabaret na Broadwayu i w Cotton Club przy 48. Ulicy (gdzie, jak sobie przypomina, Cab Calloway przygrywał do tańca „50 Tall Tan Girls”). Bywał w Casino de Parce Billiego Rose’a, dobrze go znano również w takich tancbudach, jak Onyx, Famous Door i Hickory House.

Nic też dziwnego, że poznał kilku najlepszych nowojorskich kuchmistrzów (i paru najgorszych!). Częściowo dlatego, by dotrzeć do serc i umysłów swoich „parafian”, zainteresował się kuchnią. Pewnego dnia odkrył, że ma do tego dryg i że naprawdę go to pasjonuje.

Miał już wkrótce odkryć jeszcze jeden element tego nowego życia i na zawsze przyjąć go w siebie.

Pewnej nocy Mark otrzymał wezwanie — co było dość typowe dla jego nowego rytmu życia — dzięki któremu po raz pierwszy otarł się o moc, przeciwko której później miał skierować wszystkie swoje siły. Znalazł się przy łóżku młodej prostytutki, którą znaleziono, zakrwawioną i nieprzytomną, na pustej parceli niedaleko Ninth Avenue i 43. Ulicy. Ten właśnie rejon — podobnie jak Sugar Hill w Harlemie, gdzie sprzedawały siebie Mulatki — należał do najtańszych i najbardziej niebezpiecznych rewirów podziemnego świata. Mark bywał tam tylko wtedy, gdy sprawa była naprawdę pilna.

Kiedy wszedł do kiepsko oświetlonego pokoju, w którym leżała dziewczyna, zastał tam jej matkę. Wskazała mu niewielką kozetkę, stojącą w dość ciemnym kącie. Dziewczy-

na jęczała z bólu. W cieniu spowijającym kraniec kozetki Mark dostrzegł zarys jakiegoś mężczyzny w kapeluszu i płaszczu, trzymającego ręce w kieszeniach. Kiedy zbliżał się do rannej, ów mężczyzna podniósł rękę, nakazując mu się zatrzymać. Zrobił to.

— Kto to jest? — zapytał szeptem matkę dziewczyny.

Potrząsnęła głową.

— Nie wiem, ojczy. Czasami ją odwiedzał. Przyszedł przed paroma minutami. Myślałam, że to... — Umilkła, bezradna.

Mark był na tyle blisko kozetki, że mimo półmroku widział oczy dziewczyny. Były otwarte, wpatrzone w mężczyznę w kapeluszu. Odrobina światła, rzucanego przez jedyną w tym pokoju żarówkę, pozwoliła Markowi zobaczyć ich dość szczególny wyraz. Przypomniawszy mu się królik, którym opiekował się, będąc dzieckiem. Któregoś dnia zobaczył, jak ów zwierzak, skulony i rozdygotany, wpatruje się w krążącego wokół klatki kota. Złowrogi blask kocich oczu — świadczący o wyższości, okrucieństwie i wzdardzie, o tajemniczym poczuciu władzy — miał w sobie coś hipnotycznego. W paraliżującym królika lęku było natomiast coś upiornego i patetycznego.

— Nie jesteś jej potrzebny.

Te słowa powiedział mężczyzna stojący przy kozetce. Ani śladu obcego akcentu. Ton był władczy. Nie było w nim wrogości, jedynie ogromna pewność.

Mark starał się wyjąć krucyfiks i buteleczkę wody święconej, z którą się nie rozstawał. Zdecydował nagle, że poprzestanie na pobłogosławieniu dziewczyny. Nie zależało mu na kłopotach. Może nawet nie jest katoliczką,

— Już wystarczy.

Znów ten sam głos, tyle że teraz zabarwiony nutą groźby. Do tych dwóch słów należało dodać trzecie: „inaczej...”.

Mark był zdziwiony. Może tamten nic nie zrozumiał? Odwrócił się i przyjrzał się ciemnej sylwetce. Miał wrażenie, że cofnęła się w mrok.

— Ale ja... — zaczął Mark, próbując coś wyjaśnić.

Ale nie dokończył tego zdania. Cały „scenariusz”, jaki sobie zdążył już napisać, prysnął. Wszystko stało się jasne. Skorupa okrywająca jego wnętrze pękła. Zaczął odbierać to, co kryło się za tym „scenariuszem” — za dziewczyną, mężczyzną w kapeluszu, starą kobietą, obskurnym pokoikiem i ową szczególną atmosferą. Nagle uświadomił sobie jak wiele niewidzialnych, napiętych strun łączy te trzy osoby.

To, co właśnie zrozumiał, sprawiło, że się cofnął, bliski szoku. Czuł, że dziewczyna jest w jakiś sposób podporządkowana temu mężczyźnie. Wiedział, że chodzi tu o coś daleko silniejszego niż zależność pomiędzy prostytutką a sutenerem. Ten człowiek miał ogromną władzę i był w stanie tego dowieść.

Matka dziewczyny dotknęła ramienia Marka. Wyszli z pokoju. Na zewnątrz zamienili ze sobą kilka słów.

— Nie, ojcze — odpowiedziała na jego pytanie. — To nie jest jej alfons. — Popatrzyła na niego, zdesperowana. — Myślałam, że dotrzesz do niej, zamim tanci przyjdą.

— Tamci? — powtórzył Mark, znów bliski szoku. Kobieta pokiwała głową i uważnie mu się przyjrzała. Wykonał taki ruch, jakby chciał wrócić do pokoju.

— Nie. — Zatrzymała go łagodnie, lecz stanowczo. — Nie. Jesteś jeszcze młody. Nie wiesz, z czym się mierzysz. Nie poradzisz sobie z czyns takim. Jeszcze nie. — Odsunęła się od Marka i podeszła do drzwi mieszkania. — Zadbaj o siebie, ojcze. Ona należy już do nich.

Otworzyła drzwi i zaraz je zamknęła, odcinając się od niego, nim zdążył zadać kolejne pytanie.

Nie poradzisz sobie z tym.

Nigdy nie zapomniał słów tamtej kobiety. Trzeba było jednak długich miesięcy i wielu doświadczeń, by zaczął rozumieć, że nie raz już stykał się z przypadkami opętania. Czasami te sytuacje przypominały to, co wydarzyło się w domu konającej dziewczyny; czasami nie.

Pod koniec roku znów udał się do swych przełożonych i powiedział, że chciałby się spotkać z diecezjalnym egzorcystą. Obecnie nie ma żadnego egzorcysty, odpowiedzieli. Oficjalnie, z którym rozmawiał, dodał jeszcze, że jeśli wystąpią jakieś przypadki opętania, powiadomi Marka. Obrócił to w żart, co często jest świadectwem totalnej ignorancji. W końcu, powiedział potem, jeżeli uznać, że podejrzenia Marka są prawdziwe i że przez to wszystko przeszedł, dysponuje on daleko większym doświadczeniem niż inni znani im kapłani.

Mimo iż rozmowa ta mogła wyglądać na żartobliwą, rezultat jej był nader poważny. Mark został oficjalnym egzorcystą w swojej diecezji.

Wyjąwszy krótkie przerwy i wypadki do innych części kraju, a także do Kanady, pracy duszpasterskiej w Nowym Jorku poświęcił dwadzieścia cztery lata. W owym okresie pogłębił znacznie swoją wiedzę i nauczył się radzić sobie z przypadkami

opętania (autentycznymi i urojonymi — zawsze mawiał, że na sto wezwań tylko jedno okazuje się uzasadnione). I, co ważniejsze, uczulił się na cały świat ducha, o którym nie mówiono mu w seminarium i który, jak mu się zdawało, zdominował ciemną stronę życia w jego ukochanym Nowym Jorku.

Nadal robił wrażenie człowieka żwawego i beztraskiego, ale pod tą powłoką kryła się bogata warstwa czujności i przenikliwości. Był też otwarty i czuły na najdrobniejsze przejawy diabelstwa, natomiast wielce sceptycznie traktował wszelkie wzmianki o diabelskich „zalotach”.

Jego znajomi oraz zwierzchnicy dziwili się niezmiernie, że nie szedł w ślady innych egzorcystów. Większość z nich po kilku latach intensywnej pracy podupadała na zdrowiu. Odnosiło się wrażenie, że wymierają: jedni za przyczyną jakiejś choroby, inni przedwcześnie się starzeli, jeszcze inni zdawali się tracić wolę życia.

— Większość z nas pełnie gdzieś na bok i umiera w ciszy — powiedział mi Mark podczas pewnej wieczornej rozmowy. Wiedziałem, że ma rację.

— Czemu nie ty, Mark?

— Widzisz — zaczął nieco żartobliwie — mam wspaniałego kumpla, który mieszka piętro wyżej. Kiedy zaczynam bawić się w egzorcyzmy, schodzi na dół i trzyma mnie za rękę.

Kończąc to zdanie, patrzył gdzieś w przestrzeń ponad moją głowę, a w jego oczach nie było ani śladu wesołości. Były jasne, skoncentrowane na jakimś obiekcie — albo osobie — którego nie umiałem określić.

Jeden ze współpracowników Marka, z którym rozmawiałem, przyjaźnił się z nim w czasach seminarium. Zawsze się sobie zwierzał. Ale to się zmieniło. Powiedział mi, że już kiedyś pojął, iż życie wewnętrzne Marka związało się z jakimś nowym wymiarem, o którym on sam wiedział niewiele i pozostawiał go w sferze domniemań.

Mark, jak mu się wydawało, stał się nagle człowiekiem niezwykle starym i zmęczonym. Świat egzorcysty jest niedostępny dla większości kapłanów, podobnie jak i dla laików. Cena, jaką płaci, jest niepojęta i może przez całe lata uchodzić nawet oczom jego najbliższych.

Ale w owym czasie Mark był jeszcze młody. Większość swych włosów stracił przed ukończeniem trzydziestu pięciu lat, ale taki los spotkał również obu jego braci. Cieszył się doskonałym zdrowiem. Gimnastykował się niemal regularnie i, jak się zdawało, ze swego zajęcia czerpał tylko korzyści. Po pierwszym

spotkaniu ze złym duchem na dwa lub trzy tygodnie zapadł w siebie i pogrążył się w myślach. Potem się z tego wyrwał. Kiedy po raz pierwszy trafił na „kompana” (którego ofiarą stał się sutener, zatrzymany za serię morderstw), był, jak to dzisiaj przyznaje, kompletnie zdezorientowany. „Trudno było wpaść na trop owego zła — wspomina dzisiaj — a koło mnie stało dwóch psychiatrów, którzy dowodzili, że to klasyczny przypadek zwielokrotnionej osobowości”. Pomimo opinii lekarzy (nieco niespójnej, jak sobie przypomina) i swej własnej niepewności, zdecydował się na przeprowadzenie egzorcyzmów, biorąc pod uwagę cztery podstawowe objawy: anomalie fizyczne towarzyszące obecności sutenera oraz jego nie kontrolowane i gwałtowne zachowanie w zetknięciu z krucyfiksem, imieniem „Jezus” i wodą święconą.

Jedynym typem opętania, jaki przysparzał Markowi dziwnych i niezrozumiałych niepokojów, był ten, który nazywał „opętaniem idealnym”. Jego współpracownicy dowiadawali się o takich przypadkach jedynie dzięki temu, że czasem wyczuwali, iż jest niebywale napięty. Niekiedy zadawali mu szereg pytań, podejrzewając, że coś mu się przytrafiło albo mu zagraża — że mogą mu pomóc rozwiązać jakiś problem. Z czasem przekonali się, że to nie tyle zdenerwowanie, co raczej nadmiar czujności i ostrożności także i — co odczuwali wyraźnie — w stosunku do nich. W takich chwilach wydawał się być przesadnie uważny. Zaciskał wargi, świdrował ich wzrokiem i niewiele mówił. Kiedy udawało im się wyciągnąć go z tego stanu i nakłonić, by rzucił trochę światła na stan tych, którzy, jak odkrył, byli idealnie opętani, stykali się z tak negatywną oceną, że to ich bulwersowało. Nie pasowało to do niego.

Na wszystkie pytania, dlaczego ci ludzie nie mogą liczyć na łaskę ani na nadzieję, odpowiadał, próbując przywołać z pamięci swe dawniejsze doświadczenia z idealnie opętanymi. Przeważnie jednak wpatrywał się w nich w tak intensywnym skupieniu, że nie byli w stanie zgłębiać z nim dalej tego tematu.

Mając sześćdziesiąt lat, Mark poprosił o roczny urlop. Zdrowie nadal mu dopisywało, ale czuł, że coś się w nim zmienia. Lata niesmaku i niedomówień spiętrzyły się w jego wnętrzu, tworząc stos, którego nawet on nie mógł zignorować.

Zdecydował, że na jakiś czas osiadzie w San Francisco, gdzie miał wielu przyjaciół i znajomych. Przeniósł się tam w kwietniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. W parafii, w której zamieszkał, niewiele miał do roboty, toteż większość czasu spędzał w plenerze.

Jednakże jego współczucie i zainteresowania zawodowe odżyły, kiedy jedna z jego znajomych, Lila Wood, opowiedziała mu szczegółowo o niejakiem Jamsiem Z., swym nowym koledze z pracy, którego, jak jej się zdawało, nękały poważne problemy, sprawiające, że wszyscy go, mniej lub bardziej taktownie, omiatali.

Mark zadawał Lili wiele pytań i w końcu uzyskał w miarę dokładny obraz dziwnego zachowania Jamsiego. Mimo iż był to opis niejako „z drugiej ręki”, nabrał przekonania, że może chodzić tu o próbę „oswojenia”.

Podczas pierwszej, dłuższej rozmowy z Jamsiem najbardziej przysięgło Marka to, że ów człowiek — jeżeli wykluczyć cud lub egzorcyzmy — był na najlepszej drodze do całkowitego podporządkowania się natarczywemu „kompanowi” albo do najprostszej formy uwolnienia się raz na zawsze od tej udręki, czyli do samobójstwa. Mark znał te symptomy. Co więcej, przez lata praktyki nauczył się wyczuwać, kiedy „oswojenie” dochodzi do punktu krytycznego. To była sprawa instynktu, podobnie jak fakt, że malarze wyczuwają właściwe barwy, odcienie i światłocienie. Tego nie sposób się nauczyć, można jedynie nabyć drogą doświadczeń.

Osoba nękana takimi zalotami, znajdując się w krytycznym stadium owego procesu, tuż przed ostatecznym rozstrzygnięciem, zazwyczaj dostrzega niewyraźne zarysy jakiejś potężniejszej postaci czy też siły, przypominające nadmiernie duży cień rzucany przez „kompana”, ewentualnie podążający jego śladem.

Po tym, co Jamsie Z. przeżył nad jeziorem, Mark był już pewien kilku faktów: Ponto był niewątpliwie postacią rzeczywistą; on sam zaś popełniłby niewybaczalny błąd, lekceważąc niesamowite i częstokroć niewiarygodne relacje Jamsiego albo wiążąc wszystkie jego wybuchy i groteskowe reakcje z domniemaną chorobą psychiczną; a co najgorsze, Jamsie znajdował się już w punkcie krytycznym.

Uwolnienie Jamsiego Z. od Wujka Ponto nie obfitowało w tak gwałtowne i obsceniczne momenty, jak większość innych typów i indywidualnych przypadków opętania. Walka rozgrywała się na innym poziomie, uczestniczył w niej inny rodzaj ducha, nie bez znaczenia było też to, iż stanowiła kulminację procesu obejmującego niemal całe życie ofiary.

Mark nauczył się już tego, że poziom inteligencji i wiedzy „kompanów” jest zazwyczaj dość niski, niekiedy porównywalny z poziomem tych cech u dzieci niedorozwiniętych. „Kompani”,

jak się zdaje, dysponują bardzo ograniczonym zakresem wiedzy i znikomą umiejętnością przewidywania faktów. Zdają się być podporządkowani ścisłym regułom i skrajnie uzależnieni od „wyższej” inteligencji, o której często wspominają — podobnie jak Ponto, który odwoływał się do niej, ilekroć następował jakiś kryzys.

Można więc rzec, iż „kompan” sprawia wrażenie niewyraźnego odbicia jakiejś większej siły. Tak bardzo jest jej podporządkowany, że nigdy nie atakuje bezpośrednio egzorcysty.

Ta właśnie cecha „przyjaznego” ducha szczególnie utrudniała pracę Markowi. Miał on wszak do czynienia z pośrednikiem, z zastępcą. Tylko Jamsie słyszał i widział Wujka Ponto, a potem przekazywał to dalej. Ponto wprawdzie mógł obserwować i słuchać Marka, ale do starcia ze złym duchem dochodziło tylko wtedy, gdy kontrolę nad nim przejmował jego „zwierzchnik”.

W przypadku Jamsiego Z., uznał, należało położyć nacisk na rozwinięcie dwóch punktów: samego procesu opętania i nadzwyczaj złożonych relacji, związanych z takim typem zawłaszczenia — pomiędzy Wujkiem Ponto — „kompanem”, a Jamsiem — „opętany”, ale i pomiędzy Jamsiem i Wujkiem Ponto a „zwierzchnikiem” tego ostatniego.

Dawniejsze doświadczenia z „oswojeniami” nauczyły Marka, że podczas egzorcyzmów, z „kompanami” należy postępować inaczej niż z innymi typami złych duchów. Opętani przez inne duchy czują się totalnie zniewoleni. Uratować ich może jedynie przyływ łaski przywołanej przez działania egzorcysty. Ofiara „kompana” zaś jest tylko pozornie opętana, chyba że zgodzi się na jego uczestnictwo w swoim życiu i „podzieli” z nim siebie. Nawet wtedy wydaje się, że nie traci panowania nad sobą w stopniu uniemożliwiającym kontakt z egzorcystą i jego zamiarami, tak jak to bywa w sytuacjach, gdy zły duch „ukrywa się” za swoją ofiarą i odpowiada *w jej imieniu*. W przypadku „oswojenia” wygląda na to, że „zwierzchnik” „kryje się” za „kompanem”.

Ofiara „oswojenia”, jako względnie swobodna i pozostająca w kontakcie z egzorcystą, musi *aktywnie* uczestniczyć w egzorcyzmach. Tylko sobie zawdzięczać będzie wyzwolenie, o ile wcześniej przyjmie Bożą pomoc i szansę na zbawienie. Rzecz można, że to człowiek poddany egzorcyzmom umożliwia egzorcystę doprowadzenie sprawy do szczęśliwego końca.

Mark dość dużo czasu spędził z Jamsiem, tłumacząc mu, na czym polega specyfika czekających go egzorcyzmów. Jamsie, podobnie jak wielu innych, nie zastanawiał się nigdy nad swoją wolnością. Wolna wola była dla niego jedynie pustym, abstrakcyjnym terminem. Wiele zachodu kosztowało Marka wpojenie Jamsiemu, że będzie musiał dokonać wyboru. Do wieść, że jego wola jest wolna. Do Marka należało jedynie wskazanie mu, kiedy ma się zdobyć na tak ogromny wysiłek. Tylko z jego pozycji można było precyzyjnie określić ów moment.

Specyfika tych egzorcyzmów wiązała się też z działaniami Wujka Ponto, równie złośliwymi jak figle, którymi zdręczał Jamsiego Z. Rozpoczynali je dopiero po zmroku. Nie zawsze mogli przystąpić do dzieła, ledwie zaszło słońce; bywało, że Ponto nie reagował albo pojawiał się po jakimś czasie. Nie byli też w stanie kontynuować egzorcyzmów za dnia. Mark nie uważał tego za charakterystyczne dla tego typu opętania — widział w tym jedynie przejaw złośliwości Wujka i jego „zwierzchnika”. Noce napawały Jamsiego grozą, od której uwalniał się dopiero w dzień. To dawało Wujkowi Ponto i „zwierzchnikowi” pewną przewagę.

Z drugiej strony, Mark miał za dnia dostatecznie wiele czasu, by konsultować się z psychiatrą, który niegdyś zajmował się Jamsiem. Nakłonił też tego ostatniego, by poddał się gruntownemu zbadaniu przez lekarza, którego sam wybrał.

Psychiatra twierdził niezmiennie, że Jamsie nie jest paranoikiem ani schizofrenikiem. Podczas egzorcyzmów Mark przekonał się, że Wujek Ponto, którego Jamsie bezsprzecznie widział i słyszał, informował go o faktach, o których istnieniu tamten nie wiedział, a nawet nie miał pojęcia.

Wszystkie sesje egzorcyzmów odbyły się w podziemiach probostwa, co zupełnie wykluczało możliwość jakiegokolwiek ingerencji z zewnątrz. Wyjąwszy ostatnią fazę egzorcyzmów, Jamsie siedział na kuchennym krześle, przy stole. Pomocników było czterech: młody ksiądz, zwerbowany przez Marka, dwóch jego kolegów, pracujących w firmie prawniczej, a także miejscowy lekarz, którego diagnozy Mark uważał za całkowicie wiarygodne.

Egzorcyzmy trwały pięć nocy.

Mark każdą sesję zaczynał od *Salve Regina*, modlitwy do Najświętszej Panienki, a kończył modlitwą do Jezusa, *Anima Christi*. Dopiero podczas dwóch ostatnich sesji coś, co przema-

wiało przez Jamsiego, zaczęło gwałtownie protestować przeciwko tym modłom.

Trzy pierwsze sesje pełne były absurdalnych monologów Wujka Ponto (przekazywanych, rzecz jasna, przez Jamsiego). Mark grał na czas, przekonany, że może sobie pozwolić na czekanie. Wiedział, że Wujek Ponto, prędzej czy później, ugnie się, zmuszając do interwencji swego „zwierzchnika”.

A oto, co wydarzyło się podczas czwartej sesji.

WUJEK PONTO

Była czwarta piętnaście, za godzinę miało wzejść słońce. Mark zaczął tę sesję tuż po północy. Przez cztery godziny bombardował Wujka Ponto pytaniami, tamten zaś wykręcał się od odpowiedzi, plotąc coś trzy po trzy.

I nagle, pod koniec sesji, Mark zauważył, że Jamsie siada prosto i spogląda w bok. Wiedział, co to znaczy: Jamsie zobaczył kogoś więcej niż tylko Wujka. To było pierwsze potknięcie, pierwsza oznaka słabości tamtego, pierwszy sygnał, że „zwierzchnik” przychodzi mu w sukurs. Może więc to bombardowanie pytaniami nie było tak bezcelowe?

Mark błyskawicznie wrócił myślą do swych ostatnich wypowiedzi i indagacji. Miał wrażenie, że tylko jedna z nich mogła przywołać owego „zwierzchnika”. Odpowiadając na nonsensowne uwagi Wujka Ponto, powiedział z wyraźnym niesmakiem:

— Oto dotarliśmy do kresu twojej inteligencji. Zabrakło ci środków obrony i możliwości wyjaśnienia, dlaczego próbujesz „oswoić” tę człowieczą duszę. Powtarzasz się. W porównaniu z mocą imienia Jezusa jesteś niczym, a nawet mniej niż niczym. Mocą Jego imienia nakazuję ci: opuść tego człowieka i wróć do tego, który cię posłał. I ty, i on zostaliście pokonani przez Jezusa.

— Ojczy, to Cień.

Jamsie patrzył w przestrzeń, niemal sparaliżowany. Mark przez moment widział w jego oczach coś ze spojrzenia tamtej nieszczęsnej, młodej prostytutki, która trzydzieści lat wcześniej wpatrywała się w stojącego przy łóżku mężczyznę.

Mimo to mówił dalej:

— Ty i wszyscy z tobą związani, jesteście zdani na łaskę Jezusa. Jamsie jest pod ochroną. Nie masz potężniejszego opiekuna, nikogo, kto naprawi twoje głupie błędy.

Zerknął na Jamsiego.

— Co jest, Jamsie? Powiedz mi! Szybko!

Obawiał się, że strach — lub władza, jaką ma nad nim Wujek Ponto — odbierze Jamsiemu głos albo że, jak to się zdarzało w podobnych przypadkach, opętany straci przytomność, zanim zdola podsunąć mu jakiś trop.

— Gada bzdury, ojczy — powiedział z wysiłkiem Jamsie.

Raz po raz łapał powietrze, jakby miał trudności z oddychaniem. Potem zaczął się kulić, zwiąć w kłębek. Ręce powędrowały ku szyi, jakby chciał wesprzeć nimi głowę. Poczzerwieniał. Lekarz popatrzył na Marka, ale nie ruszył się z miejsca. Dwaj młodzi pomocnicy drgnęli niespokojnie, gotowi rzucić się ku Jamsiemu, żeby mu pomóc. Mark uspokoił ich gestem, po czym podjął przerwany wątek.

— Uważamy, że lepiej byłoby, gdyby Jamsie umarł z błogosławieństwem naszego Kościoła, niż gdyby żył dalej w takim stanie.

— Nie! Nie! — Jamsie znów powtarzał Markowi słowa Wujka, ale przychodziło mu to coraz trudniej. — Nie mogę zawieść. Muszę mieć swój dom. Nie pozwolą tej Osobie...

Urwał i zaczął się krztusić.

Mark nie ustępował.

— Uważamy, że Jezus, Pan Wszechrzeczy, przychodzi cię wygnać, żałosna i brudna istota — wygnać i odesłać, bezbronną i głupią, tam, skąd przybyłaś. Jezusowi nie sposób się przeciwstawić.

Mark umilkł. Oczy Jamsiego były zamknięte. Ręce bezradnie opadły na boki. Powoli zsuwał się z krzesła na podłogę.

— Szybko! Połóżcie go na kozetce — polecił pomocnikom Mark.

Jamsie, osuwając się na podłogę, utknął pomiędzy krzesłem a stołem. Dłonie, zaciśnięte w pięści, przywierały do szyi, głowa spoczęła na piersi, barki opadły w dół, nogi ugięły się w kolanach, palce stóp były rozchylone i sztywne. Całe ciało, powykęcane pod najdziwniejszymi kątami, wydawało się składać z przeróżnych, przypadkowo dobranych krzywizn. Pomocnicy i Mark myśleli początkowo, że Jamsie utknął pomiędzy krzesłem a stołem. Po chwili bezskutecznych wysiłków i bliższym zbadaniu sprawy odkryli jednak, że nie są w stanie przesunąć jego ciała. Zrobiło się zbyt ciężkie. Odsunęli więc krzesło i stolik. Jamsie zwałił się bezwładnie na podłogę, jakby przyciągał go jakiś niewidzialny magnes. Oczy miał przez cały czas otwarte i niewidzące.

Pomocnicy spojrzeli na Marka, spoceni i bezradni.

Podniósł krucyfiks i powiedział głośno:

— Wydaję ci rozkaz, Ponto. Rozkazuję ci, w imię Jezusa. Opuść to Boże stworzenie. Przestań przykuwać je do ziemi. Rozkazuję ci, odejść!

Ciało Jamsiego nagle uwolniło się od napięcia. Głowa opadła na bok, oczy uciekły gdzieś w górę i widać było tylko białka, palce rozprostowały się, a ręce bezwładnie zsunęły się na podłogę.

Pomocnicy podnieśli go szybko i położyli na kozetce.

— Przywiążcie go — polecił Mark. Potem zwrócił się do lekarza: — Obejrzyj go, Tom. Upewnij się, że wszystko gra.

Lekarz sprawdził Jamsiemu tętno i spojrzał z niepokojem na kapłana.

— Powoli, Mark. Kiepsko z nim. Jak kiepsko, mógłbym powiedzieć dopiero po gruntownym badaniu. Powoli, Mark.

Kapłan skinął głową. Wiedział, że już niedługo przełamie opór Wujka Ponto. Dał pomocnikom znak, by się cofnęli. Wziął od młodego księdza buteleczkę z wodą święconą i podniósł rękę, odwracając się do leżącego na kozetce Jamsiego.

Trzykrotnie skropił go wodą, ważąc każdy gest — zupełnie jakby ciskał granaty. Za każdym razem powtarzał szybko ciąg najboleśniejszych obelg, jakie mu przyszły do głowy. Kierował je do „zwierzchnika”.

— Nędzny Tchórz. Parszywy Zdrajco. Upokorzony Buntowniku. Wyjdź zza pleców swojego żalosego *pośrednika*, swojego totumfackiego. Wyjdź. I po raz kolejny doznaj upokorzenia. Po raz kolejny pokona cię Jezus. Wtrąci cię w Otchłań.

Pomocnicy zauważyli, że Mark kompletnie się zmienił. Do tego momentu mówił cicho, ostrożnie, zastanawiając się nad każdym słowem i wyrażeniem. Wydało im się, że jest o stopę wyższy, a jednocześnie jakby sprężony. Rysy mu steżały. Mówiąc, ledwie otwierał usta, a w jego głosie, co zarejestrowano na taśmie, pojawiła się niespodziewanie nuta agresji, podsycanej przez nienawiść i wzdarcie.

Odpowiedzią na jego słowa był przeciągły i bardzo słaby jęk Jamsiego. Stopniowo wzmagał się i nabierał tempa, przechodząc w wysoki pisk, wzbogacony o głęboki pogłos. Ciało Jamsiego, mimo krępujących je skórzanych pasów, dygotało i wibrowało.

— A może jesteś też *pośrednikiem* Jezusa? — ciągnął Mark tym samym, morderczym tonem. — Piewcą jego triumfu?

Zdrajco i Ojczye Łgarstw, szafarzu próżnych zwycięstw? Ciebie także zdruzgotał...

Nie posunął się dalej. Drwiny spełniły swą rolę. Wszyscy w pokoju słyszeli, że z otwartych ust Jamsiego wydobywają się ciche, lecz wyraźne słowa, jakby wypychane z jakiejś wypełnionej kwasem gardzieli, szlifowane przez znający jedynie pogardę język i wbijające się w ich uszy, niczym niespieszne i precyzyjne strzałki skażone szyderstwem. Wyraźnie czuli tę pogardę. I bali się jej.

— Bryłko błota. Szczenie pieprzących się zwierzaków. Gadająca bestia. Modląca się jednym końcem i wydalająca drugim. Uzależniona od łaski. Błagająca o przebaczenie...

Ta wzdarcie paliła niczym kwas.

— ...cuchnąca jak kupa łajna. Zmieniająca się w przegniłego truposza. Milcz! Wycofaj się! Zostaw to zwierzę nam, Najwspania—a—a—a—al...

Ostatnia sylaba wydłużyła się, przechodząc w coś na kształt rozpaczliwego zawodzenia. Mark wychwycił ten ton i zdecydował się na jedyne wyjście: zaatakował.

— Określ się, w imię Jezusa!

Długa pauza. Twarz Jamsiego była napięta, bezkrwista. Młodszy kapłan miał już coś powiedzieć, kiedy znów rozległ się tamten głos.

— Nigdy nie ugięliśmy się przed żadną władzą. I nigdy tego nie zrobimy...

— W takim razie rozpoczniemy egzorcyzmy, przeklniemy was wszystkich i wygnamy, w imię...

— Nie—e—e—e!

Znów to przeciągłe wycie. Zniknęła gdzieś nuta wzdarcia. Mieli teraz do czynienia z usilną prośbą, tak jakby tamten wpadał w popłoch.

Mark pojął, że rozbil szyki przeciwnika, i natychmiast rzucił się w tę lukę.

— Twoje imię! — rozkazał, zanim ucichło to przeciągłe „nie”.

— Imiona są dla...

— Twoje imię! W oparciu o moc Kościoła Jezusowego żądam, byś podał swe imię!

Mimo iż Mark nie krzyczał, jego głos zdawał się wypełniać wszystkie zakamarki pokoju.

— My... — I ponownie to samo wycie, tym razem jednak połączone z głuchym pomrukiem. — My wszyscy wywodzimy się z Królestwa. Żaden człowiek nie pozna tego imienia. My

wszyscyyyyy... — Ostatnia głoska powracała coraz to nowym echem, aż w końcu wybrzmiała.

— Jak zatem mamy was nazywać? — Mark nie ustępował.
— W imię Jezusa, na jakie miano odpowiecie? W imię Jezusa, na jakie miano odpowiecie?

— Jestem Multus. Jestem Magus. Ogromny—ogromniejszy—najogromniejszy. Po siedemdziesięciokroć. Siedemdziesiąt siedem Legionów. My wszyscy...

— Multus? Czy na to miano odpowiecie, w imię...?

Jamsie nie pozwolił mu dokończyć pytania. Nagle się ocknął, oczy miał szeroko otwarte i przekrwione, napierał na pasy, wierząc nogami.

— Usiądźcie mu na nogach — polecił Mark. Dwaj pomocnicy posłuchali go.

— WUJKU PONTO! WUJKU PONTO! — krzyczał z całych sił Jamsie, tak rozpaczliwie, że aż ich to zmroziło. — WUJKU PONTO! NIE ODCHODŹ. CO ZE MNĄ ZROBIA, JEŻELI ODEJDZIESZ? WUJKU PONTO! WUJKU PONTO!

Mark cofnął się, by szybko zebrać myśli.

Jamsie wyrzucał z siebie nieskładne słowa. Potem zniżył głos, jakby wyczerpał go ten wysiłek.

— Tak... myślałem, że czyhałeś na moją... proszę, nie... nie rób tego i... w nocy... w radio z Jayem Beedemem...

Mark nadal się zastanawiał. Odwrócił się. Pomocnicy zauważyli, że zamknął się w sobie. Na kilka sekund przeniósł się gdzieś indziej, totalnie się wyłączył. I nagle zaatakował, podnosząc ze złością głos, każde słowo zamieniając w uderzenie bicia.

— Multusie! Multusie! Odpowiedz nam, w imię Jezusa. Odpowiedz! Odpowiedz! Odsyłając Wujka Ponto! Odpowiedz!

Odczekał chwilę, po czym powtórzył ten rozkaz.

— Odpowiedz! Odsyłając Wujka Ponto! Odpowiedz!

Oczy Jamsiego zaszyły mgłą, głowa odchyliła się w tył, ciało zwiotczało. Mark otrzymał odpowiedź, na którą liczył. Już wiedział: istnienie Wujka przestało mieć sens i teraz miał do czynienia z samym „zwierzchnikiem”. Zamierzał więc wyciągnąć od tamtego tyle informacji, ile tylko się uda, a zwłaszcza dowiedzieć się jak najczęściej na temat schematu tej próby opętania i, dzięki temu, otworzyć sobie drogę do skutecznego wygnania tego ducha. Multus, jak wszystkie złe duchy, nie zniósłby światła prawdy.

Lekarz otworzył jedno z oczu Jamsiego, sprawdził mu puls i powoli skinął głową, ostrzegając Marka.

Egzorcysta puścił serię pytań.

— Kiedy zaczęliście pracować nad Jamsiem?

— Wybrano go, zanim się urodził.

— Kiedy się dowiedział, że na niego czyhacie?

— O wiele wcześniej, niż pojął, że to wie.

— Jak zyskaliście dostęp do niego?

— Chciał tego. Tych, którzy mogli nauczyć go innej drogi, zwerbowaaliśmy. Ale on sam nas wybrał. Tylko jeden się nam przeciwstawił.

— Kto?

— Nie znałeś go.

— Kto?

— Ojciec jego ojca. Taką rolę wyznaczył mu...

Dalsze słowa utonęły w smętnym zawodzeniu.

— Kto wyznaczył? — Mark nie zamierzał ustąpić. Nie oczekiwał się odpowiedzi.

— Kto wyznaczył? — powtórzył, po czym dodał: — A może ja mam powiedzieć, kto?

— Osoba, której nie dostrzegamy. Ten, który rości sobie prawo do powszechnej adoracji. Ten, który nigdy nie zasłużył i nie zasłuży na nasze uwielbienie...

— Czy to wy sprawiliście, że Jamsie widywał „dziwaczną twarz”?

— Nie. Jego opiekun. My nie próbowalibyśmy go straszyć. Jesteśmy tak mocni, że nie musimy się do tego uciekać. To jego opiekun próbował go ostrzec.

Ton uległ zmianie. Wszczyła się weń nowa nuta agresji. Mark wyczuł to i zbłądł. Posunął się za daleko. Zgrzytliwy głos nie dawał mu spokoju. Wyglądało na to, że mówiący dostrzegł jego niepewność. Zasypał go gradem zjadliwych pytań, przywołujących obrazy, którym umysł nie umiał sprostać.

— Sądysz, że nam uciekłeś, Grzybiarzu? Sądysz, że żadna z tamtych wszawych dziwek nie odmieniła ciebie? Ile razy miałeś na nie ochotę? Pamiętasz dom w Harlemlu i tamtą siedemnastolatkę? Pamiętasz, jak podsuwała ci swojego boberka, a ty wpatrywałeś się w połyskliwe, czarne włosy i śniade uda? Pamiętasz, jak ci stanął? Ha! Ha! Kapłanie! Pieprzony kapłanie! Mały, rozpalony palancie! Ha! Ha! Twoje modlitwy nie miały wtedy żadnej mocy. Podobnie jak twoja Panienska o śnieżnobiałym liczku. A pamiętasz, jak oplatałeś go różańcem i ściągałeś w dół? Pamiętasz! Pamiętasz? Pamiętasz swe wilgotne sny? My tak. Dobrze pamiętamy. I ty także! Nie sądzisz, że częśćka ciebie już do nas należy? Kaplaaaaaanie!

Mark przegrał ten pojedynek. Zatoczył się w tył. I wtedy zobaczył Jamsiego: otwarte oczy i usta rozchylone w szerokim, odsłaniającym wszystkie zęby uśmiechu. Opętany słuchał uważnie i śmiał się. Mark odebrał ten sygnał. Ponto i jego „zwierzchnik” wycofywali się.

Młodszy kapłan klepnął Marka w ramię i wskazał na okno. Z zewnątrz wdzierały się cienkie promyki słońca. Zaczynał się kolejny jasny i gorący dzień.

Mark westchnął ciężko. Jeszcze pół godziny, pomyślał, i przygwoździłby „zwierzchnika”.

— Dobra. Odłożmy sprawę do wieczora — powiedział, przywołując coś z dawnej nonszalancji. — Spotykamy się dokładnie o dziesiątej. Odpocznijcie trochę. Dziś będzie ta noc.

Zakończyli tę sesję tak samo, jak poprzednie. Mark odmówił *Anima Christi*. Potem poszedł na górę i odprawił mszę. Czterej pomocnicy czuwali kolejno nad Jamsiem. Ten zaś ocknął się w godzinę później, nie pamiętając żadnego ze zdarzeń, jakie miały miejsce tej nocy.

Myśląc o ostatniej nocy egzorcyzmów, Mark opracował pewien plan, mający przyspieszyć tok wydarzeń, gdyby okazało się, że Ponto opóźnia swe przybycie. Kapłan miał w rękawie bardzo mocną kartę. Zagranie nią wiązało się jednak z ryzykiem: to, co zamierzał zrobić, było niebezpieczne zarówno dla niego, jak i dla Jamsiego.

Ale drugi wariant również nie zapowiadał nic dobrego. Wola Jamsiego — pragnienie poddania się egzorcyzmom, przeciwstawienia się złej sile, *przetrwania* — słabła. W każdej chwili mógł się kompletnie załamać. Mógł zapaść w sen zapowiadający rychłą śmierć — Mark znał takie przypadki — albo ocknąć się w stanie totalnego szoku. Tak czy inaczej, byłby niedostępny. Mark wiecznie zadreślałby się pytaniami o jego los. Nie wiedziałby, czy Jamsie dołączył do szeregów idealnie opętanych, odpornych na wszelkie formy terapii, bez szans na zbawienie, spętanych, sparaliżowanych, uwięzionych przez złą siłę, której się całkowicie podporządkowali. Jamsie mógłby też wpaść w obłęd, zgodnie z wszelkimi kanonami psychiatrii. Nie byłoby wiadomo, na ile odbiera otaczający go świat, czy potrafi jeszcze się modlić i przestrzegać zasad wiary, korzystając z Bożej łaski na drodze do ostatecznego zbawienia.

Mark z całego serca pragnął oszczędzić Jamsiemu Z. tak groźnego i niepewnego losu.

Atut, którym kapłan dysponował, wiązał się z faktem, na który natrafił podczas rutynowego badania rodowodu Jamsiego i jego środowiska.

Jamsiego ochrzczono w domu, nad zlewem kuchennym. Stan, w jakim przyszedł na świat, pozostawiał wiele do życzenia. Lekarz, który go odebrał, był poważnie zaniepokojony, a babka, nadzwyczaj pobożna Ormianka, sama go ochrzciła, obawiając się, że kapłan przybędzie zbyt późno. To, czego dowiedział się Mark, stawiało pod znakiem zapytania wagę owego chrztu.

Babka Jamsiego słabo znała angielski i na pewno obca jej była właściwa formuła. To ona skropiła wodą głowę dziecka. Wszystko jednak wskazywało na to, że odpowiednie słowa wypowiedziała irlandzka akuszerka, która pomagała Lydii, matce chłopca, przy porodzie.

Jeśli tak było w istocie, chrzest należało uznać za nieważny. Formułę musi wypowiedzieć ta osoba, która chrzci dziecko. Jeśli zdarzy się inaczej, nie można uznać obrzędu za ważny. Dziecko nie jest ochrzczone, nie zostało przyjęte w szeregi chrześcijan.

Jakby nie dość jeszcze było tych wątpliwości, ksiądz, który w końcu zjawił się na miejscu, nie zadał sobie nawet tyle trudu, by udzielić dziecku prowizorycznego chrztu, mimo iż jest to przyjęte w takich sytuacjach. Cokolwiek spowodowało taki stan rzeczy, należało uznać, że tego nie dopełniono.

Mark zaproponował więc, że ochrzci Jamsiego. Instykt egzorcysty podszeptał mu, że „odrzućcie” złego ducha przez dorosłego, który przyjmuje chrzest, jest czymś, czemu nie sprostają zwyczajny „kompan”. „Zwierzchnik” będzie musiał obrać nową taktykę, by obronić zarówno swoją pozycję, jak i swoje „podwładnego”.

Markowi chodziło właśnie o to, by uderzyć w tę szczególną więź, łączącą oba duchy. Gdyby mu się powiodło, mógłby przystąpić do bezpośredniego starcia: wyciągnąłby „zwierzchnika” na otwartą przestrzeń — i to nie na moment, jak podczas wcześniejszych sesji, ale na stałe, jako „stronę” w owym pojedyńku. A wówczas mógłby przyjąć taki kurs, jak w przypadku „normalnych” egzorcyzmów.

Zaczekał, mimo wszystko, godzinę, chcąc się przekonać, czy Ponto się zjawi, po czym polecił Jamsiemu położyć się na kozetce tak, by pomocnicy mogli zabezpieczyć go pasami. Kiedy przystąpił do udzielania chrztu, Jamsie, jako dorosły czło-

wiek przyjmujący ten sakrament, miał odpowiedzieć na szereg pytań i złożyć wyznanie wiary.

Przez jakiś czas nic nie zakłócało ceremonii, aż nagle Jamsie w połowie zdania przerwał swą wypowiedź. Głos mu się zmienił.

— Wraca — uprzedził szybko Marka. — Jest w okropnym stanie.

Najwyraźniej Wujek Ponto przypomniał sobie o Jamsiem. Wyglądało na to, że plan Marka poskutkowało. On sam i jego pomocnicy słuchali teraz uważnie jednego z uczestników dziwacznej rozmowy (Jamsiego) i próbowali odgadnąć, co mówi tamten drugi (Wujek Ponto).

— W życiu ciebie nie przyjmę. — Jamsie wpatrywał się w drzwi. Przez kilka sekund milczał. Potem znów się odezwał, rozdrażniony. — To, co dzieje się na Jowiszu, i to, co mógłbym zrobić z taką furą pieniędzy — z milionem dolarów — to wszystko brednie. Chcę zostać w...

Popatrzył na sufit, na okno i znów na drzwi.

— To nic nie da... — Zaczerwienił się ze złości. — Ale dlaczego miałbym bać się śmierci? Inni też przez to przeszli.

Mark i jego asystenci nadal słuchali go w milczeniu. Ponto zdecydowanie był w kiepskiej formie.

Jamsie znów mu przerwał.

— Mark mówi, że Jezus uważa cię za cholernego kłamcę i... — Zaniepokojony, spojrzął w kąt i skrzywił się. — Będę mówił, do cholery, to, co mi się podoba, posłuchaj więc...

Wszystko urwało się nagle i niespodziewanie. Oczy wyszły mu na wierzch, białka pojaśniały. Twarz niemal się zapadła, utraciła wiele ze swej siły. Wtulił się w kozetkę, zamknął się w sobie.

Mark natychmiast znalazł się u boku Jamsiego i wsunął palce w jego dłoń. Uzgodnili to wcześniej. Jamsie zdążył jeszcze lekko zacisnąć dłoń, po czym rozpląkał się.

— To nie ma sensu. — Puścił palce kapłana. — To nie ma sensu. Załatwili mnie. On wrócił. Oni wszyscy wrócili.

Mark podniósł krucyfiks i natychmiast przystąpił do dzieła. Kiedy to robił, Jamsie, rzecz można, niespodziewanie zapadł w sen; opadła mu dolna szczeka, na brodzie pojawiła się strużka śliny.

— Multusie!

— Grzybiarzu!

Te słowa były gładkie niczym aksamit, a zarazem lodowate.

— Multusie! Odpowiedz nam. Czy to na pewno ty, a nie ktoś inny?

— Grzybiarzu, ty niedorzeczny karzełku. I tak już nosisz nasze znamię. Te czary mary nie uchronią ani ciebie, ani jego, skoro już należycie...

— Multusie! Odpowiedz nam! — Mark zapędził ducha tam, gdzie chciał. — „Kompanem” Jamsiego jest Ponto. Dlaczego więc mówisz, że on należy do ciebie? I co to za „my”?

— Wy cuchnące stwory, chodzące w ciałach z mułu, błota i szlamu. Powiedzielibyście: jeden, dwa, trzy, czterysta, siedem milionów, trylion. Ha! Ha—Ha!

— Multusie! Czy Wujek Ponto jest tobą? Czy jesteś Wujkiem Ponto?

— Jesteśmy duchami. Nie ma jednego, dwóch, trzech, czterystu, siedmiu milionów i tryliona. Są rodzaje i gatunki. Jesteśmy duchami! Mocami. Dominantami. Ośrodkami. Umysłami. Wolą. Siłami. Pożądaniem.

— Odpowiedz, w imię Kościoła. Odpowiedz, przez wzgląd na władzę Jezusa. Czy ty jesteś Wujkiem Ponto?

— Tak! Ha! Ha! Nie! Ha! Ha! — Ten śmiech ścinał krew w żyłach. Nie było w nim nic, poza pogardą, żadnej radości, żadnego rozbawienia. — Ponto to my bez inteligencji Pretendenta.

W tych słowach kryła się pułapka. Mark wiedział jednak, że nie należy pytać o Pretendenta. Pretendent, Mistrz, Książę, Wódz — wszystko sprowadzało się do jednej istoty, do uosobienia zła, które wiodło i wiedzie intelekty do walki z Bożą prawdą. Mark nigdy nie palił się do bezpośredniego starcia z tą osobistością. Był świadom własnych ograniczeń i nigdy nie posunął się tak daleko.

Wolał czym prędzej rozwikłać tajemnicę powiązań łączących Wujka Ponto z Cieniem.

— Ale Ponto korzysta z zasobów swej inteligencji i robi to na własny użytek.

— Nigdy.

To stwierdzenie było tak kategoryczne, że niemal ich to ogłuszyło.

— Inteligencja Wujka Ponto jest więc podległa twojej?

— Zawsze.

Ponownie piorunujący cios. Zdecydowany. Krótki.

— A jego wola?

— Ci, którzy zaakceptowali i akceptują Pretendenta, posłuszni są jego woli. Tylko jego woli. Tylko *tamtej* woli. Woli Królestwa. Woli jego woli jego woli jego woli jego woli... —

Kategoryczny, powściągliwy ton przeszedł w cichy, niemal płaczliwy szepc i w końcu zamarł. Mark wyczuł w nim coś z lęku.

Młodszy ksiądz również uchwycił tę nutę i, gotów krzyknąć z radości, wychylił się do przodu.

— Dolożyłeś im, Mark!

Mark spiorunował go wzrokiem.

— Zamknij się!

— Słusznie! — pochwalił go tamten głos. — Naprawdę słusznie! Ale teraz zmagamy się z tobą, kapłanie! Mamy całe lata, by zająć się tym prawiczkim i pokazać mu...

Mark nie pozwolił mu dokończyć zdania.

— Będiesz mówił, kiedy zapytam! Tylko wtedy. A teraz powiesz nam, w imię Jezusa — zagrzmiał, kierując złość, w jaką wprowadził go błąd współpracownika, w stronę ducha — powiesz, czy Jay Beedem podporządkował się waszej mocy.

Zapadła absolutna cisza. Słuchać było jedynie oddech Jamsiego. Mark nigdy nie zetknął się z Beedemem, ale ów człowiek dość dziwnie zapisał się w pamięci Jamsiego i egzorzysta nawet na odległość wyczuwał tu jakiś dziwny zapaszek. Chciał wiedzieć, czy jakis związek Beedema z Wujkiem Ponto lub jego „zwierzchnikiem” mogły mieć wpływ na sytuację opętanego.

— Jay Beedem — powtórzył z naciskiem. — Powiesz nam, kiedy...

— Nie. — To było stwierdzenie, które nie pozostawiało miejsca na domysły. — Nic nie powiemy, kapłanie.

I znów ta cisza.

— Przez wzgląd na moc Kościoła i w imię Jezusa, powiesz...

— Kościół i ta Osoba nie mają władzy nad Jayem Beedemem. Należy do nas. Do nas. Do nas. Do nas. Do Królestwa. Do nas.

Mark nabral tchu. Mimo iż miał już do czynienia z takimi przypadkami, zawsze przytłaczało go odkrycie, iż ktoś oddał się w opiekę uosobieniu zła, chroniącemu go nawet przed dotknięciem łaski. Wiedział, że lepiej nie drążyć tego problemu. Kiedyś, przed dziesięciu laty, spróbował. Atak, któremu wówczas uległ, zmusił go do przerwania egzorcyzmów (które musiał, od początku do końca, przeprowadzić ktoś inny) i na pięć tygodni odebrał mu mowę oraz słuch. O mało nie pożegnał się też z czymś, do czego przywiązywał ogromną wagę. I wszystko dlatego, że wkroczył na terytorium złego ducha i dopiero tam rzucił wyzwanie.

Zmienił więc taktykę.

— Twoja dziwaczna twarz; jaki to miało sens?

— Ta dziwaczna twarz nie była naszym dziełem. Nie straszmy tych, których werbujemy.

— Co osiągnięto, ukazując Jamsiemu tę twarz?

— Jego opiekun pragnął pokazać mu, jak wyglądają ci, którzy do nas należą.

— Czy właśnie to — wtrącił Mark, niemal bez namysłu — powstrzymało Jamsiego nad jeziorem? Ta twarz?

Nie doczekał się odpowiedzi.

Miał niejasne wrażenie, że coś dziwnego dzieje się z jego pomocnikami. Spojrzał, zaintrygowany, na młodego księdza. Na twarzy tamtego pojawiły się kropelki potu. Mark przerwał zadawanie pytań.

Nagle wszyscy czterej pomocnicy zatkali sobie uszy, krzywiąc się z bólu.

— Mark, na miłość Boską, powiedz im, by przestali gwizdać! — krzyknął lekarz. — To nas ogłusza.

I on, i trzej pozostali jęczeli z bólu; potem wszyscy czterej zaczęli wrzeszczeć, miotając się niespokojnie i odchodząc coraz dalej od Marka i od kozetki, na której leżało bezwładne ciało Jamsiego.

Egzorcysta ruszył w ich stronę i zaraz się cofnął. Spróbował ponownie i sytuacja znów się powtórzyła. Ilekroć wychodził poza niewidzialny krąg, otaczający kozetkę, uszy jego bombardował straszliwy i ogłuszający natłok decybeli.

Czterej pomocnicy, wijąc się i cofając, patrzyli na niego błagalnie. Gestykulując, dał im do zrozumienia, że powinni posunąć się jeszcze dalej. Zrobili to, a kiedy znaleźli się już o stopę od ściany, w pobliżu drzwi, nagle skończyła się ich udręka. Twarze uwolniły się od bólu i napięcia.

Patrzyli na Marka, mając wrażenie że dzieli ich ogromna połać mgły i ciszy. Egzorzysta widział ich wyraźnie, nie docierały jednak do niego żadne głosy. Oni, z kolei, słyszeli go i widzieli ruch jego ust oraz rąk, wszystko to było jednak bardzo zniekształcone. Tak jakby zagłądali przez zamarznąłą szybę do wnętrza słonecznego pokoju: widzieli wszystko, ale niewyraźnie.

Przykuci do ściany na drugim krańcu pokoju, oddzieleni owym niesamowitym ekranem, obserwowali Marka, który przystępował do zakończenia egzorcyzmów. Przypominało im to upiorny teatr cieni.

Zobaczyli, że sylwetka Marka odwraca się lekko, by spojrzeć na leżące na kozetce ciało Jamsiego. Potem ujrzeli, że egzorzysta podnosi krucyfiks. Widzieli, że jego wargi się poru-

szają, ale nic nie usłyszeli. Dopiero później doleciał do nich jego głos, odległy i przytłumiony przez jakiś rumor przywodzący na myśl osypujące się kamyki.

— ...będzie ta!, jak nakazujemy, gdyż nakazując ci odpowiedzieć, powołujemy się na imię Jezusa. Czy to widok tej twarzy powstrzymał Jamsiego od samobójstwa?

I dotarł do nich drugi głos, wymawiający słowa aż za dokładnie, gardłowy, a zarazem ostry, stanowczy, zimny i nieprzyjazny.

— Interesuje cię ta dziwaczna twarz, kapłanie? Chciałbyś ją sam zobaczyć?

— Odpowiedz na nasze pytanie — uciął Mark, nie ulegając pokusie. — Odpowiedz!

— Tak. Ta—a—a—a—a—a—ak — zgrzytnął tamten niechętnie. — To była tamta twarz. Zawsze jesteśmy na miejscu, kiedy małuczy gotowi są zabić.

— Ilekroć byliście na miejscu, opiekun Jamsiego robił wszystko, żeby ukazać mu tę twarz?

Mark nie doczekał się odpowiedzi, przeszedł więc do kolejnego punktu.

— Dlaczego pozwoliliście na to, by Mark zobaczył... zobaczył... Cień?

Zająknął się, ale szybko odzyskał formę. Bywało niegdyś, że kiedy miał podjąć jakąś ważną decyzję, towarzyszył mu — co sobie teraz uświadomił, czując dreszcze — jakiś cień. Zawsze kładł to na karb jakichś innych okoliczności. Teraz jednak zaniepokoiły go te skrawki wspomnień. Wspomnień sięgających czasów młodości, czasów „scenariuszy”, kiedy wszystko dawało się ująć w ramy logiki i opisać — i było takie proste.

— To nie my. Nienienienienienie.

Był w tym smutek, żal i ogromny ból. Mark wyczuł to. Zaatakował kolejnymi pytaniami, trzymając wysoko krucyfiks.

— Dlaczego Cień, Wujek Ponto, Jay Beedem, sutenier i jeszcze inni byli tak podobni do siebie? Skąd to podobieństwo?

Mark zauważył coś, czego pomocnicy nie byli w stanie dostrzec przez dzielącą ich mgłę. Jamsie się ocknął, ale nie patrzył na egzorcyztę. Spoglądał w lewo. Kapłan to widział, ale nie zamierzał odrywać wzroku od opętanego. Powtórzył pytanie. Dochodził do sedna.

— Skąd to podobieństwo? Czy to kolejny przejaw waszego durnego zła?

— Poza naszą kontrolą. — Tamtemu trudno było znaleźć słowa. — My także... musimy się podporządkować... w sprawach materialnych... także związani... Osoba, którą gardzimy, dzierży... dzierży... dzierży... dzierży... — Wszystko zaczęło się rozmywać. — Dzie—e—e—e—e—e—r—r—r—r—r—r—ż—ż—ż—ż—ż—ż... — Głos przeszedł w gniewne brzęczenie, a w końcu zapadła cisza.

— Skąd to podobieństwo? — powtórzył Mark, przyglądając się Jamsiemu; liczył na to, że reakcja tamtego podsunie mu jakiś trop.

Pomocnicy, nadal przykuci do przeciwległej ściany, ujrzeni nagle coś przerażającego. Zaczęli krzyczeć, próbując ostrzec Marka. Nie słyszał ich, przez cały czas wpatrywał się w Jamsiego.

W pierwszej chwili zobaczyli, że za plecami egzorcysty czai się niewyraźna, ogromna sylwetka, przypominająca kota stojącego niezgrabnie na tylnych łapach, wyciągającego pazury, kładącego uszy po sobie i otwierającego paszczę, by wydać złowrogi syk.

Wciąż docierał do nich dudniący głos Marka, świadczący o tym, iż kapłan kontynuuje egzorcyzmy. Mogli jedynie patrzeć i modlić się.

— Cóż takiego wpajacie tym ludzkim istotom, że stają się do siebie podobne?

Usłyszeli chrapliwy głos, ważący każde słowo i montony.

— Posłuszeństwo Królestwu. Oddają swoją wolę. My wypełniamy im dusze. To, co jest w środku, chcąc nie chcąc, wyziera na zewnątrz...

Jamsie, wciąż jeszcze przywiązany, podniósł głowę, wpatrując się w zagrażającą Markowi postać. Przesuwała się, to do przodu, to w tył, zerkając na boki, jakby czegoś szukała. Przypominała mu nie tyle kota, co raczej mężczyznę zawiniętego w ciężką, czarną szatę. Mark, nastawiony na obserwowanie Jamsiego, nie powędrował za jego wzrokiem.

— Musisz się ujawnić — powiedział, rozpoczynając ostatnie natarcie. — Musisz się odsłonić i opuścić tego człowieka. W imię Jezusa!

Pomocnicy, niezdolni jeszcze do działania, zauważyli na obu twarzach — Jamsiego i mrocznej sylwetki — identyczny grymas.

— I nie tylko ty, ale i twój sługa, twój Wujek Ponto. On i wszyscy inni. Precz! Powiadam! Precz stąd!

Ludzi pod ścianą ogarnęła panika. Widzieli tylko zagrażające Markowi niebezpieczeństwo. Próbowali ruszyć do przodu, nie zważając na grad bolesnych dźwięków.

— Nie spoczniemy, dopóki nie zemścimy się na tobie — oznajmił głos. — Odchodząc, uśmiercimy tę żalną kupkę blo-ta.

— Nie do was należy dawanie i odbieranie życia. To sprawa Jezusa.

Jamsie zaczął wrzeszczeć, wpadł w histerię.

Mark czuł, że od tego wrzasku pękają mu bębni. Podniósł krucyfiks i modlił się głośno, używając na przemian trzech słów.

— Jezu! Zmiłuj się! Jezu! Zmiłuj się! Jezu! Zmiłuj się! Jezu! Zmiłuj się!

Kogut i Żółw

Kiedy ośmioro Amerykanów wsiadało do dwóch, czekających przed hotelem limuzyn, zegar na Piazza della Liberta, centralnym placu Udine, wskazywał szóstą. Cała eskapada zaplanowana była do ostatniego szczegółu, zarówno pod względem czasu, jak i ceremoniału.

Był dwudziesty trzeci lipca i Amerykanie mieli już okazję odczuć letnie upały. W przeciągu kwadransa przecisnęli się przez wąskie uliczki, mijając arkady i portyki, opuścili miasto i wyjechali na falistą drogę, wiodącą ku wybrzeżu. Kiedy samochody piły się na kolejne wzniesienia, pasażerowie mieli okazję dojrzeć Adriatyk, niebieską wstęgę ciągnącą się wzdłuż widnokregu. Na północy, w oddali, wznosiły się Alpy, białe i dostojne.

Zmierzali do Akwilei, niewielkiej miejscowości (tysiąc pięciuset mieszkańców) leżącej w odległości dziesięciu mil od Udine, bliżej morza. Dla Carla, lidera grupy, wyprawa ta była powrotem do domu: niegdyś żył, cierpiał i triumfował w Akwilei. Dla jego siedmiorga towarzyszy była pielgrzymką do osławionej świątyni.

Dwaj mężczyźni, którzy jechali z Carlem w pierwszej limuzynie, byli jego przyjaciółmi i współpracownikami; kobieta, Maria, od czterech lat pracowała jako jego asystentka. Czoro studentów, zajmujących drugi samochód, specjalizowało się w psychologii i również z nim współpracowało. Wyprawa do Akwilei była dla nich zarówno kulminacyjnym punktem studiów, jak i przeżyciem mistycznym.

Jadący w pierwszej limuzynie, Carl pałał entuzjazmem.

— Stoimy o krok od odkrycia, czym było chrześcijaństwo, zanim zniekształcili je Grecy i Rzymianie.

Był krępy, niewysokim mężczyzną pod pięćdziesiątkę, o krótko ściętych, kruczoczarnych, kędzierzawych włosach, brodatym; miał wysokie czoło, wydatne, lekko zaokrąglone kości policzkowe, oczy czarne i błyszczące niczym wypolerowane agaty. Nos miał rzymski, długi i prosty, z niewielkim garbkiem. Pełne wargi kontrastowały nieco z mocno zarysowaną dolną szczęką. Był opalony i krzepki. Miał na sobie koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i lekki garnitur.

Mówiąc, trochę gestykulował, by dodać wagi swym słowom. Pierścień, który nosił na palcu wskazującym prawej ręki, lśnił w porannym słońcu. Szeroka złota obrączka, ozdobiona wizerunkiem żółwia. Carl bawił się też swoim łańcuszkiem, na którym wisiały dwa emblematy starożytnego boga Neptuna: delfin i trójząb.

Był dyplomowanym psychologiem, przedtem studiował fizykę. Kierunki te doprowadziły go do parapsychologii i badań nad odmiennymi stanami świadomości. Obdarzony szczególnymi właściwościami medialnymi, zgłębiał zagadnienia podróży astralnych i reinkarnacji.

Po jedenastu latach intensywnych badań wybrał się ze swymi współpracownikami i studentami do Akwilei. Tam właśnie, jak dowiedzieli się kilka miesięcy wcześniej dzięki jednemu z jego transów, żył w swym poprzednim wcieleniu, tysiąc sześćset lat temu, jako Petrus, miejscowy pisarz. Podczas owego seansu, przeprowadzonego w warunkach laboratoryjnych, nie ograniczył się do opisanie starożytnej Akwilei — tamtejszego amfiteatru, forum, łaźni publicznych, pałaców, nadbrzeży, cmentarzy, łuków triumfalnych i sklepów. Opowiedział też dokładnie, jak w czwartym wieku mieszkańcy tego miasta wznosili posąg Neptuna, obalony sto lat wcześniej przez członków pewnej sekty. W kilka tygodni później jedno z niezależnych źródeł potwierdziło fakt istnienia takiego posągu i łacińskiego napisu, którego treść również podał.

Carl opisał też dokładnie mozaikę, zdobiacą posadzkę w jednej z chrześcijańskich kaplic z czwartego stulecia. Wspominał też o pikantnym fakcie, który zafascynował jego współpracowników i studentów: odtworzył przebieg starożytnego obrzędu odprawianego przez Petrusa i jego przyjaciół w pewnym punkcie owej posadzki.

Udali się więc do Akwilei, by odtworzyć tamten rytuał dwudziestego trzeciego lipca, w dniu letniego święta Neptuna.

Carl znów opisywał pasażerom pierwszej limuzyny to wyjątkowe miejsce i związany z nim obrzęd. Miejszem tym był mozaikowy medalion przedstawiający walkę czerwonego koguta z brunatnym żółwiem. Petrus i jego przyjaciele — „pierwotni chrześcijanie”, jak ich określił Carl — ustawiali się w rzędzie na prawo od medalionu. Potem, kolejno, stawali na wizerunku Koguta (symbolu pychy i żądzy władzy „która zniewoliła pierwotne i autentyczne chrześcijaństwo”), potem klękali i, patrząc na Żółwia (symbol nieśmiertelności i wieczności), intonowali

łacińską formułę: *Ave Dominus Aquae vivae! Ave Dominus immortalis qui Christum fecisti et reduxisti!* (Pozdrawiamy Cię, Panie Żywej Wody! Pozdrawiamy Cię, Wieczny Władco, który posłałeś Chrystusa i na powrót go przyjąłeś).

Ten właśnie reformatorski aspekt badań i eksperymentów Carla zainteresował i zaintrygował wielu ludzi — a zwłaszcza grupę, która towarzyszyła mu tego ranka.

Norman był wychowany w duchu luteranśkim, ale jeszcze przed dwudziestką zbuntował się przeciwko tradycjonalizmowi i konserwatyzmowi swego kościoła. Nabral przekonania, że Luter był nieobliczalnym rebeliantem, a luteranizm to szesnastowieczny wymysł, niewiele mający wspólnego z oryginalną nauką Chrystusa i pierwszymi chrześcijanami.

Albert, drugi współpracownik Carla, był niegdyś kapłanem kościoła episkopalnego. Po trzech latach zaczął studiować psychologię, przekonany, że jego kościół nie przemawia już do współczesnych i nie jest w stanie przekazać prawdy o zbawieniu.

Z czworga studentów psychologii, jadących w drugiej limuzynie, dwoje — Donna i Keith — było katolikami, a jeden, Bill, Żydem. Charlie wychowany został w duchu kościoła prezbiteriańskiego, jednakże na dwa lata przed wyprawą do Akwilei przeszedł na judaizm. Całej czwórce wpojono powszechną w owych czasach koncepcję, iż zachodnie chrześcijaństwo wywodzi się z filozofii greckiej i rzymskiego prawodawstwa oraz zmysłu organizacyjnego, a kościoły to tylko fałszywe namiastki autentycznego Kościoła Jezusa.

Plan, jaki sobie ułożyli na ten poranek, był prosty. Zamierzali, bez żadnych fanfar i szumu, obserwować, jak Carl odtwara ów starożytny obrzęd związany z wizerunkiem na posadzce katedry. Zabrali ze sobą magnetofon i kamerę. Postanowili zarejestrować wszystkie słowa i gesty Carla. Norman, jego długoletni i bliski współpracownik, miał kontrolować eksperyment: komentować na bieżąco to, co się dzieje, niezależnie od zapisu na taśmie filmowej. Liczyli na to, że Carl zdoła dostarczyć dalszych dowodów na istnienie Petrusa i innych wyznawców tamtego kultu. Interesowała ich też, jako psychologów, możliwość głębszego wnिकnięcia w tajniki parapsychologii.

O cztery i pół mili na południe od autostrady Wenecja-Triest wjechali do Akwilei. Wszystko tonęło w oślepiającym świetle słońca. Barwy pochłonęła jasność. Sytuacja w miasteczku sprzyjała Carlowi. Wszystko, co wiązało się ze współczesno-

ścią, pogrążone było jeszcze we śnie. Kiedy tak zbliżali się powoli do katedry, wszyscy ludzie drzemali w swych domostwach, jakby Neptun, bóg morza i patron owego dnia, narzucił na nich swoją sieć. Spały nawet psy i kury. Jedynie jakiś kot mył się starannie na dachu, w cieniu komina.

Maria, uśmiechając się, dotknęła ręki Carla. Odpowiedział jej tym samym, ale nie przerwał milczenia. Jechali w kierunku placu, przyglądając się mijanym uliczkom. Żar i blask zacieraly kontury domów, tawern i sklepów. Tym, którzy umieli widzieć, dwudziestowieczna oprawa tej miejscowości wydawała się czymś nader nikłym. Wyczuwali w owym rozgrzanym bezruchu obecność starożytnych bóstw, snujących się cieni i wszystkich tych, którzy stąpali niegdyś po tych ulicach, obnosząc swą dumę, smutki, miłości i klęski.

Miasteczko zdominowane było przez niemal nie przystającą do niego, ogromną katedrę i jej wysoką dzwonnice. Należało jednak pamiętać, że licząca sobie dwa tysiące lat Akwileja była niegdyś czwartym z najważniejszych miast imperium rzymskiego, po Wiecznym Mieście, Kapui i Mediolanie.

Połączona z Adriatykiem sześcioma kanałami, była jedynym, oprócz Rzymu, miastem mającym prawo bić własną monetę. Stolica prowincji o wielkim znaczeniu strategicznym i ekonomicznym, słynęła ze wspaniałego teatru, uroczystości religijnych, misterii i wód leczniczych. Przyjeżdżali tam cesarze rzymscy i papieże, odbywały się synody, miał swoją rezydencję patriarcha, sławili ją władcy Niemiec i Austrii, walczyli o nią Słowianie, Hunowie, Awarowie, Grecy, Frankowie, Anglicy i Duńczycy.

Dzisiejsza Akwileja to jedynie zapomniana osada rolnicza, z dala od utartych szlaków, pomijana na wielu mapach, nazywana przez kęśliwych rzymskich kapłanów „katedrą, do której przyczepiono kilka uliczek”.

Grupa Carla jechała prosto do katedry; wszysatko już było uzgodnione z kustoszem. Eksperyment rozpoczął się już w chwili, gdy stanęli przed drzwiami. Donna uruchomiła kamerę, a Bill włączył magnetofon. Zadbali o wszystko. Byli przejęci i pełni nadziei. Czuli, że stoją u progu wspaniałego odkrycia.

Powinni teraz wejść do katedry, wejść w głąb środkowej nawy, skrócić w prawo przy sanktuarium i zstąpić w ruiny kaplicy z czwartego stulecia.

Zachowanie Carla zmieniło się, ledwie wysiadł z limuzyny. Nie był już uśmiechnięty ani rozluźniony. Jego współpracownicy dobrze znali tę „manierę” — oczy niemal całkiem przysłonię-

te ciężkimi powiekami, głowa podniesiona, ręce wiszące wzdłuż boków i charakterystyczny wyraz twarzy, aura czci i oddania, tak bardzo typowa dla jego „transów”. W kącikach ust dostrzec można było nikiłe ślady ekstazy radości. Zdawać się mogło, że zstąpił na niego absolutny, monumentalny spokój: czoło i policzki stały się gładkie, wolne od zmarszczek i rys, tak jakby jego skóra nagle odmłodziła albo poddała się niewidzialnej ręce, która ją napięła.

Był jakby nieobecny; z twarzy odpłynęła mu krew. Nie było w niej nic z dawnego Carla, nie czaiło się żadne słowo ani żadna uczucie, nie było pewności ani lęku, zadowolenia, ani nadziei na zadowolenie, współczucia, ani oczekiwania na współczucie.

Pojawiło się natomiast coś, co współpracownicy i studenci Carla, nie mając klucza do tego fenomenu, nazywali „grymasem” — odnieśli wrażenie, że jego głowa uległa zniekształceniu, tak jakby naturalne zarysy jego czaszki, czoła, oczu i uszu zostały wypaczone przez goszczącą w nim chwilowo, nadludzką i przerażającą siłę. Wyglądało to okropnie i dziwacznie, ale dawno już pogodzili się z tym, że tak musi być. Carl nazywał to swoim „cierpieniem bożym”. W myśl jego teorii — zgodnie z tym, w co święcie wierzył — w człowieka o, jak to określał, „otwartej duszy” „wstępuje” podczas takich transów nadludzka moc, która „podporządkowuje go swej władzy”. Powłokę cielesną takiego człowieka wypełnia — przysparzając mu tym samym cierpienie — strumień milczącej boskości. Na jakiś czas pęka ścianka dzieląca pierwiastek boski od ludzkiego i medium „pławi się” we wszechwiedzy.

Pozostało tylko czekać. Carl powinien się poruszyć i przemówić. Nie mogli mu przeszkadzać, należało wykluczyć wszystkie bodźce z zewnątrz. Mijały kolejne minuty. Nadal tkwili przy wejściu. Wargi Carla poruszały się, nie było jednak słychać żadnego dźwięku. Potem zmienił pozycję, obrócił się powoli, najpierw w kierunku oddalonego o sześć mil morza, potem na południowy zachód, w stronę Wenecji. Kiedy się odwracał, zauważyli, że na jego twarzy maluje się jakieś pytanie. Wyglądało na to, że na coś czeka.

Potem dotarły do nich skrawki słów i zdań:

— ...czwarty kanał... Via Postumia... musi mieć pełną ilość...

Głos przeszedł w szept i całkowicie ucichł, kiedy Carl zwrócił się w kierunku Wenecji. Na jego twarzy malowało się wzburzenie pomieszane z goryczą. Ze złością poruszał wargami.

mi, tak jakby się spierał lub coś komentował. Ale nadal nic nie słyszeli. Odwrócił się ku drzwiom katedry.

— Ósma zero zero — powiedział Norman. — Carl wchodzi do katedry. Prawą rękę unosi w geście pozdrowienia, wnetrze dłoni odwraca na zewnątrz.

Twarz medium znów była spokojna. Jego wargi znieruchomiały. Pograżyli się w złoto-brązowym, rozświetlonym morzu ciszy, pod strzelistym, sięgającym nieba sklepieniem.

Carl skierował się w głąb studziesięciostopowej nawy. Szeroką na sześćdziesiąt pięć stóp posadzkę, obramowaną potężnymi kolumnami, od krawca do krawca pokrywały mozaiki; zamykała ją półkolista apsyda, w której wznosił się wysoki ołtarz. Przez okna wpadały ukośne promienie słońca, wyznaczając w przepastnym wnętrzu obszary światła i cienia. Strugi blasku wydobywały wirujący w powietrzu kurz, sycąc go barwami mozaiki i ścian: czerwienią, żółcią, ochrą, fioletem, oranżem i zielenią.

Grupa Amerykanów przeszła w absolutnej powadze trzy czwarte nawy, stąpając niespiesznie po owej magicznej posadzce, zdobionej wizerunkami kwiatów, ptaków, zwierząt, ryb i starożytnych Rzymian, imponujących bogactwem kolorów i wyrafinowanych form.

Carl tylko jeden z nich ominął: kiedy doszedł do tego medalionu, zatrzymał się. Znów poruszał ustami.

— ...słabość... przedkładać śmierć ponad siłę... wszeteczna pokora tego słabeusza... — Potem przywołał słowo, jakim Rzymianie określali okrutną potęgę swego imperium, i przez jakiś czas powtarzał je niemal bezgłośnie. — *Virtus, virtus, virtus, virtus...*

Norman zerknął na medalion.

— Carl omija mozaikę przedstawiającą Dobrego Pasterza — powiedział do mikrofonu.

Szept medium przepojony był niesmakiem.

— ...ryczący osioł... bóg Aleksandra... ryczący osioł...

Potem szedł spokojnie, dopóki nie dotarł do szerokiego pasa mozaiki, za którym dojrzeli wspaniały obraz morza. Starożytni artyści uwiecznili tam łodzie, rybaków, przeróżne ryby, węże morskie, delfiny i powtarzający się motyw ze Starego Testamentu: Jonasza w paszczy wieloryba.

Carl zaczął zachowywać się niepewnie, a na jego twarzy znów pojawiło się zakłopotanie pomieszane z wyrazem pogardy. Cofnął się z cichym sykiem, nieomal przykucnął. Poruszył głową, jakby szukał przejścia między groźnymi cierniami.

Norman nadal komentował jego kroki, wahając się, kiedy Carl zmieniał kierunek.

— Carl przesuwa się w lewo. Powoli... teraz na środek, w prawo... nie, znowu w lewo, wchodzi na wizerunek Jonasza. — Potem zwrócił się do Donny, filmującej wszystkie posunięcia medium. — Donna, wyprzedź go; proszę, wysuń się do przodu.

Zrobiła, co jej polecił.

Carl z trudem, zatrzymując się nagle i ostrożnie stawiając kroki, doszedł do stopni sanktuarium. Donna, kierując na niego kamerę, zauważyła, że w jego szeroko otwartych oczach płonął gniew, o jaki nigdy by go nie posądzała.

— Carl zawraca — mówił dalej Norman. — Kieruje się ku drzwiom do tunelu.

Miał na myśli tunel wiodący do kaplicy, nad którą w jedynastym wieku wzniesiono katedrę.

Donna, jako pierwsza, zeszła na prostokątną posadzkę starożytniej świątyni. Sfilmowała wejście Carla, Normana i pozostałych członków grupy. Carl bez wahania dążył do przodu; kilkakrotnie pochylił głowę, jakby widział tam istoty, których inni nie potrafili dostrzec.

I tę posadzkę pokrywały fascynujące mozaiki — wizerunki bażantów, osłów, owoców i pasterzy, scenki rodzajowe i splecione z kwiatów ornamenty. Carl zatrzymał się dopiero przy szerokim pasie pomarańczowego marmuru, przecinającym kaplicę.

— Carl staje przy pomarańczowym pasie — kontynuował Norman. — Dalej są symbole geometryczne.

Carl poruszył się dopiero po trzydziestu sekundach. Rozchmurzył się. Wysoko uniósł głowę. Ręce wyciągnął przed siebie. Przekroczył pomarańczowy pas i poszedł prosto do medalionu znajdującego się za figurami geometrycznymi. Tam właśnie należało odtworzyć starożytny rytuał. Tam właśnie Żółw gniewnie wpatrywał się w Koguta.

Towarzysze Carla skupili się wokół medalionu. Donna stanęła naprzeciwko medium, cały czas filmując.

— Carl złożył ręce na piersi, dłoń na dłoni — szepnął do mikrofonu Norman. — Oczy ma zamknięte. To jest to.

Ledwie to powiedział, Carl rozłożył szeroko ręce i podniósł głowę tak, że przysłonięte powiekami oczy wpatrywały się w górę. Do członków jego grupy dotarły skrawki odmawianej przez niego modlitwy;

— ...*aquae viv... immortalis...*

Odnieśli jednak wrażenie, że zaciął się albo utknął na słowie „*Christum*”. Nie mógł go dokończyć. Powtarzał tylko:

— *Christ... Christ... Christ...*

Im bardziej potykał się na pierwszej sylabie, tym głośniej ją powtarzał. Oddychał coraz szybciej i z coraz większym trudem.

— Bill, weź mikrofon — powiedział szybko Norman — ale trzymaj go tak, byśmy zdołali uchwycić moje komentarze i jego słowa.

Wiedział, że jeśli pojawią się jakieś niespodziewane blokady lub trudności, ma wziąć Carla za rękę i podprowadzić do Koguta.

Carl nadal powtarzał:

— *Christ... Christ... Christ...*

Donna, filmując go, zauważyła pianę zbierającą się w kącikach jego ust. Norman dotknął prawej ręki Carla.

— Boże! — szepnął głośno. — Jest lodowata.

Carl walczył ze sobą. Przestał mówić. Sprawiał wrażenie człowieka usiłującego przeciwstawić się silnym porywom wiatru. Ręka, której dotknął Norman, drżała, całe ciało wibrowało, broniąc się przed wejściem na wizerunek Koguta. Ściągnął wargi, odsłaniając zęby. Twarz miał napiętą i bladą. Jęczał cicho, jakby próbował uporać się z jakąś przeszkodą i odetchnąć pełną piersią.

Norman czuł, że chłód wnika w jego własne palce i dłoń, pozbawiając je czucia, rozluźniając uchwyt.

Jęk narastał, przechodził w pomruk, potem przybrał na sile i zamienił się w coś w rodzaju krzyku przez zaciśnięte zęby. Norman puścił już rękę Carla i cofnął się, zakłopotany i zdumiony. Pozostali również odsunęli się, oszołomieni tym niespodziewanym zdarzeniem. Carl został sam, stał nadal naprzeciw Donny.

Kiedy ów stłumiony krzyk sięgał zenitu, w Carlu zaszła jakaś zmiana. Tego już Donna nie mogła znieść. Wydało się jej nagle, że to, co nim targano, spowilo go niczym niewidzialny kokon. Niewidoczne sznury i pasy oploty jego ciało, ściskając je i zgniatając. Skulił się pod ich naporem. Odnieśli wrażenie, że zmałał. Napięcie i złość, malujące się na jego twarzy, ustąpiły miejsca poczuciu absolutnej bezradności, niemal takiej jak u dziecka. Tak mógł wyglądać ktoś, kto stara się ukryć w najgłębszym zakamarku swego ciała.

Donna nadal obsługiwała kamerę, ale szepnęła przerażona:

— Niech ktoś mi pomoże! Proszę! Szybko!

Nikt się nie ruszył; nie mogli oderwać oczu od Carla. Tamten zaś jęczał przenikliwie, jakby walka i ból wyciągały zeń wszystkie siły. Protestował przeciwko cierpieniu. Tego już było

za wiele. Kamera wysunęła się z palców Donny i spadła na posadzkę. Ostatnie ujęcie, jakie zarejestrowała, ukazuje Carla pochylonego do przodu i przyciskającego rękę do piersi. Głowę przechylił na bok, oczy miał zamknięte, język ściśnięty zębami; widać było, że jest zrezygnowany i świadom porażki, a jednocześnie odczuwa ulgę — podobnie jak tonący lub duszeni. Wyglądał na kogoś, komu odebrano wszystko.

Trzask kamery wyrwał grupę z odrętwienia. Bill i reszta studentów rzucili się, by pomóc Donnie. Norman i pozostali podnieśli Carla. Robiąc to, odkryli, że jego ciało znów zwiotczało. Wynieśli go, bezwładnego i nieprzytomnego, na świeże powietrze.

Byli spoceni i rozdygotani. Carl wciąż sprawiał wrażenie zimnego. Włali mu do ust kilka kropel whisky. Zaczął dochodzić do siebie. Po jakimś czasie oddychał już normalnie i otworzył oczy.

— Carl — powiedział cicho Norman. — Carl, lepiej będzie, jeśli pojedziemy teraz do Wenecji.

W tydzień później, w Nowym Jorku, Carl nadal był w kiepskiej formie. Mimo iż spędzili kilka dni w Wenecji i Mediolanie, a potem odbyli długi lot powrotny, wciąż borykał się z problemami, których nie mogli zrozumieć. Nie był już tym samym, wymagającym, konkretnym i pewnym siebie przywódcą.

Jadał i spał nieregularnie, mówił niewiele, odwołał wszystkie zaplanowane spotkania.

Zdawało się, że wciąż przeżywa to, co spotkało go w Akwilei, i to zawsze w ten sam sposób: mamrotał coś i gadał, czasami przechadzał się po domu i ogrodzie, odtwarzając trasę, jaką przeszedł tamtego tragicznego ranka. I zawsze, w momencie kulminacyjnym, zapadał w ten sam dziwaczny trans. To Donna zauważyła któregoś dnia, że ma wrażenie, iż Carl usiłuje posunąć się dalej, niż udało mu się to w Akwilei.

Norman i Albert zadzwonili w końcu do Filadelfii, do ojca Carla. Zabrał syna do domu. Tam lekarz zalecił Carlowi długą kurację.

Do pewnej nocy, którą Carl i jego ojciec spędzili razem w olbrzymim domu, nikt nawet nie podejrzewał, że to kwestia opętania. Ojciec nagle obudził się. Carl stał przy jego łóżku, cicho płacząc. Mówił bardzo wyraźnie, choć nie wszystko łączyło się w jedną całość. Zdecydowanie pragnął pomocy księdza. Powiedział, że chodzi mu o ojca Hartneya F. z Newark.

Chciał, by ojciec natychmiast do niego zadzwonił. Minęła już północ, ale sprawa była na tyle alarmująca, że tamten chwycił za telefon.

Ojciec Hartney wyszedł, powiedziała gospodyni; obiecała, że przekaże mu wiadomość, jak tylko wróci.

Ojciec Carla odłożył słuchawkę i wtedy wydarzył się jeden ze szczególnych zbiegów okoliczności, w które obfitowała sprawa Carla V. Zadzwonił telefon. Dzwoniący miał przyjemny i kojący głos. Przedstawił się jako ojciec F. Tak, chciałby zobaczyć się z Carlem, w tej sprawie telefonuje. Nie, nie dzwoni z New Jersey; przebywa w Filadelfii. Nie, nie rozmawiał ze swą gospodynią.

— Panie V., muszę prosić, by zaufał mi pan jako człowiekowi i jako kapłanowi. Muszę przekazać pańskiemu synowi coś, co tylko on powinien usłyszeć.

Ojciec spojrzął na Carla i podał mu słuchawkę. Carl słuchał uważnie, twarz miał napiętą, a łzy płynęły mu ciurkiem. Kilkakrotnie powtórzył „tak”, a rozmowę zakończył niespiesznie:

— Jutro. Zgoda.

Odłożył słuchawkę i, nie patrząc na ojca, odwrócił się, by wyjść z pokoju.

Carl spędził z ojcem F. trzy tygodnie w Nowym Jorku, poddając się koniecznym badaniom. Do domu wrócił pod koniec sierpnia. We wrześniu i październiku często kursował do Newark i Nowego Jorku. Na początku listopada rozpoczęli egzorcyzmy.

CARL V.

Mimo iż wielu adeptów parapsychologii ubolewało nad zniknięciem Carla V. z ich grona, mało kto znał okoliczności, w jakich zdecydował się on porzucić swe badania i studia nad tą raczkującą jeszcze dziedziną nauki. Carl, w chwili gdy zwracał się ku parapsychologii, był już cenionym psychologiem. Ci, którzy znali jego i jego talent, twierdzili, że jest człowiekiem, który znalazł się we właściwym czasie na właściwym miejscu i robi to, co należy zrobić. W przedwczesnej rezygnacji Carla widzieli tylko nieszczęście i porażkę prawdziwego humanizmu.

Carl posiadał coś więcej niż nieprzeciętną inteligencję. Był do pewnego stopnia obdarzony szczególnymi zdolnościami psychi-

cznymi, wysoce dzisiaj cenionymi jako przedmiot badań, takimi jak telepatia i telekineza. Znalazł nawet uczelnię, na której mógł doskonalić te umiejętności i zgłębiać ich tajniki. Otoczyła go wkrótce spora grupa ludzi podobnie utalentowanych, pojętych i wnikliwych studentów. O szczególnym drogi w potencjale, jakim dysponował, świadczyły dwa lub trzy wydarzenia, które dowiodły, że jest klasą samą dla siebie.

Pierwsza sprawa wiązała się z wizją, którą miał jako nastolatek. Jego zainteresowanie parapsychologią uzyskało też niespodziewane poparcie z wielce szacownej strony, a to za sprawą wydania w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym książki Aldousa Huxleya, *Drzwi percepcji*. Co więcej, Carl przez dziesięć lat (od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego do siedemdziesiątego drugiego) eksperymentował z różnymi szczeblami odmiennych stanów świadomości. Już od sześćdziesiątego piątego roku dostrzegał „aurę” otaczającą obiekty, na które patrzył — „aurę nierzeczywistą”, jak to określał. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym po raz pierwszy osiągnął stan „wyniesienia” (to kolejne z jego określeń).

Patrząc na to z perspektywy, Carl twierdzi, że o ile jego „wyniesienia” były zjawiskiem ściśle psychicznym, to sam ich rdzeń był progiem do opętania go przez diabła.

Szczególnie piętno na karierze Carla odcisnęło zainteresowanie jego współpracowników, którzy w sposób ściśle naukowy interpretowali takie fenomeny, jak odmienne stany świadomości, wizje, podróże astralne, telepatia, telekineza i reinkarnacja.

Tym, co nadało przypadkowi Carla i jego pracom specyficzny wymiar, było jego odchylenie na tle religijnym. Carl V. autentycznie pragnął odkryć prawdę o religii, a zwłaszcza o chrześcijaństwie. Połączenie talentów psychicznych, niespotykanego rozwoju tego, co uważał za swą własną moc, i fascynacji religijnych dało mu u schyłku lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych szczególną władzę. W obliczu upadku zorganizowanej i zinstytucjonalizowanej religii ludzie zaczęli widzieć w parapsychologii potencjalne źródło wiedzy duchowej, a nawet mądrości.

W istocie, zważywszy na ograniczenie ludzkich sądów, możemy tylko przypuszczać, że Carl osiągnąłby wiele w tej materii, gdyby życia jego nie zakłóciło opętanie i związane z nim egzorcyzmy.

W latach dzieciństwa Carl i jego dwaj bracia niewiele różnili się od swych szkolnych kolegów. Ich rodzina należała do

majętnych i miała znaczne wpływy w Filadelfii. Byli protestantami i uczęszczali do kościoła episkopalnego. Wczesne lata Carla nie przysporzyły mu poważniejszych problemów. Jego rodziny nie nekowały żadne niepowodzenia ani tragedie. Nie dotknęły jej też zbyt wielki Kryzys i druga wojna światowa. Carl dobrze sobie radził ze szkołą i sportem. Wiele podróżował z rodziną, odwiedził Europę, Amerykę Południową i Hawaje.

Jego szczególne talenty psychiczne ujawniały się dość powoli i rodzice stopniowo odkrywali u niego te niezwykle zdolności. Kiedy wszedł w ósmu roku życia, zauważyli, że jak któreś z nich czegoś potrzebowało — gazety, pióra albo szklanki wody — Carl przeważnie przynosił im to niemał w tej samej chwili.

Początkowo kładli to na karb zbiegu okoliczności. Z czasem jednak przypadki takie zaczęły zdarzać się na tyle często i bywały tak niesamowite, że zwątpili w swoją ocenę sytuacji. Po kilku tygodniach bacznej i dyskretnej obserwacji doszli do wniosku, że Carl, jakimś cudem, czasami wie, o czym myślą.

Może przeszliby nad tym do porządku dziennego, gdyby któregoś dnia nie usłyszeli, że bracia proszą Carla, by zgiął kilka gwoździ. Chłopiec przystał na to i skręcił dwa całowegwoździe, „masując” je palcem wskazującym i kciukiem.

Ojciec Carla skonsultował się z psychologiem. To pociągnęło za sobą całą serię rozmów. Rodzice zaprowadzili chłopca do tego specjalisty, potem do innego psychologa i, w końcu, do psychiatry. Opinie, poprzedzone szeregiem badań, były jednomyślne: u dziecka rozwijają się szczególne zdolności psychiczne, takie jak telepatia i telekineza. Lekarze utrzymywali, że nie należy dać mu odczuć, iż jest kimś niezwykłym. Rodzice powinni przekonać go, że takie umiejętności są czymś naturalnym, i sprawić, by raczej nie robił z nich użytku.

Ale zarówno oni, jak i psychologowie jednego nie wzięli pod uwagę. Carl, mimo iż nie uświadamiał sobie w pełni konsekwencji ich decyzji, wiedział, co myśleli i co postanowili. Gdzieś w głębi jego dziecięcego umysłu zrodziła się myśl, że pójdzie im na rękę. Tego dnia ogarnęło go „osamotnienie”, które towarzyszyło mu przez resztę życia.

Carl obiecał ojcu, że przestanie giąć gwoździe, mówić ludziom, co myślą, i wykorzystywać swe zdolności telepatyczne do spełniania ich życzeń. Kiedy ukończył dziesięć lat, rodzice doszli do wniosku, że całkowicie zrezygnował z rozwijania owych niezwykłych talentów.

W rzeczywistości, opanował je daleko bardziej, niż można było to przypuszczać, i strzegł ich zazdrośnie, jak najtajniejsze-

go z sekretów. Tylko czasami zdarzało się, że tracił nad nimi kontrolę. Wzburzony, mógł stłuc filiżankę w sąsiednim pokoju lub zrewanżować się jakimś dziecięcym epitetem za obelgę, która jeszcze nie padła.

Pomimo tej zakulisowej gry, stosunki pomiędzy Carlem a jego rodzicami układały się nad podziw dobrze. W późniejszych latach, po rozwodzie tych ostatnich, zbliżył się jeszcze bardziej z ojcem.

Jako najstarszy, budził w swych młodszych braciach, Josephie i Rayu, coś na kształt lęku. A jednak to, co ich łączyło, oparte było na zażyłości i szczeroci, i przetrwało poza czasy dzieciństwa. Dlatego też Carl, mając szesnaście lat, zdecydował się opowiedzieć im o swej wizji.

Opierając się na jego wspomnieniach i relacjach obu młodszych braci, można stwierdzić, że zdarzyło się to pewnego wieczoru, kiedy Carl siedział w bibliotece swego ojca, odrabiając lekcje. Zerknął wówczas na zegar. Kolację podawano dokładnie o szóstej. Zorientował się, że została mu jeszcze minuta, akurat tyle czasu, ile trzeba było, by sięgnąć po odpowiedni tom encyklopedii i otworzyć go na hasło potrzebnym do zakończenia wypracowania.

Kiedy już znalazł tę informację, poczuł, że dzieje się z nim coś szczególnego. Nie czuł lęku; stan, w jakim się znalazł, opisuje dzisiaj jako wielkie wyciszenie. Nie widział już trzymanej w ręku książki ani otaczających go półek. Nie czuł ciężaru tego tomu. Stracił kontakt z podłogą. Ale nie tęsknił za tymi doznaniem. Miał wrażenie, że stały się zbędne.

Nie koncentrował się na tym. Jedynie skrawki jego świadomości odbierały te zaburzenia percepcji i zanik potrzeby związku z otoczeniem. Jego uwagę przykuło coś innego, coś totalnie obcego, a zarazem dziwnie związanego z sumą jego doświadczeń życiowych.

Chodziło tu, przede wszystkim, o atmosferę. Zapaliły się jakieś światła, były to jednak, jak to dzisiaj określa, ciemne światła. Ciemne, a zarazem tak jasne, że nie umknął mu żaden szczegół. Carl nie *przyglądał się* niczemu, niczego nie *obserwował*, ale w czymś *uczestniczył*; wszystkie detale stały się tak wyraziste. To, co widział, nie podlegało żadnym wymiarom: nie było ani „duże”, ani „małe”, nie miało ani „góry”, ani „dołu”, ani też „głębi”. A jednak było to jakieś miejsce. Mimo iż znajdowało się „nigdzie”, mieściło w sobie jakieś obiekty. Obiektów znajdujących się w owej przestrzeni nie mogłby znaleźć, opierając się na konkretnych koordynatach, posługując się wzrokiem al-

bo dotykiem. Znał je tak dobrze, gdyż *uczestniczył* w ich istnieniu. Znał je *doskonale*. Wiedział, czym one są i gdzie się znajdują. Ale choć pozostawały w jakimś odniesieniu do niego i do siebie, nie miało to nic wspólnego z kwestią usytuowania w przestrzeni, odległości lub rozmiarów.

Było to coś w rodzaju istnienia przestrzeni pod nieobecność czasu. Ten ostatni nie uległ tylko zawieszeniu. Nie było go, nie było trwania. Carl nie przyglądał się owym obiektom długo ani też krótko — nie mogło być mowy o sekundach. Ani o nieskończoności godzin lub lat. Nie istniało trwanie. To wszystko było poza czasem. A jednak wyczuwał jego bieg wyraźnie, choć nie bezpośrednio. Był to jednak czas wewnętrzny, związany wyłącznie z istnieniem jego samego i tamtych obiektów, pozbawiony wyczuwalnego początku i końca.

W kwestii opisu tego pejzażu i znajdujących się „tam” przedmiotów Carl wypowiadał się dość oględnie. To była jakaś „kraina”, powiadał, jakaś „strefa”. Znajdowało się tam wszystko, czego należało oczekiwać — góry, niebo, pola, ugory, drzewa i rzeki. Brakowało im jednak tego, co Carl nazywał „wieloznacznością”. I choć nie widział tam domów ani miast, wiedział, że ten świat jest „zamieszkaany”: pełen był „zamieszkujących go istnień”. Nie słyszał żadnych dźwięków ani pogłosów, ale też nie miało to nic wspólnego z ciszą; brak echa nie oznaczał bezruchu. Carl po raz pierwszy w życiu czuł się wyzwolony spod presji ciszy i nostalgii, jaką budziło w nim echo.

Chłonąc to wszystko, a może się temu poddając — tego nigdy nie był pewien — poczuł przemożne pragnienie. Pragnienie czyste i uświęcone, wolne od bólu i tego, co się powszechnie przyjęło uważać za pożądanie. Jakby o coś prosił, nie stawiając żadnych wymagań. Jakby żywił uzasadnioną nadzieję, licząc tylko na siebie. A jednak to było pragnienie. Czasami twierdził, że kojarzyło mu się z apelami: „pokaż mi!”, „daj mi!”, „weź mnie!” i „poprowadź!” Żadna z tych prośb nie wyrażała jednak, jak powiadał, sedna owego uczucia. A całe to pragnienie podporządkowane było dojmującemu poczuciu absolutnej akceptacji.

I nagle zmieniło się jądro owej wizji. Cud sięgnął zenitu. Carl usłyszał cichy głos i zobaczył twarz, której nie potrafił opisać. Słyszał słowa i widział rysy, których nie umiałby przekazać. Dominujący w tym zjawisku ton skojarzył mu się później z hasłem „czekaj!”. Nie wiedział, o co chodziło i na co miał czekać, ale sama idea wydała mu się nadzwyczaj satysfakcjonująca.

Carl nie potrafi powiedzieć, czy ta wizja mogłaby „potrwać” dłużej i jeszcze bardziej go zaabsorbować, gdyż kres jej przyszedł dość nagle.

— Została ci dokładnie minuta. — To był głos małego Raya. — Pospiesz się!

W sercu Carla wzebrał smutek; czuł, że odebrano mu coś nieokreślonego. Zobaczył chłodne książki, długie, twarde półki i twarz swego młodszego brata. Poczuł ciężar encyklopedii i podłogę pod stopami. Spojrzał na zegar. Była za minutę szósta.

Kiedy spieszył do stołu, miał w oczach łzy. Potem jednak nie umiał powiedzieć, czy wywołał je ból, czy też szczęście. Nigdy się tego nie dowiedział.

Przed pójściem do łóżka powierzył tę tajemnicę Josephowi i Rayowi.

— Może to babcia chciała ci coś przekazać — zasugerował Ray. Ich babcia zmarła rok wcześniej.

— Nie — stwierdził Joseph. — To było od Boga. Mówili nam w szkółce niedzielnej, że Bóg zsyła takie znaki, żeby pokazać ludziom, co się stanie.

Carl często wracał myślą do tego niezwykłego zdarzenia. Na co miał czekać? Kto do niego przemawiał? Czego tak bardzo pragnął w tamtej chwili? Ale nawet te pytania nie potrafiły zniweczyć słodczy, jaką budziło w nim wspomnienie tamtej wizji. I to właśnie dokonało w nim subtelnej zmiany, którą zauważyło wielu, ale tylko nieliczni zrozumieli. Miał wrażenie, że oddalił się od innych. Nigdy już nie był „z” nimi, nigdy nie odczuwał żadnej więzi. Podczas przyjęć, kolacji, spotkań i wykładów znajdował się zawsze z boku, odseparowany od pozostałych.

Naprawdę czekał. Dopiero po latach miał się dowiedzieć, co zapowiadała owa wizja.

Carl w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku dostał się do Princeton, w czterdziestym siódmym zrobił dyplom z psychologii, w pięćdziesiątym pierwszym obronił pracę doktorską, a kolejne sześć lat poświęcił na dalsze studia i badania. Cztery spędził w Stanach Zjednoczonych, ostatnie dwa w Europie. Wrócił w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym, by zatrudnić się na stałe na uniwersytecie Midwest jako wykładowca. W ciągu tych piętnastu lat, od czterdziestego drugiego do pięćdziesiątego siódmego, ogromnie się zmienił.

Pierwsze — i prawdopodobnie najważniejsze — zmiany wiązały się z wpływem jednego ze studentów, Tybetańczyka

imieniem Olde, którego Carl poznał w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim. Olde zapoznał go z — jak to nazywał — „wyższą formą modłów”.

Olde urodził się w Tybecie, mieszkał tam do dziesiątego roku życia, później kształcił się w Szwajcarii i w Niemczech, po czym udał się do Stanów Zjednoczonych na studia doktoranckie. Twierdził, że należy do pradawnego zakonu *Gelugpa* („Prawych”) i że jest — podobnie jak jego ojciec — *sprulsku*, czyli kolejnym wcieleniem jednego z lamów.

Do pierwszej poważniejszej rozmowy doszło, gdy Carl miał okazję usłyszeć, jak Olde przedstawia konspekt swojej pracy. Tematem jej była relacja pomiędzy Yamantaką, bogiem mądrości, a Yamą, władcą świata podziemi. Carl zapytał naiwnie, dlaczego Yamantaka jest przedstawiany jako bóstwo o trzydziestu czterech rękach i dziewięciu głowach. Odpowiedź Tybetańczyka, pozornie nieadekwatna, dała początek jakimś dziwnym skojarzeniom. Carl nigdy jej nie zapomniał.

— Im więcej rąk i głów widzisz u Yamantaki, tym lepiej widzisz *tamto*. A tylko *tamto* jest prawdziwe.

Tamto? Tamto? Tamto? Czy nie zetknął się z *tamtym*? Co to właściwie było?

Carl przyjrzał się Tybetańczykowi. Zrozumiał, o co mu chodziło. Umieszczenie dodatkowych głów i rąk służyło podkreśleniu absurdalności istnienia owych części ciała jako samych w sobie. Ręka, głowa, krzesło, liść, wszystkie te *obiekty* były nieistotne, realne i znaczące stawały się dopiero w odniesieniu do czegoś innego, do *tamtego*. Rzeczywistość to swoista forma negacji. Liczyła się tylko nierzeczywistość, gdyż tylko ona była naprawdę realna. Carlowi wydało się także, iż właśnie dlatego, od czasu swej wizji, wołał się wycofywać, stawać z boku, unikać angażowania się w sprawy materialne i zaabsorbowania tą „rzeczywistością”.

Temu delikatnemu objawieniu towarzyszył jednak smutek podobny do tego, jaki Carl odczuł przed laty, kiedy mały Ray tak raptownie wyrwał go ze świata wizji. „To [spotkanie z Tybetańczykiem] była najistotniejsza chwila w moim ówczesnym życiu”, wspomina dzisiaj Carl V. Oprócz owego smutku, odżyło w nim *tamto* chłopięce pragnienie, musiał się zgodzić na ból wywołany przez nostalgię i raz jeszcze usłyszał w zakamarkach swojej pamięci *tamto* spokojne i krzepiące „czekaj”, będące zaraz obietnicą i gwarancją spełnienia.

Carl i Olde często się widywali. Po jakimś czasie Tybetańczyk wprowadził go w tajniki „wyższej formy modłów”. Carl

z tradycyjną modlitwą zetknął się już w domu rodzinnym i szkolce niedzielnej. To wszystko jednak sprowadzało się do ustalonych tekstów, hymnów i sporadycznych przejawów bardziej spontanicznego kontaktu, przeważnie przy okazji posiłków i indywidualnych modłów.

Olde podważył wszystkie nawyki i idee Carla. Słowa, powiedział, a zwłaszcza koncepcje utrudniają „wyższą formę modłów” i prawdziwe porozumienie z tym, co Carl, jako chrześcijanin, nazywał Bogiem, a on sam określał mianem „Wszystkiego”. Carl, jego zdaniem, powinien był nauczyć się owej „wyższej formy”.

Carl codziennie spotykał się z Tybetańczykiem, który zapoznawał go z tajnikami właściwego podejścia do ciała i „tonów” umysłu. Wymogi związane z ciałem dość łatwo było określić. Wyciszenie (wczesnym rankiem, przed wschodem słońca, i późną nocą, kiedy życie wokół uczelni zamierało) i wyeliminowanie wszystkich zewnętrznych bodźców — wygodne ułożenie ciała w pozycji siedzącej i luźne, jak najlżejsze ubranie. Wszystko to jednak, podobnie jak następne szczeble tej wiedzy, służyło tylko przygotowaniu i miało charakter tymczasowy. Olde wyjaśnił Carlowi, że jeśli uda mu się zrobić postępy, zdoła przeskoczyć wszystkie materialne przeszkody. Będzie mógł nawet „modlić się” pośród młotów pneumatycznych pracujących w komnacie o ścianach z brązu. Tak mu to przedstawił.

Carl szybko nauczył się osiągać stan wyciszenia i koncentracji. Następne kroki wymagały czasu — i skierowały go ku parapsychologii. Olde twierdził, że Carl musi się uwolnić od „świata rzeczy”. Amerykaninowi łatwo było zrozumieć, jak opróżnić wyobraźnię, jak zablokować pamięć, by nie budziła żadnych obrazów, i jak wyeliminować nawet najlżejsze przejawy świadomości własnego ciała, okrywającej je odzieży, chłodu lub ciepła, a nawet własnego oddechu. Przez długi czas ociągał się jednak z pokonaniem ostatniego szczebla. Olde ostrzegł go, że może mu grozić, iż zacznie zataczać kręgi i nigdy nie posunie się dalej. Taki, praktycznie, był los większości ludzi.

Ostatnim szczeblem było wyeliminowanie świadomości swego stanu w momencie modlitwy — wszystkich koncepcji, wyobrażeń i uczuć. Carl dość długo nie potrafił uwolnić się od myślenia o tym, że opróżnia swój umysł; nie umiał też opanować swej woli, wciąż *pragnął* tego opróżnienia. To wszystko wydawało mu się błędnym kołem. Człowiek pracuje nad swym umysłem, by nie myśleć; zmusza swą wyobraźnię, by nie tworzyła obrazów, a uczuciom zakazuje czuć. Robiąc to, odwołuje

się do swej woli. Wtedy jednak, jak wydawało się Carlowi, umysł zdominowany jest przez jedną myśl: „nie mogę myśleć”. Wyobraźnia podsuwa wizje tego, czym będzie, jeżeli pozbawi ją wyobrażeń. Co więcej, człowiek wciąż czuje, że nie powinien nic czuć. Carl zataczał więc krąg za kręgiem, po czym zatrzymywał się, zmęczony, wyczerpany i zawiedziony.

— Nie poddawaj się — mówił mu Olde. Pocieszał go, że mogło być gorzej, dodając, że jest pewien, iż Carl któregoś dnia zgłębi ten sekret — dokona drobnej, niemal niezauważalnej poprawki.

— Kiedy ci się uda, od razu to odczujesz — powtarzał mu nieustannie.

Ale Carl przez długi czas popełniał ten sam błąd: *starał się* dokonać owej poprawki. Nie wiedział i nie mógł wiedzieć, że tej szczególnej poprawki po prostu się dokonuje. Odwołuje się przy tym nie do umysłu, woli, wyobraźni i pamięci, ale do samego człowieka jako do istoty obdarzonej tymi cechami. Cała rzeczywistość staje się nagle tak przejrzysta, że widać przez nią *tamto*, „nierzeczywistość”. Po przejściu tego etapu człowiek wkracza w rejon bytu pozbawiony cieni, kształtów i materii, gdzie to, co realne, miesza się z nierealnym, a konkret stanowi tylko dopełnienie całości.

Ledwie Carl osiągnął ów stan „wyższej formy modłów”, Olde raptownie ograniczył ich kontakty.

— Teraz, kiedy będziesz chciał się modlić, naprawdę się modlić — powiedział na koniec — będziesz wiedział, jak to robić.

To było na ostatnim roku studiów doktoranckich Carla w Princeton. Czekano go jeszcze kilka swobodniejszych lat pracy naukowej i badań, po których miał zająć się swą karierą uniwersytecką. Aż palił się do tego, by nadal doskonalić się pod kierunkiem Tybetańczyka, i uważał to za realne, zwłaszcza że Olde zamierzał pozostać na uczelni jako wykładowca.

Jednakże Tybetańczyk nie kwapił się do dalszych kontaktów. Dlaczego? O to właśnie zapytał go Carl pewnego ranka, kiedy przechadzali się po miasteczku uniwersyteckim. Dlaczego?

Olde niewiele wówczas mówił. Przyznał, że wskazał Carlowi *Vajnanę*, czyli „piorun”, wehikuł siły mistycznej. Ale żadna forma perswazji nie zmusiłaby go do skierowania Carla ku *Mantrayanie*, wehikułowi mistycznych formuł.

— To, co zrobiłem, wystarczy — mruknął. — To, co zrobiłem, jest wystarczająco niebezpieczne — dodał po chwili namysłu.

Carl nadal nie potrafił tego zrozumieć. Nalegał, by Olde wyjaśnił swe słowa albo chociaż wskazał mu właściwą drogę.

Któregoś dnia Tybetańczyk przestał odpowiadać na jego pytania. Każda dusza, powiedział, która zwraca się ku doskonałości Wszystkiego, na początku poszukiwań przypomina pąk lotosu. Pod kierunkiem mistrza lub przewodnika powoli rozchyła swoje osiem płatków. Mistrz jedynie towarzyszy temu otwarciu. Kiedy płatki już są rozchylone, umieszcza między nimi małą srebrną urnę prawdziwej wiedzy. Gdy znów się stulą, cały kwiat staje się wehikułem owej wiedzy.

— Tej srebrnej urny nie da się umieścić w twoim kwiecie — dodał niechętnie Olde, odwracając wzrok. — To miejsce jest już zajęte przez samopowielającą się negację. — Przez chwilę milczał. — Brud. Materializm. Błoto. Śmierć.

Carl był oszołomiony, zabrakło mu słów. Olde poszedł dalej, nadal na niego nie patrząc. Oddalił się już o pięć kroków, kiedy Carl się załamał. Zdobył się na zdławiony okrzyk:

— Olde! Mój przyjacielu! Olde!

Tybetańczyk zatrzymał się, wciąż odwrócony plecami. Był skupiony, nieruchomy, milczący. W końcu powiedział cicho, nie kierując tych słów do Carla:

— Przyjaciel jest święty.

Carl nie zrozumiał tego stwierdzenia.

Potem Olde odwrócił się powoli. Carl z trudem rozpoznał jego rysy. Nie było w nich nic z tak typowej dla jego przyjaciela łagodności. Na czole Tybetańczyka pojawiły się zmarszczki, a jego oczy płonęły żółtawym światłem. Głębokie linie przekreśliły jego usta i policzki. Nie był zagniewany. Był wrogi. Ten obraz na zawsze wraził się w pamięć Carla. Podobnie jak słowa, które wtedy powiedział Olde:

— Masz Yamę bez Yamantaki. Czerń bez bieli. Nicość bez czegoś.

Po raz ostatni zwracał się bezpośrednio do Carla.

Kiedy Olde znów się odwrócił, Carl nagle poczuł, że coś zeń odpływa. Na parę chwil pograżył się w „wyższej formie modłów”. Rozczarowanie i wzburzenie ustąpiły miejsca niesmakowi i głębokiej pogardzie dla Tybetańczyka. Kiedy popatrzył na jego plecy, niknące w oddali, uświadomił sobie, że czuje lęk przed nim i tym, co on reprezentuje. Czuł, że Olde jest, w pewnym sensie, jego wrogiem. Wszystko wskazywało na to, że on sam, Carl, sprzymierzył się z kimś, do kogo Tybetańczyk nie miał dostępu.

Złapał się na tym, że krzyczy:

— Wróg!

Olde przystanął i spojrzal przez ramię na Carla. Jego twarz odzyskała swój dawny wyraz. Czoło, policzki i usta były znów gładkie, wolne od zmarszczek. Oczy, spokojne i szeroko otwarte, wypełniły się znów nieprzeniknioną światłością. Widoczne w nich współczucie chlasnęło Carla niczym pejcz. Nie życzył sobie niczyjego współczucia. Cofnął się o krok, chciał coś powiedzieć, ale żadne słowo nie przeciskało mu się przez gardło. Odszedł jeszcze o krok, powoli się odwracając, potem wykonał kolejny, któremu znów towarzyszył półobrót, i nagle *odkrył*, że się oddała. Mówił sobie, że zdecydował się odejść, ale w głębi ducha wiedział, iż został odrzucony, zmuszony do wybrania innej drogi.

Widocznie Olde miał także swoich opiekunów.

Kontakt z Tybetańczykiem miał wielki wpływ na dalsze losy Carla. Jeśli wziąć pod uwagę niezwykle zdolności tego ostatniego, wydaje się niemal nieuniknione, że to wejście we wschodni mistycyzm z podkreśleniem jego aspektów psychicznych skierowało go ku zgłębianiu tajników stosunkowo nowej dziedziny nauki, jaką była parapsychologia, i zainteresowało paranormalnymi elementami ludzkiej świadomości.

Spotkania z Olde'em, co najważniejsze, spotęgowały jeszcze u Carla umiejętność czytania w myślach. Dawniej nie zawsze był w stanie określić dokładnie, co myślą otaczający go ludzie. Ogólnie rzecz biorąc, umiał rozpoznać stan, w jakim znajdowały się ich umysły — wyczuć zmartwienie, szczęście, lęk, miłość, nienawiść etc. — a czasami nawet odczytać dokładnie ich myśli. Dyscyplina, jaką narzucił mu Olde, pozwoliła na precyzyjniejsze opanowanie tej cząstki postrzegania pozazmysłowego. Odkrył, że coraz łatwiej przychodzi mu wykorzystywanie tej umiejętności. Po jakimś czasie mógł już odwoływać się do niej, ilekroć zapragnął.

„Wyszkolony” przez Tybetańczyka, podczas całej swej kariery uniwersyteckiej tylko dwukrotnie zetknął się z ludźmi, którzy byli dlań „nieprzezroczyści”. Nigdy nie udało mu się odczytać ich myśli, rzadko też miał okazję określić stan ich ducha. Pierwszą z tych osób była jego przyjaciółka, Wanola P.. Potem pojawił się ojciec Hartney F. („Hearty”), kapłan, który z polecenia swego biskupa studiował parapsychologię.

Wanole P., absolwentkę psychologii, Carl poznał w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym, w rok po zerwaniu kontaktów z Olde'em. Wysoka, atrakcyjna blondynka ze Środko-

wego Zachodu, osiągała niezłe wyniki w sporcie i miała dość duże powodzenie w swym środowisku. Nie to jednak zafrapowało Carla, ale specyficzne połączenie jej nieprzeciętnej inteligencji, sposobu, w jaki patrzyła na jego studia nad religią i duszą, i tego, że — mimo wszelkich starań — nie był w stanie spenetrować jej myśli i uczuć.

Kiedy zaczęli się spotykać, Wanola zapragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o jego zdolnościach nadzmysłowych. Zafascynowały ją, podobnie jak jego nowatorskie koncepcje i śmiałe podejście do różnych zagadek i problemów związanych z psychologią. Ale gdy poznała go bliżej, fascynacja ustąpiła miejsca współczuciu; później zaś zaczęła się lękać o jego zdrowie psychiczne i życie duchowe. Przypominało to poniekąd reakcję Tybetańczyka, tyle że tym razem wszystko potoczyło się szybciej. I ten dość krótki związek z Wanolą zrodził w umyśle Carla wiele pytań.

Czasami prosiła go o rozwinięcie marginalnych, jak się zdawało, uwag na temat „odkrycia” „prawdziwej” i „pierwotnej” postaci chrześcijaństwa. Nie dawała mu się przekonać, iż Jezus był prostym rybakiem z Galilei, którego zmieniło to, iż przyjął w siebie Boga. Najbardziej jednak niepokoiło ją to, że Carl postawił sobie za cel doświadczalne sprawdzenie sensu religii w warunkach laboratoryjnych.

Któregoś dnia, tuż po powrocie z krótkich wczasów na Środkowym Zachodzie, Wanola prosto z lotniska udała się do pokoju Carla. Niosła w ręku pęk dzikich kwiatów, zerwanych przed odlotem. Co ciekawsze, Carl doskonale pamięta ten bukiet, mimo iż twierdzi, że kiedy Wanola weszła do pokoju i zaczęła z nim rozmawiać, absorbowały go zupełnie inne sprawy. Pamięta niebieskie goryczki, psie zęby, krwawniki, lwie paszcze i chabry.

Ale kiedy Wanola weszła z tym bukietem, nie powitał jej i nawet się nie uśmiechnął. Wymachiwał niewielką książeczką autorstwa Aldousa Huxleya, zatytułowaną *Drzwi percepcji*. Wanola do dziś pamięta, jak podawał jej ten tytuł. Potem zawołał

— Huxley wie na ten temat wszystko! Meskalina! A ja nie potrzebuję meskaliny!

Wysłuchała długiego kazania na temat Huxleya. Potem wyszła, zabierając ze sobą bukiet.

Carl dokonał wyboru: odsunął się o krok od zwyczajnej ludzkiej czułości. Sam pojął to dopiero po egzorcyzmach. Wanola już wtedy rozumiała. Niekiedy do niej wydzwaniał, ale — ku jego rozczarowaniu — nie chciała go już widzieć.

Książka Huxleya poruszyła go do głębi. Od razu wychwytał jej główne przesłanie: umysł i psychika zdolne są do przyjęcia wiedzy i doświadczenia stanów, o jakich śnili tylko nieliczni przedstawiciele cywilizowanego świata. Egzystując w środowisku miejskim, ludzka psychika nauczyła się koncentrować swoją energię tylko na jednym — na walce ze światem materii. Huxley wskazywał na konieczność prac nad środkami psychodelicznymi (otwierającymi psychikę), nie powodującymi uzależnienia i skutków ubocznych, pozwalającymi ludziom na uwolnienie energii psychicznej i pełne wykorzystanie zawartego w niej potencjału.

Carl, zaabsorbowany studiami nad osobowością dwoistą, odkrył, że Huxley ukazał mu nowy horyzont. Może to, co zwykle się nazywało problemem zwielokrotnionej osobowości, jest w rzeczywistości kwestią uwolnienia psychiki z więzów konwencji? Może tak zwani schizofrenicy są ludźmi, którzy szokiem przyplacili oświecenie? A może tacy ludzie egzystują w odmiennych stanach świadomości, pozwalających im na wychodzenie poza świat materii, przekraczanie barier czasu i przestrzeni i upajanie się autentyczną wolnością ducha?

Moment ten należy uznać za bardzo ważny dla rozwoju Carla. To, do czego zmierzał Huxley i co, za pomocą meskaliny, częściowo osiągnął, Carl postanowił uzyskać dzięki świadomemu wykorzystaniu swych zdolności paranormalnych.

Wracając myślami do wizji, którą miał niegdyś w gabinecie swego ojca, widział w niej przedsmak tego, co mógłby i powinien osiągnąć: postrzegania duchowego, uczestnictwa w bycie istniejącym poza czasem i przestrzenią, dostępnego dzięki parapsychologii. Wydało mu się, iż celem nauk Tybetańczyka było jedynie wyzwolenie umysłu i woli spod wpływu zmysłów i materii. Nic dziwnego, że nie przejął się zbytnio odejściem Wanoli. Doszedł do wniosku, że i tak musiałyby kiedyś zniknąć. W jego życiu nie było już miejsca na żadne więzi wymagające zaangażowania emocji i fizycznego kontaktu z drugim człowiekiem.

Mimo iż Carl zajął się parapsychologią w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim, pod wpływem rozmów z Olde'em, dopiero w pięć lat później nadał tym zainteresowaniom charakter ściśle religijny. Pod koniec pięćdziesiątego siódmego, mając za sobą dwa lata studiów w Europie, powrócił do

Stanów, by w kilka miesięcy później rozpocząć wykłady na uniwersytecie Midwest.

Uważał tę pracę za dość atrakcyjną: dawała mu wiele materiału do badań. Znalazł sobie niewielkie mieszkanie nie opodal miasteczka uniwersyteckiego i to w pełni zaspokoilo jego ambicje zawodowe, związane z wydziałem psychologii. Tam skoncentrowało się jego życie. Mieszkanie składało się z salonu i gabinetu, które można było połączyć w jedno i urządzać tam seminaria i prywatne wykłady, a nawet przeprowadzać eksperymenty.

W ciągu roku zdołał się tam zadomowić i wytypować spośród swych najlepszych studentów niewielką grupkę entuzjastów, którzy zgodzili się pomagać mu w badaniach.

Pewnego wieczoru, kiedy był całkiem sam, niespodziewanie przeżył pierwszy ze swoich, jak to później nazwano, „transów”. Akurat wrócił do domu po kolacji, którą zjadł u jednego ze współpracowników. Dochodziło wpół do ósmej. Był niezwykle spokojny i pewny swego.

Kiedy przeszedł z salonu do gabinetu, wzrok jego padł na wychodzące na zachód okno. Słońce jeszcze nie zaszło, ale na niebie widać było rozżarzone plamy i smugi. Okno przypominało dyptyk skąpany w czerwieniach, oranżach, szarych błękitach i lekko złotawej bieli.

Carl podszedł do niego, a kiedy utkwiał wzrok w zachodzącym słońcu, coś w jego wnętrzu uległo subtelnej, lecz raptownej przemianie. Znieruchomiał, jakby powstrzymała go jakaś niewidzialna i olbrzymia dłoń. Zamarł, choć nie miało to nic wspólnego ze zmrózeniem krwi w żyłach lub paraliżem.

Potem ów dziwny bezruch przeniknął wszystko, co znajdowało się po drugiej stronie szyby. Później zaczęły znikać poszczególne cząstki tego widoku. Najpierw ulotniło się wszystko, co dzieliło okno, przy którym stał Carl, od zachodzącego słońca: dziedziniec, budynki, trawniki, ulica, drzewa i krzewy. Nie odsunęły się poza zasięg jego wzroku, ale przestały dla niego istnieć. Wiedział, że mógłby poszukać ich wzrokiem i nic by nie znalazł. Zniknęły z pola widzenia. I to zniknięcie wydawało mu się daleko prawdziwsze niż ich dotychczasowe trwanie. I choć wyglądało to dość niesamowicie, czuł wtedy absolutny spokój.

I, oczywiście, po zniknięciu wszystkich elementów tego krajobrazu *odległość* dzieląca go od słońca zmieniła się w bezkształtną próżnię. Nie było „między” nimi nic, nawet szczeliny,

nawet pustki. Mimo iż ani o krok nie zbliżył się do ognistej tarczy, czuł, że zna ją doskonale.

W końcu zniknęło nawet samo okno. Carl, który w owym czasie coraz mniej zwracał uwagę na barwy i odcienie umierającego słońca, w chwili gdy przestała istnieć rama okienna, „widział wyłącznie słońce”, nie potrafił jednak znaleźć właściwych słów dla podkreślenia owej różnicy ani znaczenia, jakie miała dla niego ta sytuacja.

To, na co patrzył — co obserwował — coraz bardziej rozrastało się w jego świadomości, on sam zaś konsekwentnie malał. Był coraz mniejszy. Coraz mniejszy.

Nagle przeraził się, że i on „zniknie”, podobnie jak krajobraz za oknem. Był pewien, że oznaczałoby to unicestwienie. Im większe i potworniejsze stawało się to, co widział, tym bardziej czuł się nieważny i zbędny.

Ledwie zaczęło ogarniać go przygnębienie, poczuł, że budzi się coś, co później zaczął nazywać „przyjacielem”. Zawsze podkreślał, że ten „przyjaciel” był osobą — choć nie w potocznym znaczeniu tego słowa. „To był byt osobowy”, twierdził. Nie „zjawił się” nagle, towarzyszył mu przez cały czas, a jednak było to nieoczekiwane spotkanie, jako że Carl nigdy przedtem nie uświadamiał sobie jego obecności.

Nie doszło do żadnej „wymiany” zdań, obrazów ani koncepcji. Mimo to, Carl był absolutnie pewien, że „dowiedział się”, że jeśli nie „wyrazi zgody”, unicestwienie stanie się faktem.

Ta perspektywa przysporzyła mu okropnych cierpień. A jednak jakiś aspekt jego osobowości „ociągał się”, nakłaniał go do powiedzenia „nie”. Niezrozumiały impuls nakazywał mu przeciwstawić się narzucanemu mu żądaniu. Ale ten zew utonął pośród natłoku chaotycznych myśli, równie dziwnych jak całe to zdarzenie. *Nie wiedział, jak ma się przeciwstawić.* Na jaką potęgę miał się „powołać”? W imię jakiej mocy miał ponieść konsekwencje tej decyzji i jak mógłby to przetrwać? Dziś mówi, że przez długi czas odcinał się od takich pojęć, jak pomoc i zbawienie, i że „nie miał nikogo, do kogo mógłby się zwrócić”. Znajdował się na skraju totalnej samotności, na skraju nicości.

Nic więc dziwnego, że z ulgą „wyraził zgodę”. Zaakceptował to w pełni. Ale nadal nie był pewien, na co się zgodził.

Wrażenie, iż pogrąża się w nicości, przyszło. Czuł wszechogarniającą ulgę. Niemal w tej samej chwili usłyszał dobiegające z daleka wołanie:

— Carl! Carl! Dobrze się czujesz? Carl!

Okno i krajobraz znów się pojawiły. Zachód słońca „cofnął się” na swoje miejsce. Oczy nie odmawiały już posłuszeństwa.

Poruszył się i rozejrzał. Albert, jeden z jego młodszych asystentów, położył mu rękę na ramieniu. Przez chwilę milczeli. Czekali, aż zajdzie słońce. Potem Carl usiadł i w obecności Alberta nagrał opis owego przeżycia.

Słowa, które przychodziły mu do głowy, zaskakiwały nawet jego samego. Mówił o tym transie jak o kontakcie z Bogiem, jak o doświadczeniu religijnym. Zwracając się zarówno do Alberta, jak i do magnetofonu, oznajmił, że jego życiowym celem jest odkrycie prawdziwego życia duchowego i dogłębne poznanie tajemnicy Boga i jego objawienia — dzięki parapsychologii.

Wyzначył sobie kierunek. Przez następne pięć lat pracował nieustannie i metodycznie, budując teorie, testując i rozwijając swoje zdolności nadzmysłowe, przyciągając do siebie studentów i asystentów.

W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim spotkał na uczelni drugą osobę, której myśli i uczuć nie udało mu się zgłębić. Ojciec Hartney F. pojawił się na drodze Carla w dziesięć lat po Wanoli P., w jedenaście lat po Tybetańczyku.

Było to podczas ostatniego semestru. Carl dorobił się już tytułu profesora zwyczajnego. Ojciec Hartney F. (dla przyjaciół, „Hearty”) był jedynym członkiem jego nowej grupy, którego Carl nie w pełni rozumiał i nie potrafił „przejrzeć na wskroś”. I właśnie to, podobnie jak w przypadku Wanoli P., szczególnie zaintrygowało Carla.

Hearty wyglądał zupełnie normalnie, nawet niewinnie. Rosły, kościsty człek, raptownie łysiejący, korzystający z okularów o grubych szklach, siadywał w drugim rzędzie, intensywnie wpatrywał się w Carla i niekiedy coś sobie notował. Zawsze nosił nienagannie czysty, czarny garnitur i koloratkę. Podczas wykładów siedział nieruchomo, rzadko zerkał na boki i nie spieszył się z zadawaniem pytań.

Mimo iż pierwsza praca Hearty’ego, nie lepsza i nie gorsza od innych, nie zrobiła specjalnego wrażenia, Carl skorzystał z okazji, by porozmawiać z tym „nieprzezroczystym” studentem.

Stwierdził, że kapłan jest prostodusznym człowiekiem, obdarzonym nieprzeciętną pamięcią i żelaznym zdrowiem, dobrze obeznanym z podstawami psychologii i zainteresowanym parapsychologią z uwagi na — jak to określił — „pracę duszpasterską”. Wszystko wskazywało na to, że przekonał swego biskupa,

iz kompetencja w tej dziedzinie pomogłaby mu w kontaktach z współwyznawcami i zrozumieniu ich problemów.

Na marginesie tej rozmowy Hearty wspomniał o kilku przypadkach opętania. Opowiadał też o egzorcyzmach. Carl wówczas nie był tym zbytnio zainteresowany. Odsunął ten temat na plan dalszy, wspominając coś o konieczności zaktualizowania teologii i obrzędowości kościelnej.

Zaspokoiwszy, na ile było to możliwe, swoją ciekawość, Carl zakończył tę krótką rozmowę, podkreślając kilka błędów technicznych, które znalazł w pracy Hearty'ego.

Nadal jednak był dość nieufny i nie zachwyciło go to, że dwoje jego studentów, Donna i Bill (para, która w przyszłości miała znaleźć się z nim w Akwilei), zaproponowało wprowadzenie Hearty'ego do specjalnej grupy, którą właśnie tworzył. Uzasadniali to tym, iż udział członka którejś ze społeczności chrześcijańskich byłby wskazany, jako że jednym z celów grupy było wykorzystanie niezwykłych mocy psychicznych Carla do zbadania przeszłości tego kultu. Hearty zaś był w owym czasie jedynym studentem mającym kontakt z teologią i kapłaństwem.

Carl postanowił, że zanim zaprosi tego „nieprzezroczy-stego” kapłana do swej grupy, raz jeszcze z nim porozmawia. Zaprosił również dwóch swoich asystentów, Alberta i Normana, a także grupę studentów należących do jego grupy.

Kapłan nie stwarzał żadnych problemów, był bardzo uprzejmy, ważył każde słowo. Albert i Norman, słuchając pytań profesora i odpowiedzi Hearty'ego, odnieśli jednak wrażenie, że ten wywiad zmierza donikąd. Kapłan nie stawiał oporu. Nie odpowiadał wymijająco, nie stosował uników. Rzecz sprowadzała się do tego, że mimo iż udzielał absolutnie szczerych odpowiedzi, w żaden sposób nie ulegał argumentom Carla. I nie wynikało to z jego szczególnych oporów ani z różnicy zdań. To było coś innego.

Świadkowie tej rozmowy sprowadziliby wszystko do różnicy temperamentów, gdyby nie pewien niefortunny splot wydarzeń, kiedy inicjatywa znalazła się w rękach Hearty'ego. Kapłan chciał się dowiedzieć, na jakiej podstawie Carl uważa, iż dzięki zdolnościom paranormalnym uda się dotrzeć do ducha.

Albert stwierdził, że to tylko założenie, ale możliwe do przyjęcia.

Hearty zapytał więc, czy to oznacza, iż zdolności paranormalne są podporządkowane duchowi.

Znów uzyskał odpowiedź twierdzącą.

Potem wydało się, iż Hearty ma kolejny problem: jeżeli przyjąć, że grupa nie rości sobie pretensji do wyższego szczebla wiedzy — (rzecz jasna, że tego nie brano pod uwagę; powstała tylko po to, by znaleźć odpowiedź na szereg pytań) — skąd może wiedzieć, że działa pod wpływem *dobrego* ducha? A może zakłada, że ten duch jest dobry? Jeśli tak, to na jakiej podstawie?

Fakt, iż Hearty poddawał w wątpliwość pozycję, jaką Carl zajmował w grupie, zburzył atmosferę tego spotkania. Jeden z jego uczestników powiada dzisiaj: „nawet sobie nie uświadamialiśmy, jak bardzo Carl wpłynął na nasze umysły”. Albert i Norman odnieśli wrażenie, że obrażono coś, co akceptowali, i zaczęli się buntować.

Zaczęli się przekrzykiwać, zadając pytania Hearty'emu. Carl uniósł rękę, prosząc o ciszę. Zachowywał absolutny spokój, ale w jego oczach pojawił się niepokojący błysk i twarz mu zbieleła. Pojął wyraźnie, że nie ma dostępu do tego człowieka. Hearty przeciwstawiał się wszystkiemu, co sobą stanowili.

Ale Carl nie poddawał się: był skupiony i opanowany. Przypomniał swoim asystentom, że wszyscy studenci mają prawo głosu. Dopuszcza się wszystkie punkty widzenia. Co więcej, ojciec F. (Carl położył nacisk na słowie „ojciec”), jako kapłan, ma podstawy, by przedstawiać swoje zdanie.

Hearty przypomniał, że Carl, z racji swej profesji, też może uzasadnić swoją pozycję. Nagle zapadła cisza. Carl odczuł, że może dobrać się do duszy kapłana, nie był jednak pewien, co tam czyta. Potem Hearty znów się „zamknął”. Znów był „nieprzezroczysty”.

Carl uśmiechnął się pogardliwie i zasugerował, że chce przyjrzeć się bliżej motywacjom Hearty'ego. Zawahał się jednak i zmarszczył brwi. Wszyscy członkowie grupy zareagowali na tę pełną napięcia ciszę. Hearty nie spuszczał wzroku z Carla.

Profesor zebrał siły i uśmiechnął się do kapłana.

— Ojcze, co tobie daje podstawy, by tak sądzić? — zapytał wreszcie. — Powiedz krótko.

— Jezus. Jezus Chrystus. Jako Bóg i jako człowiek. — odpowiedział Hearty i bez wahania sam zadał pytanie. — A panu, panie profesorze?

Carl nie raczył odpowiedzieć. Powiedział, że być może przyjdą czasy, iż ojciec F. stanie się obiektem takich badań jak on sam. Dopóki to nie nastąpi, nie należy się spieszyć z kwestią jego wstąpienia do grupy specjalnej.

Napięcie przysło.

W okresie dwóch ostatnich lat studiów Hearty'ego Carl nierzadko głowił się nad jego „nieprzezroczystością”. Cóż łączyło tego kapłana z Wanolą P.? A jeśli przyjąć, że są dobre i złe duchy? Ale ilekroć zadawał sobie to pytanie, stawało mu przed oczyma całe jego życie i zawsze się to kończyło trudną do przyjęcia alternatywą. Zwątpienie w ducha, który go prowadził, równałoby się totalnemu przewartościowaniu jego prac. Jak mógłby sobie na to pozwolić? To mogłoby się wiązać z rezygnacją z profesury i z odrzuceniem parapsychologii.

W czerwcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku, po egzaminach końcowych i obronie pracy, Hearty odbył krótką rozmowę z Carlem. Obaj miło wspominają ten fakt. Carl życzył swojemu studentowi tego, co najlepsze, mimo iż nigdy nie zdołał przeniknąć jego duszy.

Po wyjściu Hearty'ego Carl stwierdził, że nie może zająć się pracą. Coś, co kapłan powiedział, a może zrobił — tego Carl nie potrafił określić — potrafiło w nim dawno nie używaną strunę. Profesor ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się, kompletnie nad tym nie panując. Łkał tak przez dziesięć minut, czując niewysłowioną ulgę.

Potem owa zwiotczała struna znów się napięła i zeszytniała. Usiadł prosto. Łzy wyschły. Wróciło dawne nastawienie. Należało wziąć się do roboty.

Do kolejnego spotkania z Heartym doszło dopiero w dziesięć lat później.

W ciągu kolejnych ośmiu lat Carl nie przestawał eksperymentować z odmiennymi stanami świadomości. Równie często odbierał obecność „aury nierzeczywistej”, tej samej, którą Huxley nazywał „nie-jaźnią”. Przeszedł niejeden trans. A co ważniejsze, dostąpił „wyniesienia”.

Pierwsze przypadki odmiany stanu świadomości wiązał ze splotem okoliczności zewnętrznych. Jednego dnia doszedł do wniosku, że atmosfera się oczyściła: przez cztery doby padało, a potem przyszedł silny, porywisty wiatr. Innym razem czuł, że to doświadczenie łączy się z jego wspaniałą formą fizyczną i głębokim poczuciem satysfakcji z udanych eksperymentów. Kiedy indziej powiązał ten stan ze wspaniałą dyskusją w gronie współpracowników.

Ale stopniowo przyjmował do wiadomości, że źródło tych poważnych zmian znajduje się w nim samym.

Po pierwsze, wszystko łączyło się z tym, co czuł — co widział, słyszał, wdychał i odbierał — ale zaskakująca odmienność tego doświadczenia wynikała z faktu, iż ów stan *zaczynał się i kończył* „poza” jego zmysłami. To była kwestia „nadmysłów”. Po drugie, sprawa dotyczyła zarówno ludzi, jak i zwierząt, roślin i obiektów nieożywionych. I, co najważniejsze, stany te odnotowywały obecność Boga. Carl utrzymywał, że to *przejawy* boskości. (W owych dniach nigdy nie mówił o „Bogu” i o „Bożym dziele”, wspominał jedynie o „boskości” albo „bóstwie”).

Pierwsze stadia owego procesu były niezwykle proste, choć kłopotliwe. Krążąc, na przykład, pośród tłumów kupujących albo udając się na samotne spacery za miasto, Carl w pewnym sensie przestawał dostrzegać oczy, ręce, drzewa i ziemię. Miejsce po tych oczywistych obrazach wypełniała sieć indywidualnych wzorów i znaczeń, skupiająca na sobie jego świadomość.

Idąc ulicą, zauważał czasem nie twarze i ubiory, ale sposób, w jaki przechylały się głowy, garnąc się ku niemu, rozstępując się przed nim albo sunąc w tym samym kierunku.

Ale te wrażenia były ulotne, dynamiczne jak rtęć. Początkowo, ilekroć usiłował je uchwycić, zawsze mu się wymykały. Narzucały mu się później, kiedy usiłował zająć się swoimi sprawami.

Po serii takich doświadczeń Carl uświadomił sobie, że wzory, które widzi, nie mają nic wspólnego z ruchem głów czy gałęzi i że dostrzega je nie za pośrednictwem wzroku. Obserwował je jedynie dzięki swej świadomości. Widział elastyczność, płynność i żywiołową swobodę ducha. Ducha uwolnionego z pęt materii.

Po jednym z takich doświadczeń Carl pognął do laboratorium i zapisał, zaferowany: „To przejaw boskości! Udało mi się! Odkryłem związek pomiędzy psychiką i duchem, świadomością i wiarą, boskością i człowiekiem! Odkryłem to! Odkryłem! To przejaw boskości!” Zapisu tego dokonał w marcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku.

W ciągu kolejnych dwóch lat zdarzało mu się to coraz częściej i nasilało się. Czasem wiązało się z oczami innych ludzi albo z ruchem stóp, kiedy indziej dotyczyło ich głów. Za każdym razem miało to inne znaczenie, ale wszystko razem stapało się w niesamowitą całość.

Szczególnie dotyczyło to oczu. Każda ich para, niezależnie od barwy i siły wyrazu i cech jednostkowych, zdawała się nieść w sobie jakąś cząstkę widzenia totalnego, ożywiającego i mobi-

lizującego. We wszystkich, z którymi się stykał, dostrzegał to samo zbiorowe wejście, nie niweczające jednak ich indywidualności. Wzór, jaki w nich znajdował, kojarzył mu się nie tyle z ogromnym Okiem Opatrzności, co ze wspólnym *wzrokiem*, ze wspólnym *widzeniem*.

Na tej samej zasadzie, obserwując ruch posuwających się do przodu stóp, dostrzegał w nim *siłę* pewnej istoty, którą w swoich zapiskach określał mianem „ducha”. W ruchach rąk — w gestykulacji, w każdym machnięciu, wskazaniu czy podniesieniu czegoś — odkrywał subtelność ducha. Jeżeli słuchał głosów, nie zważał na akcent, artykulację czy skalę. Uderzało go to, co nazywał „tonalnością”. Każdy głos niósł w sobie część totalnej harmonii, tak jak woda niesie w sobie część światła, choć sama światłem nie jest; tak jak ściana doliny odbija krzyk, choć sama nie staje się dźwiękiem; tak jak kolor, mimo iż obojętny, oddaje nastrój; tak jak zapach, którego nie sposób dotknąć, informuje nas o dotykalnych płaszczyznach i substancjach.

Na progu kolejnego roku Carl dostrzegł, że choć stan jego świadomości wciąż ulega zmianom, towarzyszą temu stale dwa nowe elementy. Czuł wyraźnie, że coś mu „towarzyszy”, nie opuszcza go ani na chwilę. Nie śmiał nawet myśleć, co to jest, gdyż wiedział, że takie dociekanie by to coś zabiły. Wiedział jednak, że ma do czynienia z bytem osobowym. To coś było inteligentne i swobodne, górowało nad nim, nie trwożąc go jednak swym ogromem. Z czasem, rejestrując w notesie lub na taśmie magnetofonowej kolejne spotkania z owym „towarzyszem”, zaczął nazywać go „przyjacielem”.

Odkrył też, że zatraciły się gdzieś granice dzielące owe doświadczenia. Wszystko stapiało się w całość. Wszystkie linie i wzory, wszystkie aspekty znaczeń i bytów zdawały mu się jednym. Dość szybko sobie uświadomił, że zawsze tak było. Odkrył też, że tylko dzięki istnieniu tych pierwotnych granic mógł dostrzec tę jedność. Przejawy boskości ustąpiły miejsca trwałemu kontaktowi z bóstwem i wszystko, co go otaczało, stało się jednością. Wszystko wynikało z tej samej istoty.

Stopniowo, ku swemu zaskoczeniu, zaczął dostrzegać znaczące różnice pomiędzy tym, co nazywał „przyjacielem”, a tą istotą, tym wszechwładnym, swobodnym i niezależnym duchem, który zdominował wszystko, nie podlegając żadnemu porządkowi.

Ilekcję Carl „odbierał” najdrobniejsze nawet rozdźwięki pomiędzy tymi dwiema „osobami”, ogarniał go jakiś smutek, nad którym nie umiał zapanować. Znowu czuł, że coś traci,

podobnie jak pod koniec owej wizji, którą miał jako szesnastolatek. Rozbudowywał swoje notatki i zapisy magnetofonowe, pragnąc jak najwięcej uchwycić i utrwalić.

Pod koniec tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku zaczął odbierać indywidualną „aurę nierzeczywistą” otaczających go ludzi i przedmiotów. Do tego momentu, nawet wówczas gdy pochłaniało go ich totalne znaczenie, widział to wszystko jedynie jako obiekty materialne. Szczególne znaczenie miała dla niego ich trwałość.

Któregoś dnia, wczesnym rankiem, siedł z swego mieszkania do biura znajdującego się na terenie miasteczka uniwersyteckiego. W powietrzu czuło się jeszcze nocny chłód, ale orzeźwiający wiatr, dotykający drzew i trawy, zapowiadał jeden z tych przyjemnych, słonecznych dni, które Carl tak uwielbiał.

Ostatnim odcinkiem tej trasy była droga, wysadzana z jednej strony topolami. Z drugiej rozciągała się dwustutardowa łąka, za którą widać było rząd budynków należących do wydziału rolnictwa. Dalej rozciągało się pasmo wzgórz.

Carl, idąc, popatrzył w tamtą właśnie stronę, leniwie przyglądając się drzewom, krzewom, budynkom i trawie, chłonąc ogarniającą wszystko światłość.

Był tak skoncentrowany na własnych doznaniach, że natychmiast uchwycił nagłą zmianę. Wszystko, co widział, było nie tylko materialne. Tak jakby każdy obiekt istniał na skraju swej własnej otchłani, był obdarzony swoją własną „nierzeczywistością”, swoim zaprzeczeniem.

To doświadczenie zaabsorbowało go daleko bardziej niż słowa Huxleya, liryczne opisy „nie-jaźni” i jej piękna; było znacznie prawdziwsze i pełniejsze niż jakakolwiek materia.

„Nierzeczywistość” przybrała postać aury spowijającej wszystkie obiekty. Tuż przy nich była blada, wąta i nadto jasna, ale wystarczyło oderwać wzrok od obiektu i przyjrzeć się jej uważniej, by dostrzec, jak intensywnieje i nabiera znaczenia.

Nic, żadna rzecz nie będzie już nigdy banalna, pomyślał Carl, żadna nie będzie już dla niego tym, czym się zdaje być. Aura nierzeczywistości jarzy się wiecznie i *wszystko powołuje do istnienia*. Odkrył, że w tym przypadku wygląd przedmiotu jest tożsamy z jego znaczeniem.

Kiedy tak błędził wzrokiem po owych obiektach, doszukując się sensów w ich „nierzeczywistości” i „nie-jaźni”, słyszał coraz potężniejszy chór nikłych głosów i dostrzegał coraz większe rzesze rozmodlonych istnień. Wszystkie żdźbła trawy wyśpiewywały swoje bezgłośnie: „Święty! Święty! Święty!”

Wszystkie drzewa chyliły się przed majestatem bytu, a budynki składały hold wszechogarniającej tajemnicy.

Nie zaszokowało to Carla. Nawet nie przystanął. Zdawał się być gotów na przyjęcie tego w siebie. Wchodząc na ścieżkę wiodącą do biura, pragnął tylko jednego: tego, by choć raz wznieść się tak wysoko — nawet na chwilę — by ujrzeć i pojąć ów wszechwładny byt wszystkich rzeczy i spotkać się z tą świętą tajemnicą, która nadała im sens.

Dostał takiego wyniesienia, ale dopiero w cztery lata później.

W maju tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku opętanie tymi ideami jeszcze mocniej odcisnęło się na życiu Carla. Wiązało się to z jego zainteresowaniami zawodowymi. Przez poprzednie dwa lata koncentrował się na dwóch aspektach rozwoju psychicznego: na podróżach astralnych i reinkarnacji. Oba te zagadnienia ściśle korespondowały z fascynującą go wciąż myślą o „odkryciu prawdziwego i pierwotnego chrześcijaństwa”.

Podróże astralne miały mu pozwolić na przekroczenie granic czasu i przestrzeni i na „odwiedzenie” miejsc, w których ten kult istniał, zanim się nie zdewaluował. Dzięki doświadczeniom z reinkarnacją — w co święcie wierzył — miał nadzieję wskrzesić swoje dawniejsze doznania, może nawet z początków chrześcijaństwa.

Badania, studia i eksperymenty, związane z podróżami astralnymi, pozwoliły Carlowi na częściowe opanowanie tej szczególnej umiejętności, ale mimo szeregu prób nie był w stanie przekroczyć pewnych granic. Zazwyczaj pozostawał w sąsiedztwie swego bezwładnego ciała i w miejscach, które znał z życia pośród materii. Czuł, że jest ściśle przypisany do teraźniejszości. Najpilniejszym celem, jaki sobie postawił, było wyrwanie się z tych ram czasowych. Utrzymywał, że musi istnieć jakaś „brama”, wiodąca do pełnej swobody.

Rozpoczął kolejną serię eksperymentów, w których brali udział jego najbliżsi współpracownicy, Albert i Norman, a także członkowie jego specjalnego zespołu. Przyjął rolę królika doświadczalnego i każdą z tych prób zaczynał od wejścia w trans. Widać było wyraźnie, że dysponuje nieprzebranymi zasobami energii psychicznej i jest odporny na obrażenia, które tak często osłabiały innych podążających tą samą drogą.

Eksperymenty przeprowadzali w audytorium należącym do jego pracowni w miasteczku uniwersyteckim. Zainstalował tam szereg urządzeń rejestrujących jego głos, działania i pracę jego

organizmu — funkcjonowanie serca, tętno, oddech i aktywność mózgu.

Nadzór nad tymi obserwacjami należał do Alberta, Norman pełnił funkcję pierwszego asystenta. Kiedy eksperyment wchodził w fazę kluczową, Albert zadawał Carlowi szereg pytań. Zazwyczaj, jeżeli nie liczyć ostatnich doświadczeń, uzyskiwał tylko najprostsze odpowiedzi: potwierdzenia i zaprzeczenia. Pozostali członkowie grupy zajmowali się obsługą urządzeń.

Carl najłatwiej zapadał w trans wczesnym rankiem, na godzinę lub dwie przed wschodem słońca. Pod koniec każdej sesji sygnalizował swym asystentom, że mają się wycofać, i samotnie starał się dojść do siebie. Takie odzyskiwanie sił zajmowało mu od dziesięciu do czterdziestu minut. Powracający asystenci zwykle znajdowali go przy stole, nagrywającego swoje wspomnienia: wrażenia, myśli, doznania i przeczucia.

Podczas owych powtarzających się eksperymentów, związanych nierozdzielnie z transami Carla, odkryli, że podróży astralnej nie da się odbyć w ramach jednego zrywu. Była to kwestia nie jednej „bramy”, a trzech. Carl mówił zawsze o „niskiej”, „średniej” i „wysokiej”. Żeby osiągnąć konieczną dla podróży astralnych swobodę, musiał przekroczyć je wszystkie we właściwej kolejności.

Niska brama wiązała się, mniej lub bardziej, z wejściem w trans: z zanikiem reakcji sensorycznych i wrażliwości. Środkowa wymagała od Carla zerwania kontaktu z ciałem, ale pewną część jego psychiki nadal pozostawiała zablokowaną. Wysoka, jak przypuszczał, pozwalała na ucieczkę z tego „bezruchu” i „swobodną” wędrówkę astralną. Reszta była kwestią odkrywania i objawienia.

Przejście Carla przez dwie pierwsze bramy zostało zweryfikowane dzięki serii ściśle kontrolowanych eksperymentów, powtarzanych raz po raz, aż wszyscy zgodzili się co do tego, iż Carl jest w stanie osiągnąć oba te stany. Próbując odtworzyć przebieg tych eksperymentów, opieramy się na filmach, zapisach magnetofonowych, dziennikach laboratoryjnych i informacjach, które sam Carl nagrywał po każdej z takich sesji. Dysponujemy też wspomnieniami kilku członków jego zespołu.

Kiedy Carl zapadał w trans i przestawał reagować na bodźce zewnętrzne (na przykład, na wbicie szpilki w stopę), asystenci przestawiali przedmioty pozostające w sąsiedztwie jego bezwładnego ciała. Wnosili takie, których nigdy nie widział — zazwyczaj tabliczki przygotowane przez kogoś znajdującego się w

innym pokoju. Układali je na różne sposoby, odkrywając i zasłaniając umieszczone na nich napisy; przesuwali je. Przeprowadzili tak szereg testów, upewniając się ostatecznie, że Carl potrafi dokładnie określić nieznane jemu przedmioty — i że osiągnął niską bramę.

Z zapisów Carla wynika, iż znajdując się na tamtym poziomie, był świadomy, choć nie opierał się na swoich zmysłach. Swoich obserwacji dokonywał spoza swego ciała, widział zarówno to, co je otaczało, jak i to, co było nad nim i pod nim, a nawet pod kozetką, na której leżało.

Następnym celem była brama środkowa. We wszystkich „stanach niskiej bramy” Carl instynktownie czuł więź łączącą go z bezwładnym ciałem, na które „patrzył”. Uważano to za przejaw „uwarunkowań” związanych z naturą ludzką. Chodziło o to, by się ich pozbyć.

Wszyscy mieli świadomość, iż próba wyzbycia się czegoś tak naturalnego i instynktownego, jak kontakt z własnym ciałem, łączy się z ogromnym ryzykiem. Jaką mieli gwarancję, że uda się ów kontakt wznowić, że człowiek będzie w stanie „wrócić” do normalnych funkcji życiowych? Czy psychika, wyrzuwając się z tego układu, zostawi ciało nienaruszone, tak by móc się z nim ponownie związać? A może zniszczy je, odchodząc? Tego nikt nie wiedział.

— Ale musimy to sprawdzić — zdecydował Carl.

Pod koniec tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku zaczął wchodzić w kontakt ze środkową bramą: podczas transów tracił łączność ze swoim ciałem, dotykając umysłem i wolą dziwnej przestrzeni nie podporządkowanej żadnym wymiarom. Zarówno on sam, jak i jego asystenci bardzo ostrożnie penetrowali ten stan. Carl pozwalał sobie na częściowe osłabienie tej instynktownej więzi, po czym odzyskiwał pełną kontrolę nad swymi zmysłami. Powtarzał tę operację szereg razy, aż zyskał pewność, że posiadane zasoby energii psychicznej pozwalają mu na powrót do normy, przekroczenie niskiej bramy i odzyskanie sił fizycznych. W początkach lata sześćdziesiątego ósmego roku uzyskał swobodny dostęp do bramy środkowej.

W kilka miesięcy później zdecydowali, że zaatakują bramę wysoką. Był sobotni ranek. Wszystko przebiegało pod pełną kontrolą, zgodnie z przyjętymi na samym początku założeniami. Carl minął niską bramę, potem, nie zwlekając, średnią. Na tym etapie, w myśl planów, jakie poczynili dzień wcześniej, zrobili trzyminutową przerwę, czekając, aż Carl opanuje swą energię psychiczną na tyle, by wykonać kolejny, trudny krok.

Kiedy dotarł do bramy środkowej, Albert, pamiętając o owej pauzie, przestał zadawać mu pytania, ale proces posuwał się dalej. Carl całkowicie stracił kontakt ze swym ciałem. Nagle znalazł się w jakimś innym stanie, w jakiejś innej przestrzeni: przebywał blisko swego ciała, a zarazem daleko od niego; nie czuł się ani lekki, ani też ciężki; miał wrażenie, że jest przezroczysty; nie tęsknił ani za życiem, ani za śmiercią; nic sobie nie przypominał, ale i nie zapominał; nie uświadamiał sobie nic nowego, ale i nie ignorował nic ze swej dawnej wiedzy. Przeszłość i przyszłość przestały dla niego istnieć. Przeszedł przez bramę środkową i dotarł do wysokiej.

Albert, Norman i pozostali członkowie zespołu stwierdzili z niepokojem, że urządzenia nie rejestrują żadnych śladów aktywności mózgu Carla. Profesor uprzedził ich jednak, że tak może się zdarzyć, mówiąc, że na poziomie wysokiej bramy, a nawet na jej progu, może wystąpić zanik pracy mózgu, a przynajmniej nie uda się odnotować jej przebiegu. Nic więcej nie potrafił przewidzieć. Asystenci nie byli w stanie stwierdzić, co się z nim dzieje.

Przed Carlem zaś roztoczyła się nagle rozległa, zmieniająca się wciąż panorama. Dziś twierdzi, że zgromadziły się wokół niego twarze i miejsca, które znał z własnego doświadczenia i z książek: znów zobaczył posąg Ramzesa Wielkiego z Abu Simbel, minojską boginię z szesnastego wieku przed naszą erą, lutnistę ze starożytnego Tyru, ateńską świątynię Nike, łaźnie Mohendzodaro, najstarsze budynki Jerycha, skute lodem połacie, bagna, kłęby gazu, otchłanie czerni, tebańskie figowce sprzed dwóch tysięcy lat i wyżyny Machu Picchu.

Nie chodziło tu o wizje czy też obrazy: widział te przedmioty i te miejsca. Co ciekawsze, nie pochwycił się pojedynczo, oddzielone czasem i przestrzenią. Spoglądał na nie z daleka i widział wszystkie razem.

Magnetofony podczas tego etapu sesji odnotowały jedynie szepty asystentów. Carl, przekroczywszy wysoką bramę, umilkł.

Po dwudziestu pięciu minutach Albert i pozostali członkowie zespołu zaczęli już się niepokoić, lecz nagle ożyły monitory rejestrujące puls i bicie serca. Pojęli, że Carl „wraca do siebie”, odzyskuje siły. Zaczął reagować na polecenia i sugestie Alberta. W dziesięć minut później było już po wszystkim. Carl powoli otworzył oczy i zamrugał.

Wszyscy wyszli, dając mu czas na odzyskanie formy. Wrócili po kwadransie i stwierdzili, że nagrywa wszystko, co udało mu się zapamiętać z owej wyprawy. Podniecenie, jakie czuli,

sluchając tej relacji, było najzupełniej zrozumiałe. Należało jeszcze opracować jakąś metodę zweryfikowania danych uzyskanych dzięki tym podrójom astralnym, byli jednak pewni, że rozwiążą ten problem, powtarzając eksperymenty.

Albert, Norman i Carl opuścili audytorium jako ostatni. Ruszyli w kierunku stołówki. Idąc, rozważali najistotniejsze cechy transów Carla.

Dwa lub trzy aspekty podróży astralnych, i to związane dwiema niższymi bramami, Norman uznał za wyjątkowe. Zwrócił uwagę na szczególne uzależnienie Carla od ram czasowych i na rozluźnienie jego więzi z własnym organizmem: Carl nie tylko miał wrażenie, że ogląda swoje bezwładne ciało, ale i czuł, że jest od niego odseparowany.

Podczas dalszej rozmowy Albert i Norman, jak dzisiaj twierdzą, „poddali się” mocy psychicznej Carla, czy też zostali przez nią „zdominowani”.

Carl wyjaśniał akurat kwestię braku odległości, z którym spotkał się podczas podróży astralnych. Obaj przypominają sobie, że powiedział:

— Weźcie, na przykład, tamto wzniesienie. — Wskazał na pasmo wzgórz ciągnące się wzdłuż jego ulubionej ścieżki. — Widzicie je na planie horyzontalnym, jako oddalony od was pion.

W owym momencie zakodowany w ich umysłach obraz owego wzniesienia przestał im przeskadzać. Wzgórza nadal wydawały się takie same jak przed ową szczególną zmianą. A jednak zatarali poczucie odległości: nie byli ani daleko od nich, ani też blisko, ani wyżej, ani niżej, ani na ich poziomie. Sluchając ich opowieści, można dojść do wniosku, że przeżyli coś takiego, jak Carl, kiedy stał w oknie gabinetu i obserwował zachód słońca.

To samo dotyczyło relacji między nimi a Carlem. Nie uświadamiali już sobie dzielącej ich odległości, nie mieli poczucia przestrzeni; byli „ze” sobą i „z” nim. Ze wszystkich dotychczasowych zależności została tylko jedna: czuli swoją obecność.

Odczuwali też jeszcze jedną zmianę, dotyczącą Carla. Wiedzieli, że jest obecny, podobnie jak oni sami. A jednak on był „bardziej obecny”, pozostawał w kontakcie z kimś lub czymś innym. Sami nie umieli pójść w jego ślady. Byli świadkami jego „spotkania” z jakąś inną istotą, słyszeli dziwną rozmowę, dziwne, niezrozumiałe słowa. Chwilami wydawało im się, że Carl rozmawia z dwiema lub trzema „osobami”. Nie umieli dokładnie określić ich ilości. Odczuwali głównie lęk i tęsknili za nor-

malną formą fizyczną i psychiczną, Carl zaś zdawał się wpadać w ekstazę, pochłonięty owym „spotkaniem”.

Nie potrafia określić, co działo się dalej. Pamiętają, że coś mówili, ale zupełnie wbrew swej woli, jakby jakaś rządząca nimi siła narzucała im słowa. Kilkakrotnie powtarzali równocześnie to samo, kiedy indziej wchodzili sobie w słowo. Obaj przypominają sobie, że słyszeli, jak mówią: „Jasne, musimy przygotować miejsce dla Carla i jego towarzyszy”. Bardzo słabo pamiętają, kim lub czym byli owi towarzysze. Nie przypominają sobie żadnych człekopodobnych sylwetek.

Pamiętają, że w pewnym momencie spowiła ich czerń, której nie mogli pojąć ani przeniknąć wzrokiem. Słuch im się przytępił. Potem, jak mówią, ogarnęło ich odrętwienie, wnikające we wszystkie tkanki i usypiające ich zmysły.

I wtedy poczuli, że ktoś kładzie im dłonie na ramionach, i usłyszeli normalny głos Carla.

— Albert! Norman! Słyszycie mnie? Zbudźcie się!

Albert mówi, że otworzył oczy. Norman twierdzi, iż czuł, że owa czerń topnieje, pozwalając mu widzieć. Obaj zobaczyli stojącego pomiędzy nimi Carla; dotykał ich ramion i wyglądał najzupełniej normalnie. Uśmiechał się do nich, sygnalizując im, że wie, czego doświadczyli. Milczeli. Carl wyciągnął rękę, wskazując wzgórze.

Spojrzeni w tamtym kierunku. Pasma było skąpane w słońcu, podobnie jak budynki i ogromna połać zieleni. Znow popatrzyli na Carla.

— Wyniesienie jest czymś, co ludziom niełatwo zrozumieć — powiedział.

Przytaknęli. Poświęcili temu wydarzeniu wiele godzin, próbując je omówić i zrozumieć.

To doświadczenie poważnie zmieniło życie Carla. Uzgodnili, że poinformują studentów z grupy specjalnej o tym, co Norman i Albert przeżyli tego ranka. Wszyscy uznali Carla za swego guru i przewodnika. Nie ukrywali tego przed kolegami ze studiów, ustalili jednak, że nie należy wspominać o „wyniesieniach” Carla, dopóki wyniki badań nie zostaną opublikowane. Od tego czasu, aż do incydentu w Akwilei, nie tylko cenili swego profesora jako parapsychologa, ale i uważali go za przewodnika duchowego, kierującego ich ku prawdziwej wierze.

Więści rozeszły się szybko. Carl zyskał sobie wielu nowych zwolenników. Szczególnej sławy przysporzył mu wykład, który poprowadził wkrótce po tym „wyniesieniu”. Mówił wówczas o religii. Oświadczył, że celem, do którego dąży w swoich

badaniach, jest odkrycie autentycznego oblicza chrześcijaństwa, prawdziwego przesłania Jezusa, wolnego od późniejszych przekłamań.

Z czasem wokół Carla zbierało się coraz więcej ludzi. Przychodzili, prosząc, by pokierował ich rozwojem duchowym. Ale mimo iż grupa stawała się coraz liczniejsza, Carl jeszcze bardziej umacniał swe wpływy. Wszystkim jej uczestnikom narzucał surowe ćwiczenia, biorąc w karby ich wyobraźnię i ucząc ich panowania nad procesami myślowymi, podobnie jak czynił to niegdyś Olde, ale w znacznie większym stopniu.

Zaczął urządzać swej grupie specjalne sesje, poświęcone rozwojowi ducha. Odbywały się w jego prywatnym audytorium, gdzie prowadził także seminaria i wiele eksperymentował.

Podczas owych sesji stał na jednym z krańców pokoju, a siedzący na podłodze „słuchacze” otaczali go półkolem. Mówił powoli, starannie dobierając słowa. Zdawało się, że podczas tych spotkań w pełni wykorzystuje swe moce psychiczne. Każde wypowiedziane zdanie dawało mu coraz większą władzę, a ciała i umysły uczestników sesji stopniowo uspokajały się, zachowując jednocześnie najwyższą czujność.

Dochodziło do tego, że wszyscy nie tylko odbierali obecność jakiejś nieznannej siły, ale i czuli, że gotowi są „pochylić przed nią głowy” (albo „unicestwić się”, jak mówili niektórzy). Kilku słuchaczy odsunęło się od grupy, twierdząc, że to, z czym się tam stykali, było „niezyczliwe”, „zimne”, a nawet „niehumane”. Większość jednak pozostała przy Carlu. Ci, którzy rozmawiali ze mną o tej sile, której obecność odczuwali podczas sesji, podkreślali, że wywierała na ich wewnętrzne doznania niezwykłą presję, „ściskała” je. Nie budziła lęku, ale i nie sprawiała wrażenia dobrotliwej czy też serdecznej. Oszalała, powiedział jeden z nich, jak oszaleć może drapacz chmur, kiedy podejdziesz się do jego ściany i spojrzysz w górę. Oszalamiając, paraliżowała uczucia. Przejmowała kontrolę nad nimi.

Właśnie pod koniec jednej z takich sesji, we wrześniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, po raz pierwszy wyszło na jaw opętanie Carla. Niestety, nikt z jego bezpośredniego otoczenia nie dysponował wiedzą pozwalającą odczytać te znaki. Wszyscy uznali je za niesamowite sygnały pochodzące z miejsca, które nazywali „innym i bardziej rzeczywistym światem Carla”.

Carl skończył akurat swoją wypowiedź i uczestnicy sesji wracali do siebie, wyzwalając się powoli z odrętwienia.

Odbierając już normalnie wszystko, co ich otaczało, zauważyli, że Carl ma trudności z oddychaniem i utrzymaniem się w pionie. Wyginał się dziwnie. Obiema stopami dotykał podłogi, nogi miał zgięte w kolanach, a tułów wychylony w tył, jakby się przewracał. Podbródek wbił w pierś, starając się wyprostować. Poruszał głową, próbując zebrać siły.

Wszyscy zebrani znali podstawową regułę: nie wolno dotykać Carla podczas sesji. Nikt więc nie rzucił się, by mu pomóc; siedzieli i patrzyli.

Norman i Albert, znający Carla lepiej niż pozostali, wyczuili, że boryka się z ogromnymi trudnościami. Coś tu było nie tak. Wymieniwszy spojrzenia, przeszli się po sali i szeptem poprosili członków grupy, by wyszli i zostawili ich z Carlem. Kiedy już zostali sami, Norman otworzył okiennice wpuszczając światło dnia.

Na twarzy Carla malowało się cierpienie połączone z furią. Mamrocząc wyrzucał z siebie oderwane słowa, takie jak „Drugi”, „naprawdę”, „nigdy”, „wola”, „wierny”, „zawsze” i „najwyższy”. Nie zdolali jednak wyłowić w tym bełkocie żadnego sensu.

Carl stopniowo dochodził do siebie. Zaczepnął, raz czy dwa, powietrza, powłókł się do krzesła, opadł na nie i ukrył twarz w dłoniach.

— Zostawcie mnie — powiedział stłumionym głosem. — Później się z wami skontaktuję.

Zostawili go samego.

Następnego dnia, kiedy się znów spotkali, Carl był, jak zawsze, skupiony, uśmiechnięty i władczy, dopóki Albert nie przypomniał mu tej nieszczęsnej sesji. Wtedy się zachmurzył. Odwrócił wzrok. Powiedział tylko:

— My także mamy wrogów. Naszego wroga. Ten Drugi— (specjalnie podkreślił to słowo) — dąży do zburzenia harmonii psychiki i rzeczywistości, umysłu i ciała.

Powtarzał te zdania szereg razy, jakby recytował jakąś formułę. Spociał się i zaczął dygotać.

Kiedy Norman zaproponował odłożenie popołudniowej sesji, Carl się rozeźlił. Zwłoka oznaczałaby poddanie się *Drugiemu*. Należy za wszelką cenę dotrzymać terminu, oświadczył. Znajdują się o krok od historycznego przełomu.

Do owego „przełomu” doszło późną jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku.

Osiągnąwszy pewną biegłość w dziedzinie podróży astralnych, Carl postanowił wykorzystać ją, by dotrzeć do któregoś ze swych poprzednich wcieleń.

Reinkarnacja, w jego odczuciu, była faktem nie budzącym żadnych wątpliwości. Wierzył, że psychika ludzka składa się z licznych „warstw” czy też „kondygnacji”. Każda „warstwa” („kondygnacja”) łączy się z jednym z kolejnych żywotów i z nich właśnie zbudowany jest człowiek. Wierzył też, że czynnikiem jednoczącym te poziomy jest pewna szczególna „warstwa”, dzięki której istota ludzka czerpie „boskie” światło. To sprawia, że przechodząca przez kolejne wcielenia psychika staje się doskonale ludzka. A w odczuciu Carla, doskonale człowieczeństwo oznaczało niezniszczalność. Tę jednoczącą wszystko „warstwę” nazwał „warstwą alfa”.

Utrzymywał, że podczas nieograniczonych niczym podróży astralnych warstwa alfa zostaje odsłonięta, ale wydobyć ją może tylko koncentracja woli, wspomagana inteligentnymi pytaniami kontrolującego eksperyment. Gdyby ewolucja psychiki odbywała się bez tej warstwy, podróże astralne również byłyby możliwe, ale nie doszłoby do reinkarnacji w pełnym tego słowa znaczeniu.

Carl stosunkowo powoli zbliżał się do swej warstwy alfa i swego pierwotnego wcielenia. Zaczął od studiowania taśm magnetofonowych i filmów, związanych z jego podróżami astralnymi. Odtwarzał swoje słowa i działania, szukając tropów. Specyficznego słownictwa, imion i określeń miejsc, gestów, które można by osadzić w jakimś kontekście kulturowym, etnicznym, religijnym lub nawet geograficznym — wszystkiego, co mogło go naprowadzić na trop owej warstwy alfa.

Przyglądając się sckwencjom uchwyconym przez kamery asystentów podczas minionych sesji, trafił na coś, co uznał za szczególnie fenomen: bywało, że któryś z członków grupy nieświadomie reagował na jego słowa lub działania jakimś niespodziewanym gestem albo przyjęciem określonej postawy. Najwidoczniej coś z jego stanu psychicznego udzielało się i pozostałym świadkom oraz uczestnikom sesji. Carl nie miał jeszcze klucza do tego zjawiska, wykorzystał je jednak, by określić położenie warstwy alfa.

Połączywszy te wszystkie tropy, dotarł wreszcie do niej: do swego wcielenia z początków chrześcijaństwa, z czasów imperium rzymskiego. Umysł i pamięć Carla spełniły rolę sita, przez które przeszły skrawki jego wspomnień i skojarzeń, dotyczących scen, imion, przedmiotów, działań i zdarzeń, które pod-

czas roztrząsania owych sesji uznano za związane z Rzymem i starożytną Italią. Wyrzucając z siebie oderwane słowa i frazy, posługiwał się przeważnie klasyczną łaciną.

Wciąż przewijało się to samo imię: Petrus. Początkowo sądzili, że chodzi o Piotra, apostoła i pierwszego biskupa Rzymu. Ale choć wszystkie te skojarzenia można było odnieść do dziejów Wiecznego Miasta i Piotra, doszli do wniosku, że sprawa Petrusa dotyczy Italii, wschodu i morza.

Carla i pozostałych członków grupy, podczas przeglądu materiałów zdjęciowych, najbardziej zaintrygował fakt, że ilckroć padało to imię, któryś z asystentów — nieświadomie — zachowywał się w określony sposób. Albo podnosił rękę, naśladując starorzyskie pozdrowienie — wyciągając ramię, kierując w górę stulone palce i odsłaniając wnętrze dłoni — albo kulił się, jakby miał opaść na czworaki.

Carl i jego współpracownicy nadal pracowali nad udoskonaleniem swoich badań. Albert, kontrolujący ich przebieg, przygotowywał nowe zestawy pytań. Carl, z każdą sesją, rejestrował coraz więcej szczegółów. Nabierali wprawy w interpretowaniu zarejestrowanych materiałów. Reszta, jak mówił Carl, była tylko kwestią czasu i właściwej okazji. Któregoś dnia cel zostanie osiągnięty.

Jeden z dalszych współpracowników, zainteresowany badaniami Carla, podsunął mu przypadkowo niezwykle cenny trop. Pod koniec rozmowy napomknął, że jego świętej pamięci babka, wywodząca się z Irlandii, uważała, iż takie eksperymenty należy prowadzić w Dniu Zadusznym. Zawsze utrzymywała, że właśnie tego dnia powracają na ziemię dusze umarłych. Carl uznał tę uwagę za „sygnał” ze świata duchów.

Drugiego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku zorganizował specjalną sesję. Zamierzał, z pomocą Alberta, Normana i grupy najbliższych współpracowników, udać się w kolejną podróż astralną i dotrzeć do jednego ze swych wcześniejszych wcieleń — do tego, które intrygowało go najbardziej i cały czas pozostawało poza jego zasięgiem.

Spotkali się, jak zwykle, w audytorium, na godzinę przed świtem. Carl zdawał się być w świetnej formie. Serdecznie powitał swych współpracowników, był spokojny i zadowolony. Panował nad sytuacją. Położył się na krytej skórą kozetce i pozwolił, by go podłączono do urządzeń kontrolnych. Włączono magnetofony i kamery. Wszyscy odmówili ułożone przez Carla modlitwy.

Podczas tego eksperymentu Carl mówił niemal wyłącznie po łacinie, sporadycznie posługując się greką i jakimś innym językiem, który później zidentyfikowano jako jedną z form koptyjskiego.

Wszystko wskazywało na to, że Carl nie miał żadnych problemów z dojściem do wysokiej bramy. Ledwie przez nią przeszedł, napięcie na sali wzrosło. Zebrani czuli, że mają rzadką okazję być świadkami autentycznego przełomu w dziedzinie nauki. Wiedzieli już, że któryś z poprzednich żywotów Carla wiązał się z początkami chrześcijaństwa i Rzymem. Nadal jednak nie było wiadomo, gdzie wtedy żył, jakim był człowiekiem i co odcisnęło się na jego ówczesnych losach.

W ciągu owych miesięcy, kiedy Carl udawał się w podróże astralne, żeby odnaleźć swoją warstwę alfa, jego ciało kilkakrotnie zaczynało lewitować, co zawsze łączyło się z wcieleniem, którego teraz szukał. Ciało nieznacznie podnosiło się nad kozetkę, wisiało w powietrzu, nie dotykając jej, po czym opadało, jak tylko Carl zaczynał wracać do siebie. Zjawisko to występowało nieregularnie; niezbite było jedynie to, iż wiązało się ono z wyprawami do starożytnej Italii i w żaden sposób nie odbijało się na zdrowiu Carla.

Nagranie wideo, zrealizowane podczas tamtej sesji, ukazuje Carla leżącego bez ruchu na kozetce. Donna i Bill siedzą u jego stóp, ich twarze niemal przez cały czas są skupione. To samo powiedzieć można o twarzach innych osób przebywających w tej sali — Alberta i Normana, znajdujących się u wejścia, Keitha i Charliego, czuwających po drugiej stronie Carla, a także obu techników obsługujących urządzenia kontrolne. Ktoś słabo zorientowany mógłby uznać ich wszystkich za rodzzeństwo. Napięciu malującym się na ich twarzach przypisać można jakiś wspólny mianownik, uznać je za jakąś niewidzialną powłokę, zmieniającą ich w jedną rodzinę.

Kiedy Carl minął wysoką bramę, wszyscy nachylili się nad nim, otwierając szeroko oczy i chłonąc jego słowa oraz reakcje. W chwili gdy ciało medium, wciąż nieruchome, uniosło się lekko, usiedli prosto, oszołomieni, w nabożnym skupieniu.

Albert zaczął serię pytań.

— Kim jesteś?

Przez chwilę było cicho. Potem Carl odpowiedział:

— Piotr, obywatel Rzymu.

— Gdzie mieszkasz?

— W Akwilei.

— Jaki dzisiaj dzień?

— Święto boga Neptuna.

— Co dzisiaj zrobisz?

— Wielbimy tajemnicę zbawienia.

— Kto ci towarzyszy?

— Ci z sakramentu.

— Z jakiego sakramentu?

— Tego sakramentu.

— Dlaczego tutaj?

— Tutaj Żółw mierzy się z Kogutem.

— Gdzie?

— W tajemnej kaplicy.

— W jaki sposób wielbicie tę tajemnicę?

— Adorujemy Żółwia. Przeklinamy Koguta.

— Dlaczego?

— Kogut zbeszczył zbawienie.

— Jak?

Carl nie odpowiedział, ale wyraz jego twarzy zmienił się kilkakrotnie. Widzieli wyraźnie coś na kształt oburzenia, cierpienia, złości, lęku i, w końcu, radości. Jego serce zaczęło bić szybciej, puls też miał przyspieszony. Albert odczekał pięć minut, po czym podjął kolejną próbę.

— Gdzie teraz jesteś i co się dzieje?

— Obok Koguta, naprzeciw Żółwia.

Ciało Carla poruszyło się po raz pierwszy — nieznacznie, wciąż lewitując. Donna natychmiast to zauważyła. Zerknęła na Normana, ale ten potrząsnął głową; dał znać, że nie ma powodu do niepokoju. Ciało Carla zaczęło wibrować. Na jego twarzy widać było wysilek.

Albert zamyślił się i podjął decyzję.

— Czy nadal adorujesz sakrament?

Carl nie odpowiedział. Uspokoił się i jakby zwiotczał. Serce i puls wróciły do normy. Ciało łagodnie i prawie niezauważalnie opadło na kozetkę. Najwidoczniej cofał się ku wysokiej bramie, co oznaczało, że sesja zbliża się do końca.

Kiedy sytuacja już się wyjaśniła, wszyscy wrócili na wyznaczone stanowiska. Wyłączyli urządzenia kontrolne, magnetofony i kamery. Potem, jak zwykle, opuścili salę. Norman, jako ostatni, zatrzymał się, by zgasić światło, po czym przestąpił próg i delikatnie zamknął drzwi.

Miał już dołączyć do pozostałych, kiedy nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Wszyscy usłyszeli śmiech dobiegający z auditorium, ironiczny rechot, drwiący i złowrogi.

Popatrzyli na siebie z niedowierzaniem, przekonani, że coś tu nie tak, że czegoś nie zrozumieli. Ton owego śmiechu tak ewidentnie klócił się z podniosłym i radosnym nastrojem tej chwili, że wszyscy skrzywili się z niesmakiem, trochę przerażeni.

Kiedy przebrzmiał ten urągliwy, nikiemny rechot, Albert przekręcił klamkę i otworzył drzwi. Wszyscy spojrzeli w ciemność. Donna, stojąca najbliżej Alberta, wychyliła się nad jego ramieniem. Było cicho i ciemno. Albert dojrzał niewyraźny zarys nieruchomego ciała. Carl wciąż spał. Zdumiony asystent wzruszył ramionami i znów zamknął drzwi.

Donna nie odczuwała się słowem. Ale kiedy drzwi były otwarte, wyczuła jakiś dziwny zapach. Popatrzyła na Alberta i w końcu zapytała, czy zwariowała, czy też ktoś jeszcze to poczuł.

Nie ma powodu do niepokoju, stwierdził Albert. Obaj z Normanem mieli już do czynienia z tym zapachem po kilku eksperymentach i omówili tę sprawę z Carlem. Nie zrozumieli jeszcze tego fenomenu. Ale, jak powiedział Carl, po to właśnie są naukowcy — żeby pojąć, co się stało, i określić przyczyny.

Donna do dzisiaj pamięta ów zapach. Nie był niemiły. Jedynie dziwny. Nie kojarzył się jej z żadnym ze znanych zwierząt, związków chemicznych ani roślin. Przez wiele tygodni nękało ją to wspomnienie.

Od owego dnia do czasu egzorcyzmów wielokrotnie się z nim stykała. Późniejsze jej przygnębienie wynikało częściowo z faktu, że w dobie egzorcyzmów prawie go polubiła.

Sesja uzmysłowiła im dwa fakty: losy poprzedniego wcielenia Carla wiązały się z jakimś szczególnym miejscem w Akwilei i ze świętem Neptuna, rzymskiego boga morza. Święto to, jak wskazywały współczesne kalendarze, wypadło dwudziestego trzeciego lipca. Postanowili więc, że owego dnia pojawią się w Akwilei.

W okresie dzielącym pamiętną sesję w Dniu Zadusznym od lipcowej podróży do Włoch Carl zaczął nosić na szyi dwa symbole Neptuna: delfina i trójząb. Coraz bardziej separował się od spraw codziennych, wiele czasu poświęcając zapisom swoich transów. Kilkakrotnie próbował coś na ten temat napisać, ale nigdy nie zdołał przebrnąć poza pierwsze paragrafy. Wydawać się mogło, że jego dewizą stało się słowo, które dotarło doń w latach jego młodości, podczas pierwszej wizji. „Czekaj!”

Posunął się jeszcze o krok w kierunku rozwinięcia swych mocy psychicznych. Kilkakrotnie oświadczył, że jest w stanie

przebywać jednocześnie w dwóch miejscach, wyświetlając, jak twierdził, swego „sobowtóra” w jakimkolwiek punkcie oddalonym od niego nawet o sto mil.

W ciągu tych miesięcy wskazania natury personalnej, jakich udzielał swym współpracownikom, przybrały postać dogmatów. Przekazywał je łagodnie. Rzecz w tym, że — jak to określił jeden z asystentów — nie pozostawiał im już alternatywy. Nie było miejsca na „albo albo”. Wszyscy musieli dostąpić „oczyszczenia”. Musieli uwolnić umysły i wolę od brudu, wybyć się fałszywych wyobrażeń związanych z Jezusem i chrześcijaństwem.

Większość jego uczniów uznała ten nowy porządek za najzupełniej zdrowy. Lepiej sypiali, studiowali w skupieniu, przestali zważać na błahostki.

Niektórzy z nich czuli chwilami, że tracą coś nieokreślonego. To wprawdzie budziło pewien niepokój, ale i tak nie potrafili dotrzeć do jego źródła. Przygoda, jaką zawdzięczali Carlowi, była tak niezwykle i ekscytująca, a co najważniejsze, obiecywała pełne wyzwolenie z monotonii szarej codzienności.

Kiedy nadeszło Boże Narodzenie, Carl zgodził się na to, by rozjechali się do domów, by uczcić je w gronie rodzinnym. Uparł się jednak, by spędzić z nim święta wielkanocne.

Nie poszli wtedy do kościoła, nie uczestniczyli w żadnej mszy. Zamiast tego, w Wielką Sobotę, zgromadzili się wieczorem pod wzgórzami ciągnącymi się wzdłuż ulubionej ścieżki Carla. Obserwowali stamtąd zachód słońca, słuchając wykładu na temat „prawdziwego ducha”.

Carl mówił wtedy o wieczności ducha. Przyrównując do niej żółwia, a w kogucie upatrując symbol wschodu i zachodu ludzkiego intelektu, opowiadał ze wzburzeniem o „zepsuciu umysłów, które zbyszczęściło piękno Słowa Bożego”. Słońce, powiedział, podniesie się i zajdzie. Podobnie jest ze zmartwychwstaniem. Człowiek podnosi się i upada. Tylko duch trwa wiecznie, podobnie jak ocean, jak żółw, jak niebo i wola. Wszystko to przepaja jeden ton, radosny i mistyczny.

Potem zostawił ich i wrócił do biura. Nikt nie ośmielił się iść za nim. Carl pogrążył się w jednym z tych „stanów”, które wzbudzały w nich ogromny szacunek.

Piętnastego lipca niewielka grupka, ustaliwszy już cały plan poszukiwań, opuściła miasteczko uniwersyteckie i udała się samochodem na lotnisko.

W godzinę później na wydziale psychologii pojawił się Hearty. Szukał Carla. Wyjaśnił sekretarce tego ostatniego, że nie był

umówiony z profesorem, ale ma bardzo pilną wiadomość dla niego i jego towarzyszy.

Trochę potrwało, zanim dowiedział się o wyjeździe Carla i o zamiarze odwiedzenia Akwilei. Złapał taksówkę i popędził na lotnisko. Kiedy tam trafił, samolot sunął już po pasie.

Hearty przez jakiś czas przyglądał się nocnemu niebu połykającemu ów samolot. Mógł się tylko domyślać, w jakim stanie jest umysł Carla. Ale dość dokładnie wiedział, czym zakończy się wyprawa do Akwilei. Tu nie było miejsca na domysły.

OJCIEC HARTNEY F.

W roku tysiąc dziewięćset piątym, kiedy przyszedł na świat Hartney F., miało osiemnaście lat od dnia, w którym jego rodzice osiedlili się w Walii. Był późnym dzieckiem. Jego matka wywodziła się z tamtych stron, ojciec zaś był Anglikiem z Northumberland.

Rodzinne miasto Hartneya, które on sam nazywał Casnewydd-ar-Wysg, choć na angielskim mapach figuruje jako Newport, znajduje się w hrabstwie Monmouth, nad rzeką Usk. Ochrzczono go w kościele parafialnym pod wezwaniem świętego Woolosa.

Kiedy Hearty miał półtora roku, jego ojciec, lekarz ze starej szkoły, odziedziczył znaczny spadek. Do owego dnia trudno im było związać koniec z końcem. Wzbogaciwszy się tak niespodziewanie, ojciec porzucił praktykę w mieście. Przenieśli się do niewielkiej wioski, leżącej w widłach Usk i Severn.

Tam Hartney spędził kolejne dwanaście i pół roku. Ojciec otworzył niewielką prywatną praktykę. W owym domu nad rzeką Severn rodziła się świadomość małego Hartneya, kształtowana przez jego matkę i wzbogacana przez ogrom walijskich tradycji, którymi przesycone było wszystko wokół — ludzie, historia, pomniki i życie codzienne. Kiedy miał sześć lat, posłano go do szkoły. Na codzień posługiwał się językiem walijskim, ale kiedy ukończył siedem lat, ojciec zaczął uczyć go angielskiego.

Wcześniej jego matka, żarliwa patriotka, znawczyni historii i literatury walijskiej, nie tolerowała posługiwania się tym językiem w obecności dziecka. Dopiero, kiedy Hartney skończył czternaście lat, zgodziła się posłać go do brytyjskiej szkoły publicznej, gdzie utrwalił swoją znajomość angielskiego i poważnie zainteresował się nauką. Ale nawet mówiąc po angielsku, nie

wyzywał się nigdy akcentu walijskiego i charakterystycznej śpiewności.

Jego rodzice byli metodystami i w każdą niedzielę modlili się w niewielkiej wiejskiej kaplicy, wzniesionej z kamienia. W osobowości Hartneya, od początku stykającej się z matczynym kultem „walijskiej duszy” czy też „ducha”, urokiem i prostotą hymnów metodystów i wpływem tego wyznania na lokalny folklor, dość wcześnie zakorzeniły się cechy specyficznie celtyckie, które Walijszczy rozwinęli w stopniu wprost niespotykanym.

Ową specyfikę najlepiej byłoby określić jako styl, styl tak odmienny i tak odległy od systemu wartości akceptowanego przez innych ludzi, nie podporządkowany takim walorom, jak inteligencja, spryt, talent, majątek, ziemia i rasa, i nie uciekający się do nich.

W naturze Celtów leży szczególna skłonność do uogólnień: życie i świat dostrzegają w kategoriach światła i cienia. Ta właśnie cecha sprawiła, że nigdy nie mogli się poszczycić podbojami, tworzyć imperiów, bogacić się i podporządkowywać innych swej kulturze. Od początku swych dziejów musieli ustępować Frankom (w Bretanii), Anglosasom (w Walii i Szkocji), nie obronili nawet Irlandii, najdalszego skrawka Europy, zagrożonego przez Rzymian, Wandali, Franków, Anglików, Normanów, Duńczyków i innych drapieżców.

Celtowie zaś rozwinęli to, co im pozostało: swą elokwencję i pokrewną jej swobodę ducha. Są nie tyle myślicielami, co krasomówcami. Ceni się ich zwłaszcza za zadziwiający sposób wyrażania słowem emocji.

To jedno Celtowie doprowadzili do doskonałości. Irlandczycy skoncentrowali się na przedstawieniu celtyckiego zmroku: dwóch zmierzchów, narodzin i śmierci. Szkoci skupili się na grze światła i cienia, nigdy nie dość szczęśliwi, nigdy nie nazbyt smutni. Bretończycy uciekli w mrok, by ukryć swoją wytrwałość.

Walijszczy zaś wybrali światło i nadali barwom swego śpiewu ton pindaryczny. Czystość i piękno języka stały się ich znakiem szczególnym, daleko istotniejszym niż nacjonalizm czy też religia. Uczynili z celtyckiego cienia tajemny schowek dla swych emocji. Wyszli z założenia, iż świat widzialny i materialny jest tylko przybraniem narzuconym wysublimowanej i pięknej rzeczywistości.

I właśnie ten specyficznie walijski sposób myślenia, odczuwania i wyrażania doznań cechował Hartneya, mimo iż niemal całe jego życie rozgrywało się z dala od Walii.

Z tej „walijskości” wywodziły się również jego zdolności paranormalne. Jego rodacy nie robili z tego sensacji. „Połowa moich znajomych też je miała, reszta zaś podejrzewała, że je ma”, powiedział kiedyś. Nie upatrywano w tym żadnej tajemnicy. Wyrastał więc, czując, że nie odbiega od normy i nie wyrasta ponad przeciętność. A bezpieczeństwo, jakie zapewniały mu te zdolności, uważał za nader korzystny fakt.

Dopiero, gdy trafił do szkoły publicznej, a potem do Cambridge, uświadomił sobie, że taki talent jest czymś rzadkim i klasyfikowanym jako nie budzące zaufania odchylenie. Angli cy, dość liberalnie traktujący kwestię własnych emocji i dziwactw, reakcje i zdolności paranormalne innych nacji uważali za przejaw ich prymitywizmu.

Utajone talenty Hartneya rozwinęły się dość wcześnie, dzięki trzem czynnikom, które w jego pamięci utrwaliły się na zawsze: dzięki lokalnemu folklorowi, walijskiemu krajobrazowi i religii, którą wyznawali jego rodzice.

Nie znał jeszcze ani jednego pravidła gramatyki angielskiej, nie umiał posługiwać się probówką, a już obcował z całym bogactwem walijskich tradycji, pozostając w stałym kontakcie z „duchem” — czy też „duszą” — owej ziemi i owego ludu. Umysł miał pełen imion romantycznych ksiąząt, takich jak Rhun ab Owain, Llewellyn i Owain Glyn Dwr, oraz poetów, takich jak piętnastowieczny bard, Tudur Aled. Matka recytowała mu pochodzące z szóstego wieku ody Taliesina i Aneirina. Mowa, jaką się posługiwał, opierała się na formach metrycznych wywodzących się z wieków średnich, takich jak cywydd i englyn. Nauczył się nie wspominać o roku tysiąc pięćset trzydziestym szóstym (w którym podpisano dokument pozbawiający Walińczyków niepodległości).

Tamtejszy krajobraz, który tak mocno wrósł w duszę Hearty’ego, był i nadal jest niezwykle. Bielone chaty, kamienne kaplice, subtelna gra światła w strumieniach, samotność gór i dolin, bezkres pastwisk, bezlitosne czeluści kopalń, gdzie ludzie nurzają się w czerni i zadreżają pracą do utraty tchu, wiedząc jednak, że znów będą śpiewać hymny w kaplicy i powrócą do swych żon i dzieci — wszystko to kryło w sobie jakąś magię. Owen M. Edwards nie mylił się, pisząc: „duch Walii rodzi się w górskiej zagrodzie, w chacie nad strumykiem i w domu górnika”.

To połączenie nieokreślonej natury i ludzkich siedzib Hartney traktował jak coś żywego, obdarzonego osobowością. Nawet po latach, kiedy przebywał w birmańskiej dżungli i powojennej Japonii, z nostalgią wspominając dolinę rzeki Usk, jezioro Bala, wodospad Swallow Falls, Llyn Idwal i plaże na północnym skraju zatoki Tenby, gdzie zawsze spędzał wakacje, znów widział siebie w podłużnej, krytej słomą chacie o małych oknach, wdychającego zapach polci bekonu wiszących w kuchni, zjadającego owsiany placek i pijącego mleko. Te wspomnienia były dlań równie niezwykle, jak wiersz o dolinie Avalon, i tak samo urzekające, jak śpiew kukułki w hrabstwie Merion.

Trzecim czynnikiem, który wywarł na niego ogromny wpływ, był Kościół Metodystów. Hartney utożsamiał go ze świętością. Nie chodziło mu o to, że kaplica to miejsce święte, ani o to, że śpiewa się tam nabożne pieśni (pastor głosił nawet, że to sąsiedztwo cmentarza uświęca ową kaplicę, a nie odwrotnie). Świętość kryła się w sensie owego działania: w hymnach. Boga i Chrystusa wielbiono tam w myśl określonych reguł, nadając pieśniom charakterystyczny rytm i dbając o pewną regularność. Było to święte, gdyż wierni uważali, że rozmawiają z duchem Chrystusa i Boga. Hartney, jako młody chłopak, słuchając wraz z rodzicami owych strzelistych hymnów, odnosił czasem wrażenie, że spadzisty dach kaplicy nie jest już grubą tarczą, przesłaniającą mu niebo. Zmieniał się, w jego oczach, w święty, sięgający Niebios szczyt, umożliwiający aniołom pieśni połączenie ludzi z Bogiem.

Hearty dość wcześnie uświadomił sobie skalę swych zdolności pozazmysłowych. Był w stanie odbierać — nawet słowo w słowo — myśli ludzi znajdujących się zarówno w pobliżu, jak i znacznie dalej, czasem też — o wiele rzadziej — ich cierpienie. Tak było w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim, kiedy znajdując się na polanie w birmańskim gąszczu, dowiedział się, że jego rodzice giną podczas jednego z niemieckich nalotów na Londyn.

W tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym zdecydował się na studiowanie fizyki w Cambridge. Na uniwersytecie zainteresował się wyznaniem rzymskokatolickim. Kończąc studia w roku dwudziestym dziewiątym, był już członkiem tego Kościoła i zamierzał zostać księdzem.

Wyświęcony w siedem lat później, służył w kilku londyńskich parafiach, a w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym wstąpił do armii, jako kapelan. Wkrótce potem wyjechał wraz

z jednostką do Indii, a po kilku miesiącach wysłano ich do Birmy, by nekali znajdujące się tam oddziały japońskie. W owym okresie dorobił się miana „Battling Hearty”*. Skrócone do ostatniego członu, przyłgnęło do niego na zawsze.

Podczas owej kampanii po raz pierwszy zetknął się z opętaniem przez złego ducha. Niewielki oddział, z którym wędrował, zatrzymał się na noc na niedużej polanie. Było spokojnie i cicho. A jednak Hearty obudził się około drugiej, mając niejasne wrażenie, że w pobliżu obozowiska znajduje się ktoś obcy. Próbował znów zasnąć, ale nie mógł się uwolnić od tej myśli.

W końcu usiadł i przez kilka minut nasłuchiwał. Podczołgał się do dowódcy, obudził go i powiedział, czego się obawia. Nie pierwszy raz czuł coś takiego. I nigdy się nie pomylił. Dowódca odczekał chwilę, porozumiał się z wartownikami i postanowił otworzyć ogień. Hearty wskazał mu kierunek. W pięć minut później, nie doczekawszy się kontrataku, skończyli ostrzał, ograniczając się do czuwania.

O brzasku wysłali zwiadowców. Jeden z nich wrócił po kilku minutach. Pociski trafiły w cel. Rozniosły japoński szpital polowy. Hearty i pozostali Brytyjczycy udali się tam i stwierdzili, że cały personel, wyjąwszy jednego, nieprzytomnego żołnierza, pożegnał się z życiem. Dowódca stwierdził, że należy przesłuchać tego niedobitka. Zabrali go do obozu i opatrzyli mu rany. Po kilku godzinach, kiedy odzyskał przytomność, dowódca pojął, że temu biedakowi nie wiele już zostało życia. Przekazał go oficerom wywiadu.

Przed wieczorem owego jeńca odwiedził Hearty. Chciał się dowiedzieć, czy nie jest on chrześcijaninem, czy nawet katolikiem. Gdyby tak było, gotów był udzielić mu ostatniej posługi.

Dotarł do niego o zmierzchu, który w Birmie trwał nadzwyczaj krótko. Podobnie jak inni członkowie oddziału, miał na sobie mundur polowy. Nic nie wskazywało na to, że jest kapłanem. Ledwie się zbliżył, więzień zamrugał i otworzył szeroko oczy, wpatrując się w gęstwą gałęzi przesłaniającą niebo. Hearty spodziewał się ujrzeć w jego oczach mieszaninę lęku i nienawiści. Zobaczył jednak coś zupełnie innego. Wyras, którego nie potrafił określić: owszem, wrogość, ale i coś jeszcze.

Uważając to wciąż za naturalną reakcją na widok obcego munduru, podszedł jeszcze bliżej. Konający był coraz bardziej zaniepokojony: trząsł się, przewracał oczami; zdawało się, że nawet jego krótko ścięte włosy stają dęba. Wyglądał jak bezradne zwierzę, któremu sierść jeży się na widok wroga.

Hearty zatrzymał się, czekając.

Zaczynał odbierać bardzo dziwne „sygnały”. Stykał się już z pojmanymi Japończykami i poznał ich mentalność. Nie znał japońskiego, ale to nie stanowiło żadnej bariery; komunikował się z nimi, nie używając słów. W psychice tego człowieka było coś dziwnego; coś, czego dotąd nie spotkał u istoty ludzkiej.

Przed laty, towarzysząc ojcu i kilku myśliwym, zabił lisa pustoszącego kurniki nad rzeką Severn. Kiedy wziął go na cel i miał już pociągnąć za spust, zobaczył w oczach tego warczącego, agresywnego zwierzęcia czystą nienawiść. Patrząc na jeńca, dogorywającego na owej polanie, miał podobne wrażenie.

Nadal podejrzewając, że został źle rozumiany, wyjął z kieszeni krzyżyk i pokazał go umierającemu. Skutek był natychmiastowy i katastrofalny. W owym czasie znalazł się przy nich jeden z oficerów wywiadu, biegle znający japoński. Obaj słyszeli dziwne, gardłowe dźwięki wydobywające się z ust jeńca.

— Mój Boże! Ojcze, on przeklina twój krzyż — zawołał oficer.

Ale Hearty był już „nastawiony na odbiór”. W jego głowie panował zamęt; wyraźnie odbierał tylko to, co mu przekazano. *Odejdź. Nie chcemy ciebie i tego, co sobą reprezentujesz. Służysz temu, czego nienawidzimy.*

— Kapitanie, zapytaj go o jedno — powiedział do oficera. — Zapytaj, dlaczego nienawidzi krzyża.

Tamten nie zdążył jeszcze zadać owego pytania, a jeńiec już zaczął się podnosić. Jego prawa ręka śmignęła ku bandażom osłaniającym pierś. Zaczęła je szarpać.

— Himiko! Himiko! — Tyle Hearty zdołał usłyszeć, zanim Japończyk opadł na ziemię.

Oficer wywiadu nie rozumiał tego słowa, uznał je jednak za jakieś imię. W kilka sekund później oczy jeńca otwarły się, już zupełnie martwe. Z ran zaczęła wylewać się krew. Potem krwotok ustał.

Hearty dużo później dowiedział się, co oznaczało to słowo. Ale już wtedy, w dżungli, zaświtało mu, że umierający oddał się w opiekę jakiejś duchowej potędze, która wpoila mu uprzednio nienawiść do krzyża. Nie mając jeszcze klucza do tego zjawiska, zaczął rozumieć, na czym polega opętanie.

* W dowolnym tłumaczeniu, „Waleczny Równiacha”. Jako że nie sposób oddać ściśle sensu tego przydomku, a jego drugi człon zastępuje w pewnych wypowiedziach nazwisko, zdecydowałem się pozostawić go w wersji angielskiej i tym samym uniknąć niezamierzonego komizmu. [Przyp. tłum.]

W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym, tuż po zakończeniu wojny, zgłosił się na ochotnika, by pełnić posługi kapłańskie w okupowanej Japonii. Skierowano go do Kioto i w kwietniu objął w posiadanie nową kwatere.

Kioto, nietknięte przez wojnę i świadomie oszczędzone przez aliantów, do roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego ósmego było stolicą cesarstwa. Było też jedynym japońskim miastem zbudowanym na planie kwadratu, tak że wszystkie ulice biegły z północy na południe i ze wschodu na zachód. Powojenna rzeczywistość sprawiła, że Kioto coraz mocniej pograżało się w swej przeszłości, nadal jednak przyciągając radykalnych polityków i myślicieli. Słyszono ze wspaniałych świątyń sintoistycznych i buddyjskich, które Hearty w wolnych chwilach odwiedzał.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym, podczas rozmowy z jednym z nauczycieli z buddyjskiej szkoły Ryukoku, jakimś Obatą, dowiedział się czegoś o Himiko. Wyglądało na to, że imię to nosiła żyjąca w zamierzchłych czasach królowa-szaman, którą jedna ze współczesnych sekt czciła jako władczynię piekieł. Ludzie ci wierzyli, że Himiko nadal żyje pośród ośnieżonych gór nieopodal Kioto i tam właśnie sprawuje swe rządy.

Hearty zaprzyjaźnił się z tym nauczycielem. Obata w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym ukończył Sorbonę. Skupił się na kwestii mistycyzmu; w swej pracy dyplomowej skonfrontował doświadczenia derwiszów z buddyjskim oświeceniem. Opierając się na materiałach zgromadzonych podczas studiów nad tańcami i rytmem derwiszów i swych własnych kontaktach z buddyżmem, wprowadził Hearty'ego w świat wiedzy nie znajdujący oparcia w faktach potwierdzonych i dostępnych nauce.

To pozwoliło kapłanowi spojrzeć z innej perspektywy na wszystko, czego go nauczono. Zaczął uświadamiać sobie mistyczny sens doświadczeń religijnych. Co więcej, dość wcześnie pojął, że zdolności paranormalnych nie należy utożsamiać ze zjawiskami nadprzyrodzonymi i duchem. Tego nauczyło go spotkanie z wierzeniami i praktykami derwiszów i buddystów.

Tej lekcji nigdy nie przyswoił sobie Carl V., przekreślając tym samym już niemal na początku swoją karierę parapsychologa. Jeśli jakiś jego rys psychiczny dopomógł złemu duchowi w procesie opętania, niewątpliwie było nim to zaślepienie. Nie dostrzegając owej istotnej różnicy, Carl powiązał swe talenty ponadmysłowe z istnieniem duszy, czy też ducha. Wszystkie zmiany psychiczne brał za efekty przemiany duchowej, a narzucał mu iluzje uważał za prawdę ostateczną.

Hearty, dzięki Obacie, mógł przyjrzeć się bliżej podstawowym prawidłom telepatii, telekinezy, a także duolokacji. O tych sprawach mówiło się już przed tysiącem lat, kiedy nikomu się nie śniło, że na zachodnich uniwersytetach padną kiedyś takie słowa, jak „parapsychologia” i „percepcja pozazmysłowa”.

Obata, ucząc go, używał jak najprostszycy pojęć i współczesnych terminów. Psychika Hearty'ego, jego zdaniem, była „ekranem”, na którym ukazywały się obrazy wyświetlane przez nadawców o dużej sile przebicia. Kapłan dysponował jednak swoistym mechanizmem „cenzury wewnętrznej”, chroniącym go przed dociekliwością „specjalistów od czytania w myślach”.

Obata zaklasyfikował Hearty'ego jako „odbiorcę”.

— I bądź za to wdzięczny — powiedział kiedyś, kończąc jedną z rozmów na ten temat.

Gdy Hearty zapytał go, czemu ma dziękować za to, że nie może „nadawać” obrazów i poruszać przedmiotów za pomocą telekinezy, Japończyk uśmiechnął się szeroko.

Hearty tylko raz trafił na trop owej odpowiedzi, i to w dość dramatycznej sytuacji. Któregoś ranka, wracając ze spaceru, znaleźli się na skraju Geon, dzielnicy słynącej z gejsz. Obata powiedział to kapłanowi i zatrzymali się na moment. Nagle, zupełnie niespodziewanie, Japończyk runął na twarz i przetoczył się. Błyskawicznie wstał, mrużąc oczy, jakby dowiedział się czegoś, czego nie mógł zaakceptować.

— Hearty-San, nie podoba im się, że jestem tu z tobą. Pospieszmy się.

Padając na chodnik, rozciął sobie czoło; krwawił.

Hearty był zbyt oszołomiony tym niesamowitym zdarzeniem, by o cokolwiek pytać. Ale Obata, żegnając się z nim pod drzwiami jego kwatery, powiedział, na pozór weselo:

— Widzisz, przyjacielu, lepiej jest być tylko odbiorcą. Ale uważaj. Oni już cię znają. I nie zapomną o tobie w przyszłości.

Ten incydent uświadomił Hearty'emu, dlaczego lepiej nie umieć „wysyłać” sygnałów i nie posiadać zdolności telekinetycznych. Ci, którzy to potrafili, w jakiś tajemniczy sposób narażali się na napaść ze strony innych — ludzi albo duchów — dysponujących podobną mocą. Ten, kto znajdował się na tym samym planie, co tamci, tracił odporność.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku, kiedy to upłynął termin przydziału Hearty'ego, kapłan nie zaprzął już sobie głowy incydentem w dżungli i upadkiem Obaty w pobliżu dzielnicy Geon. Poprosił o przeniesienie do Stanów Zjedno-

czonych i otrzymał zgodę. Biskup ze Wschodniego Wybrzeża aż palił się do tego, by mieć go w swojej diecezji.

Kiedy biskup zaproponował mu wspomaganie diecezjalnego egzorcysty, Hearty miał już za sobą dwa lata życia i pracy w Newark. Nie powinno być żadnych problemów, zapewnił go ów duszpasterz. Wiedział, że Hearty ma stalowe nerwy, a jak twierdził: „dziewięćdziesiąt procent tych przypadków to kwestia starganych nerwów albo słabej wiary, albo też jednego i drugiego”.

Okazało się jednak, że owe egzorcyzmy niewiele miały wspólnego z tymi czynnikami. Na ile Hearty zdołał się zorientować, opętany — w tym przypadku, mężczyzna w średnim wieku — przejawiał silny niepokój i znosił szczególne udreki, ale te symptomy ustąpiły, jak tylko obrzęd dobiegł końca. Kapłan natychmiast zgłosił to biskupowi, prosząc, by i w przyszłości brano go pod uwagę w podobnych sytuacjach. Biskup miał pewne opory; nikt, dosłownie nikt, nie garnie się do takich spraw.

— Cóż, ja tak. Nie wiem, dlaczego. Ale tak jest — odpowiedział Hearty.

W ciągu kolejnych sześciu lat asystował przy siedemnastu egzorcyzmach.

Kiedy diecezjalny egzorcysta zmarł nagle, wyczerpany długim zmaganiem ze złym duchem, nie sposób było znaleźć na jego miejsce kogoś silniejszego i bardziej doświadczonego, niż Hearty. On zaś, gdy biskup się do niego zwrócił, nie wahał się ani przez moment.

W tym samym roku wybrał się na jedyny w swoim życiu urlop: spędził dwa tygodnie w Walii. Raz jeszcze wędrował po ukochanej krainie, odwiedzał chaty prostych ludzi, sycił się bekonem, ziemniakami, tłustym mlekiem, serem i owsianymi plackami. Wieczorami siadywał z przyjaciółmi przy ognisku, wspominając dawne czasy i sącząc ognisty *cwrw*, narodowy trunk walijski.

Sześć następnych lat, licząc od powrotu z Walii, służył jako kapłan pomocniczy w kilku parafiach swojej diecezji. Nadal też pełnił rolę egzorcysty. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim biskup zaproponował mu objęcie probostwa. Hearty skorzystał z tej dość znaczącej okazji i przeprowadził długą i poważną rozmowę ze swym duszpasterzem. Mając za sobą sześć lat egzorcyzmów i szereg doświadczeń z problemami na co-

dzień nękającymi parafie, zaczynał dostrzegać dokoła pewne subtelne, ale niepokojące zmiany.

Powiedział biskupowi, że powstaje zupełnie nowa sytuacja, na którą Kościół, jak dotąd, nie zwrócił uwagi. Chodziło mu głównie o nowe kierunki w psychologii i psychiatrii, uważał jednak, że dotyczy to również kwestii powszechnego przywiązania do wiary i pobożności. Zwracając się do psychologów i psychiatrów o przebadanie kandydatów do egzorcyzmów, kilkakrotnie zetknął się z różnymi wzmiankami na temat parapsychologii. Odniósł wrażenie, że zarówno psychologowie, jak i psychiatrzy są przekonani, iż w przyszłości wszystkie fenomeny religijne doczekają się wyjaśnienia i zostaną uznane za *wytwory* ludzkiej psychiki obcujującej z nieznanymi dotąd, odmiennymi stanami świadomości. Poważnie go to zaniepokoiło, gdyż, jak powiedział biskupowi, przekonał się, że ta nowa gałąź nauki, parapsychologia, dąży do wyparcia religii i pozbawienia jej znaczenia.

Hearty przypomniał, że zbliża się czas jego urlopu naukowego. Gdyby biskup nie miał nic przeciwko temu, zdecydowałby się na dwa lata i poświęcił je na zbadanie tego problemu. Rzecz jasna, powiedział, że nie zrezygnowałby ze stanowiska diecezjalnego egzorcysty; gdyby wynikło coś tej natury, natychmiast by się zjawił. Biskup wyraził zgodę i obiecał, że wesprze go finansowo. Dopiero później Hearty wyznał mu, że zamierza podjąć studia na uniwersytecie.

I tak Hearty pojawił się na uczelni, na której Carl V. cieszył się już pewną sławą. W owym czasie kapłan był już szczególnie wyczulony na sprawy związane z szatanem. Niemal od razu zorientował się, że Carl V. ma kłopoty. Początkowo nie był w stanie określić ich skali, jednakże po trzech semestrach i licznych rozmowach z profesorem i jego grupą nabrał przekonania, iż tamten zmierza ku katastrofie i prawdopodobnie wkroczył już w pierwsze stadia opętania.

W ciągu ostatnich miesięcy studiów Hearty wiele się głowił nad wpływem Carla na jego psychikę. Z jednej strony, profesor nie krył ani przed nim, ani przed nikim innym, że uważa kapłaństwo za poważną przeszkodę, uniemożliwiającą rozwinięcie potencjału mocy paranormalnych. Z drugiej zaś, „przekazywał” Hearty’emu subtelne „sygnały”, będące w istocie błaganiem o pomoc.

Odbiór tych „sygnałów” wiązał się zawsze z pewnym schematem. Pojawienie się „informacji”, skrawków jakiejś nicokreślonej wiedzy, poprzedzał krótki okres wyciszenia: Hearty miał

wówczas wrażenie, że jego umysł przestaje produkować myśli, nie tracąc jednak świadomości. Tuż potem odkrywał, że coś wie, nie mając jeszcze klucza do tej wiedzy. I nagle uświadamiał sobie wszystko; odbierał obrazy, do których dopasowywał słowa.

W końcu pojął, że mimo iż jakaś cząstka psychiki Carla znalazła się we władzy złego ducha, reszta nadal jest wolna i niedostępna. To stamtąd płynęły błagania o pomoc. Zrozumiał też, nieco zaniepokojony, że Carl uświadamia sobie, iż on, Hearty, wie o tym opętaniu.

Hearty jeszcze długo nie mógł się oswoić z myślą, iż w osobowości, z którą stykał się kilka razy w tygodniu, panował taki rozdział. Minione lata nauczyły go jednak, że złe duchy nie zawsze wiedzą wszystko — że czasem nawet nie orientują się, ile zdążyły już osiąść. Niejeden raz ten fakt napawał go nadzieją.

Trzy ostatnie „sygnały” dotarły do niego, gdy przebywał daleko od Carla, oddzielony od niego zarówno czasem, jak i przestrzenią. Pierwszy nadszedł w dniu, w którym, zakończywszy studia, pożegnał się z profesorem. Kiedy spojrzął raz jeszcze na budynek, który właśnie opuścił, usłyszał wyraźne wołanie: „Pomóż mi! Przyjdź, kiedy już niemal całkiem ulegnę”. Zaszedł wtedy do uniwersyteckiej kaplicy i pomodlił się trochę. Musiał zaufać i uwierzyć w to, że zjawi się, gdy Carl będzie tego potrzebował.

Następny dotarł do Hearty'ego pewnego ranka, w drugiej połowie siedemdziesiątego drugiego roku, kiedy kapłan przebywał już w Newark. Carl był bliski wykonania ostatniego kroku; pragnął, by ktoś go od tego odwiódł, ale sam nic nie mógł zrobić. Zostawiony samemu sobie, musiałby jeszcze bardziej się pograć i poddać się duchowi, który go opętał. Hearty, najszybciej, jak było to możliwe, zjawił się w miasteczku uniwersyteckim, ale rozminął się z Carlem zarówno tam, jak i na lotnisku.

Ostatnią wiadomość odebrał pod koniec lipca. Pojął, że Carl jest w Filadelfii i że go potrzebuje. I znów wyruszył, nie zwlekając, by się z nim spotkać. Nie tracąc czasu, rozpoczął badania związane z przyszłymi egzorcyzmami.

Najpierw postanowił zapoznać się z życiem Carla i sprawdzić wiarygodność jego domniemych talentów paranormalnych. Rozmawiał ze wszystkimi, którzy go bliżej znali. Dotarł do Tybetańczyka i Wanoli P., mieszkających wówczas w innych stanach. Oboje przyjechali, by się z nimi spotkać. Wiele mu pomogła rozmowa z Olde'em. Matka Carla, która w międzyczasie rozwiodła się i ponownie wyszła za mąż, mieszkała na

Malcie. Natomiast ojciec i dwaj bracia profesora okazali mu daleko idącą pomoc.

Do Nowego Jorku przyjechał na wykłady pewien Niemiec pochodzenia szwajcarskiego, którego Carl uważał za najwybitniejszego spośród parapsychologów. Hearty i Carl spędzili tam trzy tygodnie; parapsycholog, w przerwach pomiędzy zajęciami, przebadał profesora. Wynik badań: pozytywny. Badany posiada nieprzeciętne zdolności paranormalne, ale cierpi na głęboki uraz, którego natury parapsycholog nie jest w stanie określić. Nie sposób tego wykorzystać ani za pomocą hipnozy, ani przy zastosowaniu kuracji farmakologicznej.

Hearty i Carl wrócili do Filadelfii. Kapłan czuł jednak pewien niedosyt. Nie ufał parapsychologom.

Nadal mieszkał w Newark, w swojej diecezji, ale jeszcze kilkakrotnie odwiedził z Carlem Nowy Jork. Carl, po gruntownym przebadaniu go przez internistów, trafił w ręce dwóch psychiatrów, którzy poddali go całej serii testów. Wynik tych badań nie różnił się zasadniczo od opinii parapsychologa. Carl V, ich zdaniem, był osobnikiem normalnym i zdrowym na umyśle. Stwierdzili, że latem przeszedł poważne załamanie nerwowe, nie dostrzegli jednakże żadnych poważniejszych odchyśleń od normy.

Jeden z nich zachęcał Carla, by wrócił do Akwilei i dopełnił przerwane rytuały. Hearty przeciwstawił się tej sugestii.

Drugi zaproponował nieśmiało, by Carl na parę lat „dał sobie spokój z religią” i spróbował odzyskać grunt pod nogami i pewność siebie. Kiedy Hearty zbierał się do wyjścia, ów psychiatra rozgadał się nieco. Powiedział, że ma wrażenie, iż wielu ludzi wariuje na punkcie religii. I w tym problem.

— Namów go, ojcze, by poszedł na dziwki. To załatwi sprawę.

— Niech Bóg błogosławi tak zbawienne dziwki, doktorze — odrzekł Hearty, uchylając kapelusza.

Im więcej tygodni i miesięcy pochłaniało to dochodzenie, tym bardziej nabierał przekonania, że nie obejdzie się bez egzorcyzmów. Carl przez cały czas, aż do dnia owego obrzędu, godził się na wszystko. Nawet ponaglał kapłana.

— Zostało mi niewiele czasu, Hearty — mówił ze smutkiem.

Ale Hearty czuł, że niczego nie może zaniedbać. Nigdy nie uwalniał od złego ducha osoby o takich zdolnościach paranormalnych, nie wiedział więc, na ile ten nietypowy czynnik może, nawet wbrew woli Carla, obrócić się przeciwko nim. Upierał się

przy zbadaniu każdego cala „parapsychologicznej” kariery Carla, począwszy od czasów studenckich. Tylko w ten sposób mógł się w miarę dobrze przygotować na zetknięcie z dziwnymi sytuacjami mogącymi zaistnieć podczas egzorcyzmów.

Jeszcze jedno budziło jego wątpliwości. Po raz pierwszy liczył się z tym, że ten obrzęd może opętanego wpędzić w obłąd lub nawet zabić.

Był raczej pewien, że zdolność widzenia aury, podróże astralne i wgląd w poprzednie wcielenia, którymi tak szczylił się Carl, to jedynie zwodnicze sztuczki złego ducha. Sądził też, że jedynym widowym dowodem wyzwolenia go spod tego wpływu będzie zanik owych „zdolności”.

Czuł, że jeśli trafnie ocenił sytuację, główne — i może największe — zagrożenie będzie związane z reakcją Carla na tak nagłe ujawnienie mu, że był przez cały czas oszukiwany i godził się na to. Całe jego życie obróci się w gruzy. Czy Carl zdoła to znieść? Tak potężna dawka rozczarowania, taka utrata złudzeń, jakiej musiałby stawić czoła, mogła — o czym Hearty wiedział zarówno dzięki studiom, jak i własnemu doświadczeniu — nie tylko wpędzić człowieka w stan odrętwienia, ale i pchnąć do samobójstwa.

Mimo iż wszystkie przygotowania i testy wskazywały, że Carl jest silny i zdecydowany, Hearty do ostatniej chwili nie mógł uwolnić się od myśli o tym niebezpieczeństwie. W końcu zapytał Carla, czy woli się wycofać, czy ciągnąć to dalej. Poinformował go o ryzyku, z jakim mogło się wiązać dalsze działanie.

Carl upierał się przy egzorcyzmach.

— Jeśli będę żył tak dalej, moja dusza umrze. Jeśli umrę podczas egzorcyzmów, może zostanę zbawiony. A jeśli wpadnę w obłąd, może Bóg, oceniając mnie, weźmie to pod uwagę.

Wybór miejsca nie przysporzył im większych trudności. Carl chciał, by egzorcyzmy odbyły się w domu jego dzieciństwa, za Chestnut Hill, na płaskowyżu Piedmont, i to w pomieszczeniu, w którym, jako nastolatek, miał swoją pierwszą wizję — w bibliotece ojca.

Hearty, wbrew zaleceniom wielu znanych mu egzorcystów, usunął z tego pomieszczenia jedynie przedmioty kruche i łamliwe, takie jak stojące lampy, wazon, popielniczki, stoliki, szklę, statuetki i obrazy. Wyniósł też dywan. Półki i książki zostawił.

Robiąc to, opierał się na swych wcześniejszych hipotezach. Założył — jak się okazało, słusznie — że zdemaskowanie złego ducha przysporzy mu szczególnych trudności, wynikających

z faktu, iż sprawa była dość delikatna i powiązana ze zdolnościami paranormalnymi.

Carl był telekinetykiem. Nie można było wykluczyć, że wykorzysta tę moc, by utrudnić egzorcyzmy, a nawet je unieвозмоżliwić. Carl jednak, polegając na tej nietkniętej części swojej psychiki, która już wcześniej prosiła Hearty’ego o pomoc, zapewniał, że on sam jej nie użyje i że potrafi się do tego zmusić. Kapłan był więc praktycznie pewien, że wszelkie przejawy telekinety, jakie dostrzeże podczas egzorcyzmów, będą dowodem niezadowolenia złego ducha. A to oznaczało, że będzie mógł podążać za tym tropem, jeszcze bardziej tamtego pognębić i wreszcie go wygnać.

Hearty’emu pomagało przy tych egzorcyzmach czterech ludzi, którzy współpracowali z nim od lat. Nigdy go nie zawiedli, zjawiali się zawsze, gdy zaistniała taka konieczność. Jeden z nich był lekarzem, dwaj prowadzili jakieś interesy, czwarty stał na czele brygady w jednej z fabryk.

Egzorcyzmy trwały pięć dni. Były bardzo nietypowe, jako że ich przebieg, zgodnie z oczekiwaniami Hearty’ego, był w dużej mierze stymulowany przez wyjątkowe zdolności paranormalne Carla V. Kapłan musiał pamiętać o tym, że ten ostatni jest nie tylko człowiekiem opętanym, ale i medium. Bywały takie chwile ciszy, kiedy tylko po wyrazach ich twarzy można było się zorientować, co się dzieje. Dochodziło wtedy do szybkiej, telepatycznej wymiany prowokujących uwag, gróźb, rozkazów i obelg, kiedy to Hearty mierzył się z duchem zniewalającym Carla. Dzięki notatkom kapłana jesteśmy w stanie wypełnić te luki w zapisach.

Dodatkowym problemem, skomplikowanym i niebezpiecznym, było to, że Hearty nie zawsze był w stanie określić, czy fenomeny paranormalne, które obserwował, były dziełem Carla, czy też złego ducha. W tym przypadku musiał wykazać się daleko większą ostrożnością i czujnością, niż kiedykolwiek przedtem. Tu nie było miejsca na skrót. Jako egzorcysta, musiał dotrzeć do rdzenia opętania i upewnić się, że zło, w całej swej nikczemności, zostało wygnane.

Był także świadomy niebezpieczeństwa, na jakie sam się narażał podczas takich egzorcyzmów. Wkroczył na bardzo śliski grunt stanów psychicznych, gdzie umysł, pamięć i wyobraźnia, niczym nie osłonięte, stały się szczególnie podatne na ciosy. Jego przyjaciel z Kioto dowiódł mu tego przed

laty. Sam Hearty miał potem niejedną okazję, by się o tym przekonać.

Początkowo — niestety, dość krótko — cieszył się z przewagi, jaką mu dawał fakt, że Carl posiada zdolności medialne. Przy jego pomocy, bez większych trudności namierzył złego ducha i zmusił go do ujawnienia się. Dość szybko zatem dotarł do etapu Konfrontacji z tym, który zwał się Żółwiem. Ale z tego samego powodu Starcie pomiędzy nimi było szczególnie bolesne.

Jak tylko doszło do owej Konfrontacji, Carl przestał wspomagać Hearty'ego. Stał się bezradny i niezdolny do pomocy. Samotna walka niemal zmiażdżyła wolę egzorcysty, a jego umysłowi zadała głębokie, trudne do opisania rany, które już nigdy nie miały się zagoić.

Spośród zapisów dokonanych podczas owych egzorcyzmów wybrano tutaj ustępy dotyczące odkrycia tożsamości złego ducha, zdemaskowania iluzji, które Carl niegdyś przyjął za pewnik, i wpływu tego faktu zarówno na Hearty'ego, jak i na samego Carla. W zapisach znajduje się daleko więcej (pominiętych tutaj) szczegółów dotyczących Petrusa, domniemanego wcielenia Carla z czasów starożytnego Rzymu, a także rytuałów dawnych chrześcijan i rozwoju psychicznego Carla, począwszy od wczesnej młodości.

ZÓLWI

-- Dobrze się czujesz, Carl?

W głosie Hearty'ego, na samym początku egzorcyzmów, czuje się troskę. Ale Carl zachowuje absolutny spokój.

-- Tak, ojcze. Nic przejmuj się. Bierzmy się do roboty.

Carl leży na kanapie w gabinecie swego ojca. Czterej pomocnicy Hearty'ego klęczą wokół kanapy. Egzorcysta, ubezpieczony przez drugiego kapłana, stoi u stóp Carla. Jest czwarta trzydzieści rano; zaczyna się pierwszy dzień egzorcyzmów.

Hearty intonuje formułę otwierającą obrzęd. Po trzech zdaniach milknie.

Patrzy na Carla. Tamten leży bcz ruchu. Coś niepokoiki Hearty'ego.

-- Carl! Carl! Odpowiedz mi! Carl, nie uciekaj! Odpowiedz mi!

Carl porusza się i mówi niespokojnie:

— To trudne, ojcze. To trudne.

— Carl, co się dzieje?

— Niska b-b-bra-brama... — jąka się Carl, po czym milknie.

— Carl, zanim przejdiesz przez wysoką bramę, powiedz mi o tym. Tuż przedtem. Słyszysz mnie? Carl! Słyszysz mnie?

— Ta-a-a-a-a-ak, O-o-oj... — Głos Carla milknie.

Hearty przez minutę lub dwie kontynuuje odmawianie modlitw, potem przerywa. Usta Carla zamykają się i otwierają. Pięści są zaciśnięte.

— Wys-s-s-s-s... — Hearty ledwie słyszy jego głos.

Sygnalizuje pomocnikom, że mają przytrzymać ręce i nogi Carla. Zaczyna mówić:

— Duchu zła, nakazuję ci w imię Jezusa: przestań zaćmiewać umysł Carla. Przestań więzić jego wolę. Skończ z okłamywaniem go. W imię Jezusa, skończ.

Hearty patrzy na Carla: twarz tamtego rozluźnia się, palce się prostują. Po kilku minutach Carl odzywa się. Mówi wolno, nie otwierając oczu.

— Nie mogę się im oprzeć... jemu... im, ojcze. Nie wytrzymam długo. Za bar...

Głos mu się łamie.

— W imię Jezusa...

Hearty również milknie. Napięcie widoczne na twarzach pomocników traktuje jako ostrzeżenie. Carl usiłuje się podnieść.

— Przemów, zły duchu! Przemów i określ się — rozkazuje egzorcysta.

Używa wody święconej i podnosi krucyfiks. W pokoju panuje cisza, słychać tylko szelest i ciężkie oddechy.

Z twarzy Carla znikają wszelkie oznaki życia. Jego ciało nieruchomieje. Usta otwierają się. Hearty słyszy głos Carla, aksamitny, dzwięczny, niemal przymilny, nie skażony żadnym akcentem; opętany mówi krótkimi, urywanymi zdaniami, jakby w zwolnionym tempie. Najwidoczniej przez Carla przemawia teraz zły duch.

— Jestem duchem. Carla. Wspinamy się. Ku wysokiej bramie. I jeszcze dalej. Jestem duchem. Carla. Wspinamy się. Ku wysokiej bramie. I jeszcze dalej. Jestem...

Hearty postanawia mu przerwać.

— Nie jesteś duchem Carla. Jesteś duchem Szatana, złym duchem, który go opętał. W imię Jezusa, przestań udawać. Określ się. Kim jesteś? Pod jakim imieniem występujesz? Dla-

czego opętałeś Carla, stworzenie Boże? W imię Jezusa, przemów. Przez wzgląd na władzę Jezusa i Jego Kościół, nakazuję ci to. Przemów!

Wszyscy obecni w pokoju widzą, że coś się dzieje z Carlem. Mają wrażenie, że jego ciało kurczy się, a może maleje. Młody kapłan powie później, że „to wyglądało tak, jakby się zapadało”. Czarne włosy Carla tracą połysk, nawet jego kędziory leżą teraz płasko. Skóra na twarzy napięta jest do granic wytrzymałości. Wyraźnie widać mięśnie szyi i żyły. Korpus i kończyny poddają się ogromnemu, niewidzialnemu ciężarowi, który je wciska w kanapę, ale nie splaszczą. Nic nie słychać. Cisza staje się uciążliwa.

Hearty decyduje się znowu przemówić.

— Zły duchu, otrzymałeś rozkaz. Przemów, w imię Jezusa!

Milczenie przedłuża się. Słychać najcichsze dźwięki — oddechy, szuranie butem po deskach podłogi, przelknięcie śliny, czyjeś westchnienie. Ale Hearty nie traci wiary. To Żółt przyciągnął ku sobie Carla, a żółwie poruszają się wolno, lecz pewnie. Hearty również jest pewien swego. Czekają.

I nagle, zupełnie niespodziewanie, wybucha chaos. Wszystkie książki wypełniające trzy ściany biblioteki wałają się bezładu i składu na podłogę; kartki przewracają się, okładki fruują, kolejne tomy wylatują w powietrze i spadają z głuchym hukiem. Słychać, jak drze się papier. Wydaje się, że każdą półkę atakują dwie pary ruchliwych rąk. Ten nagły wybuch działa na nerwy jednemu z pomocników; zdumiony i przerażony mężczyzna niemal krzyczy.

Hearty nawet nie odwrócił wzroku. Wpatruje się w twarz Carla. Gra się opłacała. Egzorcysta ogranicza się do podniesienia ręki, nakazuje spokój; wie doskonale, co się dzieje. „Zbliża się” żółt.

I znów robi się cicho. Czekają. Carl nadal nie daje znaku życia.

Hearty chce już wrócić do modlitw, ale po raz pierwszy czuje jakąś wewnętrzną presję. Uświadamia sobie, że coraz trudniej mu koncentrować się na twarzy Carla. Wzrok odmawia mu posłuszeństwa, a umysł wypełniają dziwaczne obrazy.

— Jezu, Panie Jezu — modli się cicho. — Wybaw mnie. Pomóż mi teraz. Zdany na samego siebie, nie zdołam się przeciwstawić. Wierzę. Pomóż mi, Panie Jezu.

Pomocnicy widzą, że z Heartym jest coś nie tak. Zamyka i otwiera oczy. Lekko się chwieje. Kostki zaciśniętych na krzyżu palców bieleją.

Młodszy kapłan to rozumie. Hearty dobrze go wyszkolił; co więcej, nie raz już brali udział w egzorcyzmach. Kładzie dłoń na ręce trzymającej krucyfiks. Palcami drugiej kreśli na czole Hearty'ego znak krzyża, mówiąc głośno:

— Panie Jezu, zlituj się nad swoim sługą.

Czterej pomocnicy korzystają z tej wskazówki i powtarzają modlitwę.

Wyobraźnia Hearty'ego oczyszcza się powoli. Teraz jego przeciwnikiem jest ból. Kapłan ma okropną migrenę. Każde spojrzenie na Carla wiąże się z dotkliwym dźgnięciem. Kryzys po jakimś czasie mija, ale — jak wszystkie ataki złego ducha — pozostawia ślady.

Głos Hearty'ego nie jest już głęboki i wibrujący, uwalnia się z trudem, zduszony. Walijski akcent utracił swą śpiewność.

— W imię Zbawiciela, Pana Jezusa, określ się, zły duchu!

Wszyscy patrzą na Carla. Poruszył głowę. Jego usta otwierają się i wydobywa się z nich głos, który nie pasuje do niego. Brzmi to tak, jakby ktoś obdarzony niskim głosem naśladował kogoś mówiącego falsetem. Jest wyzywający, a zarazem do głębi fałszywy. Drażni i przeraża.

— Nie słuchamy nikogo, poza przyjacielem Carla. Odpowiemy tylko...

— Odpowiedź w imię Jezusa — ucina gwałtownie Hearty. Głos mu się łamie.

— Posłuchaj zatem naszego głosu i przekonaj się, czy ty, żaloszny, dwunogi zgęstek błota, możesz rozkazywać Panu Wiedzy, Niepokonanemu.

Hearty ledwie otworzył usta, a już ton Carla się zmienia. Egzorcysta czym prędzej odwraca się do pomocników.

— Weźcie się w garść, chłopcy! To będzie ciężka próba.

Ich uszy wypełnia nagle jakiś dźwięk. Dopóki koncentrowali się na Carlu, odnosili wrażenie, że dobywa się z jego ust. Teraz jednak gubią się, ulegając sile i specyfice tego głosu. Są tym tak zabsorbowani, że nie potrafią już skupić się na Carlu ani na niczym innym. Opętany zaczyna się miotać. Pomocnikom ledwie udaje się poskromić jego nogi i ręce.

Nie chodzi o to, że ów dźwięk jest głośny, czy też przenikliwy. Problem stanowi to, co słyszą. Dopiero później, porównując swoje wrażenia, odkrywają, że ten dźwięk dopasowywał się do ich odczuć, doświadczeń i charakterów. Każdemu z nich przypomina miniony ból, jeszcze go potęgując. Przywołuje wszystkie rozpaczliwe krzyki, wszystkie smętne tony i wszystkie złe nowiny, z jakimi przyszło im się zetknąć. Lekarz znów

słyszysz ostatni oddech pierwszej osoby, której nie zdołał uratować — młodej położnicy, wołającej na łożu śmierci: „Pozwólcie mi zobaczyć mego syna! Pozwólcie mi zobaczyć mego syna!” Słyszysz też swój własny dziecięcy płacz i krzyk człowieka, którego przed rokiem, na jego oczach, zabito. Kolejny pomocnik słucha ostatniego szlochu swego dziecka, które umarło na raka mózgu. Inny przypomina sobie, jak zdradził swych pracodawców podczas nieoficjalnego spotkania z konkurencyjną firmą. I tak jest z każdym z nich. Głosy się mnożą, przywołują ból, żal, poczucie winy, rozpacz, smutek, niesmak i katusze, sumując wszystkie doświadczenia związane z cierpieniem i ludzką słabością.

Odtwarzając nagranie z tej części egzorcyzmów, słyszysz się jedynie bezładne jęki i ciężkie oddechy.

Hearty przeżywa coś innego. Ów głos nie ingeruje w jego wyobraźnię. Zakłóca pracę jego umysłu. Głowę kapłana wypełniają beznamienne komentarze: przesuwają się przez nią całe zdania.

„Pan Wiedzy domaga się adoracji... Wiedza czyni człowieka pewnym... Pewność bierze się tylko z czystego widzenia... Czyste widzenie wynika z czystych myśli... Uczucia i wierzenia to parodia... Pan Wiedzy oddaje ziemię w posiadanie... Ziemia to całość, jedna istota...”

Ten monolog zdaje się nie mieć końca. Hearty nie jest w stanie wszystkiego zapamiętać. Chwilami wydaje mu się, że zaraz nastąpi finał, ale to tylko nowy początek, słowa powtarzają się raz za razem, nabierając tempa.

Egzorcysta nic nie może powiedzieć ani pomyśleć. Odruchowo przyciska krucyfiks do ust i już nie opuszcza ręki. Wydaje się, że ten gest wystarcza. Umysł uwalnia się od presji. Milkną ten logiczny wywód. Hearty znów jest wolny.

— W imię Jezusa, Zbawiciela, nakazuję ci się wyraźnie określić. Przemów, zły duchu!

Pomocnicy Hearty'ego wracają do siebie. Trzymają mocno Carla.

Ten zaś leży bez ruchu. Jego twarz znów nabiera barw. Rzec można, że Carl odżył, że leży z zamkniętymi oczami i spokojnie mówi. Ale to nie jest jego głos. Słyszają go wszyscy w pokoju, a jednak każdy inaczej opisze to doznanie. Zgodzą się tylko co do tego, że był spokojny, nie pozbawiony tonu wyższości, że nie płynął ani zbyt szybko, ani za wolno i że było w nim coś z szyderczego śmiechu. Ktoś stwierdził, że ten głos jest młodzieńczy, ktoś inny usłyszał wiekowego starca, trzecie-

mu zabrzmiał on dość mechanicznie, do czwartego dotarło tylko odległe echo. Słuchając dzisiaj nagrania, nie można określić płci mówiącego — to mógł być zarówno mężczyzna, jak i kobieta. Piszącemu te słowa ów głos przywiódł na myśl ton, jakiego w latach trzydziestych używali konferansjerzy w music-hallach: afektowany, świadomie sztuczny, zawsze podszyty śmiechem, nedorzeczny i aluzyjny.

— Przychodzimy w imię Żółwia. Żółwia. Nazywaj nas Żółwiem. Pan Wiedzy obdarzył nas wiecznością.

Hearty czuje wdzięczność: zarobił punkt. Ale niemal natychmiast żałuje, że stracił czujność.

Głos odzywa się znów.

— Wdzięczność, he? Nie wiesz, co przygotowaliśmy dla ciebie, miłośniku koguta? Koguci kochasiu?

Hearty znów się koncentruje, walczy z odruchem nakazującym mu zadać to pytanie. Złego ducha można zmusić do Konfrontacji, ale trzeba pamiętać, że wykorzysta wtedy, błyskawicznie i z fatalnym dla egzorcysty skutkiem, każdą lukę w obronie. Hearty przechodzi więc do zadawania pytań.

— Żółwiu...

— Tak, koguci kochasiu...

— Będziesz odpowiadał tylko na pytania, które zadam ci w imię Jezusa.

Nie pada żadna replika, ale Carl próbuje przekreślić się na brzuch. Pomocnicy trzymają go mocno. Szarpie się trochę, potem nieruchomieje.

— Czy wszystkie moce psychiczne Carla są twoim dziełem, czy też obdarzyła go nimi natura?

— I jedno, i drugie.

Słyszając tę odpowiedź, Hearty znów się koncentruje. Jakaś siła atakuje jego umysł. Jakby jakieś silne dłonie uporczywie walczyły w zablokowane drzwi.

— Weźmy jego reinkarnację, jego domniemaną reinkarnację. Czy to było twoje dzieło?

— Dla nas, należących do Żółwia, istniejących w jego wieczności, cały czas jest jedną, nie kończącą się chwilą.

— Ale Carl przemawiał do ludzi, którzy od dawna nie żyją. Znał ich myśli i to, co ich otaczało.

— Żywych otaczają ich zmarli. Ci zmarli, którzy należą do nas, spełniają nasze rozkazy. Wszyscy w Królestwie spełniają nasze rozkazy.

— A ci, którzy do was nie należą...

— Tego Drugiego.

To zabrzmiało jak warknięcie, ale Hearty wyczuł też pewną nutę lęku. To robi na nim wrażenie. I znów egzorcysta traci czujność, i znów za to płaci.

— Ty też, koguci kochasiu! Kapłanie! Ty też będziesz się bał, kiedy dostaniesz, co ci się należy.

Drzwi do umysłu Hearty'ego ustępują. Taka moc w nie wali. Egzorcysta słabnie, ale po chwili, dzięki ogromnemu wysiłkowi woli, znów jest skupiony. Wraca do pytań.

— Podróże astralne Carla? Czy ty je spreparowałeś?

— Tak.

— Jak narzuciłeś mu takie złudzenie?

— Jeżeli ktoś nie odróżnia ducha od psychiki, możemy sprawić, by widział, słyszał, czuł, smakował i znał to, co niemożliwe, i tylko tego pragnął. On należał do nas. Należy do nas. Jest z Królestwa.

Carl nie porusza się, ale jego ciało znów wygląda jak zgniecione. Ogrom jego zniewolenia sprawia, że Hearty się krzywi. Modli się cicho:

— Boże, dodaj mu sił.

Potem próbuje podjąć przesłuchanie, ale głos mu przerywa, tym razem krzyżąc z niewiarygodną rozpaczą:

— Nie damy się wygnać. W nim jest nasz dom. On należy do nas.

Hearty czeka, aż krzyk zamieni się w gasnący szmer. Wiadać, jak bardzo pracuje krtań Carla.

— Czy ty stworzyłeś aurę nie-jaźni?

— Nie.

— Jak ją wykorzystałeś w przypadku Carla?

— Aura istnieje dla wszystkich, którzy potrafią ją zobaczyć. Ale ludzie nauczyli się jej nie dostrzegać. Gdyby widzieli ją zawsze, umarliby.

— Jak ją wykorzystałeś?

— Nie wykorzystaliśmy.

Hearty zasypuje tamtego konkretnymi pytaniami, wymagającymi przeważnie prostego przeczenia lub potwierdzenia. Dąży do zdemaskowania złego ducha, do zmuszenia go, by sam opowiedział o swoich sztuczkach.

— Czy Carl ją widział?

— Tak.

— Czy sprawiłeś, żeby widział ją wyraźnie?

— Tak.

— Dlaczego?

— On tak chciał!

— Prosił cię o to?

— My zaproponowaliśmy.

— Czy wiedział, kim jesteś?

— Wiedział.

— Dobrze?

— Dość dobrze.

— Czy się pojawiał w dwóch miejscach jednocześnie?

— Nie.

— Co się działo?

— Daliśmy mu poznać odległe miejsca tak, jakby tam był.

— Czy miał sobowtóra, psychicznego sobowtóra?

— Daliśmy mu go.

— Jak?

— Daliśmy mu wiedzę, jaką dysponowałby sobowtór.

— Kiedy zacząłeś z Carlem?

— Kiedy był młody.

— Czy ty wywołałeś tę pierwszą wizję?

— Nie.

— Czy wtrąciłeś się w nią?

— Tak.

— Dlaczego?

— Chciał, żebyśmy to zrobili.

— Skąd wiesz?

— Wiemy.

— Na jakiej podstawie?

— Wiemy.

— Co zrobił, żeby dać wam znać?

— Wiemy.

— W imię Jezusa, nakazuję ci: powiedz, skąd wiedziałeś.

Następuje długa, niemal dwuminutowa pauza. Hearty czeka cierpliwie; patrzy na Carla, pamiętając wciąż o tym pytaniu.

I wtedy pojawia się potrzask.

— Tego nie da się wyrazić słowem.

— A da się to wyrazić myślą?

— Tak.

Hearty, chwilowo całkiem zdekoncentrowany, uwikłany w swoje pytania, nie widzi otwierającego się potrzasku. Pyta naiwnie:

— Co to za myśl?

I on, i pomocnicy dostrzegają u Carla zmiany. Nagle znika wrażenie „zmiążdżenia” i martwoty. Trzymający go czują, jak się rozluźnia. Powoli, głęboko, nabiera powietrza i przeciąga się, jak człowiek z radością budzący się z długiego snu. Zaczyna podnosić

powieki. Spokojnie porusza głową. Jego policzki znów się zarumieniły, wargi rozciągają się w uśmiechu, a w oczach palą się wesołe iskierki.

Wszystko to jest tak niespodziewane, że zebrani wokół niego wpadają w osłupienie. Pomocnicy, którzy trzymali go, czując determinację i lęk, są wyraźnie zmieszani. Carl nie wygląda nawet na urażonego. Jest rozbawiony, ale i pełen tolerancji.

— Hej, panowie, mogę usiąść? Już wszystko gra. Wszystko gra.

To głos Carla. Jego zachowanie też jest normalne.

Hearty, jako jedyny, uświadamia sobie, co się dzieje. Ale za późno! Już jest w potrzasku. Dociera do niego ta „myśl”. Ale nie zaatakowała jeszcze jego umysłu pełną swą mocą i kapłan widzi swoich czterech pomocników, którzy już się podnieśli i patrzą na niego, czekając na wyjaśnienia lub instrukcje. Carl usiadł, jedną nogę przełożył swobodnie przez poręcz. On także wpatruje się w Hearty’ego. Na twarzach tej piątki maluje się zdziwienie: wygląda na to, że dziwi ich zachowanie egzorcyisty.

Młodszy kapłan również się odwrócił, by spojrzeć na Hearty’ego. W jego oczach także czai się pytanie. Prosi Hearty’ego o pomoc, jednakże egzorcyista jest chwilowo bezradny.

Czuje przede wszystkim grozę: grozi tego, co widzi, grozę swojego własnego uwikłania. „Myśl” jest wyraźniejsza, niż mógł się spodziewać; widzi ją w swoich pomocnikach i w Carlu. Są absolutnie rozluźnieni, jedynie dziwią się, że on nie jest. Chce wrzasnąć, krzyknąć do nich: „Uważajcie! Uważajcie! Zagrali na waszym pragnieniu normalności. Udają, że wszystko wróciło do normy”. Ale nie może otworzyć ust ani wydać żadnego dźwięku.

W miarę pogłębiania się bezradności, widzi coraz wyraźniej, co się dzieje. Nikt nie chce wierzyć w zło, a zwłaszcza w złą istotę, w złego ducha. Każdy woli odsunąć tę myśl. Potwierdzenie istnienia zła wiąże się z odpowiedzialnością, której nikt nie chce brać na swoje barki. Tak właśnie wygląda luka, przez którą wsuwa się Żółw, tłumiąc wszelką nieufność, sprawiając, że wszystko wydaje się normalne i naturalne. To jest ta „myśl”, przypomnienie, że brak czujności skłania istotę ludzką do zwątpienia w istnienie zła. A jeśli nie wierzy się w zło, jak można uwierzyć w dobro i poznać, czym ono jest?

Ta świadomość pęcznieje wewnątrz umysłu Hearty’ego, niczym gumowy balon; poszerza się i rozrasta, potęgując zarówno jego bezradność, jak i zrozumienie.

Teraz wszyscy, którzy na niego patrzą, są uśmiechnięci. Łącznie z Carlem. Widzą jedynie pociągłą, wychudzoną twarz i wargi, których wykrzywienie biorą za wyraz zakłopotania. Im bardziej stara się do nich dotrzeć, tym bardziej pogłębia to wrażenie.

Męczarnie Hearty’ego sięgają zenitu, siły odmawiają mu już posłuszeństwa, kiedy drugi kapłan zauważa pewien drobiazg. Hearty przyciska do skroni krucyfiks. Młodszy ksiądz zamiera: coś musi być nie tak. Coś *musi być* nie tak. Inaczej należałoby przyjąć, że Hearty przyjmuje jakąś komiczną pozę, wykorzystując do tego krzyż, a przecież nigdy, podczas żadnych egzorcyzmów, tego nie robił. Co tu jest nie tak?

Młody ksiądz mówi, odwracając się do tamtych:

— Z Heartym jest coś nie w porządku. Spójrzcie!

Pierwszy reaguje na to Carl, pewnym tonem; słychać, że jest w świetnym humorze.

— Sam spójrz, ojcze. On próbuje się ukrzyżować. Łysy Chrystus w binoklach.

Wybuch perlistym śmiechem.

To działa jak salwa. Wszyscy nieruchomieją. Potrafił fałszywą nutę. Pięć głów odwraca się i pięć par oczu wpatruje się z niedowierzaniem w Carla.

Młodszy kapłan przejmuje kontrolę nad sytuacją.

— W imię Kościoła i jego Założyciela, Jezusa...

Nie może dokończyć zdania. Carl zaczyna protestować; nadal świetnie się bawi.

— Ojcze, spójrz!

— Przytrzymajcie go! — woła kapłan do pomocników. Potem zwraca się do Carla. — W imię Jezusa, nakazuję ci ustąpić.

Ta chwila zwłoki wystarcza Hearty’emu. Presja ustępuje; „myśl” tonie gdzieś w głębi umysłu. Znowu jest wolny. Prawie przegrał, ale nauczył się dwóch rzeczy. Poznał pułapkę normalności, w którą ten duch stopniowo wciągał Carla, rok po roku. Poznał tę „myśl”. Po drugie, upewnił się, że jeżeli zostawi najdrobniejszą nawet lukę, obróci się przeciw niemu zarówno moce psychiczne Carla, jak i jego własne. Jedyną obronę stanowić tu może absolutna ostrożność.

Carl znowu leży, całkowicie przytomny, raz jeszcze pod ścisłą kontrolą pomocników; oczy ma przymrużone, a na jego twarzy maluje się biała gorączka.

Hearty, przyglądając się jemu, wraca myślami do tego, co już się wydarzyło: gdzieś tam dotknął jakiegoś czulego punktu. Niemal znalazł źródło największej słabości ducha nazywanego

siebie Żółwiem. Musi pójść tym tropem. Jego następne pytanie brzmi kategoricznie.

— Dokąd prowadzisz Carla?

— Do wiedzy o wszechświecie — wydobywa się spomiedzy zaciśniętych zębów profesora.

— Jakiej wiedzy?

Początkowo jest tylko milczenie. Potem pojawiają się słowa, wymawiane powoli i niechętnie.

— Wiedzy, że ludzie są jedynie cząstką wszechświata.

— Jak rozumiesz słowo: „cząstką”?

— Są cząstkami większej istoty.

— Jakiej istoty?

— Wszechświata.

— Wszechświata materii?

— Tak.

— I mocy psychicznych?

— Tak.

— To on stworzył ludzi?

— Tak?

— Stwórca osobowy?

— Nie?

— Fizyczny?

— To też.

— Psychofizyczny?

— Tak. Tak, dokładnie.

— Dlaczego prowadził Carla tą drogą?

— Żeby on poprowadził innych.

— Dlaczego miał poprowadzić innych?

— W ten sposób należałoby do Królestwa.

— Dlaczego mieliby należeć do Królestwa?

Ci, którzy patrzą na Carla, czują, że coś w nim zaraz eksploduje. Słowa przychodzą z coraz większym trudem. Po każdym z nich nabiera tchu, jakby chciał wypchnąć następne. Tors i kończyny znów zaczynają się wić. Pomocnicy przytrzymują go, nie potrafią jednak go zmusić, by leżał nieruchomo. Ledwie padło ostatnie pytanie, pojęli, że zaraz dojdzie do wybuchu. To narasta razem z odpowiedzią Carla.

— *Dlaczego*, Kapłanie? *Dlaczego*? Stoisz tam, mając łysy łeb, wypalone genitalia, cuchnące ubranie, pożółkłe zęby i cuchnące flaki, a śmiesz pytać nas, *dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?*

Głos Carla przechodzi w coraz głośniejszy krzyk.

— **DLACZEGO?** — wrzeszczy w końcu najgłośniejszy, jak może, podnosząc głowę, by wbić wzrok w Hearty'ego. — *Dlaczego?* Ponieważ nienawidzimy Tego Drugiego. Nienawidzimy. Nienawidzimy. Nienawidzimy. Nienawidzimy splamionych jego krwią. Nienawidzimy i nie znosimy tych, którzy idą jego śladem. Chcemy mu wszystkich odebrać i sprowadzić do Królestwa, gdzie nie zdoła ich osiągnąć. Gdzie nie będą mogli iść z nim. I ciebie też chcemy, kapłanie! Bo już mamy Carla. Należy do nas. I żadna siła nie wyrwie go spod naszego wpływu. Żadna. Żadna siła!

Carl pada na plecy, oczy ma wytrzeszczone, cały jest zlany potem.

Hearty przez cały czas zachowuje absolutny spokój. Musi wciągnąć ducha w bezpośrednie starcie.

Wykłada swój atut; zwraca się do Carla.

— Carl, w imię Jezusa, który ciebie zbawił i cię uratuje, nakazuje: wysłuchaj mnie.

Ciało Carla zaczyna stygnąć. Pomocnicy informują o tym Hearty'ego. Egzorcysta potrząsa głową i mówi dalej:

— Carl! Wiemy, że jesteś więźniem. Wiemy o tym. Ale cząstka ciebie jest wolna, nietknięta. Przemów do nas. Skontaktuj się z nami.

Hearty stawia na tę telepatyczną więź, która pozwoliła kiedyś Carlowi prosić go o pomoc; liczy, że otrzyma jakiś znak współpracy z dobrem, świadectwo woli, przeciwstawienia się złu.

— Carl, podczas lat studiów nie powiedziałem ci jednej rzeczy. Nigdy nie mówiłem ci, że jestem „odbiorcą”. Że potrafię odbierać myśli. Możesz teraz skontaktować się ze mną. Proszę. Potrzebujemy twojej pomocy. Jeden poważniejszy wysiłek i będzie po wszystkim. Proszę, Carl! Proszę!

Ciało Carla jest spokojne, odchylona w tył głowa opiera się o kanapę, ręce i nogi są bezwładne, skóra przesiąknięta potem. Hearty patrzy na niego, czeka, opróżnia swój umysł; czeka, pełen nadziei.

Oczekiwana wiadomość nadchodzi. Pojawia się na „ekranie” Hearty'ego, najpierw jako niewyraźne falowanie, potem nabiera kształtu. To rodzaj splotu emocji i myśli. Atakuje psychikę Hearty'ego, wkradając się we wszystkie zakamarki i kąty jego świadomości. Nie przypomina niczego, z czym się już wcześniej zetknął. Egzorcysta odbiera uczucia i puste myśli kogoś, kto został wygnany do krainy zatracenia, gdzie nie ma ciepła, miłości, poczucia wspólnoty, domu ani uśmiechu, a wszystkim

istotom narzucona jest kontrola zmuszająca je do bezwładnego wirowania. Są jak zwierzęta, sparaliżowane oślepiającym światłem albo spadające w tajemną czeluść, gdzie ich ostatni wrzask nie wywołuje żadnego echa i gdzie już nigdy nie zdołają zaspokoić swych pragnień.

Tak wygląda wiadomość od Carla, obraz więzienia, w jakim się znalazł. Opętany stoi w obliczu samobójstwa czekającego tych, którzy rezygnują z dalszego życia albo negują miłość, która ich do niego powołała. To nie kończąca się opowieść o smutku życia i absolutnej nędzy umierania.

Carl zrobił swoje. Gdyby przemienić to w słowa, rzecz można, że woła do Hearty'ego: „Spójrz! Oto moje wygnanie ze świata miłości, moje upokorzenie w siłach opacznej psychiki i mój ostateczny upadek w wieczną samotność piekła”.

— Jezus może cię zbawić, Carl — zaczyna Hearty. — Jezus...

Nie kończy zdania. „Kontakt” nagle się urywa. Egzorcysta potrząsa głową. Uwaga młodszego kapłana sprawia, że koncentruje się na Carlu. Opętany otworzył oczy i szepcze coś do pomocników trzymających go za ręce. Wszystko wskazuje na to, że prosi ich, normalnym głosem, by pozwolili mu usiąść i „przyrzec się ojcu”. Puszczają go. „To brzmiało tak naturalnie”, powie później z żalem jeden z pomocników.

Carl wbija wzrok w Hearty'ego, na jego twarz wpelza powoli uśmiezek satysfakcji. Egzorcysta nie jest już „nieprzezroczysty”. Profesor, po raz pierwszy w życiu, zagląda do jego umysłu.

Hearty, przyglądając się tamtemu zdarzeniu z perspektywy czasu, odnosi wrażenie, że to chwilowe rozluźnienie więzów Carla w połączeniu z kontaktem telepatycznym, kiedy nie doszło jeszcze do wyrwania go z niewoli, otworzyło drogę bezpośredniemu atakowi.

Zły duch posłuży się Carlem, by doprowadzić do ostatecznego Starcia. Hearty musi się zmierzyć z Żółciem, nie mając już żadnego sojusznika. Widzi, czemu służy życie Carla. Już wie. Zbiera siły.

Najpierw uświadamia sobie, przerażony, że jego „cenzura wewnętrzna” prysła: już nie potrafi wedle woli blokować sygnałów z zewnątrz i uniemożliwiać intruzom wejrzenia w umysł i psychikę. Pierwszy raz w życiu jest mimowolnym „odbiorcą”. Tego nie przewidział. Sądził, że skoro jego wola jest swobodna, będzie mógł korzystać z owej „cenzury”. Ale ten pancierz ochronny prysnął. Hearty jest nagi. I poszczególne partie jego „człowieka wewnętrznego”, jedna po drugiej, poddają się napa-

ści, ustępują i ulegają skażeniu. Wroga inteligencja penetruje go do samych trzewi. Atak sięga wreszcie zenitu i ogarnia go całego. Hearty czuje niesmak i wstręt, nie potrafi tego opanować. Zbiera mu się na mdłości.

Rzucając swą wolę przeciwko złemu duchowi, czuje, że jest chłostany z zaciekłością, jakiej sobie nawet nie wyobrażał. Źródło tej udręki tkwi w jego wnętrzu: ma wrażenie, że jest świadkiem swojej własnej karności. Według nagrań i relacji pomocników, kryzys trwał trzy do pięciu minut. Dla Hearty'ego jest to stulecie. Zaglądając w oczy Carlowi, nie widzi już ich koloru, kształtu ani wyrazu. Opętany jest już tylko narzędziem zła. Hearty staje się stroną pasywną, „obserwowaną”. Na jakiś czas przestaje „widzieć”, jest tylko „widziany”.

Sens tego Starcia sprowadza się do alternatywy „albo, albo”. Hearty od samego początku otrzymuje subtelne sygnały, że jeśli się podda, jeśli przestanie się przeciwstawiać złemu duchowi, wszystko będzie dobrze i atak ustanie. Jeśli nie, zostanie zniszczony.

Teraz, wystawiony na działanie rażącego, demaskującego wszystko blasku, widzi jak na dłoni całą swą słabość: napuszoną logikę, jaką wpojono mu na zajęciach z filozofii, nadmierną pewność i ignorancję w dziedzinie teologii, pobłażliwe widzenie samego siebie i niegdysiejszą hipokryzję, którą nazywał pobożnością, bezsensowną dumę z tego, że jest kapłanem — wszystko to nie ma żadnej wartości, sprowadza go do kategorii rozumnego śmiecia ginącego w ogniu owego spojrzenia, przenikającego go na wskroś i sondującego najmroczniejsze zakamarki jego słabostek.

— Dopóki to trwało — wspomina dzisiaj Hearty — czułem się, jakby ktoś w najbardziej brutalny sposób próbował mnie opętać. Tylko moja wola nie dała się podporządkować. A nawet i to... — Nigdy nie kończy tej myśli.

To penetrujące wejrzenie, niczym brudna i nikczemna ręka, wzdardliwie obmacywało jego kolejne talenty. Nawet wolę odarła z motywów, do których się zawsze odwoływał. A jego wola to ostatni bastion. Jeszcze się trzyma. Problem w tym, że Hearty widzi, jak kolejne warstwy jej siły spadają, zrywane niczym płachty papieru chroniące jakiś skarb: entuzjazm, jakim napawały go wspaniałe ceremonie, szacunek dla dobrych ludzi, współczucie dla chorych i bezradnych, satysfakcja, jaką dawało mu to, że jest kapłanem i człowiekiem, więź z kulturą walijską, ufność, z jaką przyjmował słowa rodziców, nauczycieli, zwierzchników, biskupa i papieża, oparcie, jakie znajdował w modli-

twie, i pokora wobec prawa. Wszystko to odpada gdzieś na bok, brutalnie zdzierane. Tylko jego woła nie chce się poddać. Jego dusza, świadoma i wolna, jest już naga, pozbawiona wszystkich punktów oparcia i powodów do życia, poddaje się ocenie nieubłaganego wzroku wyniosłej inteligencji, niemiłej i niezdolnej do miłości.

— Ale to było coś w rodzaju skutku ubocznego — wyjaśnia Hearty tak oględnie, jak czynią to ci, którzy przeżyli ogromną udrękę i próbują przekazać coś, czego nie da się opisać. — Chodziło o to, by uniemożliwić mi wolny wybór.

Jedynym zewnętrznym symptomem tego doświadczenia, dostępnym oczom pomocników, jest sposób, w jaki Hearty odgradza się od Carla krucyfiksem: obie ręce ma wyciągnięte, oczy na równi z poprzeczną belką, tak że patrzy zza ramion i głowy Ukrzyżowanego. Na początku owych katuszy krucyfiks zwrócony jest w stronę Carla. Po dwóch minutach Hearty przekręca krzyż tak, że sam wpatruje się w twarz rozpiętego na belkach. Możemy się domyślać, że właśnie wtedy zaczyna się prawdziwy kryzys. Trwa tylko chwilę, nie kończąca się chwilę, podczas której egzorcysta traci poczucie czasu i nabiera przekonania, że jego męczarnie równe są wieczności.

Świadkowie tego zdarzenia mają wrażenie, że Carl zachowuje absolutny spokój. Siedzi na kanapie, wpatrzony w Hearty'ego, nieruchomy. „Jego oczy były jakby puste”, stwierdzi jeden z pomocników. Pozostałym przywodzą na myśl starożytnie posągi obojętnie przypatrujące się banalności życia.

To spojrzenie sprowadza Hearty'ego do czystej walki o przetrwanie, zmusza go, by wczepiał się w swą wolę i stanowczość. Najgorsze dopiero się zaczyna. Utracił panowanie nad umysłem, wyobraźnią i pamięcią. Myśli, pamięta i wyobraża sobie tylko to, co narzucają mu „tamci”. Został sprowadzony do siebie w najbardziej upokarzający sposób. Widzi swój świat jako glob upstrzony łąkami i oceanami, miastami, domami i ludźmi, pokryty roślinnością, piaskiem i zwierzętami, zawieszony w atmosferze, a nad nim, w pewnym sensie, „Boga”, „Jezusa” lub „Niebo”, coś połączonego wiotkimi liniami z każdą istotą ludzką. Wszystko to wydaje mu się tak śmieszne, tak nędzne i tak naiwne — że odbiera ten obraz jak kosmiczny żart, podsunięty mu przez rechoczącą wyższą inteligencję.

Czuje, że ten dźwięk spycha całe znaczenie jego życia w urągliwą nicość. Wszystkie ambicje, osiągnięcia i wyznawane wartości widzi teraz jako szpetną, bezsensowną komedię pomyłek.

W jego umyśle wciąż bębnią słowa: „nigdy nic nie znaczyłem, nic nie osiągnąłem, niczym się nie stałem”.

Ta dziecinna wizja jest chyba odbiciem sposobu, w jaki zawsze myślał o Ziemi — jako o zbiorze różnych elementów, oddzielnych i niewspółmiernych drobiazgów, ludzi, zwierząt, roślin i kamieni. „Błąd! Błąd! Błąd!”, woła coś w jego umyśle. „Falszywe i dziecinne założenie”. Ledwie może udźwignąć smutek, jakim napawa go ta świadomość własnej słabości i infantylnizmu, kiedy wizja znika, ustępując miejsca nowej serii obrazów, tym razem wolnych od śmieszności, a nawet spowitych w aurę pełnej akceptacji i aprobaty. W aurę nieprawdy.

To znów jest glob pokryty różnymi obiektami — widać kobiety, mężczyźni, zwierzęta, rośliny, miasta i oceany. Ale teraz to wszystko tworzy zorganizowany system. Wszystkie elementy są ze sobą powiązane. Rzec można, że nie niczym się nie różnią. Od mitochondriów przemieniających tlen w energię po największe masywy skalne i najbardziej złożone systemy społeczne. To wszystko mu pokazano. I wszystko — łądy, oceany, zwierzęta, rośliny i ludzie — stanowiło jeden żywy organizm, otulony pozwalającą na oddech atmosferą. Organizm zasilany mocami psychicznymi, eteryczną krwią płynącą w żyłach jakiegoś niepojętego olbrzyma. Samorodna, samowystarczalna, samopowielająca się istota. Jedyna w swoim rodzaju. Ziemia jako matka, łono, bóstwo i grobowiec, jako jednostka, chroniona mocą własnej skorupy i własnej siły.

Zarysy globu zacierają się chwilami, przyjmując kształt ślimaka albo żółwia, okrytego twardym, żłobionym pancerzem. Ten widok przysparza jego umysłowi ogromnej satysfakcji i podsuwa wyobraźni obrazy harmonii, wolności i prawdy.

Jego pamięć znajduje się w stanie zawieszenia. Hearty żyje tylko chwilą obecną i nie potrafi przewidzieć przyszłości. Stracił władzę nad wszystkim — poza swoją obłądaną wolą. Kiedy tak stoi, nagi i samotny, w cieniu swego niezaspokojonego pragnienia, ona trzyma się na uboczu — chwiejna i pełna wątpliwości — ale jeszcze nie podporządkowana.

Tylko jeden element tej wizji ludzkiego żywota budzi jego opory. To, że nie ma w niej miłości. Coś w jego wnętrzu nie przestaje krzyżeć: „Potrzebuję miłości. Inaczej nic z tego”. I ten ostatni, naczelny warunek jego wolności sprawia, że Hearty buntuje się, negując to ultimatum, to narzucone mu „albo, albo”.

I nagle traci siły, poddany serii dotkliwych dźgnięć przesywających mięśnie ramion i nóg. Nie sposób tego wytrzymać. Krucyfiks wyślizguje się z palców. Hearty nie jest już w stanie

trzymał go prosto, kierując ku sobie Ukrzyżowanego. Krzyż chwieje się, chyli się w lewo i w prawo. Światło dotyka głowy rozpiętego na belkach, wydobywa też małą tabliczkę z literami „INRI” (Jezus z Nazaretu, król żydowski”).

W świetle Hearty'ego, w owej chwili, nie ma miejsca na zbieg okoliczności. Pozornie przypadkowy błysk budzi w nim uspiiony odruch. Egzorcysta przypomina sobie właściwe słowo, powtarza je najpierw w myśli, potem już głośno:

— Jezus... Jezus... Jezus... Jezus... Jezus.

Ledwie zdolał je wypowiedzieć, przebił się przez najgorsze. W jego umysł i wyobraźnię wdziera się nowa siła, obracająca w nicosć tę gwarancję spokoju, jaką była wiara bez miłości. Hearty, przez moment, czuje straszliwy ból: swój triumf musiał okupić utratą; nie wie jeszcze, co stracił — jakąś intymną radość płynącą z człowieczeństwa, potrzebę albo może chęć, pociąg do czysto ludzkiego piękna i symetrii, prawo do przysługującego mu szczęścia. Naruszono jakąś bardzo istotną część jego woli.

I wtedy dochodzi do niespodziewanego i — jak to określił Hearty — „morderczego” przejścia: egzorcysta koncentruje się już nie na sobie, a na Carlu. Pragnie zamordować to, co tamtego więzi. Pomocnicy widzą, jak podnosi głowę, a w jego oczach płoną gniew i determinacja. „Przez chwilę szczerze myślałem, że oszalał”, przyzna później młodszy ksiądz.

Pierwsze słowa, jakie wyszły z ust Hearty'ego po tym Starciu, do dziś budzą niepokój każdego, kto odtwarza tę taśmę.

— Morderco! Teraz ty zostaniesz zabity! Twoja kolej!

Carl opada na kanapę. Pomocnicy trzymają go, ale walka nie rozgrywa się na planie fizycznym. Carl słabym i niezwykle smutnym głosem powtarza jedno słowo:

— Nieprzezroczysty... nieprzezroczysty... nieprzezroczysty.

— Zły duchu — kontynuuje Hearty — opuścisz teraz to stworzenie zwane Carlem. Uwolnisz jego duszę i ciało. Opuścisz, w imię Jezusa. Natychmiast.

Potem zwraca się do profesora.

— Carl, zapłata cię nie ominie. Ale Jezus jest z tobą. Jako że nie dostałeś się jeszcze we władzę zła, wycofasz się ze swych dotychczasowych ustępstw. Odrzucisz je, jedno po drugim.

Carl trzęsie się ze zgrozy. Zaczął się pocić. Milczy.

— Wizja, Carl! Znowu stanie ci przed oczyma. Zobaczysz ją.

Oczy Carla spotykają się z oczyma Hearty'ego. Lęk i odraza wypychają je z orbit.

— Zobaczysz ją. I odrzucisz!

— N-n-n-n-n-n-nie! — jąka się Carl. — Nie. Proszę! Nie...

Dalsze słowa przechodzą w bełkot i giną.

— Odrzuć ją, Carl — mówi ostro Hearty — nawet jeśli nie będziesz umiał tego potwierdzić.

Carl zaczyna coś mamrotać, jęczy, a potem milknie. Z ust cieknie mu piana.

Hearty nie ustępuje.

— Carl! Twoje moce psychiczne! Carl! Odrzuć je na tyle, na ile są tworamia Złego. W imię Jezusa, Carl! Odrzuć je!

Opętany nie patrzy już na egzorcystę. Skierował głowę w lewo i wpatruje się w odległą ścianę.

— Odwróćcie jego głowę — żąda Hearty, nie bawiąc się w szczegóły. Pomocnicy spełniają polecenie. Czoło Carla jest rozgrzane do czerwoności i złane potem.

— Teraz, Carl! Czas na ostateczne odrzucenie. Spójrz na Żółwia!

Pomocnicy zaczynają odnosić wrażenie, że słuchają opisu jakiejś niewidzialnej sceny, dostępnej jedynie oczom Hearty'ego i Carla. Ci dwaj wciąż wpatrują się w ścianę.

— Spójrz na Złego, Carl! Żółw, twoje „wszystko”, twój przyjaciel, twój pan, twój diabeł, twój zgon — Zły zostanie, dla ciebie, zniszczony przez Jezusa.

Hearty milknie. Widzą, że odwraca głowę, jakby odbierał jakieś instrukcje; widzą w jego oczach jakiś nowy blask. Po chwili znowu uważnie przypatruje się Carlowi.

— Zobaczysz, czym jest ten zły duch!

Urywa, jakby mu przerwano. A potem:

— Nie! Nie w imię kogoś, kto żyje i umiera. — Kolejna pauza. — Tylko tego, który żyje, umiera i wraca do życia. Tylko w jego imię, Carl.

W oczach Carla maluje się teraz jakaś sytuacja, którą tylko on widzi. Nie koncentruje wzroku na Hearty'ym. Egzorcysta również, mimo iż patrzy prosto na Carla, wyraźnie widzi coś więcej. Co takiego, pomocnicy mogą tylko zgadywać, ale są przekonani, tak jak ludzie obserwujący publiczność teatralną, że zarówno Carl, jak i Hearty są w kontakcie z czymś niedostrzegalnym.

W pewnej chwili kapłan przysuwa się do kanapy. Mówi cicho i pewnie. Modli się:

— Panie Jezu Chryste, który powiedziałeś: „Ja i Ojciec to jedno”, oczyść teraz swego sługę Carla i ocal go od Otchłani oraz wszystkich tych, którzy wybierają wieczną śmierć.

Nastrój Carla zmienił się. Profesor jest rozluźniony. Coś starło z jego twarzy napięcie. W oczach i kącikach ust pojawia się nieznaczny jeszcze uśmiech.

Hearty nachyla się nad Carlem i szepce mu do ucha:

— Carl! Carl! Spójrz na mnie, jeśli możesz.

Przez moment czeka. Potem Carl odwraca głowę i spogląda na Hearty'ego. Jego oczy są pełne ciepła. Mimo iż są przekrwione i zmęczone, egzorcysta odnajduje w nich Carla, jego osobisty stosunek do tej sprawy.

— Carl, powtarzaj za mną. Tyle, ile zdołasz, tak szybko, jak możesz. Włóż w to serce. To ostatnie wsparcie przed decydującym zmaganiem.

Carl nie spuszcza zeń wzroku. Hearty mówi szybko, zatrzymując się po każdej frazie, tak by profesor zdołał ją powtórzyć:

— Panie Jezu, jeśli muszę umrzeć, pozwól mi umrzeć. Jeśli mam żyć, też będzie to zgodne z Twoją wolą. Póki żyć będę, pozwalaj mi przebywać w Twojej obecności, tak blisko, bym po swej śmierci, pomimo grzechów i mojego wroga, przeszedł od Ciebie do Ciebie. Amen.

Carl nie pomija żadnego słowa. Kiedy dochodzi do „Amen”, jego oczy stają się szkliste. Twarz mu tężeje. Gwałtownie potrząsa głową.

— Przytrzymajcie ją — mówi Hearty do pomocników.

Wstaje i podchodzi do krańca kanapy, wyciągając przed siebie krucyfiks. Zaczyna się ostatnie stadium egzorcyzmów.

Hearty niechętnie przywołuje dziś szczegóły tego, co wówczas widzieli z Carlem. Z nagrań wynika, że chodziło o Żółwia, ale nie o wizerunek z mozaiki w Akwilei ani nie o płaza, którego imieniem się posłużył. Najwięcej zdołałem się dowiedzieć o tej postaci, kiedy Hearty stwierdził, że mógł go zobaczyć i nie przypłacić tego „burzą w mózgu, atakiem serca albo permanentnym szokiem” jedynie dlatego, że wcześniej utracił coś z naturalnej dla człowieka radości.

Wszystko wskazuje na to, iż widział go jako ogrom cierpienia i kary skąpany w blasku nienawiści i złowrogiej wzdąry. Widział Żółwia jako anioła skazanego przez uosobienie miłości na wieczny ból i, w miarę narastania nie kończących się udręku, potęgującego w sobie nienawiść do owego wyższego uczucia. „Potępienie, któremu nie sposób zaradzić”, powiedział Hearty podczas jednego z naszych spotkań.

Egzorcysta widział w nim jedynie groźnego wroga, Carl zaś zobaczył swego pana: tego, który sprowadził nań tak żalosenie upodlenie.

Odczekawszy chwilę, Hearty mówi z wyraźnym naciskiem:

— Carl, to jest Żółw, twój przyjaciel i pan. To jest świat, który, według naszego wroga, mamy zaakceptować. — Milknij i znów czeka.

Carl nie odrywa od niego oczu.

— Zamknięty i zatrzaśnięty w swojej twardej skorupie. Uwięziony w Piekło. To jedno i to samo. Jedynie... — Carl przerywa mu, krztusząc się. Hearty ciągnie dalej. — Jedynie powieła w nieskończoność swą formę, bezduszny i banalny jak rząd grobów.

Carl znów zaczyna dygotać. Hearty posyła swym pomocników krzepiące spojrzenie i kontynuuje:

— Carl, to nasz wróg. Ten, który cię posiadł, zafascynował i pragnie, byś zginął w Otchłani.

Jeśli Carl to słyszy i przyjmuje w siebie, jest daleki od niepokoju i lęku. W jego oczach pali się dawny ogień. Wyraz twarzy profesora przywołuje Hearty'emu na myśl „grymas”, jaki widywano u niego już wcześniej, podczas transów w czasach, gdy święcił triumfy jako medium.

W głosie egzorcysty pojawia się nowa nuta.

— Carl, to wszystko jest oszustwem. I niedługo ulegnie zniszczeniu.

Odgłos, który mu przerwał, poruszył go do głębi. Carl zaczął łkać. Hearty wspomina dzisiaj: „Czułem się jak najokrutniejszy i najbardziej nieokrzesany człowiek w dziejach świata. Zdawało mi się, że krzywdzę dziecko”.

Zmusza się do dalszego działania.

— Carl, to musi zostać zniszczone. Twoja nie-jaźń, twoja aura nierzeczywistości, twoje głosy i wizje, wszystko to powędruje wraz z Żółwiem w Otchłań Zapomnienia.

Carl próbuje wyrwać się z rąk pomocników.

Hearty zaciska zęby, przymierzając się do ostatniej próby. Jest na nogach już od przeszło dwudziestu jeden godzin. Nogi się pod nim uginają. Plecy przeszywa mu dotkliwy ból. Ramiona i palce też ma obolale, wciąż dźwiga krucyfiks. Chrypi. Głowa wciąż ma pęka. Z dziwnej, głębokiej rany zadanej jego duszy wciąż sączy się krew. Udręki, jakie znosi jego ciało, są tylko tłem dla owych wewnętrznych katuszy, tak ostrych, nieustających i bardzo osobistych. Ta rana jeszcze długo będzie go dręczyć.

Carl próbuje wstać, wyciągnąć ręce.

— Nic nie zdoła cię uchronić, zły duchu. I nic nie osłoni cię przed mocą Jezusa. Skoro ukazałeś się temu stworzeniu

Bożemu w postaci Żółwia, jako Żółw odejdziesz i wrócisz tam, gdzie twoje miejsce, zabierając ze sobą swoją aurę nie-jaźni, swoje sztuczki, swoje łągarstwa i swoją śmierć.

Hearty, powoli i z rozważą, trzykrotnie kreśli nad Carlem znak krzyża.

— Zanurz się w pradawnym błocie, w które zepchnął cię Bóg, gdy się zbuntowałeś. Sześćnij w mule, wodach, powietrzu i ogniu Piekła, z którego Jezus wybawił Carla i wszystkie istoty ludzkie. Odejdź! — Przerzywa. Potem krzyczy. — Odejdź! Duchu Nieczysty! W imię Jezusa, odejdź! Precz!

— NIE ODCHODŹ! — wrzeszczy Carl. — Nie opuszczaj mnie teraz. Nie mogę żyć bez ciebie. Nie odchodź! Proszę! Mój przyjacielu! Mistrzu!

Hearty ostro wchodzi mu w słowo.

— Spójrz na to, Carl! Spójrz na to krzesło!

Carl odwraca się, wykręca głowę. Potem zaczyna jęczeć: widzi, że krzesło nie ma aury. Poświata nie-jaźni znikła. Tam stoi krzesło. To wszystko. Po prostu stoi. W całym swym *jest-stwie*. Zwyczajny przedmiot. Zwyczajne krzesło. Profesor pospiesznie ogarnia wzrokiem pokój. Widzi, że wszystkie światła pogasły. Przedmioty. Przedmioty. Przedmioty. Pośród innych przedmiotów. Pożółkły sufit. Wyblakłe różowe tapety. Dębowe drzwi i parapet, parkiet. Stół ze świecami i krucyfiksem. Sylwetki pomocników i Hearty'ego. Sześć topornych bloków. Bryły ciała stojące w pociemniałym świetle bezsensownych przedmiotów.

Carl nie przestaje wrzeszczeć; ucichnie dopiero wtedy, gdy pograży się w mroku niepamięci.

Zmuszając Carla do spojrzenia na otaczające go obiekty — krzesła, okna, podłogę i ludzi — Hearty wiedział już, że pokonał Żółwia. Podobnie jak przy każdym kryzysie niosącym w sobie groźbę śmierci, i tutaj na koniec czuło się, że nagle „zdzęty” został jakiś paraliżujący ciężar; to samo poczucie ulgi opisywali ojciec Gerald i jego pomocnicy, kiedy Dżiewkorób przegrał, zmuszony do uwolnienia Richarda/Rity. Podobne wrażenia opisywali ci, którzy przebywali w Londynie owego ranka, gdy powszechnie spodziewano się, że nalot hitlerowskich samolotów zrówna miasto z ziemią. Wcześniej świszczące deszcze bomb nosły nieustające zniszczenia i śmierć, powodowały masakry i pogłębiały poczucie bezradności. Ale tamtego ranka, kiedy miało rozpętać się piekło, niebo na wschodzie było czyste i spokojne. Zagrożenie odeszło. Cisza aż

dzwoniła w uszach. Było już po wszystkim. Obronili się, wytrwali i przeżyli. Wiedzieli o tym.

Hearty również wiedział.

I kiedy zmusił Carla, by również to odkrył, w dużej mierze potwierdził tym zasadność swych wcześniejszych obaw. Słyszając, że Carl na ukazanie mu znajdujących się w pokoju przedmiotów reaguje wrzaskiem, Hearty uświadomił sobie, że razem z Żółwiem odeszły najbardziej spektakularne doznania zaćmiewające prawdziwe moce psychiczne profesora. Tak jak się spodziewał, zniknęła aura nie-jaźni.

Wraz z nią, tego był pewien, odeszły te wszystkie elementy, które Żółw — jak potwierdził, ulegając naciskom Hearty'ego w fazie Konfrontacji — sam wykreował: podróże astralne, duolokacja i cała reszta. Pozostały jedynie skromniejsze talenty Carla: te, które rozwinęły się u niego w okresie dzieciństwa i istnieją po dziś dzień.

Lęk przed utratą tych przywilejów i opartej na nich konstrukcji życia był tak silny, że Carl krzyczał z bólu, mimo iż uwalniał się od najczystszej zła. Wrzeszczał z przerażenia, tak jakby opuszczało go na zawsze wszystko, co uważał za „normalne”. Ponownie zobaczył to, co widzą wszyscy. I pojął, sercem i duszą, że Hearty nie przesadzał z ostrzeżeniami. Rzecz w tym, że on, Carl, słuchał ich wówczas, przed egzorcyzmami, jedynie chłodnym, separującym się od wszystkiego umysłem, gdyż wola nakazywała mu opowiedzieć się za zgłębieniem fascynujących tajemnic, którymi wabił go Żółw.

Gdy zabrakło Żółwia, a kwestia jego tożsamości została całkowicie wyjaśniona i potwierdzona przez niego samego, Carl przeżył straszliwe rozczarowanie, równie nagle niczym wstrząs elektryczny, paraliżujące jego zdolność myślenia i pamięć. Przed tym właśnie szokiem próbował przestrzec go Hearty, nie mając pewności, czy nie skończy się to utratą zdrowia psychicznego, a nawet życia.

Sprawę Carla poprowadził dalej lekarz asystujący przy egzorcyzmach. Profesor przez kilka godzin pozostawał nieprzytomny. Kiedy doszedł do siebie, nie był w stanie rozmawiać. Ledwie reagował na bodźce i sprawiał wrażenie wyłączonego z otoczenia. Chyba nikogo nie poznawał. Nie było jednak śladu żadnych obrażeń fizycznych.

Przewieziono go do prywatnej kliniki, gdzie spędził przeszło jedenaście miesięcy. Początkowo nie umiał nawet zatroszczyć się o siebie. Cały czas spędzał w łóżku, nieruchomy i najwyraźniej zubożniały. Powoli zaczynało do niego docierać, co się z nim

dzieje. Ale wówczas szybko wyszło na jaw, że nawet jeśli nie popadł w amnezję, to, co pamiętał, było niewyraźne i fragmentaryczne.

W ciągu pierwszych miesięcy rekonwalescencji Carla, Hearty wiele czasu spędził przy jego łóżku. Czasami czytał mu wybrany artykuł z prasy codziennej, rozdział jakiejś książki poświęconej sprawom bieżącym lub modlitwy z brewiarza. Kiedy indziej mówił do niego jak do człowieka słuchającego jego słów i rozumiejącego je, mimo iż dość długo nie otrzymywał żadnego potwierdzenia ani odpowiedzi.

Przez cały czas, czytając albo mówiąc, szukał w psychice Carla jakiegoś drżenia, wyłomu w absolutnym bezruchu, w którym pograżył się duch chorego, próby wyjścia ze stanu obezwładniającej bierności, która, jak „czuł”, sparaliżowała go po odejściu Żółwia. Po każdej takiej wizycie Hearty aż do samego rana nie mógł się uwolnić od widoku owej nieruchomej, napiętej twarzy i bezmyślnych oczu.

Pewnego popołudnia, pod koniec dość krótkiego spotkania, otwierając już drzwi, by wyjść, odwrócił się, chcąc jeszcze pomachać temu, którego dzień w dzień zostawiał leżącego w łóżku, bezwładnego i biernego. Ale to, co zobaczył, przykuło go do progu. Carl odwrócił głowę. Odpowiedział na jego spojrzenie. Jego oczy nabrały wyrazu; widać było, że jest świadomy i rozpoznaje.

Hearty zamarł na kilka sekund, nie mogąc wymówić słowa. Po raz pierwszy otrzymał słaby, lecz jednoznaczny sygnał, że Carl dojdzie do siebie. Po tym zdarzeniu, co dwa lub trzy dni, odprawiał w jego pokoju mszę. Carl powoli odzyskiwał panowanie nad swymi ruchami i mową. Ale na dzień, w którym byłby w stanie przyjąć Komunię Świętą, przyszło im czekać jeszcze kilka tygodni. A jeszcze dłużej — na dzień, w którym mógłby znowu wyjść na słońce.

Dzisiaj Carl miewa się świetnie, jednakże tak się zmienił i wychudł, że trudno byłoby go rozpoznać komuś, kto widział go na zalanej słońcem drodze do Akwilei.

„Pragnę opowiedzieć wam wszystko tak, jak to teraz widzę”, napisał później Carl* do swoich byłych studentów i współpracowników.

* List ten przedstawiono tu w wersji skróconej. Pominięte zostały obszernie partie dotyczące kwestii technicznych oraz odnoszące się bezpośrednio do adresatów. Pod wszelkimi innymi względami skrót ten jest kompletny i wierny sensowi i intencjom oryginału.

„Ucząc was wszystkich, jak należy żyć, byłem w błędzie.

Przez całe swe dzieciństwo i młodość byłem związany z Bogiem. Zwłaszcza od czasu mej pierwszej wizji.

Jestem pewien, że Bóg tam był. Gdzieś w pobliżu. Ale potem przyszedł czas na Princeton, Stanford, Tbingen, Cambridge i Londyn. A później — na moje wejście w rolę guru i na rozkwit darów, które otrzymałem. Zagubiłem się. W jakiś sposób straciłem Boga. A jednocześnie chciałem pomagać. Naprawdę pomagać. Być na usługi. Wokół siebie widziałem tylko jaskrawe obrazy bólu, zgnilizny, schorzeń, korupcji i rozkładu. Widziałem dziwnych ludzi, których nic nie obchodziło. Proszę, niech was obchodzi, mówiłem. Wzywali Boga nadaremnie. Podobnie, jak ja. Byli przejrzyści, zimni i twardzi jak kostki lodu. Lubili bezinteresowne zło i upudrowaną niewinność.

Podpisałem ze sobą umowę, że zmienię to wszystko. Byłem młody, zapalczywy. Zdecydowany na sukces. Naładowany, powiedzielibyście. Zamierzałem być dobrym psychologiem, uczciwym, świadomym i rozumiejącym sługą ludzkości. Sługą. Nie niewolnikiem. A potem zamierzałem być dobrym parapsychologiem. A potem — bezkompromisowym guru.

Szedłem po omacku, nawet się modliłem, szukałem, nigdy nie uznając odpowiedzi przeczącej. I trafiłem na Diabła, na tego lirycznego łgarza.

Rzecz jasna, wiedziałem, z kim mam do czynienia. Ale — po pierwsze — ten Diabeł nie był tym, o którym mówi się w Kościele. W moim wszechświecie nie było miejsca na tak pojmovane Zło. Nie na tamym etapie mojego życia. Myślałem, że te związki i układy będą — mogą być — tymczasowe. To, oczywiście, nie było możliwe. Ale kiedy umysłem i sercem człowieka rządzi duma, ztraca się ostrość wzroku.

Szczerze i dobrowolnie pragnę podkreślić, że świadomie i bezwarunkowo podporządkowałem się złemu duchowi. I choć przyszedł do mnie, udając, że chce mnie zbawić, udoskonalić i ułatwić mi pomaganie innym, od początku wiedziałem, że jest zły.

W wyniku rozmów z ojcem F. [Heartym] uporządkowałem wszystko na płaszczyźnie intelektu. I muszę przypisać swoje wyzwolenie, czy też — ściślej mówiąc — swoje dążenie do pragnienia uwolnienia się (gdyż nawet tak oczywiste pragnienie pozostawało poza moim zasięgiem), wszystko to muszę przypisać temu, co ojciec F. nazywa łaską Bożą i zbawieniem przez Jezusa.

Nigdy nie miałem przyjemności odbywać podróży astralnych, to było tylko złudzenie. Nigdy nie dostąpiłem przywileju posiadania sobowtóra — o ile można to nazwać przywilejem. Nigdy nie doszło do duolokacji, nie osiągnąłem tego stanu. Ja sam nie mogłem widzieć tego, co dzieje się setki mil ode mnie, odczytywać przyszłości, widzieć przeszłość, precyzyjnie wnikać w umysły innych ludzi. Mogłem jedynie stwarzać takie pozory dzięki komuś, kto potrafił sięgać tak daleko wzrokiem i zgłębiać przyszłość, a zarazem doskonale znał przeszłość i miał dostęp do ludzkich myśli. Sprawa reinkarnacji, za którą orędownąłem, była tylko sztuczką. Nie byłem szamanem. To wszystko była blaga.

Uwolnić się od tego opętania zapragnąłem dopiero wtedy, gdy ojciec F. wyjaśnił mi, jaki podstawowy błąd popełniłem, rozpatrując kwestie świadomości i ducha.

Błąd ten, natury zarówno intelektualnej, jak i moralnej, wiązał się z podejściem do zwyczajnej ludzkiej świadomości. Podobnie jak wielu przede mną, a także i teraz, odkryłem, że dzięki rygorystycznemu i fachowo przeprowadzonemu treningowi mogę osiągnąć fascynujący stan świadomości: całkowite zerwanie kontaktu z *poszczególnymi obiektami*. Odkryłem, że na tym planie świadomości mogę istnieć trwale. Z czasem zakorzeniło się to we mnie na stałe; ilekroć byłem przytomny, pozostawałem w tym stanie niezależnie od tego, co akurat robiłem. Wydawało mi się to czyste i, tym samym, bezgrzeszne, jednolite i, przez to, uniwersalne, proste, a zatem jednoznaczne — i dlatego niezniszczalne i niezmiennie, a więc wieczne.

Popełniłem błąd, kiedy psychobiologiczne uwarunkowania życia uznałem za sprawę *ducha*. Świadomość to, w zasadzie, czujność, bycie uważnym. Jeżeli tak to rozumieć, można ją zmierzyć pewnymi kategoriami fizjologicznymi. Można ją opisać z punktu widzenia fenomenologii, gdyż jest fenomenem.

Gdyby nie pewien późniejszy błąd, z czasem, jak wierze, uporabym się z tą pierwszą pomyłką — gdyż w końcu zwyciężyłoby naukowe podejście, zmuszające nas do stawienia czoła faktom.

Po jakimś czasie zacząłem doświadczać nowego stanu świadomości. Trudno to wyrazić słowami. Przedtem pozostawałem jakby w zawieszaniu, nie wiedząc, co wiem. Byłem świadom tylko tego, że czuwam. Któregoś dnia dzięki zmysłowi, którego nie umiem określić, pojąłem, że coś się dzieje, coś tak wyrafinowanego i subtelnego, że choć miałem niejasną świadomość tego stanu rzeczy, nic absolutnie nie wiedziałem — co to jest,

gdzie to jest, jak się to odbywa, czy ma początek i kres, czy też istniało zawsze, czy istniało stale i dalej będzie istnieć — czy sobie to uświadamiałem, czy też nie.

To leżało poza moim zasięgiem. Było absolutnie transcendentne. Tak się przynajmniej przedstawiało i dlatego pojąłem, że różni się od innych poziomów mojej świadomości. Tamte, nawet najbardziej subtelne, mogłem w końcu osiągnąć za pomocą zmysłów — a przynajmniej odnaleźć ich odbicie w obrazach podsuwanych mi przez zmysły. Ten wyższy stan świadomości nie podlegał owym prawom.

Ależ to wystarczająca wskazówka, pomyślałem. Uznałem go za *absolutnie duchowy* poziom mojej istoty. Przyjąłem, że — odwołując się do języka religii — wyszedłem poza Ciemną Noc Duszy, o której pisał Jan od Krzyża, i zanurzyłem się w czymś, co dalekowschodni mistycy określali takimi mianami, jak *satori* i *samadhi*. Fakt, że przynajmniej z perspektywy czasu mogłem ocenić i zaklasyfikować ten stan świadomości, jakoś nie budził moich podejrzeń. A to dostatecznie świadczyło o mojej tępotcie. W moim błędzie utwierdziło mnie jeszcze to, że zrezygnowałem z rozpatrzenia faktu, iż ten stan nie ma żadnego związku z żadną ze znanych religii — że nawet nie ma szansy go z nimi połączyć. Była to, innymi słowy, sprawa czysto subiektywna. I w ten sposób otwarły się we mnie drzwi umożliwiające dostęp wszelakim wpływom i przeinaczeniom. I przez te drzwi wczłogał się zły duch. Żółw.

Doszedłem do pewnej części prawdy na temat ducha — tej niższej części, tej negatywnej. Z całego strumienia życia duchowego odsłoniła się ta jedna część. I czym prędzej zaatakowała moje człowieczeństwo, Bo to nieprawda, że jestem po części zwierzęciem, po części człowiekiem. Nie jestem humanoidalnym zwierzęciem. Jestem duchem człowieczym. My wszyscy jesteśmy z ducha, z jego płynnego, nie statycznego, nieobliczalnego bytu. A jeżeli idzie o ducha, takie terminy, jak niższy i wyższy, zły i dobry, są określeniami odnoszącymi się do jego odległości od źródła i sumy wszystkich wartości duchowych.

Poddałem się najprzemysłniejszej z iluzji: uwierzyłem, że duch to stała liczba mniej lub bardziej określonych wymiarów, że dostojnicy Kościoła zataili prawdę o duchu i że można do niej dotrzeć jedynie dzięki parapsychologii i wrodzonym zdolnościom.

Mówiąc prawdę, przez cały czas, pomimo wspaniałej kariery, jaka rozwijała się przede mną do owego dnia w Akwilei, od

samego początku tego opętania, nie mogłem uwolnić się od żalu. Od głębokiego, dojmującego smutku. Wszędzie szukałem radości i żyłem pod mroźnym księżycem, który obracał w niewecz każdy mój dzień.

Moja rada dla wszystkich tych, którzy zajmują się badaniem i zgłębianiem parapsychologii, jest prosta, ale niezwykle ważna: nie mylcie skutków z przyczynami ani systemów z tym, co steruje owymi systemami. Nie przyjmujcie, że fotografie aury dokonane przez Kirlianów to fotografie ducha. Nie uważajcie wyczynów mediów podczas seansów spirytystycznych za przejawy działania ducha Bożego. Ale i nie tykajcie, i nie penetrujcie fenomenów paranormalnych, jeżeli nie zamierzacie odwoływać się do strony duchowej. Nie wolno wam. I fakt ten, w zależności od tego, co zrobicie, będzie służył waszemu duchowemu rozwojowi albo degradacji”.

Mechanizm opętania

Dobro, zło i opinia współczesna

Najpewniejszym skutkiem opętania — najbardziej oczywistym i uderzającym, możliwym do zaobserwowania u wszystkich opętanych, zarówno podczas egzorcyzmów, jak i w oderwaniu od nich — jest ogromny ubytek wartości ludzkich, *człowieczeństwa*.

Ciekawe, że fakt, iż trudno jest dzisiaj mówić o opętaniu i opisywać jego przebieg oraz efekty, niewiele ma wspólnego z niesamowitymi, dziwacznymi i „niewyobrażalnymi” zdarzeniami, które niekiedy towarzyszą temu zjawisku.

Trudność ta jest owocem uporu obecnych kręgów opinio-twórczych, twierdzących, że prezentowany przez religię pogląd na dobro i zło stał się anachroniczny, że osobowość każdej kobiety, mężczyzny i dziecka to tylko krzyżówka pojedynczych cech i uwarunkowań, których poziom najlepiej wyrażają wyniki testów psychologicznych i że najprawdziwszych i najczystszych wzorców naszego zachowania należy szukać u „zwierząt niższego rzędu” i „człowieka naturalnego” — mitycznej istoty, która nigdy nie istniała i której nie sposób sobie wyobrazić.

Trudność tę pogłębiają czynniki dodatkowe. Coraz powszechniejsza staje się opinia, że religię, wszelkie formy wierzeń i wszystkie idee odwołujące się otwarcie do moralności chrześcijańskiej należy odseparować od instytucji publicznych, opierających się na podatnikach — i że jest to działanie na rzecz „obiektywizmu” i „demokracji”. Kultura masowa — kino, telewizja, literatura i teatr — nie prezentuje już bohaterów i konkretnych koncepcji dobra i zła, działania słusznego i niesłusznego. Pokazuje nam życie ludzkie jako wybór pomiędzy mdłą rozpaczą a desperackim zmaganiem z banalnymi przeciwnościami, podczas którego polegać możemy jedynie na sobie i na naszych siłach.

Ale światopogląd chrześcijański nadal jest światopoglądem większości. Nadal stanowi gwarancję, że my wszyscy, każde z nas, jesteśmy pełnowartościowymi osobami, a nie pęczkami pojedynczych reakcji, które można poddać sekcji i badaniom granic wytrzymałości w wyróconym na opak świecie.

Sednem chrześcijańskiego światopoglądu w odniesieniu do poszczególnych ludzi jest to, że nasze człowieczeństwo — nasz rdzeń i nasza wartość jako pełnowartościowych ludzi obdarzonych indywidualnością — jest cenione przez Jezusa i znajduje

się pod Jego opieką. To właśnie dlatego egzorzysta chcący odbudować to człowieczeństwo i jego integralność mówi otwarcie, że występuje w imię Jezusa i Jego władzy. Czyni siebie zakładnikiem w walce o wartość człowieka — podobnie jak zrobił to Jezus w odniesieniu do nas wszystkich. Zwyciężyć może jedynie dzięki sile swej wiary w Niego i w oparciu o związek swej indywidualnej woli z faktem Zbawienia.

Zdrowy rozsądek i opinia publiczna nakazują dokonywać rozróżnienia pomiędzy *człowiekiem* i *człowieczeństwem*. Mamy do czynienia z powszechną zgodą na to, że czynnikami decydującymi o zaliczeniu kogoś do kategorii istot ludzkich są wygląd zewnętrzny i umiejętność funkcjonowania. Pewna forma fizyczna odziedziczona po innej istocie ludzkiej obdarzonej zbliżonymi cechami. Pewien zasób normalnych czynności: jedzenie, spanie, chodzenie, rozmawianie, śmianie się, myślenie, chcenie, umieranie. Pewne zdolności: możliwość uczenia się, dorastania, rozwiązywania problemów, planowania, współczucia itd. Czegoś może komuś brakować, coś może być niedostatecznie rozwinięte, ale już fakt istnienia u kogoś jakiejś sumy tych cech pozwala nam zaklasyfikować go jako człowieka.

Jak wynika z pewnych przypadków opisanych w tej książce, a także z wielu innych, które znamy, opętani są w stanie, przynajmniej przez jakiś czas, w miarę skutecznie występować w pracy i w swym środowisku jako pełnowartościowe istoty ludzkie. Co więcej, im pełniejsze jest to opętanie, tym mniej prawdopodobna staje się możliwość, że zakłóci ono funkcjonowanie owej osoby na planie czysto ludzkim. Jay Beedem, u którego ojciec Mark doszukiwał się idealnego opętania, był wzorem chłodnej skuteczności.

Nigdy jednak nie utożsamiamy owego poziomu cech ludzkich z tym, co z braku odpowiedniejszej nazwy określamy mianem *człowieczeństwa*.

Pod tym pojęciem rozumiemy zespół cech odnoszących się do „człowieka wewnętrznego” i w dużym stopniu powiązanych z zewnętrznymi przejawami życia i działania. Cechy te, traktowane łącznie, tworzą powszechnie odczuwalną aurę, kolor, przydają człowiekowi uroku i wartości. U niektórych z nas ta sfera człowieczeństwa osiąga niezwykłą pełnię. Wydaje się wówczas, że wzbogaca nasze kontakty z otoczeniem o pewną wibrującą „poświatę”, sprawiając, że wszyscy czują, iż w naturze naszej leży entuzjastyczne reagowanie na najdrobniejsze nawet, ale i najcenniejsze wartości.

Człowieczeństwo jest łaską, nie zawsze jest piękne, lecz nigdy nie szpetne; nie zawsze jest świętością — w odczuciu wierzących — lecz nie ma nic wspólnego z wulgarnością; nie musi być podbudowane „kulturą wyższego rzędu”, lecz zawsze jest na swój sposób wyrafinowane; nie musi dominować ani imponować, lecz samo też nie ulega zdominowaniu. Czyni tego, który je posiadał, spójną istotą ludzką, dla jednych urzekającą, dla innych żywą, zawsze obdarzoną pewną dozą majestatu. Taki człowiek kocha siebie, ale wolny jest od nikczemnego egotyzmu, który czyniłby go ślepym; kocha innych, ale jako że nie nienawidzi siebie samego, nigdy nie stanie się dla nich igraszką lub pionkiem. Czasami myślimy, że nie wszyscy jesteśmy nim obdarzeni. Wydaje nam się, że niektórym jego nieco brakuje. Ci, którzy otrzymali ten dar posiadając go w różnym stopniu, nie zawsze potrafią z niego korzystać, od czasu do czasu mogą zawieść. My sami, nawet gdy „zrobiliśmy, co mogliśmy” i pocieszamy się, mówiąc, że „w takich okolicznościach nie mogliśmy spisać się lepiej”, uświadamiamy sobie, że stać nas na więcej, że bliżej nam do doskonałości i że powinniśmy postąpić o wiele doskonałej.

Dla chrześcijan źródłem człowieczeństwa wszystkich ludzi, tych, którzy niegdyś istnieli, i tych, którzy żyją obecnie lub dopiero pojawią się na świecie, jest Jezus z Nazaretu. Wszelkie formy opętania, od zniewolenia częściowego po idealne, widzieć należy jako atak zarówno na to źródło, czyli na Jezusa, jak i na człowieczeństwo każdej istoty ludzkiej. Proces opętania opiera się na podkopywaniu wartości danych nam przez Jezusa.

Aby wyjaśnić, w jaki sposób się to odbywa, musimy odpowiedzieć na kilka pytań. Czym jest zły duch w odniesieniu do Chrystusa i do nas samych? Czym jest człowieczeństwo Jezusa? Na jakiej zasadzie jest On dla nas wszystkich źródłem człowieczeństwa? Jak wyjaśnimy to w odniesieniu do tych ludzi, którzy żyli przed nim i po nim? Ściślej mówiąc: jak zwyczajni ludzie mogą otrzymać od Jezusa dar człowieczeństwa lub go utracić? I wreszcie: na czym polega to podkopywanie człowieczeństwa Jezusa — innymi słowy, czym jest proces opętania przez Diabła?

Pytania te zadawały i głowiły się nad nimi najętsze umysły w historii. Część z nich daleko zaszła w poszukiwaniu odpowiedzi — równie daleko, co trzeba przyznać, jak ludzie parający się nauką, odpowiadając na pytania dotyczące ich dziedziny.

I choć nasze rozwinięcie tych pytań o Jezusa i Lucyfera w znacznym stopniu ograniczone będzie przestrzenią, którą

możemy na to poświęcić, uczynimy jeszcze jedno spostrzeżenie, nie uważając go za wygodny frazes: współcześni prorocy i zwiastuni dnia sądowego zdolni są jedynie do ignorowania tych kwestii i mówią nam, byśmy postąpili tak samo. Nie potrafią dowieść, że pojmujemy je fałszywie, a mimo to nie szczędzą wysiłków, by wmówić nam, że tak jest. I wkładają w to tak wiele trudu, że nie będą w stanie naprawić szkód, jakie czynią tym naszemu człowieczeństwu.

Duch ludzki i Lucyfer

W historii egzorcyzmów stale pojawiają się odniesienia do złych duchów: do Szatana (albo Lucyfera) jako ich zwierzchnika lub wodza i do całego zamieszkanego przez nie świata.

W pięciu przypadkach, które przedstawiliśmy wcześniej, świat zasiedlony przez złe duchy najczęściej określany jest mianem „Królestwa”. Gdybyśmy mieli pominąć kwestię wiary w ten świat lub zaprzeczyć jego istnieniu, zatraciłby się sens chrześcijaństwa. W Nowym Testamencie i tradycji chrześcijańskiej zbawienie przedstawiane jest jako zwycięstwo nad wrogą i groźną inteligencją należącą do bezcielesnej istoty. Nie jest to proste i prymitywne poskramianie ślepych sił materialnych. Nie jest to też jedynie tło dla przykładów z zakresu etyki i zasad moralnych. „Królestwu Bożemu” zawsze przeciwstawia się „Królestwo Zła”, czy też Szatana.

Nie sposób mówić o „historii” tych duchów w potocznym rozumieniu tego słowa. Ich byt nie ma swego początku i nie jest przypisany do kontinuum czasoprzestrzennego, od którego uzależniony jest bieg historii. A jednak z tradycji wynika, że cały byt i los tych duchów pozostaje w niezwykle ścisłym i wieloznacznym związku ze znanym nam światem ludzi.

Tradycja mówi o pierwszym grzechu, jakiego, buntując się przeciwko Bogu, dopuściła się część duchów, wiedziona przez tego, którego umownie nazywa się Lucyferem („Synem Poranka”, by podkreślić jego wyjątkowe cechy) albo Szatanem (by wskazać na to, że jest głównym antagonistą Boga). Jeżeli oprzeć się na rzadko występujących w Piśmie Świętym wzmiankach, uwagach, jakie za swego życia czynił Jezus, i całej tradycji chrześcijańskiej, ogólny zarys „historii” tych duchów i ich związków z Jezusem i naszym światem wyglądałby tak, jak to przedstawimy w dalszej części wywodu.

To, że Bóg postanowił stworzyć istoty inteligentne — duchy i ludzi, istoty mogące kochać Go lub odrzucić — było ściśle związane z postanowieniem przyjęcia postaci człowieka.

Ale mówiąc o tej Bożej decyzji, musimy dokonać rozróżnienia pomiędzy sposobem, w jaki my ją rozumiemy i traktujemy, a tym, co zrobił Bóg i jak to nadal realizuje.

Nasze rozumienie tej decyzji i mówienie o niej podporządkowane jest kategoriom chronologicznym. Najpierw stworze-

nie duchów. Potem ich bunt. Później stworzenie człowieka. Następnie bunt człowieka. Potem koncepcja narodzin Jezusa i zrealizowanie jej. Później ofiara i zmartwychwstanie Jezusa i, w konsekwencji, zbawienie ludzkości. Następnie życie ludzi napastowanych przez zbuntowane duchy. Musimy tak to widzieć. Ale to wynika z *naszego* ograniczenia.

Dla Boga nie było to i nie jest procesem stopniowym. Wbrew pozorom, nie zdecydował najpierw, że stworzy duchy, by po namyśle dojść do wniosku, że stworzy jeszcze ludzi, a po chwili refleksji — że stanie się człowiekiem. Stworzenie nie przypominało rozwijającej się taśmy. Wynikało z jednej decyzji obejmującej duchy, ludzi i Boga-Człowieka. I to decyzji podjętej nie w jakimś konkretnym punkcie czasu, ale w wieczności. Boga nie sposób od niej oddzielić.

To oznacza, że decyzja ta od samego początku łączyła w sobie przyczyny i skutki. To, czego Bóg oczekiwał po wszystkich swoich twórcach, jest tożsame z tym, co działo się, dzieje i będzie się działo do końca czasu i przestrzeni. Jego widzenie rzeczy zawsze było pełne. Wszystkie szczegóły tej decyzji tworzyły integralną, początką w wieczności całość, uwzględniającą wszelkie warianty ludzkich działań i reakcji, a także ich skutków.

Osią owej decyzji był wybór, jakiego dokonał Bóg, postanawiając, że stanie się człowiekiem. I tak, jak Jego boskość — mówiąc językiem ludzi — zwróciła się w tym konkretnym kierunku, tak samo wszystkie „elementy” Bożej decyzji — łącznie z duchami — stworzone i przygotowane zostały właśnie po to. Bóg miał nawiązać bliski kontakt z materią — z przestrzenią, czasem, przedmiotami i ludźmi.

A zatem i jego twory, duchy, stworzone i przygotowane zostały w tym samym celu. Ich przeznaczenie, moce, osobiste względy i cały byt, ich najtajniejsze instynkty i zapędy, wszystko to było i na zawsze pozostanie skoncentrowane na świetle ludzi, na wszystkim, co ten świat zawiera, i — przede wszystkim — na Jezusie, źródłu jego znaczenia.

Chrześcijańska tradycja przypisuje tym duchom rolę pośredników. Były i są bezcielesne — jak Bóg. Były i są owocem stworzenia — jak ludzie. W szczegółowym planie realizacji owej Bożej decyzji w czasie i przestrzeni, a także w umysłach i sercach miliardów ludzi otoczonych przez rzeczy materialne duchom tym przydzielono funkcje, których możemy się tylko domyślać. Funkcje związane ze światem człowieka i z Jego postanowieniem, iż stanie się częścią tego świata.

Na tym etapie naszego rozumienia ducha mogą nam nieco pomóc uwagi Jezusa. Mówił On raz lub dwa, dość tajemniczo, ale zarazem treściwie, o najważniejszym spośród tych duchów, które zbuntowały się przeciw swemu Stwórcy — o Lucyferze.

Odpierając ataki tych, którzy nękali go na ulicach Jerozolimy, zarzucając mu zło, Jezus powiedział z oburzeniem: „Wy macie diabła za ojca i chcecie spełniać požądania waszego ojca. Od początku był on *zabójcą* i w prawdzie *nie wytrwał*, bo prawdy w nim nie ma. Kiedy mówi kłamstwo, od siebie mówi, bo jest *kłamcą* i *ojcem kłamstwa* [podkreślenia moje]”.

To, co ówczesni Żydzi rozumieli pod pojęciem „zabójcy”, niewiele miało wspólnego z kategoriami prawnymi, z jakimi dziś je wiążemy. Bliższe było naszemu „bluźniercy”, czy też „świętokradcy”.

Jezus dodał jeszcze, że drugim elementem buntu Lucyfera było kłamstwo. I znów, w Jego ustach, słowo to oznaczało nie tyle łgarstwa i cygaństwa, co „pozory”, „oszustwo” i „falszywe świadectwa”.

Sens tych słów Jezusa jest całkiem jasny. Lucyfer dał i daje *początek* wszystkim bluźnierstwom i oszustwom w stworzonym przez Boga świecie ducha — do tego stopnia, że ci wszyscy, którzy oszukują i miotają najgorsze bluźnierstwa, jedynie idą śladem tych samych żądzy. W jakiś tajemniczy sposób wspierają i pomnażają jego kłamstwa i bluźnierstwa. „Wy macie diabła za ojca”.

Jezus uzupełnia to kilkoma szczegółami. „Od początku” zdaje się wskazywać, że bunt był równoznaczny ze stworzeniem inteligencji Lucyfera. Nawet przez ułamek chwili nie był on zwolennikiem Boga. Co więcej, Lucyfer jest „kłamcą”. Oszustwa i bluźnierstwa są dla niego czymś „naturalnym”. Jezus używa tych mocnych i całkowicie czytelnych pojęć, by opisać *totalne zło*. Nie tyle totalnie złą istotę, co raczej istotę będącą *źródłem wszelkiego zła* w świecie ludzi.

Te kilka uwag pozwala się nam domyślać natury owego buntu, kiedy Lucyfera poparło niezliczone mrowie innych duchów. Rebelia opierała się na bluźnierstwie i oszustwie. Dotyczyła Jezusa jako Boga i Zbawiciela, dotyczyła też ludzi jako dopuszczonych do pełni Jezusowego człowieczeństwa.

Czy Lucyfer kłamliwie twierdził, że jest wyższy i godniejszy niż człowiek Jezus? Czy bluźnił, głosząc, że jego, Lucyfera, bezcielesnego ducha i najważniejszego z aniołów, powinno się uważać za większego od Jezusa, który — jak wszyscy ludzie — był po części duchem, po części materią? On, anioł, miałby

wielbić kwilące niemowlę z Betlejem i zakrwawione pół-zwierzę, jęczące w obliczu śmierci na Golgocie?

A może zbuntował się, gdyż przeznaczeniem jego i innych aniołów miało być wsparcie procesu wyniesienia ludzi ponad materię i życie doczesne, nawet ponad poziom aniołów, dopuszczenia ich do udziału w życiu Boga?

A może zanegował całość Bożej decyzji? Innymi słowy, czy zanegował decyzję, iż wszystko — nawet sam Bóg i stworzone przez Niego duchy — będzie ściśle związane ze światem ludzi? A jeśli tak, czy zdarzyło się to dlatego, że zanegował podstawę owej decyzji, świat istot — ludzi — potrzebujących współczucia, litości, pomocy i pokrzepienia? Fakt, że duchy miały służyć owym współczuciem i nieść pomoc, by tamte stworzenia dostąpiły niezasłużonej chwały?

A może Lucyfer, obdarzony anielską inteligencją, przewidział to, co jest ludzkom przeznaczony, a o czym oni sami jeszcze nie wiedzą — że po wielu eonach rozwoju, kiedy skolonizowane już zostaną miliardy galaktyk, ludzkość dojrzeje *duchowo* do niewyobrażalnego dzisiaj poziomu, na którym uwolni się od materii, ale będzie mogła nadal cieszyć się pięknem materialnego świata?

Zawiść? Ambicja? Duma? Wzgarda? Tego możemy się tylko domyślać.

Czykolwiek kierował się Lucyfer, bluźnił przeciwko wyjątkowej świętości Boga i dawał fałszywe świadectwa. Kara była natychmiastowa. Jezus, jawnie odnosząc się do swoich wspomnień z okresu owego buntu, opowiedział o tym krótkim, strasliwym momencie strącenia i ukarania Lucyfera oraz tych duchów, które poszły jego śladem. Powiedział: „Widziałem szatana, spadającego z nieba jak błyskawica”. Tu znów mamy tak typowy dla Jezusa, sugestywny obraz: nagły błysk niezwyklej inteligencji Lucyfera na tle czystego nieba pierwszych dni Stworzenia, krótki płomień jego fałszywej chwały i, wreszcie, upokorzącą klęskę i odtrącenie przez Boga, strącenie go z jasnych i czystych poziomów miłości i niezmiennego piękna, poza granice szczęścia, do czeluści wiecznego wygnania, z dala od dobra i świętości.

Bunt i kara nie zmieniły pierwotnej orientacji Lucyfera i tych duchów, które go wsparły. W ich naturze leżało pozostawanie w ścisłym kontakcie ze światem ludzi. Od tego nie potrafiły się uwolnić. Zachowały swą siłę woli i inteligencję. Te cechy jednak, pod wpływem buntu i skazania na wieczne potępienie, uległy wypaczeniu. Miejsce miłości do Boga, do Jezusa,

a zatem i do ludzkości, zajęła nienawiść. Pozostała potrzeba wejścia w świat ludzi i nawiązania kontaktu z materią; teraz jednak stała się potrzebą obalania, plamienia, niszczenia, obrzydzania i deformowania.

Znajomość prawdy służyła odtąd wyłącznie próbom jej zniekształcenia. Oddanie przestoczyło się w urąganie i wzgardę. Marzenia o miłości ustąpiły miejsca prostackim groźbom. Światłość zmieniła się w mroczny chaos. A pierwotna misja owych duchów, czyniąca ich pomocnikami Jezusa, zaowocowała gorącą i zgubną nienawiścią do Niego, Jego miłości, Jego zbawienia i wszystkich tych, którzy są Mu wierni.

Rzec można, że duchy te uwarunkowała do głębi ta diaboliczna „zmiana”; ten sam szczególny, opaczny, zwichrowany i wynaturzony charakter, który możemy odnaleźć u ludzi z gruntu złych, w targanym wojną świecie Michaela Stronga i w przerażającym i przenieconym świecie każdego opętanego.

Dość dużo ze szpetoty Lucyfera odnaleźć możemy w reakcjach ludzi totalnie obłąkanych, którzy całymi dniami śmieją się hałaśliwie ze swych własnych aberracji — z napadów agresji, z miłości do brudu i z samookaleczeń. Żałujemy ich jako ludzi nie panujących nad sobą, jako zagubionych i nieświadomych swego tragicznego losu. Ale i u nich, i w każdym uśmiechu, jaki wywołuje w nas cudze nieszczęście, możemy odkryć echo półtonów Lucyfera, jego sygnaturę, echo niepohamowanego i bezsensownego śmiechu, drwiny z własnego złudnego i dobrowolnie wybranego stanu absolutnej nienawiści.

„Dobro” i „zło”, jako pojęcia odnoszące się jedynie do istot ludzkich, muszą nam zatem uzmysłwić, że pozostajemy w *bezpośrednim*, codziennym i rzeczywistym kontakcie z wpływami zarówno Jezusa, jak i Lucyfera. Co więcej, „dobro” i „zło”, jako kategorie odnoszące się tylko do ludzi, zmuszają nas do uznania naszej indywidualnej woli. Czy mamy do czynienia z zaproszeniami od Jezusa, czy z pochlebstwami Lucyfera, sami dokonujemy wyboru, tak Jezusa, jak i Lucyfera. My wybieramy,

Wiele z tego, co wiemy z naszych bezpośrednich doświadczeń ze złymi duchami, idzie w parze z tym, czego mogliśmy się spodziewać, opierając się na naszej wiedzy lub na domniemaniach dotyczących ich początków.

Najbardziej znaczącym i dla wielu współczesnych umysłów paradoksalnym aspektem istnienia tych duchów jest to, że każdy duch wydaje się być bytem osobowym i inteligentnym, a nie istnieje fizycznie. Jest bezcielesny. To stały i naczelny element

chrześcijańskiej wiary w ich istnienie, potwierdzony też dowodami, których dostarczyli egzorcyści.

We współczesnej psychologii terminy „osobowość” i „osoba” wiążą się ściśle ze świadomością psychofizyczną. Za „osobowość” uważa się zespół czynności psychofizycznych — takich jak odczuwanie emocji, chcenie, pragnienie, myślenie, posługiwanie się wyobraźnią i pamięcią — oraz inspirowanych lub sterowanych przez nie działań zewnętrznych. Wszystko to może stanowić wartość wymierną. „Osoba” jest to ktoś o mniej lub bardziej stałym i sprecyzowanym potencjale takich czynności i działań.

Stąd też za „osobę” dotkniętą zaburzeniami „osobowości” uważa się taką, której czynności i działania odbiegają swym charakterem, intensywnością i częstotliwością od powszechnie dostrzegalnej i ogólnie przyjętej normy. Oczywiście, uznanie tej współczesnej terminologii za trafną i uniwersalną wyklucza jakiegokolwiek myślenie o bezcielesnych i osobowych duchach. Zgodnie z jej założeniami, „osoba” i „osobowość” to wartości materialne, podzielne, wymierne, obliczalne i, w efekcie, nie-trwałe.

Klasyczna myśl i wiara chrześcijańska interpretują tę kwestię zgoła inaczej. Odzwierciedlają naturalne pragnienia więkzości ludzi.

„Osoba”, według myśli chrześcijańskiej, jest duchem. Jako duch, jest niezniszczalna i trwała. Posiada własną wolę i zdolność myślenia. Sam *odpowiada* za swe myśli, pragnienia i czyny. Jest też obdarzony świadomością. „Osobowość”, w rozumieniu chrześcijan, to synonim totalnej indywidualności każdej osoby. Ograniczenie lub zredukowanie tego wewnętrznego i świadomego ośrodka odpowiedzialności do poziomu uładowanego pęczka arbitralnych decyzji — do tak zwanego „myślenia”, tak zwanego „chcenia”, tak zwanego „działania” itd. — jest samo w sobie obłąkaną ideą, jako że te koncepcje „osoby” i „osobowości” odnoszą się zarówno do ludzi, jak i do bezcielesnych duchów, a nawet Boga.

W przypadku ludzi ów indywidualny i osobowy duch rozwija swoją wolę, zdolność myślenia i wszystkie swe moce *poprzez* aktywność psychofizyczną; nie wychodząc raczej poza strefę, w której wszystko jest wymierne.

Złe duchy są osobowe, ma to jednak *zupełnie inny sens*. Jako że są bezcielesne, ich indywidualna tożsamość nie zależy od tożsamości *ciała*. Chrześcijanie wierzą, że są one świadome i zdolne do myślenia, posługiwania się wolą i działania, a swoje

moce wykorzystują w sposób prosty, bezpośredni i czysty — bez pośrednictwa działań natury psychofizycznej.

Podkreślają to doświadczenia ze złymi duchami podczas egzorcyzmów. W niemal każdym przypadku, gdy dochodzi do kluczowego momentu, duch mówi o sobie na przemian „ja” i „my”, równie łatwo posługując się zaimkami „mój” i „nasz”. „Zabieram go ze sobą”. „Jesteśmy tak silni, jak śmierć”. „Głupcze! Wszyscy jesteśmy jednym”. „Jest tylko jeden”. Te wszystkie zdania cisnął w kierunku Michaela Stronga duch, z którym egzorcyista mierzył się w Nankinie, w magazynie Puh-Chi. „Ja”, „my”, „wszyscy”, „jeden”, „mną”. Tu nie ma miejsca na charakterystyczną dla ludzi indywidualność ani na najdrobniejsze nawet przejawy utożsamiania się z ciałem.

Fakt, że duchy występujące w opisanych tu przypadkach reagowały w końcu na swe imiona („Dziewkorób”, „Uśmiechnięty”, „Żółw” itd.), nie dowodzi istnienia ich indywidualnych tożsamości. Przyjmowały te imiona prawdopodobnie tylko ze względu na środki, którymi posługiwały się podczas zniewalania wybranej osoby, albo dla poparcia własnej strategii. Kiedy ojciec Mark domagał się od „zwierzchnika” Wujka Ponto, by podał swe imię, ten odpowiedział: „My wszyscy wywodzimy się z Królestwa”, po czym dodał: „Żaden człowiek nie pozna tego imienia”. A skoro Mark nie zamierzał ustąpić, duch rzekł: „Jestem Multus. Jestem Magus. Ogromny-ogromniejszy-najogromniejszy. Siedemdziesięciokroć. Siedemdziesiąt siedem Legionów”. Imiona, które duchy podają, są najwyraźniej wybierane ad hoc; o ile wiemy, ten sam duch w odniesieniu do różnych ofiar może przybierać różne miano. Egzorcyista, domagając się ich podania, szuka nie tyle klucza do tożsamości swego przeciwnika, co raczej imienia, którym będzie mógł go przywołać. Najistotniejsze pytanie, jakie wówczas zadał Mark, brzmiało: „W imię Jezusa, na jakie miano odpowiesz?”

Niezależnie od tego, zachowanie duchów, choć w każdym przypadku zdaje się przybierać inny kształt, sugeruje istnienie jakiejś wspólnej tożsamości, pozwalającej im zachować odrębne osobowości, ale narzucającej określoną odpowiedzialność i określony cel.

Drugą sprawą, ściśle związaną z kwestią tożsamości duchów i jakby jej podporządkowaną, jest pewna gradacja poziomów inteligencji, którą można dostrzec, porównując poszczególne przypadki. Na przykład, „kompan” Jamsiego, Wujek Ponto, był zdecydowanie mniej inteligentny od Żółwia, który opętał Carla, lub od Uśmiechniętego, który zniewolił Ma-

rienne. Wybryki Wujka nigdy nie przekroczyły granicy groteski. Nie było w nich subtelności Uśmiechniętego ani wyrafinowania Żółwia. Tamci dwaj posługiwali się przemyślnymi argumentami, swój cel osiągnęli za pomocą zagmatwanej gry i wnikali w umysł daleko głębiej niż Ponto.

Wujek Ponto absolutnie korzył się przed swymi „zwierzchnikami”, ale pewne cechy takiej uległości można dostrzec też u Dziewkoroba, który posiadał Richarda/Riteę, i Pana Pewniaka, któremu udało się opętać dwóch kapłanów, Davida i Yvesa.

Podczas walki o człowieczeństwo Marianne, kiedy Uśmiechnięty zaczął przegrywać, ojciec Peter poczuł, że inteligencja jego wroga ulega jakiejś zmianie, tak jakby w sukurs tamtemu przyszedł „inny” (to typowe dla ludzi, a niezbyt adekwatne rozgraniczenie) duch.

Ojciec Gerald, zmagając się z duchem, który opętał Richarda/Riteę, czuł coś zupełnie innego. Im bardziej był przekonany, że odniesie sukces i że kres walki jest już bliski, tym mocniej odbierał cofanie się złych sił i fakt, że ma do czynienia z coraz niższą inteligencją.

W tym najbardziej osobistym ze wszystkich bojów, kiedy umysł mierzy się z umysłem, a wola ściera się z wolą, nie sposób nie dostrzec nagłego ubytku inteligencji przeciwnika — inaczej niż w mniej subtelnych starciach, które nie może obejść się bez słów.

Wszystko wskazuje na to, że owa gradacja poziomów inteligencji wiedzie złe duchy do służalczej, niemal tępej uległości wobec — mówiąc słowami Żółwia — „Pana Wiedzy”. „Ci, którzy zaakceptowali i akceptują Pretendenta, posłuszni są jego woli”, powiedział ojcu Markowi Multus, zwierzchnik Wujka Ponto. „Tylko tamtej woli. Woli Królestwa. Woli jego woli jego woli jego woli”.

Tej ich służalczości i uległości wobec Lucyfera dorównują pod względem stałości — a nawet ją zaćmiewają swoją intensywnością — paniczny lęk przed Jezusem i nienawiść, którą zioną, ilekroć wspomni się Jego imię lub przedstawi im przedmioty i ludzi z Jego kręgu.

Każdy zły duch, nawet najzręczniejszy i najinteligentniejszy, będzie szereg razy powtarzał imię swego przywódcy, dając do zrozumienia, że jest mu posłuszny, lęka się go i uznaje jego niekwestionowaną wyższość. Żaden jednak nie zdołał się zmusić do wymówienia imienia Jezusa. Będzie się posługiwał takimi zwrotami, jak „Tamten”, „Ten Drugi”, „Tamta Osoba” lub

„Niewymawialny”; użyje całej mrocznej litanii podobnych określeń.

Każdy zły duch zaprotestuje, słysząc to imię. Znajomość tego faktu może dać egzorcystom skuteczną broń, gdyż niejeden duch gotów jest odpowiedzieć na wszystkie pytania lub zdradzić swe „miano”, byle tylko z ust kapłana nie padło raz jeszcze wyznanie totalnej wiary „w imię Jezusa”.

Przyglądając się tym obszarom osobowości i inteligencji złych duchów, dostrzec można intrygujące podobieństwo, a nawet tożsamość, można też odkryć kolejną interesującą cechę, która je łączy — przywiązanie do miejsca.

Praktyka wskazuje, że duchy te pragną stworzyć sobie w opętanym „dom” (jak to jednoznacznie określił Ponto). Nie chodzi tu jednak o miejsce dla samotnego, bezdomnego ducha. Jego zdaniem, ów „dom” — owa osoba — należy do całej „rodziny” duchów — do nieokreślonego tłumu złych mocy, podporządkowanego mrocznemu przywódcy, Pretendentowi. Ta makabryczna wersja stwierdzenia „mój dom jest twoim domem” przywołana została już przez Jezusa, kiedy powiedział: „Gdy duch nieczysty opuści człowieka, błąka się po miejscach bezwodnych, szukając spoczynku. A gdy go nie znajduje, mówi: Wróć do swego domu, skąd wyszedłem. Przychodzi i zasta je go wymiecionym i wysprzątanym. Wtedy idzie i bierze siedem innych duchów, złośliwszych niż on sam; wchodzi i mieszka tam”. Siedem to biblijne określenie wielości.

Logicznie rozumując, wyjątkowo trudno jest pojąć, jak można mówić o osobowości, czy inteligencji, kiedy w grę nie wchodzi żaden materialny mózg, jak można mówić o słyszeniu głosu, jeżeli nie istnieje krtań mogąca ów głos wydać, i jak można rozprawiać o latających talerzach, jeśli nie widać żadnych rąk, mogących je cisnąć lub utrzymać w powietrzu. Tych problemów nie da się jednak uniknąć, dopóki będziemy obstawać przy obecnych schematach myślowych i dowodzić, że wszystko, co istnieje, jest materialne.

Wiele trudności sprawia, na przykład, fakt, że nie można mówić o duchach tak, jak o ludziach, istotach obdarzonych płcią i indywidualnością. Już samo pojęcie indywidualności przysparza wielu problemów społeczeństwu ery komputerów. Tożsamość, w naszym rozumieniu, jest *zawsze* związana z *odrębnością fizyczną*. Jeżeli mówimy o dwustu siedemnastu milionach Amerykanów, mamy na myśli dwieście siedemnaście milionów występujących osobno, *czyli* niezależnych ciał.

Odwołując się do tego, co już wiemy, możemy uznać za oczywiste, że próba określenia ilości duchów w oparciu o ich fizyczną odrębność nie doprowadzi nas daleko. Z kolei, negocjowanie ich istnienia dlatego, że nie chcą „stanąć w szeregu i dać się policzyć”, zdaje się nie robić na nich żadnego wrażenia.

Nawet gdy uporamy się z tymi trudnościami i zaczniemy myśleć o duchach jako o tworcach bezcielesnych, staniemy przed kolejnym problemem. Skłaniamy się ku uważaniu wszystkich niesamowitych i szokujących zdarzeń, występujących podczas egzorcyzmów, za efekty obecności złego ducha. Naszemu całkiem zrozumiałemu zafascynowaniu tymi wrzaskami, latającymi przedmiotami, zapachami, odpadaniem tapet i trzaskaniem drzwi towarzyszy tendencja do utożsamiania tych incydentów z samym duchem. A to przypomina nieco pomylenie piłki z graczem.

Wydaje się, że wyraźniejszych tropów do określenia tożsamości *poszczególnych* duchów szukać należy w sferze ich najbardziej uderzającej cechy: owej dziwnej i płynnej hierarchii inteligencji i siły woli, łączącej bezpośrednio z Lucyferem nawet najniższych „kompanów”.

Zróznicowanie potencjałów inteligencji i siły woli sprawia, że duchy *działają* w różny sposób. Łączą je tylko, jak już powiedzieliśmy, odpowiedzialność i cele. Zawsze pozostają posłuszne nakazom „woli jego woli jego woli jego woli jego woli”. Jedyne to, jak działają — sposób, w jaki podchodzą do tego, co robią — wydaje się mieć ścisły związek z różnymi poziomami ich inteligencji i różnym natężeniem precyzyjnie ukierunkowanej woli.

Nawet w pięciu opisanych w tej książce przypadkach aż nadto wyraźnie widać tę różnicę: za każdym razem mamy do czynienia z niepokojącą subtelnością lub z jej brakiem, z wyzwaniem jakiejś drapieżnej inteligencji i ze swoistym uporem, któremu egzorcysta musi stawić czoła.

Te właśnie różnice miał na myśli Paweł z Tarsu, kiedy odwoływał się do koncepcji i terminologii gnostyki aleksandryjskiej i teozofii, mówiąc o „Mocy”, „Zwierchności”, „Władzy” i „Panowaniu”, a także wtedy, gdy posługiwał się określeniami rodem z Pisma, takimi jak „cherubiny” i „serafiny”.

Cała ta wiedza, osiągnięta na drodze bolesnych doświadczeń, zgłębiania i rozwijana przez lata, w ciągu których egzorcysta oferuje diabłu siebie w zamian za opętanych, stanowi dla niego ogromną wartość i przedmiot największego zaintereso-

wania. Ale najważniejsze, co należy wiedzieć o złych duchach, to fakt, że żadna z ich umiejętności i mocy nie pochodzi od Boga. Duchom tym na zawsze odebrano dostęp do życia Bożego i Bożej prawdy.

Ich wiedza i dalekowzroczność są oparte jedynie na tym, co mogą odkryć, kierując się cechującą je inteligencją. Są więc nie tyle istotami nadnaturalnymi, co raczej nienaturalnymi.

Pojęcie „nadnaturalny”, w potocznym jego rozumieniu, równa się terminowi „boski”, „*pochodzący od Boga*”. Oznacza więc coś całkowicie odrębnego, wyższego i w żaden sposób nie uzależnionego od tego, co zostało stworzone — i przez to jest „naturalne”.

Jedynie Bóg jest sam w sobie nadnaturalny. Może działać swą nadnaturalną mocą na wszystkie „naturalne” (a więc stworzone przez Niego) osoby i rzeczy. Może tchnąć w swoje twory coś z nadnaturalnego życia i swej potęgi, by dźwignąć je na wyższy poziom. Ale nigdy nie zatrze się różnica pomiędzy tym, co stworzone, a tym, co nadnaturalne.

Nadnaturalna moc może wpływać na wszystko tak samo, jak siły nienaturalne, jednym wszakże przerasta władzę, jaką dysponuje świat złych duchów — może pominąć wszystkie naturalne sposoby działania. Może wejść w bezpośredni kontakt z duchem. Żeby dotrzeć do duszy ludzkiej, nie musi szukać dróg przez zmysły, wyobraźnię, umysł i wolę.

Tylko Bóg i ci, którym użyczył On swej nadnaturalnej mocy, są w stanie to uczynić.

Siły nienaturalne przekraczają ludzkie możliwości. Oznacza to, że złe duchy, z racji dysponowania nienaturalną mocą, nie podlegają prawom fizyki i materii, rządzącym naszymi psychofizycznymi doświadczeniami. Są jednak podporządkowane prawom natury (gdyż duchy te również zostały stworzone), których nigdy nie zdołają przekroczyć.

Nie znamy całego potencjału sił nienaturalnych, potrafimy jednak określić pewne jego możliwości i ograniczenia.

Dysponując taką mocą, złe duchy mogą manipulować zjawiskami parapsychicznymi i tworzyć odpowiadające im stany. Rzec można, że mają do swej dyspozycji wszelkie zdolności paranormalne. Zdolności te (telekineza, telepatia, podróże astralne, duolokacja, prekognicja itp.) nie przekraczają przez to praw natury (tak jak piłka nie staje się graczem), a tym bardziej nie stają się nadnaturalne.

Złe duchy są więc w stanie w fascynujący sposób wpływać na naszą percepcję i nasze zachowanie. Nie są zapewne odpo-

wiedzialne za wszystkie zjawiska parapsychiczne, ale opanowały zarówno tę strefę ludzkich zachowań, jak i umiejętność zwożenia ludzkiej wyobraźni całą gamą cudownych pokus. Carl, który nieomal stracił zdrowie psychiczne i życie, walcząc na takim właśnie polu, napisał w liście do swych byłych studentów, że nigdy nie przeżył duolokacji ani podróży astralnej, „to było tylko złudzenie”. I uświadamiał sobie, że to jest złudzenie — był jednak tak zachłanny i zafascynowany, że zatrasnął tę świadomość w najgłębszych zakamarkach swego umysłu.

Problem tkwi w tym, że zły duch jest w stanie drażnić nas i wabić, równie łatwo podsuwając naszej wyobraźni wizje niezwykłych mocy psychicznych, jak i kusząc nas seksem lub pieniędzmi. Wybierze to, co poskutkuje. Nie jest jednak w stanie wytworzyć w nas czegoś, czego już tam nie ma albo nie mogłoby być.

Bóg, na przykład, może obdarzyć nas łaską, która nie zrodziła się w nas samych. Zły duch oprze się jedynie na tym, co znajdzie w obszarze, który może przeniknąć swoją wiedzą.

Przykładowo, nienaturalna moc nie pozwala tym duchom na bezpośrednią ingerencję w moralność istot ludzkich ani na przejście kontroli nad nią. Mogą one tworzyć wizje stosów złotych monet, nie są jednak w stanie zmusić kogoś, by je przyjął. Nie mogą wtrącać się w naszą wolność wyboru, gdyż dał ją nam i zagwarantował Bóg.

Niższość nienaturalnej mocy złych duchów wobec nadnaturalnej potęgi Jezusa widać aż nadto wyraźnie na wielu płaszczyznach. Wszędzie tam, gdzie sięga moc Jezusa, gdzie rządzi to, co nadnaturalne, i gdzie wpływa to na przedmioty, miejsca i ludzi, zły duch nie ma dostępu, zwalnia swój bieg, a nawet staje, nie mogąc działać ani korzystać ze swej wiedzy.

Widać to na przykładzie *symboli* nadnaturalnego (np. krucyfiksu) osłaniających dobro i odpychających lub nawet zniewalających zło. Rzeczy używane podczas modłów lub ściśle z nimi związane (woda święcona), egzorcyci, ludzie obdarzeni nadnaturalną łaską (pomocnicy egzorcystów, którym odpuszczono wszystkie grzechy), a nawet domy, okolice i większe przestrzenie są szczególnie chronione przed rozpasaniem złego ducha. Te ograniczenia rozciągają się także na inną, bardzo ważną sferę — obejmują cały potencjał jego wiedzy, poważnie redukując jej zasięg. Zły duch nie może, na przykład, przewidzieć, a zatem i uprzedzić działań egzorcysty, występującego w imieniu Jezusa i powołującego się na Jego moc.

Kiedy ojciec Gerald zrezygnował z tej osłony, by w swym własnym imieniu wystąpić przeciwko Dziewkorobowi, natychmiast padł ofiarą okropnej napaści, kaleczącej zarówno jego ciało, jak i psychikę. Ale mimo rozlanej krwi, mimo bólu i zgrozy, Dziewkorób nie mógł tego uznać za swój triumf. Nie dotarł do umysłu i duszy Geralda. Nie sprostał jego woli. Wszystkie wysiłki Dziewkoroba zmierzały do zainfekowania umysłu i woli kapłana, a przez to i jego duszy — Będąc duchem, nie miał do niej bezpośredniego dostępu. Zły duch zawiódł; a skoro zawiódł, musiał się wycofać. Richard/Rita odzyskał wreszcie wolność i sam mógł dokonać wyboru pomiędzy dobrem i złem.

Złe duchy dysponują mocą pozwalającą im zdobywać wiedomości, nie angażując w to procesów myślowych, czerpać z wieczności to, co jest im potrzebne, i wykorzystywać tę wiedzę, by narzucać swój wpływ, schlebiać, straszyć i na wszelkie inne sposoby ingerować w umysły i serca ludzi, by zmusiwszy ich do opuszczenia Boga, po raz kolejny zwyciężyć dobro. Znanymi im są wszystkie przypadki świadomego odrzucenia wartości nadnaturalnych. Kiedy złe duchy wytykają ludziom obecnym podczas egzorcyzmów ich grzechy, sięgają do granic swej naturalnej mocy.

Trzeba jeszcze powiedzieć, że ci, których duchy zdecydowały się zniewolić, mogą poddać się temu opętaniu, a potem szybko je odrzucić; mogą uwikłać się tak głęboko, że swoje wyzwolenie okupią wielkim bólem, narażając się na ogromne ryzyko; mogą też stać się ludźmi całkowicie — idealnie — opętanymi. Nadal nie sposób jednak powiedzieć, co sprawia, że ta — a nie inna — osoba staje się celem tak bezpośredniego i zawziętego ataku.

Kiedy Jamsie jechał autostradą w pobliżu San Francisco, Ponto powiedział do niego: „Wszystkie domy tam... Nie ma dla mnie miejsca pośród tamtej goraży, dziwek i rozpaczy”.

Ale czemu nie? Czy to oznaczało, że tamci ludzie również otrzymali „zaproszenie”, podobnie jak Jamsie, Carl, Marianne, David, Yves i Richard/Rita? A jeśli tak, to czy odmówili, gdyż wybrali zło mniejszego kalibru? Czy każdy jest potencjalnym celem? Czy tylko nielicznych „wybrano”, by przesłać im „zaproszenie”? Tu nie ma miejsca na pewność.

Duch ludzki i Jezus

Celem złego ducha jest zaatakowanie i zniszczenie człowieczeństwa we wszystkich istotach ludzkich. Człowieczeństwo to nie jest kategorią fizyczną ani też psychofizyczną. Jest *potencja-lem* duchowym, jaki posiada każda kobieta, mężczyzna, czy też dziecko.

Tylko dzięki temu potencjałowi jesteśmy w stanie wierzyć w Boga i osiągnąć po śmierci wieczne szczęście. Tylko dzięki niemu możemy odbierać piękno i prawdę tego świata ludzi. A odebrawszy je, dać temu wyraz w naszych czynach i wytworach. Opętanie przez diabła neguje ten potencjał.

Potencjał ten posiadamy dzięki Jezusowi z Nazaretu. Jako człowiek, żył On, o ile jesteśmy w stanie to obliczyć, nie więcej niż pięćdziesiąt lat. Ale wszystko, co zrobił, traktować należy jako dzieło Boga-Człowieka. Dlatego też Jego osiągnięcia są ponadczasowe i mają wpływ zarówno na wszystkich tych, którzy istnieli na Ziemi od zarania naszego gatunku, jak i na wszystkich innych ludzi aż do końca czasu. Każda kobieta i każdy mężczyzna, każda ludzka istota, jaka została lub zostanie poczęta, otrzymała — lub otrzyma — za Jego przyczyną, ów potencjał duchowy. Stąd też wszyscy są zdolni do człowieczeństwa.

Wiedzę na temat tego człowieczeństwa czerpiemy jedynie z doczesnego życia Jezusa. Opierając się wyłącznie na swych własnych doświadczeniach, dowiadujemy się jedynie, że stajemy się coraz bardziej bezradni, że ludzka miłość, której tak bardzo pragniemy, zaczyna się nam wydawać pusta i wątpliwa i że wszyscy, razem z naszymi aspiracjami i nadziejami, w końcu spotkamy się z głuchą ciemnością i odrętwiającą tajemnicą śmierci. Jezus przezwyciężył tę bezradność. Zaakceptował ludzką miłość. Umarł owocnie. I na tej właśnie triadzie — bezradności, miłości i śmierci — opiera się nasze człowieczeństwo.

Doświadczenia Jezusa w tej materii i sposób, w jaki stawiał czoła rzucanym przez tę triadę wyzwaniom — sedno Jego tajemnicy — dały wszystkim istotom ludzkim możliwość skutecznego stawiania czoła takim próbom na drodze do rozwoju indywidualnego człowieczeństwa. Bóg więc już na samym początku zadbał o to, by Jego twory, mimo iż przypisane do swych materialnych ciał, mogły przełamać ograniczenia narzucone im przez czas i prawa fizyki i dostąpić udziału w życiu

nadnaturalnym. To jednak, jak widać na przykładzie Jezusa, wymaga nie tylko zapału, ale i czynnego uczestnictwa, potwierdzenia tego faktu swym życiem, świadomego wyboru — mówiąc krótko, udziału woli.

Jezus, bez wątpienia, całe życie poświęcił doskonaleniu swego człowieczeństwa. Z dokumentów historycznych wynika jednak, że najbardziej zbliżył się do pełni owego stanu w ciągu kilku tygodni poprzedzających skazanie Go na śmierć. Z uwagi na różnice pomiędzy tymi zapisami, musimy przyjąć, że ten okres trwał około czterech tygodni, choć mogło być i tak, iż wszystko spełniło się w ciągu siedmiu ostatnich dni Jego życia.

Najbardziej wyrazistym i jednoznacznym dowodem zwycięstwa Jezusa nad *bezradnością* jest to, iż wskrzesił swego przyjaciela, Łazarza.

Przez całe swe życie, co odnotowali kronikarze, Jezus doskonale panował nad ludźmi i zdarzeniami. Nie potykał się i nie wahał. Występował w swoim własnym imieniu, dając odczuć wagę swoich słów, nigdy jednak nie posunął się do podkreślania swojej wyższości, nie zniżając się też do arogancji, a jednocześnie nie godził się na odrzucanie Jego słów. „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam”. Zawsze postępował stanowczo. Wydawał polecenia kobietom, mężczyznom, złym duchom, przyjaciółom, wrogom i żywiołom. Czy mierzył się ze zwyczajnymi ludźmi, czy z przedstawicielami władzy, zawsze zachowywał się tak samo: nie uznawał niczyjej wyższości; chwalił, ganił albo potępiał, jeżeli uważał to za właściwe; nigdy nie cofał się przed żadnym człowiekiem, uznając go za swego pana albo kogoś doskonalszego.

Zarówno dokonując cudów, jak i domagając się wypełnienia czegoś, posługiwał się krótkimi, treściwymi, kategorycznymi i jednoznacznymi sformułowaniami: „Milcz i wyjdź z niego!”, „Bądź oczyszczony!”, „Wstań i chodź!”, „Idź, pokaż się kapłanowi!”, „Idźcie!”, „Weź swoje łoże i chodź!”, „Otwórz się!” Jedynie podczas wskrzeszenia Łazarza dał dowód swojej zależności, zawahał się, miał wątpliwości — i tym samym *do-wiódł swojej bezradności*.

Ewangelia mówi wyraźnie, że przy grobie Łazarza Jezus przeżył moment ogromnego wahania. W istocie, Jego zachowaniu od chwili, gdy siostry Łazarza, Marta i Maria, posłały po Niego, trudno byłoby przypisać jakiś konkretny cel i można je uznać za przejaw niezdeterminowania. Tak jakby na coś czekał, przeżywał okres niepewności, który my, ludzie, nazywamy

chwila zwątpienia. Najpierw oświadczył wyraźnie: „Choroba ta nie zmierza ku śmierci, ale ku chwale Bożej.” Potem: „Łazarz, przyjaciel nasz, zasnął, lecz idę, aby go obudzić”. W końcu oznajmił: „Łazarz umarł”. Opóźnił swoje wyjście o dwa dni. Kolejne dwie doby poświęcił na wędrówkę.

Kiedy dotarł do Betanii, gdzie mieszkali Marta, Maria i Łazarz, ten ostatni spoczywał już w grobie. Dalsze zachowanie Jezusa było dość szczególne, nie pasowało do Niego. Kiedy zobaczył zapłakane siostry, dał wyraz swemu przygnębieniu, westchnął i nie starał się ukryć łez. Przed grobem dał wyraz swej ufności i zależności od Boga — wiele wskazuje na to, że uświadomił sobie wówczas, jak bardzo tego potrzebuje.

Podnosząc wzrok ku niebu, powiedział głośno: „Ojcze, dziękuję Ci, żeś Mnie wysłuchał. Ja wiedziałem, że Mnie zawsze wysłuchujesz. Ale ze względu na otaczający Mnie lud to powiedziałem, aby uwierzyli, żeś Ty Mnie posłał”.

Możemy sobie tylko wyobrazić, opierając się na naszych własnych doświadczeniach, jakie udręki musiał wówczas znieść. Ten, który nigdy się nie wahał, zawahał się. Ten, który sam decydował, kiedy i jakie wydać polecenia, musiał czekać na zgodę swego Ojca. Możliwe, że wcześniej też dochodziło do takich sytuacji. Ale to zdarzenie przy grobie Łazarza jest jedynym potwierdzonym przypadkiem, gdy Jezus, będąc człowiekiem, dowiódł swej boskiej mocy po krótkim, lecz bolesnym okresie zwątpienia.

Okoliczności wskrzeszenia Łazarza w niczym nie umniejszyły boskości Jezusa, dały Mu natomiast szansę na osiągnięcie pełni człowieczeństwa, prowadząc Go ku typowo ludzkim lękom i wątpliwościom. Stał w obliczu takiej samej alternatywy, jaką wielu z nas napotyka w chwilach krytycznych. Jeden głos mówi: „Nie walcz ze swymi obawami. Ze zwątpieniem. Ze swoją niemocą. Zaakceptuj to. Tak to już jest. Takie jest życie”. Drugi woła: „Przyznaj, że jesteś bezsilny i zagubiony, i poproś, by ktoś ci pomógł przekroczyć tę bezradność i niemoc. Powiedz: pomóż mi! straciłem pewność, a zatem pomóż mi ją odzyskać!”

Drugim kluczowym elementem owej pełni człowieczeństwa, którą osiągnął Jezus, gwarantując nam to samo, o ile dokonamy właściwego wyboru, jest *miłość*: akceptacja, słodycz, święto i potrzeba dzielenia się.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że wszyscy potrafią tak kochać, że to nasza „druga natura”. A jednak praktyka wykazu-

je, że równie trudno jest kochać, jak być kochanym. Miłość, tak jak rozumieją ją ludzie, nie podlega logice, nie opiera się na zgodności danych. Obca jej jest kategoria celowości. Nie można utożsamiać jej z wymianą typu „coś za coś”. Ci, którzy się kochają, doświadczając owej miłości, pograżają się w atmosferze transcendencji, gdzie zachowują swoją odrębność, ale nie próbują nic sobie wzajemnie narzucić.

Egzorcysta Richarda/Rity, ojciec Gerald, zmagając się ze złym duchem usiłującym zniszczyć człowieczeństwo poprzez podważenie sensu miłości, przyswoił sobie pewną wspaniałą prawdę. Podczas długiej rozmowy, jaką odbyliśmy, przechadzając się po ogrodzie na kilka miesięcy przed jego śmiercią, wyjawiał mi, że odkrył, iż nasza potrzeba potwierdzenia miłości przez związek seksualny wynika z braku dostępu do Boga — do uosobienia miłości — i że taki związek jest ważny i uszlachetniający jedynie jako wyraz naszej tęsknoty za osiągnięciem owej pełni.

Trudność polega na tym, że nie potrafimy wyobrazić sobie miłości dwojga bliskich sobie partnerów, która nie opierałaby się na pociągu seksualnym i nie wyrażała poprzez związek ciała. Ale to wynika z naszych ograniczeń, a nie z niedoskonałości Jezusa.

Jezus, będąc Bogiem, nie musiał uciekać się do pomocy seksu, nie potrzebowali tego też ci, którzy Go kochali. Któż jednak może wątpić w tak ciepłe i jednoznaczne uczucia owej Marii, która wylała „funt szlachetnego i drogocennego olejku nardowego” na Jego stopy, a potem wytarła je swoimi długimi włosami? Jej gest świadczył zarówno o czułym oddaniu, jak i o ogromnej ufności, wierze, że On zrozumie, zaakceptuje to, co zrobiła, i w jakiś sposób odpłaci jej tym samym. Natchniona mocą daną jej przez miłość, zniewoliła zebranych wokół niej powagą swojego uczucia z taką samą łatwością, z jaką cały dom „napenił się wonią olejku”, jak powiada Pismo.

To jedyny zapis świadczący o tym, że kobieta zaoferowała Jezusowi piękno i intymną słodycz człowieczej miłości, którą On w pełni docenił. „Zostaw ją!”, powiedział do utyskującego Judasza Iskarioty. Jezus dostrzegał w ludzkim pięknie i miłości świętość, wiedział przecież, że to widome znaki błogosławieństwa Bożego. I dlatego obstawał przy tym, że należy je przyjąć — w całej okazałości, skąpane jedynie w naturalnej dla nich łasce.

Ewangelie mówią wyraźnie, że w ciągu owych ostatnich dni przed Paschą Jezus często bywał w Betanii, w pobliżu Łaza-

rza, Marty i Marii. Wyobraźni naszej pozostawiono kwestię godzin, które spędził z tą rodziną, radości, jaką odczuwał, przebywając wśród przyjaciół, obcowania z ich miłością, spokojnych i głębokich rozmów, bliskości, ciepła, wspaniałego kontaktu psychicznego i słodczy, jaką daje całkowita akceptacja.

Jak uczy chrześcijaństwo, Jezus, darząc nas taką miłością, każdemu z nas umożliwił pójście tą samą drogą. Po człowieczemu. Jeżeli taki będzie nasz wybór.

Żeby zrozumieć pełnię osiągniętego przez Jezusa człowieczeństwa, pojąć należy, że kiedy przezwycięzał typową dla ludzi bezradność i kiedy przyjmował ludzką miłość, przygotowywał swą duszę nie tyle do zmagania z procesem umierania, co do pojedynku ze śmiercią.

Przewyciężenie bezradności było bowiem możliwe jedynie dzięki zaufaniu, dzięki zawierzeniu Bożej potędze, dzięki oparciu swych nadziei na czymś wykraczającym poza ludzkie możliwości. To zaś, że mógł zaakceptować czyjeś uczucia i je odwzajemnić, wynikało jedynie z faktu, iż dostrzegł i przyjął Boże zapewnienie, że cała człowiecza miłość — mimo iż niekiedy patetyczna i wątpliwa — może stać się wieczna i boska.

Innymi słowy, odnosząc czysto ludzkie zwycięstwo w tych trzech kategoriach, Jezus poległ na wartościach ponadludzkich, odwoływał się do wsparcia, jakiego nie mógłby mu zapewnić żaden człowiek.

Dla Niego, podobnie jak dla nas, śmierć była czymś pewnym i ostatecznym. Nie starał się jej uniknąć. Nie umożliwił tego też żadnej innej istocie ludzkiej, nawet swojej matce.

Konając, doznawał dwóch przeciwstawnych uczuć. Z jednej strony, kulił się, czując, że umieranie i śmierć to największe zło, definitywnie dezintegrujące człowieka. Z drugiej zaś, pamiętał o naczelnym celu swojego żywota, który mógł osiągnąć tylko, umierając.

Brzmi to dość niezwykle, ale Jezus miał odczuć ten sam paraliżujący lęk przed śmiercią, jakiego doznają wszyscy ludzie. Nawet gdy godzina śmierci była jeszcze odległa, myśl o umieraniu napelniała go smutkiem, niemal doprowadzała do łez. „Jeden z was Mnie zdradzi”, powiedział do swych uczniów podczas pożegnalnej wieczerzy. „Tak, jednej godziny nie mogliście czuć ze Mną?”, pytał z żalem trzech przyjaciół, których zmorzył sen. „Ojcie mój, jeśli to możliwe, niech Mnie ominie ten kielich”, modlił się w ogrodzie Getsemani, pocąc się i kuląc na

ziemi, przybity niemożliwą do zaakceptowania myślą, iż musi umrzeć.

A jednak, kiedy miał do czynienia z Judaszem, ze strażnikami, z Kajfaszem, z Piłatem, z Herodem, z dobrym łotrem, z kobietami z Jerozolimy, z Piotrem, a nawet ze swą matką, panował nad sytuacją. Był świadomy. Konsekwentnie wypełniał swoją misję.

Przerażał go jedynie mrok śmierci, bezlitosny ból agonii. Aby wyrwać się z więzów materii, musiał wszak do końca swej misji pozostać w ludzkiej postaci. „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?” To jednak nie było pytanie; nie była to też skarga. Jedynie krzyk człowieka udręczonego do granic wytrzymałości. Po raz pierwszy zaćmiły Go mgły odrętwienia. Już nie widział ani nie słyszał wyraźnie. Tracił kontrolę nad swą wyobraźnią. Pamięć podsuwała Mu ulotne obrazy, potem i to zniknęło.

A jednak zdołał znieść tę agonię i rozstać się z materialnym bytem, nie tracąc nadziei ani ufności. „Ojczy, w Twoje ręce powierzam ducha mego”. W owym momencie cała jego psychika — pamięć, wyobraźnia, wrażliwość i źródło emocji — zbiła się w twardą kulę bólu. Już nie mógł złapać oddechu. Serce nie mogło sprostać wysiłkowi, przestało bić. Do mózgu nie dopływała krew. Poddał się temu szybkiemu przemieszczeniu, którego nazwę sprowadziliśmy do kategoriycznej monosylaby. Zawładnęła Nim śmierć.

Jezus nie opowiedział nam o cierpieniu, jakie wzbudził w Nim ten straszliwy wstrząs, kiedy to przestał widzieć, słyszeć i czuć smak, po czym w mgnieniu oka Jego ludzkie „ja” weszło w nowy wymiar, gdzie wszystko było jasne i nie budzące wątpliwości, gdzie nie nękały go już żadne dolegliwości, a jego ludzka dusza włączyła się w wiekiustą Bożą harmonię. Umarł. Wszystkich ludzi to czeka. Ale duch Jego przetrwał, a dzięki tej agonii i śmierci stało się to możliwe i dla całej reszty ludzkości.

Jako pierwszy człowiek, któremu przyszło tak doskonale zgłębić ów proces, Jezus musiał zmartwychwstać. Musiał znów ożyć jako istota ludzka. Jego śmierć i ponowne pojawienie się w ludzkim ciele to dwie fazy całkowicie spójnego aktu. Dlatego też to, co chrześcijanie nazywają Zmartwychwstaniem, oznacza nie tylko powrót do życia, ale i agonię, i wyjście poza śmierć ciała.

Przesłanie Jezusa zawarte w Ewangeliach brzmi jednoznacznie. Nie poprzestańcie na tym, że przekroczyłem śmierć. Nie o to chodzi w chrześcijaństwie. *Uwierzyć*, że przetrworzyłem waszą agonię i śmierć, otwierając drogę do zmartwychwstania,

wniebowstąpienia i wejścia do Królestwa Bożego. Drogę dla każdego człowieka.

I dlatego świadkowie Zmartwychwstania nie zaprzękali swoich myśli wyglądem i sposobem bycia Jezusa, a koncentrowali się na Jego osobie, tożsamości i obecności.

Prawdziwe zbawienie, wyzwolenie ze smutku, jaki narzucają nam nasze ograniczenia, oznacza więc nie tylko to, że możemy żyć wiecznie, ale i to, że znamy ów cel i możemy do niego zdążyć w sposób pozwalający nam na wymknięcie się poza granice czasu i przestrzeni. Musimy być tego absolutnie *pewni*. Taką pewność nazywa się wiarą.

Jezus pomógł naszej wierze, pozwalając nam poznać prawdę o Sobie i o naszym zbawieniu, umożliwiając nam zrozumienie, że poprzez wiarę możemy uciec od ograniczeń narzucanych przez materialny świat i naszą świadomość. Pozwolił nam pojąć, że wybierając tę drogę, nabieramy kojącej pewności co do każdego człowieka i Boga, który jest ojcem, zbawicielem i źródłem wiecznej radości.

Tak, jak Jezus w pełni zrealizował swoje człowieczeństwo w odniesieniu do bezradności, miłości i śmierci, i każdy z nas jest w stanie przezwyciężyć własną bezsilność i dojść do autentycznej miłości oraz wiecznego życia. *To* właśnie zdobył dla nas Jezus. Ten potencjał, który określa każdemu z nas granice jego człowieczeństwa. Stanęliśmy przed ogromnym płótnem, na którym uwieczniono wszystkie detale tego, co możemy osiągnąć na drodze do owej pełni.

Ta możliwość, ten potencjał człowieczeństwa, buduje nasz bezpośredni związek z Jezusem. Nie chodzi tu o to, że nasze aspiracje, nasza miłość i nasza śmierć są *odbiciem* Jego osiągnięć. Nie chodzi też o to, że otrzymujemy od niego porcję *siły* pozwalające nam *Go naśladować* — tak jak naśladujemy, świadomie lub podświadomie, popularnych bohaterów, heroiny, idoli i ideały, wzorując się na kimś, kogo niezwykle cenimy. Pomoc Jezusa jest czymś innym niż inspiracja, jakiej szukamy w czynach i słowach ludzi, których niezwykle cenimy.

Ten związek jest o wiele bardziej intymny. Jeżeli *zdecyduje* — *my się* aspirować, kochać i umierać w imię życia, nasze aspiracje, miłość i zgoda na śmierć w imię nieśmiertelnej nadziei będą wiernym odbiciem tego, co konający Jezus ofiarował wszystkim epokom i wszystkim ludziom. Kiedy zdecydujemy się osiągnąć to człowieczeństwo, nasze dokonania staną się, w jakimś sensie, *tożsame* z tym, co osiągnął Jezus. Ale nie chodzi tu

o ścisłą tożsamość, a raczej o duchowe *podobieństwo*. Ograniczony potencjał istoty śmiertelnej staje się drobną cząstką boskiej pełni i znajduje swoje miejsce w boskości ducha Jezusa. Każdemu człowiekowi jest przeznaczone stać się do jakiegoś stopnia Jezusem: utożsamić się z Jego człowieczeństwem.

Tę naczelną funkcję Jezusa podsumował Paweł z Tarsu, przywołując prastary hebrajski mit o Adamie, „pierwszym człowieku” i fizycznym, a zarazem biologicznym „ojcu rasy ludzkiej”. Jezusa zaś nazwał „ostatnim Adamem” i „duchem ożywiający”. Odwołując się do klasycznego języka religii chrześcijańskiej, rzec można, iż każdy z nas to *alter Christus*, kolejny Jezus. Wszyscy mamy swój udział w owej pełni dobra, ofiarowanej przez Boga naszemu światu.

Zdaniem chrześcijan, dzieje się tak, dlatego że Jezus był Bogiem, który przyjął postać człowieka. Wszystkie Jego działania były działaniami człowieka, ale miały też wymiar boski. Ich wartość i znaczenie były odzwierciedleniem wieczności i doskonałości Boga. Jezus zajmuje w owej wieczności miejsce szczególne, pozwalające mu na wszechobecność i wpływ na zmieniające się nieustannie ramy czasoprzestrzenne naszej historii. Jako śmiertelnik, żył w określonym miejscu i czasie. A jednak, przez swe człowieczeństwo, współistniał i współistnieje ze wszystkimi istotami ludzkimi, będąc zarazem źródłem i gwarantem tego, co wszyscy możemy osiągnąć.

Ale był także istotą śmiertelną, Żydem, który przeżył w Palestynie i jej okolicach określoną liczbę lat. Jego umysłowość oraz doświadczenia życiowe i kulturowe podporządkowane były wymogom czasów, w których żył. Nie mógł więc w ciągu swego ziemskiego żywota osiągnąć takiej pełni człowieczeństwa, jak miliardy istot ludzkich egzystujących w odmiennych warunkach klimatycznych i na różnych poziomach cywilizacji, władających odmiennymi językami, różniących się też płcią i poziomem kultury. Tu, zgodnie z Bożą decyzją, niezbędny był udział całej ludzkości.

A zatem, dla chrześcijan, Jezus jest kluczem do pełni naszego człowieczeństwa, gdyż *umożliwił* nam go osiągnięcie. *Faktyczne* dojście do tego stanu to już sprawa poszczególnych ludzi, kwestia właściwego wyboru i odpowiedniego postępowania w obliczu wszechobecnej rzeczywistości dobra i zła, ogarniającej nas wszystkich niezależnie od tego, czy słyszeliśmy o Jezusie, czy też nie.

A kluczem do pełni zła — negującego i zabijającego człowieka — dążącego do całkowitego przeciwstawienia się Bożej decyzji — jest Lucyfer, lśniący anioł, który wybrał zerwanie z Bogiem, ale nie mógł, jako przez Niego stworzony, odebrać się od świata ludzi.

Proces opętania

Nigdy nie poznamy wszystkich powodów, dla których złe duchy wybierają te, a nie inne ofiary, nigdy też nie dowiemy się, jakich metod imają się, przystępując do tego przerażającego dzieła. „Kiedy zaczęliście pracować nad Jamsiem?”, zapytał ojciec Mark. Zwierzchnik Wujka Ponto udzielił mu mrożącej krew w żyłach odpowiedzi: „Wybrano go, zanim się urodził”. Możemy jednak nakreślić ogólny schemat procesu opętania i ważniejsze fazy jego rozwoju i skutecznego zniewolenia ofiary.

Opierając się na pięciu opisanych w tej książce przypadkach, a także na wielu podobnych, możemy stwierdzić, że zazwyczaj proces ten zaczyna się dużo wcześniej, niż uświadamia to sobie ofiara, czy którakolwiek z bliskich jej osób. Z przytoczonych tu przypadków wynika jasno, że początki tego stanu rzeczy mogą sięgać okresu dzieciństwa. Wyjątek stanowią losy dwóch kapłanów, Davida i Yvesa. Pierwsze oznaki diabelskiej napaści zauważono u nich, gdy byli dojrzałymi ludźmi.

Początków opętania szuka się zazwyczaj dopiero po wszystkim, penetrując pamięć opętanego — jedyne go człowieka, który może coś o nich powiedzieć. Czasem, w trakcie egzorcyzmów, kapłanowi udaje się wydobyć od złego ducha kilka nagich faktów dotyczących jego wejścia i utrwalenia owego zniewolenia. Tym spośród wymienionych w tej książce egzorcystów, który najsilniej wierzył w wydobywanie takich informacji, był ojciec Mark. Może właśnie dlatego sprawiał wrażenie człowieka mającego „dryg” do praktycznego rozwiązywania kwestii złych duchów i egzorcyzmów. Nader trafnie ocenił sytuację Jamsiego, mimo iż opierał się tylko na jednej, dość długiej rozmowie, którą odbyli na dwa lata przed przystąpieniem do wypędzenia złego ducha. Moim zdaniem, spośród tych egzorcystów, których znałem, to ojciec Conor, ten sam, który tak wiele nauczył w Rzymie ojca Petera, najlepiej zrozumiał poszczególne stadia procesu opętania i egzorcyzmów oraz związane z nimi zagrożenia. Opracowany przez niego zarys tego procesu przedstawiam poniżej.

Po pierwsze, *moment wejścia* — moment, w którym zły duch wnika w wybraną osobę, ta zaś decyduje się, choć poniekąd pod przymusem, dopuścić go do siebie.

Po drugie, stadium *błędnych ocen* — opętany zaczyna popełniać rażące błędy w odniesieniu do najważniejszych dla niego spraw, co wiąże się z obecnością owego ducha przygotowującego się najwidoczniej do trzeciej fazy procesu.

Po trzecie, *dobrowolna rezygnacja z samokontroli* na rzecz owej, obcej dla opętanego siły lub istoty, wiodąca go do utraty panowania nad własną wolą i odbierająca mu możliwość decydowania oraz działania.

Dopełnienie tej trzeciej fazy pozwala duchowi na powiększenie kontrolowanego obszaru i, w efekcie, prowadzić może nawet do całkowitego opętania.

W każdym konkretnym przypadku te cztery etapy przebiegają inaczej, inaczej też się zająbiają. Czasem ów proces może przebiegać niezwykle szybko, przeważnie jednak ciągnie się latami. „Pan Wiedzy obdarzył nas wiecznością”, oświadczył butnie Żółw.

Na każdym kroku i przez cały czas opętania konieczna jest zgoda ofiary, inaczej ów proces pójdzie na marne. Zgoda ta może zostać potwierdzona słowami, zawsze jednak łączy się z wyborem określonego sposobu postępowania. Jeżeli opętany choć raz się zgodził, z każdą chwilą będzie mu trudniej się wycofać. Jamsie, myśląc o odtrąceniu Wujka Ponto, czuł intensywny ból. Kiedy Carl przeżywał chwile wahania, umysł jego wypełniały plastyczne obrazy jego własnej agonii. Ale niezależnie od bólu i gróźb, ów „nienaturalny” duch może nieustannie towarzyszyć opętanemu i narzucać mu swą władzę jedynie wtedy, gdy wymusi na nim zgodę.

Groźby te są nie tyle dowodem wielkiej mocy złych duchów, co raczej świadectwem ich ograniczeń — tego, iż nie są w stanie zaatakować woli ofiary i opanować jej w bezpośrednim starciu. Aby uzyskać podstawę do opętania — dobrowolną zgodę ofiary — muszą ingerować poprzez zmysły (cierpienia Jamsiego) lub wyobraźnię (lęk Carla, wywołany narzuconymi mu wizjami).

Pierwsze stadium, wkroczenie złego ducha i początki jego bezpośredniego wpływu na psychikę ofiary, prawdopodobnie zawsze wiąże się z wykorzystaniem jakiejś cechy charakteru, specyficznych zainteresowań lub pasji upatrzonej osoby.

Wydaje się, że to wrodzony upór doprowadził Marianne do tego, iż otworzyła się na jego przyjęcie. Podobną rolę spełniły: niezwykle zafascynowanie Richarda/Rity kobiecością, samotność Jamsiego, zdolności paranormalne Carla, intelektualizm

Davidą oraz zmysł estetyczny, charyzma i kapłaństwo Yvesa. W każdym z tych przypadków, do ingerencji złego ducha doszło tylko dlatego, że znane mu były te rysy charakteru i fascynacje — ani złe, ani też dobre — do których potrafił przemyślnie nawiązać.

Wszyscy wyżej wymienieni przyznają z perspektywy czasu, że zdawali sobie sprawę — choć jedni to tylko przeczuwali (jak Marianne), inni zaś (jak Carl) wiedzieli o tym doskonale — że źródło oferowanej im pomocy nie ma nic wspólnego z drugim człowiekiem ani z religią. To źródło było czymś nieokreślonym, lecz nadzwyczaj krzepiącym. Izolowało ich od otoczenia i od najbliższych im ludzi. Czuli dzięki niemu, „że wydarzy się coś wielkiego” (Yves), „że mogą wejść w nową fazę rozwoju” (Richard/Rita), że są w stanie odnieść „ogromny sukces” (David), o ile tylko „posłuchają” (Jamsie) lub „skierują swe myśli na właściwe tory” (Marianne), lub „zaczekają na coś więcej” (Carl). Na tym etapie nigdy nie pojawiały się żadne wyraźne sugestie dotyczące religii, wiary i Jezusa. Po prostu nadchodził taki delikatny moment, w którym sami *decydowali się* rozważyć przedłożoną im ofertę. Wszyscy wyżej wymienieni przyznają dzisiaj, że dokonali takiego wyboru i że decydując się na to, mieli wrażenie, że postępują wbrew własnemu sumieniu, ale z czasem, u części z nich, to poczucie odsunęło się na plan dalszy.

Zdarza się niekiedy, że zły duch próbuje zwrócić uwagę i wzbudzić zainteresowanie swych ofiar, wykorzystując do tego celu pewne miejsca, przedmioty, a nawet zwierzęta — warto przyjrzeć się pod tym względem przypadkowi Jamsiego, ale na swój sposób dotyczy to też Carla (w jednym z dalszych stadiów tego procesu), a także Richarda/Rity. Ale nawet gdy na progę diabelskiego ataku jakieś znaczenie mają określone działania, przedmioty, miejsca i zwierzęta, celem i tak są zawsze ludzie: chodzi o to, by wyrzucić na nich wrażenie, przestraszyć, osłabić, zafascynować, narzucić coś ich zmysłom i wyobraźni, by później uzyskać ich zgodę.

Kiedy już ofiara przystała na te warunki, zaczyna się okres, w którym dokonuje ona serii istotnych dla niej przewartościowań, prowadzących do zmian w jej osobowości i przygotowujących grunt pod kolejne — krytyczne — stadium, w którym zmuszona będzie się poddać. Ta faza, podczas której dochodzi do ferowania wielu *błędnych ocen* odnoszących się przeważnie do spraw najbliższych ofierze, zazwyczaj ogarnia najpierw obszary,

którym ofiara przypisuje największą wartość i na których czuje się najpewniej i najswobodniej. Ten proces powoli i stopniowo pozbawia ją sił, wywracając na opak poczucie piękna i wszystkie ideały.

I tak pierwotny plan Jonathana, by poprzez kapłaństwo wyjść naprzeciw nowym oczekiwaniom, jakie zrodziły się w latach sześćdziesiątych, doprowadził go najpierw do przeinaczenia tradycyjnych obrzędów i nauk właściwych jego Kościołowi, a potem do sprowadzenia nadnaturalnego znaczenia sakramentu do kategorii świeckiego święta.

Błędne oceny Richarda/Rity dotyczyły jego androginii — uznania jej za fakt. To dało początek całej serii nowych opinii dotyczących stosunków płciowych, kobiet, małżeństwa i sensu życia, zmieniających wszystko w absurdalny koszmar spod znaku Alicji w Krainie Czarów i wiodących go do splugawienia tak cenionej przez niego kobiecości.

Sądy Marianne ograniczały się początkowo do sfery intelektu, miały jednak znaleźć konkretne zastosowanie i na innych obszarach życia. Doszła do wniosku, że wolność myśli zwalnia człowieka ze wszystkich zobowiązań moralnych wobec Boga i autorytetów i że należy unikać tych, którzy je propagują. A potem pomknęło już szybciej: wszyscy inni to głupcy; wolność oznacza odporność na rady tych, którzy mają inne zdanie; odporność na te rady to odnalezienie siebie; odnalezienie siebie to odizolowanie się od innych; odizolowanie się to ucieczka w siebie; ucieczka w siebie to totalna rezygnacja z inicjatywy i bycie zaledwie sobą; takie „bycie zaledwie sobą” równa się „całkowitemu nieistnieniu” — to tylko dwie strony tego samego zjawiska, pozwalającego na pełne otwarcie się na niesłychane sekrety, które ujawni „Człowiek”... itd.

Podobnie ewoluowały poglądy Davida, które opierał na swych doświadczeniach z zakresu antropologii i metodologii owej nauki. Doszedł w końcu do tego, że zaczął weryfikować przy pomocy nauki dogmaty religijne.

Carl, pod tym względem, zaszedł najdalej i najbardziej upodobnił się do Lucyfera. Uparcie bronił się przed świadomością, że wszystkie cudowne dary, którymi dysponował, totalnie go zwiodły. Do samego końca łydził się, że to jemu, Carlowi, przyjdzie „wydobyć na światło dzienne prawdziwą wersję chrześcijaństwa”.

Jeżeli ofiara, wówczas już częściowo opętana, nie cofnie swojej zgody i nie zdoła się wyzwolić, dzięki czyjejs pomocy

albo polegając na własnej odporności i sile woli, niewątpliwie dojdzie do momentu krytycznego. Będzie poddawana narastającej i, w końcu, nieustannej presji obcych sił, domagających się władzy nad jej psychiką. Władzy tej podporządkowane zostaną wszystkie myśli, emocje, akty woli, zamierzenia, sympatie i antypatie.

Każdy z bohaterów tej książki tego doświadczył. Każdy odczuwał niesamowitą „potrzebę” pozwolenia „komuś innemu” na wydawanie poleceń; wszyscy też czuli, że ten „ktoś” jakimś sposobem zyskał dostęp do ich wnętrza. Owa presja nie była zjawiskiem fizycznym, istota, która zagnieżdżyła się w nich, też nie miała nic wspólnego z materią. Jednakże efekty każdej próby przeciwstawienia się jej były boleśnie realne.

Jak tylko się poddali, zaczęli odbierać „instrukcje” — ktoś podsuwał im gotowe oceny sytuacji i sposoby zachowania, a nawet słowa i gesty. Wydaje się, że Jamsie nie doszedł do tego etapu. Najprawdopodobniej, buntując się przeciwko stałej obecności Wujka Ponto, odmówił podporządkowania się owej władzy.

U Davida proces ten przebiegł dość łagodnie, niemniej jednak i on się poddał. W głębi ducha okłamywał siebie, że nie wyraził zgody na tę kontrolę. A jednak, właśnie z uwagi na tak łagodny przebieg owego procesu, wskazujący na to, że nie był do końca przekonany, iż powinien się zgodzić, nie udało się go w pełni zniewolić.

Yves poddał się najintensywniejszemu z nacisków „zdalnego sterowania”, mimo iż chciał się od niego uwolnić i dlatego wyjechał, mając zamiar odwiedzić przyjaciół. Wszystko wskazuje na to, że Richard/Rita uległ dość wcześnie, jako młody chłopak, kiedy przyszło mu spędzić samotną noc na górskim stoku, z dala od obozowiska. Marianne odczuła to niemal fizycznie, siedząc na ławce w parku, naprzeciwko „Człowieka”. Jeżeli chodzi o Carla, można cofnąć się do momentu, gdy jako nastolatek „zgodził się zaczekać” — to już zapowiadało jego późniejszą zgodę na wszystko — a jednak najmocniej odczuł ową presję, kiedy patrzył przez okno swego gabinetu na zachodzące słońce. Żółw dobrze przygotował swoją ofiarę, gdyż Carl, mimo iż przyszło mu na myśl, że mógłby stawiać opór, pojął, że już nie dysponuje żadnym skutecznym argumentem; całkowicie pogodził się z tą sytuacją, wiedząc dokładnie, co robi.

Niezależnie od wszystkich zapewnień o sukcesach i szczęściu oraz wizji szczególnej swobody, które roztaczano przed

ofiara, by doprowadzić ją do tego stanu, człowiek z chwilą poddania się owej presji kompletnie traci wolność. To najważniejszy ze wszystkich wyborów. Znamienne jest, że ta rezygnacja ze swobody wyboru jest możliwa jedynie dzięki tej właśnie swobodzie, gwarantowanej przez Boga każdemu człowiekowi, który decyduje się na wolność. Wyboru tego każdy musi dokonać *sam*; nie można decydować *za niego*. Jeśli postanowi zrezygnować z wolnej woli, umożliwi tym samym złemu duchowi wykonanie najważniejszego, rozstrzygającego ruchu. Podejmując taką decyzję, ofiara opętania odrzuca jednocześnie Boga, Jezusa i szansę na swoje człowieczeństwo. Traci kontakt z Bożym blaskiem. Powstaje próżnia; ginie gdzieś ogromna wiedza będąca wsparciem dla owego człowieczeństwa. Światłość ofiarowana duszy stopniowo gaśnie. Tę próżnię zły duch wypełnia swoim własnym światłem i wiedzą.

Jeżeli już doszło do tej fazy opętania, zły duch gwałtownie i dramatycznie powiększa strefę swojej władzy. Działanie jego światła i wiedzy jest natychmiastowe, zdumiewające i przemyślne. Opętany zaczyna się wystrzegać wszelkich sytuacji, ludzi, miejsc i przedmiotów mających bliski związek z Bogiem i Jezusem. Prowadzi go to do unikania zdarzeń mogących zagrozić władzy złego ducha. Wujek Ponto, żądając, by Jamsie trzymał się z dala od kobiet i alkoholu, i mając ogromny wpływ na jego zachowanie, nie tylko uniemożliwił mu utrzymywanie normalnych kontaktów z ludźmi, pogłębiając jeszcze jego osamotnienie i skazując go szukanie pociechy w towarzystwie duchów, ale i separował go od wszelkich przejawów ludzkiej miłości — jako że jest ona dobrem ściśle związanym z naszym człowieczeństwem.

To specyficzne, diabelskie światło może w pewien sposób wspomagać opętanych w ich pracy. Ponto udoskonalił styl wypowiedzi Jamsiego. Pan Pewniak dodał nowego blasku charyzmie Yvesa. Carl, dzięki pomocy Żółwia, zasłynął jako parapsycholog. Często zdarza się też, że opętani otrzymują sygnały chroniące ich przed jakimś pospolitym zagrożeniem (dlatego zaczepiający Marianne opryszek wzbudził w niej taką odrazę), że podsuwa się im szanse na zaspokojenie pragnień lub osiągnięcie dobrobytu i że wzrasta ich znaczenie, zasób informacji, energia psychiczna i wpływ na innych ludzi.

Najbardziej jednak rzuca się w oczy to, że światło i wiedza złego ducha w niezwykły, a nawet szokujący sposób wpływają na zmianę systemu wartości i zasad, a także światopoglądu

opętanego, potęgując poczucie braku samokontroli nawet do tego stopnia, że człowiek traci świadomość własnego postępowania.

„Od tamtej pory wiedziałem już — wspomina dzisiaj Carl — że poddałem się ściśle kontroli i że będę myślał, mówił i robił wiele rzeczy, nie umiając wyjaśnić swego postępowania, bez żadnego powodu, niczym się nie kierując”.

Ileć Richard/Rita wraca do sceny z dziewczyną umierającą na śniegu, wspomina, że nie był wtedy sobą. Nie uświadamiał sobie, co robi. Faktem jest, że najdrastyczniejsze epizody, jakie znalazły się w tej książce, wiążą się z jego przypadkiem i pozostają w dramatycznej, a nawet tragicznej sprzeczności z tym, czego on sam oczekiwał godząc się na opętanie: z nadzieją na najsubtelniejszą miłość i na zrozumienie tajemnicy płci, męskości i kobiecości.

I choć pragnienia Richarda/Rity były autentyczne i szczerze, nagle zaczął dostrzegać w kobiecości coś ohydneho. Widział ją jako złowrogą siłę, którą należało pokonać, nawet za cenę nekrofilii. Później, podczas Czarnej Mszy, jego własne ciało uległo totalnemu zbeszczeszczeniu.

Owa „kontrola” zmieniła też system wartości i zasad oraz światopogląd Marianne. Wszystkie symbole dobra i piękna — krzyż na Park Avenue, Msza Święta, seksualizm, jej własne ciało, jej rodzice — zaczęły budzić w niej paniczny lęk i chęć ucieczki. Pragnęła być totalnie wolna i niezależna, a skończyła jako niewolnica — na szczęście, pozostała w niej odrobina samozaparca, dzięki której mogła skorzystać z pomocy, którą zaoferował jej Peter.

Yves doszedł do tego, że sakramenty i kapłaństwo to jedynie wartości materialne, nie mające nic wspólnego z Bogiem, Jezusem i bytem nadnaturalnym. Ale i on najwidoczniej zachował ten zapas samozaparca, do którego mógł się odwołać, gdy jego przyjaciele odprowadzili egzorcyzmy.

Jeśli nic nie zakłóca owej nasilającej się kontroli, jeśli wyrażono *totalną* zgodę, dochodzi do całkowitego (czyli idealnego) opętania. Ojciec Mark jest pewien, że trafił na niejednego taki casus — ale tylko przypadkowo, gdyż nie proszono go o uwolnienie takich osób od złego ducha, a nawet gdyby podjął taką próbę, to bez częściowego choćby udziału woli opętanego zakończyłaby się niepowodzeniem.

Mimo iż nie poznał nigdy Jaya Beedema, był przekonany, że człowiek ten przyczynił się w jakiejś mierze do spotęgowania

problemów Jamsiego. Usiłował potwierdzić to podejrzenie podczas egzorcyzmów. Ale Multus, „zwierzchnik” Wujka Ponto, nie chciał mu absolutnie nic powiedzieć. Oznajmił stanowczo: „Kościół i ta Osoba nie mają władzy nad Jayem Beedemem. Należy do nas”.

Rozpatrując przypadek Richarda/Rity, należy zadać sobie pytanie, czy psychiatra, doktor Hammond, był już na drodze do całkowitego opętania. „Jest nasz! Nie musieliśmy o niego walczyć!”, krzyczał Dzikorób. „Nie odbierzecie go. Jest nasz”.

W każdym przypadku opętania, o ile dochodzi do egzorcyzmów, opętany znajduje się na rozdrożu. Gdzieś w jego wnętrzu kryje się jeszcze część dawnego potencjału, jakiś błysk — czy też wspomnienie błysku — Jezusowego światła. Chroni w sobie ułamek własnych sił, nie dopuszczając do niego zachłanności upadłego anioła. Budzi się w nim coś na kształt buntu przeciwko temu, co uprzednio zaakceptował. Opętani zmieniają się w buntowników, a póki się buntują, spotykają się z coraz zacieklejszymi atakami ze strony złego ducha, protestującego przeciwko pozbawianiu go „domu”.

Opętani, którzy zwycięsko przeszli przez egzorcyzmy, częstokroć wracają myślą do momentu, w którym rozpoczęli próby opanowania własnych myśli, aktów woli i wspomnień.

Ta niepojęta i straszliwa walka buntującej się ofiary ze złym duchem usiłującym zdławić rebelię nierzadko daje początek odrażającym, niepokojącym i przerażającym zdarzeniom, powodującym, iż krewni opętanego — albo jego przyjaciele — szukają pomocy u innych.

Wielu egzorcystów uważa, że większość częściowo opętanych i zdolnych do takiego buntu nie ma okazji spotkać się z kapłanem. Trafiają do lekarzy, do psychiatrów, gdzie nie znajdują żadnej pomocy. Zastosowanie leków może przynieść chwilową „remisję” — uspokojenie — ale zazwyczaj dzieje się to kosztem sprawności umysłu i ciała. Zdaniem tych egzorcystów, opętani nierzadko trafiają do klinik psychiatrycznych, gdzie stan ich tylko się pogarsza, jako że walka trwa nadal.

Jeżeli bunt opętanego doprowadzi do rozpoczęcia egzorcyzmów, to gorzkie zmaganie wychodzi na jaw. Egzorcysta pełni wówczas, dosłownie, rolę zakładnika. Zajmuje miejsce opętanego i toczy za niego walkę, której tamten nie umiał sprostać, mogąc jedynie rozpaczliwie wołać o pomoc.

Cała trójka — egzorcysta, opętany i zły duch — naraża się wówczas na niebezpieczeństwo. Opętany musi znieść bolesne

i wyczerpujące napaści na swe ciało, umysł i zmysły, a zarazem nie stracić owej odrobiny wolnej woli.

Egzorcysta musi ścierpieć ból i niepojęte kary, które mieliśmy już okazję opisać. Tę właśnie prawdę dość plastycznie ukazują nam losy przedstawionych w tej książce kapłanów.

Ślady udreń, jakie znosić musi zły duch, możemy odnaleźć w huk, skrzeczeniu i nieharmonijnym zawodzeniu, które tak często przykuwa uwagę egzorcysty, kiedy demony, jeden za drugim, opuszczają z rozpaczą swój nowo zdobyty „dom”. To zapewne echo wiecznego cierpienia, na które po wsze czasy skazany został Lucyfer. W głosie Uśmiechniętego, Pana Pewniaka, Wujka Ponto i Multusa znów dźwięczy ten nieuleczalny żal, w jakim pogrążyła się najjaśniejsza ze wszystkich inteligentnych istot stworzonych przez Pana. „Dokąd mamy odejść? Gdzie się ukryjemy przed mściwym Bogiem?”

Kres egzorcysty

Michael Strong (konkluzja)

Ojca Michaela przewieziono z Hongkongu do Irlandii na początku lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku. Przez pięć miesięcy przebywał w hrabstwie Meath, pod opieką zakonnic. W grudniu był już na tyle silny, że mógł przenieść się do swego rodzinnego miasta, Castleconnell, w hrabstwie Tipperary. Żyło tam całe mnóstwo jego bratanic, siostrzeńców i kuzynów. Mieszkał tam do października, kiedy to przyszło mu umrzeć.

Michael niezwykle mało mówił o sobie. Z czasem jednak ludzie z miasteczka zrozumieli, co się z nim dzieje, i poznali w ogólnych zarysach kilka faktów z jego niedawnej przeszłości. Przyjęli, że wrócił z wielkiego, nieznanego świata, gdzie, jak to określali, „ciemni Chinole i bolszewicy nieźle mu dołożyli”.

Michael nigdy nie przechadzał się po wąskich uliczkach Castleconnell, rzadko też wychodził do otaczającego jego dom ogrodu. Rano i wieczorem jego gospodyni otwierała oszklone drzwi, żeby mógł posiedzieć na ocienionym ganku i przyglądać się trawie, jabłoniom i pnącym się po murze roślinom. Czasami pielęgnował dzikie wino, które szczególnie lubił, albo zajmował się niewielką grządką pod południową ścianą ogrodu, gdzie rosły rzodkiewki, cebula i pasternak. Sypiał niewiele i bardzo lekko, czytywał tylko niedzielne wydania gazet, a większość czasu poświęcał własnym przemyśleniom.

Każdego ranka, o szóstej, młody wikary odprawiał mszę w jego pokoju. Mniej więcej raz na miesiąc sam Michael podejmował się tego zadania, ale zajmowało mu to około dwóch godzin. Widać było, że to dla niego ogromny wysiłek. Goście odwiedzali go rzadko i nie poświęcali mu zbyt wiele czasu. W każdą niedzielę odwiedzał go ktoś z rodziny, przywoząc też dzieci, czasem zaglądał stary przyjaciel z seminarium albo biskup. Nikomu z nich nie udało się dowiedzieć, co przeszedł ojciec Michael i dlaczego swoje ostatnie lata spędza w takim uśpieniu i wyciszeniu. Zdawało się jedynie, że na coś czeka, że się czegoś spodziewa.

Mój wujek był lekarzem ogólnym w Castleconnell. Będąc jeszcze w seminarium, słyszałem o ojcu Michaelu Strongu, ale

dopiero w szereg miesięcy później zetknąłem się z nim i zacząłem u niego bywać. Te wspomnienia są nadal żywe, mimo iż minęło już dwadzieścia pięć lat; pewne frazy i słowa na zawsze zapisały mi się w pamięci, podobnie jak jego ton i wyraz twarzy. Kiedy go poznałem, sprawiał wrażenie człowieka niezwykle wątego. Wysoki i kościsty, niewątpliwie wiele stracił na wadze.

Ale to wrażenie nie było spowodowane widokiem jego chudości, siwej czupryny, kościstych rąk i zapadniętych policzków. Czulem, że jest w nim coś kruchego, że jego życie wisi na włosku. Wydawał mi się przezroczystry, spokojny, a zarazem napięty. Może to tylko kwestia mojej wyobraźni, ale odnosiłem wrażenie, że przez cały czas, nie posługując się słowami, rozmawia ze światem o czymś, czego nie pozwalała mi dostrzec moja tępota i zbyt przywiązanie do materii. Odbierałem tylko coś w rodzaju pogłosu, przypominającego mi, bym nie robił gwałtownych ruchów i nie podnosił głosu.

Ojciec Michael chętnie i swobodnie opowiadał o Chinach i o pracy, której się tam poświęcił. Wszyscy z niewielkiego kręgu jego znajomych znali ogólny zarys tej opowieści. Tylko o Thomasie Wu mówił rzadko i niechętnie, raczej nie wdając się w szczegóły. Początkowo myślałem, że wynika to z jakiejś niepewności co do wspomnień z tamtego okresu. Później jednak, kiedy rozmawialiśmy na temat jego niedawnej przeszłości, zacząłem pojmować prawdziwą przyczynę jego powściągliwości. Kiedy zapytałem go o Tomasa Wu i egzorcyzmy, wrócił pamięcią do tamtych chwil, próbując mi odpowiedzieć, a potem zawiesił głos, jakby czekał na jakieś wyjaśnienie, na jakieś podsumowanie, na ostatnie zdanie owej historii.

Przez dziesięć lub piętnaście minut było absolutnie cicho. Potem poruszył się i powiedział:

— Cóż. Na wszystko przyjdzie pora... Szkło stanie się czyste. Musi się stać...

Zawsze ograniczał się do takich niejasnych uwag. A ja nauczyłem się, że w takich chwilach (ale nie wcześniej) należało wstać i wyjść, zostawiając go sam na sam z jego myślami tym, co mu nieustannie towarzyszyło.

Miał pewne charakterystyczne gesty, takie jak dotykanie czoła prawą dłonią, pocieranie podbródka nadgarstkiem, zamykanie w lewej dłoni palców prawej ręki. I cały czas patrzył przed siebie, ale w jego oczach nie było rozmarzenia ani czujności, nie były też rozszerzone i niewidzące, tak jakby starał się przywołać przeszłość. Widziały coś niewidzialnego dla innych,

może wielość szczegółów albo rozległą, wszechobecną panoramę. Dlatego nieliczni mieszkańcy miasteczka, którym zdarzyło się go widzieć, mawiali: „Biedny ojciec Michael. Rzecz jasna, że czeka na Dobrego Pasterza”.

Całe jego ówczesne życie sprowadzało się do czekania, tak jakby „czekał, że szkło stanie się czyste...” Kiedy podchodził do furtki, by pożegnać wychodzącego gościa, na jego twarzy malowało się dokładnie to samo. Zdawało się, że przeczesuje wzrokiem drogę, niebo i horyzont, czekając na kogoś lub na coś, co rozpozna, jak tylko się pojawi. Początkowo myślałem, że chodzi tu o starego znajomego albo o posłańca. Pewnych spraw nie sposób przewidzieć.

To samo wrażenie miałem, kiedy godzinami przesiadywałem na ganku i kiedy siedział sztywno w gabinecie, wpatrując się w okno lub w drzwi.

Pierwszy przełom, kiedy udało mi się uzyskać pewne informacje na temat Thomasa Wu, nastąpił w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku. Niejaki John Gallen, farmer z Castleconnell, zabił nożem ogrodniczym swego sąsiada, Jima Cahilla. Wiązało się to z odwieczną waśnią rodową; w każdym pokoleniu ginął gwałtowną śmiercią jakiś Gallen albo Cahill.

Michael mówił wówczas coś na temat Kaina i Abla. Nagle odwrócił głowę i zadał mi pytanie:

— Czy John Gallen miał coś na podbródku? — I, nie czekając na moją odpowiedź, dodał: — Ale coż mógłbyś o tym wiedzieć? Dzięki Bogu. Twoje szczęście.

Czulem, że ujawnił coś, co warto było zbadać bliżej, nawet opierając się jedynie na przypuszczeniach.

— Ojczy, czy Thomas Wu miał coś na podbródku?

Rozejrzał się powoli. W jego oczach, zazwyczaj bładniebieskich, palił się ogień.

— Młody człowieku, są rzeczy, o których lepiej jest nie wiedzieć, dopóki się samemu na nie nie trafi.

I znów ta długa chwila milczenia. Czekałem.

W końcu poruszył się i niespodziewanie stwierdził:

— Cóż... skoro jesteś tak małym ogniwnem, sądzę, że lepiej będzie, gdy dowiesz się czegoś więcej. Ale nie dzisiaj. Kiedy indziej. — I po chwili dodał nieuniknione „daj Boże”.

Kolejny raz zobaczyliśmy się dopiero w połowie lipca. Był to jeden z tych długich letnich wieczorów, tak rzadkich w tamtej części Irlandii, kiedy przez cały dzień nie spadła ani jedna kropla deszczu, a niebo było całkowicie bezchmurne. Kiedy

przyszedłem, nie było już mowy o blasku. Widać było jedynie nikiel, przerywane smugi światła o barwie brązu, sięgające tuż nad oceanu, nad który właśnie schodziło słońce. Lekki wiatr zaczynał usuwać resztki upalnego dnia.

Michael stał przy murze, zbierał przedwcześnie szczerwiane liście dzikiego wina. Starannie wkładał je między stronicę swej Biblii.

— Cieszę się, że tak długo mnie nie odwiedzałeś — powiedział. — Czas jest bardzo istotny.

Zamknął w Biblii ostatni liść. Powoli poszliśmy w kierunku ganku i jego krzesła.

Trochę rozmawialiśmy na temat lokalnych nowinek. Potem zapytałem go o znak na podbródku Thomasa Wu. Oceniał go jednoznacznie: to była sygnatura.

— Taka, jaką garncarz umieszcza na spodzie zrobionej przez siebie wazy. Jak podpis złożony przez malarza na obrazie. *Satan me fecit* *

Opowiedział trochę o Thomasie Wu. Wyglądało na to, że na początku lat trzydziestych spędził on trochę czasu w Japonii. Kiedy wrócił do Nankinu, totalnie się zmienił: z wściekłością mówił zarówno o Japończykach, jak i o Kuomintangu, nieustannie opowiadał o komunistycznych przywódcach z Północnych Chin, a wszyscy jego przyjaciele z niepokojem odbierali to, że zagnieździło się w nim coś totalnie obcego.

Wu, jak powiedział ojciec Michael, zaprzedał swe ciało i duszę pradawnej mocy, tej samej, która nakazała Kainowi zabić brata i próbowała przeszkodzić Bogu w stworzeniu świata. Najstarszej mocy. Najsilniejszej. Przynajmniej dla nich. Mówiąc to myślał o wszystkich: o Japończykach, Chińczykach, Rosjanach i Amerykanach. Wszyscy oni postępowali tak, jakby to śmierć była najwyższym sędzią i najpotężniejszym sojusznikiem. Ojciec Kaina od samego początku był zabójcą, tak jak Jezus był pierwszym, który głosił Słowo Boże.

Chciałem dowiedzieć się czegoś na temat stanu, w jakim znajdował się Michael w roku czterdziestym ósmym, kiedy powracał do domu. Słyszając to, przerwał mi i oświadczył, że jeszcze nie wrócił do domu. Powiedział, że nie może wrócić. Dopóki nie zakończy tego, co zaczął podczas egzorcyzmów w magazynie Puh-Chi. Zauważyłem w kącikach jego oczu łzy i odwróciłem głowę.

* *Satan me fecit* (łac.) — wykonał mnie Szatan (przyp. tłum.)

Wiatr się wzmagał. Dochodziło do nas porykiwanie krów i szczekanie psów zaganiających je do obory. Michael poprosił o pled, którym mógłby się owinąć.

I znów miał jeden ze swoich kwadransów ciszy. Trwało to do momentu, gdy gospodyni przyniosła mu kolację. Jadł w milczeniu. Kiedy kończył, słońce chowało się już za drzewami, a całą okolicę spowijał zmierzch. Światło mieszało się z mrokiem. Na północnym zachodzie widać było dzikie gęsi spieszące ku moczarom i lasom Connemara. Michael ciasniej owinął się pledem i nabił fajkę.

— Dom. Tak...

Znów umilkł na minutę lub dwie, jakby szukał odpowiednich słów. Potem podjął ów wątek, jakby nie zauważył wcale tej pauzy.

Łzy, które kiedyś widziałem w jego oczach, wyjaśnił, nie miały nic wspólnego z żalem czy też z buntem, były natomiast wyrazem tęsknoty za domem. Od tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku błąkał się samotnie w ciemności. Wszyscy inni mogli udać się do domu, ale on musiał czekać.

Popatrzyłem na niego. Siwe włosy i blada twarz tonęły w mroku. Widziałem tylko jego oczy, dwa źródła światła, wpatrzone w głąb ogrodu.

— Możesz mi wierzyć, jeśli wdajesz się w egzorcyzmy, a przede wszystkim, jeśli nie doprowadzisz ich do końca, coś tracisz. Reszta też rwie się do tego, żeby odejść.

Nie był to chyba najlepszy moment na dociekanie, dlaczego „czeka” na „odejście”. Zapytałem go więc o Starcie ze złym duchem. Na czym to polegało? Jakie przyniosło skutki? To było spotkanie, wyjaśnił, spotkanie dwóch osób. Spotkanie z czymś pochodzącym ze sfery, gdzie jedyną i obowiązującą rzeczywistością jest „brak życia”.

Chciałem na tym poprzestać i rozważyć te słowa, ale Michael dalej opowiadał o rzeczywistości, która nie jest *ani* piękna, *ani* prawdziwa, *ani* święta, *ani* przyjemna, *ani* jasna, *ani* ciepła, *ani* rozległa, *ani* szczęśliwa — takiej, w której *nie ma* nic pozytywnego.

Zacząłem mówić, że to przypomina mi Piekło, a przynajmniej tradycyjny opis tego miejsca.

— Nie — przerwał mi kategorycznie. — To *jest* Piekło. Totalna samotność i brak szansy na miłość. Taka wieczność.

Egzorcysta wie doskonale, że to z czym się mierzy, pochodzi z tamtej sfery. Po prostu to wie.

— A skutki tego spotkania? — zapytałem ostrożnie, nie chcąc potęgować dręczącego go bólu. Czy czuje się ograniczony albo uwięziony? Czy to go przygnębiło i pozbawiło energii?

Skutki były daleko poważniejsze, odparł. Przed laty, w seminarium, kochał muzykę, kwiaty i dobre książki. Śmiał się najgłośniej ze wszystkich. Uwielbiał pływanie, grę w tenisa, dobre jadlo i szereg innych rzeczy. Kochał dzieci. Sam dźwięk ich głosów dawał mu poczucie szczęścia. Lubił też wiele innych spraw — śpiew, taniec, długie spacery, odgłos fal uderzających o brzeg, zapach świeżo skoszonego siana, zapach kwiatów oraz trawy po deszczu, zapach torfu palonego o świcie. I spał jak susał. Zawsze budził się gotów na przyjęcie światła, deszczu, gradu albo blasku słońca.

Kiedy spróbował uwolnić Thomasa Wu od złego ducha, wszystko się zmieniło. — Nie chodzi tu o starość — wyjaśnił, odpowiadając na pytanie, którego nie zadałem — ale o coś innego.

Na ganek wyszła gospodyni. Kiwnął głową. Nadeszła pora powrotu do domu. Gospodyni zniknęła za drzwiami.

— Co to właściwie było? — zapytałem.

Podniósł się. Zza muru wyłonił się już księżyc. Przyglądaliśmy się mu, zadzierając do góry głowy.

— Po egzorcyzmach człowiek nie uważa już tego świata za dom — powiedział, wążąc każde słowo. Znow usiadł i wyjaśnił mi to stwierdzenie.

Egzorcysta, po takim doświadczeniu, nadal widzi, słyszy, rozumuje i rozmawia tak, jak robił to przedtem. Ale wszystko rejestruje na dwóch płaszczyznach. Duch jest wszędzie. Ciało i materia to tylko „nasz obraz” tego, co tam jest. I nie *wszystko* jest w nim dobre. W tym „obrazie” kryje się *zarówno* dobro, *jak* i zło.

Jeżeli nie wiedziało się tego przedtem, po egzorcyzmach nie sposób o tym zapomnieć. Widzi się wszystko podwójnie, „trzecim okiem”, jak dawniej mawiano.

Egzorcysta już nie potrafi pogrążyć się we śnie. Drzemie. Jakaś jego część czuwa, nieustannie czuwa, nie chcąc, by nawet przez moment coś jej umknęło. Sen jest ucieczką. A egzorcysta wie, że dla niego już nie ma ucieczki.

Je, bo musi utrzymać się przy życiu. Oddycha. Jego serce bije. Ale on sam zawsze stoi przed poważnym wyborem: może przestać oddychać i pozwolić swemu sercu stanąć.

Kiedy wchodziliśmy do domu, powiedział cicho:

— Przyjdź za kilka tygodni. Zbliżam się do końca. Niewiele zostało już czasu.

Widziałem się z nim jeszcze dwa razy. Na początku września i na kilka minut przed jego śmiercią.

— Przekonasz się, że ojciec bardzo się zmienił — szepnęła gospodyni, kiedy zjawiłem się we wrześniu. — Już wcale nie wychodzi.

Michael był w gabinecie, siedział w fotelu, wpatrując się w drzwi. Okiennice były zamknięte na głucho, jedynym źródłem światła były dwie świece palące się spokojnie na półeczce nad kominkiem. Nie spojrzał na mnie, kiedy wchodziłem; przywitał mnie ruchem ręki.

— Chcesz, żebym wpuścił trochę świeżego powietrza i słońca? — zapytałem, pozdrowiwszy go. Zbliżyłem się do okna. Przez minutę panowała kompletna cisza.

— Jeśli otworzysz te okiennice — wyjaśnił cierpliwie, jak nauczyciel tłumaczący uczniowi jakiś problem — zaćmisz jedyne światło, jakie mi pozostało. Wejdz, usiądź i poświęć mi trochę czasu.

W jego głosie nie czuło się popłochu ani niepokoju. Mówił spokojnie, po prostu nazywał fakty po imieniu. Przeszedłem przez pokój i usiadłem naprzeciw niego. Światło świec padało na jego głowę, wydobywało twarz z mroku.

Straszliwie się zmienił. Skóra na twarzy mu się skurczyła; wyglądało to tak, jakby podciągnięto ją do góry. Miałem wrażenie, że cały charakter jego oblicza opuścił rejon szczęk i warg, minął nos i skupił się powyżej niewidzialnej linii przecinającej policzki. Wyrazu jego ust nie sposób było określić. Szczęki i podbródek utraciły coś ze swej stanowczości, jakiś typowy dla niego zarys. Mogłyby należeć do kogokolwiek, nawet do jakiejś bezdusznej rzeźby. Cera nie była ani blada, ani też biała. W pierwszej chwili wydała mi się bezbarwna. Potem dostrzegłem jakieś odcienie żółci i coś przypominającego biel, ale to zdecydowanie nie była cera zdrowego człowieka. Zbyt wiele tu było przezroczystości i połysku. Kiedy przyglądałem się tej twarzy, przychodziły mi do głowy jedynie takie określenia, jak „bezruch” i „znieruchomiła”.

Prawa powieka była do połowy opuszczona, niczym okiennica. Oczy jakby zaszyły mgiełką; pokrywała je cienka warstwa cieczy sączącej się z kącików. Nie potrafiłem odczytać ich wyrazu; może go utraciły?

Ale tam w głębi, poza ich pozorną obojętnością, widziałem — a może wyczuwałem — obecność człowieka bystrego i pełnego życia, nieprzeciętną i uważną inteligencję. Czoło było gładkie, wolne od zmarszczek. Głowa Michaela zawsze kojarzyła mi się z kopułą. Siwe włosy, które nigdy nie wykazywały tendencji do wypadania, zostały ścięte tuż przy skórze. Był gładko wygolony.

Breeda, gospodyni, prosiła, bym nie rozmawiał z nim zbyt długo.

— Ojczy, jak się czujesz?

Stwierdził, że świetnie. Zamierzał mnie o coś prosić. Chciał, żebym mu o tym przypomniał, kiedy nadejdzie kres mojej wizyty. Ale najpierw chciałby powiedzieć mi coś więcej na temat swoich doświadczeń z egzorcyzmami.

— To, że mogę o tym mówić, pomaga mi — wyjaśnił.

Chodziło mu o podwójne widzenie; powiedział, że wtedy nie określił tego należycie. Musiałem chwilę poczekać, gdyż kiedy to mówił, na jego twarzy pojawiło się cierpienie. Zasłona bezruchu uniosła się na moment, po czym znowu opadła. Przez ten ułamek sekundy zdołałem dojrzeć pod nią potężny ładunek bólu i smutku osadzony w ramach zmontowanych z nie słabnącej nadziei. Wszystko w nim mówiło: nie przestanę ufać, mimo iż nie pozostało mi nic poza zaufaniem.

Zaczął opowiadać o podwójnym widzeniu. Nie chodziło mu o to, że obok rzeczywistego stołu widzi jeszcze jeden, a każda realna ściana również ma swój widoczny tylko dla nielicznych odpowiednik. Nie miał na myśli widzenia za pomocą oczu, słyszenia za pomocą uszu i dotyku ręką. Mówił o innym poziomie rzeczywistości. Egzorcyzmy uczulają człowieka na tę rzeczywistość, powiedział. Dostrzega się wtedy wszystko, co kryje się za realnością widzialną i namacalną. Wszędzie krzyżują się linie więzi duchowych. Duch dobry i duch zły. Piękno i szpetota. Świętość i grzech. Bóg jako gigantyczny majestat. Uosobienie zła, którego moc może zadziwić. Nic się nie wydostanie poza owe więzi.

Powiedziawszy to, umilkł. Odczekałem chwilę, ale nie mogłem nie zapytać go wprost, dlaczego musiał przerwać egzorcyzmy w Puh-Chi. Czy miało to jakiś szczególny związek ze sferą podwójnego widzenia?

— Oczywiście. — W tym słowie kryło się tyle bólu i smutku, że straciłem wątek. Zawisło między nami, jako znak jego cierpienia.

— Teraz już mogę nienawidzić. Mogę wybrać nienawiść — dodał z goryczą.

Do czasu spotkania z Thomasem Wu nawet nie myślał o nienawiści, Teraz stała się dla niego realnym rozwiązaniem. Do czasu tamtych egzorcyzmów nie umiał sobie nawet wyobrazić, czym jest rozpacz. Teraz i to było realne. „Realne”, to słowo powtórzył kilkakrotnie. Idea odrzucenia Jezusa jako szarlatana też jawiła mu się teraz jako realny wybór.

Wszystkie te możliwości, a także inne, o których wolał nawet nie wspominać, były jak talerze z różnymi daniami, które nieustannie mu podsuwano. Męczył się, gdyż zmuszony był wybrać tylko jeden z nich. Kiedyś już złożył je wszystkie razem w skrzyni i wyrzucił klucz. Teraz z każdego musiał uszczknąć kęs. Jeść powoli. Realistycznie. Umilkł, szukając odpowiedniego skojarzenia. W końcu powiedział, że czuje się tak, jakby był nagi, a jakiś wściekły wilk obwąchiwał go i szturchał nosem, nie zatrzymując się ani na moment i grożąc, że go ukąsi, że wbije weń swe kły. Ukrył twarz w dłoniach. Przez pięć minut było kompletnie cicho.

A całe to czekanie? — zapytałem wreszcie. Na co tak czeka? Nie powiodły mu się egzorcyzmy, ale przecież nie zaakceptował Szatana, zła i nienawiści. Czemu więc wciąż jeszcze czeka?

— Mówiąc prosto, młody przyjacielu — powiedział ochryplym głosem — zło ma nad nami władzę, pewną władzę. Nawet kiedy zostaje pokonane i zmuszone do ucieczki, ociera się o ciebie do krwi. Jeśli go nie pokonasz, okupisz to jeszcze większym bólem. Rani twoją duszę brudnym szponem, wpuszczając w nią nieco jadu. To jest cena. To pamiątka. Lekcja. Sygnał, że kiedyś wróci.

Należało kończyć tę wizytę. Wstałem. Nic nie powiedział. Dotknąłem lekko jego czoła. Było zimne.

Kiedy wyszedłem, Breeda uśmiechnęła się do mnie.

— Młody człowieku, nie martw się o ojca Michaela. On wie, co robisz.

Ta stara kobieta, dla jakichś przyczyn, rozumiała więcej niż ja.

I wtedy usłyszałem głos Michaela. Wołał:

— Malachi! Jak przyjdzie koniec, nie trać pewności i czytaj świętego Pawła. Pierwszy List do Koryntian, rozdział piętnasty, wersy od pięćdziesiątego do pięćdziesiątego ósmego. Dokładnie.

Wróciłem do gabinetu, ale odprawił mnie typowym dla siebie gestem.

Breeda zadzwoniła do mnie we wczesny październikowy ranek. Niebo zasnuły ciężkie chmury i nieustannie padało. Znad Atlantyku nadciągała burza. Breeda powiedziała mi, że Michael przyjął Ostatnie Namaszczenie.

Kiedy dotarłem do jego domu, panował tam spokój. Lekarz zbadał go rano, wyjechał i znowu wrócił. Był przyjacielem Michaela z czasów szkolnych. Zaglądali też krewni. Biskup przysłał kapłana ze specjalnym błogosławieństwem. Tylko Breeda i lekarz nie czuwali przy Michaelu.

Znajdował się w swoim pokoju, oświetlonym przez dwie świece. Oparty o poduszki, niemal siedział na łóżku, lekko przechylony na bok. Wyglądał tak, jakby bezwładnie spadł z jakiejś wysokości. Trzymał w dłoniach krucyfiks. Oczy miał zamknięte. Usta były otwarte; próbował łapać oddech.

Jego twarz nadal wyglądała fatalnie. Kiedy przeszedłem na drugą stronę pokoju, wydała mi się zmięta, tak jakby czyjaś ręka poprzesuwała rysy, burząc ich symetrię. Czoło pokrywały labirynty zmarszczek; linia brwi nie biegła już prosto; jedna powieka była bardziej spuchnięta od drugiej; nozdrza falowały nieregularnie; nos i usta wydawały się kanciaste i nienaturalnie wykrzywione.

Tuż po moim wejściu coś się zmieniło. Michael zaczął zmieniać pozycję, układać się prosto. Zesztywniał. Łatwiej mu było oddychać.

Poruszył wargami. Nachyliwszy się, usłyszałem, że mówi cicho:

— Tam. W kącie. Przy oknie. Świeca. Proszę...

Przeniosłem jedną ze świec na biblioteczkę i wróciłem do niego.

— To wszystko jest bardzo czarne, mój przyjacielu — wyszeptał, kiedy się nachyliłem — i... kłuje.

Reszta utonęła w jęku, który wydobył się spomiędzy jego zębów. Nadal nachylając się nad nim, znalazłem ów list świętego Pawła do Koryntian i zacząłem czytać wersy, o które prosił. Patrzyłem na niego, szukając ich w swej pamięci, po czym znów wracałem do tekstu.

— „...wszyscy będziemy odmienieni... w mgnieniu oka... umarli powstaną nienaruszeni... a to, co śmiertelne, przyodziało się w nieśmiertelność...”

Michael nadal jęczał, jakby przygniatał go jakiś ogromny, odbierający siły ciężar.

— „...wtedy sprawdzą się słowa, które zostały napisane: *Zwycięstwo pochłonęło śmierć...* Ościeniem zaś śmierci jest grzech...”

Bogu niech będą dzięki, że dał nam odnieść zwycięstwo przez Pana naszego Jezusa Chrystusa...”

Przerwałem i czekałem, co będzie dalej. Pierś Michaela poruszyła się; zdołał zaczerpnąć więcej powietrza. Wydawało się, że przetrzymuje je w płucach, bojąc się z nim rozstać.

— Otworzę okno — zaproponował lekarz.

Kiedy obie okiennice rozchyliły się, pokój wypełniło nagle szarobiałe światło. Ogarnął nas strumień chłodnego powietrza i usłyszeliśmy bębnienie deszczu spadającego na drzewa, trawę, wyłożoną kamiennymi płytami ścieżkę i dach. Dotarł do nas też specyficzny szum wody wpadającej do rynien. Nadciągający mrok przecinały chwilami błyskawice. Burza była już niedaleko i zbliżała się do nas.

Michael, niewątpliwie walcząc z rozpaczą, nadal wstrzymywał oddech, próbując wyrzucić coś z krtani albo piersi. Cały wibrował, choć ciągle leżał nieruchomo. Nagle poruszył głowę, jakby chciał coś potwierdzić. Podniósł nieznacznie prawą rękę, wskazując na kąt pokoju. Podmuch świeżego powietrza zgasił świecę,

Ruszyłem tam, by ją ponownie zapalić, ale zdążyłem się oddalić zaledwie o parę stóp, kiedy rozległ się jakiś trzask, tak jakby ktoś otwierał wypaczone drzwi. Michael zdecydował się odetchnąć; słyszałem, jak gra mu w płucach i gardle, coraz głośniejsze. Ten odgłos wciąż narastał. Nie był to krzyk ani wrzask, ani też zwykły wydech. Niemał wyczuwało się w tym słowa. Pieśń śmierci, taka, na jaką pozwalała mu agonizacja.

Cofnąłem się i klęknąłem przy nim.

— To Jego zwycięstwo, Michael. Jego zwycięstwo. Uwierz w to! Jego zwycięstwo! — wyszeptalem.

Jego oddech zamarł, niczym najbardziej finalne stwierdzenie, ucinające wszelkie dyskusje, podsumowujące wszystko. Michael całkowicie znieruchmiał. Nagle jego oczy otworzyły się. Zauroczyło mnie to, co w nich zobaczyłem. Zniknęła gasząca je mgiełka. Nie było ani śladu wycieków. Niewidzialna ręka starła z jego twarzy wszystkie oznaki deformacji i rysy nakreślone przez agonię. Twarz była znów gładka. Zarówno oczy, jak i usta uśmiechały się radośnie. Niebieskie tęczęwki, które w ostatnich latach tak bardzo wyblakły, kryły w sobie światło, nie intensywne i ostre, ale miękkie i łagodne. Przez tę krótką chwilę lśniło w nich to, co na podstawie swej wiedzy, lektur, zasłyszanych informacji i własnych wyobrażeń, uważałem za największe szczęście, kwintesencję radości i spokoju.

Znów coś cicho zagrało mu w gardle. Na wargach pojawił się nikły uśmiech. Z oczu zniknął blask. Byłem pewien, że Michael wziął udział w Jezusowym zwycięstwie nad śmiercią, że uszedł przed jej ościeniem. Ale i tak zapłacił za klęskę, którą poniósł przed laty.

Nigdy nie poznamy ogromu cierpienia, z jakim musi sobie poradzić, umierając, taki człowiek, jak Michael Strong, gdyż to sprawa ducha, niedostępna ani dla naszej logiki, ani dla wyobraźni, opierająca się najprzemysłniejszym metodologiom. Ale każdy egzorcysta mógłby przyjąć jako swoje epitafium najwspanialsze zdanie Jezusa na temat ludzkiej miłości: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich”.

ANEKSY

ANEKS I

Rzymskokatolicki Obrządek Egzorcyzmów

UWAGI WSTĘPNE

Tradycyjny tekst Rzymskokatolickiego Obrządku Egzorcyzmów, przedstawiony tutaj w tłumaczeniu, przeszedł długą drogę ewolucji. Poczynając od wyraźnego przykazania i przykładu „wypędzenia złego ducha” jaki dał Jezus, poprzez okres Apostołów i wiek bezpośrednio po ich śmierci, aż po czasy średniowiecza, rozciąga się nieprzerwana tradycja wiary i praktyki kościelnej w kwestiach Egzorcyzmów. Niektóre fragmenty obecnego tekstu można umiejscowić w późnym III i wczesnym IV wieku. Inne z pewnością pochodzą z czasów przed rokiem 1000. Znaczna część tekstu powstała w wiekach poprzedzających Renesans. Obecna postać tekstu osiągnął w XVII wieku.

Obrządek Rzymskokatolicki podzielony jest na trzy rozdziały. Rozdział I zawiera szereg ogólnych instrukcji dokonywania egzorcyzmów dla egzorcystów. Dalej przedstawiono dwie wersje Obrządku. Jedna wersja (Rozdział II) przeznaczona jest do dokonywania egzorcyzmów osób, druga wersja (Rozdział III) zarezerwowane jest dla egzorcyzmu miejsc.

W oryginale łacińskim rozdziały te nie są podzielone. Przedstawiając (angielskie) tłumaczenie tekstu, zdecydowałem się jednakże podzielić każdy rozdział na ponumerowane części i dołączyć opisowe tytuły dla każdej z tych części, tak by sekwencja i logika Obrządku stały się bardziej czytelne.

Należy pamiętać o tym, że Obrządek Egzorcyzmów nie jest Sakramentem. Dopelnienie i skuteczność nie są więc zależne, jak w przypadku Sakramentów, od sztywnego wypełnienia niezmiennej reguły lub uregulowanej sekwencji określonych czynności. Skuteczność obrządku zależy od dwóch elementów: zatwierdzenia przez prawomocne i legalne władze kościelne oraz wiary egzorcysty.

Takie ujęcie egzorcyzmów raczej jako Obrządku kościelnego, niż Sakramentu niesie z sobą bardzo istotne konsekwencje. Władze kościelne zawsze kładły nacisk na układ tekstu. Miało to na celu zachowanie zasadniczych elementów egzorcyzmów (zawezwanie i wypędzenie złego ducha wyłącznie w imieniu Jezusa) w każdym obrzędzie. Jednak, pomimo tradycyjnego formalizmu w praktyce dopuszcza się wiele swobody w wykorzystaniu tekstu Obrządku. Koniecznym czyni to sama istota egzorcyzmów: w niespokojnej i niestalej atmosferze rzeczywistych egzorcyzmów niemożliwym byłoby sztywne trzymanie się określonego tekstu i ceremoniału.

W praktyce tekst przerywany jest dialogami pomiędzy egzorcystą a złym duchem. Egzorcysty, wedle własnego uznania opuszczają niektóre fragmenty, powtarzają inne zastępując zalecane Psalmi i fragmenty Ewangelii własnymi, mają swoje ulubione modlitwy. Zawsze wygłaszają przynajmniej drugą mowę egzorcyzmów do złego ducha, udzielają błogosławieństw relikwiami, dodają kolejne znaki krzyża, oraz w inny sposób odchodzą od drukowanego oryginału Obrządku, tak jak nigdy nie mogliby i nie zmieniliby oficjalnego tekstu Sakramentu.

Obecnie, fragmenty tekstu — szczególnie powszechnie znane modlitwy — odmawiane są czasami lub deklamowane w językach miejscowych (niemieckim, angielskim, francuskim, etc.). lecz wśród egzorcystów jako grupy duchownych

Kościola, zdaje się istnieć przekonanie wyrosłe z doświadczenia, że tekst łaciński posiada pewne szczególne właściwości namaszczenia i destrukcji złego ducha. Może to być częścią specyficznego więzi łączącej ducha i rzeczy materialne lub ludzkie, stanowiącej jeden z najbardziej konsekwentnych wątków przejawiania się ducha w egzorcyzmach.

Główne części Obrządku wykonywane są, oczywiście, przez samego egzorcystę. Asystenci (oznaczeni w tekście literą A) przyłączają się do niego podczas czytania Psalmów i Ewangelii, oraz wygłaszają „Amen” w odpowiedzi na dziewięć modlitw i mów. Niektórzy egzorcyci powiększają zwyczajową liczbę czterech asystentów o dalszych dwóch lub trzech: dodatkowi asystenci deklamują Różaniec lub śpiewają pieśni przez cały czas trwania egzorcyzmów.

Za każdym razem, gdy w poniższym tekście pojawia się wydrukowany krzyż, egzorcysta wykonuje Znak Krzyża w kierunku egzorcyzmowanego, chyba że tekst wskazuje określone miejsce lub kierunek (jak np. czoło egzorcyzmowanego, asystentów, etc.).

ROZDZIAŁ I

INSTRUKCJA EGZORCYZMOWANIA OPĘTANYCH PRZEZ ZŁEGO DUCHA

1. Duchownego, który za specjalnym i wyraźnym przyzwoleniem swojego biskupa ma przystąpić do egzorcyzmowania dręczonych przez złego ducha, musi cechować niezbędną pobożność, roztropność i prawość. Winien wykonywać tą niezwykle heroiczną pracę pokornie i mężnie, nie zdając się na własne siły, lecz na potęgę Boga; i nie może on liczyć na żadne korzyści materialne. Ponadto winien być dojrzałego wieku i szanowanym być jako prawa osoba.
2. Właściwe wypełnienie zadania wymaga by znał on liczne dzieła uczonych autorów na temat egzorcyzmów. Względny zwiezłości nakazały nam pominąć je tutaj. Winien nadto bacznie przestrzegać poniższych wielkiej wagi zasad.
3. Przede wszystkim, nie wolno mu zbyt łatwo uwierzyć, że ktoś jest opętany przez złego ducha. Musi dokładnie zapoznać się z oznakami, które pozwalają odróżnić osobę opętaną od osób cierpiących na fizyczne dolegliwości. Oznaki opętania przez złego ducha przynależą do cech specyficznego rodzaju. Rozpoznać je można między innymi wtedy, gdy ktoś mówi nieznaną mową wieloma słowami lub rozumie nieznaną mowę; gdy posiada wiedzę o rzeczach odległych lub skrytych; gdy przejawia siłę fizyczną znacznie przekraczającą jego wiek lub normalny stan. Te przejawy wraz z innym podobnego rodzaju stanowią główne świadectwo.
4. Dla większej pewności egzorcysta winien po jednej lub dwóch mowach egzorcyzmujących przesłuchać opętanego, zapytując co odczuwa w duszy lub w ciele. Tą drogą dowiaduje się również, jakie słowa niepokoją złego ducha bardziej niż inne; co będzie mógł wykorzystać częściej owe słowa powtarzając i tym sposobem większy wpływ na złego ducha osiągnąć.
5. Niechaj egzorcysta odnotuje sobie podstępny i fałszywy jakich dopuszczają się złe duchy celem wprowadzenia go w błąd, bo przywykły one do fałszywych odpowiedzi. Ujawniają się one jedynie pod naciskiem — w nadziei, że egzorcysta ulegnie zmęczeniu i zaniecha wywierania na nie owego nacisku, lub stwarzając mogą pozory, że egzorcyzmowany w ogóle nie jest opętany.
6. Czasami zły duch zdradza swą obecność, a potem skrywa się. Wygląda na to, że opuścił ciało opętanego i uwolnił od wszelkich molestacji, a opętany sądzi, że pozbył się ich całkowicie. Lecz egzorcysta nie powinien dopuścić do zaniechania, mimo tego wszystkiego, póki nie dojrzy oznak uwolnienia.
7. Czasami również zły duch stwarza wszelkie możliwe przeszkody celem powstrzymania opętanego przed ulegnięciem egzorcyzmowi, lub próbuje przekonać go, że jego utrapienie ma całkiem naturalne przyczyny. Czasami, w trakcie egzorcyzmów powoduje, że opętany w sen zapada; lub ukazuje mu wizje jakiegoś, lub skrywa się tak, że opętany zdaje się być uwolniony od niego.
8. Niektóre złe duchy ujawniają tajemny urok, i tego który go rzucił, i sposób w jaki go można zdjąć. Lecz egzorcysta musi strzec się przed uciekaniem w kwestiach takich do czarownic, czarowników, czarnoksiężników lub wszelkich innych spoza duchownych Kościoła. I niechaj nie polega on na jakichkolwiek zabobonnych praktykach lub jakiegokolwiek innej niedozwolonej metodzie.
9. Czasami zły duch zostawia opętanego w spokoju, a nawet pozwala mu przyjąć Świętą Komunię, tak by zdawało się, iż odszedł. Sumując, niezliczone są fortele i podstępny do jakich ucieka się zły duch w celu oszukania ludzi. Egzorcysta musi zachować ostrożność, by nie dać zwieść się żadnym z nich.
10. Musi pamiętać więc, że Pan Nasz rzekł, iż istnieje rodzaj złego ducha, który nie może zostać wypędzony inaczej niż modlitwą i postem. Niechaj on i inni idą śladem Ojców Świętych i niechaj czynią użytek z tych dwojga podstawowych środków uzyskania boskiej pomocy i wypędzenia złego ducha.
11. Jeżeli jest to wygodne opętany może być egzorcyzmowany w kościele lub jakimś innym bożym i odpowiednim miejscu, z dala od publicznego widoku. Jeżeli opętany jest chory, lub jeżeli istnieją inne przemawiające za tym powody, może on być egzorcyzmowany w prywatnym domu.
12. Opętanych należy zachęcić, by modlili się do Boga, zachowali post i czerpali siłę z Sakramentu Spowiedzi oraz Świętej Komunii, jeżeli pozwala na to zdrowie psychiczne i fizyczne.
13. Opętany winien dźmierzyć krucyfiks w dłoniach lub mieć go przed sobą. Gdziekolwiek są dostępnymi, można umieścić relikwie świętych na jego piersi, lub na jego głowie. Winny one być odpowiednio i bezpiecznie zakryte. Lecz należy zachować ostrożność, by te święte przedmioty nie zostały niestosownie potraktowane i uszkodzone przez złego ducha. Święta Eucharystia nie powinna być umieszczana na głowie lub gdziekolwiek na ciele opętanego. Jawi się groźba jej niestosownego potraktowania.
14. Egzorcysta nie może głosić wielkich przemówień, ani stawiać zbędnych pytań płynących z ciekawości, szczególnie o przyszłych wydarzeniach i sprawach skrytych, które nie mają nic wspólnego z jego pracą. Winien nakazać szatanowi zachowanie milczenia i odpowiadanie jedynie na zadawane pytania. I nie wolno mu dawać wiary złemu duchowi, jeśli by utrzymywał, iż jest duszą jakiegoś świętego lub zmarłej osoby, lub iż jest dobrym aniołem.
15. Pytaniami, jakie winien zadać złemu duchowi są, na przykład: liczba i imię opętanych duchów; kiedy weszły w opętanego; dlaczego weszły w niego i inne tego rodzaju pytania. Niech egzorcysta powstrzyma pychę, kpiny i głupotę złego ducha. Winien odnieść się do nich ze wzdargą. I winien on ustrzec tych, którzy są obecni — których winno być niewielu — by całkiem nie zwracali uwagi na słowa złego ducha i nie stawiali żadnych pytań opętane-
mu. Niechaj modlą się pokornie i żarliwie do Boga o oswobodzenie opętane-
nego.

16. Egzorcysta winien wykonać i czytać egzorcyzm z opanowaniem, powagą, wielką wiarą, pokorą i żarliwością. I gdy ujrzy on, że opętany duch udręczony jest wielce, winien zwielokrotnie wszelkie wysiłki wywarcia na niego nacisku. Gdy tylko ujrzy, iż jakaś część ciała opętanego porusza się lub iż jest przesywana lub iż pojawia się opuchlizna, niechaj uczyni Znak Krzyża i rozpryska Wodę Święconą.
17. Niechaj również zwróci uwagę na słowa i zwroty, które niepokoją złego ducha najbardziej, i niech powtarza je bardzo często. A gdy dotrze do punktu wypędzenia, niechaj wypowiada to wypędzenie znowu i znowu, zawsze zwiększając karę. A jeśli ujrzy, iż osiąga powodzenie niechaj wytrwa aż osiągnie ostateczne zwycięstwo.
18. I na końcu, niechaj egzorcysta strzeże się i nie oferuje żadnych lekarstw opętanemu lub sugeruje ich. Te sprawy winien zostawić doktorom.
19. Jeśli by egzorcyzmował kobietę, winien mieć ze sobą jakieś szanowane kobiety, które by przytrzymały opętana gdy jest niespokojna i wstrząsana przez złego ducha. Kobiety te winny być wielce wytrzymałe i przynależać do rodziny opętanej. Egzorcysta winien zważać na zgorszenie i unikać czynów lub słów, które mogłyby przynieść szkodę jemu lub innym.
20. W trakcie egzorcyzmów, egzorcysta winien używać słów Biblii, miast swoich własnych lub czyichś innych. Również, niechaj nakaze złemu duchowi wyznać czy przebywa w opętanym za sprawą jakiegoś magicznego uroku, czarnoksięskiego znaku lub jakichś tajemnych dokumentów. Dla powodzenia egzorcyzmów koniecznym jest by opętany zrzekł się ich. Jeśli by przeknął coś takiego, zwymiotuje to. Jeśli by było to na zewnątrz jego ciała w jakimś miejscu, zły duch musi rzec egzorcystę gdzie to jest. Gdy egzorcysta znajdzie to, musi spalić.
21. Jeśli by opętany został uwolniony od złego ducha, winno zalecić mu przykładowe unikanie grzesznych czynów i myśli. Jeśli tego nie uczyni, może dać on nową okazję złemu duchowi do powrotu i opętania go. W takim przypadku, stan jego byłby znacznie gorszy niż uprzednio.

RODZIAŁ II

OBRZĄDEK EGZORCYZMOWANIA OPĘTANYCH PRZEZ ZŁEGO DUCHA

1. Instrukcje wstępne

Przed rozpoczęciem egzorcyzmów, ksiądz wyznaczony przez biskupa winien udać się do Spowiedzi lub, przynajmniej, odnowić w swym sercu szczerą skruchę za wszystkie grzechy. Winien odprawić mszę, i zwrócić się o pomoc do Boga. Następnie, ubrany w komżę i fioletową stulę winien stanąć przed opętanym. Opętany niechaj będzie przywiązany, jeśli jest jakaś groźba przemocy. Egzorcysta następnie winien prosić o opiekę nad opętanym, nad sobą i swoimi asystentami, czyniąc Znak Krzyża i rozpryskując Wodę Święconą.

2. Inwokacje

Wtedy, klęcząc, niechaj wygłosi następujące inwokacje, którym to wtórować będą jego asystenci.

Egzorcysta: (Litania do Wszystkich Świętych)

Odpuść nam, Panie, grzechy nasze i naszych ojców.

Asystenci: I nie karz nas za nasze występki.

E: (Pater Noster) — *bezgłośnie aż do ostatniej części:*

I nie wódz nas na pokuszenie.

A: Ale nas zbaw ode złego.

E: (Psalm 53)

Uchroń tego mężczyznę (tę niewiastę) sługę Twego.

A: Bo nadzieja w Tobie ma, Boże.

E: I więź oparcia bądź dla niego (niej), Panie.

A: W obliczu wroga.

E: Niechaj wróg nie pokona go (jej).

A: I nie pozwól by syn wszelkiej niesprawiedliwości skrzywdził go (ją).

E: Ześlij mu (jej) pomoc ze Świętego Miejsca, Panie.

A: I okaż mu (jej) Boskie oparcie.

E: Panie, wysłuchaj modlitwy nasze.

A: A wołanie nasze niech do Ciebie przyjdzie.

E: Pan z wami.

A: I z Duchem Twoim.

E: Módlmy się.

Boże, jest przywilejem Twoim okazywać łaskę i wybaczać. Wysłuchaj naszej modlitwy, by ten oto sługa twój spętany łańcuchami grzechu, miłosiernie uwolniony został współczuciem Twej Dobroci.

Panie Najświętszy! Wszchemocny Ojczel Wiekuisty Boże! Ojczel Pana Naszego Jezusa Chrystusa!

Ty który przeznaczyłeś krnąbrnego i odstępnego tyrana do ognia piekielnego; Ty, który wysłałeś jedynego syna swego do świata tego, by zmiażdżył ryczącego lwa: Spójrz śpiesznie i wyrwij potępieniu i temu diabłu naszych czasów, tego mężczyznę (tą kobietę), który(a) został(a) stworzony(a) na Twój obraz i podobieństwo Twoje. Spuść trwożę, Panie, na bestię która niszczy własność Twą. Daj wiarę sługom Twoim w obliczu tego najgorszego złego węża, by walczyli mężnie. By wąż z pogardą nie odnosił się do tych, którzy nadzieję pokładają w Tobie, i nie rzekł — jak rzekł ustami faraona: Nie znam Boga, i nie wypuszczę Izraela. Niechaj Twa wszechmogąca potęga zmusi węża do zaniechania sługi Twego, by nie władał nim (nią), którego(a) raczyłeś stworzyć na swój obraz i zbawić przez Syna Twego, który żyje i włada wraz z Tobą w jedności Ducha Świętego, jako Bóg, na wieki wieków.

A: Amen.

3. Przywołanie złego ducha.

E: Szatanie! Kimkolwiek jesteś, i twoi towarzysze, którzy opętali tego sługę Bożego. Na tajemnicę Wcielenia, Cierpienia i Śmierci, Zmartwychwstania i Wniebowstąpienia Jezusa Chrystusa Pana Naszego; na zesłanie Ducha Świętego; na Przyjście Pana Naszego w dniu Sądu Ostatecznego, wzywam cię:

Powiedz mi, znakiem jakimś, imię twoje, dzień i godzinę potępienia Twego.

Posłuszny bądź we wszystkim, choć niegodny ja sługa Boga.

Nie czyni szkody stworzeniu temu (*opętanemu*) ni asyntenom moim, ni dobrom ich.

4. Czytanie Ewangelii

(Jan 1:1-12; Marek 16:15-18; Łukasz 10:17-20; Łukasz 11:14-22)

E: Panie wysłuchaj modlitwy naszej.

A: A wołanie nasze niech do Ciebie przyjdzie.

E: Pan z wami.

A: I z Duchem Twoim.

E: Módlmy się.

Boże Wszchemogący! Słowo Boże, Ojcze! Jezusie Chrystusie! Panie i Władco wszelkiego stworzenia! Ty, który dałeś siłę Apostołom wyjść cało z opresji. Śród cudów, które uczyniłeś, rzekłeś: wypędzam złego ducha. Siłą twoją szatan upadł jak grom z nieba. Z trwogą i drżeniem modłę się i błagam Święte Imię Twoje. Wybacz grzechy niegodnemu słudze Twemu. Daj mi niezachwianą wiarę i siłę, tak bym uzbrojony siłą Twojej Świętej Mocy mógł stawić czoło temu okrutnemu złemu duchowi, ufny i niezagrożony. Dzięki Tobie, Jezusie Chrystusie, Panie Nasz, który przybędziesz sędzić żywych i umarłych, i świat ogniem.

A: Amen.

5. Złożenie dłoni na opętanym.

Egzorcysta następnie zwraca się o boską opiekę nad sobą i nad opętanym czyniąc Znak Krzyża. Wtedy umieszcza czubek stopy na szyi opętanego, a prawą dłoń na głowie opętanego. Intonuje poniższe z wielkim przekonaniem i wiarą:

E: Ujrzyj Krzyż Pana. Odstąpcie, wrogowie!

A: Jezus, ze starodawną siłą, ze szlachetną mową, jest zwycięzca.

E: Panie wysłuchaj modlitwy naszej.

A: A wołanie nasze niech do Ciebie przyjdzie.

E: Pan z wami.

A: I z Duchem Twoim.

E: Módlmy się:

Boże, Ojcze Jezusa Chrystusa Pana Naszego, przywołuję Święte Imię Twoje i błagalnie proszę cię racz dać mi siły w obliczu tego i każdego innego szatana niepokojącego stworzenie Twoje. Przez tego samego Chrystusa Pana.

A: Amen.

6. Mowy egzorcyzmujące do złego ducha

(1) Ostrzeżenie o złym duchu.

E: Egzorcyzmuję ciebie, szatanie! Wrogu! Wszystkie duchy! Każdego z was! W Imię Pana Naszego Jezusa + Chrystusa: Bądź wyklęty i wypędzony z tego Stworzenia Bożego. +

Ten który rozkazuje ci jest tym który nakazał strącenie ciebie z nieba najwyższego do otchłani piekła. Ten który rozkazuje ci jest tym który włada morzem, wiatrem i burzami. Słuchaj tedy, i trwóż się, szatanie! Wrogu Wiary! Wrogu rasy ludzkiej! Źródle śmierci! Złodzieju życia! Kłamco sprawiedliwości! Korzeniu zła! Osnowo rozpusty! Uwodzi-cielu ludzi! Zdrajco narodów! Podżegaczu zazdrości! Sprawco chci-wości! Przyczyno waśni! Twórcu agonii! Czemuż pozostajesz i opie-rasz się, gdy wiesz, że Chrystus Pan nasz zniszczył twój plan? Lękaj się tego, którego reprezentowali Izaak, Józef i Baranek Boży, który zo-stał ukrzyżowany jako człowiek, i który powstał z grobu.

(Następnie czyni Znak Krzyża na czole opętanego)

Oddal się więc, w imię + Ojca, i + Syna, i Ducha + Świętego. Ustąp Duchowi Świętemu, w obliczu tego znaku Krzyża + Świętego Pana Naszego Jezusa Chrystusa, który żyje i zasiada na tronie jako Bóg, z Ojcem i Duchem Świętym, na wieki wieków.

A: Amen.

E: Panie, wysłuchaj modlitwy naszej.

A: A wołanie nasze niech do Ciebie przyjdzie.

E: Pan z wami.

A: I z Duchem Twoim.

E: Módlmy się.

Boże, Stwórcu i obrońco rasy ludzkiej; Ty który stworzyłeś człowieka na obraz Swój: Spójrz na sługę Twego (*egzorcysta wymawia imię opętanego*), którego zaatakował przebiegły szatan. Prastary przeciwnik, odwieczny wróg ziemi, otacza go trwogą, paraliżuje jego umysł ciemnością, powala przerażeniem, porusza go wstrząsami i drgawkami. Wypędź, o Panie, potęgę złego ducha! Rozwiń fałsz jego kłosa! Niechaj ten piekielny kusiciel pierzchnie. Niechaj sługa Twój będzie chroniony na duszy i ciele znakiem + Imienia Twego (*na czole opętanego*).

Następnie czyni trzy znaki Krzyża na piersi opętanego, wypowiadając poniższe słowa.

+ Zachowaj to co wewnątrz tej osoby.

+ Władaj jego (jej) uczuciami.

+ Daj siłę jego (jej) sercu.

Niechaj starania wrogiej mocy zostaną wypędzone z jego (jej) duszy, Panie, bo przywołuję Tve Święte Imię. Udziel łaski, by ten, który inspirował przerażenie, teraz pierzchnął i oddalił się pokonany; by ten (ta) mężczyzna (kobieta), sługa Twój, mógł oddawać Ci cześć, stałym sercem i czystym umysłem. Przez Chrystusa Pana Naszego.

A: Amen.

(2) Nakazywanie złemu duchowi.

E: Nakazuję Ci pod groźbą, starodawny węzł W imieniu Sędziego Ży-wych i Umarłych! W imieniu Stwórcy Naszego! W imieniu Stworzy-ciała Świata! W imieniu Tego, który władny jest zesłać cię do piekła! Opuść tego sługę Bożego (*egzorcysta wymienia imię opętanego*), który zwrócił się do Kościoła. Zaprzestań siać przerażenie w nim (niej), ponownie nakazuję ci solennie + (*na czole opętanego*), nie z me-go powodu, który jestem słaby, lecz z powodu potęgi Ducha Świętego: wyjdź z tego służki Bożego (*imię opętanego*), którego wszechmocny Bóg na Swój obraz stworzył. Ulegnij, nie mnie, lecz słudze Chrystusa. Jego potęga zmusza ciebie. Pokonał cię jego Krzyżem. Lękaj się potęgi tego który poprowadził dusze umarłych do światłości zbawienia z ciemności oczekiwania. Niechaj ciało tego człowieka + (*na piersi opętanego*) będzie źródłem trwogi twojej. Niechaj obraz Boga + (*na czole opętanego*) będzie źródłem lęku twojego. + Bóg Ojciec rozkazuje ci. + Bóg Syn rozkazuje ci. + Bóg Duch Święty rozkazuje ci. + Wiara Świętych Apostołów, Piotra i Pawła, i innych Świętych rozka-zuje ci. + Krew Męczenników rozkazuje ci. + Czystość Spowiedni-ków rozkazuje ci. + Pobożne i święte wstawiennictwo wszystkich Świętych rozkazuje ci. + Potęga tajemnicy wiary chrześcijańskiej roz-kazuje ci. + Wynoś się! Złoczyńco! Wynoś się! Kusicielu! Pełen pod-stępności i fałszu! Wrogu cnoty! Prześladowco niewinnych! Ustąp,

najbardziej nikczemna z istot! Ustąp, najbardziej bezbożny! Ustąp Chrystusowi, w którym nie znalazłeś nic ze swych sprawek! On zniszczył królestwo twe. Uwikłał cię w porażkę. Złamał twą potęgę. Wyrzucił cię w zewnętrzny mrok, gdzie przygotowano zgubę twoją i twoich naśladowców.

Ale dlaczegoś opierasz się wojowniczo? Jak śmiesz odmawiać? Jesteś potępiony przez wszechmocnego Boga, którego prawo złamałeś. Jesteś potępiony przez Jego Syna, Jezusa Chrystusa, Pana Naszego. Śmiałeś kusić JEGO i śmiałeś ukrzyżować GO. Jesteś potępiony przez rasę ludzką, której ofiarowałeś śmiertelną truciznę swoich sugestii.

Więc ja każę ci solennie, pod groźbą, Szatanie, w imieniu Baranka + Niepokalanego, który kroczył niezagrożony wśród niebezpieczeństw i który był odporny na wszelkie złe duchy: Opuść tę osobę + (na czole opętanego). Opuść Kościół Boży + (nad asystentami). Trwóż się i pierzchnij słysząc imię Pana Naszego, którego lekają się potęgi piekielne, któremu podlegają potęgi i cnoty, aniołowie nieba, którego nieustająco sławią głosy Cherubina i Serafina, mówiące: Święty! Święty! Święty! Pan Bóg Zastępów Niebieskich!

Słowo, które stało się Ciałem + rozkazuje ci. Ten którego narodziła Dziewica + rozkazuje ci. Jezus + z Nazaretu rozkazuje ci. Kiedy pogardliwie zignorowałeś Jego uczniów, rozkazał ci złamanemu i poniżonemu opuścić tego człowieka. A gdy wyrwał cię z tego człowieka, nie śmiałeś nawet wejść w jego obecności w świnie. Teraz kiedy nakazuję ci się w Jego imieniu +, oddal się od tej osoby, którą On stworzył. Niemożliwa jest dla ciebie wola oporu. + Niemożliwa jest dla ciebie odmowa posłuszeństwa. + Bo im dłużej zwlekasz, tym sroższą karę otrzymasz. Nie ludziom odmawiasz posłuszeństwa. To On rządzi żywymi i umarłymi. To On przybędzie sądzić żywych i umarłych, i świat ogniem.

A: Amen.

E: Panie wysłuchaj modlitwy nasze.

A: A wołanie nasze niech do ciebie przyjdzie.

F: Pan z wami.

A: I z Duchem Twoim.

E: Módlmy się:

Władco Nieba! Władco Ziemi! Władco Aniołów! Władco Archaniołów! Władco Proroków! Władco Apostołów! Władco Męczenników! Władco Dziewic! Boże, któryś zdolny dać życie po śmierci i odpoczynek po trudzie. Nie ma boga prócz Ciebie. I nie może być prawdziwego boga prócz Ciebie. Stwórczo Nieba i Ziemi. Jesteś prawdziwym królem. A królestwo Twoje nie zna końca. Pokotnie błagam cię Panie Nasz: racz uwolnić sługę Twego od szatana. Przez Chrystusa Pana Naszego.

A: Amen.

(3) Drugie nakazywanie złemu duchowi

Nakazuję więc wszelkim nieczystym duchom, każdemu diablowi, każdej części szatana: W imieniu Jezusa Chrystusa + z Nazaretu. Po ochrzczeniu przez Jana, wyprowadzony został na pustynię i pokonał cię na twojej własnej ziemi. Odstąp od atakowania tego mężczyzny (kobiety), którego (którą) Jezus uformował z materii na cześć i chwałę Swoją. Drżnij z trwogi, nie przed marnym człowiekiem, lecz obrazem

wszechmogącego Boga. Ustąp przed Bogiem więc, + który uczynił, że pierzchniesz od Króla Saula przez pieśni duchowe jego wiernego sługi Dawida. Ulegnij Bogu, który przeklął Judasza Iskariota, zdrając. Bo dotknął cię boską karą, a ty krzyżując zawołałeś: „Cóż jest między nami a Tobą, Jezusie, Synu Boga Najwyższego? Czy przyberasz przed właściwym czasem dręczyć nas?” Ten który wypęda cię teraz w wieczny ogień rzeknie na koniec czasu do szatana i jego aniołów: „Opuśćcie mnie, przeklećcie! Idźcie w wieczne płomienie, które przygotowano dla diabła i jego aniołów”. Śmierć należna jest tobie, bezbożny! A dla twoich aniołów jest wieczna śmierć. Dla ciebie i twoich aniołów przygotowano ogień, który nie zgaśnie, bo ty jesteś księciem przeklętych zabójstw, autorem kazirodztwa, głową wszystkich świętokradców, panem największych złych czynów, nauczycielem heretyków, twórcą wszelkiej plugawości. Wyjdź więc, + bezbożniku. Wyjdź + przestępcu! Wyjdź z całym swym fałszem! Wołaj Boga człowieka jest Jego świątynią. Po cóż ociążać się tutaj? Oddaj cześć Bogu Ojcu + wszechmogącemu, przed którym ugnie się każde kolano. Ustąp miejsca Panu Naszemu Jezusowi + Chrystusowi, który przelał swą krew za człowieka. Ustąp miejsca Duchowi + Świętemu, który poprzez błogosławionego Apostoła Piotra pokonał cię w Szymonie Czarnoksiężniku, potępił twój fałsz w Ananiaszu i Safirze, unicestwił cię w czarnoksiężniku Elymasie oslepiając go. Przez tego samego apostoła nakazał ci odstąpić od prorokini z Pyton. Odejdź więc teraz +. Odejdź + kusicielu! Pustynia jest twym domem. Wąż jest twym siedliskiem. bądź upokorzony i stracony. Czas się nie wróci. Patrz, zwycięski Pan jest blisko. Ogień płonie przed nim i pochłania wszystkich jego wrogów. Bo, choć zwodziłeś ludzi, nie możesz oszukać Boga. Przed jego spojrzeniem nic nie jest ukryte: wyrzucił ciebie. Wszelkie rzeczy podlegają jego władzy: Wygnał ciebie. Żywi i umarli, i świat zostaną osądzone przez niego z całą wnikliwością. Przygotował piekło dla ciebie i twoich aniołów.

7. Dalsze instrukcje i modlitwy

Kiedy wszystko już ogłoszone, może być powtórzone tyle razy ile to konieczne, póki opętany nie zostanie całkiem uwolniony.

Pomocnym będzie nadto, nabożne powtórzenie Pater Noster, Ave Maria i Credo nad opętanym, jak również Magnificat oraz Benedictus Canticle (kończąc ostatnie dwa z Gloria).

8. Wyznanie wiary (Św. Anzelm)

Ktokolwiek pragnie być zbawionym, musi nade wszystko niezmiennie trzymać się uniwersalnej wiary. Jeżeli ktokolwiek nie zachowa jej w całości i czystości bez wątplenia zginie na wieczność. Ta uniwersalna wiara jest następująca.

Czimy jednego Boga w Trójcy i Trójcę w jednym Bogu, nie mieszając Osób ani nie dzieląc substancji Boga. Bo Osoba Ojca jest różna od Osoby Syna. A obie są różne od Osoby Ducha Świętego. Lecz boskość Ojca, i Syna, i Ducha Świętego jest jedna i ta sama w równej chwale i współwiecznym majestacie.

Czym Ojciec jest, Syn jest, i Duch Święty jest. Ojciec jest niestworzony, Syn jest niestworzony, Duch Święty jest niestworzony. Ojciec jest nieskończony. Syn jest nieskończony. Duch Święty jest nieskończony. Ojciec jest wieczny, Syn jest wieczny, Duch Święty jest wieczny.

Mimo to, nie ma trzech wiecznych bytów, lecz jeden wieczny Byt. Nie ma trzech niestworzonych bytów, ani trzech nieskończonych bytów, lecz jeden niestworzony i nieskończony Byt.

Podobnie, Ojciec jest wszechmocny, Syn wszechmocny, Duch Święty wszechmocny. Ale jednak, nie ma trzech wszechmocnych bytów, lecz jeden wszechmocny Byt.

Tako, Bóg Ojciec, Bóg Syn, Bóg Duch Święty. A mimo to, nie trzech bogów, ale jeden Bóg. Tako, Ojciec jest Panem, Syn jest Panem, Duch Święty jest Panem. A mimo to, nie ma trzech panów, lecz jeden Pan. Tak jak nasza chrześcijańska wiara karze wyznać nam, że każda Osoba jest Bogiem, tako zabrania nam uniwersalna wiara mówić o trzech bogach i panach.

Ojca nie uczynił nikt: ani nie stworzył ani nie zrodził. Syn jest z Ojca: nie stworzony lecz zrodzony. Duch Święty jest z Ojca i Syna: nie uczyniony, nie stworzony, nie zrodzony, lecz pochodzący. Jest jeden Ojciec, więc, nie trzech ojców. I jest jeden Syn, nie trzech synów. I jest jeden Duch Święty, nie trzy duchy święte.

I w tej Trójcy, nie ma uprzedniego lub wtórnego elementu, większego lub mniejszego. Lecz wszystkie trzy osoby są współwieczne każda z każdą i współistotne. I tak, we wszystkich rzeczach, jak powiedziano wyżej, czcimy jedność w Trójcy i Trójcę w jedności. Ktokolwiek więc pragnie być zbawiony musi wierzyć w Trójcę.

Lecz niezbędnym jest dla życia wiecznego również nabożna wiara we Wcielenie Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Poprawną wiarą, którą wyznajemy i w którą wierzymy, jest to, iż Jezus Chrystus, Pan Nasz, jest Synem Boga i jest człowiekiem. Jest Bogiem z substancji Ojca, i zrodzony przed wszelkim czasem. I jest człowiekiem z substancji matki, będąc urodzonym z matki w czasie.

Doskonały Bóg, doskonały człowiek egzystujący z racjonalną duszą i ludzkim ciałem. Równy Ojcu w boskości. Mniej niż Ojciec wedle swego człowieczeństwa. Choć jest Bogiem i człowiekiem, nie jest dwojgiem, lecz jednym. Jest jednym, jednakże nie dlatego, iż jego boskość przemienia się w człowieczeństwo, lecz dlatego że jego człowieczeństwo zostaje przyjęte przez jego boskość. Jest integralnie jednym, nie dlatego, że jego boska i człowiecza substancja stopiły się i stały jednym, lecz z powodu jedności jego osoby. Bo, tak jak racjonalna dusza i ciało stanowią jednego człowieka, tak Bóg i człowiek stanowią Chrystusa. Cierpiał dla naszego zbawienia, wyzwolił tych już umarłych i oczekujących, i powstał z grobu trzy dni później. Wstąpił do Nieba i zasiada po prawicy Boga. Później, przybędzie sędzić żywych i umarłych. Gdy przybędzie, wszystkie istoty ludzkie muszą powstać ponownie i zdać sprawę ze wszystkich swych czynów. A ci co czynili dobro wstąpią w wieczne życie. A ci co czynili zło, wstąpią w wieczny ogień.

Taka jest uniwersalna wiara. Jeśli wiernie i niezmiennie nie trzymasz się jej, nie możesz zostać zbawiony.

(Gloria)

A: Amen.

9. Czytanie psalmów

E: (Psalmy: 90, 67, 34, 30, 21, 3, 10, 12)

10. Końcowa modlitwa dziękczynna

E: Modlimy się, wszechmocny Boże, by zły duch nie miał więcej władzy nad tym oto sługą Twoim (*podaje imię apłtanego*), lecz by pierzchnął i nie powrócił. Niechaj dobroć i pokój Pana Naszego Jezusa Chrystusa wstąpię w niego (nią) na Twój rozkaz, Panie. Bo przez Jezusa zostaliśmy zbawieni. I nie lękajmy się żadnej choroby, bo Pan jest z nami, On który żyje i zasiada na tronie jako Bóg z Tobą w jedności Ducha Świętego, na wieki wieków.

A: Amen.

ROZDZIAŁ III

EGZORCYZMY SZATANA I ODSTĘPNYCH ANIOŁÓW

1. Instrukcje.

Poniższy egzorcyzm może być wygłoszony przez Biskupów, jak również przez księży, którzy otrzymali zgodę swych własnych Biskupów.

2. Inwokacja do Archaniola Michała

E: Najchwalebniejszy Książę zastępów Niebiańskich, Święty Michale Archaniele, ochroń nas w boju przed księciami i siłami, i władcami ciemności na tym świecie, przed duchową niegodziwością tych byłych aniołów. Przyjdź z pomocą ludziom, których Bóg uczynił na Swój obraz, i których odkupił z tyranii szatana za wielką cenę. Kościół czci Ciebie jako pasterza i patrona swego. Pan polecił Twjej opiece wszystkie dusze odkupionych, byś zwiódł je do szczęśliwości w Niebiesiach. Módl się do Boga Pokoju by zmiądzzył szatana pod naszymi stopami; tak by szatan nie mógł już niewolić ludzi i drogą tą szkodzić Kościołowi. Zanieś nasze modlitwy Najwyższemu Bogu, by łaska jego spłynęła na nas. Pojmij to zwierzę, tego starodawnego węża, który jest wrogiem i złym duchem, i zamień go w wieczną nicość, by nie kusił już narodów.

3. Ogłoszenie Egzorcyzmów

E: W imieniu Jezusa Chrystusa, Boga i Pana, za wstawiennictwem Niepokalanej Dziewicy, Matki Bożej, Marii, i Świętego Michała Archaniola, Błogosławionych Apostołów, Piotra i Pawła, i Wszystkich Świętych; oraz opierając się na świętym autorytecie naszego urzędu, zamierzamy przystąpić do wypędzenia diabolicznej plagi.

4. Modlitwa

E: (Psalm 67)

Bóg wstaje, a rozpraszają się Jego wrogowie.

A: I pierzchają przed Jego obliczem ci, którzy Go nienawidzą.

F: Rozwiewają się, jak dym się rozwiewa.

A: Jak wosk się rozplywa przy ogniu tak giną przed Bogiem grzesznicy.

E: Spójrzcie na Krzyż Pana. Przepadnijcie Wrogowie!

A: Starodawna siła zwycięży. Król Królów!

E: Okaż nam łaskę Paniel

A: Wedle naszej nadziei w Tobie.

5. Mowa egzorcyzmująca szatana i odstępných aniołów
Wypędzamy cię, wszelki nieczysty duchu, wszelka siła szatańska, wszelka plaga wroga z piekła, wszelki legionie, wszelkie zgromadzenie, wszelka sekta sataniczna! W imię Pana Naszego Jezusa + Chrystusa! Bądź wykorzeniony i pierzchnij na obraz Boga i odkupionej krwią Boskiej Owieczki.

+ Nie waz się więcej, zwodniczy węzu, oszukiwać rasę ludzką, prześladować Kościół Boży, uderzać i targać wybrańców Boga jak plewy +. Najwyższy Bóg rozkazuje ci +. To z Nim, w swej wielkiej pysze współzawodniczyłeś. Wolą Jego jest zbawienie każdego człowieka i poznanie prawdy.

Bóg Ojciec + rozkazuje ci. Bóg Syn + rozkazuje. Bóg Duch + Święty rozkazuje ci. Chrystus rozkazuje ci, który jest wiecznym Słowem Boga, które stało się człowiekiem +. On który unicestwił twą nienawistną zazdrość wobec zbawienia naszej rasy; On który poniżył się czyniąc się posłusznym śmierci; On który buduje swój Kościół na niewzruszonej skale i który zadbał by moce piekielne nigdy nie zaparowały nad tym Kościołem; On który pozostanie ze Swym Kościołem po wsze czasy, nawet do kresu czasu ludzkiego.

Sakrament Krzyża + rozkazuje ci. Cnota wszelkich tajemnic chrześcijańskiej wiary rozkazuje ci. Najbardziej podniosła Matka Boża, Dziewica Maria + rozkazuje ci. Ona która stratowała twą głowę od pierwszej chwili niepokalanego poczęcia. Wiara Błogosławionych Apostołów, Piotra i Pawła, + rozkazuje ci. Krew Męczenników i pobożne wstawiennictwo wszystkich Świętych + rozkazuje ci.

Więc, przeklęty węzu, i wszelkie moce szatańskie! Nakazuję wam pod groźbą, przez żyjącego Boga +, przez prawdziwego Boga +, przez Świętego Boga +, przez Boga który tak ukochał świat, że oddał jedyne Syna Swego tak by wszyscy, którzy wierzą w Niego nie szczyli, lecz cieszyli się wiecznym życiem.

Zaprzestań zwodzić istoty ludzkie i podsuwać im truciznę wiecznego potępienia.

Zaprzestań szkodenia Kościołowi i zastawiania pułapek na wolność Kościoła. Precz, Szatanie! Twórcu i panie wszelkiego fałszu! Wrogu ludzkiego zbawienia! Ustąp Chrystusowi w którym nie znalazłeś nic ze swego zła. Ustąp Świętemu, Katolickiemu i Apostolskiemu Kościołowi, który Chrystus sam stworzył swą krwią. Bądź poniżony pod potężną ręką Boga. Trwóż się i pierzchaj, gdy przywołujemy święte i przerażające dla ciebie imię Chrystusa. Bo lęka się go zły duch, i podlegają mu potęgi i cnoty, i aniołowie nieba. A Cherubin i Serafin sławią Go niesłabnącym głosem, mówiąc: Święty! Święty! Święty! Pan Bóg Zastępów Niebieskich.

Panie wysłuchaj modlitwy nasze.

A: A wołanie nasze niech do ciebie przyjdzie.

E: Pan z wami.

A: I z Duchem Twoim.

6. Modlitwa

E: Módlmy się.

Panie Niebios! Panie Ziemi! Panie Aniołów! Panie Archaniołów! Panie Patriarchów! Panie Proroków! Panie Spowiedników! Panie Dziewic! Boże któryś władny obdarzyć życiem wiecznym i spoczynkiem po trudzie! Nie ma Boga prócz ciebie. Ani być innego nie może.

Stwórcu wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych! Królestwo Twoje nie zna granic!

Pokornie błagamy Cię w twym majestacie i chwale: Uwolnij nas, władzę Twoją, z wszelkiej władzy złego ducha, od jego podstępów, zwodzenia i knozań; i racz chronić nas Panie. Przez Chrystusa Pana Naszego.

A: Amen.

7. Inwokacje

E: Od podstępów złego ducha.

A: Uwolnij nas, Panie.

E: Prosząc Cię o pomoc dla Twojego Kościoła by służył Ci bezpiecznie w wolności.

A: Módlmy się: wysłuchaj nas Panie!

E: Upokórz wrogów Kościoła Świętego.

A: Módlmy się: wysłuchaj nas Panie!

8. Poświęcenie miejsca egzorcyzmu

Miejsce spryskane zostaje Wodą Święconą.

ANEKS II

Modlitwy powszechne stosowane podczas egzorcyzmów i wzmiankowane w opisach egzorcyzmów zawartych w niniejszej książce.

Modliwa Pańska (Pater Noster)

Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

Pozdrowienie Anielskie (Ave Maria)

Zdrowaś, Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego Jezus.

Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

Chwała (Gloria)

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu. Jak była na początku, teraz, i zawsze, i na wieki wieków. Amen.

Westchnienia do Najświętszego Odkupiciela (Anima Christi)

Duszo Chrystusowa, uświęć mnie. Ciało Chrystusowe, zbaw mnie. Krwi Chrystusowa, napój mnie. Wodo z boku Chrystusowego, obmyj mnie. Męko Chrystusowa, pokrzep mnie. O dobry Jezu, wysłuchaj mnie. W ranach swoich ukryj mnie. Nie dopuść mi oddalić się od Ciebie. Od złego ducha broń mnie. W godzinę śmierci wezwij mnie. I każ mi przyjść do siebie. Abym ze Świętymi Twymi chwalił Cię na wieki wieków. Amen.

Witaj, Królowo (Salve Regina)

Witaj Królowo, Matko Miłosierdzia, Życia Słodczy i Nadziejo Nasza, Witaj. Do Ciebie wołamy wygnańcy, synowie Ewy. Do Ciebie wdychamy jęcząc i płacząc na tym łez padole. Przeto Orędowniczko Nasza one Twoje miłosierne oczy na nas zwróć. A Jezusa błogosławiony owoc żywota Twojego po tym wygnaniu nam okaż. O Łaskawa, o Litościwa, o Słodka Panno Maryjo. Amen.

Nota o autorze

Malachi Martin urodził się w Kerry w Irlandii 23 lipca 1921 roku. Kształcił się w Belvedere College i wstąpił do Towarzystwa Jezusowego w 1939 r. Studiował na Uniwersytecie Narodowym, gdzie uzyskał dyplom z języków semickich i filozofii orientalnej, równoległe studiując asyriologię w Trinity College. Ma również dyplom z filozofii, teologii, języków semickich, asyriologii i historii orientalnej, uzyskany w Louvain w Belgii. Dr Malachi Martin studiował też równoległe na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie i Uniwersytecie w Oxfordzie. Dodatkowe tematy studiów Dr Malachi Martina objęły psychologię racjonalną, psychologię eksperymentalną, fizykę i antropologię.

Dr M. Martin dość wcześnie napisał pracę na temat zwojów znad Morza Martwego. Opublikował szereg artykułów na temat paleografii semickiej, a jego pierwszą książką była dwutomowa praca „Kronikarski charakter zapisu zwojów znad Morza Martwego”.

Od 1958 do 1964 roku M. Martin służył w Rzymie; był bliskim współpracownikiem kardynała Augustine Bea i Papieża Jana XXIII. Był także profesorem Papieskiego Instytutu Biblijnego w Watykanie, gdzie nauczał hebrajskiego, aramejskiego, paleografii i biblistyki. Po 25 latach w zakonie jezuickim, w 1964 roku, został zwolniony ze słów ubóstwa i posłuszeństwa.

Mieszka obecnie w Nowym Jorku. Jest autorem kilkunastu książek, z których wiele stało się głośnymi bestsellerami.